



**Ja
potępiona**

Katarzyna Berenika Miszczuk



1

- Do zobaczenia może kiedyś. - Piotr uśmiechnął się smutno na pożegnanie.

Kiwnęłam mu głową. Patrzyłam, jak jego wysoka, lekko zgarbiona sylwetka znika za drzwiami. Chwilę później usłyszałam, że zbiega po schodach. Trzasnęły drzwi od klatki schodowej.

Zostałam sama w mojej małej kawalerce na warszawskiej Pradze.

Wyrzałam za nim przez okno. Zabrał wszystkie swoje rzeczy. Już nie byliśmy razem. Nie podjęliśmy tej decyzji wspólnie, to był mój pomysł. On chciał o nas walczyć.

Miałam do wyboru przystojnego, lecz odrobinę ciapowatego śmiertelnika, z którym mogłam przeżyć w spokoju całe życie, albo seksowny płomień Boga, przy którym moje życie mogło okazać się krótkie, ale bardzo burzliwe.

W końcu dorosłam do tego, by podjąć decyzję. Według Piotra - głupią.

Szarpnęłam za firankę.

- Beleth - wyszeptalam. - Gdzie jesteś?

Gdy z Piotrem opuściliśmy Niebo, starałam się go odnaleźć. Chciałam mu powiedzieć, że wygrał. Wygrał niekończący się wyścig z Piotrkim. Zostawiłam go, żeby z nim być. A tu co? Diabeł zniknął. Nie tego się spodziewałam.

Obiecałam Piotrusiowi, że zabiorę go do Piekła na wycieczkę. Widziałam w tym swoją szansę, przystojnego diabła tam jeszcze nie było. Wróciłam do Arkadii, chociaż Archanioł Gabriel prosił mnie, bym szybko nie pojawiała się z powrotem. Spotkałam się ze zmarłymi rodzicami, którzy nie byli zadowoleni, że rozstałam się ze śmiertelnikiem, ale tam także nie udało mi się znaleźć Beletha.

Zapadł się pod ziemię.

Gdzie on mógł być?

Wielokrotnie wzywałam go w myślach, ale nie przyszedł. Pewnie mnie słyszał. O co mu chodziło? A może teraz, gdy nie musiał już walczyć o mnie z Piotrem, nie stanowiłam dla niego wyzwania? Może już mnie nie chciał?

Ściany kawalerki zaczęły się zbliżać, osaczając mnie.

To niemożliwe. Nie mógłby. Przecież... przecież wyznał, że mnie kocha.

Jestem głupia. W końcu to diabeł! Podstępem zwabił mnie do Piekła i raz nawet zabił, żebym pomogła mu i diabłu Azazelowi w strąceniu Lucyfera z tronu Niższej Arkadii. Potem zaś robił wszystko, żeby zabić osobę, którą kochałam.

Ale powiedział, że to z miłości do mnie.

Czy mogłam mu w końcu zaufać?

Oparłam się ciężko o parapet i westchnęłam z irytacją. Diabeł nie chciał opuścić moich myśli. Czy ja go kochałam? A jeśli tak, to co mnie za to czekało? Potępienie?

Pokręciłam głową. Dość tych bezsensownych rozważań. Beleth zawsze się pojawiał. Teraz też sam się znajdzie i znowu spróbuje mnie uwieść. Przecież nie mógłby się poddać. To nie było w jego stylu. Po co tracić czas na ponure rozmyślania.

Miałam czystą kartę. Nie zaszkodziło mi nawet stworzenie skrzydeł moim diabelskim przyjaciółom, dzięki czemu mogli spacerować po Edenii. Chyba po raz pierwszy nikt nie miał do mnie żadnych pretensji.

Byłam śmiertelniczką obdarzoną diabelskimi mocami oraz Iskrą Bożą, spadkiem po moich przodkach Adamie i Ewie. Miałam też klucz diabła, który zapewniał mi możliwość podróżowania w dowolne miejsce na świecie bez biletu i dodatkowych opłat w postaci cyrografu podpisanego za duszę.

Mogłam wszystko! Mogłam wedle własnego widzimisię pokierować swoją przyszłością. Dotknięciem palca przyswoić sobie wiedzę ze wszystkich podręczników świata. Porozumieć się w każdym języku, bo przekleństwo wieży Babel już mnie nie dotyczyło. Mogłam ratować świat przed zagładą, zostać bohaterką narodową, stworzyć nowe leki albo dokonywać wynalazków, mogłam...

Rozejrzałam się po pustym pokoju.

Mogłam też pójść na wieczorny spacer i zastanowić się nad swoją przyszłością spokojnie i bez patosu.

Stworzyłam sobie piękny, nowy płaszcz i dobrane pod kolor botki. Pstryknęłam palcami. Moje włosy ułożyły się na ramionach, jakbym właśnie wyszła od fryzjera. Oczy były perfekcyjnie umalowane. Uśmiechnęłam się do odbicia w lustrze czerwonymi wargami. Kobieta naprzeciwko mnie nie była już dawną, zakompleksioną Wiktoria.

Kochałam mieć moc.

Nucąc pod nosem, wyszłam z domu. Nie miałam celu. Po prostu szłam przed siebie tanecznym krokiem, zachwycona przyszłością, która malowała się przede mną w różowych barwach.

Po kilku minutach dostrzegłam po drugiej stronie ulicy Piotra. Nie spieszyło mu się do domu, skoro zdołałam go przypadkiem dogonić. Zwolniłam i ukryłam się w cieniu kamienic. Nie chciałam z nim rozmawiać. Nie mieliśmy sobie nic więcej do powiedzenia. Właśnie odchodził od kiosku. Zapalił papierosa z kupionej paczki.

To dla mnie kiedyś rzucił palenie. Teraz najwyraźniej było mu wszystko jedno. Zwłaszcza że tak jak ja miał moce diabelskie i Iskrę Bożą. Żadna choroba mu nie zagrażała. Pstryknięciem palców mógł pozbyć się raka płuc.

Hm, a może mogłabym zostać onkologiem? Będę przyjmowała tylko beznadziejne przypadki i leczyła je swoimi zdolnościami? Nie... wtedy Śmierć by się na mnie wkurzyła. Jej lepiej nie wchodzić w drogę bez ważnego powodu. Miała swoje plany wobec wszystkich.

Idąc drugą stroną ulicy, obserwowałam Piotra. Naprawdę zależało mu na naszym związku. Mnie też, ale... miałam wątpliwości, czy dokonałam dobrego

wyboru. A raczej nie potrafiłam się zdecydować. A jak już się zdecydowałam, to cholerny Beleth gdzieś zniknął. Znowu się zasępiłam. Co powinnam teraz zrobić?

Piotrek zaciągnął się papierosem. Wiatr szarpał jego czarnymi, lekko kręconymi włosami. Lubiłam je przeczesywać palcami. Zaśmiałam się ponuro pod nosem. Nie okazywał tego, ale nasze rozstanie przyjął chyba z lekką ulgą. Nie musiał już się obawiać, że jakiś diabeł spróbuje zamordować go z zimną krwią.

Dochodząc do skrzyżowania, sięgnął do kieszeni, żeby wyciągnąć rękawiczkę. Przy okazji zgubił portfel. Sierota...

Rozejrzałam się szybko na boki, czy nic nie jedzie i czy gdzieś nie czai się strażnik miejski. Przebiegłam na ukos przez skrzyżowanie, co, biorąc pod uwagę moje dwunastocentymetrowe obcasy, było pewnie dość widowiskowe. Wskoczyłam na chodnik po drugiej stronie i podniosłam zgubę. Już miałam zawołać Piotra, ale zaskoczona zatrzymałam się w pół kroku.

Na płycie chodnikowej był narysowany duży biały krzyżyk albo iks. Symbol, którym oznacza się na mapie skarb lub cel podróży. Znajdował się dokładnie w miejscu, w którym upadł portfel, a w którym stałam teraz ja.

Piotr zauważył stratę i przystanął, grzebiąc w kieszeni. Odwrócił się do tyłu i widząc mnie, uśmiechnął się zaskoczony.

Coś było nie tak. Poczułam niebezpieczeństwo.

Piotrek ruszył spokojnym krokiem w moją stronę. Gdybym nie podniosła portfela, pewnie szybko by po niego podbiegł. W tym momencie znalazłby się w miejscu iks.

- Stój! - zawołałam. Zaskoczony zatrzymał się.

Na skrzyżowanie wjechała ciężarówka z mrożonkami. Pędziła prosto na mnie.

- WIKI!!! - krzyknął Piotrek i rzucił się w moją stronę.

Nie zdążył.

Znak iksa był dokładnie pode mną.

Zobaczyłam, już tylko światła ciężarówki.

* * * *

Przystojny mężczyzna wyszedł z cienia po drugiej stronie ulicy. Pomimo wczesnej wiosny i chłodu miał na sobie tylko dopasowaną czarną koszulę. Tak czarną, że aż granatowe włosy ułożone w irokeza targał wiatr. Zabłyśły złote tęczówki.

Na jego twarzy malowało się przerażenie. Nie mogąc ruszyć się z miejsca, wpatrywał się w zdarzenia, które rozgrywały się na jego oczach. Ludzie zaczęli biec do rannej. Jakiś przechodzień wezwał pogotowie, a spacerująca opodal kobieta zaczęła głośno lamentować.

Ktoś za jego plecami zaklaskał, wyraźnie rozbawiony.

- To było piękne, mój drogi - powiedział, pojawiając się tuż obok.

Mężczyzna miał włosy zaplecione w warkocz. Czarne, złowrogie spojrzenie przewiercało rozmówcę.

- Ja nie chciałem - wydusił w odpowiedzi pustym głosem. - To znaczy chciałem, ale nie tak miało być. Azazel, naprawdę.

- Zastanawia mnie, co ty, Beleth, masz do tych ciężarówek - podstępny diabeł zdawał się go nie słyszeć. - Już drugi raz używasz tej samej marki mrożonek. Jestem bliski posądzenia cię o kunsztach z tą firmą. Naprawdę cię nie rozumiem. Jest przecież tyle bardziej wyrafinowanych sposobów zadania śmierci.

- Nie żartuj! - warknął rozdrażniony Beleth.

Stali dłuższą chwilę w milczeniu, przyglądając się wypadkowi naprzeciwko. Przystojny diabeł czuł ucisk w gardle i walące mocno serce, co przecież nigdy wcześniej mu się nie zdarzało. Otarł spocone czoło. Działo się z nim coś niedobrego. Skrzywił się z niesmakiem. Przecież nie miał sumienia. Jak więc mógł czuć teraz boleśnie jego obecność?

Po drugiej stronie ulicy zatrzymała się z piskiem opon karetka pogotowia. Ratownicy rzucili się na pomoc, taszcząc nosze i torbę do reanimacji. Czerwona plama na chodniku powiększała się. Niedługo miała dosięgnąć krawężnika.

Sanitariusze niepotrzebnie się spieszyli. Beleth wykonał swoją pracę porządnie. Nie podejrzewał tylko, że we wszystko znowu wmiesza się Wiki.

Jego Wiki.

- Chciałem pozbyć się Piotra - mruknął.

- Domyślam się, że nie chciałeś na zawsze utracić Wiktorii, miłości twojego życia, promienia słońca i co tam jeszcze w takich wypadkach plotą zadurzeni śmiertelnicy - zakpił Azazel. - Mój drogi, ty to naprawdę potrafisz wszystko widowiskowo spieprzyć.

- Bądź cicho! - krzyknął Beleth. - Muszę szybko wymyślić, co mam teraz zrobić.

Ratownicy skierowali nosze w stronę karetki. Spod skrywającego ciało białego prześcieradła wysunęła się blada bezwładna ręka.

- Ja bym raczej doradził ci zastanowienie się, gdzie się ukryć. - Demoniczny kompan cofnął się w cień, by stworzyć tam przejście do Arkadii. - Obaj znamy Wiktorię. Nie spodoba jej się miejsce, w które trafi.

- Stamtąd nie można wrócić - odparł głucho Beleth. - Straciłem ją... Na zawsze...

- Och, daj spokój. Nie doceniasz Wiktorii. - Azazel znowu zaklaskał z uciechy. - Czuję w kościach, że będzie niezła zabawa.

2

Wokół mnie wisiała ciężka mleczna mgła. Okrywała podłogę, sufit oraz ściany. Wszystko wydawało się nieruchome, wręcz nierealne. Gdyby nie twardy grunt, który czułam pod stopami, mogłabym pomyśleć, że latam. Machnęłam ręką, usiłując przepędzić mgłę, ale niczego nie osiągnęłam. Stała się jedynie gęstsza.

Znajdowałam się w miejscu poza czasem. Tutaj przeprowadzano targi o dusze zmarłych. Potrzebny był do tego anioł, diabeł oraz oczywiście denat eskortowany przez Śmierć.

- No bez jaj! - krzyknęłam. - Znowu?!

Nie wiem, kto mi to zrobił, ale się dograł. Nikt nie będzie mnie mordował bez ważnego powodu!

- Chyba tak - skrzeknął za mną nieprzyjemny głos, przypominający skrobanie widelca po talerzu.

Odwróciłam się zrezygnowana do starej przyjaciółki. Brązowy habit unosił się w powietrzu obok mnie. Śmierć nie miała ciała. Dzięki temu mogła niepostrzeżenie podkraść się do swoich ofiar, ekhm... klientów.

- Szybko nastąpiło nasze ponowne spotkanie - zauważyła. Śmierć była kobietą, chociaż starała się to ukryć. Ostatnio znalazłam jej chłopaka, małego putta pracującego w Niebie. Miał ciepłą posadkę w Administracji, przyjaznej odmianie piekielnego Urzędu. Pomagał zmarłym znaleźć się w zaświatach, organizował miejsce zamieszkania, pracę oraz herbatę.

- Co tam u Borysa? - zapytałam.

- Dobrze. Ma dużo pracy, ale to mi nawet pasuje. Ja muszę ogarnąć wszystkie zgony na świecie. Nie mogę poświęcać mu zbyt wiele czasu.

Pracoholiczka.

Westchnęłam ciężko. Nie chciałam znowu przez to wszystko przechodzić.

Zastanawiałam się, kto mnie zabił. Mógł to być Lucyfer albo Gabriel. Obaj chcieli zwerbować mnie do służby pośmiertnej. Zależało im na tym aż za bardzo. Podejrzywałam, że nie z powodu moich kompetencji. Władcy zaświatów po prostu chcieli zrobić sobie na złość. Przede mną rysowała się przyszłość diablicy lub anielicy. Nie sądziłam tylko, że tak szybko nadejdzie.

Ten, który przyspieszył mój koniec, oberwie. Oj, oberwie, i to porządnie. W ciągu krótkiego, ledwie dwudziestoletniego życia, zdążyłam już dwukrotnie umrzeć. Wcale mi się to nie podobało.

- To gdzie ten targ? - zapytałam.

- Nie ma targu. - Śmierć podparła się pod boki. Wydawało mi się, że jest rozbawiona. Do tej pory chodziłam w kółko, rozgarniając stopami mgłę, lecz teraz zatrzymałam się raptownie.

- Jak to nie ma?!

Każdy zmarły zgodnie z protokołem przechodził przez targ. Nie można go było ominąć. To tutaj decydowano, czy dusza trafi do Nieba, czy do Piekła. Diabeł i anioł tak długo wymieniali dobre uczynki i przewinienia zmarłego, aż któryś wygrywał i mógł zabrać denata ze sobą. Dusza musiała mieć eskortę.

- Ano nie ma targu - wyjaśniła Śmierć. - Twój los jest przesądzony. Nie trafisz ani do Piekła, ani do Nieba.

Nie rozumiałam, co do mnie mówiła. Jeśli nie tam, to gdzie?

- Trafisz do Tartaru - dokończyła i przezornie odsunęła się nieco, mimo że i tak nie mogłam jej nic zrobić.

Skoro nie zabił mnie Lucyfer ani Gabriel, to odpowiedź była prosta. Zrobili to Beleth i Azazel. Już sam głupi pomysł z krzyżykiem na ziemi powinien mnie na to naprowadzić.

Zatłukę...

- Jak to do Tartaru?! - wybuchnęłam. - Przecież musi być targ o duszę. Nawet wtedy, kiedy zmarły jest kierowany do Podziemi!

- Nie musi, jeśli ktoś da w łapę - wyjaśniła. No tak, zapomniałam.

- Zaraz, ale komu trzeba dać w łapę? - zamyśliłam się. - Aniołowi i diabłu?

Może uda się dotrzeć do przekupionej strony i zapłacić za siebie albo kogoś zastraszyć? Jestem w takim nastroju, że spokojnie podejmę się zastraszania. Umieranie nie jest niczym przyjemnym.

Śmierć pogwizdywała wesoło.

- Ja tam nic nie wiem - stwierdziła i zaczęła grzebać w przepastnych kieszeniach habitu.

Byłam zdruzgotana. Czemu to mnie się zawsze przydarza? Czy nieśmiertelni nie mogą sobie znaleźć innej zabawki? Mnie ta rola już zmęczyła.

Zerknęłam na Śmierć nadal grzebiącą po kieszeniach. Dobrze chociaż, że nie miała za sobą okrwawionego topora, którym rozprawiała się z opornymi klientami.

Czy ostatnią osobą, która bezprawnie trafiła do Tartaru, bo ktoś przekupił władze, nie był przypadkiem Hitler? - przypomniałam sobie.

Moja niska towarzyszka rzuciła przed nas mały przedmiot. Miniaturowa czarna dziura zaczęła się powiększać. Nie zobaczyłam w niej jednak gwiazd i konstelacji obecnych w prywatnych apartamentach Śmierci, ale czerń i pustkę. Wydało mi się, że usłyszałam chlupot wody. Zaciekawiona przysunęłam się bliżej. Takiego przejścia jeszcze nie widziałam. Co było po drugiej stronie? Woda szemrała zachęcająco, jednak nic nie było widać. Podeszłam jeszcze bliżej, żeby zerknąć do środka.

- Tak, tak. Hitler. Strasznie się wtedy rzucał. Nie mógł pogodzić się ze śmiercią - mruknęła znudzona i pchnęła mnie mocno między łopatki. - Pozdrów go ode mnie.

Zamachałam bezradnie rękami, pochylona niebezpiecznie nad czarną dziurą. Ciekawość jak zwykle nie wyszła mi na dobre.

Zostałam zassana przez przejście. Odprowadził mnie złośliwy rehot Śmierci.

3

Przekoziołkowałam kilka razy w kompletnej pustce. Krzyknęłam, ale ciemność pochłonęła mój głos. Zniknął. Czułam, że ja też znikam. Szybuję w czerni, powoli stając się jej częścią. Czy tak wygląda Tartar? Przez wieczność będę spadać w dół?! Nie chcę! Boję się!

- Pomocy!!! - krzyknęłam.

Nagle zobaczyłam światło i trzasnęłam pośladkami o ziemię. Siła, z jaką to zrobiłam, zdusiła mój krzyk. Cudem nie odgryzłam sobie języka. Moja prośba została wysłuchana szybciej, niż się tego spodziewałam.

- Uch - jęknęłam z bólu i uklękłam, masując pośladki. Będę miała zamiast nich jeden wielki siniak. Pstryknęłam palcami, naprawiając złamany nie wiadomo kiedy obcas.

Gdzie ja jestem? Podniosłam wzrok do góry.

Nade mną pochylał się stary, porośnięty mchem, brudny szkielet, na którym wisiał czarny habit. Na czaszce ktoś położył zawadiacko przekrzywiony, skórzany, bardzo zniszczony kapelusz z szerokim rondem. Kościotrup lekko zalatywał zgniłą rybą. O...

- Witaj - szkielet szczęknął zuchwą z głośnym klekotem. Wrzasnęłam przestraszona i szybko się odczołgałam. Plecami wyczułam chropowatą ścianę.

Zdałam sobie sprawę, że znajduję się w olbrzymiej jaskini, której sufit nikał w mroku gdzieś wysoko nad moją głową. Wszędzie zwieszały się grube, oślizgłe stalaktyty. Niżej narastały błyszczące stalagmity, upodabniając dno pieczary do powierzchni obcej planety. Szum, który wcześniej słyszałam, wydawała szeroka rzeka, wolno płynąca w ciemność. Niedaleko mnie kołysała się zacumowana na płyciźnie łódka. Jej dziób wyrzeźbiony był na kształt wygiętej głowy węża morskiego.

Szkielet westchnął zirytowany i wyprostował się. Wróciłam do niego spojrzeniem rozbieganych ze strachu oczu. Zauważyłam, że trzymał w kościstych palcach długi kij służący do odpychania łódki od dna rzeki.

- Kim jesteś? - wydusiłam przez ściśnięte gardło.

Tego już było za wiele. Najpierw spadałam w ciemność, a przecież mam lęk wysokości, a teraz gadał do mnie szkielet! To nie na moje zszargane nerwy!

Znowu westchnął. Grzechocząc kośćmi, podszedł do mnie. Zafascynowana zagapiłam się na jego stawy. Nie trzymały ich mięśnie ani ścięgna. Jakim cudem się nie rozsypywał?

To magia.

- Jestem Charon - przedstawił się uprzejmie. - Pomagam duszom przepłynąć Styks.

- Co proszę? - Nagle z Biblii przeskoczyłam do mitologii greckiej?

- Jestem przewoźnikiem, który pomaga dostać się po śmierci na drugą stronę. Do Tartaru - tłumaczył cierpliwie.

Najwyraźniej był przyzwyczajony do gradu pytań, którymi zarzucali go nowi przybysze.

- Rozumiem - kiwnęłam głową.

Jeszcze raz rozejrzałam się po mrocznej pieczarze. Znajdowałam się w przedsionku najgorszego z istniejących miejsc. Zaświatów, które były zamieszkane przez tak złe i zdeprawowane dusze, że nie miały tu wstępu aniły, a nawet diabły. A ja miałam właśnie tam trafić, bo ktoś postanowił mnie zlikwidować. Usunąć z drogi jak przeszkodę. Tylko komu ja znowu zawadzałam?

- Jak tam jest? - zapytałam.

Charon wyciągnął w moją stronę dłoń, żeby pomóc mi wstać. Spojrzałam z obrzydzeniem na oblepione błotem, glonami i mchem kości jego paliczków. Nie miałam wyboru. Raczej nie powinnam go obrażać.

Oślizgłe kości mocno zacisnęły się na mojej ręce i szarpnęły do góry.

- Dziękuję - powiedziałam, szybko zabierając dłoń. Musiałam wytrzeć ją o płaszcz. Cała była w szlamie.

- Nie wiem, jak tam jest. - Pomiędzy jego szczerbatymi zębami zagwizdał wiatr. - Nigdy tam nie byłem. Jestem tylko przewoźnikiem. Jednak skoro tam trafiasz, tam jest należne ci miejsce.

Wątpiłam, czy mi się ono spodoba. Chyba nie byłam wystarczająco zła.

- Zapraszam do łódki.

Posłusznie ruszyłam za nim, gorączkowo zastanawiając się, jak się z tego wykaraskać. Na pewno zdołam wrócić na Ziemię. Dwukrotnie już mi się to udało. Może nie zaszkodzi mi Tartar, skoro odwiedziłam już Piekło i Niebo, nie doznając tam większego uszczerbku?

Podbudowana tą myślą stanęłam przy brzegu. Charon zatrzymał się obok. Nic nie mówił, więc sięgnęłam do burty, chcąc ją złapać i przytrzymać przy wsiadaniu.

- Ekhm - odchrząknął znacząco. To znaczy podejrzewam, że odchrząknął. Usłyszałam tylko grzechot zębów.

- Tak? - zapytałam.

- Opłata - odparł zakłopotany.

Dopiero teraz zauważyłam, że obok zacumowanej przy brzegu łódki na wysokim pału zamontowany był kasownik wyglądający zupełnie tak, jak te w warszawskich autobusach, tyle że pomalowany na czarno. Zapewne dla większego efektu.

- Okej, a ile się należy? - zapytałam. - Złoty osiemdziesiąt wystarczy?

Tyle kosztuje ulgowy w Warszawie, o ile znowu bilety nie podrożały.

- Jeden obol - sprostował i widząc moją nic nierozumiejącą minę, dodał: - Nie rozumiesz? Sprawdź pod językiem, może tam wpadł. Podczas pogrzebu rodzina powinna włożyć ci do ust jednego obola, dla przewoźnika.

Zdegustowana spojrzałam na kościstego Charona. Chyba tylko on potrafił zgubić coś we własnej jamie ustnej...

- Nie było mojego pogrzebu - mruknęłam.

- Na pewno miałaś - zapewnił mnie. - Inaczej byś tu nie trafiła.

Dreszcz przebiegł mi po plecach. Charon miał rację. Uderzyła we mnie ciężarówka z mrożonkami. Znaczyło to, że moje ciało zostało, najdelikatniej mówiąc, „rozplackowane” na chodniku na oczach Piotrka. Marek, mój brat, na pewno dowiedział się o mojej śmierci i już szykuje pogrzeb. O nie! To musiało być dla niego straszne. Ja się do umierania przyzwyczyłam, ale dzięki temu, że cofnęłam się w czasie on nigdy nie dowiedział się, że już raz umarłam.

Wyobraziłam sobie swoje ciało na chromowanym stole służącym do przeprowadzania sekcji. Nagie i bezbronne.

Przypomniało mi się, że zostałam potrącona. No cóż... Przynajmniej nikt nie gapi się na moje piersi, bo pewnie jestem w kawałkach i ich już nie mam. Co za ulga...

Co ja mam teraz zrobić, żeby oszukać śmierć? Czy mogę cofnąć się w czasie za pomocą klucza diabła? Dotknęłam go przez materiał bluzki. Potrzebna mi była tylko ściana. - Poczekasz chwilkę? - poprosiłam Charona.

- Nigdzie mi się nie spieszy. - Zagrzechotał ramionami i oparł się o kasownik.

Podbiegłam do ściany, z którą się przed chwilą zderzyłam. Zdjęłam z szyi klucz i zważyłam go w dłoni. Z tego, co zapamiętałam, by cofnąć się w czasie, musiałam „wejść tyłem” w przejście. Tylko o czym powinnam myśleć, kiedy będę je tworzyć? Wiem, wyobrażę sobie chwilę przed wypadkiem!

Zanim wsunęłam klucz w ścianę, zatrzymałam się. Nie, to bez sensu. Wtedy cofnę się i stracę pamięć. Nic nie wiedząc, znowu stanę na krzyżyku i zostanę zabita. Wszystko się powtórzy.

Obróciłam w palcach klucz z wężem owiniętym dookoła trzonka. To była kopia klucza Beletha. Mój miał Piotr. Zostawiłam mu. Przejście Beletha znacznie bardziej mi się podobało. Poza tym kluczyk należący do diabła stanowił dla mnie pamiątkę. Jeszcze raz przyjrzałam się gadowi pokrytemu misternie wyrzeźbioną łuską.

A może chociaż spróbuję przenieść się do Piekła i pogadać z Lucyferem? Albo nie! Lepiej pójdę do Nieba i poproszę Archanioła Gabriela o interwencję w mojej sprawie. On na pewno mi pomoże. Zadowolona z własnego pomysłu wyciągnęłam rękę w stronę kamiennej ściany.

Kluczyk stuknął głucho o kamień.

Co jest?!

Nie wchodził jak w masło albo świeżo rozrobione ciasto. Powinien łatwo się wsunąć i stworzyć drzwi. Uderzyłam nim jeszcze kilka razy, aż wyszczerbił się z jednej strony.

Zamarłam.

Nad Styksem klucz nie działał. To już po mnie...

- Idziesz? - zapytał Charon.

Odwrociłam się do niego z posępną miną i powoli ruszyłam.

- Co robiłaś? - zapytał autentycznie zadowolony. - Modliłaś się?

- Nie...

- A przydałoby ci się. - Pokiwał głową, jakby sam się w tym utwierdzał.

Chyba znał Tartar lepiej, niż się do tego przyznawał. Ścisnęło mnie się ze strachu w żołądku. To znaczy, że tam jest aż tak źle?

- Dasz mi obola? - poprosił.

Stworzyłam w dłoni srebrną monetę, której daleko było do regularnych i zgrabnych krążków produkowanych przez ziemskie mennice.

Całe szczęście, że przynajmniej moje moce tutaj działały.

Charon przyjął zapłatę i schował obola do przepastnej kieszeni, po czym podał mi bilet. Mały kartonik miał nadruk „Zakład Transportu Podziemnego Styks. Cena 1 obol”.

- Musisz go skasować - poinstruował mnie, a sam zaczął wsiadać do łódki.

Podeszłam do czarnego kasownika i wsunęłam bilet. Kasownik zaterkotał jak moja wiekowa drukarka i wypluł tekturkę. Widniała na niej data i godzina. Najbardziej zainteresowała mnie godzina.

Była 8.08.

Chciałam usiąść obok Charona w łódce, ale powstrzymał mnie gestem.

- Bilet do kontroli. - Wyciągnął w moją stronę dłoń. Oślizgłe paliczki odbijały światło niewiadomego pochodzenia.

Niechętnie podałam mu tekturkę. Wziął ją pomiędzy spiczaste palce i zbliżył do głowy. Nie miał oczu. Nie wiem, co mogły zobaczyć ciemne otwory w jego czaszce. Nagle rozbłysło w nich czerwone światełko, które przesunęło się po bilecie niczym czytnik kodów kreskowych w sklepie.

Charon przerażał mnie bardziej niż Śmierć. Mimo że obydwójce najwyraźniej zaopatrywali się w ubrania w tym samym butik.

- Nie znasz przypadkiem Śmierci? - zagadnęłam.

- To moja siostra - odparł.

Współczuję rodzicom...

- Wsiadaj. - Kiwnął na mnie i zajął miejsce przy sterze. Podał mi kij służący do odpychania tej łupiny od dna. Posłałam mu zdziwione spojrzenie.

- Ty wiosłujesz, ja steruję - wyjaśnił.

- Co?

- Taki zwyczaj.

- I za samoobsługę każesz mi płacić obola? - wkurzyłam się.

- Zapewniam łódkę i służę za przewodnika. To chyba dobry układ.

Powstrzymując przekleństwo cisnące się na usta, wstałam i odepchnęłam łódkę od brzegu. Rzeka nie była wzburzona, mimo to łajbą mocno zarzuciło.

- Ostrożnie! - zganiał mnie Charon. - Trzymaj kij równo! Nie pochylaj się! Szybko przenieś go na drugą stronę! Uważaj!

To będzie dłuuga podróż...

4

Ciemna pieczara otaczająca Styks nie zmieniała się podczas naszej podróży. Krajobraz wciąż był taki sam. Ściana. Kolejna ściana. O! O! A to jest! A to...! Jeszcze jedna ściana...

Po dłuższej pełnej narzekań Charona chwili nauczyłam się sterować łódką w taki sposób, żebyśmy nie wpadli do rzeki. Nie wiem, co by się wówczas stało. Ja nie pływałam zbyt dobrze, a mój przewoźnik też nie wyglądał na wodoszczelnego.

Z tego, co pamiętałam z mitologii, Styks miał magiczne właściwości. Matka Achillesa zanurzyła chłopca w wodach rzeki, trzymając go za piętę, by nabrał siły bogów i jako okaz siły mordował wrogie nacje.

Wiedziałam, że to bujda. Kleopatra kiedyś wspominała, że Achilles był nieślubnym synem przystojnego Beletha i jakiejś śmiertelniczki. Jako nefilim, czyli półanioł, odznaczał się dużym wzrostem, siłą i wyjątkowo małym mózgiem.

Wypisz wymaluj Beleth, który najwyraźniej wpakował mnie w te kłopoty...

Chociaż wiedziałam, że mit naginał odrobinę rzeczywistość, pożałowałam, że nie mam pod ręką żadnego bachorka. Ja bym go zamoczyła, trzymając za mały palec u stopy. Nie można chyba umrzeć od urazu palca. Za włosy lepiej nie trzymać. Samson już się na tym przejechał, jak Dalila go ostrzygła.

Chcąc przerwać monotonię podróży, postanowiłam porozmawiać z Charonem. Kiedy siłowałam się z kijem, siedział sobie wygodnie obok steru i niedbale opierał się łokciem.

- Śmierć nigdy nie mówiła mi, że ma brata - zagadnęłam.

- Ja też się nie chwale, że jesteśmy rodzeństwem - odparł.

- Dlaczego?

- Dziwna jest. - Bark zagrzechotał donośnie, gdy przewoźnik zmienił pozycję. - W ogóle nie urosła.

Faktycznie, przy dwumetrowym Charonie wzrost Śmierci mógł nieco razić.

- Poza tym widziałaś ten jej topór? - prychnął z niesmakiem. - Dostała od mamusi i tatusia porządną kosę, ale nie, znudziła jej się po kilku tysiącletniach, więc obnosi się z tym barachłem. Za nic ma tradycję. Powiedziałbym jej do słuchu, gdybym tylko ją spotkał. Ja szanuję tradycję. Czy kiedykolwiek wymieniałem łódkę na ładniejszą? Nie. Bo prezentów się nie wyrzuca.

Z niepokojem zerknęłam pod stopy. Czy on mi właśnie powiedział, że drewno, na którym stałam, nigdy nie było wymieniane ani naprawiane? Od tysiący, a nawet milionów lat?

Zaczęłam gwałtownie oddychać.

- Śmierć to ignorantka. - Kości głośno szcęknęły, kiedy zdenerwowany podparł się pod boki. - Poza tym nigdy nie ostrzega zmarłych, że mnie spotkają, jak trafią do Tartaru. Specjalnie! Żebym ciągle musiał wszystkim tłumaczyć, kim jestem.

Doszłam do wniosku, że nie wspomnę mu o tym, że ostatnio znalazła sobie chłopaka. Mój przewodnik był chyba dość konserwatywny.

Nagle gdzieś w mroku jaskini odezwał się głośny ryk. Ściany zatrzęsły się, a z sufitu nad naszymi głowami zaczęły spadać kamyczki. Na wodzie rozniosły się wibracje.

- Co to jest? - krzyknęłam.

Otaczał nas taki jazgot, że Charon ledwie mnie usłyszał.

- To Cerber! - odpowiedział. - Nie przejmuj się! Gdy płynę łodzią, jest uwiązany. Spuszczam go ze smyczy, kiedy nie mam nic do roboty!

Nigdzie nie było widać trójgłowego pieska. Jego donośne szczekanie sugerowało jednak, że, po pierwsze, znajdował się blisko, a po drugie, był duży.

Dużo za duży...

- Jest rozwścieczony, bo go nie karmię - wyjaśnił mój przewodnik.

Odepchnęłam z wysiłkiem łódź. Wydawało mi się to coraz trudniejsze. Zupełnie jakby coś trzymało kij, nie pozwalając mi go wyjąć z wody.

- Pilnuje żeby z Tartaru nie uciekały dusze. Jak jest głodny, robi to lepiej. No i zawsze może zjeść jakąś zbłąkaną duszyczkę, która chce uciec.

Przełknęłam ślinę. Chyba nie będzie mi łatwo się stąd wydostać. Szarpnęłam kij, ale utknął.

- Co jest? - warknęłam.

- Och, przepraszam. - Charon zerwał się z miejsca. - Zupełnie zapomniałem o topielcach.

Odsunęłam się od kija. Przewodnik pochylił się nad burtą i pogroził palcem czemuś znajdującemu się pod wodą. Zerknęłam ponad jego ramieniem. Pod powierzchnią wody były twarze. Zniekształcone oblicza pozbawione oczu wyglądały niczym ryby głębinowe.

- Co to jest? - Odskokrzyłam przestraszona, gdy jedna z twarzy uśmiechnęła się do mnie, ukazując trójkątne, ostre zęby, pomiędzy którymi wisały strzępy mięsa.

- To moi pomocnicy. Oni także pilnują, żeby nikt nie uciekł. - Usadowił się z powrotem na ławeczce przy sterze. - Widzę, że kogoś już dzisiaj złapali.

Miał rację. Woda dookoła naszej łódki zabarwiona była krwią.

- Naiwni ci Tartaryjczycy. Sądzą, że uda im się przemknąć. Topielce myślały, że też jesteśmy jakąś zbłąkaną duszą, dlatego zaczęły nam utrudniać podróż - wyjaśnił. - Teraz już możesz spokojnie wiosłować. Nie będą sprawiały kłopotów.

Kij rzeczywiście bez żadnego oporu odpychał nas od dna.

- Czy na uciekających czekają jeszcze jakieś niespodzianki? - zapytałam.

- Mnóstwo - zuchwa Charona szczęknęła głośno. - Ale nie mogę ci o nich opowiedzieć. Mogę zdradzić tylko tyle, że są tak straszne, że do tej pory nikomu nigdy nie udało się uciec.

Zawiedziona znów odepchnęłam łódkę. Czy to znaczyło, że zostanę w Tartarze na zawsze? Nie, to nie może się tak skończyć!

Jeszcze raz przeanalizowałam opowieść Charona. Przecież duszy nie można zniszczyć bez gorejącego miecza.

- Jakim cudem topielce mogą pożreć duszę? - zapytałam. - Przecież jest nieśmiertelna.

- Prawda. Po zjedzeniu przez topielce tartaryjskie dusze odradzają się na brzegu Styksu, tuż przy bramie do Podziemi. Wcześniej jednak solidnie się męczą, czując, gdy ich ciało jest oddzierane od kości i rozszarpywane na strzępy. Szczęśliwcami mogą nazwać się ci, którzy wcześniej zemdleją z bólu.

Pocieszyło mnie, że przynajmniej dostanie się w łapy lub między zęby strażników rzeki nie oznaczało całkowitego zniknięcia.

Nagle łódka przyspieszyła. Uderzyłam pupą o ławeczkę. Bezżyteczny już kij wychylił się z wody. Płynęliśmy teraz z prądem.

- Zaraz będziemy na miejscu - poinformował mnie Charon.

Otoczenie zaczęło się zmieniać. Chropowate ściany jaskini wygładziły się, stopniowo przechodząc w wapienne bloki ułożone w równy mur otaczający Styks. Światło nieposiadające swojego źródła pojaśniało, wydobywając nieliczne szczegóły. Zauważyłam, że dno pod czystym nurtem pokrywały drobne kamienie i wodorosty. Upiorne twarze topielców zostały w górze rzeki, gdzie była węższa i znacznie głębsza. Strop dobrze widziałam. Gładki, odrobinę wygięty. Zupełnie jakby nad naszymi głowami znajdowała się olbrzymia kopuła.

Zaczęliśmy zwalniać. Moim oczom ukazał się piaszczysty brzeg z małą przystanią. Na wytartych deskach czekał jakiś człowiek ubrany w szary mundur. Na jego piersi błyszczał rząd orderów.

- On ci powie, co dalej - poinformował mnie Charon.

Wyjął z moich zdrtwiałych dłoni kij i sprawnie wprowadził nas do małej zatoczki. Odczułam niepokój. Bałam się Tartaru. Bałam się jak nigdy wcześniej.

Zacumowaliśmy.

Żołnierz posłał mi pełne pogardy spojrzenie, gdy zauważył, jaką mam minę, a wtedy jak na zawołanie dostałam ataku furii. Odrąciłam podaną mi przez mężczyznę dłoń i samodzielnie wyszłam na brzeg. Nie dość, że ktoś mnie tu władował specjalnie, to jeszcze jestem traktowana jak ktoś gorszy. Już ja im wszystkim pokażę!

A potem wydostanę się z tych cholernych Podziemi!

- Żegnaj. - Charon odepchnął łódkę od brzegu.

- Żegnaj... - odpowiedziałam.

Po chwili jego sylwetka zniknęła za zakrętem Styksu. Zostałam sama z żołnierzem w pustej kamiennej sali, z której można się było wydostać tylko

przez niewielkie metalowe drzwi umieszczone za plecami mężczyzny. Odchrząknął, żeby zwrócić na siebie moją uwagę, i z miną służbisty wyciągnął jakiś świstek z kieszeni. Spojrzał na tekst zapisany drobnym pismem, potem na mnie i znowu na tekst.

- Coś nie tak? - prychnęłam, dumnie wysuwając brodę do przodu.

- Pan... - Znowu odchrząknął i zerknął na mnie niespokojnie.

- Pan? - ciągnęłam go za język.

Żołnierz schował kartkę do kieszeni i stuknął obcasami.

- Najwyraźniej zaszła jakaś pomyłka - wyjaśnił szorstko. - Zaprowadzę teraz panią na spotkanie z komisją.

- Pannę - warknęłam. - Jakieś zasady savoir-vivre'u powinny obowiązywać nawet mundurowych.

Powątpiewająco zerknęłam na jego ordery. Wyglądały tandetnie.

- Prawdziwe? - Wskazałam na nie palcem. - Czy ze sreberka od czekolady?

Speszył się i zaczerwienił. Jego wodniste oczy rozbłysły gniewem. Chyba nie był przyzwyczajony do takich sytuacji. A raczej nie przywykł do spotykania mnie. I to nieprawda, że od razu wszędzie robię sobie wrogów. Tylko czasami mi się to zdarza. Przejmować się zacznę dopiero wtedy, kiedy stanie się to notoryczne.

- Proszę za mną... - wycedził.

- Najpierw powiedz mi gdzie. - Założyłam ręce i zerknęłam na rzekę.

Wiedziałam już, jak pokonać topielce. Wystarczy, że stworzę sobie skrzydła. Problemem był jeszcze Cerber i inne stworzenia skryte w mroku. Tylko co się stanie, gdy pokonam rzekę? Z pieczary, do której spadłam, i tak nie mogłam wyjść za pomocą klucza. Może powinnam skierować się dalej w górę rzeki? Może to nie był ślepy zaułek? Może tam czekała wolność?

- Zaprowadzę pana - znowu odchrząknął - panią przed komisję, która dalej pokieruje pana, ekhm, pani losem.

- O co chodzi z tym panem?

Wyjął zmiętą kartkę z kieszeni i jeszcze raz przebiegł wzrokiem tekst.

- Zostałem poinformowany, że będę eskortować niejakiego pana Piotra Mieczkowskiego.

Nie zdziwiło mnie to. To nie był zamach na mnie tylko na Piotrusia. Po co moje diabły miały zabijać mnie, skoro mogły uśmiercić jego? Jak dostanę kiedyś Beletha w swoje ręce, to powiem mu, co o nim myślę...

Spojrzałam zrezygnowana na żołnierza, który zbyt poważnie traktował swoje obowiązki i stukanie obcasami.

Szkoda, że nie zdążyłam powiedzieć Belethowi, że już nie jestem z Piotrkim...

5

Przez nabijane długimi gwoździami drzwi wyszliśmy na ulicę. Zerknęłam na idącego za moimi plecami żołnierza. Czułam się nieswojo, mając go poza zasięgiem wzroku. Spozstrzegł to i kazał mi iść przed sobą.

- Co, chcesz pogapić się na mój tyłek? - zakpiłam, ale nie zareagował.

Podejrzanie dobrze wyszkolony. Niczym demony należące do Szatana.

Rozejrzałam się dookoła, chcąc przyjrzeć się dokładnie miejscu, do którego trafiłam. Tartar był... szary.

Wolnym krokiem bezimienny żołnierz prowadził mnie szarymi ulicami z szarymi chodnikami. Wszędzie stały szare kilkupiętrowe kamienice pozbawione ozdobnych gzymsów czy balkonów. W żadnym oknie nie było kwiatów ani zwiewnych firanek.

Minęło nas kilku przechodniów. Każdy gdzieś się spieszył. Wszyscy byli ubrani na szaro.

Przeraźliwie chudy mężczyzna, który wydawał się mieć na sobie tylko szary płaszcz, minął nas z obłąkańczym śmiechem.

Po plecach przebiegł mi dreszcz niepokoju. Beztrosko zapomniałam, jacy ludzie przebywali w Tartarze. Trafiali do niego najgroźniejsi oprawcy i szaleńcy, jacy kiedykolwiek stąpali po Ziemi. Pozbawieni sumienia, dobroci i poczucia winy. Nic, co zrobili za swego życia, nie napawało ich odrazą. Bezimienni mordercy, sławni ludobójcy. Wszyscy byli w Tartarze, skazani na pozbawioną zmysłów wieczność w swoim towarzystwie.

Może drażnienie żołnierza, jednego z nich, nie było dobrym pomysłem.

Odwróciłam się przez ramię i zerknęłam w jego wyprane z emocji blade oczy. Z jakiegoś powodu tu trafił. Na pewno nie był normalny.

Co ja tu robię?

Zatrzymał mnie przed jedynym w okolicy szarym domem, którego gzymsy ozdobione były rzeźbami. W równym rzędzie stały popiersia najslawniejszych morderców. Znałam tylko niektóre twarze. I jako jedyny budynek w okolicy miał numer przybity do elewacji obok drzwi. Widniała na nim duża ósemka.

- Dalej - przynaglił mnie żołnierz.

Weszłam po ośmiu schodkach na niewielkie podwyższenie. Przed dużymi drzwiami stało dwóch strażników ubranych w szare togi i tak samo szare napierśniki z wytłoczoną literą „N”. Nie zwrócili na nas najmniejszej uwagi. Nie oczekiwałam, że eskortujący mnie żołnierz otworzy przede mną drzwi. Pchnęłam je.

Za nimi rozciągał się spory przedsionek wyłożony szarymi kafelkami. Ściany były, a jakże, szare. Znajdujące się w głębi kamienne schody prowadziły na pierwsze piętro.

Mój niemy przewodnik wreszcie zdecydował się iść przodem. Minał mnie w milczeniu i ruszył, stukając obcasami po wąskich schodkach. Stał przy drewnianych drzwiach, które i tak jakimś cudem były szare. Do nich przybito dużą mosięzną ósemkę. Przypomniały mi się pozostałe zaświaty. Każde z nich miało swoją ulubioną cyfrę, którą z radością umieszczało wszędzie, gdzie się tylko dało.

- Lubicie ósemki? - zapytałam uprzejmie.

- Teraz wejdzie pani do środka po dalsze instrukcje - żołnierz zignorował moje pytanie i głośno stuknął cholewkami.

Czekałam, aż zaszalutuje, ale tego nie zrobił.

- Taaa - mruknęłam i nacisnęłam klamkę.

Pokój w którym się znalazłam, był niewielki. Miał rozmiary zwykłego salonu w bloku z lat osiemdziesiątych. Szare ściany, wyblakły dywan i trzy drewniane stare biurka nie zrobiły na mnie wrażenia. Pomieszczeń w Tartarze nie cechował przepych i bogactwo, z którego słynęło Piekło i Niebo. W ogóle nie było na co popatrzeć. Twarzy mężczyzn siedzących naprzeciwko początkowo nie widziałam. Okna znajdujące się za ich plecami skutecznie mnie oślepiały. Zamrugałam kilka razy, ale to nic nie dało. Któryś z nich zachichotał złośliwie. Wytrącona z równowagi pstryknęłam palcami. Za nimi pojawiły się półprzezroczyste zasłony, które odrobinę zacieniły pomieszczenie. Nie skryły jednak ich twarzy.

Miałam przed sobą niskiego gościa z chaplinowskim wąsikiem ubranego w niemiecki mundur, eleganckiego dżentelmena popijającego herbatę z małej filiżanki i jakiegoś tęższego jegomościa z kręconymi włosami, ubranego w togę.

Gdybym się nie domyśliła po wyglądzie, przed każdym z nich była tabliczka.

Hitler, Kuba Rozpruwacz i Neron.

Wesoła kompania Podziemi.

Adolf wpatrywał się we mnie oniemiały. Za to angielski dżentelmen, seryjny morderca londyńskich prostytutek, którego tożsamość do dziś owiewała tajemnica, przyglądał mi się spokojnie.

- Kim jesteś? - jedynie Neron, cesarz rzymski zmarły śmiercią samobójczą, znany z okrucieństwa i z rzekomego spalenia Rzymu dla własnej rozrywki, zdobył się na wydobycie głosu.

Przyjrzałam im się dokładnie. Oni nie byli bezbarwni jak zwykli mieszkańcy Tartaru. Pomijając Hitlera, którego mundur także był szary, mieli na sobie kolorowe ubrania. Trzeba jednak przyznać, że nawet Adolf zawiązał sobie na szyi czerwoną apaszkę.

Hm, zupełnie jakby kolorowe ubrania były w tym świecie jakimś wyróżnieniem.

- Wiktoria Biankowska, była diabllica, niedoszła anielica - przedstawiłam się grzecznie.

- Nic nie rozumiem. - Cesarz rzymski przerzucał dokumenty na biurku. - Miał się stawić dzisiaj jakiś Piotr, Piotr..., Piotr..., o mam! Piotr Mieczkowski.

- Zaszła pewna pomyłka... - zaczęłam, myśląc, że może uda mi się jeszcze wywinąć tanim kosztem. - Sami widzicie, że to nie mój czas nadszedł. Ktoś tam na górze się pomylił. Bardzo więc proszę o odesłanie mnie z powrotem, a ja wszystko wyjaśnię i będzie po sprawie. - Klasnęłam w dłonie. - To gdzie mam iść? Tamten żołnierz mnie odprowadzi?

Żaden z mężczyzn nie zareagował. Wpatrywali się we mnie w milczeniu. Kuba Rozpruwacz popijał herbatę.

- Ja cię znam - lekko piskliwym głosem powiedział Hitler. Zdziwiło mnie to. Ja go nie znałam. Przysięgam. Pierwszy raz na żywo widziałam tę brzydką twarz z zaczesaną na bok nabłyszczoną grzywką. Gdyby był mieszkańcem Piekła, to pewnie poznałabym go na jakimś przyjęciu, ale nie musiałam na szczęście doświadczyć tej nieprzyjemności.

- Tak? - zdziwiłam się.

- To ta dziewczyna, która prawie doprowadziła do zniszczenia Rosji. W ostatnim momencie anioły wszystko powstrzymały. W przeciwnym razie doprowadziłyby do apokalipsy!

Skrzywiłam się. Dlaczego moja sława zawsze musi mnie wyprzedzać? Ja naprawdę zrobiłam to wtedy przypadkiem. Skąd miałam wiedzieć, że Azazel wpadnie na pomysł wysadzenia wrogich diabłów w powietrze za pomocą bomby atomowej? Staralam się to wszystko tylko powstrzymać.

Inna sprawa, że trochę mi nie wyszło...

- Tak, to ja. - Uśmiechnęłam się szeroko. - To co z tym powrotem na Ziemię, do Nieba czy do Piekła? Jest mi właściwie wszystko jedno, bo dam radę sama się przetransportować w odpowiednie miejsce. Wy tylko musicie mnie stąd wypuścić.

Zgromadzeni mężczyźni wydawali się w ogóle nie słyszeć tego, co mówię podekscytowani tym, że jakimś czarodziejskim trafem zostałam skierowana do Tartaru. W pewnej chwili dosłyszałam nawet wyszeptaną uwagę, że spadłam im z nieba.

Kuba Rozpruwacz odwrócił się do mnie.

- O tej Rosji to lepiej nie wspominaj Wołodi, jak go spotkasz. Może być nieco zawiedziony twoją postawą.

- Wołodia? - zdziwiłam się.

- Włodzimierz Iljicz Uljanow.

Wciąż miałam na twarzy to samo pytające spojrzenie.

- Lenin... - Kuba wyglądał, jakbym go srodze zawiodła.

Odwrócili się ode mnie i zaczęli szeptać między sobą. Neron i Hitler co chwilę zerkali na mnie, szeroko się uśmiechając. Jedyne Kuba Rozpruwacz przyglądał mi się z dystansem. Wydawało mi się, że usiłował ostudzić zapędy kompanów.

Znudziło mi się czekanie.

- Halo! Ja tu stoję - odezwałam się. - Moglibyście łaskawie mówić na głos w mojej obecności albo chociaż udawać, że mnie zauważacie?

Angielski dżentelmen uśmiechnął się lekko i upił łyk herbaty z filiżanki.

- To wszystko dlatego, że jesteś tu niecodziennym gościem, moja droga - wyjaśnił. - Zwykle widzujemy tu szaleńców.

- Albo morderców - odpowiedziałam grzecznie. Wszystko się we mnie gotowało. Miałam ochotę rozszarpać ich na strzępy, a potem wydostać się, choćbym musiała przebijać się gołymi rękami przez ściany.

I gdzie się podziała ta miła, grzeczna dziewczynka?

A prawda, umarła. Znowu...

- Albo morderców - przytaknął Kuba Rozpruwacz i zmrużył oczy, przewiercając mnie spojrzeniem. - Mam wrażenie, że nie całkiem zdajesz sobie sprawę, gdzie trafiłaś.

- To Tartar, miejsce tak straszne, że nie mają tu wstępu nawet anioły i diabły - odparowałam. - Za to wszelkiej maści mordercy, gwałciciele i szaleńcy są tu mile widziani. Każdy, kto nie żałuje, kto nie ma sumienia, musi tu trafić. Żadne zaświaty nie chcą takich wyrzutków jak wy.

Hitler zaśmiał się krótko.

- Takich jak my - poprawił mnie. - Ty też nie trafiłaś tu bez powodu.

- Mylicie się. Ja trafiłam tu przez pomyłkę i nie zamierzam zostać z wami długo, choćbyście nie wiem jak byli uroczy - warknęłam. - Powiedzcie mi, jak mam się stąd wydostać.

Mężczyźni siedzieli w milczeniu.

- Dlaczego się nie odzywacie?! - krzyknęłam rozzłoszczona.

- Dlatego że nie mamy ci co odpowiedzieć - oświecił mnie Neron. - Z Tartaru nie można się wydostać. Jeśli już tu trafiłaś, to zostaniesz na zawsze.

- To niemożliwe - zaprzeczyłam. - Z Niższej Arkadii zdołałam się wydostać.

- Daleko nam do Piekła - gorzko oświadczył Hitler.

- Rzeczywiście, u was jest trochę brzydziej - powiedziałam i od razu pożałowałam tych słów.

Neron zaczerwienił się i trzasnął pięścią o biurko.

- Dość! - krzyknął, plując przed siebie kropelkami śliny. - Mam dość twojej niesubordynacji. Czy ci się to podoba, czy nie, trafiłaś do Tartaru. A to oznacza, że jesteś naszą obywatelką i poddaną. Czyli musisz robić to, co ci każemy! Koniec dyskusji! Zrozumiałaś, pyskata dziewucho?!

Wystarczyło, że mrugnęłam powiekami. Biurko Nerona rozsypało się w drzazgi. Kawałki drewna obsypały wszystkich poza mną. Ominęły mnie zupełnie, jakbym była chroniona niewidzialną tarczą.

Miałam już dosyć bycia pionkiem, którym wszyscy pomiatają. Teraz przyszła moja kolej na bycie niegrzeczną.

- Szczerze? - zapytałam. - To nie rozumiałam...

6

Kuba Rozpruwacz odstawił na blat filiżankę. W jego herbacie pływały drzazgi. Nie nadawała się już do picia.

Oniemiały Neron otrzepał rude włosy z pozostałości swojego biurka. Raz po raz mrugał szeroko wytrzeszczonymi oczami. Hitler kiwał głową z uznaniem.

- Czy teraz powiecie mi, jak mogę się stąd wydostać, żeby wyjaśnić sprawy z kimś kompetentnym i wrócić na Ziemię, do swojego życia? - zapytałam, siląc się na grzeczność.

- Wydaje mi się, że nie możesz wrócić do życia, nie żyjesz - zauważył Adolf.

- Już raz nie żyłam - wyjaśniłam mu. - Poradzę sobie.

- Aha... - odparł tylko.

Władca Rzymu nie odzywał się, wręcz udawał, że go tu nie ma. Jedynie Kuba Rozpruwacz starał się być na tyle opanowany, by udzielić mi pomocy. Skierowałam swoje spojrzenie właśnie na niego.

- To jak? - naciskałam.

- Wierz mi, bardzo chciałbym ci pomóc - oświadczył spokojnie. - Dałaś nam tutaj imponujący pokaz mocy. Dawno nie widzieliśmy czegoś takiego. Nie chcę zostać twoim wrogiem.

Pokiwałam głową. Mądrze wnioskowałam.

Pomyślałam o Belecie. Nie wiem, gdzie był i co robił, ale miałam nadzieję, że starał się mnie stąd wyciągnąć. Jeśli próbuję z tej strony, a on z tamtej, może uda mi się uciec.

- Jak sama powiedziałaś, ani anioły, ani diabły nie mają wstępu do Tartaru - kontynuował Kuba. - To miejsce jest szczególne, rządzi się innymi prawami niż te, które znasz. Kiedy my tu trafiliśmy, nikt nam nie powiedział, jak to wszystko działa, co powinniśmy robić, jak rządzić. My ustaliliśmy zasady, które tutaj panują.

Do rozmowy włączył się Hitler:

- Tu nie ma istot boskich o nadprzyrodzonych mocach. Sami musieliśmy wszystko zbudować gołymi rękami. Stworzyć ten świat od podstaw.

Zastanowiłam się. Żyli bez przywilejów, które przysługiwały każdemu obywatelowi Piekła lub Nieba. I tylko to, pomijając wzajemne towarzystwo, miało być ich wieczną karą? Ja potraktowałabym ich gorzej...

Skarciłam się w myślach. Takie myślenie oddalało mnie od bycia kiedykolwiek anielicą.

- Czyli nie potraficie mi pomóc? - upewniłam się.

- Nie wiemy, w jaki sposób mogłabyś się stąd wydostać - odpowiedział mi Kuba Rozpruwacz. - Wielu mieszkańców Tartaru usiłowało pokonać Styks, ale nikomu jeszcze się nie udało. Wcześniej czy później pułapki Charona

wszystkich odstrasżają. Podobno u ujścia rzeki jest przejście, którym można stąd uciec. Ale to tylko plotka. Nie potrafię powiedzieć, czy tkwi w niej choćby ziarnko prawdy.

- To jedyna droga?

- Tak - kiwnął głową.

Poczułam strach. Nawet mój klucz diabła tu nie działał... Może rzeczywiście się stąd nie wydostanę? Co wtedy ze mną będzie? Miałabym spędzić wieczność z Tartaryjczykami?

- Musisz spokojnie spojrzeć prawdzie w oczy. W chwili gdy trafiłaś do łodzi Charona, stałaś się jedną z nas. Musisz się z tym pogodzić.

Nie zamierzałam się poddawać. Musiałam szybko znaleźć sposób na pokonanie Styksu. Z moimi mocami nie powinno to być specjalnie trudne. Na litość boską, miałam przecież Iskrę Bożą i siły piekielne! Sam Szatan nie byłby w stanie mnie powstrzymać.

- To co teraz? - zapytałam głucho. Adolf Hitler ożywił się.

- Stałaś się obywatelką Tartaru i naszą poddaną. Każdy przybywający dostaje od nas mieszkanie oraz nakaz pracy.

- Nakaz?

- A w Niebie i Piekło nie ma przymusowej pracy? - zdziwił się szczerze. - Wydawało mi się, że ludzie też coś tam robią.

- Robią, ale nie z przymusu. Każdy może sam zdecydować, kim chce być i co chce robić. Nie ma pracy zarobkowej. Jest tylko praca dla przyjemności - wyjaśniłam.

- A to ciekawe - długo nie zastanawiał się nad tą informacją. - W głowach im się poprzewracało. U nas wszyscy pracują. Zaraz zastanowimy się, do czego przydzielić ciebie. Ze względu na twoje zdolności, będziesz naprawdę przydatnym pracownikiem.

- Nie wydaje mi się, żebym miała ochotę pracować gdziekolwiek - warknęłam.

- Każdy pracuje! - oburzył się.

- Ty też?

- Ja też. Rządzenie to bardzo ciężka praca i nie mów do mnie „ty”. Zwracaj się do mnie „sir”. Jestem teraz twoim władcą.

- Sir? A co z führerem? - zakpiłam.

Hitler zmrużył nienawistnie swoje małe oczka. Kuba zaśmiał się pod nosem, a Neron nadal przezornie się nie odzywał.

- Może ja z nią porozmawiam - Rozpruwacz zwrócił się do Adolfa.

Hitler zagryzł zęby i nie odezwał się więcej.

Byłam coraz lepsza w pozyskiwaniu sobie wrogów w tartaryjskiej radzie. Na trzech jej członków dwóch już mnie nienawidziło.

- Jesteś wygadana, młoda damo - następne swoje słowa morderca skierował do mnie.

- To zasługa diabłów i aniołów. Kiedyś byłam normalną dziewczyną - wzruszyłam ramionami.

- Biorąc pod uwagę twoje moce, chyba nigdy nią nie byłaś.

Zbyłam jego wypowiedź milczeniem. Niech sobie nie myśli, że dam się zwieść słodkim słówkom.

- Nie chcemy być twoimi wrogami. Przedstawiliśmy ci nasze zasady. Jeśli chcesz żyć z nami w zgodzie, to zastosuj się do nich, proszę. Oczywiście nie musisz pracować. Nie zmusimy cię do niczego, czego nie chcesz robić.

Uśmiechnęłam się do Rozpruwacza. Właśnie dostawałam to, co chciałam. Kto by to pomyślał... Wystarczyło jedno tupnięcie obcasem i od razu jedli mi z ręki. Teraz już wiedziałam, jak Kleopatra załatwia wszystkie sprawy i czemu zawsze wszystko jej się udaje. Wystarczy tylko odrobina perswazji.

- Co? - wydusił Hitler. - Miałaby nie pracować?

- Nie powinniśmy zmuszać panny Wiktorii do niczego - wyjaśnił mu Kuba. - Kiedy oswoi się z sytuacją, zapewne sama się do nas zgłosi, chcąc nam pomóc. Użyczając nam swojej mocy, znacznie zmniejszyłaby nasze kłopoty na budowach lub przy wyburzaniu.

Skrzywiłam się. Koordynacja ruchowa skłaniała do przypuszczenia, że znacznie lepiej szłoby mi wyburzanie.

- Na razie powinniśmy dać jej trochę czasu. Rozumiesz?

Hitler wolno pokiwał głową w odpowiedzi, a ja uśmiechnęłam się złośliwie na widok jego miny.

- Jeśli chodzi o dalszą część zasad - kontynuował Rozpruwacz - wszystkich obowiązuje godzina policyjna. Po dwudziestej drugiej nikomu nie wolno przebywać na ulicy. Jeżeli ktoś zostanie złapany, czeka go tydzień w ciemnicy bez jedzenia i wody.

- Po co wprowadziliście godzinę policyjną? - zdziwiłam się.

- Nie mieszkają tutaj dobrzy ludzie, moja droga. Dla zachowania porządku i po to, by to pseudopaństwo mogło w miarę normalnie funkcjonować, musieliśmy zaprowadzić pewien reżim. Tylko dzięki niemu mamy tutaj względny ład i spokój.

- Wszechobecna szarość także ma zapewnić spokój? - zapytałam.

Kuba Rozpruwacz zaśmiał się cicho.

- Nawet nam wydaje się, że miejsce takie jak Tartar nie powinno być piękne - odparł. - A stroje jednakowego koloru zapewniają równość naszych obywateli. Każdy z nich uważał się kiedyś za kogoś wyjątkowego. Może rzeczywiście nim był. Tartar to jednak miejsce, gdzie trafiają ludzie tego samego gatunku. Bez sumienia. Szary chyba dobrze do nas pasuje, czyż nie?

Spojrzałam na swoje ubranie. Nie było w nim szarości. Kleopatra słusznie obawiała się tego miejsca. Zważywszy na jej zamiłowanie do kolorów, byłaby tu bardzo nieszczęśliwa.

- Ja nie będę się tak ubierać - zaznaczyłam.

- Rozumiem.

Coś tu było nie tak. Można być miłym, ale bez przesady.

- O co ci chodzi? - zapytałam. - Nie muszę pracować, mogę ubierać się tak, jak chcę. Dlaczego usiłujesz mi się przypodobać?

- Nie widzę powodu, dla którego miałbym robić sobie z ciebie wroga. Dobitnie pokazałaś nam, że to ty trzymasz wszystkie asy w rękawie. Możesz dla kaprysu nas zniszczyć. Wiemy, że osoba z Iskrą Bożą jest do tego zdolna. Czemu mielibyśmy utracić wszystko, co mamy, tylko dlatego, że zmusimy cię do pracy? Cena takiego posunięcia byłaby zbyt duża.

Teraz rozumiałam, dlaczego był taki przymilny. Na szczęście nie byłam zależna od Tartaru. Mogłam sama stworzyć sobie jedzenie, ubrania i wszystkie inne potrzebne rzeczy. Nie musiałam na to pracować ani nikogo o nic prosić.

- Skąd wiecie tyle o Iskrze Bożej? - zapytałam. - Żaden anioł ani diabeł nie mógł wam tego powiedzieć. Nawet tam jest to pilnie strzeżona tajemnica.

Adolf Hitler zaśmiał się.

- Mamy swoje sposoby.

- Do Tartaru trafiają czasem ludzie, którzy wcześniej byli w którymś z dobrych zaświatów, ale za karę za złe uczynki w Niebie lub Piekło zostali przeniesieni tutaj. To oni przekazują nam informacje. - Angielski dżentelmen posłał Austriakowi ostrzegawcze spojrzenie.

Nie uwierzyłam mu, ale się tym nie przejęłam. Wcześniej czy później zapewne dowiem się, o co w tym wszystkim chodzi.

- Proponuję, żebyśmy zakończyli na dzisiaj nasze spotkanie - powiedział mój rozmówca. - Z całą pewnością jesteś zmęczona i chciałabyś przemyśleć wszystkie zdarzenia minionego dnia. Gdybyś miała jakieś pytania, wystarczy przyjść do budynku rady. Zawsze któryś z nas tu urzęduje.

Kiwnęłam głową.

- Dziękuję - zdołałam wydusić.

Sięgnął do szuflady i wyjął mały woreczek. Coś w nim zabrzączało. Podał mi go. Rozsunęłam tasiemki i zajrzałam do środka. Wypełniły go krzywe srebrne dyski wykute ręcznie.

- Co to? - zapytałam.

- Żetony - wyjaśnił. - Będiesz mogła zamienić je w sklepie na jedzenie. Każdy otrzymuje tutaj wynagrodzenie za swoją pracę.

Wyjęłam jeden żeton. Miał koślawy ręcznie zrobiony napis: „kartofle, sztuk 2”. Na innym napisano: „papier toaletowy, sztuk 1”.

Inne zaświaty nie posiadały pieniędzy, jako że szczęścia one nie dawały.

Podziemie poszło o krok dalej. Miało swój odpowiednik PRL-owskich karteek. Oddałam Hitlerowi sakiewkę.

- Umiem sobie stworzyć jedzenie i inne produkty - powiedziałam. - Nie są mi potrzebne.

- Jak uważasz - mruknął.

- Teraz nasz podwładny zaprowadzi cię do nowego domu. To bardzo przyjemne mieszkanie w jednej z ostatnio wzniesionych kamienic. Należy do

naszych najlepszych. Wiem, że jesteś przyzwyczajona do wyższych standardów, ale nie mamy teraz niczego, co odpowiadałoby twoim oczekiwaniom - zapewnił Kuba Rozpruwacz.

Pożegnali mnie. Nawet Neron nagle odzyskał głos.

Za drzwiami czekał ten sam żołnierz, który przyprowadził mnie tutaj. Wysłuchał instrukcji, stuknął obcasami i zaszalutował przełożonym.

Po raz ostatni kiwnęłam głową Anglikowi i ruszyłam za milczącym przewodnikiem.

Na ulicy nieliczni przechodnie przyglądali się zaciekawieni. Teraz już wiedziałam, że to nie z powodu eskorty. Wzbudzałam zainteresowanie kolorowym strojem.

Wszystkie szare kilkupiętrowe kamienice wyglądały tak samo. Stały samotnie, nie dotykając się ścianami. Zupełnie jakby ktoś porzucił je bezładnie po całym Tartarze.

Miasto nie było duże. Budynek rady znajdował się dokładnie pośrodku. Kiedy spojrzałam w dół jednej z ulic, dostrzegłam ciągnące się za budynkami szare pola uprawne.

- Ilu jest tu mieszkańców? - zapytałam idącego obok mnie żołnierza.

Posłał mi ponure spojrzenie.

- Trochę powyżej ośmiu tysięcy - odparł.

- Tak mało? - zdziwiłam się.

Piekło i Niebo zamieszkiwały miliardy dusz. To pocieszające, że na taką masę istnień ledwo osiem tysięcy jest pozbawionych sumienia. Mogło być gorzej.

- Podziemia już takie są - mruknął niechętnie. Spojrzałam do góry. Nieuprzejmy żołnierz trafnie nazwał to miejsce. Kilkadziesiąt, jeśli nie kilkaset metrów nad naszymi głowami znajdowało się sklepienie jaskini. Światło, które początkowo uznałam za słoneczne, wydobywało się z trójkątnych żółtawych kryształów.

Stailiśmy pod jednym z budynków. Obok nas, tuż przy wejściu ktoś ustawił poobijane, wypełnione do granic możliwości kontenery na śmieci. Gdzieś w środku żałośnie zamiauczał kot. Odskokczyłam na bok, kiedy u moich stóp rozbiła się butelka zepchnięta ze stosu małego zwierzaka. Przed oczami mignął mi czekoladowy kształt.

Zamrugalam. Wydawało się, że kot miał beżowo-rude ucho. Zupełnie jak Behemot. Niemożliwe. Mój podopieczny swobodnie poruszał się po zaświatach, mimo to nie podejrzewałam, że mógłby się tutaj dostać.

- Widziałeś? - zapytałam. - Tam był kot.

- W Tartarze nie ma zwierząt - odburknął żołnierz.

- Musiałeś go słyszeć.

- Nic nie słyszałem. Coś się pani przywidziało.

Wyjął z kieszeni klucz i podał mi.

- Mieszka pani na pierwszym piętrze w mieszkaniu numer osiem - powiedział.

- Lubicie ósemki? - zagadnęłam ponownie. - Czy one coś znaczą? Umieszczanie ich na mojej drodze musiało mieć jakiś cel.

- Udzielanie takich informacji przekracza moje kompetencje - uciał krótko. - Żegnam.

Stuknął obcasami i odszedł, zostawiając mnie samą.

- Nie ma sprawy, dowiem się tego od kogoś kompetentniejszego od ciebie! - krzyknęłam za nim. - O ile w ogóle będzie mi się chciało dowiadywać!

Weszłam do kamienicy. Wąska klatka schodowa przywitała mnie zapachem moczu i pleśni. Marszcząc z obrzydzenia nos, ruszyłam w górę po krzywych schodach. Staralam się niczego nie dotykać. Wszystko wydawało się pokryte warstwą lepkiego brudu. Stałam pod drzwiami mieszkania. Napuchnięte od wilgoci drewno wydzielało jeszcze inny, swój własny, niepowtarzalny rodzaj smrodu. I gdzie się podziały piękne rezydencje obu Arkadii?

Przybita byle jak ósemka przekrzywiła się na bok. Przypominała teraz matematyczny symbol nieskończoności. Miałam szczerą nadzieję, że nie było to znaczenie wszechobecnej w Tartarze cyfry, która mnie prześladowała.

Otworzyłam drzwi. Prowadziły do małego pokoju. Stało w nim łóżko, kuchenka, umywalka i ubikacja. Nie było żadnych innych pomieszczeń. Miał mi wystarczyć ten jeden pokój o smutnych szarych ścianach. Kilkanaście metrów kwadratowych brudnej podłogi przypominającej beton, po którym hasały karaluchy wielkości mojego kciuka. Zwierząt nie mają, ale robaków na pewno im nie brakuje. I pomyśleć, że narzekałam na kawalerkę w Warszawie. Gdzieś w budynku rozległ się opętany śmiech. Trzasnęło szkło, zupełnie jakby ktoś rzucił butelką w ścianę, która oddzielała go ode mnie. Zamknęłam szybko drzwi na klucz. Głośno tupiąc, jakiś człowiek przebiegł po korytarzu.

Usiadłam na szorstkim kocu przykrywającym twarde, wąskie łóżko i zapłakałam za czymś, co najprawdopodobniej utraciłam na zawsze.

Tymczasem na Ziemi...

Przygaszone światła pulsowały w rytm monotonnej, hipnotyzującej muzyki. Ludzkie ciała wirowały w bezładnym tańcu, którego głównym celem było dokładne i bezwstydnie obmacanie partnera. W sali unosił się zapach potu, perfum oraz pożądania.

Klub Kuszenie Ewy jak zwykle przyciągnął klientów spragnionych nietypowej muzyki oraz niepowtarzalnej atmosfery.

Beleth patrzył na parkiet przez lustro weneckie. Tak naprawdę nazywało się lustrem fenickim. Śmiertelnicy od dawna popełniali ten błąd językowy. Diabeł spojrzał na nalepkę na szybie: „Lustro weneckie najwyższej klasy”. Ludzie byli tacy głupi.

Pociągnął spory łyk z wysokiej szklanki wypełnionej lodem i alkoholem.

Znajdował się w biurze właściciela klubu na pierwszym piętrze tego przybytku rozpusty. Oprócz gabinetu zamykanego na klucz, kłódkę, zasuwę i zamek szyfrowy przy korytarzu mieściło się siedem małych pokoi do użytku bawiących się gości. Każdy miał inną nazwę: Pycha, Chciwość, Nieczystość, Zazdrość, Nieumiarkowanie, Gniew i Lenistwo. W pokojach wyposażonych w wygodne kanapy można było usiąść na chwilę i zamknąć za sobą drzwi na małą srebrną zasuwkę z wygrawerowanym wężem. Co bywalcy klubu robili potem? To było ich sprawą.

Beleth doskonale wiedział, co czynili ludzie zamknięci w małych pomieszczeniach z wygodnymi kanapami. Rozpusta, zastraszanie, narkotyki. Sam chętnie by zaszalał, gdyby nie konsekwencje, które mogłyby go spotkać, jeśli Szatan by się dowiedział. Takie rzeczy można było robić tylko w Piekło.

Diabeł pokiwał głową. Interes Azazela świetnie się kręcił. Oczywiście dochody nie były dla niego ważne. Liczyła się tylko ilość skuszonych dusz. A rejestr wyglądał całkiem pokaźny. Powoli kuszenie stawało się nudne. Nie stanowiło wyzwania.

Anioły uznałyby za niestosowność ingerowanie w życie człowieka. Diabły nie widziały w tym nic złego. Śmiertelnicy zawsze mieli wybór. Nie musieli wchodzić do klubu, pić alkoholu i zamykać się w małych pokojach.

Fakt, że klub Kuszenie Ewy dzięki odpowiednim mocom piekielnym stał się najmodniejszym lokalem w Bangkoku, który gościł w swoich podwojach większość chętnych i w dodatku oferował alkohol w podejrzanie niskiej cenie tylko utrudniał tę decyzję.

Beleth potrząsnął wysoką szklanką, którą trzymał w dłoni. Kostki lodu zagrzechotały o ścianki pustego naczynia. Zamknął na chwilę oczy. Kiedy je otworzył, było znowu pełne. Wódka z lodem bez żadnych dodatków. Miał

ochotę się dzisiaj upić. A raczej utrzymać stan przyjemnego upojenia, który towarzyszył mu od śmierci Wiktorii. Drzwi za jego plecami otworzyły się.

Niczym kot do gabinetu wszedł właściciel knajpy, jak zwykle zadowolony z siebie Azazel. Najlepszy przyjaciel przystojnego diabła.

- Topisz smutki w alkoholu? - zakpił. - Co z ciebie za anioł? Zaśpiewaj lepiej parę hymnów na cześć Pana.

- Jeśli będziesz moim chórkim, to nie ma sprawy - odparował Beleth.

Azazel zachichotał i stanął obok kompana przy szybie. Na parkiecie znajdującym się na parterze kipiało pożądanie. Wydawało się, że odurzeni muzyką i alkoholem ludzie zaraz zaczną zdzierać z siebie ubrania i rzucać się na siebie głodni swoich ciał.

- Ach - westchnął Azazel, poprawiając warkocz opadający mu na kark. - Piękny widok, prawda? Cóż za odświeżający, subtelny obraz dekadencji.

Jakaś kobieta zerwała z siebie bluzkę i stanik. Jej pokaźny i przeraźliwie sflaczały biust opadł aż do pępka. Ona jednak nie zwracała na to uwagi, podobnie jak jej partner, który od razu zainteresował się jedną z piersi.

Azazel odwrócił się od szyby.

- No cóż... ten piękny obrazek odrobinę razi mój wysublimowany gust artystyczny - skwitował.

- Zawsze możesz się łudzić, że ona jest dziewicą - zakpił Beleth.

Diabeł wrócił spojrzeniem do szyby.

- Kilkadziesiąt lat temu pewnie była...

- A co się stało z twoją poprzednią knajpą? Jak ona się nazywała? - Beleth zmienił niespodziewanie temat, sącząc kolejnego drinka.

- Niebiańskie Żądze. Spłonęła, kiedy Kleopatra dowiedziała się, że zaczepiałem jedną z kelnerek.

- Tak sama z siebie się spaliła? - zadrwił ponurym głosem Beleth.

- Do dzisiaj straż pożarna i policja w Berlinie nie wiedzą, jakim cudem w sześć minut spłonął cały budynek i nikomu nic się nie stało - Azazel zdawał się nie widzieć w tym niczego podejrzanego.

- Ciekawe, czy Kleo miałyby kłopoty, gdyby poraniła śmiertelników.

- Ja tam nic nie wiem... - Azazel na wszelki wypadek zerknął przez ramię, czyjego kochanka nie skrada się gdzieś w pobliżu. Czasami zdarzało jej się pojawiać w najmniej oczekiwanym momencie. - Zresztą uważam tamto przedsięwzięcie za niewypał. Kuszenie Ewy znacznie lepiej mi się udało.

Kolejny łyk wódki spłynął do gardła przystojnego diabła.

- A co dodajesz do alkoholu?

- Lubczyk diabelski. - Azazel uśmiechnął się przebiegle i poprawił czarną koszulę.

Jak zwykle ubrany był na czarno. Jedyne kolorowe akcent w jego ubiorze stanowiło niebieskie piórko zawieszane na cienkim rzemyku na szyi. Było to pióro ze skrzydeł, które przed wiekami odcięły mu anioły. Na szczęście teraz dzięki Wiktorii miał całkiem nową parę skrzydeł.

Poprawiając wisiołek, pomyślał, że dobrze się stało, że zdążył ją namówić do stworzenia skrzydeł. Teraz byłoby to skomplikowane, biorąc pod uwagę miejsce jej stałego pobytu.

- Dałeś sobie spokój z sektami? - zapytał Beleth. - Prowadzenie knajpy jest zabawniejsze?

- Tak, zwłaszcza w Bangkoku. Nigdzie nie ma tylu śmiertelników, którzy pragną się w wakacje zabawić. Nie wiem, czy słyszałeś, ale otwieram niedługo filie w Las Vegas, Rio de Janeiro i Amsterdamie.

- Interes się kręci... - mruknął przystojny diabeł i przełknął spory łyk alkoholu, który zapiekł go w gardle i osiadł ciężko w żołądku.

Azazel spojrzał na niego spod oka. Nie spodobało mu się to, co zobaczył. Jego najlepszy kompan był... zmięty. Ciemnozielona koszula, zwykle perfekcyjnie dopasowana, była zapięta krzywo nie na te guziki, co trzeba, a włosy, przeważnie starannie ułożone w czarnego irokeza, opadały na złote oczy.

Coś było nie tak.

- Stary, ty się dobrze czujesz? - Dotknął jego ramienia. Takie gesty nie zdarzały mu się często, więc odrobinę się zmieszał. Niemniej Beleth był jego przyjacielem, a w każdym razie kimś, kto zachowuje się podobnie, więc podstępny diabeł miał wobec niego pewne zobowiązania.

- Tak... nie... nie wiem - westchnął. - Nie wiem, co się ze mną dzieje. Ostatnio jestem jakiś... rozbity. Ciągle myślę o Wiktorii, o tym, że ją zabiłem i nigdy więcej jej nie zobaczę. Kiedy tylko nachodzą mnie te myśli, czuję ucisk w gardle i brzuchu. Nie rozumiem tego...

Azazel zaniepokoił się nie na żarty.

- Beleth... - wydusił. - Czy ty przypadkiem nie masz... wyrzutów sumienia?!

Złote oczy wpatrywały się w niego pustym wzrokiem.

- Chyba nie... - powiedział cicho. - Przecież to niemożliwe. Jestem diabłem. Nie powinienem mieć sumienia. Zostałem tak stworzony.

- Właśnie, bracie, nie masz sumienia. - Azazel pokiwał gorliwie głową. - Może się przeziębiesz?

- Jestem diabłem, idioto. Przeziębici też się nie mogę...

Podstępny diabeł lekko zbłądł. Było to prawie niemożliwe, zważywszy na jego porcelanową cerę, ale tak wyglądał. Czarne oczy w przezroczystej twarzy wydawały się ogromne.

- I co teraz? - czuł się całkowicie zagubiony.

- Na razie zamierzam się upić, może przejdzie mi ból brzucha - odparł Beleth. - Potem się zobaczy.

Zanim spełnił swój zamiar, na ścianie naprzeciwko pojawiły się drewniane sosnowe drzwi. Przejście, do którego klucz miała kiedyś Wiktorii. Diabły patrzyły oniemiałe.

- Wiki... - wychrypiał Beleth, upuszczając szklanekę prosto na zabytkowy perski dywan na podłodze.

- Mój dywan... - westchnął Azazel.

W następnej chwili drzwi się otworzyły. Nie było jednak za nimi brunetki o roześmianych oczach i kuszących ustach. W świetle dobiegającym z drugiej strony przejścia zobaczyli męską sylwetkę. Mężczyzna miał szerokie ramiona i rozczochrane włosy. Rozwścieczony wpadł do pokoju, chwycił Beletha za gardło i przycisnął go do ściany. Przy okazji zrzucił z biurka kilka butelek.

- Gadaj, gdzie jest Wiki, skurwielu! - warknął śmiertelnik, przyduszając diabła i miażdżąc mu krtań.

- Ychrrrryyy - wychrypiął Beleth.

- Sądzę, że za wiele nie powie, kiedy uciskasz jego struny głosowe - zauważył rzeczowym tonem Azazel, podnosząc butelkę dobrej whisky, której upadek na szczęście zamortyzowało długie włosie dywanu.

Piotrek odwrócił się do niego z szaleństwem w oczach. Czarny zarost kontrastował z trupio bladą twarzą.

- Też chcesz oberwać, popaprańcu?! - ryknął. - Mów, gdzie jest Wiki, albo...

- Albo co? - zakpił podstępny diabeł, opierając się o biurko. - Obaj wiemy, że nie możesz w ten sposób zabić Beletha. Możesz mu jedynie sprawić trochę bólu.

- Z radością - syknął chłopak i mocniej zacisnął ręce.

Beleth tylko zacharczał w odpowiedzi.

- Gdzie. Jest. Wiki?! - wycedził Piotrek.

- Dobrze, dobrze. - Azazel wyciągnął przed siebie obie dłonie w obronnym geście. - Powiem ci, ale najpierw puść Beletha. Nie mogę patrzeć, jak sinieje.

Piotr niechętnie spełnił żądanie diabła. Jego ofiara osunęła się na ziemię, charcząc i kaszląc.

- Gadaj! - zażądał.

- Nasza droga, nieoceniona Wiktoria przebywa obecnie w Tartarze - oświadczył Azazel.

Beleth podniósł się z dywanu i przetarł załzawione oczy.

- Masz niezły chwyt - wychrypiął.

- Niech przyjdzie tu w tej chwili - powiedział śmiertelnik. - Chcę ją zobaczyć i przekonać się, że nic jej nie jest.

Azazel zaśmiał się i rozsiadł w fotelu za biurkiem. Oparł stopy o blat.

- A nie sądzisz, że niełatwo będzie zobaczyć, że nic jej nie jest? - zapytał.
- Przecież przejechała ją ciężarówka. Po czymś takim trudno być w dobrym zdrowiu. Wiesz, może być nieco... rozbita i mieć... splaszczone poczucie własnej wartości.

- Nic nie rozumiem. Chcę ją zobaczyć.

Diabeł Beleth podszedł do jednej z kanap i usiadł, wciąż pocierając obolałe gardło. Wskazał dłonią miejsce obok siebie. Chłopak niechętnie spoczął.

Nie zamierzał stać jako jedyny. Chciał, żeby traktowali go jako równego, jako godnego przeciwnika.

Dobrze wiedział, jakie były diabły. Wiedział, że nie należy im ufać, a Wiki popełnia błąd, ciągle się z nimi zadając. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego go zostawiła. Dlaczego wołała być z Belethem? W czym on był lepszy?

- Nie możesz jej zobaczyć - wyjaśnił przystojny diabeł. - Z mojej winy przez przypadek trafiła do Tartaru. Nie można ot tak sobie do niego wchodzić i z niego wychodzić. Jeżeli raz się tam trafi, jest się straconym na zawsze... - zamilkł, ponownie uświadamiając sobie, co uczynił i na co skazał swoją Wiki.

Zniesmaczony tym przyływem ciepłych uczuć i, nie daj Boże, wyrzutami sumienia, Azazel przejął pałeczkę:

- Gdyby nie fakt, że ciągle stoisz Belethowi na drodze, to nic by się nie stało. Tak naprawdę to ciebie zamierzał zamordować i pozbyć się na wiečność. Niestety Wiki w odruchu swojego dobrego serca jak zwykle musiała cię uratować, przez co sama trafiła do Tartaru.

- Ale... czy nie może stamtąd wyjść? - zapytał chłopak. - Przecież ma klucz diabła. Ma moce Iskry Bożej.

- Gdyby mogła stamtąd wyjść, to nie byłoby tego całego dramatu - warknął Azazel. - A przez to, że nie dałeś się zabić, ona tam trafiła. Czy poczucie winy puka już do twojej głowy?

Diabeł był ciekawy, czy śmiertelnik może żałować, że to nie on zginął. Azazelowi nigdy nie zdarzały się chwile słabości i nie pojmował, jak to możliwe, że ktoś ma takie rozterki ducha. A że nie miał sumienia, powoli zaczynało mu brakować inwencji w rozmowach z Belethem.

Świat schodził na psy.

- Ale dlaczego chcieliście mnie zabić? - zapytał zbity z tropu Piotrek. - Przecież ja wam nic nie zrobiłem.

- Sądzę, że Belethowi przeszkadza sam fakt, że oddychasz - wyjął Azazel zniesmaczony.

- Jesteś z Wiktoria - mruknął diabeł. - Chciałem ją mieć tylko dla siebie. Chciałem usunąć cię z drogi, żeby mogła zainteresować się tylko mną.

Piotrek siedział z otwartymi ustami. Nie mógł uwierzyć, że oni najwyraźniej o niczym nie wiedzieli. Wiki nic im nie powiedziała. W takim razie dlaczego mu oświadczyła, że z nim zrywa, by móc być z Belethem?

Czy chodziło jej jeszcze o coś innego?

- Ale my ze sobą nie jesteśmy - wydusił z trudem.

- Słucham? - Beleth najwyraźniej uznał, że się przesłyszał.

- Wiki mnie zostawiła. Wybrała ciebie - odpowiedział mu gorzko chłopak.

- Jak to mnie? Kiedy? Kiedy z nią rozmawiałeś?

Azazel wybałuszył oczy. Nie wiedział, czy już wypada zacząć się śmiać, czy powinien się powstrzymać dla zachowania cienia przyzwoitości.

- Wtedy, kiedy walczyliśmy z Moronim. Pamiętasz tę noc, gdy zatrzymaliśmy się u Kleopatry? Mieliśmy spać w jednej sypialni. To właśnie wtedy Wiki powiedziała mi, że nie może już ze mną być, że nie jest tą dawną dziewczyną, którą poznałem. Powiedziała też, że się zmieniła, że staje się diabolicą. Już mnie nie chciała. Wybrała ciebie.

Beleth szaleńczo starał się powstrzymać krzyk wściekłości cisnący mu się na usta. Jaki był głupi! Dlaczego uparł się, że nie będzie z nią rozmawiał po rozprawie?! Dlaczego nie odpowiadał na jej telepatyczne szepty i zablokował swoje myśli, żeby jej nie słyszeć?! Na pewno miała zamiar mu o tym powiedzieć.

A on przez własną pychę skazał ją na śmierć.

Azazel zarechotał donośnie, waląc pięściami w biurko. Po policzkach potoczyły mu się łzy jak grochy. Zbesztany pełnym niedowierzania spojrzeniem Beletha wyjaśnił:

- Przepraszam, ale nie wytrzymałem. Nie mogę się doczekać, kiedy powiem o tym Kleo!

Piotr szarpnął przystojnego diabła za rękaw koszuli.

- Masz ją wydostać z Tartaru, słyszysz? Bo jak nie, to przysięgam, że cię, kurwa, zabiję.

- Twoje groźby nie robią na mnie wrażenia, zresztą teraz...

- Beleth - wtrącił się zaniepokojony Azazel - a spróbuj mi tylko dokończyć, że bez niej i tak nie masz po co żyć, to przestanę się do ciebie *odzywać*. To niegodne diabła. Bądź chłopem, znaczy diabłem, z jajami.

Jego piekielny kompan posłusznie nie dokończył myśli.

- Nie mogę jej uwolnić - powiedział. - Nie znam sposobu.

- To niemożliwe - Piotrek nie chciał w to uwierzyć. - Przecież jesteś diabłem. Musi ci się udać.

Gorzki śmiech smutnego Beletha nie spodobał się śmiertelnikowi. Nie potrafił pojąć powagi sytuacji. To wszystko wydawało mu się żartem, którego padł ofiarą.

Przecież Wiktoria nie mogła tak po prostu umrzeć.

- Jak wyglądają sprawy na Ziemi? - zapytał Beleth. - Był już pogrzeb?

- Jutro - mruknął Piotrek.

- Dobra. Mam was dość - oznajmił Azazel. - Wiki umarła. Z winy Beletha. Nic na to nie poradzimy. Wypadki chodzą po ludziach. Ty tutaj nic nie zdziałasz. Jeśli spróbujesz nam zagrozić, spotka cię kara. Rób, co do ciebie należy. Pogrzeb ma być ładny, kwiatki świeże, pogoda pochmurna i tak dalej. My zajmiemy się rzeczami w Piekło. To nie jest twoje miejsce. Jasne?

- Uwolnicie ją? - chłopak poczuł przypływ nadziei. - Sprawicie, że ożyje?

- Przecież jesteśmy diabłami. - Azazel dumnie wypiął pierś. - Czym innym mielibyśmy się zajmować? Niemniej ciebie do pomocy nie potrzebujemy. Ty musisz ogarnąć to, co ziemskie. Rozumiemy się?

- Mam czekać na jakiś znak?

Beleth unikał jego wzroku.

- Tak, dzieciaku, odezwiemy się do ciebie jakoś po pogrzebie - zapewnił go podstępny diabeł. - Teraz jednak musisz nas zostawić, żebyśmy mogli w spokoju zacząć działać.

- Ale przecież mówiliście, że nie da się uratować Wiki... - chłopak zaczął coś podejrzewać.

- Bo myśleliśmy, że szybko pozbędziemy się ciebie w ten sposób - oznajmił mu prosto z mostu. - Okazało się, że jesteś na to za sprytny, więc musimy odsłonić przed tobą karty. A teraz zmykaj. Mamy duszę do uratowania.

Piotr niepewnie wstał z kanapy i podszedł do ściany. Wyciągnął klucz z kieszeni, ale zanim stworzył przejście, zapytał jeszcze:

- Nie okłamujecie mnie? Uratujecie ją i ożywiecie?

- Oczywiście, że ją uratujemy. - Azazel posłał mu uspokajający uśmiech. - Wracaj do domu. Miłej podróży.

Piotr czuł, że coś jest nie tak, ale nie mógł nic na to poradzić. Diabły miały rację. Nie potrafił im zagrozić. A nawet jeśliby spróbował i powiedział, że zamieni ich w robaki i zadcpcze, tak jak zrobiła to kiedyś Wiki z innymi diabłami, to on był jeden, a Piekło było pełne takich jak oni.

Musiał czekać.

- To... do zobaczenia - mruknął na pożegnanie.

- Do zobaczenia, do zobaczenia. - Azazel gorliwie pokiwał głową.

Kiedy przejście zniknęło, a w pokoju znowu zapadł półmrok, Beleth zapytał:

- Naprawdę spróbujemy uwolnić Wiki?

- Ależ skąd. Chciałem tylko się go pozbyć. Strasznie upierdliwy, nie?

Beleth nie odpowiedział. Azazel jednak nie mógł podarować sobie tak wspaniałego momentu. Musiał mu dokuczyć.

- Nie sądzisz, że jest w tym jakaś ironia? Chciałeś zabić Piotra za to, że jest z Wiktoria, wtedy, kiedy już z nią nie był. Gdyby nie to, że nie wierzę w takie rzeczy, to powiedziałbym, że najwyraźniej cię pokarało.

- Zamknij się.

Podstępny diabeł nie posłuchał rady i zaczął chichotać.

- To... co teraz zrobisz? rzucisz się ze skały z rozpacz?

- Najpierw opróżnię twój barek. Skały poszukam później...

8

Tej nocy nie zmrużyłam oka. Cały czas wydawało mi się, że ktoś siedzi pod moimi drzwiami i nasłuchuje. Specjalnie szeleściłam kocem i od czasu do czasu stawałam na nierównej klepce, która piszczała pod moim ciężarem. Jeżeli ktoś czatował za ścianą, czekając, aż usnę, to się nie doczekał.

Rano, niewyspana i zła, wybiegłam na ulicę. Miałam na sobie zwiewną, krwistoczerwoną sukienkę na ramiączkach. Nie zamierzałam upodabniać się do szarych mieszkańców Tartaru. Nie byłam jedną z nich.

Z nienawiścią spojrzałam na kamienicę, w której spędziłam noc. Najchętniej zburzyłabym ją pstryknięciem palców, nie patrząc, czy mieszkańcy zdążyli umknąć z budynku. Zamiast tego zmieniłam kolor fasad i dachu. Mieszkałam teraz w tęczowym budynku, który aż kłuł w oczy jaskrawymi barwami. Miałam nadzieję, że wypłoszą one jego szalonych mieszkańców.

Ruszyłam w dół ulicy, kierując się w stronę Styksu. Zamierzałam podjąć próbę przekroczenia rzeki. Może u jej źródeł rzeczywiście była magiczna brama prowadząca na Ziemię lub do jakichkolwiek zaświatów? Nieliczni przechodnie przyglądali mi się zazdrośnie. Kątem oka zauważyłam przygarbioną staruszkę, która szła za mną w bezpiecznej odległości. Odwróciłam się. Zasyczała niczym wściekły kot i skryła się w mroku pomiędzy budynkami. Zdążyłam zauważyć, że nie miała jednego oka, a jej prawie łysą głowę kryła granatowa chustka.

Kobieta była w Tartarze jedyną osobą, poza rządzącymi, która miała na sobie jakiś kolor. Mimo to nie zaprzętałam sobie nią myśli. Teraz liczyła się tylko moja ucieczka. Miałam nadzieję, że nie zginę marnie, jak przestrzegała tablica przed nabijanymi ćwiekami drzwiami do pieczary, w której płynął Styks.

Weszłam do środka. Wszystko wyglądało tak jak wczoraj. Mała przystań, cichy szum niewielkich fal. Przy brzegu kołysała się zacumowana łódeczka. Zupełnie jakby miała zachęcać śmiazków do wypłynięcia na wody Styksu. Rozejrzałam się, czy nigdzie w pobliżu nie widać Charona.

Ominęłam łódkę. Nie miałam zamiaru dać się pożreć topielcom, więc nie chciałam z niej korzystać.

Zamknęłam oczy i intensywnie pomyślałam o skrzydłach. Już kiedyś je sobie stworzyłam. Teraz wydawało mi się, że to było wieki temu. Tak dawno musiałam stawić czoło złemu aniołowi Moroniemu i odebrać mu manuskrypt henochiański, który miał mu dać moc Boga. Popsułam mu szyki, kiedy sprawiłam, że boskie siły spłynęły na mnie.

Białe lotki wysuwały się powoli z moich pleców w miejscu, którego nie zasłaniała sukienka. Po chwili mogłam swobodnie rozkładać i składać olbrzymie skrzydła zdolne unieść mnie w powietrzu. Uderzyłam nimi ciężko. Wiatr zmarszczył powierzchnię wody, gdy przemknęłam nad nią, nawet nie mocząc stóp. Sukienka załopotiała.

Wyciągnęłam ręce i poleciałam w górę rzeki.

W dole widziałam spokojne wody Styksu. Co chwilę jakiś zamazany kształt przesuwiał się pod powierzchnią. Ja jednak byłam poza zasięgiem zębów topielców. Zgrabnie zdołałam pokonać przeszkodę numer jeden. Wiatr podwiał mi sukienkę do góry. Jedyne, co mogły robić wodne potwory, to gapić się z dołu na moje majtki.

Zadowolona z siebie przyspieszyłam.

Nagle zatrzymałam się w powietrzu. Co to ma być?!

Przede mną rzeka dzieliła się na trzy odnogi. Kiedy płynęłam w dół z prądem łodzią Charona, nie zauważyłam żadnego odgałęzienia. Za to teraz miałam przed sobą trzy możliwości.

Przed każdą z odnóg stała tablica. Podlęciałam bliżej do jednej z nich i przeczytałam: „Europa, Hiszpania”. Skierowałam się do drugiej. „Azja, Chiny”. Ostatnia miała napis: „Afryka, Etiopia”.

Zbita z tropu skierowałam się w jedną z rzeczek i odwróciłam. Z tej perspektywy nie było widać dopływów. Skalne, monotonne ściany dawały perfekcyjne złudzenie optyczne, że płynie się cały czas jednym korytem.

Zakłęłam szpetnie pod nosem. Nie miałam pojęcia, którym tunelem wcześniej płynęłam. Nie miałam możliwości zobaczenia tablicy z nazwą. Poza tym nie sądziłam, że Styks to labirynt.

Wróciłam do rozwidlenia. Gdzie mam się kierować? Nazwy tuneli niewiele mi pomagały.

Postanowiłam powierzyć ten lot łutowi szczęścia. Wleciałam w pierwszy z prawej. Jednak nie napodróżowałam się nim zbyt długo. Po chwili znowu dotarłam do miejsca, w którym Styks dzielił się na trzy części.

- No cholera - jęknęłam.

„Afryka, Kenia”, „Afryka, Uganda”, „Afryka, Sudan”.

Wiedziałam, że trzeba było wybrać Azję...

Ponownie wleciałam do pierwszego tunelu z prawej. Kierunek Sudan. Postanowiłam cały czas wybierać tylko prawy korytarz. Nagle rzeka się zwężyła. Poszarpany brzeg znaczyły głębokie odciski monstrualnie wielkich łap pupilka Charona. Gdzieś w pobliżu znajdował się Cerber, straszny trójgłowy pies. Podlęciałam bliżej do śladów. Odcisk miał około metra średnicy. Nie twierdziłam, jakim cudem tak wielki pies mógł zmieścić się w jaskini.

Na wszelki wypadek wzbiłam się w powietrzu tuż pod sufit.

Jakich przeszkód poza labiryntem i mitologicznym psem mogłam się spodziewać? Gorączkowo usiłowałam przypomnieć sobie wszystko, co pamiętam z historii i języka polskiego. Czytałam *Mitologię* Parandowskiego. Tylko co w niej było?

Zamyślona wleciałam do kolejnego tunelu.

I stanęłam oko w oko z... no cóż... okiem. Żółtym, jeśli mam być dokładna. Żrenica zwężyła się, a powieki okolone krótkimi czarnymi rzęsami zmrużyły się. Pies odsunął ode mnie wilczą głowę, żeby lepiej mnie widzieć.

Z gardła Cerbera wydobył się głuchy warkot. Z niepokojem zauważyłam, że idealnie pasowałam do rozmiarów pyska. Byłam w sam raz na małą przegryzkę.

- Dooobry piesek - głos zatrzęsł mi się niebezpiecznie, a warkot się pogłębił.

Wtem zza głowy, którą miałam naprzeciwko, wychynęła kolejna. Tym razem przypominająca pudła. Brakowało tylko różowych wstążeczek i spinek...

Zbaraniałam. To nie wszystko. Od dołu nieśmiało wysunął się ostatni łeb. A raczej łeppek. Śliniąc się niemilosiernie, pożerał mnie wzrokiem ratlerek o wylupiastych oczach...

Ja rozumiem, że Charon nie potrafił się zdecydować, którą rasę lubi najbardziej. Niemniej przesadził. Bardzo przesadził. Skrzywdził to biedne zwierzę niemilosiernie.

- Jesteście głodne? - głos znowu mi się załamał. Wilcza morda nie przestawała warczeć. Zdecydowanie byłam za mała na przekąskę dla olbrzymiego burka. Klasnęłam w dłonie. Pomiędzy mną a psem zmaterializował się ogromny kawał mięcha, znacznie przewyższający mnie wielkością. Idealny dla Cerbera. Zachęcająco plasnął o ziemię tuż przed jego łapami.

Pies niechętnie obwąchał mięso, po czym natychmiast wrócił do mnie spojrzeniem trzech wygłodniałych par oczu.

Hm... niesmaczne?

Przypomniałam sobie, w jakich przysmakach gustował pies sąsiadki. Pstryknęłam palcami. Mięso natychmiast się zepsuło. Znikąd zleciały się roje much.

Cerber zapiszczał ucieszony i rzucił się na padlinę. Puszysty ogon, tym razem pożyczony niewątpliwie od husky, merdał jak szalony.

- Smacznego, ścierwiaku - pokręciłam głową.

Smród mięsa doleciał do mojego nosa. Powstrzymując wymioty, zawróciłam. Nie miałam pewności, czy trójgłowy pies nie uzna, że po jedzeniu warto pobawić się z latającym ptaszkiem...

Wleciałam w środkowy tunel. Było w nim ciemniej niż w poprzednim. Był także znacznie wyższy.

Zwolniłam. Miałam złe przeczucie, że coś czai się w mroku tuż pod sklepieniem.

- Halo? - zawołałam, ale odpowiedziało mi tylko echo.

Przeleciałam jeszcze kilka metrów. Na moją głowę posypały się drobne kamyczki. Szybko spojrzałam na skryty w ciemnościach sufit.

- Jest tam kto? - zapytałam znacznie ciszej, mając nadzieję, że nikt i nic mi nie odpowie.

Gdzieś w tunelu coś skrobnęło o ścianę. Do rzeki wpadły małe kamienie. Postanowiłam nie sprawdzać, co czai się obok mnie. Zamachałam gwałtownie skrzydłami i zaczęłam uciekać tam, skąd przyleciałam.

Za mną coś zaskrzeczało przeraźliwie.

- Kooobieta - zawył wysoki głos.

- Koooobieta - zawtórowały mu kolejne. Zaryzykowałam i zerknęłam przez ramię. Prosto na mnie, zatrważająco szybko leciały dziwne monstra. Pół kobiety, półptaki. Mitologiczne harpie. Chociaż mogły być też syrenami. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego według Greków syreny nie miały rybich ogonów.

Z głów zamiast włosów sterczały im irokezy z kolorowych piór. Do pasa wyglądały ludzko, niżej zaś przypominały drapieżne ptaki o bardzo ostrych pazurach. Ich małe piersi nie były niczym osłonięte.

Pikowały na mnie z ciemności, wyciągając ręce i nogi.

Zamachałam gwałtowniej skrzydłami. Musiałam im uciec. Nie wyglądały na przyjaźnie nastawione. W pełnym pędzie wyskoczyłam z ciemnego tunelu, kierując się w dół rzeki.

Jedna z harpii dogoniła mnie. Złapała dłonią o bardzo długich paznokciach za nogę. Szarpnęłam, żeby się jej wyrwać, i poczułam ból. Przeorana pazurami skóra zapiekła ogniem. Jak nic dostanę tęcza czy innej cholery.

Kolejna szarpnęła za moje prawe skrzydło. Pomimo że było wyczarowane, zabolalo jak diabli.

Krzyknęłam i opadłam parę metrów w dół. Wyhamowałam tuż nad lustrem wody. Na oślep strzeliłam za plecy płomieniami. Kilka przerażonych lub zranionych harpii zaskrzeczało.

Leciałam tak szybko, jak nigdy wcześniej. Szybciej niż wtedy, kiedy gonił mnie anioł Moroni.

Dopiero po dłuższej chwili zorientowałam się, że nie widzę harpii. Za mną był tylko pusty tunel. Tak się zagapiłam, że nie spostrzegłam, że znacznie obniżyłam lot. Niespodziewanie walnęłam o ziemię w tumanie piasku, kiecka zakryła mi głowę.

Doleciałam do przystani i drzwi prowadzących do Tartaru.

Dotknęłam twarzy. Była mokra od łez. Nie zauważyłam, że zaczęłam płakać. Podarta sukienka ubrudziła się od wilgotnego piasku, pióra nasiąkły krwią. Odsoniłam łydkę. Były na niej cztery długie, podbiegnięte krwią zadrapania.

Nie udało mi się! A tak dobrze mi szło! Przeklęte harpie!

- Czyżby porażka? - zapytał za mną cichy głos. Wrzasnęłam na całe gardło, przestraszona, i odwróciłam się szybko.

Obok mnie stał Hitler w swoim szarym mundurze.

- Niech mnie pan nie straszy - wydusiłam.

Jestem próżna. Wiem. Usunęłam skrzydła, ślady piachu z sukienki i zadrapania. Znowu byłam piękna. Mężczyzna wybałuszył na mnie oczy.

Zaraz... Po jaką cholere ja się chcę przypodobać byłemu kanclerzowi Rzeszy? Przez to bycie diabolicą, niedoszłą anielicą już kompletnie wariuję. Niedługo zacznę się zachowywać tak jak Beleth. Będę się starała oczarować wszystkich dookoła.

- Przepraszam. - Hitler wcale nie wyglądał na skruszzonego. - I gratuluje pomysłu.

Spojrzałam na niego zaskoczona.

- Skrzydła - odpowiedział. - Inni śmiałkowie używali łódki i ginęli tuż za zakrętem, złapani przez topielców.

- Oni nie mieli mocy - odparłam gorzko.

- Fakt. - Chociaż stał wyprostowany jak struna, i tak byłam wyższa od niego.

Pogładził wąsik.

- Widzę, że panience bardzo zależy na powrocie do innych zaświatów.

- Niesamowite. Jakim cudem się pan domyślił? - zakpiłam. W odpowiedzi tylko się zaśmiał.

- Panno Wiktorio, proszę się tak nie unosić. Ja tylko chcę pomóc. Wiem, w jaki sposób może pani wrócić do swojego świata...

Tymczasem na Ziemi...

- Czyś ty do reszty zgłupiał?! - warknął Azazel, rzucając butelką w ścianę.

Białe szkło razem z drogim koniakiem rozprysło się po śliwkowej tapecie wyściełającej gabinet podstępного diabła w Kuszeniu Ewy. Brzydkie zacieki wyglądały na niemożliwe do usunięcia.

Dramatyczny gest Azazela nie ruszył z miejsca Beletha, który leżał w swobodnej pozie na jednej z kanap. Przeciągał się lekceważąco.

- A masz jakiś inny pomysł? - zapytał kpiąco. - Poza tym sam to wczoraj zaproponowałeś Piotrowi.

- Na pewno nie zaproponowałem mu pójścia do Gabriela z prośbą o pomoc - wycedził.

- Powtórzę pytanie. Masz inny pomysł?

Azazelowi zabrakło języka w gębie. Miał już dość dyskusji z Belethem. Do niczego nie prowadziły.

- Musi być inne wyjście. Sam coś wymyśl! Jesteś inteligentny czy nie?! - warknął rozwścieczony.

Żółte oczy zwężyły się. Przystojny diabeł zerwał się na równe nogi.

- Nic nie wymyśliłem, ale jeżeli wiesz, jak mógłbym ją stamtąd wydostać, to mi zdradź. Ja nie znalazłem.

- Nie mam zielonego pojęcia, jak mógłbyś wydostać Wiktorię z Tartaru - Azazel się naburmuszył.

Uważał, że jego przyjaciel robi niewyobrażalne głupstwo. Ryzykował swoją posadę i dopiero co odzyskane skrzydła. Co prawda mógł dzięki nim podróżować po Arkadii jedynie przez kolejne siedemdziesiąt siedem lat, wyciągnięcie Wiktorii z kłopotów nie było jednak warte utraty tego przywileju.

W każdym razie nie było tego warte w mniemaniu Azazela.

- Idę do Gabriela - oświadczył Beleth. - Powiem mu, co zrobiłem. Na pewno wymyśli, jak wyciągnąć Wiki.

- Nie! - Azazel trzasnął pięścią w biurko. - Nikt nie wie o tym, co zrobiłeś. Nikt nie zauważył, że Wiktoriana Biankowska zniknęła z diabelskich i anielskich ewidencji. To jeden z najznakomitszych przekrętów i jedno z najlepszych oszustw tego milenium! Nie pozwolę ci tego zniszczyć. Nie pozwolę, żebyś zniszczył samego siebie!

- Nie masz nic do gadania...

- Owszem mam. Przestań winić się za to, że zmarła Wiktoriana, a nie Piotr! To był zwykły wypadek przy pracy. Każdemu się zdarza.

Kolejne butelki zatrzęsły się niebezpiecznie, kiedy rąbnął pięścią o blat biurka. Beleth posłał mu powoli znudzone spojrzenie.

- Przysięgam na naszą przyjaźń, że nie wyznam nawet przed sądem, że mi pomagałeś. Wezmę całą winę na siebie. Zadowolony?

- Aaa... - Azazel uspokoił się, a butelki przestały drżeć. - To w takim razie możesz iść. Nie ma sprawy. To naprawdę poruszające, że dla miłości chcesz poświęcić siebie samego.

Beleth zaśmiał się pod nosem.

- O ty kłamliwy sukin...

- Szysz... - upomniał go Azazel. - Miło mi, że tak ciepło o mnie mówisz, ale odkąd mamy skrzydła, to lepiej nikomu nie podpadać. Zwłaszcza Jemu...

Przystojny diabeł poprawił guziki koszuli i pstryknięciem palców ułożył włosy. Wesoly błysk w oku pasował do lekko kpiącego uśmiechu. Dawny Beleth wrócił.

- Mimo wszystko radziłbym pójść do Szatana - oświadczył Azazel, ruchem dłoni likwidując zacieki na ścianie.

- Do Lucka? - Dłoń z kluczem oplecionym srebrnym węzłem zatrzymała się w powietrzu. - Dlaczego?

- Krótko mówiąc, Lucek ma ogólnie wszystko w dupie, a zwłaszcza nas. Sądzę, że słysząc o twoim wybryku, może się nawet ucieszyć, że pozbył się kłopotu, czyli Wiki.

- Tym bardziej nie będzie chciał mi pomóc.

- Jeśli nie będzie chciał pomóc, to go postraszysz, że powiesz Gabrielowi. Lucek się wkurzy, że znowu będzie się musiał tłumaczyć przed Archaniołem z poczynań swoich poddanych, i pomoże ci.

Beleth uśmiechnął się szeroko.

- Masz rację! Dzięki!

Przekręcił wprowadzony w ścianę klucz sześć razy. Z rozmachem otworzył drzwi i pewnym krokiem wszedł do sekretariatu Szatana.

- A w każdym razie mam nadzieję, że ci pomoże, bo inaczej napytasz sobie biedy, mój drogi - dokończył Azazel, kiedy przejście zniknęło i przystojny diabeł nie mógł go już usłyszeć. Zerknął na rozbity koniak i szereg pustych butelek w pobliżu kanapy Beletha. Poweselał. - Za to ja sporo wtedy oszczędzę na drogim alkoholu.

Otworzył szufladę biurka i wyjął z niej pęk ziół. Powąchał je. Jego wzrok zaszklili się.

- Achhhh... lubczyk... - westchnął z uwielbieniem.

* * * *

Belfegor, sekretarz Szatana oraz jedyny diabeł transwestyta, zawzięcie piłował paznokcie, zerkając spod czarnych, umalowanych grubo tuszem rzęs na czekającego przed windą Beletha.

Oparł głowę na dłoń i powiedział wysokim głosem:

- Jestem pewien, że szef zaraz cię przyjmie. Na pewno nie będziesz długo czekał.

Diabeł w odpowiedzi kiwnął nieprzytomnie głową i przeczesał dłonią włosy. Pomimo całej buńczuczności i energii obawiał się reakcji Szatana. Nigdy nie można być do końca pewnym, jak zachowa się władca Piekieł.

Belfegor założył nogę na nogę i westchnął bezgłośnie, przygryzając uszminowaną wargę. Ależ ten Beleth był śliczny. Mógłby go schrupać na miejscu. Z butami.

Demonicznej sekretarce podobał się kiedyś Azazel, jednak nie okazał się godny uczuć delikatnego Belfegara.

Poprawiający nerwowo włosy diabeł miał jeszcze jedną zaletę. Był wolny.

Drzwi windy otworzyły się z cichym świstem. Lucyfer piastujący stanowisko Szatana był gotowy, by przyjąć diabła na audiencję.

- Powodzenia, przystojniaku. - Belfegor pomachał Belethowi na pożegnanie.

Władca Piekieł siedział rozparty w czarnym skórzanym fotelu obrotowym, bezmyślnie klikając myszką komputera. Beleth westchnął z żalu i tęsknoty. Chciałby być na jego miejscu. Kiedy włamywał się tutaj wieki temu z Wiktoria, usiadł na chwilę w fotelu Szatana. Był naprawdę wygodny.

Lucyfer podniósł wzrok. Do jego gabinetu wszedł diabeł Beleth. Nie przepadał za nim. Razem z Azazelem wielokrotnie doprowadzali go do płaczu, chociaż nigdy nikomu się do tego nie przyznał. Chwile słabości lepiej zostawiać w tajemnicy. Zwłaszcza kiedy jest się najpotężniejszym diabłem w całym Piekie, głównym adwersarzem dobra. Inni mieszkańcy Niższej Arkadii zrobiliby z niego pośmiewisko na całe Podziemie, gdyby dowiedzieli się, że pisze ckiwe wiersze i kocha kwiaty. Zwłaszcza konwalie.

- Czego chcesz? - wycedził.

Nie zaproponował gościowi, by usiadł. Beleth nie był zaproszony. Wymusił na Belfegorze wepchnięcie go w zapełniony do maksimum kalendarz Szatana. Lucek nigdy nie potrafił odmówić sekretarce. Zgodził się na tę niezaplanowaną audiencję tylko ze względu na sympatię do podwładnego.

Władca Piekieł nie wyobrażał sobie, co by się stało, gdyby Belfegor postanowił zrezygnować z pracy. Nikt nie potrafił robić takiej herbaty jak on.

- Mam pewien problem - stwierdził Beleth. - A raczej my wszyscy mamy pewien problem.

Blondwłosy Lucyfer lekko pobladł. Jego pierś ukryta pod białą koszulą z szerokim żabotem zaczęła poruszać się w rytm nerwowego oddechu.

- Co znowu zrobił Azazel? - zapytał głucho.

- Nie, Azazel nic nie zrobił. - Beleth szybko pokręcił głową.

- Nic? - upewnił się Lucek.

- Zupełnie nic - potwierdził. - To raczej ja narobiłem trochę kłopotów.

Szatan odprężył się. Jeżeli Azazel rzeczywiście nie maczał w tym swoich podstępnych, śmierdzących kłamstwem palców, to na pewno nie mogło to być nic straszego.

- Co zrobiłeś? Nie martw się, pomogę ci - zaproponował dobrodusznie.

- Zabiłem Wiktorię podczas próby morderstwa Piotra i wysłałem ją niechcący do Tartaru.

Spokojny uśmiech na twarzy Lucyfera stężał. Mrugnął kilka razy, zanim odezwał się drewnianym głosem:

- Przepraszam, ale chyba nie dosłyszałem. Co ty właśnie zrobiłeś?

- Zabiłem Wiktorię. Na śmierć.

Lucyfer poczuł pod powiekami łzy. Na ekranie komputera, na którym przed chwilą układał pasjansa, pojawił się wygaszacz. Fotomontaż przedstawiający Lucyfera przytulającego Angelinę Jolie. Nawet ulubiony obrazek nie potrafił poprawić mu teraz nastroju.

- Co proszę...? - wydukał.

- Zabiłem...

- Słyszałem, imbecyilu!!! - Lucyfer wrzasnął piskliwie.

Sześć pięter niżej Belfegor podskoczył metr do góry przestraszony nagłym i bardzo głośnym atakiem szału swojego szefa. Pokiwał głową. Żeby poprawić mu nastrój, na podwieczorek będzie musiał podać ciasto czekoladowe z polewą adwokatową. Z tą myślą wrócił do swoich zajęć.

Szatan odchrząknął zakłopotany. Czasami, kiedy bardzo się zdenerwował, głos podnosił mu się niespodziewanie o kilka dźwięków w górę.

Albo o kilkanaście...

Beleth zapobiegawczo pochylił głowę w pełnej skruchy pozie. Liczył, że wzbudzi tym litość Lucyfera.

- Obiecałeś, że mi pomożesz - mruknął cicho.

- Na całe moje szczęście jestem cholernym Szatanem i mogę zmienić moje cholerne zdanie!

Przypominając sobie dobrą radę Azazela, Beleth odetchnął i powiedział:

- Zastanawiałem się, czy nie zgłosić się z moim... problemem do Gabriela, ale postanowiłem zwrócić się do ciebie. Proszę o pomoc, Szatanie.

- Ty cholerny, zadufany w sobie niewdzięczniku - wycodził władca. - Myślisz, że masz mnie w kieszeni?! Myślisz, że przestraszę się tej ukrytej groźby?! Już ty mnie, dupku, popamiętasz!

Niewysoki Lucyfer zerwał się ze swojego krzesła i podszedł do ściany. Odchylił wiszący na niej obraz, *Ostatnią Wieczerzę* Leonarda da Vinci. Za nim, ukryty pod przezroczystą klapką, znajdował się spory czerwony przycisk. Tuż nad nim wisiała tabliczka z napisem: „Używać tylko w nagłej potrzebie, o której nie mówi artykuł 7”.

Artykuł siódmy, siedemdziesięciosiedmiostronicowy dokument leżący głęboko w dolnej szufladzie, był wykazem najróżniejszych zdarzeń, takich jak „pojawienie się czarnej dziury w miejscu publicznym”, „ujawnienie tożsamości

diabła w towarzystwie śmiertelnika" czy „zamieszki w Piekło". Z całą pewnością nie było tam pozycji „zabicie na śmierć". Lucyfer odsunął szybkę i z satysfakcją wcisnął guzik. W tym samym momencie wydarzyły się dwie rzeczy.

Pierwszą był stukot za plecami Beletha. Przestraszony diabeł odwrócił się przekonany, że guzik umożliwił Lucyferowi szybką eliminację nieposłusznego podwładnego. Pomylił się jednak. Wysoki drewniany krzyż noszący na sobie ślady gwoździ i krwi, jeden z licznych historycznych eksponatów w prywatnym muzeum Szatana, drgnął. Nagromadzony przez wieki kurz opadł na podłogę, kiedy krzyż razem ze ścianą przesunął się, odsłaniając ukryte za nim drzwi windy.

Wyświetlacz nad srebrnymi skrzydłami ożył. Najpierw zrobił się cały niebieski, a następnie wyświetlił napis: „Niebo".

- To winda ekspresowa - wyjaśnił gorzko Lucyfer i z powrotem zasiadł na swoim fotelu.

W tej samej chwili, mała czerwona lampka zapaliła się na biurku pewnego putta, który w tym tygodniu pełnił dyżur w Pokoju Alarmowym. Pulchny człowieczek podskoczył zaskoczony. Słodkie blond loczki opadły mu na oczy, a najnowszy numer „Playboya" zsunął się na podłogę. Obok lampki stała dopiero co napoczęta butelka whisky i pusta szklanka. Putto poczekał chwilę, ale lampka była nieubłagana. Nie chciała zgasnąć. Poprawił zsuwające się majteczki i pognał na swoich krótkich nóżkach w poszukiwaniu Archanioła Gabriela. Sprawa była poważna i niecierpiąca zwłoki. Ostatni raz lampka zaświeciła się podczas wielkiego wymierania dinozaurów.

Lucyfer i Beleth nie czekali długo. Po kilkudziesięciu sekundach ściany zaczęły drżeć, a dobiegające zza drzwi windy metaliczne wibracje wciąż narastały. Nagle rozległ się głośny huk, drzwi otworzyły się ze zgrzytem, a ze środka buchnął tuman kurzu. Głośno kaszłąc, z wnętrza wiekowego urządzenia wytoczył się Gabriel. Miał na sobie poplamioną szatę oraz tylko jeden sandał. Na drugą stopę włożył dziurawą skarpetkę.

- Co się...? - nie zdołał dokończyć, bo zaniósł się spazmatycznym kaszlem.

- Gabryś, jesteś ucieleśnieniem anielskiego władcy - zakpił Szatan.

Archanioł otrzepał szatę i spojrzał na niego ponuro załzawionymi oczami.

- Wybiegłem tak jak stałem - wytłumaczył się. - Możesz mi wyjaśnić, co się dzieje? Jaki Armagedon tym razem szykują twoi podwładni?

Lucyfer się zaczerwienił.

- Beleth zabił Wiktorię - wymamrotał.

Gabriel pstryknięciem palców stworzył sobie białe proste krzesło obok obrotowego fotela Szatana. Nie sądził, że władca Piekła będzie tak miły i zaproponuje mu miejsce do siedzenia.

- Jak to zabił Wiktorię? - zdziwił się, a kiedy zdał sobie sprawę z tego, co przed chwilą usłyszał, jego spojrzenie stężało. Odwrócił się do Lucka. Jego

orzechowe oczy zalśniły ledwo skrywaną złością. - Chcesz mi zakomunikować, że Wiktoria trafiła do Piekła i zostanie diablicą? - wycodził.

- Nie, mój drogi - w głosie Lucyfera pobrzmiwała furia. - Wiktoria nie trafiła do Piekła.

Gabriel posłał pytające spojrzenie Belethowi.

- Jak to? Przecież nie trafiła do Nieba. Pamiętałbym o tym. Moje putta musiałyby mnie o tym poinformować. Nie przegapiłbym czegoś takiego.

- I tu pies pogrzebany - warknął Lucek. - Nasz kochany Beleth wpakował Wiktorię do Tartaru.

Archanioł zamrugał. Przez chwilę milczał, wpatrując się pustym wzrokiem w skruszonego diabła, który pod ciężarem tego spojrzenia momentalnie zmalął.

- Jak to, do jasnej cholery, do Tartaru?! - Gabriel grzmotnął pięścią o biurko.

Lucek i Beleth wytrzeszczyli oczy. Jeszcze nie widzieli Archanioła rozwścieczonego. Ba, nie słyszeli, żeby publicznie przeklinał.

- To twój pomysł, Lucyferze? - furia Gabriela skierowała się na władcę Piekła. - Kolejny sposób na to, żeby pozbawić mnie pracownicy, na której mi zależy? Musisz psuć wszystko, co sobie postanowię?!

- W żadnym wypadku. - Lucyfer wyciągnął dłonie przed siebie w obronnym geście. - Nie miałem o tym pojęcia, przysięgam. To była samowolka Beletha. Podejrzewam, że Azazel też maczał w tym palce.

- Nie - zaprotestował szybko diabeł. - Azazel mi nie pomógł. To był mój pomysł. Chciałem usunąć Piotra z życia Wiktorii, ale ona się w to wmieszała i przypadkiem zginęła. Azazel nawet nie podsunął mi tego pomysłu. Wiki na pewno jest w niebezpieczeństwie i się boi. Musimy ją ratować.

Cisza, która zapadła w gabinecie, była tak ciężka, że spokojnie dałoby się ją kroić nożem.

- Ratować? - wycodził Szatan. - Czyś ty zwariował? Ona trafiła do Tartaru. Stamtąd nie można nikogo wyswobodzić. Tam się wysyła ludzi, jak się chce, żeby nikt ich nie mógł uratować. Prawda, Gabrielu?

- W rzeczy samej. - Archanioł pokiwał głową.

Beleth zagryzł mocno zęby. Nie podejrzewał, że sprawy przyjmą taki obrót. Najwyraźniej zamiast pomóc Wiktorii, sam wpakował się w kłopoty. On jeszcze to przeżyje, ale kto teraz pomoże Wiki? Na Azazela nie mógł liczyć. Może Piotr gdzieś zainterweniuje, kiedy się dowie, że diabły go oszukały. Czy jednak zwykły śmiertelnik ma w ogóle prawo głosu? Chyba nawet Iskra Boża mu tego nie zapewniała. A w każdym razie nie zapewniała mu niezbędnych sprzymierzeńców.

- Nic nie zrobicie? - zapytał. - Nie możemy jej tam zostawić.

Szatan oparł się mocno na oparciu i zaparł rękami o biurko, zupełnie jakby chciał znaleźć się jak najdalej od całej tej sprawy.

- Ja się do niczego nie będę mieszał - oznajmił. - Diabłom i aniołom nie wolno nawet zbliżyć się do Tartaru. Zamierzam zastosować się do tej zasady.

- Ale musi przecież być jakiś sposób. Na pewno go znacie. Musicie go znać. To wy władacie zaświatami - zaproponował Beleth.

Archanioł i Lucyfer spojrzeli po sobie zakłopotani.

- Nasza moc nie sięga Tartaru. - Gabriel pokręcił głową. - Nie wiemy, jak on wygląda. Nie wiemy, kto sprawuje w nim władzę, o ile ktokolwiek ją tam sprawuje. Nie potrafimy ci nawet powiedzieć, co dzieje się z Wiktoria. Musisz zrozumieć, że to nie od nas zależy. Tak jest skonstruowany świat.

- Właśnie. Tartar to nie nasze terytorium i nie nasza sprawa - mruknął Szatan.

- Czyli nic nie zamierzacie zrobić? - Beleth się zdenerwował. - Zostawicie ją na pastwę losu? Przecież obu wam tak na niej podobno zależy. Każdy z was chciał ją zatrudnić jako najlepszą pracownicę pod słońcem. Nic nie zrobicie?

Nie mógł w to uwierzyć. Obaj umywali ręce. Nie chcieli mieć z tym nic wspólnego. Niewyobrażalne!

- Ależ zrobimy. - Twarde spojrzenie Szatana wbiło się w diabła.

Gabriel pokiwał głową i westchnął zasmucony.

- Musimy ukarać cię za niesubordynację... - dokończył.

10

Przede mną stał Hitler. Jego oczka mrużyły się chytrze, a na twarzy panoszył się nieszczery uśmiech.

Na pewno chciał czegoś w zamian. Nie wyzna mi przecież za darmo, jak mogę się stąd wydostać. W Tartarze nikt nikomu nie wyświadcza bezinteresownych przysług.

- Słucham - powiedziałam ostrożnie.

- Och, nie możemy rozmawiać w takim miejscu. - Rozejrzał się niespokojnie dookoła, chociaż żywej czy nieżywej duszy nie było w pobliżu. - Zapraszam do mojego skromnego domu.

Teraz ja zmiażdżyłam go spojrzeniem. Uniósł do góry obie ręce w obronnym geście.

- Spokojnie. Wiem, że jeśli tylko spróbuję cię skrzywdzić, pstryknięciem palców zamienisz mnie w obłok pary.

- Albo w coś gorszego - mruknęłam ponurym głosem. Nie stracił werwy. Wskazał mi drzwi.

- To jak? Idziemy?

Wyszliśmy na ulicę. Wyglądała identycznie jak rano. Mimo że upłynęły godziny, oświetlenie się nie zmieniło. Wciąż panował szary dzień. Kryształ na sklepieniu jaskini nawet nie usiłowały imitować promieni słońca.

Nieliczni przechodnie umykali z głównej ulicy, którą przemierzaliśmy spacerowym krokiem.

- Chyba się boją führera - zauważyłam.

- Mnie?

A może rzeczywiście to na mnie zerkali z niepokojem? Przemalowanie budynku chyba nie przyniosło mi dobrej sławy w szalonym społeczeństwie Tartaru.

Dom Hitlera okazał się kolejną ponurą kamienicą, tyle że Adolf był jej jedynym mieszkańcem.

Zaprosił mnie do surowo umeblowanego salonu, znajdującego się na piętrze. Poza nim w budynku było raptem jeszcze tylko pięć pomieszczeń. Skromny metraż nie odbierał jednak byłemu kanclerzowi Niemiec animuszu.

Usiadłam na zniszczonym fotelu. Plusz był wytarty, a gąbka wypełniacza ubita. Mebel stał tu od bardzo, bardzo dawna.

- Może miałybyś ochotę na herbatę albo kawę? - zaproponował, usiłując grać rolę dobrego gospodarza. - Mam też alkohol, jeżeli takie będzie twoje życzenie.

- Herbatę - odparłam.

Hitler otworzył drzwi na korytarz, wysunął głowę i ryknął na całe gardło:

- HERBATA!!! DWA RAZY!!!

Posłałam mu zaskoczone spojrzenie, gdy usiadł obok mnie. Lekko zmieszany wyjaśnił:

- Moja gospodyni jest odrobinę przygłucha. Niemniej znakomicie się sprawdza. Do Tartaru trafiła za mordowanie dzieci po lasach. Chyba truła je czymś. Nie pamiętam dokładnie.

Z mieszanymi uczuciami spojrzałam na obtłuczony dzbanek do herbaty, który po chwili przyniosła. Filizanki nie były w lepszym stanie.

Starsza kobiecina z powykręcanyimi artretyzmem dłońmi spojrzała na mnie ponuro. Głębokie zmarszczki znaczyły jej zapadnięte policzki. Kiedy posłała mi coś na kształt uśmiechu, zauważyłam, że brakowało jej sporej części zębów, a te, które jakimś cudem się ostały, były spiłowane na kształt wilczych kłów.

Mieszkańcy Tartaru nie mogli się odmładzać lub postarzać. Musieli spędzić wieczność w postaci, w jakiej spotkał ich koniec. Zamknięcie w zniszczonym, niedołącznym ciele do końca świata to straszna kara, której nie musiano cierpieć w Niebie czy nawet w tak źle postrzeganym przez żyjących Piekło.

- Pozwól, że naleję - pospieszył Adolf, gdy tylko za staruchą zamknęły się drzwi.

Przysunął do mnie pełną filizankę. Zerknęłam do środka. Herbata była przezroczysta. Czystego płynu nie maćił nawet małej cień esencji.

- Jest pan pewien, że to herbata? - zapytałam. - Chyba jeszcze nie naciągnęła.

Odchrząknął.

- Nie mamy herbaty. W Tartarze nie rośnie - wyjaśnił. - Ale jeżeli wystarczająco długo będziesz wyobrażać sobie, że to herbata, to zaręczam, że zaczniesz tak smakować. Siła perswazji zawsze działa.

Powąchał swoją filizankę i siorbnął głośno.

- Ach, zielona. Moja ulubiona - westchnął z zachwytem. Zbita z tropu odstawiłam nietknięty napój. Czas uciekać z tego domu wariatów. Klasnęłam w dłonie.

- Chyba będę już szła - oświadczyłam, wstając.

- Zaczekaj! - krzyknął, poważniejąc. - Jeszcze nie porozmawialiśmy.

- Myślałam, że bawi się pan w herbatkę u Kapelusznika - mruknęłam, niechętnie wracając na miejsce.

Nie zrozumiał dowcipu. Wpatrywał się we mnie z wściekłością swoimi małymi czarnymi oczkami. Włosy też miał czarne. Nigdy nie potrafiłam pojąć, dlaczego według niego to blondyni o niebieskich tęczęwkach mieli być wybraną rasą i idealnymi Niemcami. Jemu samemu daleko było do tego ideału.

- Mieliliśmy porozmawiać o tym, w jaki sposób będziesz mogła wrócić na Ziemię lub do innych zaświatów - przypomniał mi.

Założyłam nogę na nogę i wzięłam do ręki filizankę.

- Słucham uważnie.

Zbliżając filiżankę do ust, zdałam sobie sprawę, że mam wypić zwykły wrzątek. Odstawiłam ją na stół.

- Panno Wiktorio, zanim jednak o tym porozmawiamy, chciałbym, żeby pani zrozumiała, dlaczego chcę podzielić się z nią tą wiedzą.

Wiedziałam, że będzie jakiś haczyk. Pewnie mam mu pomóc zdobyć władzę nad światem, przywrócić go do życia, wskrzesić Trzecią Rzeszę albo zadziałać w sprawie postępującej łysinki.

- Zamieniam się w słuch.

- Może nim zacznę, wołałaby pani napić się czegoś innego? - zaproponował. - Nawet nie tknęła pani herbaty...

- A czy kawa wygląda tutaj tak jak herbata?

- Niestety kawa także nie rośnie w Tartarze. Mogę jednak zaproponować pani wódkę, a raczej bimber własnoręcznie pędzony w piwnicy. Muszę bowiem wyjaśnić, że w naszych Podziemiach rosną wyłącznie ziemniaki. Możemy zatem produkować alkohol.

Przynajmniej mają frytki.

- To poproszę - odparłam.

Podszedł do małego barku za swoimi plecami. Otworzył drzwiczki i sięgnął do krzywej butelki. Nalał mi solidnie do kieliszka.

Menisk wypukły. Zupełnie jak na studenckich imprezach. Poczulałam ukłucie żalu. Chcę na taką imprezę. Zwyczajną, nudną, z muzyką, której nie lubię, i co najważniejsze... z żywymi ludźmi. Choćby nawet głupimi.

Przyjęłam toporne naczynko i podniosłam do ust. Zapach mnie odrzucił, ale mimo wszystko wołałam nie wkurzać mojego gospodarza. Upiłam łyk. Ogień zapiekł mnie w przetyku. Hitler miał rację. Wódka była jedynym napojem, który udawało się w Tartarze zrobić porządnie.

Zamyśliłam się. Jeśli nie uda mi się stąd uciec, zawsze mogę otworzyć sklep, w którym oferowałabym wytworzone przez siebie produkty. Mieszkańcy Podziemi zabijaliby się o moją kawę czy herbatę.

- Jeżeli chodzi o powód, który mną kieruje, to jest to oczywiście chęć przeciągnięcia pani na swoją stronę. Wiem, że także Kuba zamierza zaprosić panią na herbatę. Jestem rad, że udało mi się pierwszemu to uczynić.

- Co pan rozumie przez „przeciągnięcie mnie na swoją stronę”?

- Och, nic takiego. Byłoby mi po prostu miło, gdyby pani uważała mnie za swojego przyjaciela i w razie ewentualnego konfliktu stanęła za mną, a nie po stronie mojego oponenta. - Siorbnął donośnie nieistniejącą herbatę. - Może mi się kiedyś przydać mała nadprzyrodzona przysługa.

- Rozumiem - wymamrotałam i zapytałam rzeczowo: - Chce pan zdobyć władzę w Tartarze?

- Od razu władzę - zachnął się. - Uważam po prostu, że przydałoby się tutaj parę drobnych zmian, które blokują niestety pewne osoby z mojego otoczenia. Nie wie pani jeszcze, ale poza naszą trójką władzę usiłuje zdobyć kilka osób.

- Tak? - Wychyliłam kolejny kieliszek. - A kto?

- Na przykład Kaligula, Dżyngis-chan, Stalin, Lenin oraz, zapewniam panią, wielu, wielu innych.

- Czyli jeśli dobrze zrozumiałam, to kiedy ktoś będzie chciał pana zepchnąć ze stołka, to ja mam mu nie pozwolić?

- Nie jest powiedziane, że akurat o taką pomoc poproszę. Jeśli tak, to byłbym wdzięczny, gdyby była pani tak miła...

- I wszystko to za wyjawienie mi sekretu powrotu na Ziemię lub do dobrych zaświatów?

- Oczywiście. Powiem wszystko, co pani zechce. Bardzo szczegółowo.

Postanowiłam przez chwilę się z nim potargować. Coś tu śmierdziało i na pewno nie był to bimber.

- A nie oczekuje pan ode mnie zbyt wiele? Mam być pana ochroniarzem i opowiadać się za panem, kiedy tylko pan zechce, za wyjawienie mi małego sekretu? Jednego sekretu? Jestem pewna, że Kuba Rozpruwacz także będzie chciał się nim ze mną podzielić. Możliwe, że za mniejszą cenę.

Hitler poczerwieniał.

- Panno Wiktorio, proszę się zastanowić. Przecież bardzo pani pragnie wrócić...

- Zgodzę się, jeśli w zamian za wyjawienie sekretu pomogę panu raz. Tylko jeden raz, i to tylko wtedy, gdy mnie pan o to poprosi. Nie rzucę się panu na ratunek, jeśli sam pan tego nie zażąda i nie powie mi, że czegoś chce. Rozumie pan, Adolfie? Będzie musiał pan dokładnie sprecyzować, że chciałby, żeby coś się stało.

Hitler zagryzł wargi, jednak po chwili uśmiechnął się do mnie nieszczercze.

- Zgadzam się - oświadczył. - Jednorazowa pomoc w zupełności mi wystarczy.

Wspaniale. Z ochroniarza byłego führera awansowałam na złotą rybkę... Nagle do głowy wpadła mi pewna myśl. Jeśli Hitler powie mi, w jaki sposób mogę się stąd wydostać, to niby jakim cudem miałabym tu potem zostać i mu pomagać?

Coś tu nie pasowało.

- Sekret wyjawi mi pan teraz czy dopiero po udzieleniu pomocy? - usilnie szukałam jakiegoś ukrytego haczyka.

- Oczywiście, że wyjawię go teraz - uśmiechnął się nieszczercze. - Jako przyjaciele powinniśmy sobie ufać, czyż nie?

Zamarłam w oczekiwaniu.

- Może pani podróżować po całym wszechświecie za pomocą swojej projekcji astralnej - wyjaśnił krótko i zadowolony z siebie rozsiadł się wygodnie w fotelu.

- Hę?

- Jako duch. Wymyślił to jeden z tybetańskich mnichów, który do nas jakimś cudem trafił. To tak zwane wychodzenie z ciała.

Ciała? Ciała?! Czy jego coś...?!

- Ale my nie mamy ciała... - wycedziłam.

- Mimo wszystko wychodzenie działa, nie powinniśmy narzekać. - Wzruszył ramionami i siorbnął herbaty-wody.

Nie satysfakcjonowało mnie takie rozwiązanie. Ja chciałam wydostać się stąd na dobre, a nie tylko na chwilę. Powiedziałam o tym Hitlerowi.

- Niestety jest jeszcze jedna słaba strona - odpowiedział. - Jako projekcje astralne nie posiadamy wcześniej wspomnianego ciała. Nie możemy więc poruszać przedmiotami ani nie jesteśmy widzialni dla nikogo. Nikt nas też nie słyszy. Jesteśmy jednak mobilni, a to bardzo wygodne.

- Czyli możemy tylko podglądać? - prychnęłam.

Nagle stało się jasne, skąd Hitler, Kuba Rozpruwacz i Neron tyle wiedzieli o Iskrze Bożej i o moich kolejnych wpadkach. Po prostu nikt nie wie, że oni potrafią wkraść się wszędzie niezauważeni.

Zaczerwieniłam się. To znaczy, że mogli podglądać zawsze. Także w nocy, za zamkniętymi drzwiami sypialni.

- Podglądanie jest brzydkim określeniem - skrzywił się. - Raczej go nie używamy.

- A jakiej nazwy używacie? Ciche zerknięcie? - zakpiłam.

- Odwiedziny.

Adolf Hitler podźwignął się ze swojego miejsca. Minę miał podniosłą, nie posłał mi nawet jednego uśmiechu. Chyba miał ochotę wysunąć rękę w swoim słynnym geście.

- To jak panno Wiktorio? Idziemy w odwiedziny?

- Dokąd? - Także wstałam, zrezygnowana.

Nie opłacało się zgadzać na jego warunki. Nie powinnam była tego robić. W niczym mi nie pomógł.

- Niech pani wybierz miejsce. Mnie jest wszystko jedno. Pragnę tylko pokazać pani, jak możemy się przenosić.

Był zbyt miły.

- Gabinet Szatana - zasugerowałam.

Szczerze wątpiłam, żeby udało się nam tam dostać. Taka kwatery powinna być specjalnie chroniona, wzmocniona jakimiś superzaporami anty szpiegowskimi. Kto jak kto, ale Lucek ma manię na punkcie ochrony swojego gabinetu i pewnego małego drzewka.

- Nic prostszego. - Uśmiechnął się do mnie nieszczercze. - Zapraszam serdecznie za mną.

Podeszliśmy do drzwi prowadzących na korytarz. Były führer posłał mi pełne wyższości spojrzenie.

- Kwatera Szatana! - krzyknął.

- Nie tak głośno, stoję przecież obok - mruknęłam, masując ucho.

- Inaczej drzwi mogłyby nie usłyszeć - odparł bardzo skruszony.

- Drzwi?

Nie odpowiedział. Zaśmiał się tylko złośliwie i pociągnął za klamkę. Po drugiej stronie powinien znajdować się szary korytarz Hitlera.

Powinien... ale się nie znajdował.

Przed moimi oczami był gabinet Szatana.

Z Szatanem w środku.

Jednak nie tylko z nim. Do zestawu dodano jeszcze Archanioła Gabriela i... diabła Beletha.

11

Przekroczyłam próg. To było niesamowite. Weszłam do gabinetu Szatana. I to na dodatek drzwiami, których nikt poza nim nie mógł używać. Udało mi się coś, czego jeszcze nikt nie dokonał. Było tylko jedno „ale”.

Mojego wielkiego wejścia nikt nie zauważył...

- *Nie widzą mnie* - jęknęłam.

- *Oczywiście, przecież ci to tłumaczyłem* - oświadczył dumnym głosem byłego przywódcy i tyraństwa Hitler. - *Jesteś tylko i wyłącznie projekcją astralną. Widzieć mogą cię inne projekcje, ale nie mieszkańcy pozostałych zaświatów czy Ziemi.*

Na początku nie zauważyłam w moim towarzyszczu żadnej różnicy. Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że był szary. Owszem, mundur w tym kolorze cały czas znajdował się na jego ciele. Teraz jednak także jego twarz i niegdyś czerwona chustka na szyi przybrały tę barwę.

Kolejną niepokojącą rzeczą było to, że widziałam przez niego meble...

Spojrzałam na swoje ręce. Były poszarzałe i półprzezroczyste.

Adolf zdawał się nie być zdziwiony otoczeniem. Nie rozglądał się ciekawie, nie podziwiał prywatnego muzeum Szatana, który miał w swojej sporej kolekcji krzyż Jezusa i procę Dawida.

Hitler ominął wszystkie gabloty i zbliżył się do ogromnego biurka, by bezczelnie podsłuchać prowadzoną tam rozmowę.

- *Już tu pan był?* - zapytałam go i podeszłam do Beletha.

- *Żeby to raz.* - Wzruszył ramionami i natychmiast przestał zwracać na mnie uwagę, skupiony na dyskusji.

Bezczelny drań.

Spojrzałam na mojego diabła i mimowolnie się uśmiechnęłam. Tęskniłam. Było to upiorne uczucie, biorąc pod uwagę, że wysłał mnie do Tartaru. Nie mogłam jednak się powstrzymać. Tyle się go ostatnio naszukałam, żeby mu powiedzieć, że dla niego zerwałam z Piotrem. Pytanie - czy był tego wart?

Wyglądał na zmęczonego. Bardzo zmęczonego. Nie wiedziałam, że idealne diabły mogą mieć podkrążone oczy i potargane włosy. Przecież one były na to zbyt perfekcyjne. Istoty piekielne nie mogły zepsuć swojego imageu wiecznych przystojniaków o tajemniczym, zmysłowym, niebezpiecznym uśmiechu czającym się w kąciiku ust.

- *Beleth!* - zawołałam. - *Beleth! Słyszysz mnie? To ja, Wiktoria! Utknęłam w Tartarze! Beleth!*

- Nie wiem - powiedział.

- *Czego nie wiesz?* - byłam zbita z tropu. - *Przecież wszystko ci mówię!*

- Nie wiem - powtórzył - Lucyferze, Gabrielu. Naprawdę nie wiem, co sobie myślałem. Przepraszam.

Odsunęłam się. Stałam na linii jego wzroku, ale poza mną był też Szatan. Miał minę zblazowanego władcy. Wydawało się, że nie pierwszy raz słyszał takie wyjaśnienie.

- To nie nas powinienes przeprosić. - Archanioł pochylił głowę w zadumie.

- A co mi po przeprosinach?! - wybuchnął w tym samym momencie Lucek. - Ty chyba nie zdajesz sobie sprawy, co narobiłeś! Nie dość, że przez swoją samowolkę pozbawiłeś mnie doskonale wykwalifikowanej pracownicy...

- Albo mnie, jeśli łaska - wtrącił Gabriel. - Nie zapominaj o tym.

- ...to na dodatek wysłałeś do Tartaru osobę posiadającą Iskrę Bożą i moce piekielne. - Szatan zdawał się nie słyszeć uwagi Archanioła. - Czy ty zdajesz sobie sprawę, do czego Wiktoria jest zdolna?! Wszyscy wiemy, do jakich kataklizmów potrafi doprowadzić „przypadkiem”.

- Hej! - zawołałam urażona, mimo że i tak nie mogłam zostać przez nikogo usłyszana.

Mógł sobie darować tę ironię i znak cudzysłowu, kiedy wypowiadał słowo „przypadkiem”. Przecież ja naprawdę niczego nie planowałam. Wszystko wychodziło mi samo...

- A co się stanie, jeśli rozżłoszczona postanowi spowodować jakąś katastrofę?! - kontynuował przemowę. - To może być koniec świata, jaki znamy! Ona może doprowadzić do upadku Porządku! Nie jakiegoś tam porządku, ale Tego Porządku!

- Mam tego świadomość - cicho odpowiedział przystojny diabeł.

- Najwyraźniej nie! - jak przystało na władcę Piekieł, Lucyfer pieklił się dalej.

Archanioł potarł skronie. Kasztanowe włosy miał w nieładzie. On także wyglądał niespotykanie. Zaraz... czyżby zapomniał sandała? I miał dziurę w skarpetce? Co się tutaj dzieje?

- Mój drogi bracie, nic nie zdziałamy krzykiem - rzekł spokojnym głosem. - Jedynie może nas od tego rozboleć głowa. Mnie już boli.

Szatan głośno oddychał przez nos i bębnił wściekle palcami o blat swojego biurka. Gabriel siedzący obok niego na dość lichy wyglądającym krzeselku uśmiechnął się smutno do Beletha.

- Rozumiemy, że targały tobą ogromne emocje - powiedział.

- Gówno rozumiemy... - wymamrotał Szatan.

- Ale... - Archanioł spiorunował wzrokiem władcę Niższej Arkadii. - Musisz zrozumieć, że postąpiłeś nieroztropnie. Już za sam fakt przekupienia Śmierci powinna cię spotkać surowa kara.

Śmierć?! A to cholera! Ja ją uważałam za przyjaciółkę, nawet znalazłam jej chłopaka, a ona wykręca mi taki numer?! No, żeby już nikomu nie można było ufać?!

Nawet Śmierci?!

Mydliła mi oczy, że jasne, ktoś pewnie dał komuś łapówkę. Szkoda tylko, że zapomniała dodać, że to ją przekabacił na swoją stronę Beleth, żeby nie poinformowała władz o jednym małym zgonie. Kto to słyszał?! Zagrać o życie to nie, bo mi się nie chce, ale dać w niewidzialną łapę to jak najbardziej! Kłamliwa poczwara!

Gotowałam się ze złości, a oni nadal dyskutowali o tym, co teraz powinno stać się z Belethem. Szatan gorąco sugerował, żeby zamknąć diabła na zawsze w piekielnym więzieniu i jeszcze potraktować gorejącym mieczem.

- Nie, Lucyferze - zaprotestował Gabriel.

- Nie?! Dlaczego nie?

- Nie godzi się... Czyn diabła jest godny potępienia. To była zemsta na śmiertelniku, która, nawiasem mówiąc, i tak nie umożliwiłaby związku z Wiktoria, bo ona także jest śmiertelniczką. - Spojrzał ostro na Beletha.

- Teraz już nawet nie jest śmiertelniczką - prychnął władca Piekieł. - Stała się potępioną duszą, skazaną na wieczną udrękę.

Mój przystojny diabeł wyglądał, jakby skurczył się w sobie. Nie uszło to uwadze Gabriela. Archanioł uśmiechnął się znacząco.

- Czyżbym widział żywe emocje targające twym sercem? - zapytał cichym głosem. - Zdajesz sobie sprawę, że jest to zabronione. Miłość do człowieka jest zakazana. Możesz przez to stanąć oko w oko z zagładą.

- Nie ja jeden popełniłem taki błąd - mruknął Beleth, patrząc mu prosto w oczy.

Mięsień na policzku Gabriela zadrżał.

- Są różne rodzaje miłości... - odparł wymijająco.

- Moja jest czysto fizyczna. Zapewniam. - Diabłu było już wszystko jedno. Nie zamierzali mu pomóc. Wszystko było stracone.

Zbliżyłam się jeszcze bardziej. Miałam teraz Beletha na wyciągnięcie ręki. Dotknęłam go. Moja dłoń przeszła przez jego ramię. Nie poczułam żadnego oporu. Naprawdę byłam tylko duchem.

Diabeł wzdrygnął się lekko i poderwał do góry głowę. Cofnęłam szybko dłoń.

- Nie. *Nie dotykamy żywych!* - pouczył mnie Hitler i odciągnął do tyłu. - *Oni bardzo tego nie lubią. Zwłaszcza jeśli są wyczuleni na energię astralną, którą promieniuujemy. A zapewniam, że diable i anioły takie właśnie są.*

Beleth rozejrzał się dookoła i potarł rękę w miejscu, w którym przeniknęło moje ciało. Miał tam gęsią skórę.

- Poczuliście? - zapytał zduszonym głosem. Władcy zaświatów byli zaskoczeni.

- Co niby mieliśmy poczuć? - wycedził Szatan. - Bo jeśli masz na myśli niebo walące ci się na głowę, to masz rację...

- Zaraz, zaraz. - Archanioł był wyraźnie zaniepokojony. - Co poczułeś?

- Zimno.

- *Scheiße, scheiße, scheiße!!!* - zawył Hitler. - *Mogą się domyślić, że tu jesteśmy!*

- *Przecież oni o nas nie wiedzą* - zauważyłam.

- *Wiedzą czy nie wiedzą, nie podoba mi się, że mogliby się domyślić. To nie są głupcy. Musi pani być ostrożna. Jeżeli znajdą sposób na uniemożliwienie nam podróżowania w rzeczywistość, wtedy mieszkańcy Tartaru będą na panią bardzo źli, moja panno! Ja także nie będę szczęśliwy! Scheiße!*

Przestałam zwracać uwagę na przeklinającego Niemca. Przyglądałam się Belethowi, który nadal masował rękę Przygryzłam wargę. Czy mój dotyk naprawdę był dla niego tak niemiły?

- Nie podoba mi się to. - Gabriel poruszył się niespokojnie na krześle.

- O czym ty pieprzysz?! - warknął Szatan. - Przeciąg na niego powiał. Nie doszukuj się tu jakichś łagodzących sygnałów. Musimy go uziemić. Dla przykładu. Nie pozwolę żeby inne moje diabły miały ochotę na samowolne zachowanie. - Zerwał się ze swojego obrotowego fotela i opierając o biurko, wrzasnął Belethowi prosto w twarz: - Macie wykonywać MOJE rozkazy i być MI posłuszni! Żadnej prywaty!!!

Diabeł pochylił głowę.

- Wiem, że popełniłem błąd.

Lucek był gotowy ukamienować go publicznie, byle tylko żaden inny diabeł (zwłaszcza Azazel) nie pozwolił sobie na niesubordynację. Jeszcze tego brakowało, żeby jakiś śmiałek (zwłaszcza Azazel) postanowił zacząć postępować według własnych zasad. Chociaż niektórzy (zwłaszcza Azazel) i tak już postępowali według odrobinę innych norm.

- Gównu wiesz - warknął Szatan i usiadł. Spojrzał na znieruchomiałego Archanioła. - A ty co? Mowę w gębę ci odebrało?!

- Bez zbędnych wulgaryzmów, bracie. Mam wrażenie że coś tu jest nie tak. W tym pomieszczeniu nie ma przeciągów, bo jak śmiem zauważyć, w twoim tajnym bunkrze nie ma okien.

Władcy Piekieł opadły ręce.

- Czyś ty zwariował? Możemy wrócić do konkretów? Trzeba tu kogoś szybko osądzić, „bracie”. Przestań mi tu pieprzyć o przeciągach. W dupie mam twoje przeciągi! Jak tak ci na nich zależy, to załatwię Belethowi celę, w której przeciągi będą cały czas, przez wieczność! Wieczność przeciągów „bracie”!

- Spokój ducha nigdy nie był twoją mocną stroną... - westchnął Archanioł.

Czerwony na twarzy Szatan skakał po całym pomieszczeniu, zupełnie jakby zaraz miał eksplodować.

- O nie, mój drogi. Ja jestem bardzo spokojny. Ty jeszcze nie widziałeś mnie wściekłego. Masz na to jednak szansę, jeśli szybko nie przejdziemy do meritum sprawy.

Doszłam do wniosku, że teraz właśnie pojawił się moment, w którym powinnam w odpowiedni sposób zadziałać. Mogłam zapobiec zamknięciu

Beletha na tysiące lat, o ile nie dłużej, w jakiejś wilgotnej celi. Na dodatek z przeciągami.

Odepchnęłam Hitlera i szybko doskoczyłam do Archanioła. Miałam go niczego niepodważającego tuż przed sobą.

- *Wybacz, Gabrielu* - wyszeptałam, a następnie przeszłam przez krzesło, na którym siedział.

Anioł zatrząsnął się, jakby miał febrę, i zaczął się rozglądać jak szalony.

- *Poczułem! Poczułem!* - zawołał.

- *Scheiße! Pani zwariowała?!* - wrzasnął histerycznie Hitler, łapiąc się za głowę. Pieczołowicie zaczesane włosy stanęły dęba, odsłaniając małą błyszczącą łysinę.

- *To jest moja jedyna szansa na wydostanie się z Tartaru* - powiedziałam.
- *Nie zamierzam jej stracić.*

- *Pożałuje pani tego* - warknął.

Był ode mnie silniejszy. Chwycił mnie za ramię i szarpnął gwałtownie w stronę drzwi. Nie podejrzewałam, że człowiek o jego posturze zdoła mnie unieść. Adolf bez wysiłku złapał mnie i zarzucił sobie na ramiona.

- *Nie!* - krzyknęłam. - *Niech pan mnie zostawi!*

- *Moja rezydencja!* - ryknął i szarpnął za widmową klamkę, która otworzyła przed nami widmowe drzwi.

W następnej chwili rzucił mnie niczym worek kartofli na podłogę w salonie w swojej kamienicy.

W gabinecie Szatana nikt nie zauważył, że wyszliśmy, żadne drzwi się nie poruszyły. Trwała tam teraz zacięta dyskusja na temat tego, co rzekomo poczuł Archanioł, a co według Lucyfera było tylko zwyczajnym przeciągiem.

Miałam nadzieję, że mój mały pokaz siły zapewni Belethowi trochę czasu na wolności albo że skłonię władców zaświatów do podjęcia próby wydostania mnie z Tartaru. Przecież na pewno znają jakiś sposób na uratowanie mnie.

A może zrobiłam głupstwo? Może niepotrzebnie pomogłam Belethowi? W końcu po raz kolejny przystojny diabeł mnie zamordował. Nie można było mu ufać.

Tyle że tym razem zrobił to niechcący.

Ja to mam problemy, prawda?

12

Hitler patrzył na mnie z nienawiścią. Oddychał ciężko przez nos. Najwyraźniej hamował się z trudem, żeby mnie nie uderzyć. Wstałam z godnością z podłogi i otrzepałam sukienkę z kurzu zalegającego parkiet grubą warstwą.

Trucicielka dzieci nie była zbyt dobrą gospodynią.

Adolf powstrzymał się przed użyciem wobec mnie siły. Dobrze wiedział, że gdyby tylko zadrżała mu ręka, pozbawiłabym go tej części ciała. Bez żadnych wyrzutów sumienia.

Najwyraźniej już z nich wyrosłam.

- Co ty sobie wyobrażasz, durna dziewczyno? - zapytał przez zęby.

Chyba dostał szczękościsku ze złości.

- A co pan sobie wyobraża? Myśli pan, że może mną rzucać o podłogę? Następnym razem nie będę dla pana miła.

- Ty zuchwała dziewucho. Powinnaś mieć w sobie trochę pokory!

- Pan także - odpowiedziałam bezczelnie. - Wciąż zapomina pan, że nie jestem zwykłą dziewczyną. Znajdę sposób, żeby się stąd wydostać. Pan mi w tym nie przeszkodzi.

Hitler wbił wzrok w ścianę. Wydawało mi się, że liczył w myślach do dziesięciu.

Udawałam hardą babę, ale w środku cała drżałam. Moje dawne ja upominało się o odrobinę pokory, której domagał się Hitler.

Nie przywykłam do bycia wredną i opryskliwą. To była dla mnie nowość.

- Droga panno Wiktorio - tak starał się zachować spokój, że z wysiłku aż zatrzęsł mu się głos. - Bardzo panią przepraszam za moje grubiańskie zachowanie, ale proszę zrozumieć, ile dla nas, Tartaryjczyków, znaczy możliwość powrotu na Ziemię lub podróże do innych zaświatów. To będzie olbrzymia strata, gdy nam to uniemożliwisz przez swoją głupotę. - Rozłożył szeroko ramiona. - Proszę wyrzecz przez okno. Wszędzie tylko szarość, ponury nastrój, strach i szaleństwo. Nie odbieraj nam jedynej rzeczy, która pozwala nam zachować normalność.

Poczułam się głupio. Miał rację. Byłam samolubna i zapatrzona w siebie. Nie czułam z Tartaryjczykami żadnej wspólnoty, nie obchodził mnie ich los. Nic nie mogłam na to poradzić. Nie chciałam mieć z nimi nic wspólnego.

Będzie gorzej, jeśli nigdy nie uda mi się stąd wydostać i będę musiała z nimi żyć, a raczej istnieć przez wieki.

To było tak straszne, że starałam się nawet nie dopuszczać do siebie tej myśli.

- Postaram się, żebyście nie stracili przeze mnie swoich praw - spokorniałam.

Hitler odetchnął z ulgą. Wyglądał, jakby nie całkiem uwierzył moim zapewnieniom, na razie jednak postanowił nie drażnić tego tematu.

- Dziękuję pani.

- Spoko...

- Hm... spoko?

- To znaczy, że nie ma sprawy - wyjaśniłam.

Wciąż zapominałam, że większość osób, które spotykam, nie zna wielu używanych przeze mnie słów.

- Wracając do mojej propozycji... proszę pamiętać o niej.

- Jakiej propozycji? - coś mi chyba umknęło.

- Propozycji przyjaźni, rzecz jasna. - Nieszczery uśmiech pojawił się na jego twarzy.

- Taaa... Niech się pan do mnie zgłosi, kiedy będzie pan potrzebował mojej pomocy - zbyłam go, mając nadzieję, że więcej go nie spotkam.

Miałam ochotę wybiec stąd natychmiast. Już wiedziałam, jak dostać się do innego świata. Znajdę sposób, żeby udowodnić Belethowi, że jeszcze istnieję cała i zdrowa na umyśle, choć ciała dzięki niemu już nie posiadam.

On mnie uratuje albo sama postaram się wydostać i będziemy żyć długo i szczęśliwie. Jak w bajce. Tylko bez białych rumaków, bo są duże, śmierdzą i trzeba je karmić i szczotkować.

Zaraz... zupełnie zapomniałam. Przecież ja umarłam. Nie będzie domu, męża, dzieci. Mogę najwyżej mieć konia. Dusze nie mogą mieć dzieci. Zresztą mój wybranek jest diabłem. On też nie może mieć dzieci.

Z drugiej strony nie będzie starości, niedołężności i chorób...

Ale, kurde... ja naprawdę lubię dzieci.

Odrobinę się załamalam. W momencie śmierci straciłam to wszystko. Znowu. Nie, to nie może się tak skończyć. Beleth musi cofnąć mnie w czasie. Po prostu musi to zrobić. A wtedy wszystko będzie tak jak dawniej.

- Chyba już pójdę - powiedziałam. - Dzięki za pokazanie mi możliwości... hm... powrotu.

Pożegnałam się z Hitlerem i opuściłam kamienicę. Przy wyjściu minęłam starszkę, która u niego służyła. Posłała mi ponure spojrzenie, jakby miała do mnie żal za to przedstawienie z herbatą, której nie ma. Chyba nie lubiła jej podawać. Ja też zresztą nie widziałam sensu w jej picciu.

Azazel poczułby się tu jak u siebie. Można mieć służących, w miarę swoich potrzeb psychicznych unieszczęśliwiać ich do woli, a jakby tego było mało, to na dodatek wszyscy i tak są już nieszczęśliwi z założenia. Naprawdę by tu pasował.

Myślałam, że po wyjściu z szarego domu odetchnę z ulgą, ale się myliłam. Szarość zaatakowała mnie ze zdwojoną siłą. Miałam dość ponurego, deszczowego nieba nad swoją głową. Posłałam w tamtą stronę silny promień mocy. Sklepienie jaskini zmieniło kolor na pogodny błękit, ale po chwili wróciło do szarości.

Nawet moja moc nie potrafiła zmienić Tartaru w miłe miejsce. Brakowało mi chyba samozaparcia.

Zeszłam po trzech stopniach na ulicę. Nie było żadnych przechodniów. Pewnie wszyscy pracowali w kolchozach Hitlera. Lecz nie, kolchozy to przecież nie jego pomysł.

Szłam wąskim chodnikiem w stronę mieszkania. Zamierzałam użyć drzwi i przenieść się czym prędzej do Pieła.

Nagle pomiędzy budynkami przemknął jakiś cień. Cień w granatowej chustce na głowie. Już widziałam tę przygarbioną staruszkę. Przyspieszyłam kroku zaniepokojona tym, że znowu mnie śledziła. Głupota. Przecież gdybym tylko chciała, mogłabym zamienić ją w pył, taki ze mnie kozak. Mimo to bałam się. Zwyczajnie bałam się, że ktoś zrobi mi krzywdę, zanim się spostrzegę i zanim będę mogła się obronić.

Z uliczki, w którą właśnie miałam skręcić, wyszedł wysoki mężczyzna. Zatrzymałam się gwałtownie, żeby na niego nie wpaść.

- Panna Wiktoria - przywitał mnie. - Jak miło panią widzieć.

- O, pan... Kuba Rozpruwacz.

To irracjonalne, ale poczułam ulgę. On był przynajmniej kimś, kogo chociaż trochę znałam. Tak, wiem, że mordował londyńskie prostytutki, lecz ja się do nich nie zaliczałam, więc chyba byłam teraz w miarę bezpieczna. Chociaż... Miałam na sobie czerwoną sukienkę na ramiączkach. Kuba pochodził z dziewiętnastowiecznego Londynu. W 1888 roku porządne kobiety chyba nie ubierały się tak... swobodnie.

- Panno Wiktorio, skoro już spotkaliśmy się w tak sprzyjających okolicznościach, chciałbym zaprosić panią do siebie. Już niedługo five o'clock. Zwyczajem z mojego deszczowego kraju zapraszam serdecznie na herbatę. Przy okazji dokonałbym prezentacji pewnej bardzo ważnej dla naszej małej społeczności osoby.

Skrzywiłam się. Nie zdążyłam zapanować nad mimiką. Rozpruwacz wydawał się nieco urażony.

- Bardzo przepraszam - powiedziałam - ale dopiero co wyszłam z proszonej herbaty u Adolfa Hitlera. Jak pan widzi, nie mam dzisiaj chwili dla siebie.

- Rozumiem. - Przytaknął. - Czyli nie zdołam przekonać panienki do spędzenia ze mną kilku minut? Szalenie mi na tym zależy.

- Naprawdę mam masę spraw. - Pokręciłam głową. - Wolałabym spotkać się innego dnia. Na przykład jutro - zaproponowałam pełną dobrych chęci, pewna, że jutro mnie już tu nie będzie.

Przez twarz londyńskiego mordercy, którego prawdziwa tożsamość do dzisiaj pozostaje zagadką, przebiegł cień.

- Niestety obawiam się, że jutro może być już za późno. Niemniej jeśli tak panienka stawia sprawę, to nie mam wyboru. Bardzo zależy mi na czasie. Przepraszam bardzo za wszystko, co się teraz wydarzy.

- Jak to? - zdziwiłam się. - Nie rozu...

W tym samym momencie ktoś przycisnął mi do twarzy śmierdzącą obrzydliwie ścięgę, bo chustką nie można było tego nazwać. Zauważyłam, że była granatowa. Kuba Rozpruwacz przytrzymał mnie za ramiona, żebym nie zdołała wyrwać się zasuszonej staruszce. Patrzyłam na niego błagalnie. Staralam się nie oddychać, ale w końcu musiałam nabrać tchu. Śmierć wiele nie zmieniła w moich nawykach.

Kto by pomyślał, że nie mając ciała i teoretycznie nie oddychając, można zostać uśpionym za pomocą eteru?

13

Ostry ból głowy przewiercający mi skronie powoli przywracał świadomość. W ustach mi zaschło, więc nie zdołałam wydusić słowa ani jęknąć. Odetchnęłam tylko głęboko.

Przyznaję, że nieistniejące ciało w Tartarze jest czymś bardzo rzeczywistym. Pożeranie żywcem przez topielce musiało nie należeć do najprzyjemniejszych rzeczy, jakie mogą spotkać tutaj człowieka.

Zatłukę tego cholernego Kubę Rozpruwacza!

Otworzyłam oczy. Leżałam na czymś w rodzaju wersalki albo sofy z wykonaną bardzo topornie, szorstką, niemniej czerwoną tapicerką.

Usiadłam w jednej chwili.

Czerwoną!!!

Rozejrzałam się szybko dookoła.

Poczułam pod powiekami łzy zawodu. Nie byłam na Ziemi lub w zaświatach z Belethem. To był jakiś zupełnie nieznan mi pokój. Po prostu ktoś w Tartarze posiadał kolory. Nadal byłam w punkcie wyjścia.

Szlag by to trafił.

Sofa stała w kwadratowym pomieszczeniu obitym fioletowym materiałem. Oparłam się o zieloną poduszkę. Dobór kolorów oślepiał. Pokój pomimo braku szarości i tak był ponury. Przypominał przykurzone mauzoleum. Zupełnie jakby swoje najlepsze lata miał już dawno za sobą.

- Widzimy, że już się obudziła - gdzieś zza moich pleców dobiegł stanowczy kobiecy głos.

Odwróciłam się. Na podobnej kanapie siedziała jakaś szczupła trzydziestolatka i Kuba Rozpruwacz.

W kącie pomieszczenia czaiła się zgarbiona staruszka w granatowej chustce. Obdarzyłam ją pełnym nienawiści spojrzeniem. Aż ręka mi się wyciągała, żeby posłać w jej stronę strumień mocy i trzepnąć nią porządnie o ścianę.

Stara czarownica!

- Niech zostawi naszą służącą - powiedziała kobieta, unosząc do góry brodę.

Pomasowałam głowę. Ból powoli zniknął, jednak nie tak szybko, jakbym sobie tego życzyła. Spiełam się. Byłam gotowa do odparcia ewentualnego ataku. Już nikt mnie nie zaskoczy. A w każdym razie nie dzisiaj i nie za pomocą eteru.

- Ciekawie wygląda ta pańska herbatka, sir - warknęłam. - Ładna mi angielska gościna.

Kuba Rozpruwacz zmieszał się odrobinę.

- Skrzywdzenie cię, panienko, nie było moim zamiarem. Jednakże moja pani nie mogła czekać, aż zdecydujesz się nas odwiedzić.

- Oczywiście, że nie mogliśmy czekać - miała dziwny, twardy akcent.

Przyglądałam fałdy sukienki na kolanach.

- Przedstawisz nas sobie? - zapytałam. - Czy zasady savoir-vivre'u całkiem cię nie obchodzą, Rozpruwaczu?

- Pani, oto panna Wiktoria Biankowska obdarzona ogromną mocą. Panno Wiktorio, to księżna Elżbieta Batory, pani na zamku w Cachticach.

- Zaraz. Batory? Jesteś spokrewniona ze Stefanem Batorym? Królem Polski? - zapytałam.

- Ona zwraca się do nas bezpośrednio. - Policzki kobiety zaróżowiły się nieco.

- Nie da się ukryć... - mruknęłam zbита z tropu. Kuba Rozpruwacz pospieszył z wyjaśnieniem:

- Panno Wiktorio, musi pani zrozumieć, że ma pani do czynienia z arystokracją. Nie wolno ci zwracać się bezpośrednio do księżnej. Możesz pani rozmawiać przeze mnie. Jedynie przeze mnie. Po to tu jestem.

- Porąbało was? - zapytałam.

- Obawiam się, że nie znam tego zwrotu. - Zmarszczył brwi.

- Jesteście szaleni? - przetłumaczyłam grzecznie. Atmosfera w pokoju gęstniała, a ja miałam wrażenie, że przypadkiem wpadłam do jednego ze starych filmów Monty Pythona. Brakowało tylko wesołej muzyki w tle.

Staruszka zaczęła coś szeptać do siebie. Zauważyłam, że miała zezą rozbieżnego. Jednym okiem patrzyła na mnie, a drugim na Elżbietę Batory, zupełnie jakby nie chciała nas obu stracić z oczu. Zachichotała do samej siebie złowieszczo, a po jej brodzie pociekła strużka śliny.

- Może nakreślę pani szybko sytuację - zaproponował Kuba Rozpruwacz.

- Księżna bardzo nalegała na szybkie spotkanie. Jej Wysokości zależało na poznaniu diabolicznej obdarzonej Iskrą Bożą. Jest pani jedyną taką osobą w całym Tartarze.

Domyślałam się, że nikt z Iskrą nigdy tu nie trafił. Tacy ludzie są mili i normalni. Nie to, co zdeprawowani mieszkańcy Podziemi...

- Poza tobą obdarzona Iskrą jest jeszcze Anna Darvulia, którą ma pani przed sobą. - Wskazał na śliniacą się i wciąż mówiącą do siebie staruszkę.

No cóż... zbiło mnie to trochę z tropu.

- Niemniej nie ma ona mocy piekielnych - dokończył. - To zaufana służka księżnej, uważana przez mieszkańców Tartaru za czarownicę.

Jakby dla wzmocnienia napięcia starucha zaśmiała się chrapliwie. Brakowało jej tylko brodawki na nosie. Chociaż miała jedną na policzku.

- Też jestem czarownicą, skoro posiadam moc? - zakpiłam.

Jeżeli już, to byłam przynajmniej ładna.

I nie miałam żadnych brodawek.

- Panno Wiktorio, proszę się nie unosić - poprosił angielski dżentelmen. - Nie chciałem panienki urazić. Już przechodzę do sedna. Sława księżnej Elżbiety Batory nie jest pani zapewne obca, prawda?

- Pierwsze słyszę. - Wzruszyłam lekceważąco ramionami. Co nieco o niej wiedziałam, ale nie chciałam tego zdradzać. Lepiej mieć asa w rękawie.

Władczyni posłała mi miazdzące spojrzenie. Miała w sobie coś z Kleopatry. Chyba wszystkie koronowane głowy nie lubiły, kiedy się o nich nie słyszało.

- To księżna węgierska pochodząca z Siedmiogrodu. Panowała od 1575 do około 1611 roku na zamku w Čachticach. Na kartach historii zapisała się dzięki temu, że zdołała pokonać starość.

Węgierka. Stąd ten dziwny akcent.

Zamyśliłam się nad słowami Rozpruwacza. Księżna wyglądała, jakby zbliżała się do czterdziestki. Czy ja wiem, czy rzeczywiście tak dobrze pokonała upływ czasu? Miała już pierwsze bruzdki na twarzy, a także lekko zmiętą szyję. Dłoni niestety nie widziałam.

- A co? Wymyśliła jakiś krem na zmarszczki? - zakpiłam. - Nie wygląda, żeby pomógł.

- Panno Wiktorio, proszę nie obrażać księżnej. Księżna ma obecnie pięćdziesiąt cztery lata, czy wygląda na ten wiek?

Szczeka mi opadła.

- Nie... - mruknęłam. - Cholera, dobry ten krem musi być.

Elżbieta Batory nie wytrzymała w milczeniu. Wyraźnie rozzłoszczona syknęła na mnie:

- Głupia dziewczucho, my nie używamy tanich sztuczek na poprawę urody. To magia naszej służącej Anny. Magia krwi!

Starucha stojąca w kącie wbijała we mnie puste spojrzenie. Zupełnie jakbym nie była człowiekiem, ale przedmiotem. Tym razem obojga oczu.

Najwyraźniej zeza robiła na życzenie tylko wtedy, kiedy tego potrzebowała.

- Magia? - zapytałam głupio. - Krwi?

Czarownica używała magii, żeby zlikwidować zmarszczki starej księżnej? Och, Kleopatrze by się to spodobało. Za życia uwielbiała kąpać się w mleku. Podobno skóra robiła się od tego gładsza. Gdyby miała wtedy pod ręką czarownicę, na pewno skorzystałaby z jej usług.

Tak szczerze mówiąc, to po moczeniu w mleku trochę się śmierdzi.

- Już spieszę z wyjaśnieniami. - Gdy Rozpruwacz był zdenerwowany, jego angielski akcent stawał się bardziej gardłowy. - Niestety nie wie pani o tym, ale księżna Batory odkryła intrygujący sposób na oszukanie zegara czasu. Zachowała swoją urodę dzięki krwi. Krwi dziewic.

Czekałam na dokończenie tej niezwyklej przemowy, ale nie otrzymałam żadnego logicznego wytłumaczenia.

- Dziewic? - zapytałam głupio. - Może jeszcze się w tej krwi kąpała?

Co to ma być? Horror jakiś?

- A więc wie pani? - zdziwił się Rozpruwacz. - Tak, kąpała się w ich krwi, a dzięki magii czarownicy oraz sile pradawnej mocy posoki zachowała młodość i witalność.

A ja zawsze sądziłam, że to Kleopatra ma nierówno pod sufitem, wypełniając wannę po brzegi kozim mlekiem.

„Siła pradawnej mocy posoki”, no ludzie...

Już wiedziałam, że mam do czynienia z kolejnymi wariatami. Najwyraźniej przebywanie w Tartarze nikomu nie wychodziło na dobre. Musiałam tylko uważać na tę starą, nienormalną babę. Posiadając Iskrę Bożą, mogła mi poważnie zaszkodzić. Na szczęście dzięki diabelskiemu jabłku byłam od niej potężniejsza. Mniej szalona, ale potężniejsza.

- Wspaniale. - Klasnęłam w dłonie. - Skoro już tyle się dowiedziałam, to może jeszcze dowiem się, dlaczego tu jestem? Pewnie nie chcieliście mnie zaprosić tylko po to, żeby pogadać o posoce i zamkach, prawda? Bo nawet herbatą mnie nie poczęstowaliście...

Wysoko uniesiony podbródek księżnej nieco opadł. Swoje słowa skierowała do Kuby Rozpruwacza.

- Ona nam się podoba. Jest odważna. Zapytaj ją, czy może być użyteczna. Jeżeli nie, to wiesz, co czynić należy.

Anglik odwrócił się w moją stronę.

- Księżna pyta, czy...

- Tak, czy mogę być użyteczna. Ale w czym? - przerwałam mu zniecierpliwiona.

- Czy może pani sprawić, by księżna Batory posiadała moc? Taką, jaką ty masz, panno Wiktorio? - odparł.

Nie zrozumiałam, o co mu chodziło. Chyba musiał dostrzec to w wyrazie mojej twarzy, bo pospiesznie wyjaśnił:

- Służąca Anna nie może przelać na księżną swojej mocy. Usiłowała tego dokonać wieki temu, tuż po tym, jak znalazły się w Tartarze, ale jedynie częściowo utraciła zmysły, a także siły. Udało jej się obdarzyć księżnę ledwie ułamkiem swych mocy, a to dla księżnej za mało. Pragnie więcej.

Zerknęłam na staruchę. Częściowo utraciła zmysły? To chyba zbyt delikatne określenie. Jej psychika była w stanie całkowitego rozkładu.

- Anna jest teraz zbyt słaba. Może pomagać księżnej, ale nie potrafi jej stąd uwolnić i przywrócić do świata żywych.

Wreszcie zrozumiałam, do czego byłam im potrzebna.

- A zatem chcecie, żebym wydostała stąd księżną, tak? Skoro sama usiłuję uciec z Tartaru, to mam ją przy okazji zabrać ze sobą?

Kuba Rozpruwacz pokręcił przecząco głową.

- Nie całkiem to było celem księżnej. Księżna obiecuje, że jeśli pani odda jej, Wiktorio, swoje diabelskie moce, nie będzie pani wiecznie cierpieć tortur. Księżna wierzy, że gdy już posiadzie pani moc, to sama zdoła się stąd wydostać.

Już sam fakt, że księżna kapie się we krwi dziewic, mógł świadczyć o tym, że Batory jest niespełna rozumu, ale teraz otrzymałam na to niezbity dowód.

- A poza wydostaniem księżnej potrzebna jest moja moc zapewne do zdobycia władzy nad światem? - zapytałam.

- W rzeczy samej - przytaknął.

- Dlaczego w każdym zaświatach prześladowuje mnie jakaś durna, zapatrzona w siebie istota, która chce mnie wykorzystać do własnych celów?! - wybuchłam z goryczą. - No ludzie, to zaczyna przypominać jakiś schemat!

- Obawiam się, że nie rozumiem - Kuba był najwyraźniej zafrasowany.

Zaczęłam głęboko oddychać, żeby się uspokoić. To niemożliwe, żeby po raz trzeci powtarzał się ten sam scenariusz. Co to ma być?! Część trzecia moich przygód?! Protestuję!

Chwileczkę. Ciągle nie odpowiedziałam im na pytanie, czy dam się torturować. Należało jak najszybciej rozstrzygnąć tę kwestię.

- Chyba sobie ze mnie żartujecie? - zaśmiałam się. - To nie ma sensu. Żadna z tych możliwości mnie nie satysfakcjonuje. Nie oddam wam moich mocy ani z własnej woli, ani pod przymusem.

- Panno Wiktorio, nalegam, by dla własnego dobra pani zastanowiła się nad tym - poprosił Kuba Rozpruwacz. - Zapewniam, że współpraca jest w tym przypadku wskazana.

- Człowieku, nie mogę oddać nikomu swojej mocy. Jest moja i tylko moja.

- Niech wytłumaczy - zażądała księżna.

Nie czekałam, aż jej piesek na zawołanie powtórzy mi jej słowa, i sama odpowiedziałam:

- To zupełnie tak, jakbym odcięła sobie palec i dała go Elżbiecie. Za nic nie da rady przykleić sobie dodatkowego palca do dłoni i sprawić, by był w pełni funkcjonalny. Z mocą Iskry trzeba się urodzić, a siły piekielne można posiąść tylko po zjedzeniu jabłka z Drzewa Poznania Dobra i Zła. Sorry, ale moje jabłuszko już dawno strawiłam. Rozumiecie więc, że nie ma mowy. Przykro mi, ale to fizycznie niemożliwe.

Księżna zaczerwieniła się. Jej Wysokości (i wyniosłości...) najwyraźniej nie spodobało się, że nazwałam ją po imieniu, pomijając wszystkie ważne tytuły, których pewnie miała całkiem sporo.

- Panno Wiktorio, proszę uważać na słowa - pouczył mnie Kuba Rozpruwacz. - Musi pani zdać sobie sprawę, że ma do czynienia z władczynią, której lepiej nie denerwować swoim zachowaniem.

- Tak, wiem. Mimo to nie oddam swojej mocy. Nie ma mowy. Nie dam się zastraszyć. Wiem, że w tym pokoju to ja jestem najsilniejsza i nie boję się tanich pogrózek. Wydostanę się z Tartaru i z radością zostawię was w tym miejscu, żebyście zwariowali do reszty.

Kuba Rozpruwacz oparł się ciężko na wezglowiu sofa. Chyba zmęczyła go rola rozjemcy. Spojrzał na księżnę i smutnym głosem powiedział:

- Niestety panna Wiktoria odmawia współpracy. Nie ma ochoty oddać Waszej Wysokości należnej jej magii.

Oczy Elżbiety Batory zwęziły się w szparki.

Przyjrzałam jej się dokładnie. Była piękna, nawet bardzo. Nieskazitelną bladą skórą, czarne włosy zebrane w misterny koczek, czerwone usta oraz czarno-biała suknia podkreślająca wąską talię. Była niczym zła królowa z baśni braci Grimm. Jej czarne oczy przewiercały mnie na wylot.

Jako jedna z nielicznych osób w Tartarze zamiast ponurych szarości mogła nosić kolorowe i pstrokate suknie, wybrała jednak czerń. Miała absolutną rację. Czerń doskonale pasowała do jej karnacji.

- Rozumiemy - odezwała się ponuro. - Wiesz, co zrobić.

Kuba Rozpruwacz pokiwał głową. Uśmiechnął się do mnie przepraszająco. Mógłby to być miły uśmiech, gdyby nie był nieszczerzy.

- Jak panna Wiktoria już zdążyła się dowiedzieć, księżna, by zachować młodość, kąpała się we krwi dziewic - zaczął. - Wykorzystała w ten sposób około sześciuset pięćdziesięciu młodych kobiet.

- I wszystkie dały się tak odsączyć? - prychnęłam. - Ile im płacono za otworzenie żyły?

- Podejrzewam, że nic - odparł. - Podejrzewam też, że nawet jeśli coś płacono, to nie im, a rodzinie. Otworzenie jednej małej żyłki na nic by się nie zdało. W ludzkim ciele znajduje się około pięciu litrów krwi. Wanna do kąpieli, zwłaszcza wanna używana przez osobę z wyższych sfer, ma znacznie większą pojemność...

Zrozumiałam, co chciał mi przekazać. Musiałam się zastanowić. Jedna dziewczyna to pięć litrów. Wanna - minimum czterdzieści litrów. A zatem ile dziewczyn jest nam potrzebnych?

Ożeż...

- Skąd wytrzasnęliście sześćset pięćdziesiąt dziewic? - zdumiałam się.

Odpowiedziało mi milczenie. Batory wpatrywała się we mnie łakomym wzrokiem.

- Panno Wiktorio. - Kuba Rozpruwacz wstał. - Niech pani zrozumie, że jest pani nam bardzo potrzebna. Pani krew nie jest zwyczajna. To krew istoty obdarzonej Iskrą oraz mocami piekielnymi. Proszę wyobraź sobie, jaki pani będzie miała wpływ na księżnę! Może dzięki niej zdobędzie ona część pani mocy.

Ja także wstałam. To był chyba najlepszy moment, by stąd czmychnąć.

- Ej, ale ja jestem duchem, duszą czy jakoś tak. Moja krew nie jest prawdziwa - powiedziałam.

- Krew w tym świecie jest równie prawdziwa, co na Ziemi. Tak samo brudzi szaty, gdy dźgnąć kogoś nożem - oświadczył. - Zapewniam panią, że już przetestowaliśmy przelewanie jej z potępionej duszy do wanny.

- A co się potem działo z taką potępioną duszą?

- To zabawne, ale zniknęła. Robiła się coraz bledsza i bledsza, aż całkiem rozplynęła się w powietrzu. A potem już się nie odradzała.

Przełknęłam głośno ślinę. Najwyraźniej Tartaryjczycy odkryli kolejny sposób na to, by ktoś zniknął bezpowrotnie. Do tej pory myślałam, że można to zrobić tylko za pomocą gorejącego miecza lub rozczłonkując przeciwnika na tyle fragmentów, że nie dałoby rady złożyć go w całość.

Kiedyś krwawienie określano jako „wyciekanie duszy”. Nie sądziłam, że w metaforze może być aż tyle prawdy.

- A skąd pewność, że moja krew pozwoli na przelanie mocy na księżnę? - mój głos wzniósł się o kilka oktaw. - Jesteście stuprocentowo pewni, że to się uda?!

- Jesteśmy gotowi spróbować. - Ja nie byłam gotowa na takie próby!

- Zaraz, a czy przypadkiem nie wspominaliście mi tu jakiś miliard razy, że to musi być krew dziewicy? - zapytałam, chcąc zyskać na czasie.

Starłam się określić odległość dzielącą mnie od drzwi i okien. Nie mogłam się zdecydować, która droga ucieczki jest lepsza.

- Tak, to musi być krew istoty czystej - skrzeczającym głosem odezwała się starucha. Zapomniałam, że stoi pod jedną ze ścian. - Tylko krew istoty czystej zmywa winy i pozwala oszukać czas.

- To chyba macie problem. - Zaśmiałam się szyderczo.

Przez chwilę przyglądali mi się zbici z tropu, trawiąc wiadomość, którą im przekazałam. Starucha zaczęła obgryzać nerwowo paznokcie.

W końcu odezwała się księżna: - I co teraz, Anno?

- Krew potężna, potężna krew - wysyczała czarownica. - Dziewica czysta, ale to pomiot szatana. Krew pomiotu szatana nie może być czysta.

- Nadaje się dla nas czy nie? - głos Elżbiety stwardniał. Staruszka, wyczuwając zmianę nastroju swojej pani, natychmiast przestała się ślinić i bełkotać do siebie pod nosem.

- Tak, nada się.

Księżna z zimnym uśmiechem odwróciła się do Kuby Rozpruwacza.

- Moc krwi jest potężna. Pragniemy jej. Nieważne, że nie należy do dziewicy.

Błyskawicznie ruszyli w moją stronę.

Parę chwil później leciałam nad Tartarem, wolno młócąc anielskimi skrzydłami. Tuż pod sklepieniem musiały być jakieś przyjazne pływy ciepłego powietrza, bo unosiłam się prawie bez trudu.

Naruszony zębem czasu zamek księżnej Elżbiety Batory stał na kompletnym zadupiu, pomimo że Podziemia nie grzeszyły rozległością. Znajdował się na samym skraju jaskini, tuż obok szarej kamiennej ściany. Z dala było już widać jego mury i wieżę. Stworzyła go zapewne służąca Anna, używając swoich mocy. W przeciwnym razie budowa bez potrzebnych do niej dźwigów, koparek i wielu innych maszyn, którymi nie dysponowali mieszkańcy Podziemi, musiałaby zająć wiele dziesiątków lat.

Okazały budynek mógłby spokojnie pomieścić tłum dworzan, był jednak pusty. Mieszkała w nim samotnie tylko księżna ze swoją służącą, czarownicą.

Nic dziwnego, że w wolnych chwilach mordowała ludzi...

Gdy cała trójka ruszyła w moją stronę, zrobiłam to, co umiem robić najlepiej. Na chybił trafił trzasnęłam mocą przed siebie, rozwalając pół ściany, a potem w ogólnym zamieszaniu, gdy strop walił się na głowy i wszędzie wzbijał się pył, który oślepił także mnie, dałam nura przez okno. Nie byłam pewna, czy zdążę stworzyć sobie skrzydła, zanim boleśnie spotkam się z podłożem. Nie wiedziałam nawet, na którym piętrze byłam przetrzymywana.

Na moje szczęście znajdowałam się niczym bajkowa księżniczka na szczycie najbardziej krzywej wieży, a sam zamek został postawiony na niezbyt stromej skarpie, która ciągnęła się kilkanaście metrów w dół. Niżej płynął brudny potoczek, do którego zapewne odprowadzane były ścieki z pozbawionego kanalizacji domostwa księżnej i który pewnie też trochę zamortyzowałby mój upadek.

Poza tym i tak już byłam martwa. Bardziej nie potrafiłabym się zabić. Tego dokonać mogła jedynie księżna i jej wanna.

Na szczęście nie musiałam się zmoczyć w bagnistym ścieku imitującym fosę. Byłam coraz lepsza w tworzeniu skrzydeł. Jeśli jeszcze trochę poćwiczę, to może będę umiała to robić tak szybko, jak anioły ukazują swoje prawdziwe?

Zdołałam już pokonać lęk wysokości. Stało się to, gdy walczyłam w chmurach z aniołem Moronim. Teraz podniebne przejażdżki nie powodowały już nerwowego przyspieszonego oddychania zamykałam też oczu.

Beleth byłby dumny.

Właśnie. Beleth. Musiałam jak najszybciej znaleźć jakieś drzwi i przeskoczyć do Pieła. Tam powinnam być w miarę bezpieczna i schronić się przed krwawymi zakusami księżnej.

Miałam nadzieję, że Szatan i Archanioł Gabriel nie skazali mojego przystojnego diabła na więzienie. Musiał pomóc mi się stąd wydostać! Nie mogłam tu tkwić ani chwili dłużej.

Leciałam w stronę kamienicy, w której miałam malutkie mieszkanie. Po nieprzespanej nocy, którą w nim spędziłam, czułam się wyczerpana.

Już z daleka dostrzegłam wysokie języki ognia, które lizały ściany tęczowego budynku. Płomienie nie były pomarańczowo-żółte, tylko niebieskoszare. Nawet ogień nie miał w Tartarze normalnego koloru.

Zawisłam w powietrzu naprzeciwko szalejącego żywiołu. Dach zawalił się, odsłaniając wnętrze kamienicy. Nieliczni ludzie usiłowali gasić resztki konstrukcja używając przeciekających wiader i brudnej wody. Najbliższe budynki stały w pewnej odległości, więc szanse na przeniesienie płomieni były znikome.

Najwyraźniej pomalowanie ścian nie spodobało się mieszkańcom Tartaru. Pewnie obraziłam czyjeś uczucia albo poczucie estetyki.

Wzdrygnęłam się ze wstrętem, gdy przypominałam sobie pełną obaw noc, którą przeżyłam w swoim nowym mieszkaniu. Nie miałam wyrzutów sumienia, że nieświadomie doprowadziłam do jego zniszczenia. Nie będę po nim płakać.

Nie potrafiłam wzbudzić w sobie nawet cienia żalu za ludźmi którzy mogli być w środku. Na pewno przeżyli. Ogień nie niszczył duszy. Mogli tylko trochę pocierpieć.

Tartar miał na mnie zły wpływ. Traciłam sumienie. Jeszcze trochę, a stanę się jego pełnoprawnym mieszkańcem, kimś, kto niczego nie żałuje.

Azazel by się ucieszył.

Musiałam znaleźć inne drzwi. Miałam nadzieję, że sztuczka, którą pokazał mi Hitler, działała wszędzie, a nie tylko u niego w domu.

Odleciałam kawałek od zamieszania. Skoro Tartaryjczycy spalili kamienicę, mogli także mieć ochotę spalić mnie. W końcu byłam czarownicą, a to się z nimi głównie robi. Zwłaszcza gdy po zażyciu sporządzanego przez nie miłosnego napoju delikwentowi wyskoczą na nosie brodawki.

Opadłam na ziemię w cichej, pustej uliczce z dala od zamętu. Do szarych budynków prowadził ciąg szarych drzwi. Szarpnęłam za pierwsze z brzegu. Były otwarte, prowadziły na śmierdzącą moczem klatkę schodową.

- Przepraszam...

Pisnęłam przerażona i gwałtownie odwróciłam się do tyłu. Przed sobą miałam Nerona. Jego rude, skręcone w loczki włosy były spocone. Dyszał ciężko. Chyba za mną biegł.

- Przepraszam, ale chciałbym porozmawiać. - Była sam. Nigdzie nie czaiły się straże ani poplecznicy,

Co to ma być? Wszyscy władcy po kolei mają do mnie jakąś sprawę? Czy im się wydaje, że mogą załatwić prywatę na boku?

- O czym? - warknęłam.

Wypiął dumnie pierś i podszedł bliżej.

- Jak wiesz, niewiasto, jestem władcą Tartaru.

- Jednym z trzech, o ile mi wiadomo - mruknęłam.

Zmieszał się trochę.

- Tak, jednym z trzech. Niemniej, chciałbym zostać tym jedynym, niewiasto. Proponuję ci układ.

- Nie.

- Słucham?

- Nie, nie będę ci pomagać. Mam dość waszych politycznych gier. Zostaw mnie! Idź stąd.

Cofnął się przestraszony.

- Ale... dlaczego?

- Bo nie. Jestem babą, mogę być nielogiczna.

- Ale... ja i moi pretorianie...

- Idź stąd!!! - ryknęłam

Podskoczył złękniiony i pognął uliczką na złamanie karku.

Nie pojmuję, jakim cudem został władcą Tartaru. Hitler i Kuba Rozpruwacz potrzebowali chyba tylko ciemnego pionka, którym mogliby bez trudu manipulować. Dziwne, że inni sławni dyktatorzy nie zdobyli jeszcze władzy. Obalić Nerona nie byłoby takie trudne.

Hitler i Rozpruwacz. O ile ten pierwszy pasował na bezwzględnego władcę Podziemi, o tyle wybór Kuby także wydawał mi się kontrowersyjny. Tak ważna funkcja wymagała większych zasług i sławy. Chociaż może do przydzielenia mu tego stanowiska przyczyniła się Elżbieta i jej czarownica? Ale kto wsadził na statek Nerona? Czyżby, tak jak mnie przed chwilą straszyl, stała za nim liczna gwardia pretoriańska? Przypomnieli mi się strażnicy ubrani w napierśniki z wytłoczonym „N”. Prywatna armia wiernych sług, gotowych do każdego okrucieństwa dla cesarza, mogła być mocnym atutem przy wyborze władców Tartaru.

Przymknęłam oczy i skupiłam się. Przed sobą miałam śmierdzące moczem drzwi.

- Rezydencja diabła Beletha w Piekło - powiedziałam głośno i wyraźnie, a następnie pociągnęłam za klamkę.

Widmowe drzwi otworzyły się przede mną. Po drugiej stronie zobaczyłam salon, urządzone ze smakiem, w stylu pałacu tureckiego sułtana. Nigdy nie byłam w tym pokoju. Raz nawiedziłam Beletha w jego sypialni, która obiecywała rozkosze haremu. Żadnego innego pomieszczenia w rezydencji nie widziałam.

Pałac diabła znajdujący się w Niebie był zupełnie inaczej urządzone. Tam kamienne ściany i haftowane kobierce przywodziły na myśl średniowieczne warownie. Piekielna rezydencja była natomiast żywcem wyjęta z opowieści Szeherezady. W takim otoczeniu Beleth czuł się zresztą najlepiej. Mógł w nich wspominać swoje ulubione ziemskie czasy.

Zaśmiałam się pod nosem. Oczywiście mój przystojny diabełek i tak nie mógł hasać po nich swobodnie. Został zdegradowany za romans ze śmiertelniczką i skierowany do pracy w Przydziałach w piekielnym Urzędzie. Dlatego mógł wracać na Ziemię tylko jako demon wzywany przez magów Goecji.

Mówiąc dokładniej, był trzynastym demonem Goecji. Jego największym dokonaniem było doradzanie królowi Salomonowi. Szczycił się tym przy każdej nadarzającej się okazji. A raczej w każdym momencie, kiedy widziałam go w szarawarach przepasanych szerokim pasem materiału.

Zamknęłam za sobą drzwi, za którymi zostawiłam Tartar, i odetchnęłam z ulgą. Tutaj byłam bezpieczna. Nikt nie wiedział, gdzie jestem. Wariatka opętana manią krwi nie mogła mnie tu dostać.

- *Beleth!* - zawołałam, zanim zdałam sobie sprawę, że to bezsensowne, bo i tak mnie nie usłyszy.

Szybkim krokiem przemierzyłam salony i przedsionki. Zatrzymałam się dłużej w niewielkiej sali balowej. W kącie stał fortepian. Nie sądziłam, że mój diabeł grał na instrumencie, że był aż taki... wrażliwy?

Wbiegłam po szerokich, zakręconych schodach na pierwsze piętro. Znajdowały się tam dziesiątki sypialni. Gdyby nie brak numerów na drzwiach, mogłabym pomyśleć, że znajduję się w ekskluzywnym hotelu.

Usłyszałam muzykę. Delikatny dźwięk bębna i fletu. Przeniknęłam przez drzwi prowadzące do pokoju, z którego dochodziła melodia.

Znalazłam się w sypialni, którą już kiedyś widziałam. Mój diabeł leżał na łóżku, z wzrokiem wbitym w fioletowy baldachim. Słuchał dobiegającej nie wiadomo skąd muzyki. Odczułam ulgę. Archanioł i Szatan nic mu nie zrobili.

Zakłuła mnie tęsknota. Za jego śmiechem, ukradkowymi spojrzeniami pełnymi namiętności i dotykiem, który próbował mi skraść przy każdej nadarzającej się okazji. Uświadomiłam sobie, że Beleth od początku naszej znajomości pociągał mnie fizycznie. Dopiero po jakimś czasie zdałam sobie sprawę, że może czuję do niego coś więcej.

Niestety zanim zdążyłam komukolwiek o tym powiedzieć, ten kretyn mnie zamordował...

Przyjrzałam mu się dokładnie. Ubrany był w ciemnozielone szarawary przewiązane na biodrach czarnym pasem materiału. Gładka skóra na jego piersi pozbawiona skaz oraz blizn miała oliwkowy odcień. Pierś unosiła się w rytm powolnego oddechu. Zamknął oczy. Długie czarne rzęsy rzuciły głębokie cienie na policzki z wyraźnie zaznaczonymi łukami jarzmowymi. Prosty nos, pełne usta, tak czarne, że aż granatowe włosy ułożone w niedbałego irokeza. Chłonełam każdy szczegół, spragniona jego widoku. Przystojny do bólu, po prostu ideał.

Miał tylko jedną małą, maluteńką wadę. Nie był mężczyzną, lecz diabłem.

Zamyślona podeszłam bliżej. Chciałam oprzeć się o filar łoża, ale moja ręka przeszła przez drewno na wylot. Nim się spostrzegłam, upadłam na twarz w poprzek łóżka.

Machając rękami jak szalona, usiłowałam się jednocześnie skupić i zatrzymać przenikanie. Udało mi się to, gdy wbiłam głowę między sprężyny. Zdaje się, że jedna czy dwie przechodziły na wylot przez moją czaszkę, bo czułam pomiędzy uszami dziwne mrowienie.

O cholera, nie wiedziałam, że bycie duchem jest takie trudne! Żywy nie musi się cały czas zastanawiać, czy chce przez coś przeniknąć, czy nie.

Tak przy okazji, ten materac miał strasznie długie sprężyny. Musiał być diabelnie wygodny.

Powoli odpychałam się od materii, aż zdołałam się z niej wydobyć. Przypominało to wygrzebywanie się z obsypującego się piasku. Nieźle się zmachałam.

Na wszelki wypadek stanęłam obok łóżka i starałam się go nie dotykać.

Spojrzałam na Beletha. Siedział na pościeli po turecku i masował sobie brzuch z idealnie ukształtowanymi mięśniami, które aż się prosiły, żeby przesunąć po nich palcami. Zauważyłam na jego brzuchu gęsią skórę. Zaniepokojony rozglądał się dookoła.

- To nie może być prawda - wyszeptał. - Ciebie już nie ma. Wydaje mi się to, prawda? Zabiłem cię...

- *Beleth*. - Siłą powstrzymałam się, żeby go nie dotknąć i niepotrzebnie go przestraszyć.

- Zabiłem cię - powtórzył. - Jedyne, co potrafię, to niszczyć ci życie... A teraz ci je odebrałem. - Objął głowę i zacisnął mocno powieki. - Wiki... - cały czas mówił do siebie. - Przepraszam cię, przepraszam. Zrobiłbym wszystko, żeby cię ożywić.

Nadal byłam na niego zła. Nadal chciałam, żeby w jakiś sposób odpokutował za zamordowanie mnie. Ale...

Cierpiał. Naprawdę cierpiał. Nigdy nie widziałam, żeby czegoś żałował. To było tak niespodziewane i szczere. Owszem, umiał używać pięknych słów, umiał kłamać w żywe oczy. Teraz jednak nie zdawał sobie sprawy z mojej obecności. A zatem musiał być szczery.

Istniała też druga, odrobinę smutniejsza możliwość - był tak zakłamaną istotą, że sam siebie usiłował przekonać o dojmującym poczuciu winy.

Zmarszczyłam brwi. Wiedziałam, że Beleth miał wiele ludzkich cech. Potrafił być zazdrosny, nienawidził, czasem zachowywał się spontanicznie (co istotom jego pokroju wbrew pozorom rzadko się zdarzało), możliwe także, że kochał. Szczery żal jednak naprawdę zaskakiwał. Gdy udało mu się cofnąć mnie w czasie i wiedział że całkiem go zapomnę, było mu przykro. Wciąż jednak wydawało mi się wtedy, że miał w zanadrzu jakiś sprytny plan, który niestety nieco umniejszał jego szlachetność. Czyżby diabeł dzięki mnie stał się bardziej

ludzki? Z drugiej strony ostatnio bez skrępowań rozrabiałam w Tartarze. Czy to znaczyło, że staję się coraz bardziej diabelska?

Na wszelki wypadek przestałam się nad tym zastanawiać. Zaczęłam dochodzić do niepokojących wniosków...

Nagle na ścianie naprzeciwko łoża Beletha pojawiły się wysokie drewniane drzwi, a właściwie wrota. Czarne skrzydła miały rzeźbione misterne ornamenty. Było to przejście idealnie oddające charakter pełnego pychy właściciela. Poznałam je bez trudu.

W ciszy pokoju rozległo się sześć stuknięć.

- Wejdz - powiedział Beleth schrypniętym z emocji głosem.

Pchnięte drzwi otworzyły się na całą szerokość, ukazując ubranego na czarno Azazela. Podstępny diabeł nic się nie zmienił po otrzymaniu dzięki mnie skrzydeł i niebiańskiego obywatelstwa na siedemdziesiąt siedem lat. Był tak samo pewny siebie. Na jego twarzy gościł arogancki uśmiezek.

Czarne jak węgiel oczy przewiercały Beletha. Promieniowało od niego zło. Był diabłem w każdym calu. Jego mroczna dusza zapewne cierpiała męki, gdy przed rewolucją Szatana musiał być posłusznym aniołem.

A jednak był postacią zaskakującą. Często się nad nim zastanawiałam, usiłując pojąć, kim jest ten wrogi czarny charakter z umysłem pełnym przebiegłych, zbrodniczych planów, a zarazem nieszczęśnik poniewierany przez jedną z najbardziej intrygujących kobiet, jakie kiedykolwiek stąpały po Ziemi. Wydawało się, że tylko Kleopatra ma nad nim władzę.

Absolutną.

- I jak się czuje nasz pełen wyrzutów sumienia skrytobójca, który po wsze czasy będzie cierpiał po zabiciu miłości swego życia? - zakpił Azazel na wstępie i zaśmiał się złośliwie. - Nadal będziesz mi wmawiał, że czujesz jej „obecność”?

Nagle jego rozbawione spojrzenie przesunęło się z zasmuconego diabła na mnie.

Zaraz.

Na mnie?

Azazel był tak samo zaskoczony jak ja. Wybałuszył oczy ze strachu i otworzył usta.

- O BOŻE PRZENAJSWIĘTSZY! - ryknął na całe gardło, zapominając o piekielnej etykietce, i odwrócił się na pięcie.

Jego przejście niestety zdążyło się już zamknąć. Diabeł rąbnął czołem o ścianę i zemdlał.

Razem z Belethem pochylił się nad Azazelem, który sam się znokautował. Czerwony, napuchnięty ślad na środku czoła zbladł, a następnie zniknął. Diabeł dochodził do siebie się nawet pozbawiony przytomności.

Powoli, wciąż leżąc na podłodze, rozchylił delikatnie powieki. Oślepiiony zamrugał parę razy.

- Miałem przywidzenie - wymamrotał i otworzył oczy.

Najpierw skupił spojrzenie na diable, potem przeniósł je na mnie. Jęknął.

- Ojcie nasz, któryś jest w Niebie, święć się imię Twoje... - zaczął szeptać gorączkowo.

- Azazel, co ty, do diabła, robisz? - przerwał mu z niesmakiem Beleth.

- Modłę się - odparł zdecydowanie i prawie zapłakał. - Nie pamiętam, którą ręką trzeba się wcześniej przeżegnać!

Przystojny diabeł wyprostował się.

- Dobra, przyznaj się, co piłeś i ile...

Azazel zerwał się na równe nogi i schował za jego plecami. Ponad ramieniem przyjaciela spojrzał mi prosto w oczy. - Widzę ją! Widzę ją! Miałeś rację! Wróciła! - zawołał.

- Przestań! - Beleth odsunął się od niego. - Co ty pieprzysz?!

- No przecież tam stoi. - Azazel stracił nieco animusz i wskazał mnie palcem. - Wiktoria.

Mój diabeł spojrzał we wskazanym kierunku. Ale mnie nie widział. Spojrzenie przesunęło się gdzieś obok.

- Tu nikt nie stoi...

- Nikt...? - Azazel powoli się uspokajał. Przetarł spocone czoło i odetchnął kilka razy głęboko, wmawiając sobie, że halucynacje są objawem przemęczenia związanego z otwarciem nowej knajpy.

Nie wytrzymałam. Musiałam się zapytać.

- *Azazel, jakim cudem ty mnie widzisz?*

Diabeł wrzasnął przeraźliwie i znowu skrył się za plecami Beletha. Cały się trząsł. Jego ramiona drżały w rytm pociągania nosem.

- Przemówiła! Może mówić! O Boże miłościwy, co ja takiego uczyniłem? Czemu tak mnie karzesz? Ojcie nasz, któryś jest w Niebie...

Przystojny diabeł odepchnął go od siebie. Był zły.

- To twój kolejny sposób na zabawienie się moim kosztem? - zapytał Azazela oschłym tonem. - Wymyśliłeś sobie, że teraz tak mi dokuczysz? Nie wystarcza ci już przypominanie mi o morderstwie? Teraz będziesz udawał, że widzisz jej ducha? Że jesteś jedyną osobą we wszechświecie, której się ukazała, tak? Bo woli najwyraźniej ciebie ode mnie? Bo jesteś niby taki sympatyczny? Azazel wyprostował się zamyślony.

- Chyba masz rację - odparł. - Muszę być wyjątkowy.

Beleth zawył z bezsilnej złości i usiadł na łóżku. Potargał irokeza. Jego pełne nienawiści spojrzenie wydawało się zdolne do przebicia podstępnego diabła na wylot.

- Myślałem, że jesteś moim przyjacielem - powiedział gorzko. - Powinieneś mnie wspierać w trudnych chwilach, a nie usiłować pogrozić.

- Ależ wspieram. Nic nie poradzę, że ją widzę. Całą przezroczystą. Wolałbym jej nie widzieć, zapewniam cię. Nie sprawia mi to przyjemności. Przeciwnie... Wstyd się przyznać, ale trochę się boję... Znacznie chętniej zobaczyłbym przed oczami obraz Kleopatry w negliżu. Mimo że ostatnio trochę za bardzo mnie pilnuje.

W odpowiedzi został tylko spiorunowany wzrokiem.

- *Azazel* - podeszłam do niego, nie mogąc znieść bezczynności. - *Ty mnie naprawdę widzisz? Dlaczego? Czemu nikt poza tobą nie zwraca na mnie uwagi? Odpowiedz mi.*

- Znowu mówi - jęknął. - Ojciec nasz, któryś jest w Niebie, święć się imię Twoje... eee... Ojciec nasz, któryś jest w Niebie, święć się imię Twoje... Ojciec nasz... Cholera, nie pamiętam, co dalej. - Spojrzał błagalnie na Beletha. - Ale może tyle wystarczy, co? On pewnie rozumie, że w stresie mogłem zapomnieć.

Wydawało mi się, że przystojnego diabła dzieliły tylko sekundy od wybuchu. Jeszcze chwila, a wyrzuciłby Azazela za drzwi. Nie mogłam do tego dopuścić. Tylko on mnie widział i co najważniejsze słyszał. Był moją przepustką do wolności! Dzięki niemu mogłam wszystkim udowodnić, że nadal istnieję i na razie mam się dobrze, bo jeszcze nikt mnie nie odsączył. No i oczywiście, że bardzo chcę wrócić.

Wrócić do życia i... no cóż... chyba do tego głupka Beletha.

- *Azazel!* - warknęłam. - *Uspokój się i słuchaj. Tak, to ja, Wiktoria. Nie wiem, czemu mnie widzisz, bo wierz mi, nie tęsknię za twoim widokiem, ale najwyraźniej zaszczyciłeś cię kopnął. Masz powiedzieć Belethowi, że się na niego nie gniewam za bardzo i że jestem w Tartarze. Chcę się stąd wydostać. Pomóżcie mi.*

Azazel pokiwał głową i odwrócił się w stronę łóżka.

- Naprawdę nie wiem, dlaczego On mnie tak pokarał. Rozumiem, gdyby tobie się ukazywała i straszyla cię po nocach, ale czemu mnie? Przecież ona nawet mnie nie lubi, a w każdym razie tak twierdzi.

- To przestaje być śmieszne - głos przystojnego diabła drżał ze złości.

- Spokojnie! - Azazel wyciągnął przed siebie ręce. - Przysięgam, że nie usiłuję teraz grać na twoich emocjach. Naprawdę ją widzę. Mówi, że jest w Tartarze, ma się świetnie i cię pozdrawia.

- *Nieprawda!* - zawołałam. - *Tu jest do bani! Chcę się wydostać!*

- A, i chce wrócić - powtórzył grzecznie, a potem dodał: - Pewnie zamierza skopać ci tyłek czy coś w tym stylu. W końcu bardzo mocno jej ostatnio podpadłeś. Co to było? A tak... zabiłeś ją, he he he.

Zobaczyłam w oczach Beletha błysk nadziei. Nadal nie ufał swojemu kompanowi. Znał go zbyt dobrze. Nie mógł się jednak powstrzymać i dopuścił do siebie nadzieję, że może rzeczywiście istnieje i jakimś cudem Azazel mnie widzi.

Ja na jego miejscu nie uwierzyłamby podstępnemu diabłu.

- *Nie chcę mu skopać tyłka, łajzo.* - Cała trzęsłam się ze złości. - *Skopię go tobie, jak nie będziesz mówił tego, co ci każę.*

- Okej, okej. - Wydawał się skruszony. - Już będę mu mówił.

- Co mówił? - dopytywał się Beleth.

- *Powiedz Belethowi, że głupio postąpił, zabijając mnie, ale nie jestem na niego zła.*

- Mówi, że jesteś idiotą, ale nadal cię lubi.

- *Jestem w Tartarze, nie potrafię się stąd wydostać. Tu jest strasznie!*

- Mówi, że jest w Tartarze i dobrze się tam bawi.

- *Księżna Elżbieta Batory usiłuje mnie zamordować, żeby przejąć moje moce. Chce wykopać się w mojej krwi. Dosłownie. Pomaga jej w tym Kuba Rozpruwacz, ten gwałciciel, i jakaś czarownica.*

- Poznała tam gwałciciela i wampirzycę, której zdarza się mieć lepsze pomysły ode mnie.

- *Do Tartaru prowadzi rzeka Styks, na której jest cała masa pułapek. Podejrzewam, że u jej źródła jest wyjście z Podziemi, ale sama nie dam rady tam dotrzeć. Potrzebuję jakichś wskazówek albo bezpośredniej pomocy.*

- Mówi, że płynie tam jakaś rzeka i można się nią wydostać, ale ona nie umie pływać.

- *Pomóżcie mi, błagam. Beleth, Kocham cię.*

- Mówi, żeby jej pomóc, bo jak nie, to pożałujesz.

Moja cierpliwość się wyczerpała. To chyba był najwyższy czas, żeby sprawdzić, czy mogę korzystać z mocy jako projekcja astralna.

Skupiłam się na butach Azazela. Czarne lakierki z idealnie zawiązanymi sznurówkami. Najpierw zapaliły się ich końcówki. Gdy tylko diabeł się zorientował, zaczął podskakiwać w parodii tańca.

- *Podpaliła mnie! Podpaliła mnie!* - krzyknął i zalał stopy strumieniem wody wyczarowanym z czubka swojego palca.

Poczułam ulgę. Dobrze, że moje moce działały. Może wcale nie musiałam używać Azazela jako tłumacza? Mogłabym pisać Belethowi kartki! Albo szminką po lustrze, to bardziej kobiece.

Przystojny diabeł patrzył na przemoczonego kompana ze zdziwieniem.

- *Czemu polałeś się wodą?* - zapytał.

- *Podpaliła mnie, bo źle przetłumaczyłem parę słów.* - Posłał mi mściwe spojrzenie. - *Pieprzony poltergeist...*

- Nie było żadnych płomieni - zaprzeczył Beleth.

Jak to nie? Sięgały Azazelowi prawie do kolan! Musiał je zauważyć! Zwłaszcza że Azazel krzyczał wniebogłose. Przyjrzałam się dokładniej sznurówkom diabła. Były nietknięte. To niemożliwe...

- *Azazel, sprawdzam coś, nie przestrasz się* - mruknęłam

- Jak to sprawdzasz? - zapytał zaniepokojony.

W jednej chwili całe jego ubranie stanęło w ogniu. Przestraszony diabeł ryknął na całe gardło i bezładnie zaczął walić dłońmi po ubraniu. W końcu wyczarował wielki słup wody z sufitu i ugasił ogień.

Odgarnął z twarzy mokre czarne włosy i wbił we mnie pełne wściekłości spojrzenie. Zaskoczona zauważyłam, że na policzkach miał czarne strugi. Neeee, niemożliwe. Azazel używałby czarnej kredki do oczu albo tuszu do rzęs?

Skubany, to dlatego miał takie ładne oczy!

- Co ty sobie wyobrażasz? - wrzasnął. - Nie pozwałam ci podpalać mnie dla rozrywki, słyszysz, ty wstrętna, mała...

- *Cicho!* - weszłam mu w słowo i zbliżyłam się do niego.

Gwałtownie ode mnie odskoczył.

- Nie podchodź do mnie, przekłeta! - warknął.

Poczułam, jak świat rozpada mi się na kawałki. Na jego czarnej koszuli która na moich oczach skwierczała od ognia przylepiając się do skóry diabła, nie było żadnego śladu dokonanych przeze mnie zniszczeń.

- *Azazel, twoja koszula jest nietknięta* - powiedziałam zrozpaczona.

- O, rzeczywiście. Nic się jej nie stało - diabeł był zaskoczony - Nie podejrzewałem, że to taki dobry materiał. Nic dziwnego, w końcu to M&S.

- *M&S? Mefisto i Szatan?*

- Nie, głupia. To Michał i Sealtiel, jedni z najlepszych anielskich projektantów mody w Arkadii. Niestety nie produkują czarnych ubrań i sam musiałem przefarbować.

- Azazel, a co mnie obchodzi twoja koszula i dlaczego miałyby jej zaszkodzić woda? - zapytał Beleth. - Czy ty się na pewno dobrze czujesz? Znowu używałaś lubczyku diabelskiego? Przyznaj się.

- Nie, to nie tak. Ona mnie znowu podpaliła - Azazel dopiero teraz przypomniał sobie o istnieniu kompana.

Byłam zdruzgotana. Koszuli nic się nie stało. Nie było żadnego śladu po ogniu, który zapaliłam. Oznaczało to, że moje moce widział tylko podstępny diabeł. Nie mogłam się uwolnić od jego pomocy.

Szlag by to trafił..

- Mam tego dość - powiedział przystojny diabeł. - Wynoś się stąd, nie chcę słuchać twoich kłamstw. Wiem, że jej już nie ma.

- *Ależ jestem!* - krzyknęłam. - *Azazel powiedz mu coś, co tylko ja i on możemy wiedzieć. Udowodnij, że tu jestem!*

- To powiedz mi coś, co mogę mu powtórzyć - odparł zniechęcony, a potem wyjaśnił Belethowi: - Żeby ci udowodnić, że nie zmyślam i naprawdę

widzę Wiki, ona powie mi jakiś szczegół z waszego życia, który znacie tylko wy.

Już wiedziałam, co wybrać.

- *Zapytaj go, czy pamięta naszą rozmowę w Stambule.*

- Coś o Stambule.

- *Zapytałam wtedy Beletha, jak to jest latać. A on odpowiedział mi, że nie potrafiłby znaleźć odpowiedniego słowa, gdyby nie spotkał mnie. Ale teraz już wie, że lot to jak zakochanie, jak pierwsza miłość.*

Azazel zarechotał. Spojrzał na Beletha i poklepał się po kolanach z uciechy.

- O nie wierzę, że mogłeś pieprzyć takie głupoty!

- *Powtórz!* - warknęłam.

- Mówi, że w Stambule powiedziałeś, że latanie jest jak pierwsza miłość.

No doprawdy... Beleth... Nie spodziewałem się po tobie czegoś takiego. Wstyd... Wiersze też układasz?

Przystojny diabeł siedział w całkowitym milczeniu.

- Wiki? - zapytał. - Jesteś tu?

Podeszłam do niego i spróbowałam go dotknąć. Moje ciało, tak samo jak moja moc, w tym świecie nie było niestety materialne. Moje palce zamiast chwycić jego dłoń, przeszły na wylot. Wzdrygnął się, ale nie odskoczył. Spojrzał w przestrzeń gdzieś ponad moim prawym ramieniem.

- Wiki, naprawdę tu jesteś? - nie mógł w to uwierzyć. - *Powiedz mi, że jestem tu i się nie gniewam* - rozkazałam Azazelowi.

Pogderał chwilę pod nosem, ale grzecznie powtórzył.

- Wybacz mi, Wiki - wyszeptał Beleth. - Postaram się wydostać cię z Tartaru.

Nagle podstępny diabeł trzasnął się dłonią w czoło.

16

- Już wiem, dlaczego widzę Wiktorię! A wiecie, co jest najzabawniejsze? To, że tylko ja mogę ją widzieć i nikt inny!

Gdy zdał sobie sprawę ze znaczenia swoich słów, odrobinę się zmartwił.

- Już wiem - powtórzył Azazel, ze znacznie mniejszym entuzjazmem. Spojrzeliśmy na niego wyczekująco.

- Przecież to oczywiste - stwierdził podstępny diabeł. - Wiki jest teraz mieszkanką Tartaru i nie może być widziana przez nikogo, skoro jest przeklęta.

- To już wiemy - mruknął Beleth. - Wyjaśnij, dlaczego uważasz, że ciebie jako jedyną osobę we wszechświecie spotkał ten zaszczyt.

- Kiedyś chwaliłem się przed nią moją sektą! Kazałem jej wtedy wypowiedzieć zaklęcie, żebym zawsze mógł ją widzieć, kiedy jest niewidzialna!

- Zmarszczył brwi. - Cholera, nie wiedziałem, że to będzie obejmowało też mówienie... A tym bardziej nie sądziłem, że będzie działać na tartaryjskiego ducha.

Przypomniałam sobie tamte chwile. To było tak dawno. Wydawały mi się ledwie snem, marą, która nigdy nie istniała.

Poczułam się stara, kiedy pojęłam, ile rzeczy już przeżyłam i ile razy umarłam.

- Będę musiał dopracować to zaklęcie - gderał Azazel. - Nie sądziłem, że mogę mieć później przez nie kłopoty...

- *Jeszcze nie masz kłopotów* - mruknęłam. - *To ja je mam.*

- Fakt - przyznał z nieukrywaną ulgą.

Jeszcze raz nakreśliłam diabłom sytuację, w której się znalazłam. Tym razem moja historia została dokładnie zrelacjonowana.

Beleth spochmurniał.

- *Jak to się stało, że nie ukarali cię za zamordowanie mnie?* - zapytałam.

Przyznam szczerze, że z jednej strony bardzo mnie to cieszyło, jednak z drugiej... Brak konsekwencji oznaczał, że nikt się mną za bardzo nie przejmował. Trochę to mnie ubodło.

Azazel powtórzył moje pytanie.

- W trakcie przesłuchania Gabriel nabrał wątpliwości. Poczul, że nie jesteśmy sami w gabinecie Szatana. Postanowili na razie wstrzymać moją karę. Jest w zawieszeniu. Zastanawiają się, co powinni ze mną zrobić. Mam nadzieję, że myślą także nad wyciągnięciem ciebie z Tartaru.

- Dostał w zawieszeniu dożywocie w piekielnym więzieniu - uściślił Azazel. - Nawet ja nigdy nie dostałem takiej kary. Rozumiesz? Ja! Lucek bardzo się wkurzył na Beletha.

Podstępny diabeł skierował spojrzenie na przyjaciela.

- A tak przy okazji to wątpię, żeby zastanawiali się, jak ją uwolnić. Gdyby byli mili i pełni empatii, to nie zostaliby władcami zaświatów. Obstawiam, że głównym tematem ich rozmów jest wymyślenie odpowiedniej i strasznej kary dla ciebie. Gabriel nieźle zagrał z tymi wątpliwościami, dzięki temu wygląda, jakby naprawdę się przejmował. Zapewni tym sobie dobry PR.

- *Ty naprawdę nie wierzysz, że wszyscy mogą się od ciebie różnić i dla odmiany mogliby mieć... sama nie wiem... jakieś pozytywne cechy?* - westchnęłam.

- Chyba kpisz - odparł Azazel. - Nie ma czegoś takiego jak empatia. To wyjątkowo tania zagrywka, niestety z niewiadomych mi przyczyn nadużywana w Niebie.

Nie skomentowałam. Niech żyje w świecie swoich wyobrażeń.

- Naprawdę tam byłaś? - chciał wiedzieć mój diabeł. - Byłaś w gabinecie Szatana? Czuję coś.

- *Tak, byłam tam. Hitler też. To on mi pokazał, jak można dostać się do rzeczywistości.*

- Byłaś tam? - Azazel nie krył zdumienia. - I Lucek nic nie zauważył? Weszłaś do jego gabinetu bez żadnych konsekwencji?

Na jego twarzy zagościł złośliwy uśmiech, a z gardła wydobył się złowieszczy chichot. Kolejny niecny plan właśnie rysował się w jego głowie.

- *Nie, Azazel, nie będę dla ciebie szpiegować.*

- No wiesz? - skrzywił się. - Nie dziwię się, że była z ciebie taka słaba diablica. Ale jeśli nie zdołasz uwolnić się z Tartaru, to rozważysz współpracę? Obiecuję, że gdybym był znowu Szatanem, to spróbowałbym cię uwolnić.

- *Nie wierzę ci. Powiedz Belethowi, żeby raczej nie liczył na Gabriela. Też wątpię, że może mi pomóc.*

Azazela wyraźnie irytowało, że musi być tłumaczem, zwłaszcza gdy odmówiłam mu pomocy w zdobyciu jakichś obciążających Lucyfera informacji.

Rola zwykłego tłumacza zapewne według niego była nudna. Wolałby coś wysadzić, zniszczyć, kogoś obalić. Aż dziwne, że nie trafiłam do Tartaru, bo jemu zachciało się zostać bogiem i potrzebna była mu wtyczka w Podziemiach.

Zerknęłam na niego podejrzliwie. Nieee... zbyt się mnie przestraszył, żeby to naprawdę był jego plan.

Chyba, że...

- Kogo jeszcze, poza Hitlerem, Rozpruwaczem i tą księżną poznałaś w Tartarze? - zapytał zaciekawiony Azazel. - Jest tam ktoś interesujący?

Wymieniłam kilka nazwisk największych morderców i złoczyńców, którzy tam trafili. Międzynarodowa elita...

Beleth zaczął niespokojnie krążyć po pokoju. Przeczesał dłonią włosy ułożone w irokeza. Zawsze tak robił kiedy się denerwował. Mięśnie grały pod jego skórą. Wyglądał jak dziki kot, którego zamknięto w klatce.

Niebezpieczny i niezwykle pociągający.

Azazel posłał mi złośliwe spojrzenie.

- Co tak wzdychasz? - zapytał.

Speszyłam się i przypomniałam sobie coś, o czym dawno chciałam powiedzieć Belethowi. Nie podejrzewałam jednak, że będę musiała to zrobić w obecności Azazela

- *Powiedz Belethowi, że zerwałam z Piotrem. Dla niego. To się stało, zanim mnie zamordował. Jeszcze w Niebie, jeszcze przed rozprawą Moroniego.*

- Wiemy, że już ze sobą nie jesteście. Nie muszę tego mówić twojemu diabełkowi. Twój były śmiertelnik wtargnął do mojej knajpy, którą, nawiasem mówiąc, zdemolował, i zażądał wyjaśnień, dlaczego nie żyjesz.

- *Naprawdę?* - zdziwiłam się. - Nie spodziewałam się po Piotрку takiego zachowania. On miałby coś zdemolować? O tym, że jest zdolny do podjęcia inicjatywy i walki o mnie, już się przekonałam. Jednak tak otwarta agresja, i to w stosunku do diabłów? Naprawdę odważne.

- *I co mu odpowiedzieliście?* - chciałam wiedzieć.

- Uspokoiłmy go po tym, jak przyłał Belethowi, a potem obiecaliśmy, że spróbujemy cię wyciągnąć. Gwoli ścisłości, ja nic nie obiecywałem. To Beleth dał się w to wrobić. Naprawdę zerwałaś z Piotrem? - drażył podstępny diabeł. - Przecież to miłość twojego życia. Ryzykowałaś dla niego wszystko, nawet duszę. Wprost nie mogę w to uwierzyć. W głowie mi się to nie mieści.

- *A cokolwiek ci się w niej mieści?* - warknęłam. - *Owszem, zerwaliśmy...*

Wciąż mu na mnie zależało. Mimo że go porzuciłam dla innego. Zateśniłam za jego spokojnymi oczami i poczuciem bezpieczeństwa, które mi dawał.

- *Niesamowite* - zdziwił się teatralnie. - Słyszałaś, Beleth? Naprawdę zerwała z Piotrem, żeby być z tobą, bo jesteś sensem jej istnienia, pociechą w trudnościach, światłem w tunelu... Co za banał, nie wytrzymam. - Podrapał się po głowie i mruknął do siebie: - Świat schodzi na psy...

Beleth zatrzymał się i spojrzał na mnie. To znaczy chciał spojrzeć. Naprawdę się starał. Trafił jakiegoś pół metra na lewo od mojej głowy.

- Trzeba powiedzieć Gabrielowi, że wróciłaś jako duch - oświadczył. - To jedyne rozwiązanie.

- Może jeszcze Luckowi się pochwal, że Wiki zdołała wyjść z Tartaru jako projekcja astralna - mruknął Azazel. - Na pewno się ucieszy...

- Gabriel nam pomoże - upierał się Beleth. - I tak podejrzewa, że coś się dzieje. Lucyfer może sobie myśleć, co chce. Nie dbam o to.

- A powinieneś, bo masz wyrok w zawieszeniu.

- Muszę naprawić swoje błędy - oświadczył Beleth. Azazel patrzył na niego nic nierozumiejącym wzrokiem.

- Ktoś cię podmienił - uznał.

Klasnęłam w dłonie, żeby zwrócić ich uwagę na siebie. Dopiero po chwili przypomniałam sobie, że Beleth mnie nie słyszał, a uwaga Azazela była średnio przydatna.

- Jak długo możesz pozostawać poza Tartarem? - zapytał Beleth.

- *Nie wiem* - Azazel wiernie powtarzał moje słowa. - *Nikt mi nie powiedział, że są jakieś ograniczenia, ale mogli to przede mną zataić. Chcą wykorzystać moje moce do jakichś swoich wewnętrznych porachunków, a Elżbieta chce mojej krwi. Byliby niezadowoleni, gdybym uciekła.*

Beleth znowu zaczął krążyć po pomieszczeniu. Zagapiłam się na niego. Azazel przyglądał mi się rozbawiony, nie komentował jednak mojego cielecącego spojrzenia.

- A jak wygląda Tartar? - zapytał.

- *Szaro i przerażająco* - odparłam. - *Nie ma tam żadnych kolorów. Nikt nie robi niczego za darmo. Ludzie muszą pracować na swoje jedzenie, a jeść nie bardzo jest co. Na dodatek rosną tam tylko kartofle...*

- A wszyscy myślą, że tak jest u nas - zakpił Azazel. - Wszystko przez niebiańską propagandę i stereotypy.

Beleth sięgnął po koszulę leżącą na szeszlunku koło olbrzymiego lustra. Założył ją na siebie, zakrywając przede mną swój boski brzuch.

- Wiki, w Tartarze przebywa Achilles, mój potomek z nieprawego łoża - powiedział przystojny diabeł. - Jeżeli będziesz czegokolwiek potrzebowała, poproś go o pomoc. To nefilim, półanioł, więc jest odrobinę szalony, ale to mój syn. Powiedz, że ja cię przysłałem i że ma cię chronić.

Nie byłam pewna, czy posłucha. Jako półanioł nie był odrobinę szalony - Beleth zbyt eufemistycznie się wyraził. Nefilimy, jak kiedyś objaśniła mi Kleopatra, kierowały się jedynie żądzą mordy. Nie miałam pewności, czy to najlepszy pomysł udać się do niego i zniecka powiedzieć mu o ojcu.

- A teraz pójdziemy porozmawiać z Gabrielem - oświadczył mój diabeł. - Musi nam pomóc wydostać cię stamtąd. Na pewno istnieją jakieś protokoły na ten temat. Musi istnieć sposób, żebyś do nas wróciła. Do mnie...

- *O ile mi obiecasz, że nigdy więcej mnie nie zabijesz.* - Zaśmiałam się i poczułam ulgę. Pomogą mi i wszystko będzie tak jak wcześniej. Moja przygoda z Tartarem dobiegała końca.

- Mówi, że nie ma sprawy, chyba że znowu ją zamordujesz. - Azazel ziewnął znudzony i nagle przyjrzał mi się dokładniej. - Wiki, trochę zbladłaś - powiedział. - Dobrze się czujesz?

Spojrzałam na swoje dłonie. Wydały mi się tak samo przezroczyście jak wcześniej. Chociaż... może trochę wyraźniej widziałam przez siebie mozaikę na podłodze?

- *Świetnie* - odparłam. - *A czemu pytasz?*

- Bo bledniesz, ale skoro mówisz, że wszystko jest dobrze...

- Blednie?! Jak to blednie?! - zawołał Beleth. - Co się z nią dzieje?!

- Romeo, wstrzymaj się - mruknął Azazel. - Trochę zbladła. Może to z wrażenia na widok twoich niesamowitych mięśni. Rozbierz się, to ci powiem, czy poczerwieniała...

Podstępny diabeł miał jednak rację. Moje dłonie robiły się coraz bardziej przezroczyście. Niedobrze. Nie wiedziałam, co się dzieje. Poczułam chłód.

Wcześniej, będąc projekcją astralną, nie czułam ani ciepła, ani zimna. Teraz owiało mnie mroźne powietrze. Moje włosy poruszyły się niewidzialnego wiatru.

Odwrociłam się. Za swoimi plecami miałam drzwi do sypialni Beletha, przez które dostałam się do Piekła. Coś zaczęło wściekle w nie łomotać. Zupełnie jakby usiłowało przedostać się do środka.

- *Słyszycie?* - zapytałam.

- Co mamy słyszeć? - odparł Azazel.

- *Za drzwiami...* - szepnęłam. - *Ktoś... coś... jest za drzwiami.*

- Skarbie, ty rzeczywiście bledniesz - poinformował mnie diabeł.

Beleth w napięciu usiłował mnie wypatrzeć, chociaż wiedział, że to niemożliwe.

- Wiki, pamiętaj, musisz odszukać Achillesa. On ci pomoże. Musi ci pomóc. Ja spróbuję wydostać się z tej strony zaświatów - powiedział. - Skoro bledniesz, może nie masz dużo czasu. Może musisz wrócić do Tartaru.

Tego akurat domyśliłam się sama. Mój czas pobytu w Piekło gwałtownie się kurczył.

Drzwi łomotały wściekle, zupełnie jakby ktoś nimi mocno szarpał. Nagle otworzyły się na oścież. Do pomieszczenia wtargnął mocny wiatr, ale szarpał tylko moim ubraniem. Zaczął ciągnąć mnie do progu. Tartar upominał się o mnie.

- *Wróć!* - zdążyłam zawołać i w następnej chwili zostałam zassana przez drzwi, które zatrzasnęły się za mną.

Potężny podmuch wyrzucił mnie na szarą wąską ulicę Podziemi. Uderzyłam ciężko o kocie łby, którymi była wybrukowana, tuż obok pełnego ekskrementów rynsztoka.

Widmowe przejście zatrzasnęło się przed moim nosem. Przed sobą miałam tylko szare obdrapane drzwi prowadzące na śmierdzącą moczem klatkę schodową. Nie było już wiatru, który ciągnąłby mnie za sukienkę.

Byłam zirytowana. Nie wiedziałam, że przebywanie poza Tartarem ma jakieś ograniczenia w czasie. O tym Hitler przypadkiem zapomniał mi wspomnieć. Nie napatrzyłam się na Beletha! Niemniej miałam plan. A plan to podstawa sukcesu. Niebawem wszystko się wyjaśni. Muszę jedynie znaleźć Achillesa i ukryć się przed Elżbietą. Resztę załatwią za mnie diabły.

Podniosłam się z ziemi i korzystając z mocy, oczyściłam sukienkę z brudu. Odwróciłam się pełna dobrych chęci i nadziei.

Stanąwszy na ulicy przed zmurszałą kamienicą, napotkałam wzrok Kuby Rozpruwacza i kilkunastu mężczyzn, którzy zacierali ręce, wbijając we mnie złe spojrzenia. Angielski dżentelmen pokiwał karcąco palcem przed swoją twarzą.

- Nieładnie tak uciekać, panno Wiktorio - powiedział.

Przyznam szczerze, że mnie kompletnie zaskoczyli.

- Bo sobie oko wydłubiesz - zakpiłam, nie tracąc animuszu.

Uśmiechnął się półgębkiem.

- Moja droga, zapewniam cię, że lepiej się ze mnie nie naśmiewać. Jak widzisz, nie jestem tutaj sam.

Towarzyszący mu mężczyźni zarechotali.

- To ty mnie ściągnęłaś do Tartaru? - warknęłam. - To twoja sprawka?

- Ależ skąd. To Anna Darvulia. Została w zamku przy swoim magicznym kotle i tajemniczych eliksirach.

- Magiczne kotły to bzdura. Albo się ma moc, albo tandetne gadżety.

- Jak sama przekonałaś się na własnej skórze, można mieć i jedno, i drugie. To w rękach Anny czai się potężna siła, która ściągnęła cię z powrotem do Tartaru. Kto wie, co Anna jeszcze potrafi? Radzę ci więc, zachowuj się spokojnie. Nie ma jej tu z nami, ale pomoże mi cię uspokoić, gdybyś nie chciała współpracować.

Mężczyźni zaczęli się do mnie zbliżać. Angielski dżentelmen uśmiechnął się przymilnie i powiedział:

- A teraz chyba mamy coś do załatwienia, nieprawdaż? Musimy wyświadczyć przysługę mojej pani...

Cofnęłam się o kilka kroków, bacznie obserwując twarze zbliżających się mężczyzn. Nie zawahaliby się przed niczym. Teraz chcieli mnie zaatakować..

Dlaczego zawsze prześladują mnie kłopoty? Czy ja naprawdę nie mogę wieść spokojnego, ustabilizowanego życia, najchętniej pozbawionego wiary w rzeczy nadprzyrodzone?

Chociaż pewnie by było nudne...

- Nie zdobędziesz mojej mocy! - rzuciłam do Kuby Rozpruwacza, robiąc zaciętą minę, niczym bohaterka filmów akcji.

- Zawsze warto spróbować.

Czułam się zagrożona. Już tylko kilka metrów dzieliło mnie od pierwszego oprycha. Zaśmiałam się. Ciekawe, czy boją się czarownic?

- Boicie się Anny Darvulii? - zapytałam. - Wzbudza w was grozę?

Mężczyźni milczeli, ale ich miny mówiły same za siebie. Miałam dowód na to, że czarownice w Tartarze są w miarę bezpieczne. Zrozumiałam, dlaczego Anna używała kotła i innych niezbędnych w tym fachu rekwizytów. Dzięki nim była znacznie bardziej wiarygodna.

Dla lepszego efektu uniosłam ręce nad głowę.

- W takim razie powitajcie nową czarownicę. - Klasnęłam.

Pomiędzy mną a zbirami potoczyła się cienka linia, tnąc brukową kostkę ułożoną z krzywych kamieni. Linia zamieniła się w wysokie na pół metra płomienie, które skutecznie mnie od nich oddzieliły.

Zauważyłam na ich twarzach strach przed czarami. Ucieszyłam się jak dziecko.

Kuba Rozpruwacz był wściekły. Nie zamierzał poddać się tak łatwo.

- Głupcy! - zawołał. - Macie ją złapać. Tego żąda księżna i wiedźma Anna. Dobrze wiecie, co was czeka, jeśli tego nie uczynicie.

Chwilowe zmieszanie i strach, który wywołałam tą tanią sztuczką, zniknęły. Zdaje się, że Elżbieta była znacznie lepsza w zastraszaniu ludzi ode mnie. Trudno się dziwić. Ona szlifowała tę umiejętność przez wieki. Ja ćwiczyłam się w niej dopiero od dwóch dni.

Opryszki, zasłaniając twarze, skoczyli w ogień. Szare, sterane ubrania zaczęły się na nich palić. Większość dała sobie z tym radę i ugasiła płomyki, bijąc rękawami materiał. Jednemu się to nie udało. Ogień zaczął pochłaniać jego włosy i twarz. Mężczyzna przeraźliwie krzyczał. Żaden z kompanów nawet się nie odwrócił, żeby spojrzeć.

Ich oczywista bezwzględność zmusiła mnie do zmiany taktyki.

Odwróciłam się i wzięłam nogi za pas. W biegu zmieniłam czerwoną sukienkę na spodnie i bluzkę. Na stopach stworzyłam wygodne adidas. To w żadnym razie nie był odpowiedni moment na zgrabne szpilki i ucieczkę z gracją.

Tuż za plecami słyszałam dyszenie pogoni. Pragnący mnie schwytać mężczyźni nie nawykli do długich biegów. Szybko zaczęli się męczyć.

Grzej, że ja też unikałam przez całe życie wysiłku fizycznego, jak tylko mogłam. Przysięgam, że jeśli wyjdę z tego cało, to zapiszę się na siłownię i przestanę jeść czekoladę!

No dobra. Nie przesadzajmy. Nie da się przestać jeść czekolady.

Na chybił trafił skierowałam za swoje ramię palec i strzeliłam kilka razy płonącymi kulami. Sądząc po zduszonych okrzykach, czasami udawało mi się trafić, lecz banda deptała mi po piętach.

Musiałam stworzyć sobie skrzydła. Jedynie w ten sposób mogłam uciec. W powietrzu nikt by mnie nie złapał. Tylko czy białymi skrzydłami ich przestraszę? O nie! Chcecie mieć demona o potężnej i złej mocy? To macie!

W jednej chwili z moich pleców, rozrywając materiał bluzki, wykwitły zgniłozielone wypustki. Skupiłam na stworzeniu skrzydeł wszystkie siły, w związku z czym bardzo zwolniłam swój bieg. Rwał mi się oddech. Słyszałam, jak krew głośno pulsuje w szyi.

Zielone wypustki rosły. Powoli wydłużały się z mlaszczącym, niesmacznym odgłosem. Mężczyzna biegnący za mną usiłował mnie za jedną z nich złapać. Zadbłam o szczegóły, więc odskoczył z obrzydzeniem, wycierając o spodnie dłoń ubrudzoną lepkiem żółtawym śluzem.

Łopocząc na wietrze cieniutką zieloną błoną rozpostartą na patykowatych skrzydłach, skręciłam w kolejną boczną uliczkę. Straciłam rachubę w labiryncie miasta. Gdyby nie urywany oddech, zaczęłabym kłać jak szewc. Od diabłów nauczyłam się kilku ładnych wiązanek od diabłów.

Na próbę poruszyłam skrzydłami. Były znacznie słabsze od anielskich. Moje doświadczenie chyba się nie powiodło. Jak zwykle przerost formy nad treścią...

Zamachałam nimi mocno, wzbijając się kilka metrów do góry. Za sobą słyszałam przerażone krzyki:

- To potwór!
- Czarownica!

Niestety nie wszystkie tak brzmiały. Najwyraźniej w pogoni uczestniczył także Kuba Rozpruwacz, bo dotarło do mnie wywrzeszczane z pięknym angielskim akcentem:

- Łapać wiedźmę!

Rozpaczliwie załopotałam skrzydłami. Wzniosły mnie na wysokość pierwszego piętra. Kompletny brak wiatru nie pomagał. Zaczęłam opadać.

Pół biegnąc, pół lecąc, uciekałam dalej przed siebie. Rzucalam mocą na prawo i lewo, przewracając poobijane blaszane kontenery na śmieci oraz sterty drewnianych skrzyń porzuconych bezładnie na ulicach. Próbowałam wszystkiego, by zwolnić pogoń. Biegłam już opłotkami miasta. Budynki stawały się coraz niższe i brzydsze. Mieszkali tu najmniej poważani obywatele Tartaru, których los nikogo nie interesował. Nikt im nie sprzyjał, a więc i nie zapewniał

luksusów, o które było trudno w Podziemiach. Miejsce kamienic zajęły chaty z ułożonych byle jak kamieni lub lepianki. Mimo wszystko pokryte strzechą domki wydały mi się znacznie sympatyczniejsze od domów w centrum. Nawet jeśli nie miały szyb w oknach.

Jeden ze zbirów schwycił mnie za skrzydło i szarpnął. Zatoczyłam się z krzykiem do tyłu.

Wyobraziłam sobie, że skórzaste wyrośla odpadają. Już nie chciałam mieć ich na plecach. Nie spełniły swojego zadania. Nie odstraszyły goniących mnie mężczyzn. Anna Darvulia musiała pokazywać im znacznie gorsze rzeczy.

- Obrzydlistwo! - dobiegł mnie głos któregoś z nich, w którego ręce trafiły ociekające śluzem nietoperze skrzydła.

Opadałam z sił. Dłużej już nie mogłam biec. Musiałam się gdzieś ukryć.

Nagle zobaczyłam cień kota skręcającego w wąskie uliczki. To on! To znowu on!

Poszłam za nim, znikając mojej pogoni z oczu. Cień kota poprowadził mnie w zaułek, który kończył się małym podwórkiem i wolno stojącą chatą. Wydawało mi się, że szmata powieszona w oknie poruszała się, zupełnie jakby wskoczył tam zwierzak.

Szarpnęłam drzwi i wskoczyłam do środka. Zatrzasnęłam je za sobą.

- Kici, kici - zawołałam, rozglądając się gorączkowo w poszukiwaniu tajemniczego zwierzęcia.

Była tylko jedna, skryta w cieniu. Wiedziałam dobrze, znając nawyki mojego Behemota, że jeśli kot nie chce, to nie zostanie znaleziony po ciemku. Dałam sobie spokój i po omacku weszłam za stół i schowałam się za krzesłem.

Dwa pozbawione szyb okna zasłonięte były grubym postrzępionym materiałem. Nie mogłam nawet wyrzeć, żeby sprawdzić, czy goniący mnie mężczyźni się zbliżają.

Nagle drzwi się otworzyły.

Zamarłam.

Postać w drzwiach zasłoniła sobą całe światło. Umięśnione ramiona mężczyzny wypełniły nadgniłe framugi. Już miał wejść do środka, gdy ktoś za jego plecami zawołał:

- Hej! Ty! Dupku żołądny! Czemu nie jesteś na budowie?!

Mężczyzna odwrócił się powoli i odpowiedział:

- Bo nie...

Usłyszałam, że przed chatą powstało małe zamieszanie. Trwała tam gorączkowa dyskusja pełna krótkich okrzyków.

- To nefilim!

- O cholera jasna!

- O nefilimie nikt nam nie wspominał.

- Rozpruwacz milczał.

- Jak zwykle.

- Co teraz?

- Ale na pewno tam biegła?

- To nefilim, idioto!

Sylwetka potężnego człowieka wciąż zasłaniała mi widok. Zauważyłam, że w opuszczonej dłoni ścisnął potężny młot, którego mężczyzna normalnej postury raczej by nie podniósł.

Nefilim. Pół anioł, pół człowiek. Chyba niechcący wpakowałam mu się do chałupy.

- Czego? - warknął zwięźle.

- Nie widziałeś kobiety? - zapytał jakiś odważniejszy opryszek, przysuwając się bliżej. - Mniej więcej mojego wzrostu, ubrana w spodnie i białą bluzkę.

- Nie... - odburknął olbrzym.

- Ale zastanów się. Może jednak ją widziałeś.

- Nie...

- Bardzo nam zależy. Jeśli przypadkiem ją złapałeś, byłibyśmy naprawdę wdzięczni.

- ACHRRRAAAA!!!

Nefilim uniósł do góry młot i wybiegł na podwórze, cały czas wściekle wrzeszcząc. Przez drzwi zobaczyłam, jak trzepnął któregoś z opryszków w czerep. Kawalki mózgu odleciały całkiem daleko. Chyba go porządnie zabolalo.

Pozostali uciekli, zapewniając, że poszukają mnie gdzieś indziej i bardzo przepraszają za najście.

Olbrzym warknął coś w odpowiedzi. Podszedł do krwawiącego ciała, które powoli zaczęło się regenerować, i wytarł młot o koszulę biedaka. Stał chwilę, patrząc na powracającego do zdrowia opryszka. Poczekał, aż tamten, zataczając się, ucieknie, i zadowolony z siebie skierował się z powrotem w stronę chaty.

Uświadomiłam sobie, że nie pytając o pozwolenie, wlałam nie tyle do domu nefilima, do szaleńca.

Hm...

Mężczyzna wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Podszedł do małej lampy naftowej, która stała na stole.

W ciemnościach jeszcze mnie nie zauważył. Odłożył młot na stół i potarł mocno dwoma kamieniami, wzniecając iskierkę, która szybko przeskoczyła na knot. Po chwili zapłonęło nikle pomarańczowo-szare światelko, wydobywając moją twarz z mroku.

Uśmiechnęłam się nieśmiało, patrząc na zdumione oblicze olbrzyma. Miał czarne proste włosy opadające na prostokątną twarz z wyraźnie zaznaczoną szczęką. Złote oczy się zwężyły.

- Cześć - powiedziałam. - Nazywam się Wiki, a ty?

- Achilles - odpowiedział machinalnie i naraz potrząsnął głową, jakby właśnie zdał sobie sprawę, że coś mu tu nie pasuje. Jego wzrok momentalnie stwardniał, a źrenice zwężyły się jak u kota.

Achilles złapał młot i wrzasnął:
- ACHRRRAAAAH!

Tymczasem w Niebie...

Złote słońce Arkadii stało wysoko na nieboskłonie, rzucając krótkie cienie na marmurowy chodnik. Beleth stukał niecierpliwie stopą o krawężnik.

Przypalił kolejnego papierosa. Srebrna papierośnica, którą nosił w kieszeni, była już pusta. Dla diabła to nie problem. W każdej chwili mógł stworzyć sobie nowe papierosy. On jednak lubił nosić przy sobie mały ich zapas. Uważał, że używanie srebrnego cacka jest eleganckie i szykowne.

Beleth lubił się podobać jak każdy diabeł.

Mieszkańcy Nieba rzucali mu zaskoczone spojrzenia. Na terenie Arkadii nie wolno było palić. Był to czyn niemoralny i jak każdy taki surowo zakazany.

Wreszcie zobaczył Azazela. To na niego czekał od dłuższej chwili pod anielską Administracją. Rzucił niedopałek na ziemię, ignorując zgorszenie na twarzach kilku przechodniów.

Miał anielskie skrzydła. Mógł panoszyć się po Arkadii jak każdy pieprzony aniołek. Poza tym podejrzewał, że w duchu mu zazdroszczą.

- Gdzieś był tyle czasu, do cholery?! - warknął do kompana, który wcale nie miał przeproszającej miny.

- Żegnałem się z Kleopatry. Jest odrobinę nerwowa, odkąd znowu ze sobą jesteśmy. Wiesz, że cały czas mnie kontroluje. Musiałem jej nieźle nakłamać, gdzie i po co idę - odparł.

Azazel jak zwykle cały ubrany był na czarno, przez co zupełnie nie pasował do pastelowych mieszkańców Nieba. W przeciwieństwie do Beletha w ogóle nie chował skrzydeł. Chciał, żeby podziwiano ich piękną błękitną barwę. Azazel szczycił się tym, że wrócił do Arkadii.

- Przecież nie robisz niczego zakazanego. Nie prościej powiedzieć jej prawdę? - zapytał zdumiony złotooki diabeł.

- A po co? - jego kompan szczerze się zdziwił.

Beleth tylko pokręcił głową. Cały Azazel, on nigdy się nie zmieni.

- Idziemy wreszcie? Miejmy to za sobą - westchnął. - Nie wiem, czy dobrze robię, zgadzając się z tobą.

Azazel zdołał go przekonać, że lepiej nie iść do Szatana lub Gabriela i nie mówić im o nowych zdolnościach Wiktorii. Wiadomość o Wiki powracającej jako projekcja astralna mogła spowodować u Lucka atak apopleksji. Przez chwilę Azazel wahał się, czy nie zaskoczyć go tą informacją. Jednak szanse na to, że Szatan wyzionie ducha po usłyszeniu takich wieści, były znikome, więc zmienił zdanie.

- Dobrze wiesz, co by się stało, gdybyśmy im powiedzieli - stwierdził Azazel. - Wyrok w zawieszeniu mógłby przestać wisieć. Zresztą nawet gdyby zdecydowali się ci pomóc, w co wątpię, to na pewno nie zdradziliby

szczegółów. A w ten sposób będziesz mógł trzymać rękę na pulsie. Poza tym jak się nie uda, to zawsze możesz się do nich wybrać w odwiedzinach.

- Już dobrze, dobrze - przerwał mu Beleth. - Chodźmy wreszcie, bo mnie zagadasz na śmierć.

Szybkim krokiem skierowali się w stronę schodów prowadzących do wejścia Administracji i weszli do przestronnego holu. Beleth minął miękkie kanapy i zaczął pierwszego napotkanego putta:

- Gdzie Borys?

Mały człowieczek zamrugał zaskoczony i odgarnął złoty lok, który opadał mu na oko. Jedyne oko. Drugie zakrywała czarna przepaska.

- Nasz pracownik Borys? - zdziwił się uprzejmie. - Zaraz sprawdzę. Gdyby jednak był niedostępny, zachęcam do skorzystania z mojej pomocy. Z radością udzielę panom wszelkich potrzebnych informacji.

- Nie pieprz, chcemy Borysa - warknął diabeł.

- Rozumiem. Już po niego idę. Czy zechcieliby panowie zasiąść na kanapach i czegoś się napić? Zapewniam, że naszymi pracownikami są najlepsi bariści, jacy kiedykolwiek chodzili po Ziemi.

- Nie chcemy, konusie!

- Rozumiem. Proszę chwileczkę poczekać.

- Beleth, ależ ty się zrobiłeś agresywny. - Azazel z niewinną miną udawał, że ogląda swoje obsydianowe spinki do mankietów. - Nie poznaję cię.

- Przestań mnie drażnić!

- Zastanów się nad tą herbatą. Dobrze by ci zrobiła...

Diabły nie zdążyły nawet porządnie się pokłócić, gdy przed nimi, tupiąc gołymi piętami po posadzce, pojawił się Borys. Czarny zarost rysował się wyraźnie na jego podbródku. Zza białych majtek jak zwykle wystawała paczka papierosów. Zmienił się jednak tatuaż na ramieniu. Przebite strzałą serce pozostało. Natomiast pod nim pojawił się napis: „Śmierć”. Azazel chwycił go za tłuste ramię.

- A teraz pójdziemy się przejść - oznajmił. - Prowadź w jakieś ustronne miejsce.

W ciszy wyszli przed budynek Administracji. Przestraszony putto prowadził ich do swojego ulubionego miejsca, gdzie zawsze kierował się, kiedy miał ochotę na małego dymka. Sam bez trudu przeszedł przez niewielką bramkę prowadzącą poza teren Arkadii. Diabły musiały się przez nią przeczołgać.

- To w czym mogę panom pomóc? - zapytał spokojnie, ale palce sięgające po papierosa ze zgniecionego pudełka zadrżały.

- Śmierć sprowadziła Wiki do Tartaru - powiedział Beleth.

- Wiem. - Borys spuścił wzrok i zaciągnął się głęboko. - Taka miła dziewczyna. Co za strata, co za strata...

- Śmierć nie dopełniła umowy! - krzyknął diabeł. - A ja nie mogę się z nią w żaden sposób skontaktować. Unika mnie.

Azazel niespokojnie zerkał na złote golemy strzegące bram Niebios. W ich obecności dostawał dreszczy. Poza tym nie był do końca pewien, czy nie podsłuchiwały. Co prawda, nie miały uszu, ale nigdy nic nie wiadomo...

- Nieprawda - zaperzył się mały putto. - Chciałeś jedną duszę w Tartarze na czarno. Masz jedną duszę na czarno w Tartarze. Nie powinieneś mieć teraz pretensji.

- Ale tam miał trafić Piotr! Chłopak Wiki!

- Tego nie powiedziałeś Śmierci. Upierałeś się, że bez nazwisk, bez nazwisk. Po prostu wyślij tam duszę, która trafi do ciebie o tej a o tej godzinie tego a tego dnia. Nie wykręcaj się teraz. Sam chciałeś. Śmierć była zaskoczona, że tak traktujesz Wiki, bo ją lubi, ale zawarła z Tobą umowę, więc jej dopełniła - Borys bronił swojej złowieszczej dziewczyny, z którą od niedawna się spotykał i dla której zdążył już całkiem stracić głowę.

Beleth zacisnął zęby. Putto miał rację. Sam narobił sobie kłopotów. Chciał anonimowości, chciał zatrzeć wszelkie ślady. To jego wina.

- Czy Śmierć może ją stamtąd zabrać? - zapytał. - Ściągnąć z powrotem tutaj. Na pewno ma wstęp do Tartaru.

- Z tego, co wiem, nigdy tam nie była - Borys wzruszył ramionami i zdeptał peta piętą. - Ma jakieś problemy ze swoim bratem Charonem. Siłą jej nie zaciągniesz w jego strony.

- Ale Śmierć może wejść do Tartaru? - chciał koniecznie wiedzieć Beleth.

- Nie jestem pewien. Charon musiałby ją wpuścić, a to się raczej nie wydarzy. Nie gadają ze sobą od kilku milionów lat. On dla niej nie istnieje.

Azazel na wszelki wypadek cofnął się w poblizę małej bramki, przez którą przeszli. Wydawało mu się, że jeden z golemów jakoś podejrzanie zalsnił w słońcu. Zupełnie jakby patrzył w jego stronę.

- Jak ja mam wydostać stamtąd Wiki? - zapytał załamany Beleth. - Znikąd pomocy...

- Nie wiem, przyjacielu. - Borys poklepał go po ramieniu. - Nie wiesz, jak tam jest. Może jej już nie ma...

- Wiki wraca jako projekcja astralna, duch. Ona żyje i usiłuje się wydostać. Wiem, że grozi jej tam niebezpieczeństwo. Może Śmierć mogłaby otworzyć dla niej przejście, a ona by stamtąd uciekła? - zasugerował nagle olśniony.

Borys pokręcił przecząco głową.

- To tak nie działa. Śmierć też musi przejść przez czarną dziurę. Można tylko poruszać się w tę stronę, co ona. Nikt sam nie może wyjść.

Beleth nie mógł w to uwierzyć.

- Zupełnie tego nie rozumiem. Czy ona naprawdę nie może się poświęcić i pójść po Wiktorię? Przecież nie musi pokazywać się Charonowi. Od tego zależy wieczność Wiki!

- Już ci mówiłem, że Charon musiałby ją tam wpuścić, a tego nie zrobi. Tym bardziej gdy się dowie, że Śmierć zamierza uwolnić jedną z dusz, które przewiózł przez Styks. Jest dość czuły na tym punkcie.

- Może skłamać.

- Śmierć nigdy nie kłamie. Ona nie umie kłamać. Jest szczerą. To dlatego niektórym udaje się ją oszukać...

Przystojny diabeł usiadł zrozpaczony na schodach. Schował twarz w dłoniach. Nie zapłakał. Wysłannicy Piekieł tak się nie zachowują.

- Co ja mam zrobić?

Azazel wykorzystał ich nieuwagę i przecisnął się na czworakach z powrotem na terytorium Nieba. Możliwe, że dokuczała mu rozwijająca się z każdym dniem paranoja, mimo to nie zamierzał dać się posiekać jednym z ognistych mieczy, których golemi miały pod dostatkiem.

Wolał się ulotnić.

- Jako diabeł nie masz wstępu do Tartaru - westchnął Borys. - Ja też nie mogę tam wejść.

Beleth zamilkł. Nie miał wyboru. Musiał udać się do Gabriela z nadzieją, że ten coś poradzi.

- Ale wiem, kogo możesz poprosić o radę. - Borys uśmiechnął się. - Jest w Niebie ktoś, kto na pewno wie, jak się tam dostać. Czasem mam wrażenie, że wie więcej od samego Archanioła Gabriela.

- Kto?

- Moroni...

19

- Czekaaj! - wrzasnęłam przerażona, odskakując aż pod ścianę, byle tylko znaleźć się dalej od nefilima. - Nie rób mi krzywdy! Proszę!

Achilles zatrzymał się w połowie ruchu. Młot zawisł kilka centymetrów od mojej głowy. Pęd powietrza owiał mi policzki.

- Czemu? - zapytał.

- Bo cię o to proszę - spróbowałam.

- Hm... - chyba nie wiedział, jak zareagować na moją odpowiedź.

Zabrał młot. Wbił we mnie spojrzenie przenikliwych złotych oczu.

- Kim jesteś, że tak odważnie do mnie mówisz? - zapytał.

Wyprostowałam się dumnie. Poczułam się dziwnie, stając naprzeciwko syna mojego ukochanego.

- Wiktoria Biankowska. - Skłoniłam lekko głowę. - Jestem byłą diabolicą. Prawie udało mi się zostać anielicą. Przysyła mnie twój ojciec, Beleth.

Achilles podrapał się po czarnej czuprynie.

- Kłamiesz? - zapytał.

- Nie.

Podniósł ostrzegawczo młot i zapytał jeszcze raz.

- Kłamiesz?

- Nie.

- ACHRRRAAAA?! - udał, że zaraz spadnie na mnie cios.

- Nie.

Był przystojny, ale brakowało mu chłopięcego uroku Brada Pitta, który grał rolę Achillesa w kinowej ekranizacji *Iliady*. Był natomiast znacznie wyższy i bardziej umięśniony od aktora. Prawdziwy siłacz. Nawet stary Conan grany przez Arnolda Schwarzeneggera się przy nim chował.

Położył młot na stole.

- Nie kłamiesz - stwierdził.

Pstryknęłam palcami, zapalać płomień na opuszczonej. Patrzył zafascynowany na ogień.

- Nie kłamię - przytaknęłam. - Potrzebuję twojej pomocy.

Zgasiłam płomyki, zamykając dłoń w pięść.

- Ojciec cię przysłał? - upewnił się. - Nie widziałem go od... - zastanawiał się przez dłuższą chwilę, aż w końcu się poddał - ... od dawna - dokończył, kiedy nie udało mu się odszukać w pamięci żadnych konkretnych wydarzeń lub dat.

Usiadłam naprzeciwko niego i rozejrzałam się. Izba była zaniedbana. Sprzęty pokrywała gruba warstwa kurzu. Posłanie, a raczej stera szmat rzucona w jedno miejsce, nie pachniało świeżością, a kominek i sufit były czarne od

dymy, kiedyś zapewne pobielone wapnem ściany zszarzały. Chyba że efekt szarości wywoływały wszechobecne pajęczyny.

- Przytulnie tu - powiedziałam uprzejmie.

- Napitek przygotuje - zaoferował się i podszedł do paleniska.

Zajrzał do garnka zawieszonoego na ruszcie. Był wypełniony do połowy wodą. Najwyraźniej zadowolony z tego faktu sprawnie zapalił ogień na szczapach drewna położonych niżej. Podpałka z wysuszonych liści ziemniaków szybko się zajęła.

- Dziękuję - ucieszyłam się. Po tej ucieczce bardzo chciało mi się pić. - To może ja wyjaśnię ci, o co chodzi - zaproponowałam.

W odpowiedzi tylko kiwnął głową i usiadł obok mnie kładąc ręce na stole. Zauważyłam, że miał spracowane dłonie. Twarde odciski znaczyły wszystkie opuszki. Nabrzmiałe od wysiłku żyły wypychały skórę na grzbietach.

Dłonie robotnika.

- Chyba ciężko pracujesz - zauważyłam i delikatnie dotknęłam jego ręki.

Cofnął ją zaskoczony.

- Buduję domostwa - mruknął i zaczerwienił się po koniuszki włosów.

Uśmiechnęłam się do niego. Był całkiem sympatyczny jak na nefflima, który podobno jest szalony. Wiedziałam, że opowieść które usłyszałam w Piekło, musiały być przesadzone. W końcu opowiadała je głównie Kleopatra.

- Trafiłam do Tartaru przez pomyłkę - zaczęłam swoją opowieść. - Jak widzisz jestem diabolicą. Nie powinno mnie tu być. Zdołałam skontaktować się z twoim ojcem, diabłem Belethem. Pomoże mi się stąd wydostać. Najpierw jednak ja muszę znowu móc podróżować jako projekcja astralna.

- Ja tego nigdy nie próbowałem - wyznał Achilles.

- Twój ojciec doradził mi, żebym poprosiła cię o pomoc - ciągnęłam. - muszę pokonać czarownicę Annę Darvulię, która zablokowała moje moce, przez co nie mogę wracać do Pieła. Nie wiem, w jaki sposób to robi. Podobno ma jakiś kocioł i magiczne eliksiry, ale ja wiem, że to bujda. Po prostu trzeba mieć moc.

Zdałam sobie sprawę, że Achilles przygląda mi się jakby nieprzytomnie.

- Zrozumiałeś? - chciałam się upewnić.

- Nie - przyznał szczerze.

- Musisz mi pomóc pokonać pewną złą kobietę, żebym odzyskała moce.

- Teraz rozumiem - uśmiechnął się.

Złote oczy zabłyśły. Woda w metalowym kociołku zaczęła wściekle buzować. Wstał i gołą ręką zdjął go z ognia. Odciski jednak do czegoś się przydawały. Postawił garnek na stole przede mną. Następnie zdjął z półki dwa wyszczerbione gliniane kubki i dzbanek. Nalał do niego wody.

- Herbata - mruknął.

Cierpliwie czekałam, aż naleje nieistniejącego w Tartarze napoju do kubków. Achilles najwyraźniej uznał, że herbata już naciągnęła, bo przechylił dzbanek i nalał nam przezroczystego wrzątku.

- Dziękuję - uśmiechnęłam się.

Kiwnął głową. Przechylił kubek i wlał sobie gorący napój do gardła. Natychmiast go wypluł. Prosto na mnie. Otarł twarz z obrzydzeniem. Zerwał się na równe nogi, złapał dzbanek i rzucił nim o ścianę z wściekłym rykiem.

Na wszelki wypadek milczałam i nie ruszałam się z miejsca, czekając, aż wyjaśni powód swojej nagłej złości. Nie chciałam, żeby mój ruch wziął za przejaw agresji.

Po chwili się uspokoił.

- To nie napar ziołowy, lecz woda - odparł, widząc moje pytające spojrzenie.

- Ale w Tartarze nie ma herbaty. Tu pije się wodę i udaje, że to herbata.

Głęboko się zamyślił. Spojrzał na potłuczony dzbanek leżący pod ścianą.

- Rzeczywiście...

Dobra. Opowieści, których się nasłuchiwałam, miały jednak w sobie ziarnko prawdy. Achilles cierpiał na pewne zaburzenia nastroju przejawiające się nagłymi napadami agresji. Niemniej przez większość czasu był łagodny jak baranek.

- To pomożesz mi z Anną Darvulią? - zapytałam, chcąc zmienić temat.

- Tak - odparł i ochoczo chwycił młot. - Gdzie ona?

- W zamku księżnej Elżbiety Batory. Po drugiej stronie miasta. To taki duży budynek...

- Wiem - przerwał mi. - Budowałem go.

Jego zęby zaśniły w świetle lampy, kiedy uśmiechnął się do mnie szeroko.

- Wiem, jak wejść tak, aby nikt nie wiedział. Jak pokonać drzwi oraz pułapki. Ja zakładałem pułapki.

Mogłam się założyć, że były pełne szpikulców i młotów lecących z dużej wysokości na biedaka, który powążył się dostać do środka.

- Doskonale. - Zerwałam się z chybottliwego krzesła, które miało każdą nogę inną. - Chodźmy w takim razie.

Olbrzym pokiwał przecząco głową.

- Pod osłoną nocy. Teraz idziemy spać. Siły należy zbierać. - Wskazał na posłanie i znowu wyszczerzył do mnie zęby.

Dobrze wiedziałam, co właśnie sobie pomyślał.

- Należę do twojego ojca - powiedziałam.

Od razu zrzędała mu mina. Westchnął zrezygowany.

- Ty tu - wskazał na łóżko. - A ja tu - wskazał na podłogę. Byłam zniecierpliwiona. Chciałam już biec do zamku, stłuc Darvulię na kwaśne jabłko, a nie czekać do wieczora, aż zapadnie ciemność. Do bani...

Mimo to poddałam się. Dyskusowanie z Achillesem nie miałoby sensu - i tak postawiłby na swoim.

Klasnęłam w dłonie, przywracając ład w chacie. Przynajmniej tyle mogłam zrobić w podzięce za pomoc, której zgodził mi się udzielić. Szmaty

pokrywające legowisko nefilima zamieniły się w wygodne łóżko, które pomieściłoby nawet takiego olbrzyma jak on. W miejscu na podłodze, które wskazał jako swoje posłanie, stworzyłam drugie, podobnych rozmiarów. Naprawiłam kiwające się krzesła i stół. Gliniane naczynia zamieniłam na posrebrzane metalowe dzbany i kubki których nie powstydziliby się król Sparty Menelaos. W okna wprawiłam szyby, usunęłam podarte szmaty chroniące przed zimnem. Teraz już nie były potrzebne. Zamiast nich zawiesiłam zasłony z grubego granatowego materiału.

Nie mogłam się też powstrzymać, od przebrania Achillesa Wyglądał strasznie biednie, ubrany tylko w podarte na kolanach (i pośladkach!) skórzane spodnie. Pewnie w tym ubraniu trafił tutaj po śmierci, tak jak wszyscy zmarli. Jednak zbyt długo je użytkował. Dzięki mnie miał teraz na sobie nowe spodnie i kubrak. W izbie nie spostrzegłam nigdzie jego zbroi, hełmu oraz słynnej tarczy, którą ukuł mu Hefajstos bóg ognia.

Przypomniałam sobie barwne opisy z *Iliady* Homera. Po chwili obok zdumionego Achillesa pojawiło się uzbrojenie.

- Nie wiem, czy ci się spodoba - zaznaczyłam.

Uradowany podniósł miecz i tarczę. Zaśmiał się.

- Są wspaniałe. Miałem kiedyś podobne. Skąd wiedziałaś?

- Zgadywałam.

- Zaprawdę jesteś boginią. - Skłonił przede mną głowę - Będę ci służył zgodnie z życzeniem ojca.

Byłam z siebie zadowolona. Udało mi się zdobyć szacunek i zaufanie nefilima, na dodatek Achillesa. Ale się będę mogła...

A nie... nie będę się mogła pochwalić. Przecież nie żyję. Wiedziałam, że nie zasnę. Pstryknięciem palców wprowadziłam się w trans imitujący sen, który miał zwrócić mi siły.

Tymczasem w Niebie...

Słońce stało znacznie niżej na nieboskłonie. Cienie wydłużyły się. W Arkadii powoli zapadał ciepły różowy zmierzch. Jej mieszkańcy spokojnie wracali do domów na kolację. Nigdzie się nie spiesząc i niczym się nie martwiąc.

Nikt jednak nie mógłby dostrzec dwóch czarnych sylwetek skrytych w małym brzozowym lasku nieopodal anielskiego więzienia. Znajdowało się ono na uboczu wspaniałej Arkadii, z dala od często uczęszczanych ulic i budynków użyteczności publicznej.

Liście brzoźki zatrzęsły się, gdy ktoś delikatnie je odgarnął.

- Nie wiem, jakim cudem poronioni Moroni miałyby to wiedzieć - wycedził z zawiścią diabeł Azazel. - Ja nie wiem o takich rzeczach.

- To chyba o czymś świadczy, nie? - dopiekł mu Beleth. Odpowiedziały mu stłumione przekleństwa i szelest gałęzi.

- Straże zaraz będą miały krótką przerwę - powiedział przystojny diabeł. - Pobiegniemy wtedy na górę, otworzymy drzwi, znajdziemy celę anioła, przepytamy go i uciekniemy tą samą drogą.

Azazel posłał mu znużone spojrzenie.

- I naprawdę zamierzasz zrobić to w siedem minut?

- My zamierzamy to zrobić. My - poprawił go spokojnie diabeł.

Jego kompan nie był zadowolony z usłyszanej odpowiedzi.

- Zgagi można przez ciebie dostać... Poza tym wątpię, czy Moroni coś nam powie. Ja bym na jego miejscu nie powiedział. W końcu to przez nas będzie siedział przez następne siedem tysięcy lat w celi o powierzchni siedemnastu metrów kwadratowych. W takiej sytuacji ciężko o pozytywne nastawienie.

- Zobaczymy. - Beleth nawet go nie słuchał.

Azazela dziwiła przemiana, jakiej uległ jego przyjaciel. Przez ostatnie dni robił wszystko, byle tylko stoczyć się na dno z rozpaczą, a teraz? Na jego twarzy znowu gościł kpiący uśmiešek, a oczy lśniły złowieszczo. Gdzieś zniknął bohater tragiczny, którym zresztą Azazel pogardzał, ale jego miejsce zajął ktoś zbyt odważny i zbyt pewny siebie.

- Nie zamierzasz już płakać w kącie? - zapytał prowokacyjnie. - Nieźle ci to wychodziło, Zastanów się nad tym poważnie.

- No cóż, Azazelu. Dzięki twojej nieocenionej pomocy zdałem sobie sprawę z tego, że jestem diabłem. A diabły nie mają uczuć. W każdym razie nie posiadają tych pozytywnych, do których niewątpliwie należy poczucie winy. Postanowiłem skupić się na swojej odwiecznej chęci posiadania. A pragnę posiąść Wiktorię.

- Pewnie by mnie to pocieszyło, gdybym ci uwierzył - westchnął podstępny diabeł, ale powiedział tak jedynie po to, żeby dokuczyć. Czuł, że Beleth jest rzeczywiście głęboko przekonany o tym, o czym mówił.

- Chodź - ponaglił go przystojny diabeł i pobiegł na wzgórze.

Na szczycie niewielkiego pagórka znajdował się nieduży budynek z łagodną pagodą ozdobioną głowami węży i smoków. Na drzwiach wejściowych umieszczona była olbrzymia złota morda lwa zastygłego w bezgłośnym ryku. Po jej obu stronach znajdowały się mniejsze główki trzymające w zębach ozdobne kołatki.

Beleth zastukał jedną z nich siedem razy. Złote oczy wielkiego lwa z metalicznym zgrzytem skierowały się w jego stronę. Brwi uniosły się do góry.

- Jam jest drzwiami do niebiańskiego więzienia - oznajmił lew. - A wy po co znowu przyszliście? Nie jesteście już moimi mieszkańcami. Wynoście się.

- Wpuść nas - poprosił Beleth. - Musimy porozmawiać z pewnym więźniem, a potem stąd pójdziemy. Obiecuję.

- Jam jest drzwiami. Nie mogę sam podjąć takiej decyzji. Poproście aniołów.

Azazel rozłożył ramiona.

- Ale aniołów tu nie ma, a nam bardzo zależy na czasie. Wpuść nas. Co ci zależy?

- Nie - w pomruku lwa zabrzmiała otwarta satysfakcja.

- Powinni cię zezłomować, parszywa gębo! A potem przetopić na małe złote kółeczka, z których można by zrobić kolczyki dla golemów - zezłościł się Beleth.

Dobrze wiedział, że istoty stworzone za pomocą magii, takie jak kołatki czy golemy, nie przepadały za sobą nawzajem. Każda myślała, że jest lepsza i mądrzejsza od tej drugiej.

- Albo lepiej. Przetopię cię już teraz i bez problemu wejdę do środka. - Dłoń Beletha spoczęła na nosie lwa.

Zwierzak zrobił rozpaczliwego zeza, patrząc na dłoń, która leżała na coraz bardziej nagrzewającym się metalu.

- Dobrze, dobrze, wchodźcie - zawołał przestraszony, gdy jego nos rozgrzał się do czerwoności.

- A obiecujesz, że nikomu nie powiesz, że tu byliśmy? - zapytał nieugięty Beleth. - Oraz że wypuścisz nas potem bez problemu?

- Tak, tak! Obiecuję! Zabierz dłoń! Jam jest tylko drzwiami, co ci takiego zrobiłem?

Diabeł odsunął się. Lew zaczął nieudolnie dmuchać na swój nos. Co było dość trudne, zważywszy na to, że nie miał płuc, do których mógłby nabrać powietrza.

- Już nie jest czerwony? - chciał wiedzieć.

- Wygląda normalnie - pocieszył go Azazel.

Po cichu wiwatował na cześć Beletha. Już dawno nie widział go takiego złego i bezwzględnego. Czuł w kościach, że będzie niezła zabawa. Rozwścieczony diabeł był gotów na wszystko. To się podobało Azazelowi. Musiał tylko pamiętać o tym, by przypadkiem nie skierować tej złości na siebie.

Weszli do środka. Wszystko wyglądało tak jak podczas ich krótkiego pobytu. Niebiańskie więzienie w niczym nie przypominało piekielnego. Zdobily je złote kraty, dywany oraz łóżka z ciepłą pościelą. W wilgotnych celach na metalowych pryzkach więźniowie Szatana mogli tylko marzyć o takich luksusach.

Szybko pokonali korytarz, zaglądając do kolejnych pomieszczeń. W końcu na piętrze znaleźli nowe lokum zdradzieckiego anioła Moroniego, który został skazany za spiskowanie przeciwko Bogu i próbę zajęcia Jego miejsca.

Osadzony siedział na łóżku i czytał książkę. Pomimo swoich potężnych mocy nie potrafił wydostać się z klatki. Więzienie było otoczone bardzo potężnymi i mocnymi czarami nałożonymi przez archanioły. Nikt nie był w stanie ich sforsować, o ile jego twórcy sobie tego nie życzyli.

- No proszę, proszę - zakpił Azazel, opierając się o kraty. - Postanowiłeś nadrobić zaległości z lektury? A może się doksztalcasz?

Moroni odwrócił się do nich zaskoczony, podrywając do góry swoją blond głowę. Tak jasnoniebieskie, że prawie białe tęczówki zaśniły w słońcu wpadającym przez zakratowane okno.

- To niemożliwe - wycedził. - Co wy tu robicie?!

Furia w jego głosie wyraźnie świadczyła o tym, że widok go podminował.

- Jak to? - Azazel zdziwił się teatralnie. - Wpadliśmy w odwiedziny.

Wyciągnął dłoń i stworzył na niej talerz z przypalonym na amen ciastem.

- Zobacz, co dla ciebie upiekłem w prezencie - uśmiechnął się do Moroniego, którego nienawidził całym swoim czarnym sercem. - Cieszysz się?

Anioł w jednej chwili znalazł się przy kracie.

- Ty nędzniku! Kłamliwy, zdradziecki łotrze! Jak tylko dostanę cię w swoje ręce!... - wrzasnęła, usiłując dosięgnąć diabła wyciągniętą dłonią z palcami zagiętymi na kształt szponów. - Straże! Straże! Obcy na terenie więzienia!

- Mają przerwę, dzióbku - zachichotał Azazel. - To co mi zrobisz, jak mnie złapiesz?

- Dość! - przerwał im Beleth i spojrzał poważnie w oczy Moroniego. - Musimy z tobą porozmawiać.

Anioł wyprostował się z godnością. Jego gładkie, pozbawione skaz i zmarszczek oblicze pozostało niewzruszone.

- A na jaki temat? - zapytał, wyczuwając okazję.

- Podobno masz informacje, na których nam zależy - zagadnął, odsuwając Azazela. - Interesuje nas, a zwłaszcza mnie, Tartar.

- Tartar? - zdziwił się anioł. - A po co ci te informacje? Podstawowe znajdziesz na pewno w niebiańskiej Bibliotece. Jest tam kilka zwojów, które powinny ci się przydać.

- Moroni, dobrze obaj wiemy, że zwoje udostępniane publicznie nie zawierają informacji, o jakie mi chodzi. Chcę wiedzieć, jak mogę wejść do Tartaru, a następnie wyjść stamtąd z jedną duszą.

Azazel zamrugał.

- Zaraz, zaraz, czy ja się nie przesłyszałem? - zapytał. - Ty chcesz tam wejść?! A po jaką cholere?! Niech sama stamtąd wychodzi!

- Milcz - doradził mu kompan. - Bo podziękuję za pomoc.

- Phi, zupełnie jakbyś wcześniej o nią poprosił - gderał pod nosem zły Azazel. - Przecież sam kazałeś mi tu przyjść, ja się wcale nie pchałem do więzienia. Znowu...

Moroni z rozbawieniem oglądał małą sprzeczkę. Przez ostatni miesiąc zdążył się już nieźle wynudzić w zamknięciu. Obserwacja diabłów była jak darmowa telewizja. Poza tym anioł wyczuł w tym swoją szansę. Wiedział to, co chciał od niego usłyszeć Beleth. Pytanie brzmiało: ile zapłaci za informacje?

- Dlaczego chcesz się dostać do Tartaru? - zapytał.

- To nie jest twoja sprawa.

- A Gabriel nie chce ci pomóc?

- Twierdzi, że nie wie, w jaki sposób można wydostać duszę z Tartaru. Słuchaj, Moroni, zależy mi na czasie. Proszę cię o pomoc. Powiedz, jak mogę się tam dostać i ją wyciągnąć.

- Mówisz „ją” o jakiejś duszy czy na przykład konkretnie o Wiktorii? - strzelił, mając nadzieję, że przypadkiem trafi. Nie wiedział, na czym jeszcze tak bardzo mogłoby zależeć Belethowi. W grę wchodziła tylko Wiktoria.

Diabeł się zaczerwienił.

- Ach, więc nasza droga Wiktoria trafiła do Tartaru? - zaśmiał się Moroni.

- Kto by się spodziewał, że znowu wpadnie w tarapaty? Taka... grzeczna... dziewczynka.

- Kto ci powiedział?! - Beleth schwycił go za poły i trzasnął jego twarzą o złotą kratę.

Z nosa anioła pociekło kilka kropli krwi. Białej krwi. W odróżnieniu od aniołów diabły krwawiły tak jak ludzie czyli na czerwono.

- Ekhm, Beleth to chyba niezbyt mądre, skoro chcesz go prosić o pomoc. - Azazel odsunął przyjaciela, jednak Moroni tylko się zaśmiał.

- Wiem wszystko, co chcesz wiedzieć - powiedział, ocierając krew z nosa. - I podzielę się z tobą tą wiedzą. Ale nie za darmo.

- Domyślałem się, że postawisz warunki.

Azazel czujnie zerkał w stronę schodów. Był prawie pewien, że siedem minut przerwy strażnika już dawno minęło. Po plecach przebiegł mu dreszcz. Jeszcze chwila i ich złapią. Miał tylko nadzieję, że za takie przewinienie jak włamanie do więzienia dostaną jedynie naganę, a nie celę obok Moroniego.

- Zacznę od wyjaśnienia, że Tartar nie jest taki jak Piekło czy Niebo - zaczął Moroni. - Obowiązują tam zupełnie inne zasady. To ludzie je ustalają. Zapewne jest tam kilka osób lub jednana tak zwanym tronie. Reszta to

pospólstwo, które musi robić to, co się każe. Nie ma tam nic. Muszą zrobić wszystko sami, zbudować wszystko od zera. Mogą cierpieć głód, zimno, pragnienie. Nie ma diabłów ani aniołów, które stworzą rzeczy potrzebne dla tych pasożytów. Tam nikt nas nie wykorzystuje w służbie dla tych marnych istot.

Azazel zamyślił się. W gruncie rzeczy mieli z Moronim całkiem podobne poglądy i odczucia względem ludzi. Anioł go przypominał. To pewnie dlatego kiedyś przez chwilę się przyjaźnili. Przestali, gdy on trafił do Piekła, a Moroni zgłosił się na ochotnika do obcięcia mu skrzydeł.

Coś takiego może popsuć nawet najpiękniejszą przyjaźń opartą na wzajemnych kłamstwach i kradzieżach pomysłów.

- Twoja Wiktoria jako osoba posiadająca moc z całą pewnością stanie się obiektem pożądania w Podziemiach. Pomyśl, do czego jest zdolna, w czym mogłaby im pomóc. Przecież kiwnięciem małego palca mogłaby obalić jednego dyktatora i zastąpić go drugim.

Diabły słuchały w skupieniu.

- Poza ludźmi, jak sam dobrze wiesz, do Tartaru trafiają nefilimy. Czy przypadkiem nie spłodziłeś kiedyś takiego syna? - Uśmiechnął się złośliwie. - Ale wracając do tematu. Wiktoria może przenosić się do innych zaświatów lub na Ziemię jako projekcja astralna. Nie będzie jednak dla nikogo widoczna. Nikt jej nie zobaczy.

- To akurat nieprawda... - mruknął ponuro Azazel.

- Jak to? - zdziwił się anioł.

- To długa historia - machnął ręką podstępny diabeł. - Dokończ, co zacząłeś.

- No dobrze... ale potem liczę na szczegóły. Do Tartaru prowadzi rzeka Styks. Potępiona dusza może się stamtąd wydostać tylko tą drogą, ponieważ u źródła tej mitycznej rzeki znajduje się wyjście. Jednak pokonanie wszystkich pułapek czyhających na śmiałków graniczy z cudem. Pewnie dlatego jeszcze nikt stamtąd nie wyszedł...

- A wiadomo, jakie to są pułapki? - dopytał Beleth. - Na razie nie powiedziałaś nam niczego, czego już nie wiemy.

- Owszem, wiadomo. - Moroni uśmiechnął się złośliwie. - Jestem w posiadaniu pewnego manuskryptu napisanego bardzo dawno temu. Opisano w nim dokładnie, jakich pułapek należy się spodziewać. Nie ma w nim co prawda rad, jak pokonać przeszkody, ale podejrzewam, że wiedza o samym niebezpieczeństwie wystarczy.

- Gdzie jest ten rękopis? - chciał wiedzieć Beleth.

- W bezpiecznym miejscu. - Moroni znów uśmiechnął się złośliwie. - I zapewniam cię, że tam pozostanie, dopóki nie dojdziemy do porozumienia.

Azazel miał już tego wszystkiego dość.

- A skąd pewność, że nie wyjdziemy stąd i nie włamiemy się do twojej rezydencji? - zakpił. - Mogę się założyć, że trzymasz go w piwnicy w sejfie, ty paranoiczny idioto.

Anioł pominął tę uwagę milczeniem. Gdyby zaprzeczył, dałby dowód diabłu na to, że w istocie wszystkie ważne rękopisy i manuskrypty są ukryte w jego domu, w piwnicy.

- Czego chcesz w zamian? - rzeczowo zapytał Beleth. Moroni ucieszył się. Rybka połknęła haczyk. Miał szansę wydostać się z więzienia szybciej niż podejrzewano.

- Spokojnie. Zaraz dojdziemy do tego, czego ja chcę. Najpierw musisz jeszcze o czymś usłyszeć...

- Beleth, wydaje mi się, że nasz czas się kończy - wtrącił Azazel. - Jesteśmy tu już zbyt długo.

- Cicho! - skarcił go diabeł. - Moroni, mów.

Anioł nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Beleth szedł jak po sznurku.

- Musisz wiedzieć coś jeszcze. Jako że diabły i anioły nie mają wstępu do Tartaru, nie możesz sam tam trafić, by pomóc Wiktorii. A jeżeli ty tam nie trafisz, nie trafi tam również manuskrypt niezbędny do pokonania pułapek.

- Czyli sam rękopis jest bezużyteczny?

- Och, nie... Po prostu musisz trafić tam z nim w kieszeni.

Azazel irytował się coraz bardziej. Na dole trzasnęły drzwi. Strażnik wrócił ze swojej krótkiej przerwy. Nie mieli teraz jak wyjść. Lew strzegący wejścia nie wydał ich, jednak wykrycie intruzów było tylko kwestią czasu. Na pewno spotka ich jakaś nieprzyjemna kara!

- Przecież sam przed chwilą powiedziałeś, że nie można tam wejść - warknął zniecierpliwiony.

Moroni uśmiechnął się tajemniczo.

- Jako diabeł Beleth rzeczywiście nie zdoła pokonać bram Tartaru, ale uda mu się to, gdy stanie się inną istotą nadprzyrodzoną.

- O czym ty mówisz? - wydusił Azazel.

- Musi stać się ifritem...

21

Zapadła cisza. Wydawało się, że wszelkie życie, każdy ruch zamarły. Czas jakby się zatrzymał.

Diabły w bezruchu wpatrywały się w Moroniego. Nie potrafiły uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszały. Przecież anioł nie mógł namawiać diabła do czegoś takiego.

Do utracenia... diabelstwa.

- Co? - warknął Azazel, zapominając całkowicie o strachu przed strażą. - Mózg ci się zlasował w tym więzieniu?! Ogłupiałeś do reszty? Słuchasz sam siebie?!

- Az, Az. - Beleth chwycił go za ramię. - Uspokój się. Najpierw go wysłuchajmy.

- Wysłuchajmy?! On chce, żebyś stał się jakimś pieprzonym dżinem! On to robi tylko po to, żeby ci zaszkodzić.

Ifrit. To jedno słowo drżało w uszach przystojnego diabła. Miałby stać się ifritem? Czy był gotów na takie poświęcenie dla Wiktorii? Dla kobiety, którą ośmielił się pokochać? Nie był tego do końca pewien.

- Nie ma innego sposobu? - zapytał anioła.

- A jak, będąc diabłem, masz zamiar się tam dostać? To niewykonalne. Diabłom oraz aniołom nie wolno przestąpić granicy pomiędzy naszymi zaświatami a Tartarem. Czeka cię za to kara gorsza od zostania ifritem.

- Nie wiem... A nie mógłbym na chwilę pozbyć się mocy, a potem znowu być diabłem? - Beleth za wszelką cenę starał się znaleźć rozwiązanie.

Moroni posłał mu miazdzące spojrzenie.

- Mój diable, gdyby to było możliwe, to wszyscy doskonale by wiedzieli, jak jest w Tartarze. Brak dowodów na takie wycieczki świadczy o tym, że inaczej wejść się tam nie da.

Towarzysz Beletha pomyślał, że zaraz pęknie ze złości. Spróbował złapać anioła przez kratę, ale tamten mu uciekł. Chciał go udusić, pobić, zniszczyć, jak najdotkliwiej ukarać za podsuwanie takich głupich pomysłów jego... no cóż, powiedzmy to głośno... najlepszemu przyjacielowi! A co najważniejsze - jego jedynemu przyjacielowi. W Piekło ciężko było znaleźć kogoś, komu można by zaufać.

Azazel był pewien, że z dnia na dzień coraz bardziej świętoszkowaty Beleth może być tak głupi, żeby przystać na pomysł Moroniego. Musiał natychmiast temu zapobiec. Ustrzec go przed katastrofą.

Gdyby nie było Beletha, to z kim by knuł i chodził na popijawy? Zostałby sam. Nie mógł do tego dopuścić!

- Ty pieprzony sukin...

- Az - upomniał go przystojny diabeł.

- Ty wypierdku anielski, ty plugawa potwarzo, ty dwulicowa świnio, ty..., ty... - Azazelowi brakowało pomysłów na bardziej kwieciste wiązanki.

Moroni zaśmiał się ponuro i na wszelki wypadek odsunął się jeszcze dalej od kraty.

- To jak, diable, jesteś gotowy na takie poświęcenie?

Beleth uparcie milczał, rozważając swój kolejny ruch i następne słowo. Był przekonany o tym, że intencjom anioła daleko było do niebiańskiej bieli. Musiał mieć w tym jakiś interes. Tylko jaki?

Co mógł zyskać, pozbawiając diabła diabelskości?

- Ifrit - wyszeptał.

Wiedział, czym jest ifrit. A raczej wiedział, czym nie jest. Z całą pewnością nie był diabłem. Ifrit, należący do grupy dżinów, był istotą stworzoną z ognia bez dymu. Z płomienia niezostawiającego po sobie śladu. W zasadzie był diabłem. Tylko odrobinę niecielesnym.

Było to dość trudne do zrozumienia nawet dla samego Beletha. Pozbawiając się stanowiska diabła, stałby się nikim. Jednak natura i wszechświat stworzony przez dobrego Boga nie uznaje nicości. Nie ma jej. Zawsze jest coś. Czymś takim był ifrit.

Ifrit, czyli potępiony diabeł.

Niżej upaść istota nadprzyrodzona nie mogła. Dżin to postać bez stanowiska, a więc bez władcy. Wolny duch swobodnie poruszający się po całym świecie oraz zaświatach. Nikt nie był jego panem, więc nie musiał wykonywać niczyich rozkazów. Wolny niczym ptak. Był w pewien sposób podobny do ludzkiej duszy. Tylko odrobinę mobilniejszy. Do swoich podróży nie potrzebował nawet klucza diabła. Wystarczała sama chęć. Jednak mimo profitów, które dawało odrzucenie nadanego stanowiska, nikt się na to nie decydował. To było niewdzięczne. Przecież Bóg chciał, żeby anioł był aniołem, więc nie powinien z tego rezygnować.

Beleth nie był co prawda pewien, czy w zamiarach Boga było stworzenie Piekiła, czy powstało ono może tylko dlatego, że Lucek wszczął rebelię. Niemniej nie porzucił swoich dawnych aniołów. Stworzył dla nich nowe stanowiska. Stanowiska diabłów.

Stanowiska dla ifrita nie było. Podobnie jak samych ifritów.

- Ich nie ma - wypowiedział głośno swoją myśl.

- Zatem byłbyś pierwszym w historii - oświadczył Moroni. - Tylko tak możesz ocalić Wiktorię.

To nieprawda. Nie byłby pierwszym dżinem w historii. Już kiedyś pewien anioł odwrócił się od Boga. Chciał być wolny. Tylko stąd wiadomo było, że w ogóle można zostać ifritem.

Co się działo z tym aniołem teraz, nikt tego nie wie. Jako istota nadprzyrodzona może przyjąć każdą postać, na jaką ma ochotę. Może od milionów lat istnieje jako góra albo rzeka. Nikt nie wie, co się z nim stało.

Wszyscy wiedzieli natomiast, że był szalony.

To właśnie tej utraty zmysłów bał się Beleth. Porzucając diabelskość, skazałby się na wieczne wygnanie. Tak, ale nie byłby sam. Miałby Wiktorię. Ona też stała się potępiona. Tylko czy potrafiłby być z jedną śmiertelniczką całą wieczność?

- A jaka jest cena za manuskrypt opisujący pułapki w drodze do wyjścia?
- zapytał.

Anioł podszedł do kraty i złapał ją kurczowo obiema rękami.

- Skazano mnie na siedem tysięcy lat odsiadki. Nie wytrzymam tyle. Ani nawet nie mam zamiaru próbować tyle przetrwać w tej śmierdzącej celi. Zostałem skazany jako anioł. Jeśli stanę się diabłem, kara nie będzie mnie obowiązywać.

Azazel zamrugnął zaskoczony.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Gdy Beleth zrezygnuje ze stanowiska, będzie wakat. Wyrzeknę się Boga i odmówię mu posłuszeństwa - wyjaśnił.

- Za takie bluźnierstwo jest tylko jedna kara - zaprotestował podstępny diabeł.

- Owszem. - Moroni pokiwał głową. - Śmierć poprzez przebicie serca gorejącym mieczem. Jednak nie w wypadku, kiedy w Piekło jest wolne miejsce. Poprę Lucyfera i tam trafię. To będzie bajecznie proste. Azazelu, sądzę, że to i dla ciebie będzie pewien rodzaj nagrody. Ja zwolnię miejsce w Niebie. Może uda ci się przejąć moje stanowisko.

- Stanowisko największego niebiańskiego krętacza i kłamcy? - zakpił diabeł i głośno się roześmiał, lecz zaraz zamilkł, uświadamiając sobie, że wiele by dał za jego posiadanie.

- A zatem ceną manuskryptu jest moja rezygnacja ze stanowiska diabła? - upewnił się Beleth.

- Tak.

Diabeł myślał gorączkowo. Nie wiedział, co powinien zrobić. Zgodzić się? Układ, który proponował anioł, był jedynym ratunkiem dla Wiktorii. Azazel chwycił go za ramię i zajrzał mu głęboko w oczy.

- Beleth. Zastanów się. Nie możesz podjąć takiej decyzji pochopnie. Od tego nie będzie odwrotu. Przyjacielu.

Moroni postanowił się nie odzywać, chociaż miał przemożną ochotę na wyśmianie czulej przemowy diabła. Nie spodziewał się po tym starym krętaczu aż tylu pozytywnych emocji. Sam był ich pozbawiony, więc zaskoczyło go, że diabeł najwyraźniej jakieś ma.

- Ifrit - westchnął Beleth i potarł twarz. - Ifrit. Czy ja się nie zabiję?

- Zabijesz się - podsunął Azazel. - Nie rób tego. To Wiktorii. Na pewno sama sobie poradzi. Wywoła jakąś wojnę, doprowadzi do obalenia rządów, zniszczy świat, ale spokojnie sama da sobie radę. Ty nie jesteś jej do niczego potrzebny.

- Pomyśl, jak by to o mnie świadczyło? - zapytał gorzko Beleth.

Podstępny diabeł wyprostował się.

- Oznaczałoby to i wyłącznie to, że jesteś diabłem. My kłamiemy i naciągamy ludzi na obietnice bez pokrycia. Tacy już jesteśmy. My się nie poświęcamy. My poświęcamy innych dla naszych celów.

- A ifrit by się poświęcił? - Beleth sam zadał sobie pytanie.

- Cholera, Beleth. - Azazel potrząsnął jego ramieniem. - Co ty pieprzysz? Nie możesz pozbawić się diabelstwa. To szaleństwo! A co, jeżeli uwolnisz Wiktorię, a ona pomacha ci na do widzenia i pójdzie gzić się z tym swoim Piotrem? Już raz go wybrała. To co wtedy zrobisz, hm? Będziesz płakał na rozstaju dróg i zamienisz się w drzewo, które głupi śmiertelnicy wytną z byle powodu?

- Obiecałem, że jej pomogę - odparł twardo. - Trudno, Azazel. Najwyżej spotkamy się kiedyś na rozstaju dróg.

Diabeł nie mógł w to uwierzyć. Czyżby właśnie stracił najlepszego przyjaciela? I po jaką cholere tak się starał, żeby byli kumplami, skoro Beleth przy pierwszej nadarzającej się okazji wystawia go dla jakiejś śmiertelnej dziewczyny? No po prostu skandal!

- Moroni. Umowa stoi.

Diabeł i anioł uścisnęli sobie ręce poprzez dzielącą ich złotą kratę.

Azazel nie wytrzymał:

- A ja obiecuję, że osobiście obetnę ci skrzydełka. Zgłoszę się na ochotnika. Wierz mi, w ogóle nie będzie bolało. Moroni nieco pobladł.

- Powiem Gabrielowi i Szatanowi o swojej decyzji i poprę twoją kandydaturę na moje stanowisko - obiecał Beleth i odwrócił się w stronę wyjścia.

Azazel nie mógł sobie jednak pozwolić na tak zwyczajne zakończenie. Zbliżył się do kraty i ścisnął ją mocno. Miał wrażenie, że wściekłość, którą teraz czuł, spokojnie pozwoliłaby mu na rozbicie jej w drobny mak, byleby tylko dorwać się Moroniemu do gardła. Poza tym uznał, że musi coś dodać:

- Aha, poronioni Moroni... skoro twierdzisz, że ta cela jest śmierdząca, to poczekaj, aż zobaczysz więzienie Lucyfera. Na pewno bardzo ci się spodoba.

Achilles włożył lekką zbroję, a do paska przytroczył pochwę z mieczem. Tarcza błyszczała w jego dłoni, w świetle przygaszonej lampy. Mieliśmy już iść.

Wyrzałam przez okno. Chciałam spojrzeć na nocne niebo, a raczej jego imitację. W Tartarze nie było księżyca. Jego blask imitowały ciemne kryształy odrobinę rozpraszające mrok. Wszystko było tutaj tylko złudzeniem.

- Idziemy - szepnął mężczyzna i zdmuchnął lampę.

Wysłałam za nim na ciemną ulicę. Panowała niczym niezmacona cisza, w której słyhać było trzeszczenie skórzanych spodni mojego osobistego herosa. Kiedy mu je tworzyłam, nie wiedziałam, że nowa skóra wydaje dźwięki. Nie pozwolił mi jednak na ich wyciszenie. Chciał, żeby wszyscy wiedzieli, że ma nowe ubranie.

- Daleko stąd do zamku? - szepnęłam.

- Blisko - odparł jak zwykle lakonicznie.

Nudziło mi się. Szliśmy już kilkanaście minut, a zamek majaczący na horyzoncie wciąż był niewielkim punktem. Tartar nie był jednak aż tak mały, jak uważałam.

- Opowiedz mi coś o sobie - poprosiłam. - Jesteś bardzo sławny. Prawie każdy wie, że walczyłeś pod Troją. W moich czasach uczą o tym w szkołach. Czy wydarzenia opisane w *Iliadzie* Homera są prawdziwe?

Pokraśniał z zadowolenia. Pochlebilo mu, że wszyscy znają jego imię.

- Prawie. Moja matka to Tetyda. Piękna kobieta. Twierdzili, że była morską boginią. Aliści to tylko kobieta o niezwykłej urodzie. Moim ojcem był Beleth, ukrywający swe imię i władający Ftyzją jako król Peleus. Wielki władca.

Byłam zaskoczona długością jego wypowiedzi. Wcześniej wydawać się mogło, że nie stać go na coś więcej niż kilkuwyrazowe toporne zdanie.

- Zanurzono cię w Styksie? - zapytałam z ciekawością.

- Nie - zaśmiał się. - Siłę dostałem po ojcu. Wielkim bogu w ludzkiej skórze. Potem największy z bogów, wielki Zeus Gromowładny, zakazał spółkowania poddanych Olimpu ze śmiertelniczkami. Dlatego od tak dawna nie widziałem ojca. Został ukarany za życie wśród śmiertelnych.

- A potem trafiłeś tutaj, a bogowie nie mają wstępu do Tartaru - dokończyłam.

- Zbyt wiele żyć odebrałem, by cieszyć się ambrozjami na Polach Elizejskich - westchnął rozżalony. - Choć matka obiecała, że się tam spotkamy.

Poczułam, że nie mogę go tu zostawić. Był całkiem milutki. Postaram się, żeby się stąd wydostał razem ze mną. Dość się już namęczył i napracował. Chyba nikt nie będzie miał mi tego za złe. Przecież wcale nie był zły ani

szalony. Po prostu nie umiał kontrolować negatywnych emocji. Każdemu się zdarza.

- Ucieknij stąd ze mną - zaproponowałam. - Pójdziemy razem na Pola Elizejskie.

Aż przystanął zaskoczony.

- Tak się nie godzi - zaprotestował. - Nie możemy przeciwstawiać się przeznaczeniu. To bogowie mnie tu zesłali, bogom będę posłuszny. Ich prawy osąd mnie tu poprowadził.

No, albo nie zabiorę go ze sobą...

- Wždy tyś bogini. Twa bytność w Tartarze to pomyłka - kontynuował. - Pomogę ci uciec z Podziemi, ale nie podążę za tobą.

Dalszą drogę przebyliśmy w milczeniu. Nie chciałam mu w niczym więcej podpaść. Jeszcze dostałby kolejnego małego napadu szału, gdybym znowu zaproponowała ucieczkę. Jego miecz wyglądał na całkiem ostry. Wolałam nie ryzykować.

Kontury zamku powoli wyłaniały się z szarości. Jego masywna sylwetka wyglądała jak ciało olbrzymiego sępa, który rozsiadł się na stromym wzgórzu, wypatrując dogorywającej ofiary. Solidne mury z krzywych kamieni chroniły niewielki dziedziniec przed spojrzzeniami intruzów. Mury zwieńczone były blankami i strzelnicami. Nie wiem w jakim celu. W Tartarze nie było wrogich wojsk, które mogłyby szturmować dom księżnej.

Za murami, ozdobionymi jakimiś dziwnie błyszczącymi kamieniami, wznosiły się dwie wąskie wieże oraz główna część zamku, zamieszkała przez księżnę. Całość nie była bardzo duża, jednak w porównaniu do lichych kamienic stojących w centrum Podziemi sprawiała dość przytłaczające wrażenie.

- Czy to mieszkańcy Podziemi zbudowali ten zamek? - zapytałam Achillesa, kiedy ukucnęliśmy, kryjąc się w cieniu niewielkiego rumowiska tuż pod murami.

- Nie - odparł. - My tylko pomagaliśmy. Czarownica, wielka czarownica, stawiała bez trudu całe ściany.

- Ale mówiłeś, że doskonale znasz wszystkie pułapki - zauważyłam.

- Zwiedzałem ten zamek do woli, gdy powstawał. - Wyszczrzył do mnie zęby i włożył na głowę hełm z czymś na kształt końcówki szczotki na samym czubku. - Nefilimowi się nie odmawia.

Zaśmiałam się i ruszyłam za nim. W kucki, a następnie czołgając się w kurzu i brudnej ziemi, porośniętej rachityczną trawą, dotarliśmy pod sam mur. Achilles nalegał, żebyśmy byli ostrożni, pomimo że nigdzie nie stały żadne straże.

Oparłam się plecami o kostropate kamienie i zaczęłam otrzępywać spodnie. Kiedy zauważyłam, że moje ręce są brudniejsze od materiału, dałam sobie spokój.

- Nikogo nie ma - stwierdziłam.

- Są. - Wskazał palcem na blanki.

Początkowo niczego nie zauważyłam. Dopiero po uważniejszym przyjrzeniu się dostrzegłam oczy. Na ceglach u szczytu muru były ludzkie oczy. Same gałki, powoli sondujące otoczenie. Patrząc z dużej odległości, myślałam, że to jakaś ozdoba, dziwne półszlachetne kamienie. Nie domyśliłabym się, że to system alarmowy.

Obrzydlistwo!

- Co to? - wydusiłam.

- Oczy czarownicy. Ona zawsze patrzy.

Szczerze w to wątpiłam. Jej stan psychiczny wyraźnie przeczył stwierdzeniu, że mogłaby być zawsze czujna.

- I co teraz? Nie ukryjemy się przed nimi. Są wszędzie nad nami.

- Nie musimy. To dobre miejsce.

Zamachnął się i uderzył pięścią w cegły. Posypały się na drugą stronę, jakby były z tektury i styropianu. Zwinnie przeskoczył przez dziurę, którą wybił.

Zapewne właśnie coś takiego miał na myśli, kiedy opowiadał mi o tajnych przejściach, które znał. Ta ściana musiała być wykonana ze słabszych materiałów.

Na próbę z całej siły uderzyłam w nią pięścią i zgięłam się w pół z bólu. O cholera jasna!!! Chyba coś złamałam!

- Co się dzieje? - Szczotka zatknięta na czubku hełmu wysunęła się z dziury.

- Chciałam poszerzyć przejście - wydusiłam przez łyzy i szybko przelałam moc w prawą dłoń, by zregenerować kości.

Spojrzał na mnie jak na idiotkę.

- Ty? To niemądre.

Nie skomentowałam jego słów. Posłusznie ruszyłam za nim i więcej nie usiłowałam rozwalać cegieł, które w jakiś tajemniczy sposób pod wpływem jego lekkiego dotknięcia rozpadały się w pył.

- Nie jestem pewien, gdzie przebywa czarownica - wyznał po rozwaleniu kolejnej ściany.

Spojrzałam za siebie. Naszą drogę znaczyło osiem rozbitych ścian. Ta cyfra musiała coś znaczyć w Tartarze. Inaczej by mnie tak gorączkowo nie prześladowała.

- Czy cyfra osiem coś znaczy? - zapytałam Achillesa.

- He?

Odpuściłam.

Naprzeciwko nas znajdowały się schody prowadzące na jedną z wież. Mogłam się założyć, że właśnie takie miejsce, jak w bajkach z wiedźmami, wybrała Darvulia na kryjówkę.

- Idziemy na górę! - zakomenderowałam.

Achilles wysunął się przede mnie i powoli zaczął wchodzić po schodach. W razie niebezpieczeństwa miał zamiar mnie ochronić i pierwszy stawić mu czoło.

Szkoda, że dzisiaj nie ma już takich bohaterów. Choć to może dlatego, że w naszych czasach nie ma niebezpieczeństw, z którymi kiedyś ludzie stykali się od dziecka.

Do pomieszczenia na szczycie prowadziły uchylone, byle jak zbite drewniane drzwi. Spod nich wydobywał się czerwony i niebieski dym, ciężko osiadający na schodach i naszych stopach. Chyba przypadkiem wybraliśmy dobrą wieżę.

- Czarownica - szepnął Achilles i napiął mięśnie wielkości dojrzałych melonów.

Aż się prosiły, żeby je pomacać, co też z perwersyjną radością uczyniłam. Położyłam dłoń na jego imponującym ramieniu i zmusiłam do opuszczenia broni. Boże, ależ twarde mięśnie! Cudo!

- Poczekaj - szepnęłam i zerknęłam przez szparę w drzwiach pokoju. Musiałam się upewnić, czy jest tam czarownica i, co najważniejsze, czy jest sama.

Powstrzymując kichnięcie od pachnącego fasolą dymu, zajrzałam do pokoju. Nad solidnym saganem zawieszonym nad mało praktycznym ogniskiem, rozpalonym na ziemniaczanych łątach rzuconych pośrodku kamiennej podłogi, pochylała się Anna Darvulia. Niebieska chustka zsunęła się jej z łysawego czoła. Szeptala coś do siebie i zawzięcie mieszała długą łyżką.

Ciekawe, czy rzeczywiście powstrzymała mnie przed opuszczeniem Tartaru za pomocą tej fasoli w garze, czy to tylko pic na wodę dla lepszego efektu?

- Wchodzimy - powiedziałam do Achillesa. - Ja biorę Daryulię, a ty...

Nie zdążyłam jednak dokończyć, bo mój kompan, rycząc jak zarzynane zwierzę, wywalił kopniakiem drzwi i wskoczył do środka, wymachując mieczem.

- A ty rozwalasz sagan... - westchnęłam.

Wbiegłam za nim. Nie wiadomo, gdzie się szlaja Elżbieta i Rozpruwacz. Jeśli są w pobliżu, to mogą ruszyć na pomoc ukochanej służącej. Musieliśmy się sprężyć.

Starucha odskoczyła pod ścianę i zasyczała na nas. Achilles z rozmachem kopnął w gar, który spadł na ziemię, rozlewając swoją zawartość. Tak jak się spodziewałam, pod moje stopy prysnęła breja, w której pływała czerwona fasolka. Ciekawe, jak ta wiedźma to zrobiła, że unosił się z niej niebieski i czerwony dym? Niezły bajer na imprezę.

- Dobra Darvulia - powiedziałam. - A teraz cofnij swoje zaklęcie, które nie pozwala mi na powrót do zaświatów.

W odpowiedzi prychnęła, a jej zezowate oczy rozbiegły się na boki.

Achilles uniósł dumnie miecz i rzekł:

- Mów, co każe matka, albo twe życie będzie krótkie, acz bolesne.

Oniemiałam. Matka? Czyżby będąc niedoszłą dziewczyną Beletha, awansowałam na mamusię tego osiłka? Zerknęłam na niego. No cóż...

przynajmniej urosła mi dorodna dziecina. Nie da sobie w kaszę dmuchać na podwórku podczas zabaw przy trzepaku.

- Ekhm... taaa... - mruknęłam.

- Nigdy! - Zaśmiała się szaleńczo. - Umrzesz tutaj, oddając moc mej pani. Nigdy nie cofnę zaklęcia. Będiesz potępiona na zawsze. HAHHAHAHAHAHAHA!

- Cofnij zaklęcie - wycodziłam.

- Nigdy - powtórzyła. - Tylko moja śmierć może je cofnąć. Z własnej woli tego nie uczynię.

Achilles odwrócił się do mnie. Na jego twarzy pojawił się szeroki, chłopięcy uśmiech. Zapewne tak uśmiechał się, gdy jako dziecko wrywał muchom skrzydełka.

- Mogę? - zapytał.

- A proszę - machnęłam ręką.

Nefilim ciął mieczem, w jednej chwili pozbawiając staruchę głowy. Krew tętnicza strzeliła pod sam sufit. Ciało jeszcze przez moment stało, drżąc spazmatycznie, a potem osunęło się na ziemię.

- Tylko nie wiem, czy to załatwia sprawę - mruknęłam. - W końcu to dusza.

Achilles bez dyskusji zaczął siec ostrzem, a ja się zamyśliłam. Właśnie unicestwiłam duszę. Nie osobiście, ale stało się to z mojej winy. Co się ze mną dzieje?

Kim ja jestem?

Nagle z ciała staruszki wypłynął niebieski promień i wystrzelił przez okno. Mój wojownik zamarł z ociekającym krwią mieczem.

- Co to? Uciekła? - zapytał zawiedziony.

Szarpnęłam okiennicą i wyjrzałam na zewnątrz. Zdążyłam jeszcze zauważyć, że błękitna wstęga wpłynęła przez okno w części głównej zamku do komnat księżnej Elżbiety. Po chwili rozległ się krzyk pełen rozkoszy.

- O kurde... - warknęłam.

- Co się stało?

- To była energia Darvulii. Ona sama umarła, lecz w ostatnim akcie szaleństwa przekazała Elżbiecie moc Iskry Bożej, którą posiadała. W końcu jej się to udało, ale musiała w tym celu umrzeć.

Nefilim się ucieszył:

- Idziemy teraz do niej?

Pokręciłam przecząco głową.

- O nie, teraz wiejemy stąd jak najdalej...

Tymczasem w Piekle...

Beleth stał pod rezydencją Szatana i bawił się płomieniami skaczącymi po jego smukłych palcach. W drugiej dłoni trzymał niezapalonego papierosa.

Renegat. Coraz bardziej podobało mu się to słowo.

- Kurwa, Beleth, ja zawsze wiedziałem, że w którymś momencie coś ci pieprznie na głowę, ale teraz to już, cholera jasna, przegiąłeś pałę. - Azazel chodził w kółko.

- Mój drogi przyjacielu, a po co tak przeklinasz? Chyba nie takim językiem zauroczyłeś Kleopatrze?

Podstępny diabeł zatrzęsł się ze złości. Jego czarne oczy zapłonęły dziko.

- Z niej też niezłe ziółko - warknął. - Poza tym jestem diabłem. Mogę się wyrażać, jak mam ochotę.

- Przez najbliższe siedemdziesiąt siedem lat jesteś też aniołem. Nie zapominaj o tym.

- Dupa! Dupa! Dupa!

- Jak wolisz.

Beleth zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko dymem. Lubił jego drapanie w gardle i smak nikotyny. Przypominało mu to o jego nieśmiertelności, której tak brakowało głupim śmiertelnikom. Sprawiało, że czuł się lepiej.

- Nie wiem, dlaczego tak się unosisz.

- Bo, do diabła, nawet nie przemyślałeś tej decyzji! - Azazel złapał się za włosy.

Zawsze był pełen ekspresji. Aktor doskonały.

- Zapewniam cię, że przemyślałem. - Beleth wypuścił z ust kółko dymu, potem kwadrat, a następnie trójkąt. Wydmuchiwanie pentagramów uważał za zbyt techniczne szpanerstwo, którym popisywały się niektóre diabły. - Będę renegatem.

- Raczej odmieńcem - warknął jego kompan.

- Mniejsza o to. Ważne, że coraz bardziej mi się to podoba. Będę sam sobie panem, nikt nie będzie mógł mnie za nic sądzić, o nic oskarżać ani karać. Będę wolny.

- Tak, Stwórca na pewno się ucieszy...

- Nagle przejmujesz się Jego zdaniem?

Azazel speszył się odrobinę.

- Nie... - skłamał. - Tak mi się tylko powiedziało.

Beleth rzucił niedopałek na szeroki podjazd prowadzący do rezydencji Lucyfera i sięgnął do dzwonu wiszącego przy kutej z prawdziwego złota bramie. Ciszę przerwał sześciokrotny czysty dźwięk. Odźwierny przeważnie siedzący w małej budce przy wejściu gdzieś zniknął. Diabeł musiał sam się obsłużyć.

- Czas na mnie - oznajmił przyjacielowi. - Do zobaczenia po wszystkim. Jako niezniszczalny ifrit będą często wpadał w odwiedziny.

Azazel wsunął ręce do kieszeni spodni i popatrzył na niego wilkiem. - Już cię nie lubię...

- Ja już dawno ci to powiedziałem.

- No to jesteśmy kwita.

- Dokładnie.

W jednej chwili padli sobie w ramiona i zaczęli klepać się po plecach z rozrzewnieniem.

- Jesteś idiotą - oznajmił mu Azazel.

- Ty też - Beleth był równie wzruszony.

Odkoczyli od siebie zaskoczeni tym przyływem ciepłych uczuć, które przecież diabłom się nie zdarzają.

- Co to było? - zapytał przystojny diabeł, wzdrygając się z obrzydzeniem na myśl o obściskiwaniu kolegi.

- Uznajmy, że nic nie było - zasugerował Azazel.

- Okej. To do zobaczenia.

- Do zobaczenia.

Odwrócili się od siebie w jednej chwili, wyrzucając z myśli dziwne zdarzenie. Nie zamierzali tego nigdy więcej wspominać.

Beleth napotkał zdeglustowane spojrzenie demona ubranego w liberię, stojącego po drugiej stronie ogrodzenia. Służący Lucyfera był świadkiem całego zdarzenia, jak przystało jednak na służbę doskonałą, nie skomentował wypadków z ostatnich kilku minut.

- Tak? - zapytał powoli, plując śliną przed siebie na odległość metra.

Najwyraźniej odzwiernym nie przysługiwała opieka dentystyczna.

- Ja do Szatana - oświadczył diabeł. - Prywatnie, dlatego nie przez sekretariat.

- Obawiam się, że władca Piekieł jest zajęty i nie będzie miał czasu dla podrzędnego diabełka - spławił go.

- Powiedz mu, że przyszedł Beleth i że doprowadzi dzisiaj do Armagedonu, ale potrzebuje wcześniej drobnej rady.

Krzaczasta bordowa brew demona powędrowała do góry. Już miał zaoponować, jednak diabeł posłał mu pełne groźby spojrzenie.

Był gotowy na Armagedon, jeżeli jego plan się nie powiedzie. Innych pomysłów na uwolnienie Wiktorii nie miał.

Demon odwrócił się na pięcie i gderając pod nosem, wszedł do rezydencji. Nie chciał iść do Szatana. Szef na pewno na niego nakrzyczy, że przeszkadza mu w pracy, przekazując idiotyczne wiadomości od jakiegoś oszołoma.

Doprowadzi do Armagedonu! Dobre sobie!

Jakież było jego zaskoczenie, kiedy Lucyfer pobladł, słysząc powtórzone wiernie słowa Beletha, a następnie poprosił o przyniesienie ekierki z grubą warstwą czekolady.

Po kilku minutach, podczas których Szatan łapczywie uzupełniał braki cukru w organizmie, w drzwiach jego gabinetu stanął niezapowiedziany gość. Władca Piekieł po cichu mu zazdrościł. Zawsze chciał być tak nieodpowiedzialny, nieokrzesany, może odrobinę szalony.

Szatanowi jednak nie wypada.

Wyprostował się z godnością, sprawdzając językiem, czy w kąciku ust nie osiadła czekolada bądź bita śmietana.

- Usiądziesz? - zaproponował Belethowi, wskazując na krzesło przed sobą.

Diabeł był zaskoczony. Wolno mu było usiąść? Co się stało? Goście Lucyfera przeważnie musieli stać naprzeciwko niego, nieraz przez wiele godzin.

Lucek westchnął. Czekolada to lekarstwo na wszystko. Sprawiała, że stawał się łaskawszy.

- Jaki Armagedon? - zapytał spokojnie.

- Tylko tak powiedziałem, żeby mnie wpuścili...

Szatan odetchnął z ulgą i rozluźnił się. Ekierka zaciążyła mu w żołądku. Niepotrzebnie się tak zestresował.

- A naprawdę chciałbym zrezygnować z posady diabła i stać się ifritem. - Beleth uśmiechnął się szeroko.

Ekierka w brzuchu Szatana wykonała salto, serce zaczęło mu walić, a czoło zrosił pot. „Nie nadaję się do tej pracy - przebiegło mu przez myśl. - Gdybym był człowiekiem, dostałbym zawału już kilkadziesiąt razy”.

- Co proszę? - pisnął.

- Chcę zostać ifritem. Składam rezygnację. - Wesoły diabeł rozparł się w fotelu.

Szatan nie odezwał się. Z kurczowo zaciśniętą szczęką wstał, podszedł do ściany z *Ostatnią Wieczerzą* i zdjął ją z gwoźdźca. Drewniana zabytkowa rama rozpadła mu się w palcach, kiedy za mocno ją ścisnął. Następnie trzasnął pięścią w czerwony przycisk, rozbijając plastik w drobny mak.

Miał mord w oczach.

Beleth na wszelki wypadek przestał być wesoły, a nawet z uwagi na narastającą furię swojego władcy przybrał zakłopotany wyraz twarzy.

Tymczasem w Niebie, w Pokoju Alarmowym, zaświeciła się mała czerwona lampka. Putto odłożył na stół „Playboya”, otwartego na siódmej stronie, i odstawił szklanę whisky, z której zdążył już pociągnąć spory łyk.

Jego dyżur zaczął się ledwie pięć minut wcześniej.

- No, kurwa, bez jaj... - westchnął. - Znowu?

Ciężki krzyż za plecami Beletha odsunął się od ściany, ukazując drzwi windy. Nadgryziony zębem czasu mechanizm znowu ożył.

Szatan opadł na fotel. Beleth poczuł się nieswojo pod ciężarem jego spojrzenia.

- Czemu znowu wzywamy Gabriela? - zapytał zaskoczony.

- Bo się za nim stęskniłem - warknął władca Piekieł.

Diabeł nie podejrzewał, że do zrezygnowania ze stanowiska w Piekle potrzebny był podpis urzędnika anielskiego. Plotki o tym, że Niebo ma wszystkich w garści, okazały się prawdziwe!

Lucyfer stracił w jego oczach.

Wiekowa winda zazgrzytała, kiedy kabina stanęła na wysokości gabinetu Lucka. Gabriel wytoczył się ze środka, trzymając się za żołądek.

- Nigdy więcej po obiedzie - jęknął, opierając się ciężko o ścianę, i całkiem donośnie beknął.

- Gabryś, może musisz skorzystać z toalety? - grzecznie zaproponował Szatan, jednak w jego głosie pobrzmiwała kpina.

- Nie, dziękuję. - Archanioł w jednej chwili wziął się w garść.

Nie mógł sobie pozwolić na okazanie słabości w towarzystwie, jakby na to nie patrzeć, głównego przeciwnika, kierownika wrogiej firmy.

- Zatem siadaj. - Szatan wskazał na powietrze obok siebie. Z niczego powstało tam złocone krzesło obite czerwonym pluszem. Gabriel usiadł, wciąż masując żołądek.

- Następnym razem spotykamy się u mnie - oświadczył.

Aniołowi zrzędła mina. Wiedział, że nie postawi na swoim. Jeżeli konsultacja z Niebem będzie wymagała wyprawy do Arkadii, to Piekło w osobie Lucyfera nigdy więcej się na nią nie zdecyduje, a co za tym idzie, Gabriel nie będzie na bieżąco z występkami mieszkańców Niższej Arkadii. Na coś takiego nie mógł sobie pozwolić.

- Co się stało? Kogo tym razem zabił i wpakował do Tartaru? - zapytał zrezygnowany.

Beleth poruszył się niespokojnie. Nie spodziewał się aż takiej wrogości wobec samego siebie. A w każdym razie nie spodziewał się, że Archanioł będzie tak źle do niego nastawiony.

- Nikogo nie zabiłem - zaprzeczył. - Przyszedłem w innej sprawie. Czysto administracyjnej. - Sięgnął do kieszeni wąskich spodni, idealnie opinających jego zgrabne pośladki. Zmięta kartka wyprostowała się, gdy na nią chuchnął. - Proszę. - Położył ją na biurku Szatana. - To moja rezygnacja.

Gabriel wciąż masował brzuch. Lucyfer poblądł, sięgając po druk wypełniony starannym pismem diabła. Przebiegł wzrokiem tekst.

- Rezygnacja z czego? - dociekał Archanioł.

- Beleth właśnie złożył wymówienie ze stanowiska diabła - wyjaśnił słomianym głosem władca Piekieł. - Już nie chce być moim poddanym. Rezygnuje także z przywilejów nadanych mu przez Niebo. Zamierza stać się wolnym bytem.

- Niedobrze mi - jęknął Gabriel.

- Mnie też. - Szatan pokiwał głową, starając się zapomnieć o ekierce.

Siedzący naprzeciwko nich diabeł zaczął się intensywnie zastanawiać, o co w tym wszystkim chodzi. Przecież jego decyzja nie mogła aż tak ich przerazić.

- To jak? - zapytał. - Zgadza się?

- Ale dlaczego ifrit? - jęknął Gabriel. - Proszę, nie! Obiecuję, że staniesz się pełnoprawnym aniołem na zawsze, tylko daj sobie z tym spokój!

Diabeł i Szatan spojrzeli na niego zaskoczeni. Propozycja, którą usłyszeli, była dość niespotykana i... bardzo ciekawa.

Beleth pomyślał o tym, że Azazel powinien spróbować podobnego manewru.

Lucek pomyślał o tym, że sam chętnie skorzystałby z takiej możliwości.

- Naprawdę? - chciał wiedzieć Szatan.

Jednak Gabriel zignorował jego pytanie, starając się przemówić do rozsądku krnąbrnemu diabłu:

- Belecie, popełniasz ogromny błąd. Jeśli raz zrezygnujesz z przywilejów, które nadał ci Bóg, już nigdy ich nie odzyskasz. Będziesz potępiony. Będziesz sam! Na zawsze. Wieczność jest długa. Wiesz przecież o tym.

- Naprawdę byłby aniołem? - wtrącił Lucek.

- Nie będę sam - odparł diabeł. - Jako ifrit należę do świata, a nie do jednych zaświatów. Zdołam dostać się do Tartaru, którego wejścia tak skrzętnie przede mną strzeżecie.

- Robisz to dla niej... - zrozumiał Archanioł. - Wracając do kwestii przywracania anielskości... - Szatan znowu spróbował.

- Belecie, popełniasz błąd - Gabriel nie zmieniał zdania. - Wiktoria to kobieta. Owszem, posiada Iskrę Bożą, a także ma moce diabelskie, jednak to tylko kobieta. Pożądanie tych istot jest zabronione.

- W takim razie już jestem potępiony. Stało się - skwitował diabeł. - Bardziej nie zdołam już sobie zaszkodzić.

- Naprawdę stałby się aniołem? - Szatan stuknął Gabriela w ramię.

- Lucek, nie teraz! - skarcił go Archanioł.

Lucyfer odsunął się naburmuszony i oparł ciężko plecy o swój fotel władcy. Znowu nikt nie chciał mu nic powiedzieć.

- Podjąłem decyzję. Chcę zostać ifritem - oświadczył Beleth.

- Popełniasz wielki błąd - powtórzył Gabriel.

- Nie możecie mi tego zakazać.

- Wiem...

Gabriel spojrzął na Lucyfera. Szatan kiwnął głową. W tej samej chwili sięgnęli po podanie i położyli na nim dłonie.

- Na pewno to przemyślałeś? - Gabriel po raz kolejny chciał się upewnić.

- Tak. Przestańcie wreszcie mnie przekonywać. Nie przyszedłbym tutaj, gdybym nie był pewien tego, co robię. Chcę być ifritem. Teraz. Nie jutro, nie

kiedyś, tylko właśnie teraz. Chyba że może zmieniliście zdanie i zamierzacie mi pomóc w wydostaniu Wiktorii z Tartaru.

- Wiesz, że tego uczynić nie możemy, więc jeszcze raz proszę cię o chwilę zastanowienia. Ten krok jest nieodwracalny.

Archanioł posłał Szatanowi karcące spojrzenie.

- Tak przy okazji, to ty powinieneś przekonywać go do zmiany zdania.

- Po co? Świetnie sobie radzisz. Wprawiaj się, może niedługo jacyś twoi pracownicy zaczną składać wymówienia.

Kartka pod ich dłońmi zapłonęła najpierw na czerwono, a następnie na niebiesko. Nie minęła chwila, gdy została po niej tylko mała kupka popiołu.

Beleth poczuł dojmujący ból w klatce piersiowej, jakby wyrwali mu serce. Osunął się na podłogę, zwijając z bólu, jednak nie krzyknął. Wygiął ciało w łuk. Zdawało się, że zaraz pęknie mu kręgosłup.

Mimo ogromu cierpienia nie wydał z siebie ani jednego dźwięku, kiedy jego ciało opuszczała Łaska Boska. Nie było jej widać. Po prostu w jednej chwili była, a w drugiej już nie. Teraz na zawsze był jej pozbawiony.

Diabeł podniósł się na łokciu i zagapił na własną dłoń, którą opierał na perskim dywanie Szatana. Promieniała wewnętrznym światłem, tak jak cała jego skóra.

- Co się ze mną dzieje? - zapytał.

- Stałeś się ifritem. Istotą pozbawioną boskiej myśli. - Gabriel podniósł się z krzesła, żeby lepiej mu się przyjrzeć. - Jesteś ogniem bez dymu.

Beleth usiadł. Cały się zmienił. Skóra promieniała, a oczy błyszczały niczym drogocenne klejnoty. Przed nim istniał tylko jeden ifrit. Czy wyglądał tak jak on teraz?

- Pięknie. - Szatan stuknął pięścią o biurko. - Mam teraz wakat na stanowisku, bo jeden z moich podwładnych postanowił zostać dżinem.

Beleth rzeczywiście przypominał teraz bajkową postać spowitą tajemnicą. Był piękny niczym ożywiony pomnik z kamieni szlachetnych i złota. Wydawało się, że jego tęczy są płynne. Wstał.

- Czy nadal posiadam wszystkie swoje moce? - zapytał.

- Tak. - Gabriel przyglądał mu się zafascynowany. Nie widział nigdy ifrita. Poprzedni powstał tak dawno, że jego wygląd został zapomniany.

Tak samo jak jego imię.

- Rozumiem też, że skoro nie jestem obywatelem żadnych zaświatów, to mogę przebywać wszędzie, gdzie tylko mam ochotę? - młody ifrit chciał się jeszcze upewnić.

- Tak - mruknął gorzko Szatan. - Teraz jesteś niczyj...

Beleth poprawił koszulę usatysfakcjonowany odpowiedzią.

Podobało mu się jego nowe wcielenie. Czuł się inaczej. Niebyło to złe uczucie. Miał tylko wrażenie, że stał się kimś innym. Że był czymś więcej? Mniej? Sam nie potrafił tego stwierdzić.

- A właśnie. Miałem wam też przekazać pewną informację. Po moim odejściu powstał wakat. Wiem, Szatanie, że cierpisz na braki kadrowe, więc pewnie ucieszysz się wiadomością, że znalazłem kogoś na swoje miejsce.

Lucek oniemiał.

- Anioł Moroni niespodziewanie przypomniał sobie, że także brał udział w twojej rewolucji. Sądzę, że jak najszybciej należy pozbawić go skrzydeł i usunąć z Niebios. Obawiam się niestety, że wyrok, jaki tam otrzymał, już nie będzie go tutaj obowiązywał. Przystanie być aniołem, którego skazano.

Władcy zaświatów wpatrywali się w byłego diabła w niemym osłupieniu.

- Ty chyba żartujesz - Lucyfer otrząsnął się jako pierwszy.

- Ani trochę - odparł Beleth. - Gdybym żartował, nie powiedziałbym, że jeśli Moroni nie stanie się diabłem, to pewien niepokorny ifrit doprowadzi do... małego Armagedonu.

Szatan dodał jeden do jednego i otrzymał odpowiedź.

- Co on ci za to obiecał? - warknął.

- Teraz to nie jest wasza sprawa - uniósł się Beleth. - Mogliście, ale nie chcieliście mi pomóc. Sam znalazłem sposób na wydostanie Wiktorii z Tartaru.

Odwrócił się od nich i podszedł do ściany, żeby skorzystać ze swojego klucza. Wyjął go z kieszeni i obrócił w dłoni. Teraz nie był mu do niczego potrzebny. Potrafił przenieść się w dowolne miejsce za pomocą swoich mocy. Nie blokowała ich już posada diabła.

- Zwracam służbowy środek transportu. - Rzucił Szatanowi kluczyk i pomyślał o tym, gdzie chciałby się znaleźć.

Jego ciało pochłonęły zielone języki ognia. Zniknął w płomieniach. Płomieniach bez dymu.

Władcy zaświatów spojrzeli na siebie zakłopotani. Szatan obracał w dłoni niepotrzebny klucz diabła.

- Chyba mamy kłopoty - stwierdził Gabriel. - Cofnęliśmy czas, co zawsze niesie za sobą niemiłe konsekwencje, daliśmy osobie obdarzonej Iskrą Bożą moce piekielne, a następnie zamknęliśmy ją w Tartarze, a teraz stworzyliśmy ifrita.

- Szef się wkurzy... - mruknął Lucek.

- A tak niewiele brakowało... - westchnął gorzko Archanioł.

- Do czego?

- Do końca naszej służby. Przecież niedługo nastąpi apokalipsa. Staralem się o nagrodę dla najlepszego pracownika!

Szatan nie skomentował jego wynurzeń. Nie wiedział, że można dostać taką nagrodę. Gabriel zapomniał mu o tym wspomnieć. Gdyby wiedział, to też by się o nią starał. Chociaż może nie wszystko jest jeszcze stracone? Sprawiłoby mu olbrzymią satysfakcję, gdyby zdołał pokonać anioła.

Poza tym dyplom lub inne wyróżnienie pięknie prezentowałyby się na ścianie nad biurkiem. Gdyby otrzymał statuetkę najlepszego pracownika, chętnie zawiesiłby tam nawet małą półkę.

Archanioł pokręcił smutno głową i skierował się w stronę windy do Nieba.

- Aha, Gabryś, poczekaj - niemiły ton głosu Szatana gdzieś zniknął, zastąpiony przesłodzonym tenorem. - To co mówiłeś o przyznawaniu anielskości od ręki...?

Razem z Achillesem szybko opuściliśmy zamek księżnej Elżbiety. Mój nefilim był bardzo zawiedziony, że nie idziemy jej zabić. Najwyraźniej narobiłam mu niechcący smaku. Przez chwilę miałam na to ochotę, jednak się nie odważyłam. Jej służąca była szalona, a i tak potrafiła być niebezpieczna. To co dopiero może mi zrobić kompletnie zwariowana arystokratka? Poza tym w końcu ruszyło mnie sumienie. Tak jednak jeszcze je miałam, chociaż ostatnio często robiło sobie wakacje. Przecież nie mogę chodzić po ulicy i zabijać ludzi, a raczej niszczyć ich dusze. To... jest straszne.

Wiem, że zawsze gadam jak nawiedzona o szacunku do ludzkiego życia i każdego istnienia, ale... zbyt często mnie samą chciał ktoś unicestwić, bym mogła do tego lekko podchodzić. Nie wolno mi dla własnego szczęścia robić złych rzeczy. Chociaż przyznaję, że życie byłoby prostsze, gdybym zabiła Moroniego, zamiast latać za nim i próbować odebrać manuskrypt henochiański. No tak, ale gdybym wtedy go zabiła, to pewnie teraz oglądałabym kraty w anielskim więzieniu, albo za zamordowanie anioła trafiłabym do Tartaru.

Wyrwałam się z rozmyślań i rozejrzałam dookoła. Szłam jak w amoku, pochłonięta wewnętrznym dialogiem, który do niczego mnie nie doprowadził.

Jak zawsze.

- Muszę znaleźć jakieś bezpieczne drzwi, za których pomocą przeniosę się do Piekła - powiedziałam, kiedy przemykaliśmy opustoszałymi uliczkami Tartaru.

Dookoła nas było mnóstwo drzwi. Tylko czy byliśmy już wystarczająco daleko od zamku?

- U mnie w chacie są drzwi - roztropnie zauważył Achilles.

- Fakt. - Zaśmiałam się krótko. Byłam tak roztrzęsiona, że zupełnie na to nie wpadłam.

Kiedy weszliśmy do izby, odczułam wielką ulgę. Już było po wszystkim. Nefilim rozsiadł się przy stole z butelką wstrętnej tatarskiej wódki. Podziękowałam mu za pomoc.

- Nie ma za co. Była to dla mnie miła odmiana. Poczuć zew bitwy.

Dyskutowałabym o tej bitwie, ale co ja tam wiem. To on jest mitycznym wojownikiem, a nie ja.

- To idę. - Stałam niepewnie naprzeciwko drzwi, mając nadzieję, że uda mi się stąd wydostać.

- Wiktorio - zatrzymał mnie głos olbrzyma. - Kiedy już spotkasz mego ojca... rzeknij mu o mnie słowo. Tak dawno go nie widziałem.

- Dobrze. Obiecuję. - Uśmiechnęłam się. - Do zobaczenia.

- Bądź pozdrowiona.

- Miejsce pobytu Azazela - powiedziałam głośno i wyraźnie, wiedząc że na nic nie przyda mi się odnalezienie Beletha, jeśli nie będę miała pod ręką tłumacza, a następnie sięgnęłam do klamki. Szara widmowa klamka ugięła się pod moim dotykiem, otwierając astralne drzwi.

Przekroczyłam próg salonu diabła w Piekło. Poznałam ciężkie zasłony i ozdobne meble. Już kiedyś w nim byłam.

W fotelu przy oknie siedział Azazel. Przeglądał jakieś papiery. Wyglądał, jakby na kogoś czekał. Drgnął, gdy mnie zobaczył.

- *Cześć, diabelku* - przywitałam się i w tej samej chwili prawdziwe drzwi znajdujące się za moimi plecami otworzyły się, przechodząc przeze mnie na wylot.

Osoba, która chciała wejść do pokoju, nie ominęła mnie jednak ani nie przeniknęła przez moje nieistniejące ciało. Mężczyzna pchnął mnie silnie na ziemię. Chwyciłam go za ramię, usiłując złapać równowagę, i pociągnęłam za sobą na podłogę. Niestety. Moja pupa już odrobinę się zapadła.

Kurde...

Oparłam się na łokciu i spojrzałam prosto w złote oczy wpatrzone w przestrzeń gdzieś za mną. Poczułam, jak moje serce zabiło szybciej.

- Co się dzieje? - zapytał spanikowany Beleth. - Kto tu jest? Ukaż się!

- *To ja! Wiki!* - złapałam go za rękę.

Wyrwał się i w jednej chwili stanął na równe nogi, odskakując ode mnie.

- Kto tu jest? - powtórzył. - To jakiś twój głupi żart, Az? Testujesz na mnie system antywłamaniowy?

- *Nie słyszy mnie?* - Spojrzałam na Azazela, który w osłupieniu się nam przyglądał.

- Gratuluję, Belecie. Właśnie staranowałeś Wiktorię - powiedział, wracając do lektury. - A co do twojego pytania, Wiktorio. Tak, zakładam, że cię nie słyszy, skoro nie odpowiada na twoje pytania. Ale to dość trudne do wydedukowania, więc mogę się mylić...

Dopiero teraz dokładnie przyjrzałam się mojemu diabłu. Zmienił się. Coś było z nim nie tak. Stał się... wyraźniejszy? Nie potrafiłam tego opisać ani pojąć. Był Belethem, ale jednocześnie nim nie był. Stał się kimś jeszcze.

Jego skóra odrobinę promieniała, zupełnie jak moja, gdy nabrałam boskich mocy po przeczytaniu manuskryptu henochiańskiego. Jednak jego blask był inny. Nie tak promienny i czysty. Były w nim... zakłócenia. Jak na starym filmie oglądanym z kasety wideo, na którym pojawiały się paski szarpanej taśmy.

Wyczuwałam też coś dziwnego. Nie wiedziałam, co się dzieje. Potrafiłam wykryć aurę. Wiedziałam, kto jest człowiekiem, a kto diabłem lub aniołem. Beleth nie pasował teraz do żadnej z tych charakterystyk.

Wstałam, podnosząc pupę z podłogi.

- *Co ci się stało?* - zapytałam. - *Co mu się stało? Azazel, on jest jakiś inny. Czemu może mnie dotknąć?*

- Wiki! Gdzie jesteś! Dlaczego mogę cię dotknąć? Czemu cię nie widzę? - odezwał się w tej samej chwili, wyciągając przed siebie rękę niczym ślepiec.

Dotknęliśmy się. Kiedy nasze palce się zetknęły, zobaczyłam, jak na jego twarzy pojawia się delikatny uśmiech. Złote oczy, które zawsze potrafiły mnie zahipnotyzować, błyszczały niczym płynny kruszec. Były nierzeczywiste.

Azazel wrócił do nas spojrzeniem, odkładając na kolana dokument, który tak go interesował.

- Podejrzewam, że na wasze pytania jest jedna odpowiedź. Beleth jest ifritem, pewnie dlatego może cię dotykać. Wątpię, żeby projekcja astralna mogła coś ze sobą zrobić, więc przykro mi, Wiktorio, ale choćbyś nie wiem jak się starała, to nie twoja zasługa. A dlaczego, Belecie, tylko ją dotykasz, lecz nie widzisz, nie mam zielonego pojęcia. Co ja jestem, do cholery, wyrocznia delficka?!

Wodziłam dłońmi po jego torsie, ramionach. Opuszkami palców musnęłam jego policzki. Przymknął oczy, zachwycony moim dotykiem. Jego ręce także nie próżnowały. Błądziły po mojej talii, plecach, karku pod włosami.

To było takie przyjemne.

- *Ifrit? Co to znaczy?* - zapytałam, czując na twarzy jego ciepły oddech.

Azazel zaśmiał się złowieszczo.

- Och, pozwól, że wyjaśnię ci, co to takiego ifrit. Beleth, żeby cię ratować, zrezygnował ze stanowiska diabła, tym samym stając się potępieńcem, ifritem znanym też jako dżin. Jest płomieniem bez dymu, wyrzutkiem, którego wszyscy się boją i którego nikt już nie kocha. Nawet Bóg...

Słowa diabła zawisły w powietrzu. Odsunęłam się od Beletha na długość ramienia.

- *Coś ty uczynił?* - wydusiłam.

- Właśnie powiedziała, że zidiociałeś - usłużnie przetłumaczył Azazel.

Przystojny diabeł... nie... już nie diabeł, a ifrit zakłopotał się. Nie wypuszczał mnie z rąk, jakby się obawiał, że zniknę, gdy tylko to zrobi. Pamiętając moje ostatnie wyjście, mogło się tak stać.

- Wiki, zrobiłem to dla ciebie. Jedyne w ten sposób mogę dostać się do Tartaru, żeby pomóc ci się uwolnić.

Nie mogłam uwierzyć w jego słowa. On zrobiłby coś bezinteresownie? Dla mnie? Podejrzana sprawa. Ostatnim razem, kiedy zrobił coś dla mnie i dał mi jabłko, by zwrócić mi pamięć, narobił niezłego bałaganu w moim życiu.

- *A co będziesz z tego miał?* - zapytałam gorzko.

- Nic. - Zmarszczył brwi, kiedy Azazel powtórzył mu moje pytanie. - To znaczy, mam szczerą nadzieję, że zdobędę w ten sposób twoją miłość.

Podstępny diabeł ostentacyjnie odwrócił się do nas plecami.

- Nie zamierzam brać udziału w waszych ckliwych rozmowach. W tym celu idźcie sobie do Tartaru - oświadczył. - Mam ważniejsze sprawy.

Papiery leżące przed chwilą na jego kolanach rozsypały się. Zobaczyłam wśród nich ostatni numer anielskiej gazety. Podstępny diabeł zaznaczył w nim dużym kółkiem na czerwono jedno małe ogłoszenie.

- Moroni w zamian za drobną przysługę dał mi pewien interesujący manuskrypt - Beleth zignorował słowa Azazela. - Jest w nim opisana droga ucieczki z Podziemi. Dzięki temu wydostaniemy cię stamtąd. Pomogę ci.

Jego płynne oczy migotały czarodziejско, zupełnie jakby coś się za nimi ukrywało. Coś dziwnego, obcego. Beleth nigdy nie był człowiekiem, jednak jako diabeł świetnie to kamuflował. Teraz jego oczy wydawały mi się dziwnie nieludzkie.

Nie mogłam oprzeć się temu wrażeniu.

- *Naprawdę pójdziesz za mną do Tartaru?* - nie potrafiłam uwierzyć. To było zbyt piękne. Zbyt wspaniałe.

Chrząknęłam na Azazela, żeby przestał się bocyć.

- *Naprawdę pójdziesz do Tartaru?* - odezwał się naburmuszony.

- Tak, Wiki. Pójdę za tobą wszędzie - miał głos pełen ciepła.

Jeszcze raz pogładziłam go po policzku. Przymknął dziwne oczy, a długie rzęsy rzuciły cienie na policzki o wysokich kościach jarzmowych. Teraz przypominał dawnego Beletha.

- *Co ty sobie zrobiłeś?* - jęknęłam.

- *Czemu tylko cię czuję, ale nie widzę ani nie słyszę?* - zmartwił się ifrit.

- Ja tam nie wiem - Azazel postanowił się nie mieszać. - Przypominam, że poza tobą w historii stworzenia był tylko jeden ifrit, po którym słuch zaginął i nikt za bardzo już go nie pamięta. Widocznie tak po prostu jest i już. Ciekawe, czy w Tartarze będziesz miał wszystkie moce, czy też czeka cię tam jakaś niemiła niespodzianka...

- A ty znowu widzisz na czarno - zachnął się Beleth.

- Cecha gatunkowa... - mruknął jego kompan, podnosząc pisma.

Beleth, nie wypuszczając mojej ręki, poprowadził mnie do fotela Azazela i wyrwał mu manuskrypt.

- Zobacz, to jest to pismo.

Nie mogłam wziąć niczego w ręce, więc tylko pochyliłam się nad dokumentem. W punktach opisano w nim trasę prowadzącą wzdłuż Styksu. U źródła rzeki rzeczywiście znajdowało się wyjście. Co ważniejsze, były też opisane wszystkie pułapki, które mogą czyhać w ciemnościach.

- *Z Cerberem i topielcami umiem sobie poradzić. Pokonały mnie harpie, a więcej nie miałam okazji spróbować* - powiedziałam i poczekałam, aż Azazel powtórzy moje słowa.

- Razem na pewno nam się uda - pocieszył mnie ifrit.

- Och, proszę... - Azazel był zde gustowany. - Co to jest? Melodramat? Jeśli tak, to któreś z was będzie musiało umrzeć. Anie... ty już umarłaś.

- *A co potem? Wrócimy i znowu otrzymasz stanowisko diabła?* - zignorowałam słowa Azazela. Po pewnym czasie przebywania w jego

towarzystwie człowiek uczył się traktować te złośliwości jak ledwo słyszalny szum gdzieś za uszami. Podstępny diabeł posłał Belethowi znaczące spojrzenie.

- Nie - zmieszał się Beleth. - Na zawsze pozostanę ifrytem. Nie mogę znowu stać się diabłem. Wyrzekłem się tego przed Lucyferem i Gabrielem.

Cofnęłam się i jeszcze raz mu się przyjrzałam. Jego świetlista postać wyglądała dziwnie. - *I co teraz z tobą będzie?*

- Będzie wyrzutkiem, którego nikt nie chce znać - usłużnie wyjaśnił mi Azazel.

Posłał przeproszające spojrzenie ifritowi.

- To znaczy, ja cię będę znał - dodał. - I Kleopatra. Chociaż co do niej nie jestem pewien, bo ona kocha tylko elity. Ale poza tym Beleth będzie kimś wolnym, kogo nie obowiązują żadne zasady. Heretykiem w zaświatach. W sumie jeśli zdoła cię uwolnić, to ty będziesz duszą bez stałego pobytu. Znajdziecie się w dosyć podobnej sytuacji. Czy to nie cudowne?

- Tak - potwierdził ifrit.

- To była ironia, idioto...

Beleth złożył pieczołowicie manuskrypt, a następnie schował go do kieszeni spodni.

- Dość tych czczych rozmów - powiedział. - Chodźmy do Tartaru. Chcę cię wreszcie zobaczyć i usłyszeć.

Pokiwałam głową. Także chciałam wreszcie z nim porozmawiać bez towarzystwa upierdliwego Azazela.

- *Jak się tam dostaniesz? Przez moje drzwi?*

- Nie wiem. Pójdę. Sprawdzałem, jak działają moje moce. Nie potrzebuję już klucza. Po prostu znikam i przenoszę się w miejsce, które mnie interesuje. Idź drzwiami. Dogonię cię.

- *Obiecujesz?*

- Naprawdę muszę tłumaczyć takie durne pytania? No przecież dla ciebie zamienił się w cholernego ifrita... Ech... Obiecujesz?

- Obiecuję, Wiki. - Uśmiechnął się lekko. Chciał pogłodzić mnie po policzku, ale trafił w ucho. - Nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę. - Zaśmiał się. - Idź już. Ja przenoszę się zaraz za tobą.

Nadepnęłam na gazetę leżącą na puchatym burgundowym dywanie. Zaznaczone ogłoszenie znajdowało się w dziale „Praca”.

- *A ty co, Azazel? Szukasz pracy? Przestali dobrze płacić diabłom, czy cię zwolnili za błąd w sztuce?*

- Nie twój zasmarkany interes, kochanie. - Azazel w jednej chwili wkopał gazetę pod fotel, żebym nie zdołała przeczytać, czego dotyczyło zakreślone ogłoszenie.

Podeszłam do ciężkich drewnianych drzwi, przez które się tu dostałam. Przymknęłam oczy i pomyślałam o chacie Achillesa. O izbie, w której pewnie na mnie czekał.

- *Chata Achillesa.*

Azazel patrzył zafascynowany, jak otwieram widmowe drzwi i przechodzę przez nie, znikając mu z oczu.

- Już poszła - powiedział do Beletha.

Ten zaśmiał się i w jednej chwili pochłonęły go zielone płomienie. Będąc ifritem, przypominał diabła bardziej niż kiedykolwiek.

Po chwili już go nie było. Rozpłynął się w ogniu bez dymu.

Przeskoczyłam przez widmowe drzwi do skromnej chatki Achillesa. Nefilim siedział przy stole i popijał z obdrapanego kubka wodę, która zapewne była, tak lubianą w Podziemiach, herbatą.

- Gdzie Beleth? - zapytałam, rozglądając się dookoła.

W izbie nie było wielu miejsc, w których mógłby ukryć się przed moim wzrokiem, ale mimo to zajrzałam nawet pod łóżko.

Achilles posłał mi zdziwione spojrzenie.

- Wszak poszłaś do niego.

- Ale wrócił tu ze mną - warknęłam rozdrażniona. - Gdzie on jest?

Zirytowana ponownie zajrzałam pod łóżko. Przecież sam by się nie schował. Gdzie, do diabła, się podział?

- Tu nie ma mego ojca. Nie było.

Zakłęłam w myślach. Z tego całego zadziwienia przemianą zupełnie zapomniałam przekazać Belethowi wieści o synu. Obiecałam Achillesowi, że wspomnę o nim. Muszę to zrobić czym prędzej, żeby się nie wydało. Nie chciałam, żeby nefilim miał do mnie o to żal.

A tak po głębszym namyśle stwierdziłam, że lepiej by było, żeby Achilles nigdy nie miał do mnie o nic żalu.

- Miał iść tuż za mną - przygryzłam wargę.

Coś poszło nie tak?

Nie wpuścili go? Ktoś go zaatakował?

Struchlałam, zdając sobie sprawę, że powód jego nieobecności mógł być zupełnie inny. Prostszy i leżący w jego naturze.

A może Beleth mnie... okłamał?

- Może jest w jaskini? - zasugerował Achilles ze strapioną miną. - Wszyscy tam trafiają tuż po przybyciu do Tartaru. Tyś półbogini, a także musiałaś tam najpierw pójść.

- Masz rację - przytaknęłam. - Biegnę tam.

Nie byłam pewna, czy nefilim rzeczywiście ma rację. Beletha nie obejmowały już żadne zasady i reguły. Wydawał się przeświadczony o tym, że przeniesie się w to samo miejsce co ja bez zbytniego wysiłku ze swojej strony.

- Uważaj na ludzi Rozpruwacza! - zawołał za mną siłacz, gdy wybiegłam z chaty.

Nie obchodziło mnie, czy się gdzieś czają. Musiałam zobaczyć Beletha. Chciałam go dotknąć. Chciałam mieć dowód, że mnie tu nie zostawił. Że naprawdę coś do mnie czuje.

Bo ja przecież czuję coś do niego, prawda?

Spod moich butów pryskał żwir, którym wysypane były dróżki. Biegłam jak szalona.

Nie zatrzymując się ani na chwilę, dla kaprysu zmieniłam ubranie i zmyłam skórę. Sprawiałam, że włosy nabrały lekkości. Talię i piersi otoczył gorset czerwonej sukienki, której rąbek uniosłam, żeby nie plątał się pomiędzy nogami. Najdelikatniejszy jedwab, jaki istnieje, pieścił moje dłonie.

Chciałam podobać się Belethowi, kiedy mnie zobaczy. Chciałam, żeby czuł do mnie to samo co ja, kiedy na niego patrzę. Może jeśli jego dziwne, nowe oczy będą pełne dawnego pożądania, to przestaną wydawać mi się obce?

Nieliczni mieszkańcy Tartaru odwracali za mną głowy przestraszeni. Byłam barwną plamą w ich szarym świecie.

W miejsce żwiru pojawił się niewygodny bruk. Obcasy zsuwały się w szczeliny. Poczułam ból w lewej kostce, ale się nie zatrzymałam. Cały czas biegłam, chociaż gorset tak mnie ścisnął, że ledwo mogłam nabrać powietrza. Nie poluźniłam tasiemki. Próżność wygrała z praktycznością.

Nigdzie nie widziałam zbirów Elżbiety, przed którymi ostrzegął mnie Achilles. Nikt nie podążał moim śladem. Najwyraźniej po śmierci Anny Darvulii zaprzestali poszukiwań.

Zobaczyłam kamienną ścianę jaskini z metalowymi drzwiami. Za nimi była mroczna pieczara i Styks. Zatrzymałam się. Ciężki, urywany oddech unosił moją pierś. Czułam, że policzki mam zaróżowione od wiatru. A jeśli i tam nie będzie Beletha? Co ja wtedy zrobię?

Nie miałam czasu się nad tym zastanawiać. Nie teraz. Szarpnęłam ciężkie drzwi i w plamie światła weszłam do pogrążonej w mroku pieczary. Sukienka załopotała u moich kostek.

Tuż przy brzegu, na pomoście stał on.

Ifrit.

Jego złote oczy odbijały światło tak jak oczy kota. Zielone lustro.

- Beleth? - wydusiłam. Splątane włosy opadły mi na twarz. Odrzuciłam je do tyłu, jednym ruchem ręki poprawiając za pomocą magii fryzurę.

Drzwi zamknęły się za mną. Świetlne refleksy w jego oczach zniknęły. Wyglądał normalnie.

- Wiki? - ciepło w jego głosie podziałało na mnie mocniej niż jakikolwiek dotyk.

Podbiegłam do niego i rzuciłam mu się w ramiona. Objął mnie mocno, wtulając twarz w moje włosy. Nabrałam głęboko powietrza, chcąc poczuć jego zapach. Orientalne kadzidła, dym. Westchnęłam. Tęskniłam za tym. Tak bardzo za tym tęskniłam. Zacisnęłam palce na jego koszuli. Już nie zamierzałam go puścić. Nie chciałam zostać sama. Czułam się bezpiecznie. Wiedziałam, że teraz nic mi nie będzie grozić. Mój były diabeł mnie ochroni.

Odsunął mnie delikatnie, żeby przyjrzeć się mojej twarzy. W półmroku jaskini nie było widać nieludzkich, płynnych oczu. Był moim dawnym Belethem.

- Wyglądasz pięknie - szepnął. - Piękniej niż kiedykolwiek wcześniej.

- Klimat mi chyba służy. Wiesz, dużo wilgoci dobrze robi na włosy - zakpiłam.

Pogłaskał mnie po policzku.

- Wiki, nic się nie zmieniłaś. Tęskniłem za tobą - powiedział z uczuciem.
- Kocham cię.

Jego wyznanie wydawało mi się szczere, jednak zauważyłam podejrzany uśmiech czający się w jego uniesionych kącikach ust.

- Chyba zaczynam ci powoli wierzyć - odparłam, nie dając mu się tak łatwo podejść.

Zaśmiał się radośnie.

- Wiedziałem, że tanim kosztem nie wyciągnę od ciebie podobnego wyznania.

Wcale nie miał mi tego za złe. Podobało mu się, że znowu możemy grać w naszą małą grę podchodów i niedopowiedzeń, chociaż sam już dawno przestał stosować niedopowiedzenia. Byłby zawiedziony, gdybym od razu zdradziła się ze swoimi uczuciami. Tak po prostu nie wypadało. Byłoby wbrew zasadom i uniemożliwiłoby mu polowanie.

Nachylił się i pocałował mnie. Jego ciepłe, miękkie wargi naparły na moje. Poczułam jego palce na moim podbródku. Delikatnie rozchylił moje usta. Pocałunek stał się głębszy, pełen napiętności.

- Boże, aleś ty seksowna. - Szarpnął za ramięczko sukienki, aż oderwało się od gorsetu.

- Nie bluźnij! - fuknęłam i odsunęłam jego rękę. Zaskoczony pozwolił mi się odepchnąć.

- O co chodzi?

- Nie możemy. To jest zakazane. - Pokręciłam głową, starając się pozbyć zamroczenia.

Przytomność umysłu powróciła. Przypomniałam sobie, przed czym ostrzegano mnie w Piekło, a potem w Niebie. Pomiędzy nami nie mogło do niczego dojść. To było zabronione.

A ja już zaczęłam go rozbierać! I to w miejscu publicznym!

Szelmowski uśmiech pojawił się na twarzy. Zablęśły oczy.

- Moja droga, nic już nie stoi na przeszkodzie. Ty, o ile się nie mylę, zostałam potępiona. Nic gorszego spotkać cię nie może. A ja... nie jestem już diabłem. Żadne diabelskie zasady mnie nie obowiązują. Mogę robić, co chcę. - Zaczął całować moją szyję, schodząc ustami w dół, do obojczyka. - I z kim chcę. I kiedy chcę...

Jego palce obszukiwały niecierpliwie gorset, nie mogąc znaleźć haftek. Zakręciło mi się głowie. Miał rację. Mogliśmy być ze sobą. Nareszcie spełniło się jego, a teraz i moje marzenie.

Nie, nie, zaraz. To nie może być prawda. Miałabym wreszcie być szczęśliwa bez żadnych konsekwencji? Bez gromów z Nieba? Złych aniołów? Bez Azazela?

- Jesteś pewien?

Beleth przestał mnie całować i jęknął przeciągle. Spojrzał mi prosto w oczy.

- Tak, jestem pewien. Bycie ifritem ma wiele zalet. Jedną z nich jest niebycie diabłem. A tylko diabły i anioły nie mogą współżyć z kobietami.

- Putto też nie mógł - zauważyłam.

Spragnione ciała palce przestały szarpać haftki gorsetu.

- Nie chcesz mnie? - zapytał.

Wydawało mi się, że w jego oczach zobaczyłam zielony błysk.

- Chcę. Bardzo chcę - zapewniłam go. - Tylko boję się kary...

Przytulił mnie.

- Obiecuję, że nic ci się nie stanie. Naprawdę możemy robić teraz to, na co mamy ochotę. Nikt nie jest naszym panem. Jesteśmy wolni.

- Nie mogę w to uwierzyć - szepnęłam.

- To spróbuj, bo teraz tak łatwo się ode mnie nie uwolnisz. W końcu jestem złym duchem.

Stałam na palcach, by dosięgnąć jego ust. Gdy nasze wargi już miały się spotkać, szepnęłam:

- A skąd podejrzenie, że tym razem będę uciekać?

Jego oczy rozszerzyły się z pożądania. Jeszcze nigdy takiego go nie widziałam. Sama także czułam, że długo już nie wytrzymam. Chciałam go dotykać, całować.

- Co tu się dzieje?! - przerwał nam zgrzytliwy głos. Odskoczyliśmy od siebie niczym nastolatki przyłapane przez rodziców.

Za plecami Beletha do brzegu przybiła wiekowa łódka Charona. On sam, grzechocząc kośćmi ukrytymi pod habitem, zeskoczył na pomost. Przechylił się niebezpiecznie na jedną stronę, tracąc na chwilę równowagę. By się nie przewrócić, zaparł się długim kijem o ziemię.

- Choroba lądowa - wyjaśnił.

Wiatr zaświstał między jego dość luźno rozstawionymi zębami. Przewoźnik podparł się pod boki.

- Co tu się dzieje? - powtórzył. - Przebywanie w porcie poza okresem przeprowadzki do Tartaru jest surowo zabronione - Zrobił powoli chwiejny krok, dokładnie nam się przyglądając. - Ciebie pamiętam, ale on? Skąd się tu wzięłeś, mężczyzno? Nie przypominam sobie, żebym przewoził cię przez rzekę.

Beleth zbliżył się do Charona i przyjrzał mu się zaintrygowany.

- Interesujące - powiedział. - To ty przewozisz dusze przez Styks?

- Przecież powiedziałem! - Trzasnął kijem służącym do odpychania łódki od dna. - A ciebie w ogóle nie pamiętam! Kim jesteś?! Mówże!

Ifrit podszedł do niego jeszcze bliżej. Jego złote oczy zabłyszczały na zielono. Ciało załśniło.

- Jestem Beleth - oznajmił. - Naprawdę miło mi cię poznać. Nigdy nie sądziłem, że dane mi będzie spotkać krewniaka Śmierci.

- Beleth? - zdziwił się Charon. - To imię demona. Demony nie mają wstępu do Tartaru. Jedynie ludzie mogą przekraczać tę rzekę. Czym jesteś?

- Ifrit. - Skłonił lekko głowę. - Ifrit do usług.

Gdyby przewoźnik miał twarz, to najprawdopodobniej właśnie teraz by zbladła. Grzechocząc, cofnął się w stronę pomostu i swojej łupiny, którą dostał w prezencie od rodziców.

- Nie możesz tu być, ifrycie, demonie przebrzydły! To miejsce, w którym dusze mają cierpieć. Nie powinieneś się tu znaleźć. Przyniesiesz tylko zamęt i śmierć!

- Śmierć chyba już ich wszystkich spotkała - zakpił Beleth.

- Dobrze wiesz, o czym mówię. Jesteś przeklęty! Odejdź stąd! - krzyknął.

Ku mojemu szczeremu zdziwieniu wyciągnął z przepastnej kieszeni habitu długie kadzidełko, złamane w połowie. Krótszy koniec zwisał smętnie. On jednak jakby tego nie zauważał. Potarł o siebie kości palców, wznecając iskry, która spadła na końcówkę kadzidła. Następnie zaczął wściekle wymachiwać złamanym kadzidełkiem i krzyczeć w dziwnym języku. Ponieważ nie obowiązywała mnie już klątwa wieży Babel, doskonale rozumiałam, co mówił. Dość dziwny grecki dialekt, dodatkowo zniekształcony klekotem zębów i mocno ruchomej żuchwy, dał się przetłumaczyć na:

- Giń, wstrętny duchu, o wstrętny duchu, wstrętny duchu. Bądź zesłany do najciemniejszych czeluści ziemi, z dala od tego miejsca, wstrętny duchu, wstrętny duchu, o wstrętny duchu. Nie pojawiaj się tu nigdy więcej, o wstrętny duchu, wstrętny duchu, wstrętny duchu. Zgiń, zgnij, zgaśnij.

- Bo ci się habit podpali - zakpił Beleth.

Charon przestał machać jak szalony. Gryzący dym śmierdział podejrzanie.

- Co to za kadzidełko? - Zatkanam nos.

- Z popiołu potępionych dusz. - Dla podkreślenia wagi tej informacji w pustych oczodołach zaświeciło się na chwilę złowieszcze czerwone światełko.

Spojrzeliśmy po sobie z Belethem.

- Dobra, kochany, jesteś równie uroczy, jak twoja siostra, ale my już pójdziemy - stwierdził ifrit i wziął mnie za rękę.

- Puść ją - warknął Charon. - Ona jest teraz mieszkanką Tartaru.

- Odejdę, ale z tym, co mi się należy. Nie powstrzymasz mnie, Charonie.

Przewoźnik nie miał oczu. Czarne dziury w czaszce skierowały się w moją stronę. Znowu zabłysło w nich czerwone światełko, zupełnie jakby mnie skanował tak jak bilet, który kiedyś dałam mu do kontroli.

- Nie możesz zabrać duszy - zazgrzytał poźółkłymi zębami.

- Jestem ifritem. Robię to, co chcę - zirytował się mój przyjaciel.

Poczułam, jak jego silna dłoń mocno ścisnęła moje drobne palce. Mięśnie na przedramionach Beletha napięły się. Nie podejrzewałam Charona o atak, ale mój były diabeł przygotowywał się na najgorsze.

- Zgadza się - przyznał gorzko przewoźnik. - Możesz też opuścić Tartar bez przeszkód, ale jej się to nie uda. Może wyjść stąd tylko jedną drogą, tej jednak nie znajdziecie.

Beleth zaśmiał mu się w twarz.

- Nie doceniasz mnie.

Charon cofnął się. Kiedy był już przy samej łodzi, wskoczył do niej i odepchnął się kijem od brzegu.

- Bądź przeklęty - zasyczał.

- Już jestem!

Łódka przewoźnika szybko się od nas oddalała. Po chwili zniknęła za zakrętem kamiennej ściany.

- Chyba cię nie polubił - zauważyłam.

- Przyzwyczailem się. - Wzruszył ramionami. - Ifritów nikt nie lubi...

Jego głos nie był radosny, kiedy mi to oznajmiał.

- Ja cię lubię - powiedziałam.

Odwrócił się do mnie.

- Nie wierzę, wyznałaś mi coś? - zdziwił się teatralnie. - Chyba ktoś mi cię podmienił. Wiki, to na pewno ty?

- Tak - Zaśmiałam się. - To ja.

- Chodźmy stąd - zaproponował. - W jakieś ustronne miejsce, żebym mógł w spokoju dowiedzieć się, jak ściąga się ten cholerny gorset.

Zmartwiłam się. Nie mieliśmy gdzie pójść. Tartar nie był przyjaznym miejscem. Nie chciałam przebywać tutaj dłużej niż to konieczne.

- Kamienica, w której mieszkałam, spłonęła. Nie mam gdzie się podziać.

- Spłonęła?

- Tak, doszczętnie. Została z niej tylko kupka kamieni. Chyba inni lokatorzy ją podpalili, żeby się mnie pozbyć.

- A byłaś wtedy w mieszkaniu?

- Nie.

- To przyznam szczerze, że wybrali intrygujący sposób, żeby wykurzyć niechcianego lokatora - mówiąc to, Beleth szarpnął za metalowe drzwi prowadzące do Podziemi.

Zatrzymał się zaskoczony. Nie był przygotowany na to, co zobaczył. Szarość i martwota Tartaru przytłoczyły nawet jego - etatowego diabła z dyplomem topienia w smole oraz pracą magisterską z przypalania ludzi ogniem.

- Co to ma być? - Stał osłupiały na szarym chodniku w otoczeniu szarych domów.

Zamknęłam za nami wrota do Styksu i spojrzałam na sklepienie jaskini. Kryształ jak co dzień emitowały przygaszone, również w pewien sposób szare, światło.

- Nie dziwię się, że żaden z nas nie ma tu wstępu - oświadczył. - To miejsce jest upiorne. Nawet diabeł starałby się wprowadzić tu trochę lepsze oświetlenie i coś zmienić. Pomóc... im.

Minęła nas grupka przestraszonych szarych osób. Szaleństwo w ich oczach i jawna nienawiść do naszych kolorowych ubrań sprawiły, że ifrit cofnął się o krok.

- Przerażające - mruknął. Złote oczy skierowały się na mnie. - Nie wiedziałem, że to miejsce tak wygląda. Przepraszam, że chciałem skazać Piotra na wieczność w tym... koszmarze.

Nie spodziewałam się takiego wyznania, a tym bardziej szczerości, którą zobaczyłam na jego twarzy.

- Nie zdawałem sobie sprawy... - Pokręcił głową i dotknął chropowatej ściany kamienicy. Źle położona zaprawa posypała się na chodnik, brudząc nam buty szarym pyłem.

- Najgorsze, że mają tutaj do jedzenia tylko ziemniaki. Za to wychodzi im nawet niezły bimber - chciałam jakoś poprawić mu nastrój.

Nie udało mi się to. Wciąż był przygnębiony Tartarem. Ja nie zareagowałam tak na to miejsce. Mnie po prostu przeraziło. No ale może mam za małe pokłady empatii.

- Hej - Potrząsnęłam jego ramieniem. - Co to ma być? Smutny diabeł? Kto to słyszał? Uśmiechnij się. Przecież zaraz stąd wyjdziemy.

Przesunął dłonią po swoich kruczoczarnych włosach sterczących do góry w niedbałym irokezie.

- Tak, wyjdziemy. Trzeba coś zrobić z tym miejscem, to nie może tak wyglądać.

- Może - mój głos stwardniał. - To Tartar. Tutaj trafiają najwięksi zwyrodnialcy i szaleńcy. To jest ich kara za złe życie. Nie powinni mieć luksusów i przyjemności.

- Dokąd idziemy? - zapytał Beleth, kiedy poprowadziłam go w górę ulicy.

- Zapomniałam ci o kimś opowiedzieć. Spotkałam Achillesa, twojego syna. Sądzę, że możemy zatrzymać się u niego. Pomógł mi się ukryć przed zbirami Elżbiety, a potem... odblokować zaklęcie Darvulii. Jest bardzo sympatyczny. Musisz się z nim spotkać, zanim opuścimy Podziemia.

Na razie wołałam nie wspominać o tym, że zabiliśmy Annę Darvulię. Beleth był teraz w dość moralizatorskim nastroju. Nie chciałam, żeby mnie za to potępił.

- Achilles? No tak. Przecież ja mam syna - zasepił się. - Widziałem go tylko przez chwilę jako noworodka. Potem uniemożliwiono mi opuszczenie Piekieł. Jaki on jest?

- No cóż... trochę urósł.

Beleth potknął się o wystającą płytę chodnikową. Zaklął.

- Daleko będziemy iść? - zapytał zirytowany.

- Już narzekasz? - zakpiłam. - Czyżbyś zapomniał, jak się chodzi, odkąd odzyskałeś skrzydła?

W odpowiedzi zaśmiał się:

- O nie, moja droga. Po prostu komuś takiemu jak ja nie wypada iść pieszo. To dobre dla plebsu.

Skręciliśmy w boczną uliczkę. Stałam jak wryta.

Naprzeciwko, zaparkowane w poprzek ulicy, stało dobrze mi znane lamborghini diablo. Na tle szarych kamienic krwista czerwień karoserii prezentowała się wyjątkowo drapieżnie.

Ifrit otworzył przede mną drzwi i szarmanckim gestem zaprosił do środka.

- Nie potrafisz powstrzymać się przed szpanowaniem, co? - zapytałam, wsiadając.

Rozparł się na skórzanym siedzeniu i szarpnął drążek zmiany biegów.

- A dlaczego miałbym nie pragnąć podziwu i uznania? Należy mi się. Przyzwyczaiłem się do nich.

Samochód z rykiem silnika wystrzelił do przodu.

Były diabeł sprawnie zmieniał biegi. Gdy osiągnęliśmy już satysfakcjonującą go prędkość, jego dłoń zsunęła się na moje kolano. Nie zabrałam nogi. Pierwszy raz.

Automatyczna skrzynia biegów to wynalazek, który zdecydowanie nie przypadłby mu do gustu.

Szybko mijane budynki śmigały nam przed oczami.

- Jak za dawnych lat, prawda? - zapytał.

- Tylko widoków Piekła brakuje...

Niedługo później dojechaliśmy na skraj Tartaru, gdzie mieszkał Achilles. Poczekalam, aż Beleth otworzy mi drzwi. Gdy tylko je zatrzasnął za moimi plecami, diaboliczne auto rozplynęło się na wietrze.

Ruszyliśmy w stronę rozwalającej się ze starości chatki. Szłam pierwsza. Celowo stawiałam krótkie kroki i kokietowałam ifrita biodrami. Ostrożnie ustawiałam wysokie obcasy pomiędzy koleinami błota. Wyprostowałam plecy i uniosłam wysoko głowę. Będę jak Angelina Jolie w *Turyście* - piękna i elegancka.

Dopiero po chwili zauważyłam, że Beleth się zatrzymał. Odwróciłam się zaskoczona. Nie dość, że za mną nie szedł, to jeszcze nie patrzył na moją pupę.

A tak się starałam nie iść niezgrabnie. Wszystko na marne!

- Co się stało? - zapytałam, nie mogąc powstrzymać irytacji.

Ifrit wbijał spojrzenie w przekrzywione drzwi chaty.

- Co ja mu powiem? Nie czuję się ojcem. Nigdy się nim nie czułem. Nie jestem nim. Nie mam prawa do tego tytułu. Achilles... Przecież nawet go nie znam. Nigdy nie widziałem. Co mam mu powiedzieć? Nie wiem, czy to jest dobry pomysł...

Nie wiedziałam, co mu doradzić. Nie miałam dzieci, i zapewne, będąc martwą, mieć ich nigdy nie będę. Ścisnęłam pokrzepiająco jego dłoń.

- O tym, czy jesteś jego ojcem, zdecyduje on. Ty nie możesz rościć sobie do tego prawa. Przywitasz się z nim, potem pochwalisz, że wspaniale przeżył swoje życie. Powiesz, że jesteś z niego dumny. Stwierdzisz, że przypomina ci ciebie samego, kiedy byłeś młodszy.

Przygryzłam wargę. Szczerze mówiąc, to w obecnym stanie Achilles wyglądał na starszego od niego.

- Dumny? - zapytał. - Wiesz, że to morderca.

Puściłam jego dłoń z niesmakiem. Moje słowa już nie pocieszały, przesiąkły goryczą:

- Wiem, ale wiem także, że to honorowy człowiek, świadomy swoich win. Rozejrzyj się, Beleth. To Tartar, ale starożytnych Greków nie ma tu zbyt wielu. Trafiał tutaj, bo jest twoim synem. Nie dlatego, że jest zły.

- Masz rację... to przeze mnie. Byłem głupim diabłem. Nie powinienem był spółkować z kobietą.

Pomyślałam o tym, jak usiłował mnie uwieść, gdy byłam w Niebie. Na mój gust, wcale nie wyrósł z głupoty. Energicznie zapukałam do drzwi chaty.

- Wejść - odpowiedział mi głęboki głos.

Wsunęłam głowę do środka. Cieszyłam się, że na mnie czekał i nie poszedł na budowę rzucać kamieniami. Siedział w tej samej pozycji, w jakiej go zostawiłam. Przecierał szmatką miecz. Herbata chyba już mu się skończyła.

- Achillesie, przyprowadziłam kogoś ze sobą - powiedziałam i pociągnęłam skrępowanego Beletha.

Olbrzym zerwał się na równe nogi. Nie wypuścił miecza z dłoni. Ostrze zabłysło groźnie. Wyciągnął je w naszą stronę.

- Czyś ty jest...? - niski głos przypominał warknięcie.

- Jestem Beleth - wydusił ifrit. Jego oczy odbijały światło lampy. - Jestem twoim ojcem... jeśli oczywiście mnie za niego uważasz.

Zapadła cisza. Broń nefilima ani drgnęła. Sekundy się ciągnęły. W końcu Achilles rzucił miecz na stół i podszedł do Beletha, który był od niego znacznie niższy. Uściskał go serdecznie. Odetchnęłam z ulgą. A już myślałam, że będzie chciał go zaszlachtować mieczem za niepłacenie alimentów...

- Mój ojciec, bóg olimpijski. - Nefilim poklepał go mocno po plecach. - Bogowie nie mają wstępu do Tartaru. Zeus cię tu wysłał?

Ifrit odsunął się od niego, żeby zregenerować pogruchotane zębra. Mimo to uśmiech nie zniknął z jego twarzy na chwilę.

- Złamałem boskie prawa, by przybyć po Wiktorię - wyjaśnił.

- To twoja żona?

Diabeł zmieszał się.

- Bogowie nie biorą ślubów - pospieszyłam z odpowiedzią.

- Jak nie biorą, jak biorą! - zaprzeczył nefilim. Byliśmy w kropce.

- Ja nie do końca jestem boginią - oznajmiłam.

- Jestem półboginią.

- Raczej ćwiartką - sprecyzował Beleth.

Posłałam mu miazdzące spojrzenie. Musiał być dokładny i mi to przypomnieć. Po prostu musiał...

- Taa... ćwiartką... - warknęłam.

Achilles kiwał głową z poczciwą miną. Dopiero teraz miałam okazję dokładnie się im przyjrzeć. Mieli niemal ten sam kolor oczu i włosów. Linia żuchwy była identyczna. Nefilim wdał się w tatusia. Byli bardzo podobni.

- Przypominasz ojca - uśmiechnęłam się do niego.

- Matka także tak powtarzała.

- Tetyda. - Beleth uśmiechnął się na samo wspomnienie. Poczułam się zazdrosna. Wiem, że to głupie. Tetyda już od dawna nie żyła, a na dodatek spotykali się kilka tysięcy lat temu. Poczułam jednak ukłucie zazdrości gdzieś w okolicy brzucha. Hm, a może to z głodu?

Nefilim popchnął nas delikatnie w stronę stołu i krzeseł. Postawił na środku blatu butelkę z mętnym płynem zalatującym sfermentowanymi ziemniakami. Wszyscy pili tutaj to samo. A gdzie greckie wino?

- Czy matka odpoczywa na Polach Elizejskich? - zapytał autentycznie zatroskany Achilles, nalewając biber do obdrapanych kubków.

- Tak. - Beleth pokiwał głową. - Cieszy się tam bardzo dobrym zdrowiem. Ja nie mogłem z nią być, wiesz, boskie sprawy zaprzętały moje myśli. Wiem, że ma męża. Jest szczęśliwa.

- Dobrze. - Achilles był wyraźnie zadowolony.

Beleth przełknął niesmaczny alkohol i odezwał się:

- To teraz... synu... opowiedz mi, jak żyło ci się w Tartarze?

Kilka następnych godzin spędziliśmy, racząc się tutejszym nektarem oraz rozmawiając o życiu po życiu. Nefilim był wesoły, gadatliwy i coraz bardziej swobodny. Bardzo szybko przeszedł do porządku dziennego nad spotkaniem ojca - rzekomego boga greckiego.

Mną by to raczej wstrząsnęło, ale najwyraźniej greccy herosi nie z takimi rzeczami musieli sobie radzić.

Beleth także się starał. Nie było to dla niego łatwe. Wiedziała, jaki był spięty i jak bardzo usiłował dobrze wypaść. Nie chciał niczym urazić syna, a jednocześnie starał się dowiedzieć o nim wszystkiego. Poza tym chyba zrozumiał, że Achilles nie jest tępym osiłkiem, który lubi mordować. Jeżeli rzeczywiście inni potomkowie aniołów tacy byli, to nasz nefilim musiał odziedziczyć po Belecie zadziwiająco dobrą mieszankę genów.

- Chodź razem z nami - zaproponował kolejny raz synowi.

- Nie, ojcze. - Achilles pokiwał przecząco głową. - Zostałem potępiony i taki pozostanę.

- Jestem bogiem - zachnął się ifrit. - Mogę zmienić wyrok innych bogów.

- I dlatego podstępem uwalniasz boginię, zamiast w blasku chwały na swoim złotym rydwanie najeżdżać Tartar?

Beleth nie wiedział, co odpowiedzieć. Nefilim wolno artykułował słowa, lecz mimo to zdołał go przegadać.

- Żałuję, że tu jesteś - stwierdził.

- Taki wybrałem żywot. Żywot krótki, acz pełen chwały i pieśni na moją cześć. Bogini rzecze, że każdy zna moje imię. Taką zyskałem przyszłość. - Uśmiechnął się zadowolony. - Stałem się nieśmiertelny! Tego pragnałem!

Wychylił kolejną szklankę bimbrowy. W odróżnieniu od nas nie pił małymi łykami. Za jednym zamachem potrafił opróżnić całe naczynie żrącego napitku.

Kręciło mi się w głowie i robiłam się coraz bardziej senna. Marzyłam o tym, żeby się położyć i zasnąć. Wreszcie odpocząć bez obaw, że ktoś mnie w nocy zaszlachtuje albo podpali.

Zauważyłam, że Beleth pstryknął palcami. Z jego wpatrzonych we mnie oczu w jednej chwili zniknęła alkoholowa mgiełka upojenia. Pojawiło się pożądanie. Błądził spojrzeniem po moich ustach, włosach, szyi. Czułam się, jakby mnie dotykał, delikatnie pieścił skórę. Niewidzialne palce przesuwały się, budząc dreszcze. Nie wiem, czy naprawdę to robił, czy tylko działała moja wyobraźnia.

Krew zaczęła szybciej płynąć w moich żyłach. Nieistniejący oddech kochanka poruszył włosami przy moim uchu. Przymknęłam oczy. Teraz jeszcze silniej odczuwałam jego obecność.

Mojego Beletha.

- Wracamy dzisiaj, Wiktorio? - zapytał, wrywając mnie ze swoich wymyślonych objęć.

Nie potrafiłam się pozbierać. Nie wiedziałam, co mi zrobił. W gardle mi zaschło, wzrok się rozmazywał.

- Nie, zostańcie do jutra. Rankiem wyruszycie. - Achilles się zmartwił i wybawił mnie od odpowiedzi. - Rano przygotuję potrawkę z ziemniaków.

Alkohol wyparował z głowy Beletha, ale nie z mojej. Nie miałam ochoty się stąd ruszać. Zresztą czułam się dziwnie. Ifrit przyjrzał się krytycznie chacie nefilima.

- Synu, twój dom nie jest zbyt dostatni.

Achilles zmieszał się.

- Zarabiam pracą rąk. Sam zbudowałem chatę w wolnym czasie.

- Trzeba coś z tym zrobić. - Beleth wstał i przeszedł się po izbie.

Klasnął w dłonie. Na ścianie za moimi plecami pojawiły się drzwi. Podeszedł do nich i otworzył je szeroko. Zajrzeliśmy z Achillesem. Pochylił się nade mną. Podniosłam głowę. Miałam oczy na wysokości jego piersi. Zmarszczyłam nos. Olbrzym wypił tyle bimbrowu, że śmierdział niczym gorzelnia.

Wróciłam spojrzeniem do dzieła Beletha. Za drzwiami ciągnął się długi korytarz o pobielonych ścianach, na których zawieszane były ozdobne tarcze błyszczące złotem. Po obu stronach znajdowały się dwa szeregi drzwi.

- Wiki, bardzo ładne łóżko stworzyłaś i zasłony w oknach, ale czemu nie mielibyśmy zaszaleć? - Zaśmiał się. - Proponuję kilka dodatkowych pokoi.

Główna izba także uległa przemeblowaniu. Zniknęło łóżko, które dla siebie wyczarowałam. Pokój, oprócz zasłon, wyglądał tak jak wcześniej.

- A jak to się przedstawia z zewnątrz? - zmartwił się nefilim. - Sam kładłem dach. Pokryje te izby? Może przeciekać. Poza tym komuś może się nie spodobać wielkość mego gospodarstwa. Łatwo o zazdrość w tej krainie.

- Władcy Tartaru nie pozwolą mu mieszkać w budynku wspanialszym od ich kamienic - wyjaśniłam szybko.

- Spokojnie. Z zewnątrz to nadal jednoizbowa chata. Proste złudzenie optyczne. W środku jest odrobinę większa. - Beleth machnął ręką. - Mój syn nie będzie mieszkał jak plebs.

Achilles z radością zaczął oglądać urządzone ze smakiem pokoje. W jego nowej rezydencji znajdowała się zbrojownia, kilka sypialni, łaźnia oraz okazałych rozmiarów piwniczka pełna butelek dobrego wina. Zapasy w założeniu ifrita miały starczyć nefilimowi na co najmniej kilka lat.

Mnie jednak wydawało się, że olbrzym ze swoją mocną głową poradzi sobie z nimi o wiele, wiele szybciej.

- W takim razie przenocujemy tutaj. - Beleth wziął mnie za rękę.

Achilles zerkał tęsknie w stronę piwniczki.

- Synu, korzystaj do woli. Jutro uzupełnię zapasy.

Nie trzeba było dwa razy powtarzać tego olbrzymowi. Jego ciężkie stopy zabębniły na drewnianych schodach prowadzących do piwnicy. Okrzyk

zachwytu i dźwięk odkorkowywanej butelki zapewnił nas, że Achilles będzie się tam dobrze bawił aż do rana.

Na pewno tęsknił za greckim winem.

Beleth odwrócił się do mnie i odgarnął mi włosy z twarzy.

- Chodź ze mną - szepnął.

Poszłam.

Co miałam zrobić?

Przystojny ifrit poprowadził mnie do drzwi sypialni znajdującej się najdalej od piwnicy. Otworzył je i odsunął się.

Stałam w progu. W środku znajdowało się szerokie łóżko z granatową pościelą, mała toaletka i dobrze zaopatrzone barek.

Zamrugalam gwałtownie, pozbywając się upojenia alkoholowego, a następnie przestąpiłam próg. Nie ze mną te numery. Drugi raz nie dam mu się omotać. Zamrugalam ponownie.

Rozbawiony Beleth zamknął za nami drzwi.

- Jak to jest, że w moim towarzystwie od razu trzeźwiejesz? - zapytał, prowadząc mnie w stronę łóżka.

Usiadłam na pościeli, doceniając gładki i miękki splot materiału. Były diabeł wiedział, co dobre. Nigdy nie zadowalał się byle czym.

Hm... i pomyśleć, że jakimś cudem ja mu wystarczałam.

Mógł mieć każdą.

- Najwyraźniej masz jakieś niesamowite zdolności - odparłam i spięłam się w sobie. - Poza tym nie chciałam być od ciebie gorsza. Ty już dawno pozbyłeś się ziemniaków ze swojej krwi.

Nie zaprzeczył. Zajął miejsce tuż obok mnie. Splótł ręce na kolanach i stuknął mnie ramieniem.

Był przystojny aż do bólu. Miałam ochotę całować te namiętne usta, wsunąć dłonie w czarne włosy. Poznać tajemnice, które skrywają złote oczy mające czasem tak poważny i smutny wyraz.

Czułam, że moje serce wrywa się w jego stronę, zupełnie jakby już do mnie nie należało. Miałam wrażenie, że należę do ifrita, że jestem jego częścią. Fragmentem układanki, który właśnie się odnalazł.

Dawna Wiktoria zniknęła. Zastąpiła ją rozzuchwalona buzującą w żyłach mocą diabolicą.

Beleth przysunął się jeszcze bliżej i wziął mnie za rękę. Poczułam siłę jego palców, delikatne mrowienie mocy. Byłam przy nim bezpieczna i spokojna. Chyba pierwszy raz, odkąd się poznaliśmy.

Ciężko było mi uwierzyć w to, że można czuć się tak zależnym od kogoś. Nie potrafiłam sobie wyobrazić siebie bez niego. Początkowo był moim przeciwieństwem, ale teraz upodobniłam się do niego. Powoli stawaliśmy się diabelską jednością.

Jednocześnie przerażało mnie to, co do niego czułam. Byłam potępiona. Potępiona za miłość do płomienia Boga.

Uśmiechnęłam się pod nosem. Całe szczęście, że nie słyszał moich myśli. Puszyłby się jak paw.

- Dlaczego ja? - zapytałam.

- Co „dlaczego ty?” - nie zrozumiał.

- Czemu akurat mnie wybrałeś? Mogłeś mieć każdą kobietę. Mogłeś usiłować zdobyć Kleopatę. Podobasz jej się. Czuje do ciebie sympatię, słyszę to w jej głosie.

Jego lekko zachrypły śmiech był przyjemny dla ucha.

- To prawda. Mogłem przebierać w kandydatkach.

Chyba w ofiarach...

- Wiem, że mnie wybrał Azazel, bo miałam Iskrę.

- A wiesz, że wybrał ciebie, bo poza tym byłaś piękna?

Prychnęłam niedowierzająco. Nie będzie mi wstawiał romantycznego kitu. Nie byłam pierwszym lepszym zakochanym cielęciem, które złapie się na takie słowa.

Wstałam i podeszłam do barku. Zaciekawiona uchyliłam szklane drzwiczki. Cmoknęłam. Delikatne szkło w domu Achillesa nie było dobrym pomysłem. Wyjęłam ciężką karafkę. Korek z ciętego kryształu wyskoczył z cichym stuknięciem. Powąchałam zawartość.

Nie mogłam się nie uśmiechnąć. Kiedyś mimochodem wspomniałam Belethowi, że dawno temu piłam chińskie wino śliwkowe. Niemożliwie słodkie, o upojnym zapachu i pięknej żółtej barwie. Wina nie przechowuje się w karafkach, ale ifrit lubił elegancję.

Sięgnęłam po kieliszek na wysokiej nóżce i nalałam trochę alkoholu. Umoczyłam wargi. Smakował tak, jak pamiętałam.

Słodki i zarazem mocny.

Poczułam na ramionach dłoń diabła. Objął mnie od tyłu i przytulił.

- A wiesz o tym, że wspólnie szukaliśmy osób z Iskrą Bożą? To ja poszukiwałam cię w Polsce. Moim zadaniem było odnalezienie pewnej młodziutkiej isierki. Gdy cię zobaczyłem, nie mogłem odejść. Śledziłem cię miesiącami. To była obsesja.

- Naprawdę?

- Tak. Widziałem, jak się uśmiechasz, i chciałem, by to na mnie patrzyły twoje pełne radości oczy. Słyszałem twój śmiech i chciałem go wywoływać. Widziałem, jak patrzysz na Piotra, i chciałem, żebyś to mnie tak chciała.

Nie odzywałam się. Wiedziałam, co czuł. Przeżywałam to samo, gdy Piotrek nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. Bardzo chciałam stać się częścią jego życia.

Niemniej nie zamordowałam go w tym celu...

- No... powiedzmy, że ci wierzę - skwitowałam. - To chyba rozmowy o obsesjach mamy za sobą. Następnym razem przepytam cię z twoich byłych.

Poczułam, jak bezgłośnie się śmieje.

- Moich byłych? Długa lista to nie będzie. Jedynie z Tetydą coś mnie łączyło. W ogóle skąd pomyśł, że Kleo mogłaby mi się podobać? Jesteśmy przyjaciółmi. Niczym więcej. Wydaje mi się, że tylko Azazel jest wystarczająco szalony, żeby ją okiełznać.

Możliwe, że miał rację. Pasowali do siebie jak ulał. Kleopatra ogarnięta samozachwytem, a diabeł manią wielkości. Hm, a może na odwrót?

- I co teraz? - Upiłam łyk słodkiego wina.

- Jeśli skończyliśmy rozmowę, to zedrę z ciebie ubranie, doprowadzę na sam szczyt rozkoszy, a potem pozwolę krzyczeć tak długo i głośno, aż Achilles się obudzi.

Nie mogłam powstrzymać śmiechu.

- A może spróbujesz romantyczniej? Wiem, że potrafisz... Wysil się trochę. Zależy mi na tym.

- Dobrze, moja droga. Będę całował twoje usta, policzki i powieki. Przytulę cię i sprawię, że będziesz mogła zasnąć bezpiecznie w moich ramionach. Całą noc spędzę przy tobie, byś miała spokojny sen pełen kolorowych marzeń.

- A o czym będę śniła? - melancholia na dnie kieliszka dała o sobie znać.

- O mnie, oczywiście. - Wypiął dumnie pierś.

- Jesteś jak kameleon. Zmieniasz role zależnie od humoru. Chyba nigdy się nie dowiem, czy do końca cię poznałam.

- Do usług, jak przystało na dzina. Może masz jakieś trzy życzenia?

Pokręciłam głową.

- Na razie poza tobą nic nie jest mi potrzebne.

Cały pojaśniał z zadowolenia. Rozsiadł się na poduszkach i pociągnął mnie w swoją stronę. Opadłam na pościel.

Pomimo miękkiego materaca było mi niewygodnie. Gorset mocno ścisnął moją talię, nie pozwalając na głębszy oddech lub ziewnięcie.

- Cieszę się, że jesteś tutaj. Ze mną - powiedziałam. - Nie sądziłam, że kiedykolwiek to powiem...

Przytuliłam się do niego. Do jego szerokiej piersi. Beleth oparł głowę na poduszkach i westchnął zadowolony.

- A ja cieszę się, że mi ufasz i pozwalasz się dotknąć. Także nie sądziłem, że kiedyś do tego dojdzie.

- Nie? - zdziwiłam się. - Wydawałeś się o tym przekonany. Zawsze.

Przecież cały czas mnie kusił, prowokował. Starał się doprowadzić do tego, że rzucę się na niego jak szalona kotka w czasie rui. Usiłował mnie uwieść i przywiązać do siebie na wszelkie możliwe sposoby. A teraz wyznaje mi, że nie wierzył w sukces swojego przedsięwzięcia? Chyba tylko kamienny posąg by mu nie uległ...

- Nie, przecież zawsze byłaś tak ślepo zapatrzona w tego idiotę „Piotruuuuuusia”. W ogóle, co to za pomysł nazywać go ciągle Piotruś? Bardzo mnie to irytowało.

Poczułam się dotknięta. Nie on jeden mi to wypominał. Moja najlepsza przyjaciółka Zuza też ciągle się tego czepiała. Mnie się to naprawdę wydawało urocze...

- Spadaj...

- Już leżę, nie mam gdzie spaść. - Szeroki uśmiech poszerzył się jeszcze bardziej, kiedy pstryknięciem palców przygasił światło.

- Lubiłam go tak nazywać... - zaperzyłam się.

- Dobrze, już nie kończ tej myśli. Jeszcze się dowiem, że wydawało ci się to słodkie, a tego chyba nie zniosę.

Posłusznie zamilkłam.

- Na samym wstępie zaznaczam także, że nie życzę sobie nazywania mnie Belecik albo Beluś, rozumiemy się, moja piękna?

- Spadaj... - Wtuliłam twarz w jego szyję.

Beleth głaskał mnie po karku. Było mi ciepło, przyjemnie. Nawet gorset przestał się tak dotkliwie wpijać w moje ciało. Ziewnęłam rozdzierająco. Było już tak późno, a ja byłam taka wyczerpana.

- Też nie sądziłam, że do tego dojdzie.

- Do twojej chorej i całkowicie niezrozumiałej dla postronnych obsesji związanej z osobą Piotrusia?

- Nie, głupku. - Trzepnęłam go dłonią w pierś. - Do tego, że będę kiedyś tak obok ciebie leżeć i że... i że będę tego chciała.

- Niespodzianka, czyż nie? - Przytulił mnie. - Pamiętasz bal u Szatana?

Zdziwiła mnie nagła zmiana tematu.

- Bal? No jasne, że pamiętam. A czemu akurat ci się to przypomniało?

- Musimy się na niego wybrać, kiedy Lucek znowu go zorganizuje. Tango z tobą to była prawdziwa przyjemność.

Jego lewa dłoń, do tej pory oparta na pościeli, przesunęła się na moje biodro.

- Wtedy też miałaś na sobie piękną suknię. Co prawda, nie karminową, jednak równie zachwycającą.

Palce namacały haftki i tasiemki krępujące moje plecy. Musnęły miejsce pomiędzy łopatkami. Westchnęłam. Trochę obawiałam się, co się stanie, gdy rozepnie sukienkę.

- Dziękuję, że po mnie przyszedłeś - wyszeptałam.

- Nie masz za co mi dziękować. Skrzywdziłem cię, a teraz to naprawiam. Pomimo bycia diabłem, a teraz ifritem, mam jakieś resztki honoru.

- Dziękuję - powtórzyłam.

- Ostatni etatowy naprawiacz błędów do usług. Poza tym zapewniam także całodobowo swoje towarzystwo.

- A to bardzo miłe.

- A dziękuję.

Jego ręce sprawnie odpinały górne haftki, jednocześnie pieszcząc moje plecy. Usta Beletha znajdowały się tuż przy moim czole. Pocałował mnie delikatnie, wręcz opiekuńczo.

Czerwony gorset zrobił się luźniejszy. Mogłam swobodnie nabrać powietrza. Zacząć oddychać głębiej.

- Jesteś taka piękna - szepnął. - I nie chodzi mi tylko o twój uroczy, odrobinę zaspany wygląd.

- Tak? - westchnęłam.

* * * *

Wiktoria zaczęła oddychać coraz głębiej. Jej usta rozchyliły się, a powieki opadły. Ifrit zorientował się nagle, że nie odpowiadała na jego pytania i nie zareagowała na ostatnią sugestię, by wspólnie sprawdzili, czy prześcieradło pasuje do kołdry, i wsunęli się w tym celu pod przykrycie.

Odsunął się lekko, żeby przyjrzeć się jej spokojnej i ufnej twarzy. Wierzyła mu całkowicie. Ufała mu.

Czy ktoś mu kiedykolwiek ufał? Nie pamiętał. Dawno nikogo takiego nie było w jego wieczności.

- Kochana Wiktorio - wyszeptał i grzbietami palców musnął jej policzki i rozchylone usta o smaku wina.

Jego roześmiane spojrzenie spoważniało. Błyszczące, lekko falujące od buzującej w nim mocy złoto nabrało ciepła.

- Nikt mi nie ufał. Nikt. Nawet wtedy, gdy udawałem greckiego boga spacerującego pośród śmiertelnych. Wszyscy podchodzili do mnie z lękiem. Diabeł nie pokazuje prawdziwej twarzy. Tobie ją pokazałem. Dlaczego?

Przyjrzał jej się dokładnie. Długiej, odsłoniętej łabędziej szyi, zgrabnemu ramieniu, jasnej skórze. Zobaczył mały pieprzyk na ramieniu. Dotknął go. Mała skaza, a może raczej miła niespodzianka? Z tą małą plamką, której nie miał żaden perfekcyjny diabeł, wydała mu się jeszcze bardziej seksowna.

Materiał zaszeleścił, gdy przez sen zarzuciła na niego nogę i wtuliła się jeszcze mocniej w pierś.

Ciasne, dobrze dopasowane ubranie musiało być niewygodne. Biedna Wiktoria, nie może przecież tak spać. Beleth postanowił zadbać, by ta noc przyniosła jej ukojenie, którego tak potrzebowała. Zastąpił suknię z gorsetem wygodną koszulką nocną. Seksowną, ale nie wyzywającą. Taką, jaką chciałby zobaczyć zsuwającą się kiedyś z jej ciała. Gdy czerwona suknia zniknęła, zamknął oczy. Chciał zobaczyć ją nagą dopiero wtedy, kiedy ona będzie pragnęła mu się pokazać. Nie wcześniej.

Następnie zamienił swoją koszulę i spodnie na wygodne szarawary, przykrył ich kołdrą i zgasił światło.

Po chwili w ciemnościach słychać było dwa równe oddechy osób śniących ten sam kolorowy sen.

Było mi ciepło i przyjemnie. Przez niedokładnie zasłonięte okna do pokoju przedostawały się delikatne promyki słońca. Prawdziwego słońca, a nie ponurych kryształów Tartaru.

Iluzja stworzona przez Beletha była idealna.

Przeciągnęłam się z rozkoszą. Leżący obok mnie mężczyzna grzał niczym piecyk elektryczny. Mogłabym przytulać się do niego cały ranek.

Otworzyłam szeroko oczy, napotykając rozbawione spojrzenie Beletha. Pół leżał, a pół siedział obok mnie, oparty o poduchy przykrywające wezglowie łóżka. Kołdra zsunęła mu się do bioder. W dłoni trzymał kieliszek czerwonego wina.

- Dzień dobry - przywitał mnie.

- Co się stało? - zapytałam zbita z tropu, mgliście przypominając sobie wieczór i naszą rozmowę.

- Usnęłaś.

- Usnęłam?

- Usnęłaś...

- Ale jak mogłam usnąć? - nie potrafiłam w to uwierzyć. Miałam go wreszcie dla siebie. Byłam tylko ja, on i te cholerne haftki przy gorsecie. No i oczywiście, co musiałam zrobić?

- Zamknęłaś oczy, zaczęłaś wolniej oddychać, a następnie zasnęłaś - odpowiedział.

Ze złością zrzuciłam z siebie kołdrę. Dopiero teraz zauważyłam jasnobłękitną koszulkę nocną z mnóstwem koronek i haftów, która upodabniała mnie do jakiejś wiktoriańskiej panny w negliżu.

Co jest?

- Rozebrałeś mnie?

- Nie da się ukryć.

- Widziałeś mnie nago?!

- A chciałaś? - Poglądził mnie po ramieniu.

Zanim odpowiedziałam, zamyśliłam się przez chwilę. - Tylko wtedy, kiedy ja mogłabym widzieć jednocześnie ciebie.

Tak, to wydawało mi się dobrym rozwiązaniem. Dostałabym to, co sama oferowałam. Nikt nie byłby oszukany.

- Ale ty mnie już widziałeś - jęknęłam. - Czemu mnie nie obudziłeś? Sama bym się przebrała! Nie jestem dzieckiem.

Wydawało mi się to czymś strasznym. A raczej odrobinę obleśnym. Zboczeniec. Podglądał mnie w nocy.

- Nie widziałem cię. Zapewniam cię, piękna Wiktorio, że wciąż tylko o tym marzę. W nocy nic nie widziałem. Przebrałem cię w wygodniejsze ubranie

dzięki moim mocom. A nie chciałem cię budzić, bo naprawdę byłaś zmęczona. Dużo ostatnio przeszłaś. Chciałem jakoś ci to wynagrodzić.

Szarpnęłam brzeg koszulki nocnej. Była ładna. Naprawdę. No ale kurczę... Satyna, czy co to jest, do diabła, koronki i wstążeczki?

- Tylko czemu kręcą cię akurat takie stroje?

- Uważam, że mają znacznie więcej klasy i uroku niż rozciągnięte męskie bokserki i poplamiona koszulka za duża o kilka rozmiarów z wielkim kotem z kreskówki na piersiach.

Jeśli chodzi o bokserki, mogłam się nawet zgodzić, ale nie wmówi mi, że ten T-shirt jest brzydki.

Poza tym skąd wiedział, w czym normalnie śpię? Już mnie musiał podglądać. Zboczeniec jak nic.

- Śniłeś mi się.

Oparłam brodę na jego piersi. Palcami błędziłam po nagiej oliwkowej skórze. Moja dłoń była na jej tle taka blada.

- A ty mnie. - Jego pierś wibrowała, gdy to mówił. Zaśmiałam się lekko i powiedziałam:

- Mam pierwsze życzenie. Pamiętasz? Obiecałeś mi wczoraj wieczorem trzy.

Złote, płynne oczy przyzywały mnie. Wciągały w głębie.

- Chcę, żebyś mnie pocałował.

Nie zawahał się nawet przez chwilę.

Jednym zwinnym ruchem obrócił mnie na plecy. Napał na mnie całym ciałem tak, że opadłam między poduszki, a on pochylił się nade mną. Poczułam jego biodra napierające na moje. Musnął nosem mój policzek, a następnie brodę. Długie rzęsy łaskotały moją skórę. Bawił się ze mną.

- Powiedz to jeszcze raz - poprosił.

- Pocałuj mnie.

Jego miękkie wargi dotknęły delikatnie moich, potem napierały coraz mocniej. Poczułam jego język. Objęłam go mocno i przyciągnęłam do siebie. On także przytulił się do mnie mocno.

Westchnęłam.

Moc przeskakiwała pomiędzy nami, sycząc iskrami. Beleth miał gorącą skórę. Uchyliłam powieki. Promieniał złotym światłem. Gdy spojrzał na mnie, zamiast złota zobaczyłam zielone płomienie.

- Pragnę cię - powiedział zduszonym głosem.

Zabrakło mi tchu, by mu odpowiedzieć. Przejechałam paznokciami po jego plecach, docierając do paska szarawarów.

Beleth wsunął rękę pod kołdrę. Odnalazł moje kolano i objął je. Delikatnie masując skórę opuszkami palców, przesuwał dłoń coraz wyżej. Prosto na mój pośladek.

Przyciągnęłam go do siebie. Chciałam go dotykać całą powierzchnią ciała. Chciałam czuć iskry na skórze, gdy się stykaliśmy. Zakręciło mi się w głowie na myśl o uczuciu, gdy...

Ktoś głośno załomotał w drzwi sypialni. Zamarliśmy ze stykającymi się nosami. Wstrzymałam oddech. Byłam pewna, że przed chwilą pojękiwałam. Czy Achilles to słyszał? Oby nie! Zapadłabym się ze wstydu pod ziemię! To znaczy głębiej pod ziemię, skoro już pod nią przypadkiem jestem.

- Ojcie, bogini! - dobiegł nas głos nefilima. - Robię potrawkę z ziemniaków! Zapraszam was. Zaraz będzie gotowa.

- Achillesie, chyba jest jeszcze wcześniej - zawołał zirytowany Beleth.

Zaczęłam chichotać.

- Południe, ojcie. Późna pora. Wcześniej wstawać trzeba. To raduje bogów.

Teraz już nie mogłam powstrzymać głośnego śmiechu.

- Do diabła - szepnął Beleth. - Przecież to ja jestem podobno bogiem. Samozwańczym, ale bogiem. Zdecydowanie muszę zmienić ten krzywdzący pogląd o wczesnym wstawaniu.

Wciąż chichotałam.

- Życzenie pierwsze, czyli pocałunek, spełniłem, bogini. - Podał mi dłoń, pomagając wstać. - Czekam na kolejne rozkazy.

- Doczekasz się niebawem. Może po śniadaniu?

Po potrawce z ziemniaków, która okazała się pieczonymi ziemniakami zanurzonymi w puree ziemniaczanym oraz polanymi ziemniaczanym, lekko przypalonym sosem, wyszliśmy przed chatkę Achillesa.

Był już najwyższy czas, by wreszcie się stąd wydostać.

Nikt nie kręcił się w pobliżu. Wszyscy mieszkańcy biednych przedmieść najprawdopodobniej znajdowali się w pracy na budowie. Nefilim wziął sobie wolne z okazji poznania ojca. Na szczęście dzięki sile sam sobie był panem, więc nie musiał się tłumaczyć żadnemu szefowi.

Ifrit nie rozglądał się czujnie dookoła. Nawet nie przyszło mu do głowy, że ktoś mógłby chcieć zrobić nam krzywdę. Przecież już stąd wychodzimy. Jeszcze tylko kilkanaście minut piechotę, kilkanaście bardzo niebezpiecznych pułapek oraz potworowi będę mogła wyciągnąć się na leżaku w Los Diablos.

Niczego więcej do szczęścia mi nie potrzeba. No chyba że spełnienia życzenia numer dwa.

- Odprowadzę was, ojcie - zaoferował się Achilles.

- Nie, synu, damy sobie radę. - Beleth machnął lekceważąco dłonią. - Byliśmy już w gorszych opałach.

Ja nie byłabym tego taka pewna. Bałam się, że zbiry Elżbiety mogą znowu się pojawić. Nigdy nic nie wiadomo. Księżna z czarownicą umiały ich zmobilizować do pomocy.

Ale przecież Elżbieta w sumie powinna być mi wdzięczna. Gdybym nie pozbyła się Anny, nigdy nie otrzymałaby mocy.

Wyciągnęłam się wysoko na palcach, żeby ucałować Achillesa na do widzenia. Złapałam go za kurtę i przyciągnęłam. Zaskoczony poddał się mojemu dotykowi.

- Do zobaczenia. - Uśmiechnęłam się do niego i pocałowałam go trzy razy w policzki.

Olbrzym zarumienił się po koniuszki włosów.

- Żegnaj, bogini. Jesteś najpiękniejszą, jaką ujrzałem.

Pokraśniałam z zadowolenia.

- Szkoda, że nie chce z nami wrócić - narzekał Beleth, kiedy szliśmy w stronę centrum Tartaru.

Idąc, oglądał manuskrypt zdobyty od Moroniego. Zerkałam na tekst jednym okiem. Trasa ucieczki była opisana bardzo szczegółowo. Przypadkiem udało mi się wybrać właściwe zakręty, kiedy sama usiłowałam się wydostać.

Po chwili znudziło mnie patrzenie Belethowi przez ramię. Niech on skupi się na trasie. Wymarłe miasto zdawało mi się znacznie straszniejsze teraz niż wtedy, kiedy na każdym kroku widziałam czające się cienie.

- Słyszałeś? Jestem najpiękniejszą boginią, jaką widział - usiłowałam zagać rozmowę.

- Poza tobą nie widział przecież żadnej bogini - odparł zamyślony.

Posłałam mu miażdżące spojrzenie, którego oczywiście nie zauważył wpatrzony w instrukcje. W końcu zorientował się, że umilkłam.

- Co? - zapytał. - Nie miałem niczego złego na myśli. Przecież powiedziałem prawdę. Powinnaś być ze mnie dumna, kiedyś nie zdarzało mi się to często. Teraz jestem prawdomówny odruchowo. To chyba dobrze.

- Nie odwracaj kota ogonem - nadal byłam zła.

- Kochanie - szelmowski uśmiech pojawił się na jego twarzy, białe zęby błysnęły w słońcu - przecież doskonale wiesz, że dla mnie jesteś najpiękniejszą istotą w całym wszechświecie. Przeżyłem wiele, widziałem mnóstwo kobiet, ale takiej jak ty... takiej jak ty nie znalazłem nigdzie. A szukałem długo. W każdym zaświatach.

Sięgnął do mojej dłoni i podniósł ją do ust w pełnym galanterii pocałunku. Wiedział, jak to robić, nie obślinił mojej ręki, tylko delikatnie musnął moją skórę oddechem. Przebiegł mnie dreszcz.

- Wyjdźmy już stąd - jęknęłam.

- Też tego pragnę. - Jego oczy na chwilę zapłonęły mocną zielenią.

Stanęliśmy przed metalowymi drzwiami do mniejszej pieczary. Byliśmy już tak blisko.

Styks szumiał cicho. Gdy zatrzymaliśmy się na brzegu, Beleth jeszcze raz przyjrzał się manuskryptowi.

- Najpierw musimy poradzić sobie z topielcami, które złożą pocałunek śmierci na ustach każdego śmiałka, który odważy się wypłynąć na wody Styksu. Hm...

- Czyli mówiąc mniej pięknie, zeżrą duszę ze smakiem - westchnęłam i załopotałam białymi skrzydłami.

Ifrit zaskoczony odwrócił się w moją stronę.

- Sprytnie - pochwalił mnie.

W jednej chwili z jego łopatek wysunęły się złote skrzydła. Zauważyłam, że ich końce tłą się delikatnym zielonym płomieniem pozbawionym dymu. Kolejna drobna zmiana w jego wyglądzie.

Wzlecieliśmy w tunele. Przy pierwszym rozwidleniu Beleth wskazał prawy kanał z tablicą „Afryka, Etiopia”. Uśmiechnęłam się pod nosem. Kto wie? Może gdyby nie harpie, sama dałabym radę się wydostać?

- Czy na naszej drodze będą tylko potwory z mitologii greckiej? - zapytałam.

- Niestety nie. - Ifrit zafascynowany obserwował topielce, które niczym delfiny płynęły w górę rzeki, starając się nas dogonić. Co jakiś czas z odmętów wysuwała się ku nam zagięta w szpony dłoń. - W niektórych miejscach będą lokalne, że tak powiem, atrakcje.

Przed nami pojawiło się kolejne rozwidlenie. Poleciałam za moim ifritem w stronę tablicy „Afryka, Sudan”.

- Zaraz będzie kolejna przeszkoda - powiedział. - Gdzieś tutaj powinien czaić się Cerber.

- Spokojnie, lubię go. To całkiem miły piesek, jak się go dobrze nakarmi.

Ifrit wywinął młynka nad moją głową. Zielone płomyki musnęły moje spodnie, nie zostawiając na nich żadnego śladu. Zimne ognie.

- Myślałem, że dobrze cię znam i już nic mnie w twoim zachowaniu nie zdziwi - stwierdził. - Nie sądziłem jednak, że zdołasz przekonać do siebie trójgłowego burka stworzonego tylko i wyłącznie po to, żeby mordować.

- Cała ja.

Gdzieś przed nami rozległo się donośne wycie. Wilcza głowa chyba nas usłyszała. Jednocześnie za naszymi plecami rozległ się zduszony okrzyk.

- Słyszałeś? - Zawisłam w powietrzu i odwróciłam się za siebie.

- Nie - zaprzeczył, wpatrzony w manuskrypt. - Tu jest napisane, że Cerbera można przechytrzyć, rzucając kamieniami w różne strony. Zwierzę będzie dezorientowane, a każda głowa wykręci się w innym kierunku. Moment dezorientacji można wykorzystać na ucieczkę. Zwykle jest przywiązany, więc nie podąży naszym śladem.

Nie słuchałam go. Starłam się wyłapać cichy szmer, który dochodził z korytarza Sudanu. Byłam pewna, że coś tam jest.

- Lecimy? - Beleth wysunął się na przód.

- Tam coś jest.

- To pewnie tylko echo naszych skrzydeł i wycia psa - zlekceważył moje obawy.

Wolno odwróciłam się w kierunku lotu. Jaskinię wypełniał czający się w kątach mrok. Nic nie mogłam tutaj wypatrzyć.

- Masz rację - zgodziłam się.

Dolecieliśmy do kolejnego rozwidlenia. Mieliśmy do wyboru tunele: „Afryka, Czad”, „Afryka, Libia” i „Afryka, Egipt”.

- Egipt - zdecydował Beleth.

Byłam ciekawa, w którym kraju skończy się nasza podróż oraz w jaki dokładnie sposób się stąd wydostaniemy. Na końcu będą drzwi? Źródło? Winda? Po tym, co zobaczyłam w zaświatach, nic mnie już nie zdziwi.

Coś chlupnęło pode mną. Zatrzymałam się i spojrzałam pod nogi. Na wodzie szybko rozchodziły się kręgi. Zmarszczki były bardzo wyraźne. To nie mógł być topielec, bo już dawno je za sobą zostawiliśmy.

W tej chwili sufit zaczął drżeć. Do Styksu z głośnym chlupotem wpadały kamienie.

- Co się dzieje?! - zawołałam, usiłując przekrzyczeć hałas. Długi stalaktyt minął mnie o kilka centymetrów i wbił się w dno rzeki. Przechylił się i opadł pod wodę.

- Uciekamy! - Beleth złapał mnie za rękę i pociągnął w stronę kanału „Afryka, Egipt”. - Za moment wszystko się zawali!

Sklepienie jaskini wibrowało, jakby ktoś wściekle nim potrząsał. Wydawało mi się, że w ogłuszającym rumorze słyszę czyjś chichot.

Kilkumetrowej długości blok skalny tuż przed nami oderwał się od sufitu i wpadł do wody. W ostatnim momencie zdołaliśmy się zatrzymać. Drobne kamienie boleśnie uderzały o nasze ciała. Wszędzie był pył. Prawie nic nie widziałam. Zaczęłam kaszleć, kiedy głęboko odetchnęłam.

- Szybciej! - Beleth szarpnął mnie za rękę.

Jak szaleni wymijaliśmy lecące pociski. Oberwałam w skrzydło, ale nie zważałam na ból. Musieliśmy się wydostać. Za rozwidleniem było już spokojnie. Nic się nie waliło, nic nie zagrażało. Musieliśmy tylko tam dolecieć.

Nagle ostry stalaktyt oderwał się i niczym szabla ugodził Beletha w ramię. Ifrit spadł razem z nim prosto do wody, zostawiając za sobą kropelki krwi zawieszane w powietrzu, w pyle. Widziałam to wszystko jak na zwolnionym filmie. Zamiast bólu na jego twarzy zobaczyłam zdziwienie.

- NIE! - krzyknęłam i rzuciłam się za nim, lecz kolejny kamień ugodził mnie w głowę.

Świat zawirował mi w oczach. Góra była dołem, a dół górą. Gdzieś zniknęły wszystkie dźwięki, nastąpiła cisza, gruba niczym poduszka i otaczająca szczelnie moje uszy. W następnej chwili widziałam tylko ciemność.

Było ciemno, twardo i mokro. Nie miałam siły się ruszyć. Tkwiłam w miejscu, licząc, że to wszystko przejdzie, że za chwilę zniknie. Ciemność mnie pochłaniała, w głowie wirowało. Nie wiedziałam, co się dzieje.

Nie wiem, jak długo byłam w tym stanie. Nic nie pamiętam. Było mi tak zimno.

Nagle poczułam, jak coś kapnęło na moją twarz. Coś mokrego i nieładzko śmierdzącego padliną. Zakrztusiłam się. Spróbowałam uchylić powieki, ale były sklezione. Wyrwałam kilka rzęs, by je otworzyć. Wiele mi to nie pomogło. Nadal otaczała mnie ciemność.

Olbrzymia mokra kropla spadła na mój policzek i rozlała się po szyi. Wzdrygnęłam się ze wstrętem. Spróbowałam wyciągnąć rękę, ale od piersi w dół byłam przywalona kamieniami. Nie mogłam się ruszyć.

- Pomocy! - krzyknęłam, dusząc się zatykającym mi usta pyłem.

Wszystko bolało mnie tak mocno, jakbym każdą kość miała złamaną. Ze względu na moje położenie, było to całkiem prawdopodobne. Nikt jakoś nie rzucał mi się na ratunek. Musiałam wziąć sprawę w swoje ręce.

Wyobraziłam sobie, jak z ocalałych ścian wyrastają kryształy, swoim blaskiem tworzące w Tartarze imitację dnia. Słabe, przymrużone światło rozproszyło mrok.

Tuż nad sobą zobaczyłam olbrzymią mordę. Z szeroko otwartego pyska skapywały mi strużki śliny prosto na twarz.

- Cerber! - zawołałam z ulgą.

Wielkie czarne koraliki w głowie ratlerka przyglądały mi się tępym wzrokiem. Chyba mnie nie poznawał. Psisko obnażyło zęby i zaczęło warczeć.

O cholera!

- Cerber, to ja! - zawołałam szybko. - Dałam ci przecież mięsko, pyszne mięsko. Nie pamiętasz mnie?

Zza głowy ratlerka wysunął się długi pysk wilczura. Pochylił się w moją stronę. Cała struchlałam. Wystarczy, że raz kłapnie zębiskami, a oderwie mi głowę i zje ją ze smakiem.

Wilgotny nochał, znacznie większy od ludzkiej twarzy, zatrzymał się na wysokości moich oczu. Poczułam śmierdzący śmiercią oddech. Głowa wilczura podniosła się.

Czekałam na wyrok.

Pozna mnie czy nie?

Pysk znowu pochylił się w moją stronę. Zamknęłam oczy, czekając, aż odgryzie mi głowę, a ja odrodzę się przy porcie. Zamiast tego poczułam, jak ociekający śliną jęzor przejechał po całej mojej twarzy. Cudem powstrzymałam

się przed wymiotami. Pies odsunął się ode mnie i przysiadł na wielkim zadzie. Zaskomlał cicho.

Uniosłam lekko głowę. Kamienie zatarasowały odpływ Styksu. Poziom wody powoli się podnosił. Ja leżałam na rumowisku, więc jeszcze do mnie nie dotarł, ale Cerber siedział pupą w wodzie i wyraźnie nie był szczęśliwy z tego powodu.

Sięgnęłam po moc, by odsunąć kamienie, które mnie przygniatały. Zsypały się na ziemię z głośnym rumorem, a następnie zniknęły z pluskiem pod poziomem wody.

O Boże. Gdzie jest Beleth? Zapomniałam o nim!

- Beleth! - zawołałam przerażona.

Może spadł na niego stalaktyt. Przebił go na wylot.

Na drżących nogach wstałam. Kryształ, którymi wyłożone było sklepienie jaskini, zniknęły w rumowisku, a te, które stworzyłam, nie dawały wystarczającej ilości światła. Wszędzie po bokach jaskini był mrok. Lepki, ponury i straszny.

Klasnęłam w dłonie. Dookoła mnie z niczego rozbłysło silne światło. Zobaczyłam ogrom zniszczeń. W miejscu sklepienia ziała czarna dziura. Woda sięgała mi już do kolan. Cerber zaskomlał rozpaczliwie i stuknął mnie nosem wilczej głowy pomiędzy łopatki.

- Beleth! - krzyknęłam jeszcze raz. - Gdzie jesteś?

Posługując się mocą, odepchnęłam kilka kamieni. Pozostałe niebezpiecznie zadrżały. Groziły ponownym zawaleniem.

Olbrzymi pies postanowił mi pomóc i zaczął delikatnie kopać przy ścianie. Pojedyncze kamienie stoczyły się z góry.

- Cerber, dość! - zawołałam. - Do nogi!

Zaskomlał, ale posłusznie podszedł do mnie. Byłam przy nim tak mała, że to ja wyglądałam, jakbym posłuchała komendy: „Do nogi!”.

- Zrobimy to inaczej - powiedziałam ni to do niego, ni to do siebie. - Beleth! Jeśli mnie słyszysz, to nie ruszaj się teraz. Postaram się usunąć część kamieni.

Skupiłam się na skałach i wyobraziłam sobie, że zamieniają się w bańki mydlane. Olbrzymie bańki mydlane, lekko różowe, opalizujące. Unoszące się bez trudu w powietrzu.

Otworzyłam oczy. Mnie i zaskoczonego Cerbera otaczały dziesiątki baniek mydlanych. Dokładnie takich, jakie stworzyłam w myślach. Pozostałości rumowiska były zbyt małe, by mogły zakryć ciało mojego ifrita.

- Beleth? - wydusiłam.

Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Mój Beleth, mój płomień Boga, potępiony ifrit.

Beleth...

... zniknął.

* * * *

Wody Styksu ruszyły, gdy zniknęła przeszkoda. Uniosłam się na skrzydłach, by uniknąć zalania. Wypatrywałam choćby najmniejszego śladu obecności Beletha. Nie było nic. Ani strzępka ubrania, ani krwi.

Cerber trącił mnie nosem i wywalił długi różowy jęzor, śmierdziało mu z pyska padliną. Pstryknęłam palcami. U stóp psa upadły trzy olbrzymie kawały mięsa. Rzucił się na nie łapczywie.

- Beleth... - wyszeptałam.

Postanowiłam wrócić do Tartaru. Nie miałam po co posuwać się naprzód. Ifrit by mnie nie zostawił i nie ruszył na samotną wędrówkę. Na pewno czeka na mnie w porcie. Po co miałby wracać do Podziemi? To bez sensu. Tylko... dlaczego zostawił mnie pod kamieniami?

Pomachałam na pożegnanie psu, który i tak nie zauważył mojego odejścia, zajęty mięsem. Machałam szaleńczo skrzydłami, starając się zagłuszyć bicie serca. Bałam się. Bałam się o ifrita oraz o to, co ze mną będzie, jeśli coś mu się stało. Skrzywiłam się z niesmakiem. Teraz na dodatek zrobiła się ze mnie egoistka.

W rekordowym tempie dotarłam do portu. Woda falowała leniwie, uderzając o drewniany pomost. Zacumowana łódka dla śmiałków szukających drogi ucieczki kiwała się na boki.

Poza mną nie było dookoła żywej duszy. Uniosłam się odrobinę wyżej. Moją uwagę przyciągnęło czarne koło i stopiony piach niedaleko przystani. Zupełnie jakby coś spłonęło w tym miejscu. W powietrzu nie było czuć zapachu spalenizny. Ile czasu byłam nieprzytomna?

Przysiadłam na ziemi w pobliżu czarnego koła. Dotknęłam stopionych kryształków. Były zimne. Dziwne. Czyżby Beleth przeniósł się stąd do Piekła? Dopiero kiedy się podniosłam, zauważyłam po drugiej stronie koła drobne plamki krwi prowadzące od przystani.

Był ranny! Serce znowu zabiło mi mocniej.

Musiałam szybko znaleźć jakieś drzwi i za nim pójść. Nie miałam czasu do stracenia! Może mój ifrit umierał!

Pobiegłam w stronę drzwi, po drodze gubiąc pióra i skrzydła. Białe lotki upadły w czarny piach.

Szarpnęłam za klamkę kutych drzwi i wbiegłam w plamę słońca.

Zaraz... Słońca?

Zatrzymałam się kompletnie zaskoczona. Nie poznawałam tego miejsca. To nie mógł być Tartar.

Na błękitnym niebie świeciło oślepiająco słońce. Było trochę większe od zwykłego ziemskiego. Długie promienie lizały horyzont. Wyglądało na słońce, które usiłował namalować ktoś, kto dawno nie widział tego prawdziwego i jego wspomnienia ubarwiły oryginał.

Dookoła mnie stały kolorowe kamienice. Pstrokate barwy mieszały się ze sobą. Niektóre domy były żółte w niebieskie paski, inne fioletowe w pomarańczowe kropki. Płytki chodnikowe pod moimi stopami doprowadzały do oczopląsu.

Co się dzieje?

Minął mnie niski mężczyzna ubrany w strój dworskiego błazna. Na czole pomiędzy oczami zwisał mu z kolorowej czapki dzwoneczek. Nie zwrócił na mnie uwagi. Pasowałam do tego miejsca, miałam na sobie kolory. Tartar przestał być szary.

Wszystko oślepiało, porażało intensywnością. Nie mogłam tego zrozumieć. Co tu się stało? Na pewno nadal byłam w Tartarze bo rozpoznawałam budynki. Daleko na horyzoncie górował zamek Elżbiety Batory. Wydawał mi się teraz znacznie wyższy. Pobielone ściany jaśniały, a niebieskie dachy wież przebijały niebo.

Zamek z bajki. Zupełnie jak zamek Neuschwanstein, czyli Nowy Łabędzi Kamień zbudowany przez Ludwika Szalonego.

Drzwi. Szybko.

Doskoczyłam do pierwszej kamienicy. Smród zaszcanych klatek schodowych zniknął. Wydawało mi się, że czuję lawendę. Zakręciło mi się w głowie od tego wszystkiego. Co tu się dzieje? Beleth, gdzie jesteś?

Oparłam się ciężko o drzwi. Dokąd iść? Dokąd iść? Kogo prosić o pomoc?

- Miejsce pobytu Azazela - powiedziałam, opierając czoło o drewno.

Nikt inny mi nie został. Podstępny diabeł był jedyną osobą, do której mogłam zwrócić się w potrzebie. Zresztą tylko on mnie widział.

Nacisnęłam klamkę. Widmowe drzwi otworzyły się przede mną, ukazując wnętrze zaciemnionej sypialni. Wparowałam bez zastanowienia do środka. Przy ścianie stało olbrzymie łóżko przykryte ciemnogramatową pościelą z satyny. Beżowe ściany do połowy były wyłożone granatową boazerią. Krzesła w stylu Ludwika któregoś tam zarzucono najróżniejszymi częściami garderoby.

- *Azazel?* - zapytałam, robiąc krok do przodu.

- Jezus, Maria! - Pościel wyrzuciła się gwałtownie, kiedy diabeł przestraszony podskoczył do góry, po czym usłyszałam siarczysty policzek i ostry kobiecy głos:

- Nie bluźnij.

Kleopatra. Pod powiekami poczułam łzy. Tęskniłam za nią.

- *Azazel, przepraszam, że przeszkadzam, ale pilnie potrzebuję twojej pomocy.*

Pościel nie poruszała się. Ja także czekałam.

- Kleo... mam problem - usłyszałam jego ściszony głos.

- Znowu? - zapytała znudzona. - Przecież piłeś ziółka z lubczykiem.

Parsknęłam śmiechem. Pościel poruszyła się gwałtownie. Azazel zerwał ją z głowy i posłał mi nienawistne spojrzenie.

- To nie taki problem - powiedział ze złością. - Wiktoria tu jest.

- Och... - Kleo nie zmartwiła się zbytnio. - A to nawet dobrze. Zaraz mam targ o duszę.

Jak gdyby nigdy nic odrzuciła kołdrę i wstała. Nie wstydziła się swojej nagości. Przeszła obok mnie. Po raz kolejny poczułam delikatne ukłucie zazdrości. Kleopatra była perfekcyjna. Idealnie wysklepione piersi, płaski brzuch i jędrne pośladki.

Gdybym ja miała takie ciało, to także nosiłabym egipskie, dość przewiewne ubrania.

- Kleo! - z wyrzutem zawołał diabeł.

- Co? Przecież nie będziemy się teraz kochać. Masz gościa. Wiki, jesteś tu jeszcze, skarbie?

Podeszłam do niej i przesunęłam widmową dłonią po jej ramieniu. Na gładkiej oliwkowej skórze pojawiła się gęsia skórka.

- A jesteś, rzeczywiście. - Zaśmiała się złośliwie, patrząc na swojego kochanka. - Czyli jednak mojemu kłamczuchowi nie chodziło o ziółka.

Azazel poczerwieniał gwałtownie. Owinął sobie prześcieradło wokół bioder i stanął obok mnie, usiłując mnie onieśmielić swoją nagością. Pomimo osłony widać było, że lubczyk zadziałał doskonale. Przeniosłam swoje spojrzenie wyżej. Gładka, blada skóra na piersi diabła nie była pozbawiona skaz. W miejscu, w którym zranił go kiedyś gorejący miecz, przecinała ją długa, lekko czarna blizna.

Mogłam ją usunąć, tak jak ślady po odciętych skrzydłach Beletha, ale tego nie zrobiłam. Nigdy nie lubiłam Azazela. Czemu miałabym robić dla niego coś miłego? Jemu kompletnie na mnie nie zależało.

- *Potrzebuję twojej pomocy* - powiedziałam.

- I akurat teraz musiałas tu przyjść. Akurat teraz. - Zaciśnięty mięsień szczęki zaczął drżeć.

Kleopatra odwróciła się do nas tyłem i pochyliła, by wciągnąć spódnice. Spojrzenie diabła natychmiast przeniosło się na jej pośladki. Złość wyparowała w jednej chwili. Zostało tylko pełne zawodu westchnięcie.

- Kiedy wrócisz? - zapytał.

Kleo naciągnęła szelki na piersi. Nie miała bluzki. Tylko spódnice na szelkach. Ten strój był chyba ostatnio modny w Piekło. - Za kilka godzin.

Posłała nam całusa i wsunęła klucz w ścianę.

- Wiki, kochanie. Powodzenia w ucieczce z Tartaru. Trzymam kciuki za gorący romans z Belethem - jej gardłowy śmiech odbił się echem w pustej sypialni. - Wreszcie możesz pójść na całość, moja słodka cnotko. Nie przegap okazji.

- *Dobrze, Kleo* - odpowiedziałam, chociaż nie mogła mnie słyszeć.

Jej spojrzenie przesunęło się leniwie po prześcieradle, które kurczowo ścisnęła na biodrach Azazel.

- Tylko trzymaj się z daleka od mojego diabełka. - Królowa przestąpiła próg. Drzwi zaczęły zamykać się powoli.

Nagle jej głowa pojawiła się jeszcze w przejściu tuż przed tym, jak się zamknęło:

- Aha, nie wiem, gdzie jest twój kot. Uciekł mi.

I już jej nie było.

Odwrociłam się w stronę Azazela. Z ponurą miną ruszył w stronę łóżka.

- Musiałś przyleżeć w takiej chwili - zaczął narzekać. - Wszystko mi się dzisiaj nie układa. Najpierw musiałem zwolnić służbę, bo aniłom się to nie spodobało. I kto mi teraz będzie robił sok pomarańczowy? Potem musiałem pic ten cholerny lubczyk. Potem Kleo się spieszyło, bo ty przyszłaś. Dzisiaj wszystko idzie nie tak. Co jeszcze mnie spotka? No co?

Kończąc swoją wypowiedź, nadepnął na satynowe prześcieradło, które zsunęło mu się z bioder.

Azazel ubrany w obcisłe spodnie, niedające wyobraźni zbyt wiele do popisu, i rozchełstana na piersi koszulę siedział w salonie swojej rezydencji. Stopą obutą w długi but do konnej jazdy wystukiwał niecierpliwy rytm o nogę od stołu.

Chociaż mi się spieszyło, musiałam czekać, aż raczy się przebrać (chyba pół godziny zmieniał przed lustrem stroje, tak długo go nie było). Nie mógł przeżyć tego, że widziałam jego nagie pośladki.

Całkiem zgrabne, nie powiem. Chociaż czemu ja się dziwię? Kleopatra, mając tylu chętnych diabłów do wyboru, na pewno dobrze zdecydowała.

- Jeśli kiedykolwiek powiesz komuś, co usłyszałaś w mojej sypialni, to przysięgam na duszę, której nie posiadam, że znajdę cię i własnoręcznie unicestwię, nie zważając na konsekwencje - wycedził wściekłym tonem.

- *Zrozumiałam za pierwszym razem, kiedy tłumaczyłeś mi, że powyrywasz mi nogi z tyłka, jeśli pisnę komuś choćby słówko* - także byłam zirytowana.

- Dokładnie. I nie życzę sobie, żebyś kiedykolwiek wymówiła słowo lubczyk, jasne? To słowo jest zakazane. Nie używamy go od teraz.

- *Tak, tak. Możemy wreszcie przejść do rzeczy? Azazel, bardzo mi się spieszy, a ty mnie trzymasz tu ponad półgodziny! To sprawa życia lub śmierci. Nie mam tyle czasu! Powinam była załatwić to z tobą w pół minuty. Przestań się bawić w audiencję.*

- Okej, to co się stało? - w końcu zmiękł do tego stopnia, że nawet przestał wystukiwać monotony rytm stopą.

Szybko zrelacjonowałam mu naszą nieudaną ucieczkę przez jaskinie i jej smutny koniec.

- *Zniknął. Nie wiem, gdzie jest. Nie wrócił tutaj?*

- Nie, tutaj nie wrócił. Wiedziałbym to. - Zmarszczył zmartwiony brwi. - Długo byłaś nieprzytomna?

- *Nie jestem pewna. Biorąc pod uwagę zmiany w Tartarze, to chyba całkiem długo. A jak on nie żyje?* - przeraziłam się nie na żarty. - *Może to był samozapłon?*

Azazel parsknął rozbawiony. Pokręcił przecząco głową.

- Ifrit jest z ognia. Nie może spłonąć na śmierć, bo sam jest ogniem. W ogóle to wydaje mi się, że nie ma zbyt wielu możliwości, w których mogłby przestać istnieć. To jeden z uroków bycia tego typu istotą.

- *To co się stało?* - rozłożyłam ręce. - *Nie rozumiem tego. Czemu na mnie nie poczekał? Gdzie poszedł?*

Azazel podrapał się po brodzie. Pstryknięciem palców stworzył sobie szklankę soku pomarańczowego.

- Nie wiem. To dziwne. Chociaż mnie bardziej intryguje krąg spalonego piasku. Przemienił się w coś? Przeniósł? Tylko w co oraz gdzie?

Siedzieliśmy w milczeniu, każde pogrążone we własnych niewesołych myślach.

- Zmartwiłaś mnie - skwitował diabeł.

- *Wyobraź sobie, że ja też nie jestem teraz najszczęśliwsza* - warknęłam. - *Co ja mam zrobić? Jak go znaleźć?*

Azazel rozplątał warkocz wiszący mu na plecach. Pierwszy raz zobaczyłam go z rozpuszczonymi włosami. Proste włosy idealnie pasowały do jego lekko kanciastej twarzy.

- Szukaj go w Tartarze - doradził. - Tu go nie ma. Przyszędłby do mnie. Jestem jego jedynym przyjacielem. W Niebie, jako ifrit, nie ma czego szukać. Nawet by go nie wpuścili na teren Arkadii. Istnieje jeszcze szansa, że zaszył się na Ziemi.

- *Ale po co?*

- Właśnie. Skierowanie się na Ziemię w jego przypadku nie miałyby najmniejszego sensu. Nie po to wyrzekł się wszystkiego, nawet Boga, żeby się tam teraz tułać bez sensu. Na pewno jest gdzieś w pobliżu ciebie. Musiał zostać w Tartarze. Dobrze przeszukałaś jaskinię?

- *Tak, dobrze. Nie było szansy, żeby tam został. Sprawdziłam każdy kamień.*

- Nie wiem, jak mógłbym ci pomóc.

Wydawało mi się, że w jego głosie słyszę prawdziwą troskę. Nie podejrzewałam go o tak ciepłe uczucia wobec Beletha. Myślałam, że był dla niego tylko pionkiem.

- Poszukaj go jeszcze raz. Poproś o pomoc Achillesa.

Kiwnęłam głową i wstałam. Nie chciałam tracić czasu. Natychmiast musiałam ruszyć na poszukiwania. Może Belethowi właśnie działa się krzywda?

- Wiki - zatrzymał mnie Azazel, gdy już podeszłam do drzwi. - Bądź ostrożna. To podejrzane, że ifrit zniknął. Musiało się w to wmieszać coś silniejszego od niego. Byle komu nie pozwoliłby się powstrzymać przed uratowaniem cię z Tartaru.

- *Coś silniejszego? Może być coś silniejszego od ifrita?*

- Nie wiem o niczym takim, dlatego uważaj. To podejrzane.

Szarpnęłam za klamkę widmowych drzwi i przekroczyłam ponownie próg Podziemi.

Ruszyłam biegiem w stronę chaty Achillesa. Tak jak poprzednio ulicami przemykali nieliczni przechodnie. Wszyscy ubrani byli w pstrokate stroje przypominające karnawałowe przebrania.

Dom nefilima nie bardzo się zmienił. Został jedynie przerobiony na słodką, wiejską chałupę rodem z bajek. Pobielone ściany aż kłuły w oczy. Dach pokryty był świeżą złotą słomą, a pod oknami stały donice z czerwonymi pelargoniami. Obok drzwi znajdowała się nawet niska ławeczka, na której

można było wieczorami usiąść, by popatrzeć na zachód sztucznego słońca na równie sztucznym niebie.

Spojrzałam na horyzont. Ukrycie kamiennego sklepienia jaskini nie wyszło idealnie twórcy tej iluzji. Gdzieś tam czarne skały przebijały się przez błękit. Wyglądało to tak, jakby niebo miało pryszczę.

Wróciłam spojrzeniem do słodkiej chaty. Otworzyłam furtkę i weszłam do małego ogrodu. Ogródzenia także wcześniej tu nie było, podobnie jak wysokich malw i krzaków pomidorów. Nowością była też jabłonka o ogromnych czerwonych jabłkach.

Najwyraźniej era ziemniaków się skończyła.

Miałam nadzieję, że twórca tego szaleństwa nie pozbawił Achillea dodatkowych pokoi i piwnicy stworzonych przez ifrita.

Zapukałam do drzwi zbudowanych z wciąż pachnących żywicą desek. Proste geometryczne słoje, odrysowane jak od linijki, sprawiały wrażenie sztuczności.

Nikt mi nie odpowiedział. Nacisnęłam na klamkę i zajrzałam do środka. Wnętrze w ogóle się nie zmieniło. Za szmatą przybitą dwoma kołkami do ściany ciągnął się ukryty korytarz prowadzący do nowych pokoi i piwnicy. Stałam w nim i zawołałam Achillea po imieniu. Na wszelki wypadek sprawdziłam wszystkie pomieszczenia. Nie było go.

Nie wiedziałam, co mam zrobić ani gdzie pójść.

Po raz kolejny usiłowałam nieskutecznie porozumieć się za pomocą myśli z Belethem. Nie odpowiadał.

- Beleth, gdzie jesteś? Czy coś ci się stało? Odpowiedz mi - prosiłam wielokrotnie.

Usiadłam w kuchni, i czekałam na przyjście nefilima. Stworzyłam sobie kubek ciepłej zielonej herbaty i rozpłakałam się.

Zapadł już zmrok, a sztuczne niebo rozświetliły dziesiątki migoczących światełek imitujących gwiazdy. W którymś momencie przestałam płakać i usnęłam z głową na zniszczonym drewnianym stole.

W snach widziałam Beletha. Jego twarz była pełna udręki. Od jego kostki u prawej nogi ciągnął się długi złoty łańcuch. Koniec ścisnęła księżna Elżbieta i śmiała mi się prosto w twarz.

Mój ifrit coś do mnie krzyczał, lecz nie rozumiałam słów. Ubrany w zielone szarawary, których nogawki lizały szmaragdowe płomienie, machał ramionami, starając się mnie zatrzymać. Biegłam, ale on oddalał się ode mnie.

Gwałtownie poderwałam głowę do góry. Koszmary przed moimi oczami zniknęły. Byłam sama w pustej izbie. Za oknem malował się różowy świt. Zdrętwiały kark strzelił głucho, kiedy się przeciągałam.

Gdzie się podziewa ten Achilles?

W chwili, gdy to pomyślałam, drzwi otworzyły się z trzaskiem. Oślepiło mnie ostre światło.

- Bogini - dobiegł mnie głos olbrzyma. - Co tu robisz? Niebezpieczeństwo czyha na twą głowę. - Szybko zatrzasnął drzwi i wyjrzał przez szmatę przykrywającą okno na podwórze. Sprawdzał, czy nikt go nie śledził.

Dopiero gdy znikło przeraźliwie jasne światło, zauważyłam, jak był ubrany. Skórzane spodnie i zbroja gdzieś zniknęły. Wyglądał jak grecki bóg. Miał na sobie krótką togę spiętą na jednym ramieniu, złoty pas z piorunem na kłamrze, sandały z rzemykami wiązanymi pod kolanami i idiotyczny wieniec laurowy na czole.

- Co ci się stało? - zapytałam kompletnie zaskoczona.

- Co się stało, żeś ty tu? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Mielśmy z Belethem wypadek w jaskini. Nie wiem, gdzie on teraz jest.

- Zerwałam się ze swojego miejsca. - Musimy go szukać!

Nefilim złapał mnie za ramiona i posadził z powrotem na krześle.

- Nic nie wiesz, biedna bogini? To lepiej zajmij swoje miejsce. Zmieniła się władza w Tartarze. Dokonał się wielki przewrót.

Miałam coraz gorsze przeczucia. Domyślałam się, co zaraz usłyszę.

- Teraz włada księżna Elżbieta Batory. Posiada wielką moc i jej niestety nie ukrywa. Każdy, kto się jej nie podda i nie uzna za swą królową, zostaje zniszczony. Znika.

Zagadka źle dobranych kolorów budynków wyjaśniła się bardzo szybko.

- Kazała nam nosić barwne tkaniny. Prawie każdego ubrała sama - kontynuował i szarpnął za togę, nadrywając kawałek materiału na dole.

Na moich oczach białe nitki zaczęły poruszać się jak węże. Szybko znalazły urwane końce i połączyły się z nimi z sykiem. Po rozerwaniu nie było śladu.

- Co to? - zapytałam.

- Nie możemy zmieniać strojów, które nam podarowała - odparł gorzko. - Ja mam udawać syna Zeusa Gromowładnego. To bluźnierstwo!

Wiem, że powinnam mu teraz współczuć, pocieszyć, a nawet zniszczyć jego ubranie, ale miałam ważniejsze sprawy na głowie.

- Gdzie jest Beleth. Co wiesz? - przerwałam narzekania. Achilles strapił się.

- Jest w jej mocy...

Odetchnęłam z ulgą. Żył! Po policzkach poleciały mi łzy ulgi.

- Nie martw się, odbijemy go - nie zrozumiał mojego płaczu. - Idźmy już!

Zerwał się z krzesła. Chwyciłam go za ramię. - Jeszcze nie. Po prostu cieszę się, że żyje. Myślałam, że zginął w jaskini przygnieciony kamieniami. Nefilim spojrział na mnie jak na głupią.

- To bóg. Jego nie mogą zabić kamienie.

- Masz rację - westchnęłam. - Jak to się stało, że Beleth jest... w jej mocy. Co to oznacza?

Achilles nachmurzył się. Nie wiedział, jak powiedzieć to, co miał mi do przekazania. Miał minę jakby zmagał się z ciężkim dylematem. Przegarnął dłonią włosy, mierzwiąc je.

Uśmiechnęłam się. Chociaż nie został wychowany przez Beletha i nie miał z nim żadnego kontaktu, to wykonywał dokładnie te same gesty co on.

- Jest jej niewolnikiem. Ona go więzi, a on spełnia jej rozkazy. Nie wiem dlaczego. - Bezradnie rozłożył ręce. - Przecież to wielki bóg. Nie może być tak słaby, by ulec kobiecie...

Faktycznie było to nieco podejrzane, ale nie ze względu na jej płęć, tylko moce.

- Musimy go odbić - mruknęłam. - Tylko jak? Gdzie on teraz jest?

Ja także przeraziłam się nie na żarty. Elżbieta musiała być bardzo potężna, skoro nawet niepokonany ifrit jej uległ. Co ona takiego zrobiła, że jest jej posłuszny?! Czy ja w takim razie zdołam ją powstrzymać?

- Jest w jej twierdzy. Nie wiem dokładnie, gdzie znajduje się teraz, ale wiem, gdzie będzie wieczorem.

- Gdzie?

- Po zapadnięciu zmroku ma się odbyć wielki bal powitalny dla nowej władczyni Podziemi. Mają być na nim wszyscy mieszkańcy. Część z nas sama przebrała wieczorem. Reszta otrzyma nowe ubrania tuż przed biesiadą.

Przypomniał mi się sen. Czyżby nie był tylko koszmarem?

- Jakim cudem tak szybko wszystko zmieniła? - nie mogłam w to uwierzyć.

- Przewrót rozpoczął się tuż po waszym odejściu. Królowa zburzyła budynek rady Tartaru, a rządzących zakuła w złote kajdany. Był z nią mój ojciec... Potem wszystko działo się bardzo szybko. Tak jakby od dawna to planowała.

Pomysł pewnie miała, odkąd otrzymała moc Anny Darvulii.

- Nie wiem, co go opętało. Czemu jej pomaga?

- Poczekaj chwilę - wstałam. - Zaraz wracam. Muszę się poradzić znajomego z zaświatów. Czekaj tu na mnie.

Szybko podbiegłam do drzwi chaty. Achilles nie zamierzał nigdzie iść beze mnie. Rozsiadł się przy stole z butelką wina.

- Do miejsca pobytu Azazela! - krzyknęłam.

Drzwi wyrzuciły się. Szarpnęłam za szarą kłamkę. Przez ramię zobaczyłam jeszcze, jak Achilles szarpie togę ze złością.

Po drugiej stronie było ciemno, wysokie okna zasłonięto roletami. Nie wiedziałam, gdzie się znajduję. Pierwszy raz widziałam to miejsce. Pod przezroczystymi stopami miałam marmurowe, różowe płytki oznaczone grubymi żyłkami. Dookoła mnie znajdowały się rzędy urzędowych szafek na dokumenty. Wiedziałam kiedyś takie w Piekło. To jednak nie była Niższa Arkadia. Tam nie mieli zwyczaju ozdabiać sufitów kasetonami i kryształowymi żyrandolami.

W kącie pomieszczenia drgało delikatne światło świecy. Ruszyłam w jego stronę. Jako duch nie wydawałam dźwięków, nie tupalam, nie szurałam. Dzięki temu udało mi się kompletnie zaskoczyć Azazela pochylonego nad otwartą szufladą.

Światło krótkiej świeczki oświetlało jego wykrzywioną złośliwym uśmiechem twarz. Zajrzałam mu przez ramię. Przed sobą miał otwarte dwie grube urzędowe teczki, jedną podpisaną „Azazel”, a drugą „Moroni”. Diabeł po kolei wyjmował druki ze swojej dokumentacji, a następnie zmieniał imiona oraz daty i przekładał do teczki konkurenta. Na moich oczach roześmiana twarz Azazela z jednego ze zdjęć zmieniła się w równie wesołą facjatę kłamliwego anioła.

- *Co robisz?* - zapytałam.

- Do kroćset!!! - ryknął, podskakując metr do góry. Odwrócił się do mnie szybko. Jego zwykle blada twarz była purpurowa. Złapał się za nieistniejące akurat u niego serce. - Przestań się do mnie zakradać jak jakiś duch! - parsknął śliną, starając się mówić teatralnym szeptem.

- *Wiesz, ostatnio zbyt żywa nie jestem...*

- Czego znowu ode mnie chcesz? - warknął wściekły i szybko zaczął chować przede mną dokumenty.

- *Co robisz?* - ponownie zapytałam.

- Nie twój interes, smarkulo. Zmywaj mi się stąd. To zabawa dla dorosłych diabłów, a nie dla małych niszczycielskich poltergeistów.

- *Potrzebuję pomocy.*

Posłał mi ponure spojrzenie. Chyba wreszcie udało mi się podsunąć mu myśl, że może lepiej by na tym wyszedł, gdyby nigdy nie wciągnął mnie do swoich brudnych gier. Byłam z siebie dumna. - A czy ja wyglądam jak organizacja dobroczynna? - Aż trząsał się ze złości.

- *Dobrze wiesz, że tylko na ciebie mogę liczyć...*

- Jedno głupie zaklęcie. Jedno zaklęcie, niepowiedziane przecież w złej wierze, i teraz się muszę męczyć - narzekał pod nosem, wrzucając dokumenty do teczek. - Jedno malutkie zaklęcie. Kto by się spodziewał, że będzie miało tak obrzydliwe skutki?!

- *Skończyłeś?*

Umilkł. Chyba przestał dbać o pozory, bo znowu zaczął podrabiać dokumenty. Zatrzymał się na jakimś, na którym była gruba złota pieczęć samego Archanioła Gabriela. Pismo mówiło o karygodnym czynie, jakiego dopuścił się diabeł Azazel. Mianowicie traktowało o wciśnięciu pewnego dużego guzika w Anielskim Centrum Dowodzenia.

Diabeł machnął nad nim dłonią, jednak dokument się nie zmienił.

- Hm... - mruknął.

Pstryknął palcami.

- Hm? - nadal nic się nie stało.

Wyjął z kieszeni solniczkę i sypnął solą przez lewe ramię. Machnął ręką nad dokumentem. Znowu nic.

Potem zakręcił się w kółko, głośno tupiąc, i dla pewności splunął trzy razy przez lewe ramię. Wciąż bez zmian.

Na całe szczęście i sól, i ślina przeleciały przeze mnie, nie zostawiając po sobie śladu.

- Nic? - sam nie mógł w to uwierzyć.

Podrapał się po głowie zamyślony.

- Nie wziąłem kurzej nóżki... - westchnął. - A szkoda... Jajko? Nie, jajko musiałbym rozbić, a nie mogę. Co jeszcze? Co jeszcze?

- *Czerwona wstążeczka?* - zasugerowałam inne odczynianie uroków, które pamiętałam z jakiejś dziecięcej bajki.

- Nie, głupia - zachnął się. - Ją się wiąże na rękę dzieciaka, żeby nikt krzywym okiem na niego nie patrzył. Widzisz, żeby miał tu jakiegoś bachora?

Znudziło mi się. Miałam dość patrzenia na jego machlojki.

- *Co to znaczy, że Beleth jest w mocy księżnej Elżbiety, która ma moc Iskry Bożej? Jak mogła go uwięzić?* - postanowiłam przerwać tę szarlatanerię.

- Słucham? - diabeł wydawał się absolutnie zaskoczony. - Co Beleth zrobił?

- *Podobno wykonuje rozkazy księżnej* - odparłam. - *Jak to możliwe? Dlaczego pozwala sobą rządzić? Przecież jest od niej dużo potężniejszy.*

Azazel wybałuszył na mnie oczy.

- Nie wierzę... Przecież miał tam tylko wejść i wyjść. To żadna filozofia nawet dla niego! Miał się nikomu nie chwalić, kim jest. Co to ma być, do diabła? Ty to rozgłosiłaś?!

- *Co rozgłosiłam?* - kompletnie nie wiedziałam, o czym do mnie mówi.

- *Że Beleth jest teraz ifritem! A czym jest ifrit? Durnym dżinem!*

Wniosek: co można z nim zrobić?

Przed oczami stanął mi disnejowski Aladyn. - *No nie gadaj...*

- Właśnie tak. Najwyraźniej ta twoja Elżbieta nabiła naszego przyjaciela w butelkę.

- *To można tak?* - zapytałam głupio. - *To nierealne!*

- A czy rzeczywiście jest dla ciebie to, że jesteś przezroczyta i stoisz w jednym z najlepiej strzeżonych niebiańskich archiwów razem z pewnym porażająco przystojnym diabłem?

Fakt... nie uważałam Azazela za porażająco przystojnego.

- *To co ja mam teraz zrobić? Jak mam go uwolnić?* - zaczęłam panikować.

Tego już było dla mnie za wiele. Czułam, że świat wali mi się na głowę. Jeszcze niespełna pół dnia temu wszystko było w jak najlepszym porządku. Byłam ja, był Beleth, była sprecyzowana droga ucieczki.

Ba, jeszcze przed niespełna tygodniem chodziłam po warszawskiej Pradze i oddychałam!

Chcę do mamy.

- A skąd ja mam wiedzieć? Pierwsze słyszę, żeby kogoś zamknięto w butelce. Beleth jest pierwszym dżinem, którego znam. - Azazel nie wyglądał na szczególnie zmartwionego tym faktem. Nadal wpatrywał się pożądlivym wzrokiem w dokument o wielkim wymarciu dinozaurów.

- *Ale skądś wiedziałeś, że można go „zabutelkować”...*

- Znam rojenia, o przepraszam, bajki, Szeherezady. Miałem przyjemność poznać ją kiedyś na balu u Szatana. Poza tym dawno temu był jeden ifrit, o którym słuch zaginął. Nie chcę być czarnowidzem, ale istnieje spore prawdopodobieństwo, że ktoś go kiedyś, jak to powiedziałaś, „zabutelkował”, a potem wrzucił, dajmy na to, do morza...

Wreszcie spojrział na mnie przytomniejszym okiem.

- O nie, musisz coś zrobić. Nikt nie może wrzucić Beletha do morza.

- *Właśnie od samego początku naszej rozmowy usiłuję dowiedzieć się, co mam zrobić* - warknęłam.

- Nieprawda, wcześniej bezczelnie mnie podglądałaś. Gotowałam się ze złości. Jak zwykle, kiedy miałam do czynienia z podstępnyim diabłem.

- Sądzę, że Beleth będzie wolny, gdy wypełni wszystkie życzenia tej... jak jej tam?

- *Księżnej Elżbiety Batory, dalekiej krewnej polskiego króla, pani na zamku w Čachticach, królowej Tartaru.*

- Mniejsza. Osobiście proponowałbym zabić tę lalę. Wtedy ty przejmiesz butelkę, lampę czy słoik łącznie z kuszącą zawartością. - Posłał mi krytyczne spojrzenie. - Tylko czy ty dasz sobie z tym radę?

- *Zabiłam już jej służącą. Poza tym mam teraz Achillesa do pomocy...*

- To może jest nadzieja dla Beletha. Naprawdę kogoś zabiłaś?

- *No... patrzyłam, jak Achilles to robi, bo ja chciałam.*

- Tak Rzeczywiście masz krew na rękach... tylko bron Boże nie zapomnij zmyć jej spod paznokci, bo jak ty się ludziom pokażesz. A nie, zaraz. Nie pokażesz się, bo cię nie widzą. Ha ha ha!

- *Masz mi coś jeszcze do powiedzenia na temat uwolnienia Beletha?* - w moim głosie brzmiała żądza mordu.

Śmiejąc się, pokręcił przecząco głową. Nie miałam ochoty słuchać jego złośliwych, lekko szalonych komentarzy. Odwróciłam się na pięcie i ruszyłam do drzwi.

- Następnym razem zabijaj w rękawiczkach! - krzyknął za mną, chichocząc.

- *Lepiej napij się lubczyku, bo jeszcze Kleo uzna, że Napoleon ma większego!*

- Co?!

Wychodząc, usłyszałam trzask zasuwanej ze złością szuflady i zduszony jęk, kiedy pomiędzy jej krawędziami znalazły się palce nieuważnego diabła.

Staliśmy w cieniu rozpadającej się stodoły. Przed nami górowało wejście do zamku Elżbiety, który od czasu mojej ostatniej wizyty znacznie się powiększył i wyładniał. Władczyni ciągle ulepszała swoje miejsce zamieszkania.

Musieliśmy dostać się tam niepostrzeżenie. Z pozoru nie wydawało się to trudne. Od jakiejś godziny niestrudzenie kolejni mieszkańcy Tartaru przychodzili pod kute złote bramy, czekając na wejście. Księżna nie pozwalała im wejść od razu. Musieli stać na dworze wystarczająco długo, by docenić piękno budowli.

Wyostrzyłam wzrok za pomocą mocy piekielnych i wyrzałam zza krzaków. Większość Tartaryjczyków była poprzebierana w dziwaczne pseudobalowe stroje stworzone przez Elżbietę, jednak spora ich rzesza czekała w swoich szarych codziennych ubraniach. Miałam szansę się przemknąć.

Na wypadek gdyby w drzwiach stała księżna, zamierzałam zmienić swoje rysy twarzy, stworzyć sobie kilka brodawek, garb, może bielmo na oku.

Nie rozpozna mnie.

Chyba że poczuje promieniującą ode mnie moc, a niestety istniała taka możliwość.

Achilles pomimo moich zapewnień, że wszystko widzę opadł na czworaka i podczołgał się w krzewy w celu krótkiej obserwacji. Widziałam tylko podeszwy jego sandałów wystające spomiędzy liści i zeschniętych gałęzi.

- Goście powoli się schodzą. Ustawia się długa kolejka - poinformował mnie.

Zagryzłam wargę. Oby Beleth na pewno tam był.

- Idziemy? - zapytałam.

- Za mną! - Będąc pozbawiony miecza, zamachnął się patykiem znalezionym na ziemi. - ACHRAA!!!

Posłusznie potruchtałam za nim. W biegu zamieniłam zabrudzone błotem ubranie na poszarpaną szarą koszulę i połatanę spodnie tego samego koloru. Najważniejsze to jak najmniej wyróżniać się z tłumu.

Ustawiliśmy się w kolejce szaleńców, morderców i gwałcicieli.

Daleko przed nami dostrzegłam mężczyznę ubranego podobnie jak Achilles. Jego czarne jak smoła włosy opadały lokami na kark. Wydatna szczeka wysunięta była do przodu. Jakiś drobny mężczyzna wpadł na niego. Olbrzym podniósł go do góry i z furią rzucił kilkanaście metrów dalej. Nawet się przy tym wyczynie nie zasapał.

- Kto to jest? - zapytałam, wskazując wielkiego człowieka głową.

- To Herakles. Syn najwyższego boga. Mój kompan. Trochę szalony...

Przypomniałam sobie biografię tego herosa. Syn Zeusa i śmiertelniczki Alkmeny. Ciekawe, kto był słynnym Zeusem? Który anioł złamał boskie zasady dla przyjemności obcowania z kobietą?

Hm, czy za cudzołóstwo z zamężną Alkmeną zbuntowanego anioła spotkała cięższa kara niż Beletha?

Od dumnego Heraklesa promieniała agresja i szaleństwo. Wiedziałam, że to nie za sprawą zazdrosnej bogini Hery oszalał i zabił kilkoro ze swoich dzieci. Mimo to mu współczułam. To nie ze swojej winy był właśnie taki. Nie jego grzechy go tu zaprowadziły.

- Może do niego nie podchodźmy - zaproponowałam.

- Jak każesz - skłonił głowę zawiedziony.

To aż dziwne, że Achilles był prawie normalny. Ataki szału zdarzały mu się tylko raz na kilka godzin.

Dzisiaj, tuż przed wyjściem z domu, przypomniał sobie, że nie ma miecza, ponieważ odebrała mu go księżna jako niebezpieczną broń, której mógłby użyć przeciwko niej. Zaczął tłuc naczynia i rzucać krzesłami o ściany. Był przerażający, jednak się go nie bałam. Mnie by nie skrzywdził. Za to Elżbietę? Mógłby. Zdecydowanie mógłby. Zwłaszcza teraz, po ujmie, jakiej doznał, gdy odebrała mu jego ulubioną zabawkę. Odrobinę obawiałam się, co się stanie, gdy nefilim zobaczy ją na balu. Miałam nadzieję, że nie rzuci się na nią z gołymi rękami. Mógłby tego nie przeżyć.

- Nie wolno ci skrzywdzić dzisiaj księżnej - ostrzegłam.

Kolejka przesunęła się do przodu. Nie widziałam początku, wejście zasłaniaли mi znacznie wyżsi ode mnie mieszkańcy Tartaru.

- Dlaczego? - nie był zadowolony z mojego rozkazu. Wiedziałam, że ostrzeganie go przed niebezpieczeństwem na nic się zda. Tym chętniej ruszy do boju, gdy zaistnieje szansa, że jego imię będzie powtarzane później z wręcz nabożną czcią. Już raz się tak urządził. W Troi. Nie zamierzałam pozwolić mu na popełnienie kolejnego głupstwa. Nie przestanie istnieć z mojego powodu.

- Dlatego, że sama mam zamiar w odpowiednim momencie się na niej zemścić - oświadczyłam. - Nie zabieraj mi mojej zemsty.

Pokiwał głową zadowolony. No proszę. Wiedziałam, że argument tego typu świetnie do niego dotrze.

Ludzie znowu poruszyli się o kilka kroków. Wciąż nie dostrzegałam osoby znajdującej się przy wejściu. Kolejni Tartaryjczycy znikali w bramie. Widziałam tylko, jak ich szare ubrania zamieniają się w kolorowe suknie z gorsetami i szerokimi spódnicami, ułożonymi na rusztowaniach z drutów, bądź ozdobne marynarki z żabotami i kryzami. Na ich twarzach pojawiały się bogato zdobione maski z piórami lub kamieniami szlachetnymi. Niekiedy zakrywały tylko oczy, a czasem, jeśli Tartaryjczyk był wyjątkowo nieurodziwy, całą twarz.

Szykowało się bardzo wystawne i eleganckie przyjęcie godne królowej.

Przesunęliśmy się kilkanaście metrów do przodu, gdy kilku mieszkańców Podziemi, uprzednio przebranych własnoręcznie przez księżną Elżbietę,

pokonało wejście. Naszym oczom ukazała się złota brama. Daleko za nią znajdowały się duże drewniane, bogato rzeźbione drzwi wejściowe do zamku.

Stał w nich ifrit.

Moje serce zabiło mocniej na widok Beletha. Z grobową miną, ubrany jedynie w ciemnozielone szarawary i czarny pas, przepuszczał kolejnych Tartaryjczyków. Jego stopy ginęły w szmaragdowych płomieniach bez dymu. Jednak ogień nie zdołał zasłonić drobnego szczegółu. Złotej bransolety na kostce, do której z łatwością można było przyczepić złoty łańcuch. Był więźniem, nowym faworytem Elżbiety, tymczasowo spuszczonej ze smyczy.

W końcu kolejka przesunęła się o tyle, że i on mnie zauważył. Przez jego twarz przemknął cień, jednak w żaden sposób nie dał po sobie znać, że mnie widzi. Oczywiście nie oczekiwałam, że rzuci się na mnie z radością, ale myślałam, że zareaguje odrobinę bardziej żywiołowo.

Stanęliśmy naprzeciwko niego.

- Co ty tu robisz? - zapytał zduszonym głosem Beleth. Jego twarz nadal była kamienna.

- Jestem tu, żeby cię ratować! - warknęłam. Zabolało mnie, że chociaż trochę się nie ucieszył.

- Ciszej! - syknął. - Księżna wszędzie ma swoje oczy i uszy. Narażasz się na niebezpieczeństwo, przychodząc tutaj.

- A co innego mi pozostało? Bez ciebie jestem nikim. Nie wydostanę się sama. Jesteś moją nadzieją na odzyskanie wolności.

- Chciałbym wierzyć, że pragnienie ucieczki nie jest jedyną przyczyną, dla której zamierzasz mi pomóc - ifrit był obrażony.

- No i czego się wkurzasz? - rzuciłam. - Zupełnie jakbyś nie wiedział, dlaczego chcę cię ratować. Osioł.

Machnął obiema dłońmi, ignorując wypowiedziane przeze mnie słowa. Moje ubranie stało się niewyraźne. Coś mocno ścisnęło mi piersi i brzuch, a talię otoczyła suknia z głębokim dekoltem spleszczająca biust i wypychająca go do góry. Spódnica rozlała się na metalowej konstrukcji rozpiętej na moich biodrach. Była w odcieniu głębokiej śliwki i zdobiły ją jasno-fioletowe wstążki.

- Krynolina? - Wydęłam usta niezadowolona.

Nie cierpię takich sukni. Nie można w nich normalnie usiąść bez obawy pogięcia delikatnej konstrukcji rozłożonej na drutach.

- Nie, moja droga, to fortugał. - Beleth po raz pierwszy uśmiechnął się pod nosem. - Królowa Tartaru żyła w czasach, kiedy jeszcze nie było krynolin, panieru ani turniur. Musisz zadowolić się tym.

Dobrze wiedział, jak nie lubię takich staroświeckich kiecek. Co prawda człowiek czuje się w nich niesamowicie kobieco i eterycznie, ale kompletnie nie może oddychać i w ogóle cała konstrukcja wygląda, jakby się miało olbrzymi tyłek.

Nie lubię powiększać optycznie moich pośladków. Czuję się wtedy nieswojo.

Na mojej twarzy pojawiła się piękna maska, zasłaniająca jedynie oczy, z długim fioletowym piórem sterczącym do góry ponad misternym kokiem zaplecionym przez Beletha.

- Idź już - popędził mnie. - Ktoś może zacząć coś podejrzewać. Porozmawiamy na balu. Znajdę cię. Ty mnie tam nie szukaj.

- Ocalę cię - obiecałam.

- Zobaczymy...

Na twarzy Achillesa wyczarował małą złotą maseczkę ledwo otaczającą oczy. Idealnie pasowała do złotych liści laurowych wplecionych we włosy olbrzyma.

- Strzeż jej - nakazał synowi.

Wzięłam pod ramię nefilima i z uniesioną głową wkroczyłam do zamku. Szliśmy w ślad za wcześniej wpuszczonymi Tartaryjczykami. Słyszeliśmy ich przyciszone rozmowy. Nie podobał im się obowiązek przybycia na uroczystość, a tym bardziej zlikwidowanie tradycji noszenia szarego stroju.

Drogę do sali balowej oświetlały bogato zdobione witrażowe latarnie. Korytarze nieprzeznaczone dla gości pogrążone były w głębokim mroku. Nie sądzę zresztą, by ktoś o zdrowych zmysłach się w nie zapuszczał.

Kto wie, jakie niespodzianki Elżbieta przygotowała dla gości, którzy zboczyliby z wyznaczonej trasy?

Mimo wszystkich starań księżnej zamkowe wnętrza nie dorównywały rozmachem posiadłości Szatana. Elegancja szła tutaj w parze z kiczem. Alabastrowe posągi greckich bogów stały pod kryształowymi witrażami. Ściany prostokątnej sali balowej wyłożone były lustrami. Chyba miało to optycznie powiększać pomieszczenie, które nie należało do największych. Siłą wcieleni do służby Tartaryjczycy przebrani w liberie mieszały się z widmowymi marami wielkich władców, których kiedyś znała Elżbieta. Nieudane kopie, które stworzyła, były płaskie i sztuczne. Postacie te wyglądały jak pierwsze efekty specjalne w starych hollywoodzkich produkcjach. Zupełnie jakby były naklejone na otaczające nas tło.

Przeszłam przez projekcję. Achilles, nieco zmieszany, ominął jakiegoś ciemnoskórego króla. Znajdujący się obok nas Tartaryjczycy zaczęli do siebie szeptać, pokazując mnie sobie palcami.

- Bogini. - Nefilim złapał mnie za łokieć. - Twa brawura i odwaga rzucają się w oczy. Pohamuj swe czyny. Proszę.

- Tak - odparłam niechętnie.

Spokorniałam. Miał rację. Nie przybyłam tutaj jako gwiazda wieczoru. Muszę zachowywać się jak przestraszeni szaleni poddani. Powinnam czcić nową władczynię, schylić przed nią głowę i pić jej zdrowie.

A następnie, rzecz jasna, buchnąć cholerze tę durną lampę Aladyna.

Przechadzaliśmy się z Achillem wśród gości. Zgarnęłam kieliszek szampana z tacy, którą kurczowo ścisnął służący. Piękny kieliszek błyszczał wewnętrznym światłem, a złoty napój musował. Upiłam łyk i zaraz wyplułam

go z powrotem do kieliszka. Elżbieta chyba zapomniała, jak smakuje szampan, bo nie stworzyła nawet kiepskiej jego namiastki. Jej wyrób zalatywał ziemniakami i bimbrem.

- Nie pij - doradziłam Achillesowi, gdy także sięgnął w stronę tacy. - Niedobre, poza tym musimy być czujni.

Kamerdyner posłał nam przestraszone spojrzenie, widząc, że nefilim cofa rękę.

- Musicie wziąć - powiedział szybko. - Weźcie, weźcie natychmiast. Każdy musi wypić toast za zdrowie królowej. Inaczej spotka nas straszna kara. Weźcie kieliszek. Błagam. Weźcie go dla mnie i dla siebie. Inaczej królowa oderwie nam głowy, nadzieje je na pal i każe im patrzeć na nasze ciała leżące w rynsztoku.

Skrzywiłam się. Znaczyło to, że dekapitacja nie ułatwiała sprawy. Po czymś takim można było dalej żyć w Tartarze. Koszmar.

- Nie boję się - odparł dumnie Achilles.

- Ale on się boi - westchnęłam. - Zrób to dla niego. Niezadowolony olbrzym wziął kieliszek. Kamerdyner zaczął nam dziękować. Szybko odeszliśmy na bok.

- Masz zbyt łaskawe serce, bogini - rzekł Achilles.

- To moja wada - mruknęłam.

Nigdzie nie widziałam księżnej. Najwyraźniej zamierzała pojawić się dopiero wtedy, kiedy wszyscy goście znajdą się w ogromnej sali balowej.

Podniosłam oczy do góry, wpatrując się w złocony sufit ozdobiony kryształowymi żyrandolami. Gdyby coś takiego rąbnęło o ziemię, to ho, ho, zabiłoby kilkadziesiąt osób.

Ostatni goście pokonali wejście. Za nimi do sali wszedł dumnym krokiem Beleth. Przy każdym ruchu złota bransoleta na jego kostce cicho brzęczała.

- Proszę o ciszę! - zawołał.

Spojrzenia zebranych skierowały się w jego stronę. Beleth przeszedł przez całą salę. Dopiero teraz dostrzegłam, że na jej drugim końcu znajdował się potężny tron postawiony na trzystopniowym podwyższeniu. Gdy ifrit stanął za oparciem, rozległy się głośnie fanfary. Ukryte za lustrami drzwi otworzyły się. Wszyscy wstrzymali oddech.

Najpierw próg przekroczyło trzech błaznów. Dzwoneczki na ich kolorowych czapkach brzęczały przy każdym kroku. Żółtoczerwone stroje były w pasy, kropki, łaty. Wygięte do góry długie noski butów także zdobiły małe złote dzwoneczki. W odróżnieniu od gości błazny nie miały na twarzach masek. Dopiero gdy mnie mijali, zorientowałam się, kim naprawdę byli ci szkaradni ponuracy. Obok mnie przeszedł Neron, Hitler i Kuba Rozpruwacz. Zdetronizowani władcy Tartaru. Fanfary zabrzmiały jeszcze raz.

W ślad za swoimi sługami próg przestąpiła królowa Elżbieta. Jej suknia mieniła się w świetle lamp. Płatki złota, delikatnie naszyte na biały materiał, odbijały światło. Szeroki kosz fortugału rozkładał materiał na boki. Cichy brzęk

bogactwa rozchodził się echem przy każdym stąpieniu władczyni. Jej głęboki dekolt ozdobiony był koliaż z mieniących się diamentów. Czarne włosy spięte w wysoki kok sprawiały, że okrąg a twarz wydawała się szczuplejsza. Czerwone usta rozciągnęły się w złośliwym uśmiechu. Była olśniewająca.

Jako jedyna kobieta na sali nie miała maski, która zasłoniłaby jej porażającą zmysły urodę.

Uniosła dłoń, by poprawić tren sukni. Dopiero teraz dostrzegłam małą buteleczkę przytroczoną w talii. Kryształ nikał w błysku złota. Władczyni taka jak ona nie nosiłaby przecież u pasa metalowej lampy. Gustowniej jest zamknąć dzina w buteleczce perfum.

Na oko flakon miał osiem centymetrów wysokości. Jakim cudem Beleth się tam mieścił?

Usiadła na złotym tronie. Ifrit skłonił głowę, gdy na niego spojrzała. Zacisnął mocno szczęki. Jego oczy rzucały zielonkawe pioruny.

- Wznieśmy toast! - zawołał.

W jego wyciągniętej dłoni zmateriałizował się kieliszek szampana.

- Za królową Tartaru. Za królową Elżbietę Batory, władczynię Tartaru, księżną węgierską, panią na zamku w Čachticach. Zdrowie!

W wysokim pomieszczeniu rozległ się zgodny, ale niezrozumiały pomruk. Wszyscy unieśli kieliszki i wypili sztucznego szampana. Udałam, że moczę w tym paskudztwie usta. Achilles bez mrugnięcia okiem przełknął napitek w całości.

- Niezłe - mruknął tylko, kiwając głową z uznaniem, i czym prędzej sięgnął po kolejny kieliszek. Służący w liberii podziękował mu wzrokiem zbitego psa.

- Jak już wiecie - przemówił znowu Beleth - władze w Tartarze zmieniły się. Dyktatorski reżim ustąpił, przekazując rządy monarchii, która będzie je sprawować sprawiedliwie i łaskawie.

Złośliwy chichot Elżbiety wyraźnie temu przeczył, jednak ifrit nie tracił animuszu:

- Dobra królowa odmieni wasz los na lepszy, ale musicie być jej wierni i lojalni. Każdego, kto w jakikolwiek sposób pomoże błąznowi, spotka ciężka i okrutna kara.

Byli władcy Tartaru siedzieli skuleni na stopniach u stóp królowej. Skurczyli się w sobie, słysząc słowa Beletha. Z ulgą poprawiłam maskę na nosie. Hitler powinien mnie w niej nie rozpoznać. Nie będę musiała oddawać mu obiecanej przysługi.

Podejrzewam, że w tym momencie wyrywający kolejne dzwoneczki ze swojego stroju führer nie poprosiłby mnie o zlikwidowanie łysinki.

- Królowa już zwróciła wam kolory! Nasz świat codziennie się zmienia. Czeka was wspaniałe wieczne życie. Czujcie ją, chwalcie ją, a spotka was nagroda.

Ciszę w sali balowej można by kroić nożem. Ukryte za maskami twarze nie wyrażały żadnych emocji, jednak niechęć, jaką Tartaryjczycy odczuwali wobec szykujących się zmian, była nie do ukrycia. Ich życie pośmiertne nie należało do przyjemnych. A zapowiadało się, że będzie jeszcze gorzej...

- Niech żyje królowa! - zawołał ifrit.

Elżbieta sięgnęła do jego dłoni i położyła ją sobie na ramieniu, a następnie zsunęła na dekolt. Czarne, głodne oczy wbiła w jego usta.

- Niech żyje królowa - powtórzyli wszyscy ponuro. Owszem. Niech żyje. Póki jej nie zabiję za podrywanie mojego chłopaka.

Muzyka grała w tle. Nieliczni Tartaryjczycy usiłowali przy niej niezdarnie tańczyć. Jednak większość tego nie potrafiła. Stali pod ścianami i popijali sztucznego szampana bez umiaru, mając nadzieję, że bal niebawem się skończy.

Królowa nie próżnowała. Mogliśmy podziwiać ją w walcu z Heraklesem, a potem z Tezeuszem i Odyseuszem. Pozostałych herosów, którzy przewijali mi się przed oczami, przedstawiani przez mojego towarzysza, nie znałam. Luźno kojarzyłam tylko ich imiona z greckiej mitologii i dzieł Homera. Następni na liście do tańca byli Achilles i Perseusz. Elżbieta nie tańczyła ze zwykłymi Tartaryjczykami. Wybierała herosów górujących nad innymi wzrostem, siłą i energią. Najwyraźniej podniecali ją umięśnieni, niespecjalnie inteligentni faceci. - Zauważyłam, że Beleth nie odstępował władczyni. Caiy czas trzymał się w pobliżu. W zasięgu jej wzroku. Co on wymyślił? W ten sposób nigdy nie porozmawiamy!

- Achillesie, mam plan - szepnęłam do kompana.

- Na twe rozkazy, bogini. - Wychylił nie wiem już który kieliszek szampana, a wciąż trzymał się prosto i mówił bez zajknięcia. Trening czyni mistrza.

- Zaprosisz Elżbietę do tańca. Wtedy ja będę mogła porozmawiać z Belethem.

Nefilim pobladł.

- Bogini, muszę?

- A co jest nie tak?

- Nie umiem tańczyć tych dziwnych tańców... No tak... w starożytnej Grecji nie tańczono walca.

- Daj spokój. Herakles dał sobie jakoś radę. Tezeusz też nie wybrzydza. Zobacz, jak świetnie mu idzie.

Heros na naszych oczach okręcił królową w dość dziwnym piruecie, podstawił jej nogę i ratując od niechybnego upadku, poderwał do góry, prawie wrywając ramię ze stawu. Czerwona jak burak Elżbieta nie była chyba zachwycona tym manewrem. A w każdym razie wywnioskowałam to po jej krzykach.

- Tobie na pewno pójdzie lepiej - pocieszyłam Achillesa - To nic strasznego. Trochę potupiesz w miejscu i będzie okej.

- Okej?

- Będzie dobrze - westchnęłam.

Nagle poczułam przemożną chęć spojrzenia przez lewe ramię. Aż swędziała mnie od tego cała skóra. Odwróciłam się i napotkałam spojrzenie złotych oczu mojego Beletha. Uśmiechnął się do mnie kpiąco.

- *Nie tańczysz?* - usłyszałam w głowie jego głos.

- *Czekam, aż mnie poprosisz* - odpowiedziałam. - *A Achilles czeka, aż królowa go zauważy.*

Ifrit podszedł do księżnej Elżbiety, która wciąż strofowała biednego Tezeusza. Chłop dwa metry wysokości, nie wiadomo ile w barach, a kajał się przed nią niczym przedszkolak. Patrzyłam spod rzęs i znad wyczarowanego wachlarza, jak Beleth pochylił się do królowej i szepnął jej coś do ucha.

Elżbieta odwróciła się w naszą stronę. Jednak jej spojrzenie nie skierowało się na mnie. Wbiła wzrok w zakłopotanego Achillesa.

- Trzymaj się - szepnęłam.

Głośno przełknął ślinę i zaczął się rozglądać za kolejnym kieliszkiem. Na jego nieszczęście nigdzie w pobliżu nie było służącego w liberii z tacą pełną ziemniaczanych alkoholi.

Księżna w asyście Beletha ruszyła w naszym kierunku. Skłoniłam się szybko, pochylając głowę aż do piersi, gdy znalazła się tuż przy nas, brzęcząc złotymi krążkami wszytymi w suknię. Wstrzymałam oddech mając nadzieję, że mnie nie rozpozna.

Usłyszałam, że głośno sapnęła.

- On się nam nie skłonił - syknęła.

- Achillesie - dotarł do mnie karcący głos ifrita. - Królowej należy się pokłonić. W twoich czasach zapewne także obowiązywał ten zwyczaj.

Nefilim o lekkich skłonnościach do przesady opadł gwałtownie na kolana. Aż gruchnęło, kiedy jego rzepki spotkały się z marmurową posadzką.

- Proszę o wybaczenie - mruknął.

Zerknęłam na niego kątem oka. Niepokorny heros mrugnął do mnie rozbawiony. Kpienie sobie z władców było jego znaną cechą. Agamemnonowi na pewno nie raz poszło w pięty.

- Niech zaprosi nas do tańca - zażądała władczyni. Nefilim odchrząknął głośno i wydukał niechętnie:

- Królowo, zatańczysz ze mną?

W odpowiedzi zaśmiała się tylko. Achilles zniknął z mojego pola widzenia, kiedy wstał. Powoli zaczynały cierpnąć mi kolana zgięte w pokłonie. Miałam tego dość.

- Pani, czy pozwolisz, żebym i ja się zabawił? - usłyszałam Beletha. - Chciałbym także z kimś zatańczyć. Ta tutaj stoi samotnie.

- Hm... - księżna wyraźnie nie była zachwycona tym pomysłem.

- Tylko jeden walc, pani. Nadal będę na każde skinienie Waszej Wysokości.

- Och, królowa jest litościwa. Pozwalamy ci na jeden walc. Jednak tylko jeden.

- Dziękuję, pani, bardzo dziękuję - ifrit wciąż się płaszczył. Usłyszałam, jak brzęknięcia oddalają się od nas. Achilles zadbał o to, byśmy mogli w spokoju porozmawiać.

Poczułam, jak ktoś delikatnie głaszcząc mnie po gołym ramieniu.

- Wiki, już możesz wstać. Wyprostowałam się z ulgą.

- Całe szczęście, nie wyobrażasz sobie, jak mnie rozbolały kolana! - jęknęłam.

Przez tę sukienkę na drutach nawet nie mogłam ich pomasować. Marzę o długiej kąpieli w wannie z bąbelkami i różanym płynem do kąpieli. Albo kokosowym. Tak, zdecydowanie kokosowym.

- Wyobrażam sobie - uśmiechnął się.

- To co, już się na mnie nie złościsz? - zapytałam, gdy wziął mnie za rękę i poprowadził w walcu w kąt sali.

Wolno wirując, zbliżaliśmy się do jednego z wyjść. Mieszkańcy Tartaru usiłujący tańczyć uskakiwali nam z drogi.

- Nie złościłem się na ciebie. Jestem zły na samego siebie. Mogłem przewidzieć, że ktoś może nas śledzić. Opowiadałaś mi przecież o Elżbiecie. Zlekceważyłem twoje słowa. Byłem zbyt brawurowy. Chciałem ci pokazać, jaki teraz jestem silny.

Mocniej się do niego przytuliłam.

- Jak to? Elżbieta nas śledziła?

- Tak, szła za nami przez jaskinie. Nie wiem, w jaki sposób, ale najwyraźniej podsłuchiwała nasze rozmowy o ucieczce. Ruszyła naszym śladem, a w odpowiednim momencie spowodowała lawinę.

- A jakim cudem cię zapuszkowała?

Rozśmieszył go dobór słów.

- Nie jestem dżinem z baśni Szeherezady.

- Azazel podejrzewa, że wyłącznie dlatego, że Elżbieta nie miała pod ręką miedzianej lampy - odparłam.

Beleth nie odpowiedział. Zasepił się. Najwyraźniej podstępny diabeł miał znowu rację.

- Ciekawe, co jeszcze interesującego powiedział ci Azazel - westchnął.

- Powiedział, że spełniasz życzenia.

W tym momencie dotarliśmy już do korytarza prowadzącego do zaciemnionej części zamku. Ifrit pociągnął mnie w tamtą stronę. Skryliśmy się w mroku przed ciekawskimi spojrzeniami, a wtedy przycisnął mnie do ściany, oparł swoje czoło na moim, a ja przymknęłam oczy i mocno się do niego przytuliłam. Tak się o niego bałam!

- Wiki - szepnął zduszonym głosem.

Przypomniałam sobie inny bal, inną sukienkę, inny ciemny korytarz. *Deja vu.*

- Pamiętasz bal u Szatana? - zapytałam.

Uniosłam głowę. Stuknęliśmy się nosami. Beleth delikatnie przesunął samymi opuszkami po mojej dłoni, potem przedramieniu. Zatrzymał się na chwilę na łokciu, by następnie pieścić dotykiem ramię, bark i szyję.

- Pamiętam. Byłaś wtedy tak samo piękna jak teraz - jego niski, aksamitny szept był tuż przy moim uchu. Drażnił, laskotał delikatną skórę szyi.

Krew szybciej popłynęła w żyłach. Zaczerwieniłam się. - Beleth, ja...

Zamknął mi usta palcami.

- Ciii... - szepnął.

Po chwili poczułam, jak mnie całuje. Delikatnie, romantycznie. Bez nachalności czy zbędnej siły. To był delikatny pocałunek niczym dotknięcie skrzydeł motyla. A jednak zakochałam się w nim i już wiedziałam, że będę go kiedyś wspominać z rozrzewnieniem. Będę wspominać ten szept, dotyk i pieśczętę ust.

- Ucieknijmy - zaproponowałam.

Chwyciłam go za rękę i pociągnęłam za sobą w ciemność.

- Szybko, dopóki Elżbieta nie zauważyła! - dodałam. Przeszliśmy ledwie kilka metrów, gdy Beleth zatrzymał się gwałtownie. Szarpnęłam, ale nie ruszył się z miejsca. Zatrzymałam się zbита z tropu.

- Co robisz? Musimy uciekać.

- Nie mogę - odparł gorzko. - Jestem więźniem królowej.

- Ale więzień zawsze może uciec, tak?

- Jak słusznie wcześniej zauważyłaś, zostałem „zapuszkowany”. Księżna zamknęła mnie we flakonie perfum. Jako jej dzin nie mogę oddalić się od niej dalej niż osiemdziesiąt osiem metrów.

Jakaś siła pociągnęła mojego ifrita w tył. Jego dłoń wymknęła się z mojej. Zatrzymał się kilka metrów dalej.

- Właśnie o tym mówiłem - w jego głosie zabrzmiała gorycz. - Widocznie tutaj znajduje się magiczna granica osiemdziesięciu ośmiu metrów. Elżbieta zapewne się przesunęła.

Podeszłam do niego. Nasze twarze oświetlał blask dochodzący z sali balowej. Zdarłam maskę. Mógł teraz zobaczyć moją twarz tak samo wyraźnie jak ja jego. Po policzkach pociekły mi łzy.

- To co teraz? - zapytałam. - Co mam zrobić? Jak ci pomóc?

- Wiki. - Przytulił mnie i scałował słone łzy. - Wybrniemy z tego. Muszę spełnić trzy życzenia królowej. Jedno już wykorzystała. Jeszcze tylko dwa.

- O co już poprosiła?

- Tu jest niestety pewien problem. Poprosiła mnie o diabelską moc...

- Dałeś jej ją?!

Nie mogłam w to uwierzyć. Jak mógł popełnić takie głupstwo? Przecież bez mocy diabelskiej księżna posiadająca tylko niepełną Iskrę byłaby zwykłą płótką, którą można by bez problemu zlikwidować.

- Wiki, nie miałem wyboru. Jestem dzinem. Muszę spełnić jej trzy życzenia, inaczej nie odzyskam wolności. Takie są zasady. My, dziny, musimy wykonywać rozkazy istot, które nas pojmały.

Zastanowiłam się. Nie podobało mi się to. Bardzo mi się to nie podobało. Teraz miałyśmy równe szanse. W każdej chwili Elżbieta mogła mnie zniszczyć.

Ba, kto wie, czy z powodu swojego szaleństwa, a zwłaszcza wymordowania większości dziewcząt na Węgrzech, nie była ode mnie potężniejsza? W końcu nie wiadomo, czy nie odsączyła wtedy jakiejś Iskry przez przypadek.

- To co teraz? - powtórzyłam.

- Albo cierpliwie poczekamy, aż wykorzystasz życzenia, a ja jej wtedy ucieknę, albo ukradniemy flakon.

- A co to ci da? Nadal będziesz dzinem zamkniętym w butelce.

- Niemniej butelka nie będzie już w rękach Elżbiety, więc będę mógł się od niej oddalić na odpowiednią, czyli bezpieczną odległość.

To miało sens. Wydawało mi się jednak, że Beleth czegoś mi nie mówił. Może miał rację, że flakon będzie bezpieczny. Tak, ale nie zmieni to faktu, że on sam pozostanie sługą Elżbiety. Jeśli zolta się kiedyś przypaleta i znajdzie buteleczkę, to znowu będzie mogła mieć nad nim absolutną władzę.

- Nie ma innej możliwości oswobodzenia cię niż wyczerpanie życzeń przez królową? - zapytałam.

- Jeszcze tylko jej śmierć zapewnia mi wolność.

Z sali balowej dobiegała do nas wolna muzyka. To Beleth ją tworzył, więc zadbał, by ten walc był odpowiedniej długości. Ciekawe, jak Achilles sobie radził?

Śmierć Elżbiety. Brzmi pięknie. Tylko jak tego dokonać? Cholera jest teraz całkiem potężna. Owszem, ale gdybym tego dokonała, mielibyśmy zapewniony spokój. Z tego, co wiem, nikt więcej nie czyha na nasze: a) moce, b) życie, c) miłość, d) artefakty, które rzekomo są w naszym posiadaniu. Bylibyśmy wreszcie wolni. Wolność za śmierć osoby tak przesiąkniętej złem jak Elżbieta to ogromna pokusa.

- Wiki, nawet nie myśl o zabiciu królowej - ostrzegł mnie ifrit.

- Skąd wiesz, że myślę o jej śmierci? - zapytałam podejrzliwie.

- Zaczęłaś się uśmiechać...

Przyznam że takiej odpowiedzi się nie spodziewałam.

- Jeśli spróbujesz to sama zginiesz, a ja do tego nie dopuszczę. Rozumiesz? - Ścisnął mnie mocno za ramię. - Ona jest bardzo potężna i znacznie bardziej przebiegła od cienie. Poczekajmy, aż wyczerpie życzenia.

Jasne, świetny pomysł. Poczekajmy, aż zapragnie zostać boginią. To na pewno będzie znacznie prostsze. Dać sobie z nią potem radę.

- A w ogóle, w jaki sposób dałeś jej diabelską moc? - zapytałam autentycznie zaciekawiona. - Przecież w tym celu musiałaby zjeść jabłko.

- Jestem ifritem. Dla dzina nie ma rzeczy niemożliwych. Kiedy zapragnęła mocy, ja jej ją dałem. Nie miałem wyboru. Gdybym bez życzenia usiłował osiągnąć coś takiego, to nigdy by mi się nie udało.

Dobre.

Gorzej, że Elżbieta naprawdę może zostać prawdziwą boginią, jeśli wpadnie na ten pomysł. A jeszcze gorsze jest to, że wtedy zabicie jej stanie się w zasadzie niemożliwe.

- W jaki sposób można zabić boga? - zapytałam pod wpływem impulsu.

- Zabić boga można... zaraz! Co? Jak to zabić boga? Co to za filozofowanie? Masz na myśli tego Boga?

- Tak tylko pomyślałam, że byłoby kiepsko, gdyby księżna poprosiła cię o boskie moce.

Beleth zasepił się. Potargał włosy nerwowym gestem.

- Nie jestem pewien. Wydaje mi się, że każdego boga można zabić jedynie przez zapomnienie. On żyje w każdym z nas. Gdy nikt nie będzie o nim pamiętał, to przestanie istnieć. Ale o czym my w ogóle rozmawiamy? - Zamachał nerwowo rękami. - Ona na pewno nigdy o nic takiego poprosi. To mogą wymyślić tylko wierzący, tacy jak Moroni czy Azazel. Ta bezbożnica nie powinna wpaść na ten pomysł. Nie zabijemy jej ani teraz, ani nigdy. Koniec dyskusji. Będziemy czekać, aż wyczerpie życzenia, co, jak podejrzewam, nastąpi bardzo szybko. Dobrze? To najbezpieczniejszy sposób.

Niechętnie pokiwałam głową. Na całe szczęście byliśmy w Tartarze. Miejscu jeszcze gorszym od Piekła. Spokojnie mogłam tu skłamać, nie bojąc się konsekwencji.

Beleth znowu przesunął się do tyłu.

- Musimy już iść - powiedział szybko. - Królowa chyba coś zauważyła.

- Idź przodem. Lepiej, żeby nie zobaczyła nas razem - odparłam, wkładając z powrotem maskę na twarz.

- Nie rób niczego pochopnie - ostrzegł mnie jeszcze i pobiegł do sali balowej.

Wolnym krokiem zaczęłam krążyć po korytarzu. Stałam tyłem do wejścia. Tańczący Tartaryjczycy mnie rozpraszały, a chciałam zebrać w spokoju myśli.

Nie zamierzałam czekać, aż Elżbieta wykorzysta trzy życzenia. O nie! To byłaby kompletna głupota. Beleth chyba w ogóle tego nie przemyślał.

Muszę zdobyć ten flakon perfum. Tylko jak?

- Mrrrrrr...

Zamarłam w bezruchu.

- Mrrrrrrrrrr... - ponownie rozległo się gdzieś za moimi plecami.

Serce zaczęło mi mocniej bić ze strachu. Coś mnie zaraz zaatakuje!

Przed sobą na ścianie zauważyłam sylwetkę wysokiego, barczystego mężczyzny. Odrobinę się uspokoila.

- Achilles, czy ty musisz się tak skradać? - sarknęłam. Jednak naprzeciwko mnie nie było nefilima.

Długi czarny cień ciągnął się wprost do małego czekoladowego kota z kremowo-rudym uchem.

- Mrrr, miau, mrrrr - powtórzył.

- Behemot! - Nie dbając o druty w sukni i o grubą warstwę kurzu na posadzce nieużywanego korytarza, opadłam na kolana i złapałam kota w objęcia.

Bezdomny kociak, który wybrał mnie na swoją właścicielkę, był bardzo drobnym kotem. Nie przeszkadzało mu to jednak w byciu najbardziej diabelskim kocurem na całym świecie oraz pogromcą ptaków w Niższej Arkadii. Miałam wrażenie, że składał się z samych mięśni. W jego szczupłym, zgrabnym ciałku nie było nawet grama zbędnego tłuszczu.

Behemot, zaprzysiężony mięsożerca, jak na inteligentnego kota przystało, spróbował kiedyś diabelskiego jabłka. Efekt był zdumiewający. Potrafił strzelać iskrami z małego różowego noska, chodzić po ścianach i suficie, a także, co najważniejsze, przenosić się do Tartaru, gdzie przecież nikt poza ifritami nie ma bezpośredniego wstępu!

Osobiście uważam, że mój kot świetnie do mnie pasuje.

- Co ty tu robisz?

Kotek oczywiście nie odpowiedział. Wydaje mi się, że moc diabelska pozwalała mu na mówienie, ale z wrodzonej kociej przekory tego nie robił.

- Przyszedłeś mi pomóc? - moje pytanie miało w sobie więcej myślenia życzeniowego niż autentycznej ciekawości.

Behemot nie odpowiedział. To było poniżej jego godności. Dawał mi się w spokoju głaskać pod brodą i przymykał z uwielbieniem oczy, mrużąc donośnie, ale nie skomentował moich słów.

Zaczęłam zastanawiać się nad jego cieniem. Mały kotek o cieniu dużego człowieka. Bez zastanowienia wzięłam go za Achilleś.

Uśmiechnęłam się pod nosem i przytuliłam kota.

- Dzięki, Behemocie, że do mnie przyszedłeś z radą - szepnęłam w jego pachnące wiatrem i liśćmi futro.

Już wiedziałam, jak niepostrzeżenie zbliżyć się do Elżbiety i ukraść jej flakon perfum oraz oczywiście mojego chłopaka.

Nieistniejący chór zaczął śpiewać przy akompaniamencie ponurej muzyki organów. Skryłam się w cieniu, obserwując tańczące pary. Kot Behemot miauknął przy moich stopach. W tym momencie nie był zainteresowany pomaganiem mi. Najbardziej intrygowały go fioletowe wstążki przy spódnicy.

Sięgnęłam po jedną z nich i szarpnięciem oderwałam razem z kawałkiem materiału. Kocur był wniebowzięty. Chociaż już dawno przestał być kociakiem, rzucił się z szaleństwem w oczach na posadzkę, podrzucając wstążkę, swoją nową zabawkę. Otrzymał zapłatę za wskazówkę. Przynajmniej tyle mogłam zrobić, odkąd przestałam go karmić.

Suknia zaczęła falować. Kurczyła się, skracała, aż odsłoniła moje kolana i zamieniła się w białą togę. Wstążki opadły niczym zwiędnięte kwiaty. Złoty sznur pojawił się znikąd, otaczając moją talię. Pantofle na obcasie opuściły się. Wysunęły się z nich rzemienie, wiążąc moje łydki aż po kolana.

Czas na ostateczną zmianę.

Włosy skróciły się, zamieniły na blond loki. Zaczęłam rosnąć, aż osiągnęłam dwa metry i trzydzieści centymetry. Togę wypełniło silne ciało. Biodra zwężyły się, gdy jednocześnie uda nabrały mięśni. Palce wysunęły mi się z sandałów.

Pstryknęłam palcami mojej nowej ręki o dłoni wielkości talerza ze spracowanymi, pełnymi odcisków opuszkami. Pojawił się w niej złoty wieniec z liści laurowych. Włożyłam go na czoło, tuż nad wypukłymi łukami brwiowymi.

Drodzy państwo, powitajcie herosa nad herosami. Jestem Perseusz. Ostatni heros, z którym nie tańczyła Elżbieta. Jeszcze tylko muszę znaleźć oryginał i na chwilę go unieszkodliwić. Lepiej było nie tworzyć całkiem nowego greckiego bohatera. Ich era dawno już przeminęła. Księżna mogłaby się zorientować, że coś jest nie tak.

Ruszyłam do przodu.

- Mrrauuu - zatrzymał mnie koci wyrzut.

Behemot przyglądał mi się z potępieniem w złotych oczach. Następnie obszedł mnie swoim krokiem zbója. Kroczył z gracją małego zabójcy. Głowę trzymał nisko, patrzył na wszystko i wszystkich spod przymrużonych powiek oraz mocno stawiał przednie łapki, w taki sposób, że jego barki falowały.

- Tak, rozumiem. Mam chodzić jak facet - powiedziałam i zdałam sobie sprawę, że nie zmieniłam głosu. - I mówić jak chłop - dodałam już znacznie niżej.

Kot miauknął zadowolony i ściskając w zębach fioletową wstążkę, odszedł w mrok. Nie wiedziałam, kiedy znowu go spotkam. Znając mojego diabelskiego towarzysza, mogło to nastąpić jutro bądź nigdy.

Zamknęłam oczy i w myślach wyszeptałam imię Perseusz. Wzywałam go. Ciekawe tylko, czy posłucha głosów w swojej głowie? Mógł słyszeć je na tyle często, że przestał już zwracać na nie uwagę.

Na szczęście niedaleko wejścia do korytarza pojawił się lekko oszołomiony heros. Rozglądał się na boki nieprzytomnym wzrokiem.

- Perseuszu! - zawołałam go i cofnęłam się w cień.

Olbrzym dziarskim krokiem wszedł w ciemność. Nie spodziewał się, że ktoś może chcieć zrobić mu krzywdę. Jemu? Herosowi?

Kiedy znalazł się obok mnie, delikatnie musnęłam jego dłoń. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki osunął się na podłogę. No dobra, rąbnął o posadzkę całym ciężarem. Tego elementu porwania nie przemyślałam zbyt dokładnie.

Gdy już został skutecznie unieruchomiony dużą ilością więzów i łańcuchów, mogłam wcielić w życie mój plan.

Stawiając szeroko nogi i lekko kiwając się na boki, weszłam na parkiet. Dzięki słusznemu wzrostowi widziałam całą salę ponad głowami innych gości. Księżna nie tańczyła już z Achillesem. Olbrzym stał w kącie, trzymając kamerdynera za frak i osuszając łąpczywie wszystkie kieliszki, które ten miał na tacy.

Ten walc był dla niego bardziej stresujący, niż myślałam.

Elżbieta razem w Belehem płaśała pośrodku. Otaczał ich krąg ludzi podziwiających misterny i pełen figur taniec. Mój ifrit był doskonałym tancerzem. Potrafił telepatycznie przekazać wiedzę o krokach i zasadach tańca. Jego partnerka musiała tylko dać się poprowadzić. Reszta była bajecznie prosta.

Stałam w pierwszym rzędzie. Flakon był przywiązany do paska jej sukni, na prawym biodrze. Będę musiała niepostrzeżenie go zabrać i podłożyć na jego miejsce podróbkę. Chłonełam wzrokiem każdy najdrobniejszy szczegół buteleczki. Królowa nie mogła zbyt szybko zauważyć zguby.

Tylko gdzie powinnam ukryć flakon? Kusa toga nie zapewniała zbyt wielu kryjówek. Mogłam schować coś jedynie pod nią. Stworzyłam głęboką kieszeń po wewnętrznej stronie spódniczki.

Nie było na co czekać. Miałam tylko jedną szansę. Nie będę zastanawiać się w nieskończoność.

Dziarskim i mam nadzieję w miarę męskim krokiem ruszyłam na środek sali. Beleth zmarszczył brwi, gdy podeszłam bliżej. Księżna także była zaskoczona.

- Pani - padłam na kolana przed złą królową i głęboko pochyliłam głowę.
- Zatańczysz ze mną?

- My? Z tobą? - zapytała i zaśmiała się perliście. - Kim jesteś, że ośmielasz się bezpośrednio zwracać do królowej? Powinieneś być zgłosić się do mego sługi, dzina.

- Wybacz, pani - odparłam pokornie. - Nie znam etykiety. Jestem tylko zwykłym herosem.

Podniosłam głowę i spojrzałam jej prosto w oczy. Staralam się mieć błagalne spojrzenie. Nie wiem, czy mi się udało, bo nadal nie była przekonana. Za to Beleth zaczął coś podejrzewać. Przyglądał mi się badawczym wzrokiem. Moja kopia Perseusza nie była chyba aż tak doskonała, by zdołała go bez trudu zwieść.

- Królowo, sądzę, że nie powinnaś z nim tańczyć - powiedział szybko. - Ten śmiałek złamał zasady etykiety. Pozwól mi wyprowadzić go z balu.

- Tak od razu go wyrzucić? - zdziwiła się władczyni.

- To będzie przestroga dla innych, by nie łamali zasad dworskiej etykiety - głos ifrita był twardy niczym skała. - Jeszcze tylko tego brakuje, by plebejusze bez pytania wszędzie się wprasali.

- Mój dżinie, jesteś zbyt surowy. - Księżna wyduła czerwone usta. - Spójrz na niego. To heros. Królowa lubi herosów. Zatańczymy z nim. A ty idź przed zamek i sprawdź jeszcze raz czy wszystko jest dobrze przygotowane do tych powietrznych ogni, o których mi opowiadałeś. Pozwalam ci odejść na odległość trzystu metrów.

- Ale pani...

- Bez dyskusji! - syknęła.

Jej oczy załśniły bielą, gdy sięgnęła mimowolnie po moc Iskry Bożej. Moje także zawsze pokrywała mleczna mgła gdy korzystałam z sił po przodkach, Adamie i Ewie których w prostej linii byłam wnuczką. Jednak Elżbieta nie była z nimi tak blisko spokrewniona jak ja. Ona nie miała prawa do ich spadku. Ona go ukradła.

- Jeśli mogę coś powiedzieć... - szybko odezwałam się, zanim ifrit odszedł.

- Mów - nakazała królowa.

- Mój kompan, Achilles, chyba zanadto sobie podchmielił Mo_{ze} czcigodny dżin mógłby zabrać go ze sobą na powietrze? Obawiam się, że pod wpływem zmażenia w głowie może wyrządzić szkody. Bywa agresywny.

- Jak wy wszyscy - pouczyła mnie księżna. - Dżinie Słyszałeś. Zabierz stąd Achillea. Ich wszystkich należałoby się niedługo pozbyć. Mogą nam sprawić kłopoty.

Zaczerwieniłam się ze złości. Ja także byłam herosem, a ona nie wstydziła się mówić przy mnie takich rzeczy. Gdybym nie była podróbką, to mogłabym w tej chwili solidnie się zdenerwować. Wytrzymałość nefilimów nie była zbyt duża i każdy z nich miał bardzo silnie zakorzenione poczucie własnej wartości.

Królowa kiedyś zginie przez swoją głupotę. Mądry władca, choćby nawet był tyranem, nie postępuje tak jak ona. - Możesz wstać - rozkazała mi.

Podniosłam się. Serce waliło mi w piersiach. Jak ja ukradnę ten przeklęty flakon? Może prościej byłoby urwać jej głowę na środku sali albo zmienić w robaki i rozgnieść? Nie, przysięgam, że nigdy więcej nikomu tego nie zrobię. Nie złamię tej przysięgi. Dotrzymam słowa danego samej sobie.

Muzyka zmieniła się. Przyspieszyła. Takty były mniej więcej dwa razy szybsze niż w walcu angielskim. Cholera, co ona wymyśliła?

- Jestem ciekawa, czy poradzisz sobie w walcu wiedeńskim. - Jej krwiste usta rozciągnięte były w pełnym pogardy uśmiechu. - Jeśli mnie podepczesz, każę uciąć ci stopy

- Rozumiem, pani - przełknęłam ślinę.

Używając diabelskich mocy, szybko przefiltrowałam w głowie informacje na temat tego tańca. Pyk i już umiałam go tańczyć. Stopy były bezpieczne.

Szlag. Moje ręce będą znajdować się daleko od flakonu. Prawą dłoń powinnam trzymać na jej lewej łopatce, a moja lewa ręka będzie spleciona z jej dłonią. Będę musiała coś wymyślić.

Staaliśmy naprzeciwko siebie. Uniosłam głowę i odchyliłam ją lekko w lewo. Objęłam drobne ciało Elżbiety i uniosłam nasze splecione dłonie na wysokość jej głowy. Odliczyłam w pamięci takt i poprowadziłam ją w walcu. Ruszyliśmy z pięty.

Usłyszałam pełne zachwytu westchnienie księżnej.

- Jesteśmy zadowolone - powiedziała po chwili niskim głosem. - Nie sądziłyśmy, że będziesz umiał tańczyć, a okazałeś się partnerem godnym władczyni. Prawie tak dobrym jak dzin. Jak cię zwą?

- Eee... jestem Perseusz - mruknęłam.

- Perseusz - mlasnęła. - Cóż za intrygujące imię.

Jej dłoń oparta na moim biodrze zsunęła się odrobinę niżej.

- Ciekawi nas, w czym jeszcze jesteś dobry - zaśmiała się. No bez jaj... teraz będzie mnie jeszcze podrywać? Naprawdę wystarczy tylko umieć tańczyć i być wysokim, żeby jej zaimponować? Płytki baba...

- W noszeniu kamieni - mruknęłam ponuro.

Usłyszała ton mojego głosu. Zerknęła na mnie pomimo mocno odchylonej w lewo głowy.

- Sądzę, że możemy o tym pomyśleć - powiedziała. - Na pewno znajdziemy ci inne zajęcie.

Nie wątpię.

Wykonaliśmy kilka obrotów. Wciąż nie wiedziałam, jak dostać się do flakonu. Musiałam coś wymyślić. Żaden ze mnie zwinny złodziejasek. To musi być coś łatwego.

Zanim wykonaliśmy kolejny obrót, puściłam ją, złapałam za biodra i uniosłam do góry. Nie gubiąc rytmu, odstawiłam i ponownie przyjąłem pozycję do walca. Po chwili powtórzyłam ewolucję.

- Ojej, nie pamiętamy, żeby walc miał takie kroki - sapnęła, gdy znowu ją odstawiłam.

- Taki taniec jest znacznie bardziej ekscytujący - stwierdziłam.

Przy kolejnym podniesieniu udało mi się odpiąć flakon. Szybko przełożyłam go z lewej ręki do prawej. Uniosłam buteleczkę za plecami Elżbiety, udając, że trzymam ją za łopatkę.

Wszyscy widzieli to, co robię. Nikt jednak nie zaprotestował. Twarde spojrzenia profesjonalistów wyrażały jedynie politowanie dla mojego stylu kradzieży.

Kiepski ze mnie złodziej. Każdy to wiedział.

Pytanie tylko, czy ktoś na mnie doniesie, a jeśli tak, to jak szybko to zrobi?

Nikt nie palił się do oznajmienia królowej, że została okradzona. Chyba bali się, że mogą mieć umięśnionych i mściwych kolegów.

Improwizując, zakręciłam królową i szybko wepchnęłam flakon pod togę. Materiał obsunął się. Jeszcze chwila, a wymknie się ze spinającej go na ramieniu broszy.

Muzyka gwałtownie ucichła.

- Mamy wrażenie, że zakręciło się nam w głowie. - Królowa rzeczywiście lekko się zataczała. - Koniec tańca.

Wciąż nie podrzuciłam fałszywego flaconu. Przymknęłam oczy, używając mocy, by nie zauważyła pobielających tęczówek. Spod spódnicy Elżbiety z głośnym brzdęknięciem wytoczył się sztuczny flakonik.

Miałam nadzieję, że udało mi się idealnie go odwzorować.

- Pani, coś ci upadło. - Schyliłam się po buteleczkę, ale królowa z głośnym piskiem mnie wyprzedziła.

- Och, dzin! - zawołała.

Z niebywałą przy tak ciężkiej i nieporęcznej sukni zręcznością znalazła się na czworakach i pazernie złapała toczący się flakon. Sięgnęła do paska u spódnicy i spojrzała na mnie podejrzliwie.

- Chyba odpiął się przy podnoszeniu - wyjaśniłam pokornie i skłoniłam się. - Proszę wybaczyć ten śmiały taniec.

Szybko przymocowała flakon do paska.

- Nie jesteśmy obrażone. Co do naszej sugestii w sprawie zmiany twego stanowiska, to zastanowimy się nad tym. Na razie zejdz mi z oczu.

Wyciągnęła w moją stronę dłoń. Ucałowałam ją.

- Zejdz nam z oczu - powtórzyła i odwróciła się do mnie plecami.

Tłum rozstał się przed nią. Idąc w stronę tronu, cały czas głaskała pustą buteleczkę, zupełnie jakby utwierdzała się w przekonaniu, że wszystko jest w porządku.

Zaczęłam się wycofywać, gotowa na ucieczkę w każdej chwili, gdyby tylko Elżbieta zorientowała się, że z flakonem jest coś nie tak.

Mieszkańcy Tartaru bacznie obserwowali każdy mój ruch. Słyszałam ich zdumione szepty. Zastanawiali się, kim jestem i czemu ośmieliłam się zrobić coś tak głupiego.

Droga do wyjścia dłużyła mi się w nieskończoność. W końcu dotarłam do oświetlonego witrażowymi latarniami korytarza. Jeszcze raz odwróciłam się w stronę podwyższenia, na którym zasiadała królowa. Wciąż nic nie zauważyła. Nie patrząc przed siebie, ruszyłam i zderzyłam się z kimś idącym naprzeciwko.

- Scheiße! - krzyknął człowiek przede mną. - Uważaj, jak leziesz.

Spojrzałam prosto w małe oczka Hitlera. Były kanclerz Rzeszy zerwał ze złością jeden z dzwoneczków wiszących na jego rogatej czapce błazna i rzucił na podłogę. Róg czapki wybrzuszył się. Na jego czubku powstał mały pączek, który po chwili zmienił się w taki sam dzwoneczek.

Hitler rzucił okiem na moją togę, ledwo zakrywającą umięśnione uda.

- Widzę, że i ciebie królowa uszczęśliwiła odpowiednim mundurem - warknął. - Taka hańba dla nas wszystkich! - Spod jego nakrycia głowy wypłynęła strużka potu. Było mu chyba bardzo gorąco. - Chciałbym mieć na sobie moje normalne ubranie - westchnął.

Uśmiechnęłam się. Nie lubiłam zostawiać nierozwiązanych spraw.

- Chciałbyś? Czyli życzysz sobie tego? - upewniłam się głębokim głosem herosa.

- Tak, niczego więcej teraz nie pragnę.

Rozejrzałam się, czy nikt nas nie widzi. Na szczęście zasłaniał nas dość gruby filar, bezsensownie ustawiony tuż obok ściany nośnej.

Chociaż może oznaczało to, że wcale nie była nośna...

Pstryknęłam palcami. Kolorowy strój Hitlera zafalował i zamienił się w szary mundur. Na piersi wystrzeliły znikąd ozdobne guziki. Czapka błazna zniknęła, odsłaniając postępującą łysinę.

- Co się dzieje? - krzyknął zduszonym głosem. - Kim jesteś?

Uśmiechnęłam się.

Mogłam wrócić do swojej postaci. Stałam się niższa. Włosy wydłużyły się i zwinęły w misterny kok stworzony przez Beletha. Toga z ukrytą kieszenią zamieniła się w fioletową suknię i małą kopertową torebkę, w której ukryty był flakon. Zdjęłam z twarzy maskę z piórem.

Hitler pobladł.

- Oddałam ci przysługę, którą obiecałam. Jesteśmy teraz kwita - powiedziałam i z powrotem zasłoniłam twarz.

- Nie! Nie! - zawył. - Miałaś mi pomóc obalić królową! Oszukałaś mnie!

- Powiedziałeś mi swoje życzenie, a ja je spełniłam. - Wzruszyłam ramionami. - Mogłeś milczeć.

- Nie wiedziałem, że to ty! Myślałem, że to zwykły heros.

- Są mniej zwykli, niż ci się wydaje - mój głos stwardniał. - A jeśli prosisz o przysługę diabolicę i jej ufasz, to liczą się z przykrymi konsekwencjami. Miłej wieczności w Tartarze. - Odwróciłam się od niego i szybkim krokiem ruszyłam korytarzem. Za plecami słyszałam powoli cichnące niemieckie przekleństwa.

Wybiegłam z zamku Elżbiety.

Twardą, złą babę mogłam zgrywać przed Hitlerem. Teraz chciałam jak najszybciej znaleźć się obok Beletha i się do niego przytulić. Miałam zdecydowanie za dużo na głowie. Powoli zaczęło mnie to przerastać. Pragnęłam zamknąć oczy, dać się otoczyć jego potężnymi ramionami i chociaż przez chwilę udawać, że nic złego się nie dzieje.

Kurczowo ścisnęłam torebkę z flakonem perfum. Czy gdybym ją zbiła, to coś by mu się stało? A może przeciwnie - zostałyby uwolnione? Wolałam jednak teraz tego nie sprawdzać.

Szybko pokonałam wyłożony brukiem dziedziniec. Niewygodne buty na obcasie ślizgały się na śliskiej kostce. Nigdzie nie widziałam mojego diabła ani Achillesa.

Zatrzymałam się, ciężko oddychając, przy złotej bramie. Gorset ścisnący ciasno moje żebra uniemożliwiał wyczynowe biegi. W głowie mi się kręciło, przed oczami miałam mroczki.

Uczepiłam się kurczowo sztchet i zerwałam maskę. Włosy rozsypały się na wietrze. Nie mogłam oddychać. Gdzie jest Beleth?! Muszę usunąć gorset. Już.

Niestety w chwili, gdy to pomyślałam, zemdlałam...

Przed upadkiem na bruk ocalił mnie Beleth. Złapał mnie w ramiona i przytulił. Po pochyleniu głowy do dołu od razu się ocknęłam.

Poczułam, jak ucisk w piersiach zelżał. Mój ifrit usunął fiszbiny. W jednej chwili sukienka przestała dobrze leżeć...

- Nie wiesz, że nie biega się w gorsecie? - zapytał głębokim głosem, który zawsze mnie elektryzował.

- Chciałam sprawdzić, czy pokonam mój rekord. - Uśmiechnęłam się słabo. - Tym razem przebiegłam dwa metry więcej.

W odpowiedzi tylko pokręcił rozbawiony głową.

- Torebka!!! - ryknęłam, w jednej chwili wracając do pełnej przytomności.

- Tu jest, bogini. - Achilles podniósł ją z ziemi i mi podał.

Moje zdrętwiałe ze strachu ręce nie mogły sobie poradzić z małym suwakiem.

- Typowa kobieta - westchnął ifrit. - Biega w gorsecie i zawsze musi poprawić szminkę na ustach w najmniej odpowiednim momencie.

Rozdarłam zapięcie i wyjęłam flakon. Uff, był cały. Żadne, rysy czy zadrapania. Oczywiście, tworząc ją, nie pomyślałam, że znacznie praktyczniej sza byłaby torebka z paskiem.

- Cała! - ulga, jaką poczułam, była nie do opisanania.

- Skąd to masz? - Beleth wyrwał mi buteleczkę z rąk.

- Buchnęłam Elżbiecie. Pewnie niedługo się zorientuje, więc powinniśmy raczej stąd spadać.

- Spadać? Gdzie? Co? - Achilles kompletnie się pogubił.

- Uciekać - wyjaśniłam mu. - Mamy lampę, znaczy butelkę, więc Beleth już nie jest więźniem królowej. Musimy czym prędzej stąd uciekać.

- Sprowadzę konie! - zawołał Achilles. - A nie, w Tartarze nie ma koni...

Wyprostowałam się i pstryknięciem palców zamieniłam piękną kreację na praktyczne buty do biegania, T-shirt i spodnie. Na ładne fatalaszki przyjdzie czas później.

- Spokojnie - powiedział Beleth. - Mam własnego konia.

W tej chwili na końcu żwirowej drogi pokazały się prostokątne światła jego płaskiego czerwonego lamborghini diablo. Samochód jechał prosto na nas.

- To potwór! - krzyknął Achilles.

- Ale oswojony - uspokołam go. - Beleth, on ma tylko dwa miejsca, nie zmieścimy się.

- Da się załatwić.

Auto zahamowało przed nami z piskiem opon. Drzwi uchyliły się do góry zapraszająco. Zauważyłam, że ifrit wprowadził kilka ulepszeń, czyli między innymi tylne siedzenie mogące pomieścić potężnego nefilima.

- Achillesie, wsiadaj do środka - pogoniłam go.

- Mam zostać pożarty przez bestię?

- Ona cię nie zje. - Pchnęłam go z całej siły. - Musisz usiąść pod jego kolczugą.

Nefilim niechętnie spełnił rozkaz. Nie było czasu na konwenanse. Nie czekając, aż Beleth zamknie za mną drzwi, wskoczyłam do pojazdu i zatrzasnęłam skrzydło. Ifrit zajął miejsce za kierownicą.

- Trzymajcie się - powiedział i szarpnął drążkiem skrzyni biegów.

Lamborghini zawyło po wciśnięciu pedału gazu.

- O bogowie, jak ryczy ten potwór! - Achilles zatkał sobie uszy i na wszelki wypadek zamknął również oczy.

Samochód pomknął po żwirowej drodze. Kamienie uskakiwały spod kół. Uderzały o karoserię i przednią szybę. Beleth zacisnął mocno zęby, wściekły, że nie może zbyt mocno się rozpędzić.

- Elżbieta szybko odkryje, że mnie nie ma - powiedział.

- Podrzuciłam jej atrapę flakonu - zaoponowałam. - Nie powinna nic zauważyć.

- Miałem przygotować pokaz sztucznych ogni. Zauważy, że ich nie ma.

- A nie możesz ich wystrzelić zaocznie?

W odpowiedzi tylko szeroko się uśmiechnął. Odwróciłam się. Przez wąską szybę zobaczyłam barwne rakiety i snopy światła godne przyjęć u Szatana.

- Dokąd jedziemy? - zapytałam.

- W stronę Styksu - mruknął Beleth. - Musimy jak najszybciej uciekać. Tutaj królowa ma nad nami przewagę.

- Nie mamy mapy - powiedziałam. - Zdołamy się wydostać z Tartaru, zanim ruszy pogoń?

- Dokładnie przestudiowałem manuskrypt - odpowiedział. - Znam drogę. Bardziej obawiam się możliwości, że Elżbieta z niego skorzysta i pójdzie za nami.

Umilkłam wpatrzona w ciemne, puste ulice. Światła samochodu przecinały mrok niczym sztylety.

- Dziękuję, Wiki - odezwał się ifrit. Spojrzałam na jego profil. Uśmiechał się delikatnie.

- Nie podejrzewałem, że zdołasz mnie uwolnić. Wydawało mi się to zbyt trudne. Zresztą twój Perseusz... trochę różnił się od oryginału.

- Widzisz, zawsze mnie nie doceniasz. A ja jestem pełna niespodzianek.

- W rzeczy samej - potwierdził. - W końcu jesteś pierwszą osobą, która zdołała narobić zamieszania w każdym z zaświatów.

- Ha... ha... strasznie śmieszne - zaperzyłam się. Sięgnął ponad skrzynią biegów do mojej ręki i mocno ją ścisnął.

- Kochanie, ale ja wcale nie mam ci tego za złe. To mnie w tobie pociąga najbardziej. Nigdy nie wiem, w co się wpakujemy.

- To masz szczęście, bo nie zamierzam się zmieniać. - Uniosłam dumnie brodę.

Achilles nie słuchał naszej rozmowy. Chyba po cichu modnił się do greckich bogów o łaskę i możliwość szybkiego opuszczenia żelaznego potwora.

- Wiki, naprawdę posiadasz wielką moc. Zdołałaś na mnie rzucić jakiś dziwny czar. Nie mogę się od ciebie uwolnić.

- A chciałbyś? - zaniepokoiłam się.

- Tego nie powiedziałem.

Szarpnęło mną do przodu, gdy Beleth ostro zahamował przed metalowymi drzwiami prowadzącymi do Styksu. Achilles zwinnie wyskoczył z samochodu, przy okazji wyrywając drzwi z zawiasów.

- Oj słabo były zamocowane - usiłował się wytłumaczyć. Jaskinia była pogrążona w mroku. Wody podziemnej rzeki cicho szumiały, uderzając o kamienisty brzeg.

- Idziesz z nami? - zapytałam Achillesa, wiedząc już, że nie chciał zmieniać swojego przeznaczenia i wzbraniał się przed opuszczeniem Podziemi.

- Będzie wam potrzebna ochrona. Ojciec, pójdę z wami, jeśli taka jest twoja wola.

- Będę zaszczycony twoim towarzystwem, Achillesie - ucieszył się ifrit.

Stałam na brzegu. Nigdzie nie było śladu po Charonie. Ukrył się gdzieś w górnym biegu rzeki. Kto wie? Może szykował się na kolejne spotkanie z Belethem.

- Jak będziemy się poruszać? - zapytałam. - Achilles nie może stworzyć sobie skrzydeł.

- Skrzydeł? - zapytał nefilim dziwnie wysokim głosem. - Jak ptaki? Czemu skrzydeł? Tam łódź czeka na wędrowców. Porządna łódź - wskazał na drewnianą łupinę, która była zacumowana przy przystani.

- Achilles ma rację - oświadczył Beleth. - Popłyniemy, ale nie tym.

Jego oczy zalśniły jasną zielenią, gdy postanowił skorzystać ze swoich mocy.

Z głośnym pluskiem do wód Styksu wpadł przepiękny mały statek. Drewniany kadłub obity był metalowymi płytami z długimi, ostrymi kolcami. Cały dziób miał zbrojony, zupełnie jakby ifrit przystosował go do przedzierania się przez lodowce. Na wysokim czarnym maszcie wisiał złożony biały żagiel. Z boków kadłuba wystawały dwa rzędy długich wiosel.

- Wspaniały - Achilles westchnął z zachwytem. - Tylko nie mamy niewolników. Któż będzie wiosłował?

- Niepotrzebni nam niewolnicy - oświadczył Beleth. Wiosła same opuściły się poniżej linii wody i popchnęły okręt w stronę niskiego pomostu. Trap przesunął się, poruszany niewidzialnymi dłońmi, i opuścił tuż pod nasze stopy.

- Wsiadajmy. Nie mamy czasu - zakomenderował ifrit.

Skrzywiłam się w duchu. Miał znacznie lepszy pomysł ode mnie. Moje skrzydła nie sprawdziłyby się przy spotkaniu z harpiami. Za to na statku mogliśmy po prostu schować się pod pokład.

- Ruszamy! - zawołał Beleth.

Ma giczne wiosła uniosły się i odepchnęły nas od brzegu. Płynęliśmy w stronę pierwszego rozwidlenia.

- Czy to długa droga? - zapytał Achilles.

- Długa i pełna niebezpieczeństw, synu.

- I bardzo dobrze. ACHRRRAAAA!!!

Przed nami było pierwsze rozwidlenie. Obdrapana tablica informowała nas o szlaku. Mogliśmy wybrać jeden z trzech kierunków: „Europa, Hiszpania”, „Azja, Chiny” lub „Afryka, Etiopia”. Tak jak poprzednio, wybraliśmy Etiopię.

- Czy znajdujemy się pod krajem, którego nazwa jest na tablicy? - zapytałam Beletha, stając obok niego na dziobie statku.

Achilles pilnował rufy, gdzie właśnie rozsiadł się z butelką wina.

- Tak. Skomplikowany szlak wiedzie pod całą skorupą ziemską. Jego koniec znajduje się w Turkmenistanie.

- W Turkmenistanie? - zdziwiłam się. - Dlaczego akurat tam?

Było to dość zaskakujące. O tym kraju nie wiedziałam nic poza tym, że istnieje. Gdzieś. Chyba w Azji, ale nie byłam tego do końca pewna.

- Zobaczysz. - Uśmiechnął się tajemniczo.

Przytuliłam się do niego. Objął mnie. Poczułam się bezpieczna. Poza tym podróż była do tej pory wyjątkowo przyjemna. Nie było zimno, ciepły wiatr delikatnie rozwiewał moje włosy. Słysząc było cichy plusk rzeki rozcinanej przez ostry dziób statku.

Ach, wiatr, szum fal i... przeraźliwy jazgot?

- Co się dzieje? - Wychyliłam się za burtę.

W kadłub uderzały wściekle topielce, raniąc się o umocowane tam kolce.

- Wpłynęliśmy na ich terytorium - wyjaśnił Beleth. Westchnęłam ciężko.

- A przez chwilę czułam się jak na wakacjach nad... - Kolejny miażdżony topielec zagłuszył moje słowa.

- Widziałem po twojej błogiej minie. - Uśmiechnął się szelmowsko. - A czy w twojej wizji byłem ja? Tuż obok, na pustej tropikalnej plaży? Na kocu, dokładnie na wprost zachodzącego słońca?

- Przyznam, że moje marzenie nie było tak szczegółowe...

- Zapomniałaś o kocu? - raczej stwierdził, niż zapytał.

- Jesteś niemożliwy. - Uderzyłam go lekko w ramię. Znowu spojrzałam na kłębiące się fale pełne miotających się białych kończyn. Wyglądało na to, że topielcom ciężko zrobić krzywdę. Niestraszny był im nawet rozpędzony metalowy statek nabijany ostrzami. - Czy one...?

- Nic nam nie zrobią - nie dał mi dokończyć. - Wyobraź sobie, że to delfiny.

Niczym nie przypominały delfinów... No chyba że kolorem. Romantyczny nastrój prysł w jednej chwili. I żadne wyobrażenie sobie delfinów nie mogło tutaj pomóc.

Powoli zbliżaliśmy się do kolejnego rozwidlenia tunelu. Tym razem mogliśmy wybrać szlaki: „Afryka, Kenia”, „Afryka, Uganda” lub „Afryka, Sudan”. Beleth skierował statek w stronę Sudanu.

Zacząłam nasłuchiwać. Gdzieś tutaj powinien znajdować się Cerber. Polubiłam tego pieska i bardzo mu współczułam posiadania Charona jako właściciela.

Naszym oczom ukazało się rumowisko, pod którym się znalazłam, gdy poprzednim razem usiłowaliśmy uciekać. Na brzegu były głębokie odciski psich łap. Jednak Cerbera nie było widać. Łańcuch, który miał przytroczony do obroży, wisiał luźno na kołku wielkości sporego garażu.

- Jedna przeszkoda z głowy - ucieszył się ifrit.
- Nie mów tak - zaprotestowałam. - To bardzo miły pies.
- Wolę koty...

Jak mogłam zapomnieć? W końcu to on je wymyślił. Bóg pozwolił każdemu aniołowi stworzyć jakąś istotę. Dzięki mocom Beletha powstały koty.

- A kto wpadł na pomysł psa? - zapytałam. - Pewnie jakiś anioł?
- Tak, Archanioł Barakiel. Skąd wiedziałas?
- Zgadywałam...

Kolejne rozwidlenie: „Afryka, Czad”, „Afryka Libia” oraz nasz cel: „Afryka, Egipt”. Pokonywaliśmy drogę w zawrotnym tempie.

Coś uderzyło ciężko o kadłub. Podskoczyliśmy do góry.

- Co to?! - Złapałam się kurczowo ifrita. Achilles na rufie również był zaniepokojony.

Z wody obok statku wyłoniły się najpierw żółte oczy. Chwilę później pojawiło się ogromne cielsko piętnastometrowego krokodyla.

- Ojej - jęknęłam. - Może zrobić nam krzywdę?
- Nie, przecież to tylko krokodyl - Beleth nie miał zbyt pewnego głosu, gdy to mówił.

Gad otworzył paszczę i splunął na nas ogniem.

- To Sobek! - krzyknął ifrit i przelał moc na statek, by ten szybciej płynął.

Achilles wyszarpnął z pochwy miecz, który specjalnie na czas ucieczki stworzył mu tata, i stanął w pozycji bojowej.

- Utnę głowę potworowi. Niczym Herakles pokonam to dziwne stworzenie bez lęku - oznajmił nam.

Statkiem zarzuciło, gdy krokodyl uderzył w burtę. Upadłam na deski pokładu. Unosił się jak Titanic w filmie.

- Trzymaj się! - krzyknął Beleth i rzucił się na pomoc synowi.

Trzymaj się. Ale czego? Zsuwałam się po deskach, nie mogąc nigdzie znaleźć oparcia. Byłam przerażona. Sobek to dopiero trzeci przeciwnik, a przecież jest taki potężny. Jacy będą pozostali?

Statek gwałtownie opadł. Uderzyłam łokciami o deski. Naprzeciwko siebie miałam roześmianych Beletha i Achillesa, całych zbryzganych krwią. Nefilim ścisnął w dłoni ogromny zakrzywiony ząb. Podał mi go i powiedział ucieszony:

- Ucieliśmy mu parszywy łeb! Kieł to nie trofeum.

Beleth poklepał go po szerokich plecach.

- Wspaniale się spisałeś, synu. Jestem z ciebie dumny!

No cóż... dzisiaj ojciec z synem grają na komputerze w zabijanie potworów. Kiedyś brali miecze i szli je po prostu zabić.

- Coś źle wyglądasz - zauważył Beleth.

Statkiem wciąż mocno bujało. Poczułam zapach krwi skapującej z ubrania Beletha. Strużka czerwieni zbliżała się do mnie po pochyłej desce. Ogromny okrwawiony ząb tkwił w mojej zaciśniętej w pięść dłoni. Ojej... Zwymiotowałam.

- Chyba źle się czujesz. - Ifrit na wszelki wypadek nie podchodził bliżej.

- Może zejść pod pokład - wydusiłam i rzuciłam Achillesowi jego kiel. Brudne dłonie wytarłam o spodnie.

- Tak, to dobry pomysł. Pomóc ci? - Wyciągnął w moją stronę dłoń.

Żołądek podskoczył mi do góry na widok zakrzepłej krwi na jego ręce.

- Nie, poradzę sobie. Dzięki. Daj znać, jak dopłyniemy.

Zerwałam się na równe nogi i zbiegłam po wąskich schodach pod pokład. Nie zaglądałam tam wcześniej, ale wewnątrz statku wyglądało zupełnie tak, jak się spodziewałam. Beleth wykazał się dobrym smakiem.

Do wyboru miałam dwie kajuty: mniejszą na dziobie i większą na rufie. Oczywiście skierowałam się do tej dwuosobowej. Chociaż Beleth zacieśniał teraz kontakty z synem. Może chcieliby odpocząć razem przy butelce wina? Nie, wtedy głównym meblem w obszerniejszej kajucie nie byłoby ogromne łóże.

Zamknęłam za sobą drzwi i za pomocą magii doprowadziłam się do porządku, usuwając z ubrania ślady krwi i wymiocin.

Szerokie, okrągłe łóże zasłane satynową pościelą i mnóstwem różnokolorowych poduszek zajmowało środek kajuty. Tak, zdecydowanie to ten pokój Beleth uznał za naszą wspólną sypialnię. Położyłam się na łóżku. Za nim znajdowało się dużych rozmiarów okno złożone z małych szybek. Miałam nadzieję, że ifrit o to zadbał, ale na wszelki wypadek machnęłam ręką w jego kierunku, by stało się niezniszczalne. Ostatnią rzeczą, o której marzyłam w tej chwili, był jakiś zapomniany bóg egipski, który wpada niespodziewanie do środka.

Muszę opowiedzieć o Sobku Kleopatrze, kiedy już ją spotkam. Ucieszy się.

Dawna królowa Egiptu, tak jak większość osób pochodzących ze starożytności, wciąż wierzyła w swoich bogów o głowach zwierząt. Ludzie wychowani w czasach przed Jezusem nie dawali się przekonać, że są w chrześcijańskim Niebie lub Piekło oraz że mają do czynienia z aniołami i diabłami. Pycha kazała im sądzić, że to oni mają rację. W dobrym tonie było nie zwracać na to głośno uwagi. W ten sposób wszyscy byli zadowoleni.

Położyłam się na brzuchu i wyjrzałam przez okienko. Właśnie minęliśmy tablicę: „Azja Mniejsza, Izrael”.

Gdzieś na pokładzie coś mocno zatupało. Zupełnie jakby jakiś potwór wdarł się na statek i zaczął go demolować, wyrywając ozdobne okucia.

Achilles zaśmiał się donośnie.

Pstryknęłam palcami, sprawiając, by nikt nie zdołał otworzyć drzwi z zewnątrz, jeżeli ja nie będę tego chciała. Następnie nakryłam głowę poduszką i poszłam spać.

Miałam serdecznie dość tych wszystkich przygód. Przyjęłam już do wiadomości, że nie uwolnię się od moich demonicznych przyjaciół i niekończącego się korowodu narcystycznych osobników, którzy dzięki mnie chcą zdobyć władzę nad światem, ale akurat w tej chwili mogłam sobie pozwolić na bierne obserwowanie wypadków. Niech Beleth się wszystkim zajmie. Ma okazję się wykazać.

Wszystkie czarne charaktery, które spotykałam na swojej drodze, stały się już nudne. Tylko jeden Azazel wciąż potrafi mnie czymś zaskoczyć.

Powoli zaczęłam odpływać w niebyt. Co ma być, to będzie. Najwyżej obudzę się w zatoce, przy nabrzeżu Tartaru, jeśli chłopcom coś pójdzie nie tak... Z niespokojnego snu wyrwało mnie szarpanie statku i zadowolone głosy moich towarzyszy, jednak dopiero donośne walenie pięścią w drzwi postawiło mnie na nogi.

- Co się...? - jęknęłam, wygrzebując się z pościeli.

- Wiki! Wiki, słyszysz mnie? Otwórz.

- No już... - Usiadłam i machnęłam ręką w stronę drzwi.

Ifrit pewnym krokiem wszedł do środka. Mój prywatny Aladyn ubrany jedynie w zielone szarawary, uśmiechał się szeroko. Na swoim ubraniu nie miał nawet kropli krwi.

- Daleko jeszcze? - Przetarłam zaspane oczy.

- Moja śpiąca królowo, jesteśmy na miejscu. - Usiadł obok i odgarnął mi włosy za ramię. Jego palce delikatnie musnęły mój kark! - Wyglądasz naprawdę uroczo tuż po wstaniu z łóżka - oznajmił mi głębokim, miękkim głosem.

Westchnęłam, dając się zatopić w jego płynnych złotych oczach. Zamgliły się, gdy nachylił się nade mną.

- Myślałaś kiedyś, jakby to było budzić się codziennie rano obok mnie? - szepnął mi do ucha.

Jego oddech połaskotał mnie. Po chwili poczułam jego gorące usta na szyi w miejscu, gdzie szybki rytm wybijał puls.

- Nie myślałam, ale rozważę twoją propozycję - nie mogłam powstrzymać westchnienia.

Zadrzałam. Delikatnie dotknęłam jego nagiej piersi. On jednak ujął moją dłoń i odsunął się, co przyjąłam z jękiem zawodu. Na jego twarzy gościł szelmowski uśmiech, który tak dobrze znałam.

- Nie wierzę, czyżby jeden zero dla mnie? - udał zdziwienie. - Dawno nie widziałem cię tak... pobudzonej moją osobą.

- To wszystko przez tę propozycję budzenia się obok ciebie co rano - zakłopotana usiłowałam obrócić wszystko w żart. - Gdybyś zaproponował dom, dzieci i psa, to na pewno bym się od razu na ciebie rzuciła.

Beleth zmarszczył brwi i spochmurniał. W tym samym momencie pomyślałam to samo co on. Ifrit nie może dać mi dzieci. Zabił mnie. Martwi ludzie nie mogą mieć potomstwa.

- Taki żart - mruknęłam.

- Żart...

- Chodźmy już. - Wstałam i dziarskim krokiem ruszyłam do drzwi. - Chcę się jak najszybciej stąd wydostać. Może jeszcze wszystko da się odkręcić i odzyskam ciało? Przecież Gabriel jest litościwy.

Beleth podążył za mną, jednak jego kamienna mina mówiła mi więcej, niż gdyby otworzył przede mną swoje serce, którego istoty podobne do niego chyba nie posiadają.

Nie wierzył, że Gabriel może mi pomóc.

Byłam potępiona, tak jak i on.

Weszłam na pokład. Achilles czekał na nas przy opuszczonym trapie. Naprzeciwko statku stojącego na kotwicy, z głośnym pluskiem i sycząc, spadał olbrzymi wodospad. Potężny strumień wody wypływał prosto ze ściany. Nie miałam zielonego pojęcia, skąd brała się cała ta woda.

- Na pewno jesteśmy już na miejscu? - zapytałam. Znajdowaliśmy się w pogrążonej w mroku pieczarze. Nie było widać jej ścian. Wydawało mi się, że to ślepy zaułek.

- Tak. - Beleth poprowadził mnie na ląd. - Wyjście znajduje się za linią wody. Gdy go mijałam, skłonił z galanterią głowę.

- Bogini - Achilles chciał się jak najszybciej pochwalić. - Zobacz, co zdobyłem!

Musiałam zachwycać się po kolei każdą odrąbaną głową, wyrwanym rogiem, odciętą łapą, ukradzionym piórem lub wybitym zębem. Zatrzymał je wszystkie. Na pamiątkę swoich męskich dokonań.

- Aż tyle? - nie mogłam w to uwierzyć. Naprawdę zdołałam przespać aż tyle potworów?

- Od wypłynięcia z portu - pospieszył z wyjaśnieniem ifrit - minęliśmy następujące tablice: Etiopia, Sudan, Egipt, Izrael, Irak, Iran, Afganistan, Chiny, Tajlandia, Indonezja, Australia, Ekwador, Meksyk, Francja, Niemcy, Polska, Ukraina, Rosja, a na samym końcu Turkmenistan.

- Imponujące - musiałam przyznać. - I wszędzie tam zabiliście jakiegoś potwora.

- Tak. - Achilles nie posiadał się ze szczęścia. - To moja druga najlepsza wyprawa wojenna zaraz po Troi.

Nie wątpię.

- I pokonałeś znacznie więcej potworów niż Herakles - powiedziałam. Pokraśniał z zadowolenia.

- Tylko jak ja zabiorę łupy? - zmartwił się.

- Zostaw to mnie - oświadczyłam.

Za pomocą magii wrzuciłam wszystko do małej skórzanej sakwy, którą bez problemu mógł przywiązać do paska spodni.

- Sprytne. - Pokiwał głową z uznaniem.

- Obawiam się, że czas już iść - popędził nas Beleth.

- Dlaczego? Co się dzieje? - zaniepokoiłam się. Miałam nadzieję, że księżna Elżbieta nie wybrała się w pogoń.

Podążyłam za jego spojrzeniem. Daleko w kanale rzeki coś się działo. Wzburzona woda była podrzucana zamasyście do góry. Coś się do nas bardzo szybko zbliżało.

- A zabiliście ostatniego potwora? - pobladłam. Achilles w odpowiedzi zaczął grzebać w swojej sakwie. Po chwili wyszarpnął z niej ociekającą krwią metrowej wielkości głowę smoka. Puste ślepie rozjechały się na boki, a z pyska pomiędzy dwoma kłami o długości dobrych czterdziestu centymetrów wypływał jaszczurzy jęzor.

- To Aži Dahaka - wyjaśnił Beleth. - Jeden z potworów wywodzących się ze staroirańskiej mitologii. Smok o trzech głowach.

- To środkowa - oznajmił z dumą Achilles i zaczął ją upychać z powrotem w sakwie.

Owalny kształt zbliżał się bardzo szybko. W końcu zdołałam dostrzec szczegóły. Na swojej malutkiej łupinie podarowanej mu przez rodziców Charon płynął prosto na nas, wściekle machając długim kijem. Wyglądał jak postacie ze starych animowanych filmów. Jego ruchy były tak szybkie, że aż się zamazywały przed oczami.

Łódka wyhamowała przy brzegu, oblewając nas wodą od stóp do głów.

- Co tu się dzieje? - Kości Charona gruchnęły z głośnym chrzęstem o ziemię.

Podwinął oba rękawy długiego habitu i nie wypuszczając kija z dłoni, podszedł do nas. Jego oczodoły świeciły na czerwono, zupełnie tak jak wtedy, kiedy skanował mój bilet. Rozedrgane płomyki przeskakiwały, gdy patrzył to na mnie, to na Beletha i Achillesa.

- Ach, nasz nieoceniony Charon. - Beleth uśmiechnął się do niego nieszczerze. - Co u ciebie słyhać, przewoźniku? Wiele dusz ostatnio przetransportowałeś?

- Nie - wycedził, szczękając poźółkłymi zębami. - Co tu robicie? Nie wolno wam tutaj przebywać. I co to jest to?! - warknął, wskazując kijem nasz statek.

Tuż obok zacumował swoją łódkę. Przy naszym środku transportu prezentowała się wyjątkowo żałośnie.

- To nasz mały okręt. Jak chcesz, możesz go zatrzymać - wielkodusznie stwierdził Beleth. - Przyda ci się, gdyby nagle pojawił się większy transport dusz. Miło z twojej strony, że przyszedłeś nas pożegnać, ale już musimy iść.

Szkielet zatrzęsł się z bezsilnej złości.

- Nie możecie! - zawołał. - żadna dusza nie opuści Tartaru bez mojego pozwolenia.

Achilles pochylił głowę. Miał go grzecznie posłuchać? O nie! Nie ma mowy.

- To niesprawiedliwe - zaprotestowałam. - Zobacz jak daleko zaszliśmy. Jesteśmy już przy wyjściu. Przecież sam zostawiasz dla śmiazków małą łódkę przy przystani, żeby próbowali swoich sił. My spróbowaliśmy i się na udało.

- Ale wy używaliście mocy – zgrzytnął zębami. - To niedopuszczalne.

- Bo ją mamy. - Zblazowany Beleth szeroko ziewnął.

- A gdzie jest napisane, że nie możemy jej używać? - naskoczyłam na przewoźnika. - W ogóle gdzie jest jakiś regulamin Tartaru, co? Żądam wglądu do niego!

Charon niespokojnie poprawił szeroki kaptur burego habitu. Kij do odpychania łodzi wbił się głęboko w ziemię. Najwyraźniej uznał, że nie uda mu się pokonać nas siłą, więc lepiej nawet nie udawać, że byłby w stanie nas zaatakować. Widok zakrwawionego miecza Achillesa, którym nefilim właśnie grzebał bezmyślnie w piachu, mówił sam za siebie.

- To jest niepisana reguła - odpowiedział mi ponuro.

- O przepraszam, ale niepisane reguły to ja mogę sobie wymyślać na pęczki. - Postąpiłam krok w jego stronę. - Jeśli czegoś nie ma na piśmie zatwierdzonego pieczęcią lub podpisem, a najlepiej i tym, i tym, kogoś, kto zajmuje bardzo wysoki stołek, to taka rzecz nie istnieje.

- Nikt nade mną nie ma władzy - syknął i także się zbliżył. - To w jaki sposób ktoś miałby coś takiego ci podpisać, potępiona duszo?!

- Nikt? A kto kazał ci przewozić dusze, co? Mamusia i tatuś? Nie! od kogoś dostałeś tą pracę, więc teraz nie mydl mi oczu jakimiś nieistniejącymi regulaminami.

- Nieistniejącymi?! - był tak oburzony, że nie zdołał wydusić niczego na swoją obronę.

- O tak! Nieistniejącymi! Już raz naciągnąłeś mnie na jednego obola za przejazd. Drugi raz zrobić w konia się nie dam. Dopóki nie przedstawiś mi na piśmie odpowiedniego paragrafu, że nie mogę stąd wyjść po pokonaniu twoich pułapek, to...

- O właśnie! Dodatkowo zniszczyliście moje pułapki! Kto mi teraz za to zapłaci, he?!

- Jeszcze jakieś dodatkowe opłaty? Co ty jesteś, sklep internetowy?! Dawaj regulamin do wglądu! W ciemno za nic nie płacę!

- Ale nie ma żadnego spisanego regulaminu. - Zrzucił z głowy kaptur. - To jakiś kapitalistyczny wymysł.

Jego biała czaszka zaśniła. Chyba kilka razy dziennie ją polerował. O inne kości, oraz o zęby, w ogóle nie dbał.

- Kapitalistyczny? - ryknęłam. - To ty masz jakieś kapitalistyczne wymysły i wymyślasz opłaty nie wiadomo za co! Niedługo pewnie do tego jednego obola zaczniesz dodawać podatek VAT!

- Przepraszam was, moi drodzy... - wtrącił Beleth.

- CICH0! - wrzasnęliśmy na niego zgodnie.

- To jakiś skandal! - Charon tak głośno klapnął szczęką że aż wyłamał mu się jeden z przednich zębów i upadł pod moje stopy.

- To niedopuszczalne! - zawtórowałam mu.

- Nie możecie stąd wyjść, nie możecie! - Charon zaczął wściekle podskakiwać w miejscu, młóćąc ramionami w powietrzu. - Jak już raz się wejdzie do Tartaru, to nie można z niego wyjść! Nikt jeszcze nie wyszedł!

Założyłam ręce i wyprostowałam się. Tym razem odezwałam się już znacznie spokojniejszym tonem:

- O nie, mój drogi. Zgodnie z podpunktem ósmym paragrafu ósmego kodeksu cywilnego oraz osiemdziesiątym ósmym paragrafem praw konsumenta bez przedstawienia mi umowy na piśmie, którą bym wcześniej podpisała, nie możesz mnie tu zatrzymać za żadne skarby świata. Podejrzewam nawet że mogłabym pozwać cię do sądu za naruszenie moich praw obywatelskich i za wyzysk podczas przejazdu przez Styks. Czy przypadkiem po opłaceniu usługi nie kazałeś mi wiosłować? Masz wyraźny monopol na transport po tej rzece. To wbrew paragrafowi...

- Dość!!! - Przewoźnik kopnął w swój kij. - Mam cię dość! Wynoście się stąd i nigdy więcej nie wracajcie. Jesteś najgorszą duszą, jaką kiedykolwiek widziałem na oczy.

- Ty nie masz oczu - zauważył ironicznie ifrit.

- WON MI STĄD!

Ruszyłam dziarskim krokiem w stronę wodospadu. Od brzegu prosto w kipiel, aż na sam jego środek prowadziły rozrzucone jakby umyślnie kamienie, po których spokojnie można było skakać. Achilles niezgrabnie podążył tuż za mną. Podeszwy jego sandałów ślizgały się po pokrytych wodorostami głazach.

- Aha, Charonie? - krzyknęłam jeszcze do szkieletu, który wszedł na nasz statek i właśnie go oglądał. - Zapomniałam ci powiedzieć, że twoja siostra Śmierć ma chłopaka. Pewnie się ucieszysz.

- COOO???

Woda pryskała mi prosto w twarz. Użyłam mocy, by stworzyć niewidzialną zasłonę, która uniosła rwące strumienie. Pieniste kąpielisko pod stopami buzowało jak szalone.

Beleth miał rację. Tuż za ścianą wody był tunel. Na jego końcu coś świeciło. Pomarańczowe języki skakały po chropowatych ścianach. Płomienie?

- Wiki, kochanie, poczekaj. - Ifrit wyprzedził Achillesa i znalazł się tuż obok mnie. - Ja pójdę pierwszy. Tak na wszelki wypadek.

Wzięłam go za rękę i ruszyłam obok niego. Ramię w ramię.

- Dam radę - odparłam.

Śmiech wstrząsnął jego szerokimi plecami.

- Od kiedy zrobiłaś się taka waleczna? - zapytał.

Dobre pytanie. Chyba odkąd znowu umarłam. Coś takiego musi mieć pewien wpływ na psychikę.

- Dorosłam - wzruszyłam ramionami.

- Podziwiam cię, Wiktorio. Poznaliśmy się, gdy byłaś tylko sympatyczną dziewczyną. - Pocałował wierzch mojej dłoni. - Teraz stałaś się kobietą, dla której nie sposób nie stracić głowy. Chylę także czoło przed twoją inteligencją. Zdołałaś przekonać Charona do swoich racji.

- Było się diabolicą przez jakiś czas.

- Szkoda, że to już przeszłość.

- Wcale za tym nie tęsknię.

Tunel zaczął się zwężać. Zrobiło się ciepło. Za ciepło. Achilles kaszłał za naszymi plecami. Mnie oczy także zaczęły mocno łzawić od gorąca i pyłu. W korytarzu było bardzo jasno. Przed nami skwierczały płomienie.

- Gdzie my jesteśmy? - wydusiłam.

Wciągnęłam do płuc ciemny dym. Rozkaszlałam się tak jak heros. Byliśmy w piekle, ale nie tym prawdziwym. Czułam się, jakbym właśnie trafiła do tego uroczego miejsca z chrześcijańskich wyobrażeń.

- To Derweze! - Beleth musiał krzyknąć, byśmy usłyszeli go przez huk pojawiających się znikąd płomieni.

- Co?

- Derweze. Brama do Piekła. A tak naprawdę to dziura w ziemi, z której kiedyś wydobywano gaz ziemny. Kiedy nieoczekiwanie przez chciwość ludzi szyb zapadł się, a gaz w sposób niekontrolowany zaczął się wydostawać, podpalili go.

- Ale to się działo pewnie niedawno - zaprotestowałam. - Wyjście z Tartaru zawsze tu było?

- Nie, jest dopiero od lat siedemdziesiątych XX wieku. Nie wiem kto, ale ten ktoś zdecydował, że to będzie dobre miejsce.

Miałam złe przeczucia, że Szatan maczał w tym palce. Lubi przesadę. Skoro jednak mógł zmieniać położenie wyjścia z Tartaru, to dlaczego nie pomógł mi stąd wyjść? Nie chciał? Nic nie rozumiałam.

- Rzucę na was czar, by płomienie nie zrobiły wam krzywdy - oświadczył Beleth.

Pokiwaliśmy głowami.

Dookoła stóp mojego ifrita pojawiły się zielone płomienie. Podał mi dłoń. Był szczęśliwy. Zrozumiałam, że ja też. Wszyscy troje weszliśmy różnym krokiem w płomienie.

Odporni na gorące płomienie powoli wspinaliśmy się po zboczach głębokiego dołu. Ludzie słusznie nazwali tę kopalnię wrotami do Piekła.

Ifrit czuł się, jakby właśnie znalazł swoje miejsce. Spod jego stóp nieśmiało wychylały się zielone płomienie. Oczy ze złotych zamieniły się na zielone. Był teraz wyjątkowo nierzeczywisty.

Sięgnęłam pamięcią do wielu ksiąg o bogach i bożkach, które przeczytałam jeszcze jako diablica. Nigdy nie wiadomo, o czyją duszę przyjdzie się targować. Trzeba mieć do tego solidną wiedzę.

Beleth i Azazel twierdzili, że poza moim byłym diabłem tylko jedna istota zdecydowała się na odrzucenie Łaski Boskiej i stanie się dżinem. Demonem ognia bez dymu. Nie wiem, czy mieli rację, jednak historia pełna była większych i mniejszych bóstw ognia. Czy to zielone płomienie poprzedniego ifrita skłoniły ludzi do stworzenia tylu postaci? Słowiański Raróg, perski Arta Wahiszta, trzech synów japońskiego boga Ninigi, Salamandra, czyli żywiołak ognia, aztecki Huehuetotl, niektórzy Kaczyni wywodzący się z mitologii Indian północnoamerykańskich.

Czy chociaż część z nich objawiała się w szmaragdowych płomieniach samotnego ifrita?

Beleth wy dostał się już na powierzchnię. Podał mi dłoń i wyciągnął na zewnątrz. Achilles sam sobie poradził. Szybkim krokiem oddalaliśmy się od dziury pełnej ognia.

Jadący nieopodal wóz zaprzężony w zdychającą szkapę zatrzymał się. Wieśniak ściągnął z głowy wielką czapkę z futra i wytrzeszczył na nas oczy. Pomachałam mu, a ifrit wypowiedział kilka uprzejmych słów w jego rodzimej gwarze.

- Gdzie teraz podążymy? - zapytał Achilles, sprawdzając, czy nic mu nie wypadło z sakwy.

Dobre pytanie. Jesteśmy trzema potępionymi duszami, których nikt nigdzie nie chce widzieć.

- Idziemy do Piekła - zdecydował Beleth. - Szatan w każdym momencie może wezwać do siebie Gabriela. Nie wiem, czy to działa w drugą stronę. Pewnie też. Jednak wydaje mi się, że mniej zamieszania narobimy, kierując się do Niższej Arkadii.

- Piekło? - chciał wiedzieć nefilim.

- Taki podziemny świat. Takie zaświaty, ale jedne z lepszych. Spotkamy się tam z... no cóż... z Hadesem - wyjaśniłam mu.

- A będziemy musieli napić się z Lete? - zaniepokoił się. - Nie chcę zapomnieć mych zwycięstw.

- Hę? - tego już nie znałam.

Aż tak głęboko nie wczytywałam się w mitologię starożytnych Greków. W końcu nikt taki już nie umierał.

- Nie, synu, nie będziemy musieli. Nie kierujemy się do Elizjum. - Beleth odwrócił się do mnie. - Lete to rzeka zapomnienia. Wszyscy Grecy, którzy mieli trafić na Pola Elizejskie, musieli z niej zaczerpnąć wody. Dzięki temu nie rozpamiętywali przeszłości.

Sprytne! Gdyby dzisiaj mieszkańcy Nieba musieli zapomnieć swoje poprzednie życie, to nie byłoby potrzeby używania okien.

Przypomniałam sobie, jak rodzice oświadczyli mi, że za pomocą wody ze specjalnych fontann w Arkadii można było zaglądać do ziemskiej rzeczywistości i bezczelnie śledzić swoich potomków. Wodę należało nalać do specjalnych mis, w których potem strażnik maczał swój palec (w beztalkowej rękawiczce, żeby nie zniszczyć sobie skóry). Przez tak przygotowane okno można było podziwiać poczynania swoich dzieci.

Do dzisiaj cierpie mi skóra na myśl o tym, że rodzice mogli poznać wszystkie moje najgorsze występki.

Rozejrzałam się bezradnie. Na płaskim pustkowiu nie było miejsca, w którym mogłabym stworzyć drzwi. Wioska, również nosząca nazwę Derweze, była daleko na horyzoncie.

- Złapcie się za ręce - rozkazał ifrit.

Schwyciłam Achillesa za potężną łapę, a drugą dłoń podałam Belethowi. Zniknęliśmy w zielonych płomieniach.

Wieśniak jeszcze długo przecierał oczy ze zdziwienia. Kumple w gospodarstwie mu nie uwierzą. Nikt mu nie uwierzy. Przecież on właśnie widział demony powstałe z ognia. Wyszły prosto z czeluści piekielnych.

* * * *

Kiedy otworzyłam oczy, znajdowałam się na słonecznej ulicy w Los Diablos. Pod powiekami poczułam łzy. Tęskniłam za tym miejscem. Piękne budynki, szeroki deptak, eleganckie samochody zaparkowane pod licznymi kawiarniami i cicho szumiące morze.

To dziwne, ale poczułam się, jakbym była w domu.

Wyraźnie spłoszony Achilles był właśnie uspokajany przez ifrita. Jednak cierpliwe tłumaczenia na niewiele się zdały. Nefilim uspokoił się, dopiero gdy zobaczył barbarzyńskiego jeźdźca na koniu.

Ruszyliśmy w dół ulicy, ciesząc się piekielnym słońcem.

- Czy mój dom jeszcze stoi? - zapytałam.

- Czeka na ciebie - odparł Beleth. - Chociaż nie wiem, czy jako potępiona dusza będziesz tam mogła zamieszkać. Zobaczymy, co postanowią władcy zaświatów.

Gdzieś za naszymi plecami rozległ się głośny ryk silnika. Achilles drgnął przestraszony, a ja odwróciłam się akurat w momencie, gdy czarny maserati

spyder z opuszczonym dachem zaparkował tuż obok nas. Za jego kierownicą siedział ubrany na czarno Azazel.

- Nie wierzę! - Błękitne piórko na jego szyi uniósł wiatr, gdy wyskoczył z samochodu i do nas podbiegł. - To naprawdę wy!

Nie mógł oderwać ode mnie oczu.

- Znowu tylko ja cię widzę, czy wszystkich ogarnęło to szaleństwo?

Złapał jakiegoś przechodnia za ramię i zmusił do przysunięcia się do mnie.

- Człowieku, widzisz ją? Jak jest ubrana?

Zagadnięty młodzian, na oko adwokat, ubrany w starannie uprasowany garnitur, zsunął okulary z nosa i otaksował mnie szarymi oczami.

- Niechlujnie - ocenił.

- Dzięki, stary. - Azazel poklepał go po ramieniu i zepchnął na ulicę, prosto pod koła jakiegoś samochodu.

Diabeł, nie zwracając najmniejszej uwagi na rozbite auto i wściekłego gościa w garniturze, któremu właśnie pogmiotła się od uderzenia marynarka, wbijał we mnie swoje czarne, odrobinę szalone oczy.

- Wyszłaś z Tartaru. Nie wierzę. To ewenement. To wspaniale! Dziewczyno, to wręcz super, superancko! Chociaż fakt, ubrana jesteś koszmarnie.

- „Super, superancko”? - prychnęłam. - Azazel, zawsze mnie zastanawiało, dlaczego jako istota stąpająca po ziemi od milionów lat używasz takiego koszmarnego słownictwa?

Wyprostował się dumnie i poprawił obsydianowe spinki na rękawach.

- Kochanie, jestem diabłem. Automatycznie dostosowuję się do poziomu inteligencji osoby, z którą rozmawiam. Inaczej nie namówiłbym na Piekło żadnego z tych oszołomów, którzy teraz umierają naćpani na dyskotekach.

Zastanawiałam się poważnie, czy to była obelga, czy po prostu stwierdzenie faktu. Biorąc pod uwagę, że powiedział to Azazel, chyba jednak obelga.

- My nie zatrzymujemy się w miejscu - kontynuował. - Staczamy się... ekhm, ewoluujemy razem z gatunkiem ludzkim. Rozumiesz? Przystosowujemy się.

- Dobra, już mam cię dość... - mruknęłam zniechęcona. Kolejną ofiarą podstępного diabła był Achilles. Jednak on w przeciwieństwie do mnie nie usłyszał bezpośrednio żadnego złośliwego komentarza. Swoje słowa Azazel skierował do Beletha:

- Widzę, że syn ci się udał. Wiele po tobie odziedziczył.

- Tak? - Beleth był podejrzliwy wobec nieoczekiwanego komplementu.

- Tak. Ma dokładnie tę samą pustkę w oczach, jaka tobie się czasami zdarza.

- Azazelu, mam do ciebie wielką prośbę. - Ifrit popchnął kompana w stronę Achillesa. - Zaopiekuj się moim synem, dopóki z Wiktorią nie omówimy

wszystkich ważnych spraw z Szatanem, dobrze? Tak? Wiedziałem, że się zgodzisz.

- Co? - wydusił diabeł. - Nie ma mowy. Nie zrobisz ze mnie niańki.

- Jesteś mi to chyba winien. W tym momencie nie wiem za co, ale za coś na pewno.

Azazel chyba wiedział za co, bo przestał dyskutować. Ponurym wzrokiem mierzył niczego nieświadomego Achillesa, który właśnie zaprzyjaźniał się z barbarzyńcą na koniu. W tym momencie pokazywał mu głowę smoka, którą wyjął z sakwy.

- Wierzę, że będziecie się świetnie bawić - stwierdził Beleth.

- Taaa... znajdziecie nas w mojej rezydencji albo u Kleo... Ifrit wziął mnie za rękę i pomachał na pożegnanie nefilimowi. Tuż za zakrętem był plac zakończony wysoką kutą bramą prowadzącą do posiadłości Lucyfera. Fasada pomalowana na pastelową żółć przykuwała wzrok, ale tylko wprawne oko dostrzegłoby ukryte na gzymsach gargulce.

Stanęliśmy przy budce ochroniarza. Niski demon zmarszczył brwi na nasz widok. Czarne baranie rogi zakręcały trzykrotnie nad jego czerwonym czołem.

- A wy to kto? - warknął.

Z zadowoleniem zauważyłam, że miał spiłowane kły. Szatan wreszcie wziął się za swoją służbę.

- Ifrit Beleth i potępiona dusza Wiktoria z wizytą do Lucyfera. To nieformalne spotkanie. W gruncie rzeczy nie byliśmy umówieni.

Spokojna mowa mojego towarzysza nie przekonała demona strzegącego bramy. Wciąż był nieufny.

- Jasne, a ja jestem caryca Katarzyna - zakpił złośliwie.

- Mój drogi demonie. - Oczy ifrita zaślniły na zielono. - Podszywanie się pod kogoś jest wyjątkowo nieeleganckie.

Zirytowany demon odwrócił się do nas plecami i sięgnął po słuchawkę telefonu. Zadzwoił na wewnętrzny numer do rezydencji. Tam połączenie odebrał pewien biedny demon, na którego głowę spadło przekazanie Luckowi wiadomości.

Nie minęła chwila, a z jednego z okien wypadł razem z kawałkami szyby, najprawdopodobniej wyrzucony przez kogoś w furii, służący Szatana. Za to my mogliśmy wejść na teren posiadłości.

- Zaraz pojawi się kamerdyner - sucho oświadczył demon z budki.

Złota brama szybko się za nami zamknęła. Lucyfer podobno przedsięwziął takie środki ochrony osobistej, odkąd do Piekła trafiła jakaś wariatka, która się w nim zakochała. Nikt o zdrowych zmysłach nie napastowałby władcy Piekła. Szatan, jako jeden z nielicznych ze swojego gatunku, zamierzał postępować zgodnie z regułami i nie zwracać uwagi na śmiertelniczkę. Szalona groupies podobno przychodziła pod rezydencję co sobotę. Lucyfer szósty dzień tygodnia miał zawsze wolny od pracy i

umówionych spotkań, więc czasami nieopatrznie zapuszczał się do ogrodu, gdzie mogła go złapać.

Kamerdyner, czyli kolejny demon, tylko tym razem ubrany w poplamioną na przodzie liberię, wyrósł przed nami jak spod ziemi.

- Szatan już państwa oczekuje. Proszę za mną - wymamrotał i puścił się biegiem w stronę drzwi wejściowych.

- Mamy za nim biec? - zapytałam z niedowierzaniem. - Jaja sobie robi?

- Spokojnie.

Oczy Beletha załśniły na zielono. Poczułam lekkie szarpnięcie za rękę. W jednej chwili znaleźliśmy się w wejściu do rezydencji, dwa metry przed sapiącym demonem. Zatrzymał się, wbijając małe kopytka w żwir, i zapiszczał.

- Przeklęte diabły! Przeklęte... - mamrotał, idąc już znacznie wolniej, gdy znaleźliśmy się w budynku.

Bezwiednie zapamiętywałam rozkład korytarzy prowadzących do gabinetu Szatana. Jego ostoja, miejsca, w którym przechowywał wszystkie najważniejsze dokumenty i miał prywatne muzeum. Nie wiem, po co to robiłam. Wszystko przez Azazela. On mnie tego nauczył.

Kamerdyner zastukał sześć razy w grube ciemnobrązowe drewno.

- Wejść - odpowiedział mu ponury głos.

Jak to jest, że Lucek nigdy nie cieszy się na mój widok? Przecież ja jestem bardzo miłą osobą. W szkole zawsze miałam dużo przyjaciół.

Demon przepuścił nas przodem i szybko zatrzęsął za naszymi plecami drzwiami. Nie zamierzał zostać w środku ani chwili. Konsekwencje takiej brawury przy dzisiejszym nastroju władcy Piekieł mogły być groźne.

Szatan nic się nie zmienił. Te same blond loki, opadające na ramiona, ta sama biała koszula z szerokimi rękawami, rozchełstany żabotem i koronkami przy mankietach. Jego nóg nie widziałam, ale podejrzewałam, że miał na sobie spodnie do konnej jazdy i takie też buty.

On nie zmieniał swojego stylu, jeśli nie musiał.

Jedynym zaskoczeniem był dla mnie duży talerz ekierok z bitą śmietaną stojący przed Luckiem. Diabeł właśnie małym widelczykiem kończył jeść jedną z nich.

- Smacznego - powiedziałam.

Z niewiadomych przyczyn nagle się zakrztusił.

Stanęliśmy w odległości kilku metrów od jego biurka. Tak na wszelki wypadek.

- Wyjaśnijcie mi łaskawie, jak to się dzieje, że za każdym razem, kiedy was widzę, mam ochotę podciąć sobie żyły? - zapytał, ledwo hamując furię w głosie.

- Nasza wiara nie pozwala na samobójstwo - palnęłam, zanim pomyślałam.

- To była przenośnia - wycedził. - Uważasz, że coś by mi się stało, gdybym podciął sobie żyły?!

- No tak... przepraszam - spuściłam głowę, postanawiając już się nie odzywać.

Beleth postąpił krok naprzód.

- Nie wyzywaj się na niej. Cała wina spoczywa na mnie. Dobrze o tym wiesz. To ja ją wpakowałem do Tartaru, więc ja ją z niego wydostałem.

Szatan zamaszystym gestem odsunął od siebie talerz z eklerkami. Chyba zrobiło mu się trochę niedobrze.

- Co ty powiesz? - warknął. - Wiesz, co teraz powinienem zrobić? Wcisnąć przycisk za pewnym obrazem. Ale jeśli zrobię to trzeci raz w tym miesiącu, to okrzykną mnie najbardziej nieudolnym władcą zaświatów w tym milenium, nieprawdaż?

No proszę, czyli razem z Gabrielem rywalizują o jakieś tytuły.

- Nawet nie wyobrażacie sobie, jak ja was za to nie cierpię oświadczył, waląc pięścią w stół. Mały porcelanowy dzbanek i filiżanka stojące na brzegu biurka spadły na parkiet, rozsypując się w drobny mak.

Beleth już to widział, ale ja pierwszy raz miałam okazję zobaczyć uruchamianie starej windy, więc nie spuszczałam Szatana z oczu.

W tym momencie do gabinetu zamaszystym krokiem wkroczyła sekretarka Lucka, czyli diabeł Belfegor. Zaskoczony zatrzymał się i otaksował Beletha wzrokiem, poczawszy od zielonych szarawarów, a kończąc na nagiej klatce piersiowej.

- Mój drogi, wyglądasz bosko po porzuceniu diabelstwa. Można cię schrupać na śniadanie - oświadczył.

Chrząknęłam.

- Och, Wiktorio, skarbie, miło cię widzieć... - Ubodło mnie, że słowa te były odrobinę nieszczerze, niemniej niczego więcej nie oczekiwałam. Beleth był ciachem. Wszyscy na niego lecą, a konkurencja z natury się nie lubi.

- Belfegor, wyjdź stąd - rozkazał Lucyfer. - Mam spotkanie.

- A może podam herbatę? - zaproponował, nie odrywając wzroku od niewzruszonego Beletha.

- Nie trzeba. Belfegor? Belfegor... - Szatan pstryknął palcami, przywracając podwładnego do przytomności. - Drzwi są za tobą. Sprawdź, czy klamka z drugiej strony się zamyka.

- Tak jest - biedny diabeł westchnął głęboko i posłusznie się wycofał.

Wiekowa winda zatrzęsła ścianami gabinetu, zbliżając się do niego z zawrotną prędkością. Rąbnęła głośno o posadzkę i otworzyła ze zgrzytem nadrdzewiałe drzwi, wpuszczając do środka mnóstwo kurzu i pyłu. Zataczając się, wyszedł z niej Gabriel.

- Och, Niebiosa, ktoś musi to naprawić - oświadczył, przecierając zapłakane oczy.

W tej samej chwili spojrział na nas. To znaczy na mnie i na Beletha.

- Boże Przenajświętszy, to wy! - zawołał.

Nie miał jednak zbyt wiele czasu, by zdumieć się porządnie. Szatan zerwał się na równe nogi, zrzucając na ziemię talerz pełen eklerek, i krzyknął, pokazując palcem na Archanioła:

- HA!!! Użyłeś nadaremno!

- Co? Nieprawda! - szybko zaprzeczył Gabriel. - Wydawało ci się. Musiałeś się przesłyszeć.

- Użyłeś, użyłeś! Wygrałem zakład! Wiedziałem, że kiedyś pękiesz! HA HA HA!

Gabriel z kwaśną miną sięgnął do kieszeni i wyjął z niej małą złotą bransoletkę. Podał ją Szatanowi.

- Odzyskam ją, słyszysz? - mruknął.

- Jasne, tylko w snach i marzeniach możesz zobaczyć, jak ja, wielki Szatan, się przeżegnam! - Lucek wyszarpnął Gabrielowi złotą ozdobę z ręki i zadowolony z siebie rozsiadł się w swoim fotelu.

Patrzyłam zafascynowana, jak ciągnie mocno bransoletkę, która z cichym, metalicznym pyknięciem gwałtownie się rozprężyła i zaczęła świecić na białą. Szatan umieścił lśniąca cacko w powietrzu, a ono zawisło nad jego głową na wysokości około dziesięciu centymetrów.

- Aureola? - zawołałam. - Założyliście się o aureolę?

- Ja założyłem się o aureolę. - Skwaszony Gabriel stworzył sobie krzesło i usiadł obok Lucyfera. - On założył się o swoje poślacane rogi.

- Poślacane rogi? - w tym momencie potrafiłam tylko zadawać głupie pytania.

- To taka ozdoba - wyjaśnił Szatan. - Na co dzień ich nie noszę. Mogę je założyć na wielki bal na koniec milenium czy jakąś paradę. Zresztą Gabrys tak samo robi ze swoją aureolą.

Archanioł pokiwał głową. Strzepnął ze swojej szaty kurz i stworzył nam dwa krzesła, na których mieliśmy spocząć.

- A więc... - zaczął, ale Lucek mu przerwał:

- Ona powinna tak buczeć? - Wskazał na wirującą nad swoją głową aureolę. Rzeczywiście cichutko buczała. - Bubeł mi jakiś wcisnąłeś...

Po krótkiej wymianie zdań, podczas której Lucek dowiedział się, że aureola działa na zasadzie pola magnetycznego i że nie niesie to ryzyka dla prawidłowego funkcjonowania wielkiego umysłu Szatana, mogliśmy przejść do naszej historii.

- Może teraz wyjaśnicie nam, co się właściwie stało? - zaproponował Gabriel.

- Udało mi się coś, czego wy nie chcieliście się podjąć - bezczelnie odparł Beleth. - Wydostałem Wiktorię z Tartaru.

- Już ci mówiliśmy, że nie możemy naruszać porządku wszechświata - warknął Lucyfer. Naburmuszony ifrit nie odpowiedział. Wiedział lepiej.

- Opowiedzcie nam po kolei, co się stało w Tartarze.

Zacząłam moją dość długą historię. Nie zamierzałam pominąć niczego. Chciałam, żeby się dowiedzieli, jak wygląda Tartar, do którego zsyłają najpodlejsze dusze. Może zaowocuje to rozważą w przyznawaniu biletów w tamtą stronę?

Szatana najbardziej zainteresowała możliwość podróży jako projekcja astralna.

- Ale jak to w moim gabinecie? - zapytał z niedowierzaniem. - Hitler w moim gabinecie? - Rozejrzał się, zupełnie jakby mógł go zauważyć. Tylko że nie mógł. - Przecież odkąd się tu bezkarnie włamaliście, ten pokój jest chroniony wszystkimi możliwymi zaporami. Zamki są na szyfry, które zmieniam sześć razy dziennie!

- Projekcje astralne nie potrzebują drzwi. A w każdym razie nie takich materialnych - zaplątałam się.

- To straszne! Oni wiedzą o nas wszystko, a my o nich nic! - Lucek zwrócił twarz do Gabriela. - Trzeba coś z tym zrobić.

- Obawiam się, że nie możemy. - Archanioł także był zmartwiony. - To naruszyłoby porządek rzeczy.

- Zaraz. Przecież ty jesteś potępioną duszą. - Lucek wskazał na mnie palcem. - Powinnaś ich widzieć.

- Przykro mi, ale najwyraźniej z chwilą opuszczenia Tartaru utraciłam tę zdolność.

Kłamałam. Kłamałam Szatanowi w żywe oczy. Hitler stał tuż obok i zerkał nad jego prawym ramieniem w papiery, które miał rozłożone na biurku. Usilnie starałam się nie zwracać na niego uwagi. Nie chciałam, by były führer wiedział, że go widzę. To jedynie przysporzyłoby mi nowych kłopotów.

Co ciekawe, nie miał na sobie stroju błazna, lecz mundur, który mu stworzyłam. Może księżnej już znudziło się przebieranie poddanych?

Mogę się założyć o własną duszę (a mam nadzieję, że ją jeszcze posiadam), że gdybym Luckowi oświadczyła, że świetnie widzę projekcje astralne, to zatrudniłby mnie na stałe jako strażnika jego gabinetu.

Nie mam ochoty spędzić wieczności z widokiem na krzyż Jezusa. Tylko Szatan mógł spokojnie znosić ten makabryczny widok.

- A co, jeżeli oni tu są? - Lucek złapał Gabriela za rękaw.

- Jeżeli nawet tu są, to co z tego? - Archanioł miał dość tej dyskusji. - Już wcześniej cię szpiegowali, czyli nic się nie zmieniło. Przecież nie masz nic do ukrycia.

Lucek zakłopotany odchrząknął. Gabrys uniósł brwi, ale nie skomentował zachowania rywala.

- Kontynuuj, proszę - zwrócił się do mnie.

Wróciłam do przerwanej opowieści. Zszokowało ich, że już kiedyś do Tartaru trafiła osoba obdarzona Iskrą Bożą.

- Jak to się mogło stać? - Gabriel nie mógł w to uwierzyć. - Trzeba natychmiast przejrzeć raporty z tamtych lat, dowiedzieć się, kto podjął tę decyzję. To niedopuszczalne. Nie wiemy, do czego jest zdolna, to kompletnie szalona osoba.

- Nią nie musicie się martwić - przerwałam jego wywód. - Nie zrobi wam już krzywdy. Nie żyje.

- Jak to?

- Zabiłam ją.

- Zabił ją Achilles - poprawił mnie Beleth.

- Ale ja go do tego wykorzystałam.

To straszna głupota mieć Iskrę Bożą, moce piekielne i sumienie. Przecież jestem najpotężniejszą istotą we wszechświecie. Mogę zabić każdego. Jednym pstryknięciem palców. Boję się tego. Boję się, że zwariuję jak Anna Darvulia i kiedyś to zrobię.

Gabriel i Lucyfer wpatrywali się we mnie ze zdziwieniem i zarazem przestraszaniem.

- Moja droga, tak nie należy robić - powiedział powoli Archanioł.

- Z drugiej strony, czy to źle? Dzięki temu wiele nam ułatwiła. - Szatan grał rolę adwokata diabła. - Gdyby się jej nie pozbyła, kto wie, co by mogło się stać. W końcu skoro Wiktoria zdołała uciec z Podziemi, to i tej Annie mogłoby się to udać. Teraz przynajmniej nie ma tam nikogo obdarzonego mocą.

- Ekhm... i właśnie o tym chciałabym wam jeszcze powiedzieć...

Informacja o szalonej królowej opętanej manią wielkości i chęcią wydostania się z powrotem na Ziemię, która dostała moce od swojej służącej, wstrząsnęła nimi o wiele bardziej niż pomyłka przy kierowaniu Anny Darvulii na miejsce wiecznego spoczynku. Kto by podejrzewał?

Uzgodniliśmy wcześniej z Belethem, że na wszelki wypadek nie będziemy im mówić o zgubionej mapie. W końcu, czego oczy nie widzą, tego

sercu nie żal. A władcy zaświatów serca mieli wyjątkowo wrażliwe, ale za to mało litościwe.

- Chcecie nam jeszcze o czymś powiedzieć? - westchnął Gabriel.

- Achilles przyszedł z nami - oświadczył ifrit. - Obiecuję, że się nim zajmę. Nie jest aż tak szalony jak inni.

W gabinecie zapadła cisza. Chyba mieli dość rewelacji jak na jeden dzień.

- Wyprowadziliście z Tartaru nefilima? - głuchym głosem upewnił się Szatan.

- Tak.

- A wiecie, że tego nie wolno robić, bo z rozkazu Boga każdy potomek anioła ma się tam znaleźć?

- Zdajemy sobie z tego sprawę - potwierdził Beleth.

- Ale tu zaszła straszna pomyłka - wtrąciłam się. - Achilles wcale nie jest szalony. To bardzo miły mężczyzna. On po prostu lubi się bić. Nie jest szaleńcem. Tak został wychowany.

- Wiki, pogarszasz - syknął ifrit.

- Właśnie, Wiktorio - podjął temat Gabriel. - Wychowany. Achilles nie został właściwie wychowany, bo anioły nie zajmowały się swoim potomstwem. Nieprawdaż, Belecie?

- Zajmowałbym się, gdybyście nie wtrącili mnie do więzienia...

- Znałeś zasady i złamałeś je.

- Wiem.

- Przynajmniej w tym się zgadzamy.

Archanioł nie był w najlepszym humorze. Całe miłosierdzie i dobre serce gdzieś z niego wyparowały.

- Teraz musimy zdecydować, co z wami zrobimy.

- Nie jesteśmy waszymi poddanymi - zaprotestował Beleth. - Nie macie prawa o nas decydować. Przyszliśmy tu z własnej woli, by przekazać wam informacje o Tartarze.

- Ach, dziękuję - zakpił Szatan. - Jeszcze chwila i pomyślę, że z wielkiej miłości do władcy zrobiłeś to specjalnie dla mnie.

Archanioł uderzył pięścią o blat biurka. Zaskoczeni odwrócili się w jego stronę.

- Tak, nie jesteście naszymi poddanymi i nie możemy wam rozkazywać, ale możemy was wygnąć z Piekła i Nieba. Chcecie tego? Nie wydaje mi się, by wieczna tułaczka po Ziemi was pociągała.

Zawstydzeni nie odezwaliśmy się więcej.

- Szatanie. Czy zamierzasz tolerować ich obecność w Piekle? - zapytał Gabriel.

- Wiesz, co najchętniej bym im zrobił. Nie dość, że są z nimi same kłopoty, to utraciłem wykwalifikowanego diabła i przyszłą pracownicę, którą także już wykształciłem. Mam tego wszystkiego dość.

- Uważam, że nie powinniśmy ich przeganiać. Nigdy nie wiadomo, jak cała ta historia się skończy.

- Przecież już się skończyła. Chyba że macie nam jeszcze coś do powiedzenia. Czy chcecie podzielić się z nami jeszcze jakąś ważną informacją, która może mieć poważny wpływ na wszystkie zaświaty?

Zgodnie pokręciliśmy przecząco głowami, wypierając ze świadomości fakt istnienia pewnej mapy.

- Nie - oświadczyliśmy.

- To co robimy? - chciał wiedzieć Gabriel. - Podejmijmy tę decyzję wspólnie.

Szatan kręcił się w swoim wygodnym fotelu. Nie wiedział, co ma powiedzieć. Nie mógł się zdecydować, czy ulec swojej niezawodnej intuicji, czy posłuchać rywala. Gabriel pewnie miał rację.

Jak zawsze.

- Dobrze - w końcu się odezwał. - Pozwalam wam zostać w Piekło tak długo, jak macie ochotę. Jednak jeśli do moich uszu dotrze choćby plotka o waszym nowym przewinieniu, będziecie mogli pożegnać się z obywatelstwem.

- Moja decyzja jest taka sama. - Gabriel odetchnął z ulgą. - Chociaż i tak zakładam, że częściej będziecie gośćmi Niższej Arkadii.

- Czyżbyś wreszcie przyznawał, że u mnie jest lepiej? - Szatan usiłował złapać go za słówko.

- Tego nie powiedziałem. Nadal uważam, że twoje zaświaty to siedlisko jadowitych żmij, bracie. Powiedziałem tak tylko ze względu na to, że tutaj mają znacznie więcej znajomych.

- Jasne... - nie uwierzył mu. - A wy już idźcie, nie chcę was widzieć.

Wycofaliśmy się z gabinetu Szatana. Hitler tam został.

Kiedy szliśmy już oblaną słońcem ulicą Los Diablos, mijając beztroskich mieszkańców, zapytałam Beletha:

- Dlaczego nawet nie zaproponowali, że przywrócą mi życie? Nie chcą tego?

Sama nie byłam pewna, czy chciałabym takiego zakończenia tej historii, ale zrobiło mi się przykro, że władcy zaświatów nawet słowem o tym nie wspomnieli. Najpierw nie chcieli mi pomóc, a teraz udają, że nic się nie stało.

- Nie wiem, ile razy można cofnąć czas dla jednej osoby. Wydaje mi się, że administracyjnie jest to bardzo duże przedsięwzięcie. Trzeba cofnąć wszystkie nowo przyjęte dusze z powrotem do ciał i ponownie czekać, aż ci ludzie umrą - odpowiedział powoli, starając się mnie nie zawieść.

Pewnie miał rację.

- To nie jest łatwy wyczyn - kontynuował. - Pamiętam, że poprzednio efekty bałaganu w papierach odczuwaliśmy jeszcze dobre kilka miesięcy po twoim cofnięciu. Przykro mi, Wiktorio. - Zatrzymał się i wziął mnie za rękę. - Jeszcze raz przepraszam cię za odebranie ci życia. Byłem bezmyślny.

Wydawało mi się, że mówi całkowicie szczerze. Nie uśmiechał się przebiegle, nie uciekał ode mnie wzrokiem. Był mistrzem kłamstwa, jak każdy diabeł, jednak teraz mówił prawdę.

- Podobno zakochani ludzie robią głupstwa. - Puściłam do niego oko. - Może diabłom też się to zdarza?

Zaśmiał się.

- Kocham cię.

- Wiem. - Kiwnęłam głową.

- A ty mi teraz tego nie powiesz?

- Czekanie dobrze ci zrobi. - Poklepałam go po ramieniu. - Gdzie teraz idziemy? Odebrać Achillesa?

Beleth wystawił twarz do słońca i odetchnął głęboko czystym powietrzem Piekła. Żadnej siarki, dymu, zapachu przypalanego mięsa. Ach!

- Idziemy do Kleopatry. Może zorganizuje na naszą cześć małe przyjęcie?

* * * *

Archanioł Gabriel nadal siedział w gabinecie Szatana. Popijał herbatę, którą chwilę wcześniej przyniósł Belfegor, pomimo że nikt go o to nie prosił. Diabeł miał nadzieję złapać jeszcze Beletha, ale mu się to nie udało. Zawiedziony zamknął za sobą ciężkie drewniane drzwi.

- Myślisz, że na pewno dobrze czynimy? - zapytał Lucyfer. - Bóg nas nie strąci z naszych piedestałów za pozwolenie przeklętym duszom na zamieszkanie w zaświatach? Przecież to bluźnierstwo.

- Ja tam jak dotąd nie słyszałem grzmotów nad głową. - Archanioł wzruszył ramionami.

- Coś za spokojny jesteś - Szatanowi nie było to w smak. - Ja wrzodów od tego wszystkiego dostanę.

- Musimy być dobrej myśli - pocieszył go, wstając. - On da nam znak, gdy uczynimy błąd. Mogę ci to zaręczyć. - Z niechęcią wcisnął guzik windy. Drzwi otworzyły się z metalicznym zgrzytem. - Pilnuj dobrze mojej aureoli. Zamierzam ją niebawem odzyskać - ostrzegł Lucyfera.

- Spokojnie, zapiszę ci ją w testamencie.

- Ale ty jesteś nieśmiertelny. - Gabriel zmarszczył brwi.

- I o to chodzi, bracie.

Zanim poszliśmy do Kleopatry, uparłam się, że chcę odwiedzić mój stary dom. Pragnęłam zobaczyć się z Behemotem i podziękować mu za pomoc. Willa, a raczej mała rezydencja, w której dawno temu zakwaterował mnie Beleth, w ogóle się nie zmieniła. Może odrobinę się przykurzyła, a krzewy w ogrodzie wymagały przycięcia, jednak wciąż zachwycała mnie tak samo.

Ucieszona pobiegłam kamienistą ścieżką do drzwi wejściowych. Nacisnęłam klamkę. Były zamknięte. Szybko tchnęłam w nie moc. Zapadka przeskoczyła, a drzwi stanęły przede mną otworem.

Wnętrze pachniało kurzem, ale było takie, jakie zapamiętałam. Wciąż nosiło ślady chaotycznych poszukiwań Kleopatry, gdy przez chwilę współpracowała z aniołem Moronim i przetrząsnęła mój dom w poszukiwaniu rękopisu henochiańskiego.

Nie musiałam wołać mojego kota. Czekał przy drzwiach, liżąc przednią łapkę. Doskonale udawał, że wcale nie oczekiwał mojego przyjścia. Zupełnie przypadkiem przecież siedział w przedsionku.

- Behemot! - zawołałam.

- Mrrauu - jak zwykle miał lekko schrypnięty miauk. Złapałam go i wzięłam na ręce. Z małego kociaka, którego przygarnęłam, stał się dorodnym, chociaż chudym kocurem. Nie miałam pojęcia, kiedy zdążył tak urosnąć.

- Aleś ty wielki. - Przytuliłam twarz do jego miękkiego czekoladowego futerka.

Zastrzygł kremowo-rudym uchem, zniecierpliwiony. Nie lubił przytulania, nad czym zawsze ubolewałam. Nigdy nie pozwalał mi przelać na siebie tyle miłości, ile chciałam mu ofiarować.

- Dziękuję ci, kocurku - szepnęłam. - Gdyby nie ty, nie zdołałabym pokonać Elżbiety.

Gdy ja byłam zajęta pieszczaniem kota mruczącego głośno jak stary traktor, Beleth podziwiał flakon, w którym został zamknięty przez księżną. Musieliśmy jeszcze zastanowić się, jak go stamtąd wyciągniemy. W innym wypadku będzie w nim uwięziony na zawsze.

- Idziesz ze mną? - zapytałam.

Behemot kiwnął małym łepkiem. Poprawiłam go sobie na rękach i podeszłam do Beletha.

- Już możemy iść do Kleo.

Ifrit uśmiechnął się do mnie, jakby nic się nie stało i jakby niczym się nie przejmował. Teraz ważna byłam tylko ja.

- Idziesz tak ubrany? - zapytałam.

Zaskoczony spojrzął po sobie. Płaskie buty, zielone szarawary.

- Nie podoba ci się strój magicznego dzina?

- Sprawia, że czuję się trochę nieswojo. Poza tym czy pokazywanie mi klatki piersiowej czemuś służy? Starasz się ocenić, po jakim czasie rzucę się na ciebie?

Zaśmiał się. Nie minęła chwila, a ubrania na jego ciele zmieniły się. Szarawary zastąpiły czarne spodnie podkreślające pośladki. Gładką pierś i umięśniony brzuch osłoniła szafirowa koszula rozpięta pod szyją na kilka guzików. Mały flakon przyczepił do paska od spodni.

- Tak lepiej?

- Zdecydowanie.

- No proszę, nie sądziłem, że pociągają cię eleganccy mężczyźni.

- Nie w tym rzecz... Po prostu chciałabym mieć możliwość odkrywania, a jak pokazujesz mi od razu wszystko, to moja wyobraźnia nie ma się czym zajmować w wolnych chwilach.

Tylko go rozbawiłam swoim oświadczeniem. Ifrit zachowywał się jak każdy mężczyzna. Nie wstydził się w sobie niczego, nie miał kompleksów.

- Mam rozumieć, że rozbierasz mnie w myślach, gdy wieczorem leżysz sama w łóżku?

Używając mocy, powstrzymałam moje policzki przed zaczerwienieniem się.

- Ja? Skąd! - skłamałam.

- A jak ty ubierzesz się na przyjęcie? - zapytał, udając, że nie dostrzega mojego zmieszania.

- A jesteś pewien, że w ogóle jakiegokolwiek będzie?

- Gdy tylko wyszliśmy z rezydencji Szatana, przekazałem Azazelowi, że byłoby to miłe.

No tak, jako dzin nie stracił umiejętności porozumiewania się za pomocą myśli. Całe szczęście, że nie słyszał moich, jeśli tego nie chciałam.

Nie odpowiedziałam mu, jak się przebiorę. Po prostu zmieniłam ubranie. Wiedziałam, że szyku Kleopatry i tak nie zdołam przyćmić, ale dałam z siebie wiele. Jak na osobę, która zawsze chodziła w dzinsach i podkoszulce, chyba nie było tak źle.

Suknia, którą stworzyłam, miała koronkowy ciemnozielony gorset zgrabnie podkreślający moją sylwetkę. Niżej na biodrach rozchodziła się asymetryczna spódnica udrapowana z długich pasm materiału. Schodząca ukośnie sięgała do połowy mojego lewego uda, stopniowo zasłaniając prawą nogę. Za moimi plecami materiał spódnicy ciągnął się niczym tren. Wysokie, dobrze dopasowane szpilki miały tę samą koronkę, co gorset.

A wszystko to zrobiłam, nie wypuszczając kota z rąk!

Pałac Kleopatry zrobił na mnie niezwykle wrażenie. Nigdy nie przychodziłam do niej pieszo. Zawsze korzystałam z klucza diabła. Raz tylko miałam okazję znaleźć się w niesamowitych ogrodach, gdy wyprowadzał nas stamtąd zbrojny oddział demonów Szatana. Przyznam jednak szczerze, że byłam wtedy tak zdenerwowana, że nie zapamiętałam zbyt wielu szczegółów.

Za to teraz w świetle zachodzącego słońca budynek prezentował się naprawdę wspaniale.

Kleopatra miała się czym pochwalić. Jej pałac, wzorowany na starożytnych budowlach i świątyniach, był przepiękny. Za wejście na ogrodzony wysokim murem teren budynków należących do dawnej królowej służył ceglany pylon o wysokości kilkunastu metrów, obłożony marmurowymi płytami z wygrawerowanymi hieroglifami. Za nim znajdowała się długa aleja sfinksów, pomiędzy którymi były zasadzone krzewy o barwnych kwiatach. Na lewo od pałacu, w pobliżu rzeki, stała mała świątynia z salą hipostylową. Potężne kolumny rzucały głębokie cienie na złocisty piasek.

Tak, piasek. Kleopatra na terenie swojej posiadłości miała rozsypany prawdziwy, sprowadzony z Egiptu. Nie zadowalała się podróbkami. Nawet diabelskimi.

Za aleją sfinksów znajdował się kolejny, tym razem mniejszy pylon, a za nim perystyl, czyli wewnętrzny dziedziniec ze wspaniałym ogrodem.

Po pokonaniu całego dystansu wreszcie stanęliśmy przed dużymi złotymi drzwiami kutymi ręcznie przez mistrza złotnictwa, który zamieszkał po śmierci w Los Diablos.

Beleth zastukał sześć razy.

- Jesteś pewna, że chcesz zabierać kota? - zapytał.

- Daj spokój, przecież nic mu się nie stanie. To tylko małe przyjęcie z okazji naszego powrotu.

Drzwi otworzyło nam dwóch czarnoskórych mężczyzn w białych przepaskach na biodrach. Na ogolonych na łyso głowach mieli namalowane złotą farbą geometryczne wzory.

Z wnętrza pałacu buchnęła egzotyczna muzyka, którą Kleopatra tak lubiła. Była to dziwna mieszanka egipskich brzmień, zachodnich bitów i głębokich basów wibrujących głęboko w kościach.

Było także słycać ludzi. Dużą gromadę.

- Witamy państwa - powitali nas odźwierni. - Zapraszamy w stronę głównego perystylu.

Spojrzałam na kota.

- Może zostaniesz na zewnętrznym dziedzińcu?

W odpowiedzi ziewnął rozdzierająco prosto w moją twarz. Mój nos zaatakowała woń zdechłej ryby. Chyba powinnam zadbać o jego zęby, które je próchnica.

Kocur zeskoczył mi z ramion i pognał za jakimś ptakiem. To by było na tyle, jeśli chodzi o jego wielką miłość do właścicielki.

Beleth wziął mnie pod ramię i weszliśmy do pałacu. Bajkowe wnętrza pełne niesamowitych kolorów, które dawno już wyblakły w palącym słońcu na prawdziwych, ziemskich zabytkach w Egipcie, zachwyciły mnie tak samo jak zawsze. Nie mogłam nacieszyć oczu barwnymi malowidłami na ścianach,

wysokimi kolumnami, z rozwieszonymi pomiędzy nimi pasmami szyfonu i złotymi meblami.

Bogactwo świadczące o pozycji społecznej Kleopatry aż kłuło w oczy.

Nieznani mi ludzie i diabły uśmiechali się i gratulowali nam wydostania się z Tartaru. W ich spojrzeniach widziałam jednak niepewność i cień strachu. Odnosiło się to zwłaszcza do Beletha. Miał rację, gdy wspominał o ostracyzmie, z jakim spotykają się ifrity.

Weszliśmy na około pięćdziesięciometrowej długości wewnętrzny dziedziniec otoczony kolumnami. Z fontanny na środku tryskała dziwnie żółtawa woda. Wszędzie unosił się zapach szampana.

Jakimś czarodziejskim cudem w ciągu kilku godzin Kleopatra zdołała zaprosić do siebie kilka setek ludzi i diabłów. Elitarne towarzystwo, którego nie powstydziliby się sam Szatan, krążyło między ozdobnymi roślinami, racząc się alkoholem z kieliszków lub szklanek. Nigdzie nie serwowano jedzenia. Impreza chyba szybko się skończy dla niektórych. Jakiś wysoki biały mężczyzna w przepasce na biodrach, zapewne niewolnik, właśnie pomagał wstać znanej aktorce, która już zdążyła przesadzić z szampanem.

Nagle tłum, niczym Morze Czerwone, rozstał się przed gospodynią. Miałam rację. Jej stroju nigdy nie przebiję.

Była piękna od stóp aż po czubek głowy ozdobiony diademem ze złotej kobry królewskiej. Czarne proste włosy równo okalały jej twarz, obciążone złotymi koralikami naplecionymi na końcówki pasm. Prosta grzywka tuż nad linią brwi tworzyła dobre obramowanie mocno umalowanych, przenikliwych oczu.

Suknia była kolejnym majstersztykiem. Kleopatra, zazwyczaj bez wstydu odsłaniająca swe piękne ciało, postawiła tym razem na zakrycie swoich walorów. Święta biel egipskiego lnu przykuwała wzrok tak samo jak misterne zdobienia u brzegu ciągnącej się po ziemi spódnicy. Dekolt królowej zdobił największy naszyjnik, jaki kiedykolwiek widziałam. Musiał ważyć parę kilogramów, ale głowę trzymała prosto i dumnie.

Gdy przechodziła w swych ozdobionych kamieniami szlachetnymi sandałkach na koturnie, wszyscy, łącznie z królami, mimowolnie skłaniali przed nią głowę.

- Wiktoria! - Przytuliła mnie do siebie.

Owionął mnie zapach jej ciężkich perfum.

- Zmieniłaś się - niespodziewanie oświadczyła, przyglądając się badawczo mojej twarzy.

- Aż tak szybko chyba się nie postarzałam...

- Chodzi mi o twoje oczy. Wreszcie przestały być puste jak u lalki.

No cóż... od Kleo nigdy nie należało spodziewać się prostych komplementów w stylu: „Chyba dojrzewasz”.

- Beleth. - Rozpromieniona pocałowała go w policzek. - Przystojny jak zawsze. Nawet nie wiesz, diable, jaki zrobiłeś się pociągający, odkąd zamieniłeś się w niegrzecznego ifrita. Dziewczyny za tobą szaleją.

Jej słowom przeczyły jednak spłoszone spojrzenia niektórych gości. Kleo rozejrzała się dookoła zde gustowanym wzrokiem.

- Słyszałyście? - warknęła. - Czyż on nie jest boski?

Odpowiedział jej chór damskich głosów zgadzających się z władczynią. Królowa zawsze dostawała to, czego chciała.

- Zapraszam was do skosztowania szampana. - Wskazała na fontannę. - Muszę powitać resztę przybyłych, ale potem chcę z wami porozmawiać. Zwłaszcza z tobą, Wiktorio.

- Czekaj, to są prawdziwi niewolnicy? O, ten na przykład... - Wskazałam palcem na jednego z mężczyzn, który machając wielkim wachlarzem z piór, udawał klimatyzację.

- Nie - skrzywiła się z niesmakiem. - W Piekło nie wolno mieć niewolników. To jeden z mieszkańców. Zgodzili się udawać moich służących przez ten jeden wieczór w zamian za spełnienie ich pospolitych życzeń. W końcu jestem diablicą, mogę rozdawać te śmierdzące samochody jak zabawki na rynku. A teraz zmykajcie. Mam innych gości.

Kiwnęłam głową i dałam się porwać Belethowi, który pociągnął mnie w stronę znanych mi dobrze diabłów. Opowiadaliśmy im, jakie spotkały nas przygody i jak Beleth odnajduje się w nowej sytuacji. Pytania o bycie ifritem bardzo go zmęczyły.

- Ucieknijmy na chwilę - szepnął mi do ucha.

Uśmiechając się szeroko do Mefistofelesa, który nie przestawał mówić, na migi pokazaliśmy mu, że musimy się czegoś napić. Chwilę później już nas przy nim nie było.

Beleth poprowadził mnie do fontanny szampana. Nappełnił dwa kieliszki, po czym odeszliśmy na bok dziedzińca w stronę ocienionego portyku.

- Sądzę, że powinniśmy wypić toast - powiedział, podając mi kieliszek na wąskiej nóżce.

- Tak? A za co? - zapytałam zaczepnie.

- Może za uratowanie cię z Tartaru?

Nie musiałam długo się nad tym zastanawiać.

- Zgoda.

Wznieśliśmy kieliszek w górę i napiliśmy się trunku tak doskonałego jak doskonałe było wszystko, co posiadała Kleopatra.

- A teraz proponuję toast za nas - cichy głos Beletha zamienił się w szept przy moim uchu.

Bardziej niż szampan kusiły mnie jego wargi. Objęłam go za szyję i przyciągnęłam do siebie. Zaskoczony poddał mi się. Smak jego ust był oszałamiający. Oparłam się o kolumnę.

- Nie sądziłem, że kiedyś wygram - szepnął między pocałunkami.

Spojrzałam głęboko w złote tafle jego oczu. Tęczówki delikatnie falowały, jakby rozlewał się pod nimi płynny metal.

- A kto powiedział, że to ty wygrałeś, a nie ja? - prowokowałam go.

Kieliszki opadły cicho na trawę. Dłoń Beletha sunęła powoli w górę mojego odsłoniętego uda. Czułam ciepło bijące od jego niecierpliwych palców.

- A więc to rzeczywiście było polowanie, tylko to ja byłem zwierzyną?

Zaczął całować mnie po szyi tuż obok ucha. Pod wargami czułam moje tętno pędzące na złamanie karku.

- Niebezpieczną zwierzyną - dalej się z nim przekomarzałam. - Dużym złotookim tygrysem.

- A co powie łowca, gdy ofiara okaże się niebezpieczna? - Skubnął delikatnie zębami płatek mojego ucha.

To było tak przyjemne. Jęknęłam. Wsunęłam dłonie pod jego szafirową koszulę i przeciągnęłam paznokciami po plecach. Usłyszałam jego przyspieszony oddech. Spodobało mu się to.

- Spłonę - wyszeptał prosto w moje usta.

Pocałował mnie gwałtownie i mocno. Przyciągnęłam go do siebie. Czułam, że będę krzyczała, jeżeli się odsunie. Pragnęłam go. Tu i teraz.

Cień kolumnady skrywał nas przed niepożądanymi spojrzeniami. Gdzieś w oddali rozległ się śmiech Achillesa. Zawtórował mu Azazel.

Beleth pociągnął mnie dalej w mrok.

Ogień. Ja także go czułam. Pełził po mojej skórze niczym gorączka.

Szarpnęłam jego koszulę. Guziki posypały się na marmurową posadzkę, ale ich stukot, tak jak nasze głosy, zniknął w dźwiękach oszałamiającej muzyki.

- Wiktoria...

- Beleth...

Niecierpliwe gesty, urwane pocałunki, szaleństwo pożądania. Myślałam, że zaraz postradam zmysły.

- Idźmy gdzieś - wyszeptałam gorączkowo. - Gdzieś, gdzie będziemy sami.

Ręce błądzące pod moją spódnicą, jego dłoń na moim pośladku.

- Jesteś pewna? Na pewno chcesz? - Złote oczy z zielonymi płomieniami.

- Chcę.

Wziął mnie za rękę. Ostatni raz wpiłam się w jego usta. Wciąż ukryci w cieniu ruszyliśmy w stronę wejścia do budynku, by znaleźć jakąś pustą komnatę. Gdzie będziemy sami, a ja będę mogła poddać się jego dłoniom i ustom.

Beleth pchnął złote drzwi na ścianę. Głośne echo zwielokrotniło metaliczny dźwięk. Nigdzie nie było służby ani gości. Nikt zaalarmowany hałasem do nas nie podbiegł.

Wreszcie sami.

Zamknął drzwi za nami i zasunął długi rygiel.

Nie mogłam oderwać oczu od jego rozchełstanej szafirowej koszuli. Zaciskałam dłonie w pięści, by nie pociągnąć go na podłogę tu i teraz.

Rozszalały się we mnie emocje. Czułam się, jakbym leciała na złamanie karku. Przytuliłam się do niego, tak jakby tylko on mógł powstrzymać mój upadek.

- Właśnie was szukałam - twardy głos za naszymi plecami był jak kubał zimnej wody.

Odwróciliśmy się spłoszeni.

Wachlując się małym wachlarzem z piór, Kleopatra przyglądała nam się badawczo. Drugą rękę oparła na biodrze w geście zniecierpliwienia.

- To chyba ten moment, w którym muszę z wami, a zwłaszcza z tobą, Wiktorio, porozmawiać - oznajmiła poważnym głosem.

Czemu teraz? Czemu teraz, pytam?! Za każdym razem, gdy zaczynam się z nim całować! Jak nie Charon, to ona albo usypiam! No ludzie! Czy wisi nade mną jakaś klątwa? Kiedy w końcu będziemy mieli święty spokój?

- To nie może zaczekać? - zapytał Beleth, biorąc mnie w ramiona. Był równie zirytowany jak ja. - Daj nam trochę czasu, zajmij się gośćmi. Porozmawiamy po przyjęciu.

- Obawiam się, że to, a raczej on, nie będzie mogło tak długo czekać.

- Słucham? - zapytałam i uwolniłam się z uścisku ifrita. - O czym ty bredzisz, Kleo?

- Wywołałście demona, to się nim teraz zajmijcie - skrzywiła się. - Tacy mądrzy, tacy silni, a tacy głupi. Do sypialni pójdziecie później. Teraz są istotniejsze rzeczy do zrobienia. Obowiązki są ważniejsze od uczuć.

- Kleopatro, o czym ty mówisz? - westchnął Beleth. - Co tym razem się stało?

- Chodźcie za mną.

Poszliśmy jej śladem. Długie, pogrążone w półmroku korytarze oświetlone były pochodniami i świecami. Królowa nie używała elektryczności. Według niej był to nonsens niewart uwagi. Tylko płomień miał energię i duszę. Rozgrzany drucik jej zdaniem pozbawiony był jakiegokolwiek magii.

W końcu Kleopatra zatrzymała się przed jednymi z wielu złotych drzwi i stanęła, czekając, aż Beleth pociągnie ciężkie skrzydło.

Gdy przejście stało już otworem, wepchnęła mnie przodem do sali tronowej. Na przeciwległej ścianie stał złoty tron, a obok niego złota żerdź z małym sokołem. Z boku olbrzymiego pomieszczenia znajdował się rozległy taras z pięknym widokiem na szeroką, leniwie płynącą rzekę.

Weszłam do sali. Za sobą słyszałam stukot koturnów Kleopatry. Beleth zamykał nasz mały pochód.

- Idź na taras - pokierował mnie głos królowej.

Byłam zła. Zła na Kleopatrze. Nie miała kiedy, cholera, przerywać. Zupełnie jakby nie mogła udawać obrażonej władczynie dwie godziny później. Nie zbawiłoby jej to przecież.

- No i co jest niby na tym tarasie? - sarknęłam.

W tej chwili odsłoniłam szyfonową zasłonę i stanęłam twarzą w twarz z Piotrkim.

- Co? - zbaraniałam.

- Wiki! Nic ci nie jest! - znany mi głos był pełen ulgi. Chłopak mocno mnie przytulił. Nie wiedziałam, co mam zrobić z rękami. Niezgrabnie go objęłam.

- Nie wierzyłem diabłom, że cię uratują. Myślałem, że kłamały mi w żywe oczy.

Widziałam Beletha ponad ramieniem Piotra. Jego złote oczy pociemniały ze złości. Widziałam zielone światło, które w nich rozbłysło.

- Piotrek, puść mnie. Co ty tu robisz? - Lekko go od siebie odepchnęłam.

Ufne spojrzenie spaniela, jakim mnie obdarzył, było nie do zniesienia.

- Martwiłem się o ciebie - powiedziały zmysłowe usta otoczone jednodniowym zarostem.

Ja o nim ani razu nie pomyślałam. Poczułam się podle, a jeszcze gorzej, gdy zdałam sobie sprawę, że własnej rodzinie też nie poświęciłam nawet chwili. Marek jest w żałobie, a moi rodzice w Niebie pewnie odchodzą od zmysłów, że trafiłam do Tartaru.

Przez kłopoty, w które wpadłam, zupełnie zapomniałam, że umarłam.

- Już nic mi nie jest. - Uśmiechnęłam się sztywno. - Jak widzisz, cała i zdrowa, trochę potępiona, ale mówi się trudno.

- I martwa - dodał ponuro.

- Też już się zdarzało - siliłam się na wesoły ton.

Czułam się wyjątkowo niezręcznie. Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę to, co wyczyniałam przed chwilą z Belethem bardzo niedaleko stąd.

Czarna grzywka opadła Piotrkowi na oczy. Odsunął się ode mnie. Już mnie nie dotykał. W jego oczach dostrzegałam tylko rezygnację.

- Jestem twoim przyjacielem. Nie zapominaj o tym - powiedział.

- Wiem i bardzo ci za to dziękuję - szepnęłam.

Beleth na szczęście milczał, ale Kleopatra nie miała takiego zamiaru.

- Dość tych ekliwych powitań - warknęła. - Jest coś ważniejszego. Piotrze, mów.

Chłopak westchnął ciężko.

- Nie przyszedłem tutaj tylko po to, żeby cię zobaczyć, chociaż to miłe. Coś się stało.

Ifrit odważył się podejść bliżej. Przez chwilę mierzyli się spojrzeniami. Żaden nie wygrał pojedynku.

- Na Ziemi dzieje się coś strasznego i mam złe przeczucia, że dotyczy to was.

- Co się dzieje? - zapytał Beleth.

- Z tobą, diable, nie rozmawiam - Piotrek nie mógł sobie podarować nieuprzejmości.

- Już nie jest diabłem - poczułam się w obowiązku trochę go wybielić. - Żeby uwolnić mnie z Tartaru, musiał wyrzec się Łaski Boskiej. Jest teraz ifritem, dzinem.

Piotrek nie miał zamiaru odpuścić.

- A to pech. Pomyśleć, że gdyby cię nie zabił, to nic takiego by się nie stało.

- Czasu nie cofniesz - warknął Beleth.

- A podobno można...

- DOŚĆ! - nie wytrzymałam.

Mężczyźni spojrzeli na mnie zaskoczeni moim nagłym wybuchem, a Kleopatra pokiwała głową z uznaniem.

- No wreszcie - nie mogła podarować sobie wtrącenia swoich trzech groszy.

- Piotrek, mów, co się dzieje na Ziemi, a ty, Beleth, przez chwilę się nie wtrącaj - rozkazałam.

Chłopak uśmiechnął się lekko pod nosem. Osiągnął to, co zamierzał. Wprowadził akurat tyle zamętu, ile było potrzeba, żeby wszystkich zirytować. Najwyraźniej nie tylko ja się zmieniłam dzięki diablom.

- Dzisiaj wieczorem na Węgrzech doszło do czegoś dziwnego. Pojawiła się jakaś kobieta, która utrzymuje, że jest królową i że ten kraj należy do niej. Rząd demokratyczny jej nie posłuchał, więc używając nieznanej broni, zaczęła masowo zabijać ludzi.

Zerknęliśmy po sobie z Belethem. To oznaczało, że władze zaświatów już się o wszystkim dowiedziały. Kolejki dusz oczekujących na sąd musiały ich zaalarmować, że coś chyba jest nie tak.

Śmierć pewnie ma mnóstwo zabawy. Przynajmniej ktoś się z tego cieszy.

- Według ostatnich relacji, które widziałem w telewizji, zaczęła sobie rościć prawo także do tronów sąsiednich państw.

A jednak skorzystała z mapy. Szybka jest. Myślałam, że trochę dłużej jej to zajmie. Cholera...

- To straszne! - krzyknęłam.

Beleth spojrział na małą buteleczkę przypiętą do paska. W każdej chwili mógł znowu stać się więźniem królowej. Elżbieta na pewno będzie chciała wykorzystać swoje dwa ostatnie życzenia.

Nagle taras zalał snop białego światła, a muzyka urwała się gwałtownie. Wszyscy zasłoniliśmy oczy.

- Uwaga! Mamy nakaz aresztowania Wiktorii Biankowskiej i ifrita Beletha. Powtarzam, mamy... - jak przystało na służbistę, demon powtórzył kilkakrotnie całość, by łączny rachunek wynosił sześć. - Podejrzani proszeni są o niezwłoczne opuszczenie budynku oraz niestawianie oporu.

Kleopatra stuknęła mnie w ramię.

- Miałam wspaniałe przyjęcie, zdołałam nawet zdobyć niewolników na jedną noc, a wy musieliście wszystko popsuć! Wiesz, jak długo handryczyłam się z piekielnymi związkami zawodowymi?! To przyjęcie miało przyćmić ostatni bal u Nefretete!

Kajałam się pod siłą jej wściekłego spojrzenia.

- Przynajmniej tym razem Azazel nie jest aresztowany - mruknęłam przepraszająco.

- Spróbowałyby tylko - prychnęła. - Doskonale wie, co go czeka, jeśli znowu będzie się mieszał w jakieś ciemne sprawy.

Głos wzmocniony megafonem przestał się wydzierać.

- Idziemy - zdecydował Beleth. - Inaczej jeszcze bardziej zdenerwujemy Szatana.

- Idę z wami - zaoferował się Piotr.

- A niby po co? - zaoponował ifrit.

- Opowiem o tym, co dzieje się na Ziemi. Poza tym jeśli ta kobieta jest naprawdę aż tak silna, to przyda wam się każda para rąk do pomocy.

Tym razem Beleth nie zaprotestował. On chyba naprawdę bał się Elżbiety. Kleopatra wściekle stukając koturnami, szła przed nami korytarzem. Wyprostowane sztywno plecy i uniesiona wysoko głowa wskazywały, jak bardzo jest wściekła.

- Takie przyjęcie - narzekała pod nosem.

Cisza panująca na wewnętrznym dziedzińcu dzwoniła w uszach. Wszyscy goście przyglądali nam się przerażonym wzrokiem. Odsuwali się, gdy przechodziliśmy obok nich. Chyba szybko nie odzyskam statusu celebrytki, jaki udało mi się zdobyć, gdy byłam diabolicą.

Azazel nieśmiało nam pomachał. Podbiegł do Kleopatry. Nie dosłyszałam ich wymiany zdań, ale gest Kleo, gdy palcem wskazującym wymownie pokazała mu ziemię, był aż nadto czytelny. Zrezygnowany diabeł zatrzymał się w miejscu. Nie miał szczęśliwej miny. Nie chciał zostać z gośćmi. Wolał dowiedzieć się, co się stało. Jednak, co mnie zaskoczyło, posłuchał ukochanej.

Pokonaliśmy pierwszy portyk, następnie aleję sfinksów. Gospodyni wciąż nas nie opuszczała.

- Idziesz z nami? - zapytałam.

- Skąd. Muszę pilnować gości. Zamierzam tylko wygarnąć tym jęlopom, że mam dzwonek do drzwi. Nie musieli używać megafonu i zakłócać mojego przyjęcia - odparła.

- Przepraszam - poczułam się w obowiązku, by to powiedzieć. - Głupio wyszło. Ty się tak dla nas starałaś, a my wszystko popsuliśmy.

- Kochanie, nic się nie stało. - Służbowy uśmiech mnie nie przekonał. Było jej przykro. - Rozumiem, że macie teraz na głowie wiele spraw. Nie codziennie się umiera i zostaje skazanym na potępienie.

Kiwnęłam głową. Królowa zerknęła za siebie. Mężczyźni szli w milczeniu kilka kroków za nami. Wzięła mnie pod ramię.

- Kochanie, widzę, że moje dobre rady na temat Beletha poskutkowały.

- Tak. - Zaczerwieniłam się. - Chcę z nim być.

Podejrzewałam, że uśmiechnie się wesoło na tę wiadomość i zaklaszcze z radości, ale tak się nie stało.

- Wiktorio, wiem, że namieszam ci teraz w głowie, i wiedz, że nie jest to moim celem, ale... musisz być ostrożna. Azazel opowiedział mi o dżinach i o więzi, jaka łączy Beletha i Elżbietę. Uważaj. Niekoniecznie to, co będzie ci mówił, będzie prawdą - jej ostry szept był jak cięcie brzytwą.

- Kleo!

- Cicho. Skąd masz pewność, że teraz nie wykonuje jakiegoś drugiego życzenia? Co prawda, nie wiem, w jakim celu Elżbieta miałaby wysłać go, by demoralizował moich gości, którzy będą widzieli, jak się obmacujecie publicznie, ale istnieje taka możliwość. Gdy będzie w jej mocy, może cię zdradzić i skazać na ostateczną śmierć. - Ścisnęła moją rękę, powstrzymując słowa protestu, które cisnęły mi się na usta. - Wiem, że nie zrobi tego specjalnie, ale nie będzie miał wyboru, rozumiesz? On nie może się przeciwstawić sile życzenia. Bądź ostrożna, przyjaciółko, proszę cię.

Nigdy nie nazwała mnie przyjaciółką. Nie spodziewałam się tego po niej. Byłam... no cóż... odrobinę wzruszona.

- Dobrze. - Kiwnęłam głową.

- Poza tym mam nadzieję, że nie będziesz na mnie zła, ale Piotr kontaktował się ze mną wielokrotnie i informowałam go na bieżąco o twoim położeniu.

- Co...?

Właśnie dotarliśmy do pylonu stanowiącego granicę posiadłości królowej Egiptu.

- Już, nie rób takich skrzywdzonych oczu. Przyda ci się ktoś trzeźwo myślący, kto nie rozklei się na widok Beletha i w razie czego powstrzyma go przed zabiciem ciebie. Jeszcze mi za to podziękujesz. Zobaczysz.

Szczerze w to wątpiłam. Byłam głęboko przekonana, że z tego wynikną tylko jakieś nieporozumienia. Ktoś będzie skrzywdzony. Pytanie, kto?

Kleopatra przekroczyła bramę i stanęła naprzeciwko niskiego demona w hełmie. Potworek mocniej ścisnął swoje widły i skurczył się w sobie, oczekując

ataku. Mały zbrojny oddział jak jeden mąż cofnął się o kilka kroków, zostawiając go na pastwę rozwścieczonej królowej.

Kleo nabrała głęboko powietrza.

- Co ty sobie, kurduplu, wyobrażasz?! Myślisz, że wolno ci tak zakłócać spokój na terenie MOJEJ posiadłości i przeszkadzać MOIM gościom?! Możesz być pewien, że złożę na ciebie skargę w odpowiednim departamencie. Zgnijesz za biurkiem, ty niechlujny pomocie piekielny. Dopilnuję, żebyś szczeł w piwnicy Urzędu, jeżeli jeszcze raz użyjesz megafonu i reflektorów w MOJEJ obecności, zrozumiałeś?! - Wyrwała mu ze zdętwiałej ręki megafon i zamieniła w pył.

Demon przełknął głośno ślinę i pokiwał głową.

- To dobrze, że się rozumiemy - warknęła. Wyprostowała się, poprawiła włosy i odwróciła się do nas z szerokim filmowym uśmiechem.

- Moi drodzy, życzę wam powodzenia. Nie dopuście do zagłady świata, a po wszystkim koniecznie wpadnijcie do mnie w odwiedziny - powiedziała, wycelowawszy nas w oba policzki.

Odwróciła się na pięcie i za pomocą mocy zatrzaskała za sobą ozdobną bramę. Demon odetchnął z ulgą.

- Szatan chce się z wami widzieć - oznajmił, a widły wymierzył w Piotra.

- Ale z tobą nie...

- On jest z nami - powiedziałam szybko.

- Nie mam go na liście zatrzymanych. - Sięgnął do kieszeni spodni i wyjął kartkę zapisaną czerwonym atramentem, tak popularnym w Piekło.

- Bez niego nie pójdziemy - zagroziłam. - Chcesz mieć na pieńku z Szatanem?

Wiedziałam, że go tym przekonam. Każdy, kto miał kiedykolwiek styczność z władcą Niższej Arkadii, dałby się przekonać tym argumentem.

- Jak sobie chcecie. W takim razie zapraszam. Szatan czeka...

Białe korytarze Urzędu znowu działały na mnie klaustrofobicznie. Wiedziałam, że gdy tylko poddam się strachowi, moc zawarta w ścianach sprawi, że nie tylko w mojej głowie zaczną się do mnie zbliżać, ale także w rzeczywistości.

Odetchnęłam kilka razy głęboko, by do tego nie dopuścić.

Doszliśmy do pokoju 6666, czyli pomieszczenia, w którym rezydowała sekretarka Szatana. Wbrew pozorom umieszczenie czterech szóstek na drzwiach było zabiegiem celowym.

Laikowi mogłoby się wydawać, że znacznie odpowiedniejsze byłoby oznaczenie 666. Nic bardziej mylnego. Mieszkańcy Piekła kochali tak samo silnie czwórkę, czyli cyfrę demona, jak cyfrę 6.

Numeru bardziej mrocznego od 6666 nie było.

Belfegor nie siedział za swoim małym biurkiem. Było już późno, pewnie dawno poszedł do domu. Kto wie? Może też był na imprezie u Kleopatry? Tak krótko tam byliśmy, że mogliśmy nie spotkać go w gęstym tłumie.

Razem z kilkoma eskortującymi nas sługami Szatana wcisnęliśmy się do chromowanej kabiny windy. Demon wybrał guzik z numerem sześć. Tyle razy pokonywałam tę trasę, że powoli jazda windą przestawała mnie przerażać.

Z cichym dzwonkiem drzwi otworzyły się po chwili, ukazując nam wnętrze luksusowego gabinetu.

Przywitały nas grobowe miny Lucyfera i Gabriela.

- Odmaszerować! - Lucek spławił swoich podwładnych. Zostaliśmy sami naprzeciwko szerokiego biurka. Gabriel oparł się ciężko o blat i zapytał Piotra:

- Przepraszam cię, chłopcze, ale co ty w zasadzie tutaj robisz?

- Postanowiłem sprawdzić, czy z Wiktorią jest wszystko dobrze, oraz ostrzec ją przed dziwnymi wydarzeniami na Ziemi. Jestem także gotowy do pomocy w walce z nowym przeciwnikiem.

- No tak... - zmęczony Gabriel zamknął oczy i umilkł. Cisza stawała się nie do zniesienia. Luckowi drżał mięsień na policzku, a Archanioł wyglądał, jakby zapadł w drzemkę. Od stania na obcasach rozbolały mnie nogi. Dawno nie zakładałam tak wysokich szpilek i zaczynałam to niestety odczuwać.

Mogliby już zacząć na nas krzyczeć. Chętnie bym usiadła.

- Proponuję - głos Szatana był tak niespodziewany, że aż podskoczyłam - byśmy cofnęli się do naszej poprzedniej rozmowy. Pamiętacie? Zadaliśmy wam wtedy takie małe pytanie, na które odpowiedzieliście przecząco. Pozwólcie, że zadam je ponownie, a wy tym razem zastanowicie się trochę dłużej nad odpowiedzią. Czy chcecie podzielić się z nami jeszcze jakąś ważną informacją, która może mieć poważny wpływ na wszystkie zaświaty?

Zerknęliśmy po sobie z Belethem. To chyba był ten moment, w którym nie należało już ukrywać prawdy.

- Zapomnieliśmy wspomnieć o istnieniu pewnej mapy - odparłam.

- Jakiej mapy? - Gabriel natychmiast się ocknął.

- Mapy wskazującej wyjście z Tartaru, z opisem wszystkim pułapek zastawionych przez Charona - uściślił Beleth.

Głośne tykanie zawieszzonego w kącie zegara zabrzmiało kilkakrotnie, zanim padło kolejne pytanie.

- Mapę macie oczywiście ze sobą?

- Niestety pojawiły się pewne bardzo poważne trudności. Księżna Elżbieta Batory usiłowała uniemożliwić nam opuszczenie Tartaru - zaczęłam. - W związku z tym musieliśmy ratować się bardzo szybko i dość chaotycznie. Między innymi dlatego pomagał nam Achilles, nawiasem mówiąc, przeuroczy heros, który...

- Czyli jej nie macie? - przerwał mi Szatan.

- No... nie.

Znowu zapadła cisza. Zsunęłam ze stóp buty i stanęłam dwanaście centymetrów niżej.

- Cisną... - mruknęłam cicho, chociaż i tak nikt nie zwracał na mnie w tej chwili uwagi.

Władcy zaświatów wciąż sprawiali wrażenie niewzruszonych nowinami, którymi ich poczęstowaliśmy.

- Czego ta Batory chce? - zapytał Gabriel.

- Władzy? - zaproponowałam.

- Podejrzewam też, że pragnie zdobyć to. - Beleth wyciągnął w ich stronę flakon.

- A co to jest? - Szatan na wszelki wypadek odsunął się nieco.

- To butelka, w której mnie zamknęła. Spełniłem już jedno jej życzenie, mianowicie dałem jej moce piekielne. Jeśli ją odzyska, będzie mogła mnie wykorzystać do wszystkiego, co się jej zamarzy.

- CO? Dałeś się nabić w butelkę? - władca Piekieł nie mógł w to uwierzyć. - To naprawdę jest możliwe? I możesz jej dać wszystko? Przecież nie miałaś jabłka!

Rozbiegane spojrzenie Szatana skupiło się na moment na małej jabłonce, która rosła w solidnej doniczce w kącie gabinetu. Jabłka błyszczały zachęcająco, zupełnie jakby co wieczór polerował je chusteczką.

- Lucek, uspokój się - Gabriel usiłował przywołać go do porządku. - Tobie jako władcy i tak nie wolno byłoby tego wykorzystać.

- Ale... - speszył się.

Ten jeden mały flakonik rozwiązałby wiele jego problemów. Piotrek zaśmiał się złośliwie. Jego pełne pogardy słowa zwrócone były do Beletha:

- Czyli teraz jesteś dżinem jak z *Baśni tysiąca i jednej nocy*? Zwykłym popychadłem osób, które mają lampę bądź butelkę?

Ifrit nie odpowiedział. Zacisnął tylko mocno zęby i po cichu zniósł poniżenie.

- Piotrek - syknęłam z naganą.

Gabriel postukał palcami o blat biurka, by zwrócić na siebie naszą uwagę. Po raz pierwszy był tak samo zmęczony jak Szatan.

- Proponuję zastanowić się, co teraz uczynimy - powiedział głębkim głosem. - Możemy spokojnie czekać, aż wyklaruje się, co zamierza ta księżna tytułująca się królową Podziemi, bądź ruszymy jej na spotkanie i namówimy do powrotu do jej królestwa.

Szczerze wątpiłam, że Elżbieta da się namówić na coś takiego. Prędzej trzeba będzie ją zabić i na zawsze pozbyć się z tej rzeczywistości.

- To nic nie da - odparłam. - To wariatka. Uważam, że powinniśmy ją zlikwidować.

- Nie możemy autorytatywnie o tym decydować. Nie od nas zależy, czy dane jej będzie umrzeć. Nie wiemy, czy dzięki nam nie znajdzie w niej głęboka przemiana, która uczyni z niej dobrą istotę. Musimy czekać na znaki...

Zaczynałam rozumieć, dlaczego Szatan nigdy nie zgadzał się z Gabrielem i nie szanował jego sposobu myślenia.

- Ona nie będzie czekała na żadne znaki. Już zaczęła mordować i na tym nie poprzestanie. Sądzę, że możemy tylko czekać, aż odkryje, że można ruszyć na podbój Piekła i Nieba. Gdy zaczniesz niszczyć nieśmiertelne dusze, będzie już za późno - powiedziałam.

Szatan zaśmiał się chrapliwie. Wskazał palcem na Gabriela.

- I ty naprawdę kiedykolwiek myślałeś, że ona mogłaby być anielicą? Dobrze sobie. Przecież to urodzona diablica.

Nie spodobało mi się to zaszufadkowanie. Kiedyś przecież taka nie byłam. Kiedyś byłam miłą dziewczyną.

- Nadal będę się upierał, że trzeba z tą Batory porozmawiać - Gabriel był nieugięty. - Jeśli to nic nie da, zgodzę się na podjęcie kolejnych kroków.

- Dobrze, pójdziemy z nią porozmawiać - powiedział Beleth.

- O nie! Ty nigdzie nie pójdziesz! - zaprotestowałam. - Przecież jak tylko cię zobaczy, to zabierze ci flakon i tyle po naszej równowadze sił. Ona nie może zdobyć przewagi.

- Wiktoria ma rację - Szatan zgodził się ze mną. - Ty zostaniesz w Piekło. Ona razem z Piotrem wybierze się na Ziemię.

Decyzja ta zaskoczyła nas wszystkich. Czemu akurat ja i Piotrek? Mało to było aniołów i diabłów, które znacznie lepiej wypadłyby w roli posłów?

- Nie zgadzam się! - krzyknął Beleth. - Nie możecie mi rozkazywać. Jestem wolny!

Wzięłam go za rękę i zmusiłam, by spojrzał mi prosto w oczy. W jego tęczęwkach świeciło zielone światło. Nie mogłam pozwolić, by stawił czoło Elżbiecie.

- Nic mi nie będzie - obiecałam mu. - Tylko z nią porozmawiam. Jeśli to nic nie da, wrócę do ciebie po pomoc. Obiecuję.

- A nie możemy po prostu zniszczyć tej butelki i uwolnić dzina? - zaproponował Piotrek.

Szatan podrapał się po głowie zamyślony. Gabriel także nie odpowiedział od razu.

- Nie jestem pewien, czy to nie zaszkodzi Belethowi - odparł Archanioł. - Nie mieliśmy z tym wcześniej do czynienia. Możliwe, że wyrządzimy mu krzywdę bądź wręcz zniszczymy go razem z jego więzieniem.

Piotrek uśmiechnął się złośliwie. Zbliżył się do mnie. On nie zastanawiał się nad słusnością wyboru władców zaświatów. Podobało mu się, że znowu trafił do gry. Zwłaszcza że tymczasowo wykluczono z niej jego rywala.

- Przykro mi, Beleth - powiedział nieszczerze. - Najwyraźniej nie możesz nic zrobić. Zostaje ci tylko siedzieć i czekać, aż ktoś inny się tym zajmie.

Powiedział „tym”, ale wiedziałam, że chodziło mu o mnie.

- Piotrek - znowu syknęłam ostrzegawczo.

Zupełnie nic sobie z tego nie robił. Objął mnie ramieniem i patrząc ifritowi prosto w oczy, zakpił:

- Czyżby ktoś tu był bezsilny?

- Może w tej chwili, Piotrze - prychnął Beleth. - Jednak w ogólnej klasyfikacji dawno ze mną przegrałeś. Już nie muszę martwić się o swoją nagrodę.

- Uważaj, bo to nie jest nagroda gwarantowana.

- Hej, ja tu stoję! - nie wytrzymałam. - Nie pozwalajcie sobie.

Wsunęłam szpilki na nogi, wyrwałam się z objęć i obu ich odepchnęłam. Piotrek uderzył w czuły punkt. Zabolało mnie to, co powiedział, bo miał rację. Zdarzało mi się zmieniać zdanie.

- Szatanie, Gabrielu - odezwałam się do władców. - Jeśli pozwolicie, już pójdziemy.

- Ależ oczywiście. - Archanioł pokiwał głową.

- A już myślałem, że stłuką w czasie kłótni butelkę i dowiemy się, co by się stało - westchnął Lucyfer.

Szybkim krokiem minęłam mężczyzn i wcisnęłam guzik windy osobowej. Kabina otworzyła się przede mną.

- Idziesz? - warknęłam do Piotrka.

- Za tobą choćby do Tartaru - zakpił.

Zobaczyłam jeszcze skwaszoną minę Beletha i zaraz potem drzwi windy się zamknęły.

W milczeniu minęliśmy pusty sekretariat Szatana. Stanęliśmy w białym, a raczej sterylnym korytarzu Urzędu. Teraz, gdy byłam potępioną duszą, poza bramami Tartaru nie był mi chyba potrzebny klucz diabła.

- Poczekaj - poprosiłam Piotrka.

Zamknęłam oczy i pomyślałam o sekretariacie, którego drzwi zamknęły się już za nami. Gdy uchyliłam powieki, okazało się, że stoję na biurku Belfegora z jednym obcasem w porcelanowej filiżance. Pękła z trzaskiem pod moim ciężarem. Na szczęście nie było w niej herbaty.

Zeskoczyłam z mebla i sprawdziłam, czy na żadnych ważnych dokumentach nie zostawiłam odcisku podeszwy. Ktoś mógłby się zdziwić, widząc na urzędowym druku odbicie cienkiego obcasa i trójkątnego noska moich szpilek. Pstryknięciem palców skleiliśmy filiżankę.

Wyszłam z powrotem na korytarz. Piotruś był wyraźnie zaniepokojony.

- Gdzie zniknęłaś? - zapytał z wyrzutem.

- Sprawdziałam swoje nowe moce. - Nie byłam zadowolona z jego towarzystwa.

Nie uważam się za superbohaterkę, która może pokonać wszelkie zło, sądzę jednak, że lepiej od Piotrka znam się na ludziach. Poza tym nie podobał mi się jego władczy ton głosu.

- Nie potrzebuję teraz klucza - dokończyłam.

- Utraty życia to ci chyba nie zrekompensuje - prychnął i sięgnął do kieszeni po swój klucz diabła.

Nerwy mi puściły. Znowu. Tracę dyscyplinę.

- O co ci chodzi? - warknęłam. - Co się z tobą stało? Nigdy taki nie byłeś. Zrobiłeś się... wredny.

Brakowało mi słów na wyrażenie tego, co czułam.

- To wyłącznie zasługa pewnych diabłów - odparował. - Kilka przygód w ich towarzystwie wystarczyło, żeby pozbawić mnie złudzeń.

Skrzywiłam się.

- To pewnie też moja wina? - zapytałam zadziornie. Byłam gotowa się z nim pokłócić. Miałam żal do Kleopatry, że go sprowadziła. Rozumiem, że liczyło się dla niej tylko moje dobro, mimo to wprowadziła jedynie niepotrzebny zamęt.

Nie odpowiedział od razu. Spoglądał na mnie pustym wzrokiem.

- Zmartwi cię to, co ci powiem - oświadczył.

Nastawiłam się na najgorsze.

- Wciąż mi na tobie zależy...

Przyznam, że ta odpowiedź mnie zaskoczyła. Znowu? Znowu mu na mnie zależy? Ile razy muszę go zranić, by przestał o mnie zabiegać?

- Gdy zobaczyłem, jak umierasz... - Pokręcił przecząco głową. - Umarłaś mi w ramionach. Wiem, że tego nie pamiętasz. Straciłaś przytomność. Ale ja trzymałem twoje martwe ciało, Wiki. Ciągle, kiedy zamykam oczy, widzę, jak chodnik pokrywa się krwią. Coś takiego trochę zmienia człowieka i jego podejście do wielu spraw.

- Nie wiedziałam...

- Wiem. W końcu teraz liczy się tylko Beleth.

- Piotrek!

- Co? No co? Co jeszcze możesz mi powiedzieć? Nic. Wszystko między nami zostało już powiedziane. Chcesz być z nim, bo mnie masz w dupie.

- Przeinaczasz. Nigdy tak nie powiedziałam. Ja po prostu...

- Po prostu mnie nie kochasz. Wiem... Tylko ciężko mi to zrozumieć.

- Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi. - Poczułam pod powiekami łzy.

Zaśmiał się chrapliwie. Dopiero teraz zauważyłam, że nie tylko zgorzkniał. Cały się zmienił. Nie pamiętam, żeby miał kiedykolwiek tak głębokie cienie pod oczami, żeby jego policzki się zapadały, a ubrania na nim wisiły jak na wieszaku.

- Jesteśmy - westchnął. - Jesteś moją najlepszą przyjaciółką i chcę dla ciebie jak najlepiej. Dlatego nie cierpię tych wspaniałych diabłów. Oni cię pogrążają. Nie rozumiem, dlaczego tego nie widzisz. Jesteś martwa, potępiona. Gorzej już chyba być nie może...

- Może, jeśli Elżbieta postanowi mnie zniszczyć doszczętnie. A może mieć na to ochotę, jeśli dowie się, że to ja ukradłam flakon z dżinem - wtrąciłam.

Piotrek podszedł do mnie i przytulił mnie mocno. Poczułam jego zapach, wtulona w zagłębienie jego szyi. Zeszczupłał, jednak pod cienką podkoszulką czułam twarde mięśnie, a nie kości.

- Nie pozwolę, by cię skrzywdziła. - Poglądził mnie po włosach.

Poczułam dziecięcą ulgę.

- Nie? - upewniłam się.

- Nie. Przestałem być grzecznym chłopcem. Złożę skórę czarownicy.

- Nie żartuj, ona jest niebezpieczna. Pocałował mnie szybko w czoło.

- Będzie dobrze. Wychodziliśmy już cało z gorszych tarapatów.

Nie byłabym tego taka pewna. Przy Elżbiecie Agares i Pajmon, dwa obłąkane diabły, które kiedyś na nas polowały z polecenia Szatana, wydawały się bezbronne niczym owieczki. Moroni także przestawał być tak złowieszczy, jak go zapamiętałam. Może jedynie złote golemi świętego Piotra bardziej mnie przerażały.

- Idziemy? - zapytał Piotrek.

Klucz diabła cały czas trzymał w zaciśniętej w pięść dłoni.

- Tak. - Kiwnęłam głową. - Zażycz sobie znaleźć się w miejscu, w którym obecnie przebywa księżna Elżbieta Batory.

- Ona ma coś wspólnego z naszym Batorym?

- Taaa, to siostrzenica Stefana Batorego. Pochodzi z Siedmiogrodu. Jej rodzice Anna Batory i Jerzy Batory byli kuzynami. Nie wyszło jej to na zdrowie, jak widzisz. Elżbieta podobno mordowała dziewice i kąpała się w ich krwi. Wierzyła, że to zapobiega zmarszczkom... Za zbrodnie skazano ją na zamurowanie w zamku, ale wcześniej się zabiła.

Chłopak wsunął klucz w ścianę. Metal zagłębił się w gips i cegły bez najmniejszych oporów. Piotrek przekręcił go sześć razy i wypowiedział

położenie miejsca docelowego. Miałam nadzieję, że przejście zadziała pomimo podania niedokładnego adresu.

Przed nami pojawiły się proste drewniane drzwi. Takich kiedyś używałam, kiedy trafiłam do Piekła. Przejście mówiło wiele o właścicielu klucza. Zawsze mnie zastanawiało, czy pozbawione ornamentów skrzydło drzwi oznacza, że w głębi duszy jestem dość nudną osobą. Mam nadzieję, że nie.

- Aha, Wiki. - Dłoń Piotrka zatrzymała się na klamce. - Tak?

- Zapomniałem ci o czymś powiedzieć. To pewnie nawet wiele ułatwi. Zwłaszcza że jesteśmy teraz tylko przyjaciółmi.

- Co chcesz mi powiedzieć?

Byłam zniecierpliwiona. Chciałam już iść. Chciałam stawić czoło Elżbiecie i, co najważniejsze, chciałam wrócić tu cała i zdrowa z wciąż żywym Piotrusiem.

Piotruś. Jak ja dawno go tak nie nazywałam.

Ruszyłam w stronę drzwi, by pociągnąć za klamkę, do której on najwyraźniej przymarzył z jakiegoś powodu.

- Spotykam się z kimś.

Zamarłam w połowie ruchu.

- Sssłuchaaam? - wydukałam.

- Spotykam się z Moniką... Jeszcze przed twoją śmiercią, jak wróciliśmy z Nieba, poszedłem z nią na piwo. Potem ty umarłaś, a ona była przy mnie. Pocieszała mnie. - Wzruszył ramionami. - Tak jakoś wyszło.

Z MONIKĄ??? Z tą KROWĄ???

- Czemu masz taką minę? - głos jego brzmiał niepewnie.

Przypomniałam sobie bladą mor... ekhm, twarz tej przygłtu... ekhm, mało inteligentnej dziewczyny, której głównym życiowym celem, jaki zdołał wyewoluować pod blond grzywką (podejrzewam, że farbowaną), było odhaczenie jak największej liczby facetów. Za złapanie zajętego faceta najprawdopodobniej przyznawała sobie dwie gwiazdki w klasyfikacji.

Nie mogła oczu oderwać od mojego Piotrusia, kiedy ja jeszcze byłam w nim nieszczęśliwie zakochana. A potem, kiedy zaczęliśmy się spotykać, jej obsesja tylko wzrosła. Nie mogła sobie darować, że to ja go zdobyłam.

Zdzira.

Odchrząknęłam.

- Minę? Jaką minę?

- Wiem, że nie lubisz Moniki, ale ona naprawdę przy bliższym poznaniu wiele zyskuje.

Zdałam sobie sprawę z bezpodstawności moich roszczeń wobec Piotrka. Nie byliśmy już parą. Sama podjęłam tę decyzję. Świadomą decyzję po przemyśleniu wszystkich za i przeciw.

Głównym „za” był pewien diabeł. A zatem dlaczego byłam teraz aż tak zazdrosna? Dlaczego miałam ochotę sprać tę dziewczuchę na kwaśne jabłko, wyrwać jej blond kłaki z głowy i zadeptać ten podły uśmieszek na umalowanych

różową szminką ustach? Racja, to chyba z wrodzonej złośliwości. Cieszę się, że Piotrek znalazł sobie kogoś, że w ogóle przyjął do wiadomości, że z nami koniec i nie porzucę diabłów. Naprawdę byłam z tego powodu zadowolona. Pogodził się wreszcie.

Gdy kłóciliśmy się o przyszłość naszego związku jeszcze podczas wspólnego pobytu w Los Diablos, nie byłam pewna, czy kiedykolwiek do tego dojdzie.

Tylko, że...

Piotruś i Monika?

MONIKA???

Piotrek szarpnął za klamkę. Uchylił delikatnie drzwi, zaglądając przez szparę. Wiśniowe drewno zaskrzypiało zamocowane luźno na starych zawiasach. - I co? - nie mogłam wytrzymać napięcia.

- Nic nie widzę. - Otworzył je szerzej i przeszedł przez próg.

Depcząc mu po piętach, przeskoczyłam na drugą stronę. Drzwi za naszymi plecami same zaczęły się zamykać. Po chwili na ścianie został po nich tylko lśniący złoto prostokąt. Błyszcząc, zniknął na naszych oczach.

Rozejrzałam się, nie tracąc nawet na moment czujności. Znajdowaliśmy się w olbrzymim pokoju pełnym ławek i obitych czerwonym pluszem krzeseł. Ściany mieniły się od złota, piękne barokowe malowidła przykuwały wzrok.

- Gdzie my jesteśmy? To wygląda jak sala obrad sejmu, tylko jest... - nie mogłam znaleźć słów.

- Ładniejsze. - Zaśmiał się. - Byłem tu kiedyś na wycieczce szkolnej. - Zadarł do góry głowę i podziwiał przez chwilę ściany. - Jesteśmy w dawnej Izbie Wyższej Parlamentu w Budapeszcie. Księżna dobrze wybrała. To chyba jeden z większych i najbardziej okazałych budynków w stolicy.

Z całą pewnością pasował przepychem do jej upodobań. Złote ściany musiały mile polechtać jej próżność.

Wyszliśmy z sali obrad. Stanęliśmy na olbrzymiej klatce schodowej. Czerwony dywan, którym wyłożony był korytarz i schody, tłumił nasze kroki. Zdałam sobie sprawę, że wciąż mam na sobie suknię z trenem i dwunastocentymetrowe szpilki. Niezbyt praktyczny strój do ewentualnej walki lub ucieczki. Z drugiej strony będę ubrana porównywalnie do Elżbiety. Może wtedy uzna mnie za równą sobie? Obcasy zapadły się w lekko wytarte włosie dywanu.

- Dziwne, że nie rezyduje w Čachticach - mruknęłam.

Przepych węgierskiego Parlamentu zaskoczył mnie. Budynek naszego sejmu wyglądał przy nim żałośnie. W Warszawie nie zostało nic z jej dawnej świetności. Nie ma zabytkowych kamienic poza kilkoma na Nowym Świecie. Ocalałych perełek na Pradze Północ nikt nie remontował, choć byłyby znacznie ładniejsze od tych przy rondzie de Gaullea. Władzom nie zależało na tym, by odtworzyć klimat dawnej Warszawy i wszystko zmierzało ku temu, by nasza stolica zamieniła się w nieskładne, pozbawione uroku blokowiska.

Poczułam złość. Gdyby tylko Warszawa nie została zbombardowana przez niemieckie samoloty, byłaby tak piękna. Nie trzeba by było odbudowywać Zamku Królewskiego i Starówki, po których nic nie zostało.

- Ja się jej nie dziwię. Zajęła jeden z najważniejszych dla Węgrów budynków. Dość strategiczne zagranie.

- To jest piękne - westchnęłam, przeciągając dłonią po zdobionej marmurowej balustradzie. Złoto nigdzie nie odpryskiwało, nikt nie usiłował go zdrapywać.

- Z tego, co pamiętam, budowę ukończono w 1904 roku - odezwał się Piotr, wyglądając przez witrażowe okno. - Wykorzystano kilkadziesiąt kilogramów złota i chyba z pół miliona kamieni szlachetnych.

Tylko z niedowierzaniem pokiwałam głową. Rzeźby na ścianach przyglądały mi się z półśmiechami na zastygłych twarzach.

- Gdzie ona może być? - zapytał zniecierpliwiony. - Przecież chciałem znaleźć się tam, gdzie ona.

- Na pewno gdzieś jest.

W całym gmachu panowała niczym niezmacona cisza.

- Wróćmy do Izby Wyższej - zaproponowałam. - I po prostu ją zawołajmy.

- Myślisz, że to mądre?

- A chcesz biegać po całym budynku i jej szukać? Niech sama przyjdzie. Poza tym to chyba jedno z bardziej znanych pomieszczeń. Na pewno tam trafi.

Zamknęłam oczy i skupiłam się na Elżbiecie. Wyczułam jej umysł gdzieś w głębi gmachu. Posłałam jej telepatyczną wiadomość.

- Gotowe. - Otworzyłam oczy.

- I co jej powiedziałaś?

- Przedstawiłam się, wyjaśniłam, że przychodzimy z poselstwem i będziemy na nią oczekiwać w Izbie Wyższej, czyli sali tronowej.

- To nie jest sala tronowa.

- Sądzę, że teraz jest. W końcu Elżbieta tytułuje się królową.

- Ale jeszcze nie włada Węgry. Na razie wprowadziła tylko terror, używając swoich wojsk.

- Co to za armia? - chciałam wiedzieć. Po plecach przebiegł mi dreszcz. Czyżby Elżbieta była tak szalona, że wyprowadziła z Tartaru setki potępionych dusz? To byłoby okropne. Najwięksi mordercy i szaleńcy znowu mogliby się spustoszenie.

- Armia widm i żołnierze ze szkła. - Wzruszył ramionami. - Można do nich strzelać, a oni dalej idą. Niestety ich broń jest dość prawdziwa. Świetnie zabija i wojskowych, i cywili.

- Co my zrobiliśmy...

- Trochę wam nie wyszła ta ucieczka z Tartaru - przyznał.

- Dzięki... myślałam, że mnie pocieszysz.

- Przecież ty nie chcesz moich pocieszeń.

Cholera, znowu miał rację. Co on tak nagle wydorósł? Jego wszechwiedzący uśmiech, który kiedyś tak mnie pociągał, zaczął być irytujący.

- Mógłbyś być dla mnie trochę miłszy - zwróciłam mu uwagę.

Zaśmiał się ponuro.

- A ty mogłabyś przestać zachowywać się tak, jakbyś miała zawsze rację, bo często wcale jej nie masz. Nie zwracasz uwagi na ludzi, którym jesteś bliska. Zauważyłaś to? Nie obchodzi cię, co czują twoi rodzice, brat, co czułem ja. Jesteś egoistką, Wiki.

- Przestań tak mówić.

- Prawda boli?

Spoliczkowałam go.

- Chyba naprawdę boli - zdziwił się, zaskoczony i potarł wierzchem dłoni zaczerwieniony policzek. - Przepraszam cię, Wiki. Musiałem ci to powiedzieć, żebyś się chociaż trochę otrząsnęła.

- Nie potrzebuję twoich rad. Uważasz, że ty masz zawsze rację, ale tak też nie jest. Przestań wreszcie prawić mi kazania. Mam tego dość!

- Wiem. - Krzywy uśmieszek zagościł na jego ustach. - Ale szczerze nienawidzę twojego najdroższego Beletha, więc perwersyjną radość sprawia mi wytykanie ci związku z nim jako największego błędu twojego życia. O przepraszam, ty już nie żyjesz.

- Naprawdę zrobiłeś się wredny - skwitowałam.

- A ty wyładniałaś. To smutne, ale ze śmiercią ci do twarzy. Echo w pustej sali powtarzało nasze słowa. Nie oddawało ciepła w głosie towarzyszącego mi chłopaka, ale nie musiało. Mówił, że ma dziewczynę. Mówił, że jesteśmy teraz tylko przyjaciółmi. Mówił, że chce tylko mojego dobra. Jednak jego oczy mówiły mi dokładnie co innego.

- Kocham Beletha - palnęłam.

- To dobrze. - Wydawało mi się, że wzrok mojego byłego odrobinę stwardniał. - Ja mam Monikę. Jestem szczęśliwy.

Nie wiedziałam, jak powinnam zareagować. Zaskoczył mnie. Takiego Piotrka nie znałam. Czy mógł kłamać mi w żywe oczy? I czy ja chciałam, żeby teraz kłamał? Co on ze mną robił?

Potrząsnęłam głową i wyobraziłam sobie Beletha. Mojego diabła, ifrita. Poświęcił się dla mnie. Utracił Łaskę Boską. Zawsze żądałam od niego dowodów uczucia. Często kłamał, więc wymyślona miłość także by do niego pasowała. Dostałam dowód. Kochał mnie. Najwyraźniej naprawdę mnie kochał. Dla niego zostawiłam „nudnego śmiertelnika”.

I co zrobić, kiedy on nagle przestaje być nudny?

To bardzo zagmatwane. A raczej ja to znowu płaczę. Spod rzęs zerknęłam na chłopaka. Siedział w niewymuszonej pozycji na jednym ze stołów. Odgarnął grzywkę z oczu. Tajemniczy półuśmiech sugerował, że myśli o czymś niewiarygodnie zabawnym, co wie tylko on. Cały świat to żart.

Coraz częściej nachodzi mnie myśl, że jestem głupia. Niepokojące.

Postanowiłam zetrzeć ten uśmieszek z jego ust.

- Spałeś już z Moniką? Jaka jest w łóżku?

Noga Piotrka obsunęła się z ławy.

- Co? - wyjąkał.

- Przecież jesteśmy teraz tylko przyjaciółmi - zakpiłam. - Możemy mówić sobie o takich rzeczach.

Niestety nie zdołałam usłyszeć jego odpowiedzi. Chociaż prawdę mówiąc, wcale nie chciałam jej słyszeć. Na samą myśl, że ta krowa dotykała mojego... to znaczy kiedyś mojego Piotrka... a zresztą to bez znaczenia.

Naszą pasjonującą rozmowę, której sensu wciąż nie potrafiłam pojąć, przerwało otworzenie się podwójnych drzwi. Uderzyły z głośnym trzaskiem o ściany. Trochę tynku osypało się na ziemię.

Stała w nich dumna Elżbieta. Miała na sobie kapiącą od złota suknię z mnóstwem kamieni szlachetnych przyszytych do falban materiału. Zgrabną, łabędzią szyję ozdobiła koronkową kryzą. Spinający ją z przodu olbrzymi krwawy rubin rywalizował czerwienią z kolorem jej ust.

- Kim jesteście i jak śmiecie przekraczać progi naszego zamku? - zagrziała, krocząc wyniośle po schodkach w naszą stronę.

Wyprostowałam się, a Piotrek zerwał się z ławy. - Jesteśmy posłami władców Piekła i Nieba - oświadczyłam.

- Ty - wycedziła. - Diablica z Tartaru - silny akcent zniekształcał jej słowa.

- Tak, to ja. Wiktoria Biankowska, była diablica, niedoszła anielica - lubiłam przedstawiać się w ten sposób.

Była ostrożna. Nie doceniłam jej. Szczerze mówiąc, sądziłam, że rzuci się na mnie, a ja będę mogła się potem tłumaczyć Szatanowi, że zabiłam ją w obronie własnej.

Chociaż z drugiej strony ostatnio coś za często zaczęłam z łatwością myśleć o zabijaniu.

Piotrek wziął mnie za rękę. Byłam zaskoczona.

- Wiem, o czym myślisz - powiedział. - Nie rób tego. Nie jesteś jedną z nich. Jesteś człowiekiem. Nie zapominaj o tym.

- Skąd wiesz, o czym myślę?! - syknęłam. Księżna była coraz bliżej.

- Bo dobrze cię znam. A mówiąc poważniej, to twoje oczy zrobiły się białe, zupełnie jakbyś właśnie sięgała po silną moc.

Kurczę...

Elżbieta stanęła naprzeciwko nas. Jej usta rozciągnęły się w grymasie sztucznego uśmiechu, oczy zaś sondowały nasze twarze w poszukiwaniu znaków świadczących o złych zamiarach.

- Przychodzimy z poselstwem. Przysyłają nas władcy zaświatów Archanioł Gabriel i Szatan - powiedział Piotrek. - Zechcesz nas, pani, wysłuchać?

- Władcy zaświatów - była wyraźnie zainteresowana. - A czego oni od nas chcą?

Zza drzwi bezszelestnie wysunęła się głowa Kuby Rozpruwacza. Rozbiegane oczy szybko zlustrowały salę. Gdy mnie zobaczył, poblądł odrobinę.

Ach, sława!

Księżna odwróciła się zaintrygowana, kogo zauważyłam.

- Rozpruwacz! - wezwała go do siebie.

Morderca pokazał nam się w pełnej krasie. Nie miał już na sobie kolorowego stroju błazna, lecz mundur z szeregiem złotych guzików. Chyba awansował w pałacowej hierarchii.

- Dowódca straży - wyjaśniła władczyni. - Do nas!

Pojawił się w samą porę, bo przecież królowa nigdy sama nie przeprowadzała rozmów. Potrzebowała do tego mistrza ceremonii, który znał etykietę.

Nagle powietrze za królową zafalowało. Jak zaczarowana wpatrywałam się w złoty tron, który pojawił się znikąd za jej plecami. Elżbieta zasiadła na nim z godnością. Materiał sukni ułożył się w zgrabne fale, zupełnie jakby czuwały nad tym niewidzialne duszki.

- A zatem w jakiej sprawie przybywacie do Królowej Księstwa Węgierskiego, Wielkiej Władczyni Królestwa Podziemnego i pani na zamku w Čachticach Elżbiety Batory? - zapytał Kuba.

- Księstwo Węgierskie? - zdziwiłam się.

- Istnieje od wczoraj - grzecznie wyjaśnił Rozpruwacz.

- Przybyliśmy do królowej z poselstwem - pałeczkę przejął Piotrek. - Przysyłają nas władcy zaświatów Szatan i Archanioł Gabriel.

- Czego sobie życzą od najwspanialszej władczyni?

- Proszą, by powróciła do Tartaru i dalej sprawowała tam rządy, jeśli taka jest jej wola. Zależy im na spokoju Ziemi. Zmarłe dusze nie mogą wprowadzać zamętu oraz używać mocy na oczach śmiertelników.

- Zapytaj ich dlaczego - rozkazała królowa.

- Dlaczego? - pytanie Kuby zawisło w powietrzu.

- Bo królowa narusza porządek rzeczy - Chłopak wbił spojrzenie w niewzruszoną twarz władczyni.

- Teraz my jesteśmy porządkiem - odezwała się.

- Teraz królowa jest... - zaczął usłużnie jej pomagier, ale machnięciem dłoni zamknęła mu usta.

Dośłownie. Na mięsistych wargach mężczyzny pojawiły się czarne nitki, które zasznurowały je ciasno. Krople krwi pociekły mu po brodzie. Jęknął i złapał się za twarz.

- Dość - powiedziała cicho.

Piotrek był wstrząśnięty. Patrzył, jak zszokowany mężczyzna osuwa się na posadzkę, wyjąc z bólu. W jednej chwili moc królowej pociągnęła go brutalnie po ziemi w stronę drzwi. Jego głowa obijała się o schody. Złote drzwi zamknęły się za nim.

- Męczył nas jego podły, mdły akcent. - Poprawiła czarne włosy.

Ja nie ruszyłam się z miejsca. Wytrzymałam spojrzenie złej królowej. Piotrek wycofał się. Jego twarz pobladła. Poczułam satysfakcję. Wcale nie był taki mocny, za jakiego się uważał. Może zachowanie tej psychopatki lubiącej zadawać ból czegoś go nauczy.

- Czy wasi... zwierzchnicy mogą zaoferować nam coś w zamian?

Wysunęłam się do przodu. Wysoki tron ustawiony na podwyższeniu sprawiał, że musiałam zadzierać głowę, by spojrzeć jej prosto w oczy.

- Wasza Wysokość, Szatan i Archanioł Gabriel obiecują w zamian, że was nie zabiją - wycodziłam. - Jeśli nie zrobisz tego, co ci każą, zostaniesz usunięta.

Jej perlisty śmiech rozszedł się po pomieszczeniu głośnym echem. Nie był wesoły. Brzmiała w nim nienawiść.

- Sądzymy, że nie podoba nam się ta propozycja - jej głos przepełniony był jadem. - Sam Bóg nie może nam niczego kazać. To my jesteśmy teraz boginią.

- To akurat nieprawda. - Nie mogłam powstrzymać złośliwego uśmiechu. - Do tego brakuje ci bardzo dużo mocy. Jesteś kimś takim jak ja, Elżbieto. Nikim ważnym.

Jej policzki poróżzowiały, gdy zwróciłam się do niej bezpośrednio. Uwielbiam łamać etykiety. To takie odprężające.

- Mylisz się, dziewucho. Nie jesteśmy pierwszą lepszą plebejuską ze wsi. Płynie w nas błękitna krew.

Piotrek chciał coś powiedzieć, ale nie dałam mu dojść do słowa.

- Królowo, jesteś pewna? Wykorzystałaś tyle krwi wiejskich dziewczuch. Może teraz w twoich żyłach płynie ich czerwona plebejska krew.

Ku mojemu zaskoczeniu Elżbieta odetchnęła głęboko i oparła się swobodnie o drewniane, rzeźbione oparcie tronu pokryte złotą blachą.

- Wiemy, do czego zmierzasz - oświadczyła z satysfakcją.

- Tak? Do czego?

- Chcesz nas zmusić do ataku na poselstwo. W moich czasach czekałby mnie za to odwet twych władców. Zapewne w tych jest tak samo. Zresztą twoi władcy są starsi ode mnie.

Cholera. Naprawdę nie jest głupia. A myślałam, że uda mi się ją podpuścić. Niekoniecznie chciałam, by ją to oczerniło. Miałam raczej nadzieję, że dzięki temu będę mogła użyć mocy w obronie własnej. Dopóki się na mnie nie rzuci, nie mogę sama jej zaatakować. Szatan urwałby mi za to głowę, a Gabriel? No cóż... moralizowałby tylko niepotrzebnie.

- Powiedz swoim władcom, że mamy dla nich inną propozycję. Zgodzimy się na ugodę i nie najedziemy ich królestw z naszą armią, jeśli tylko oddadzą nam naszego dzina. Wiemy, że go ukradłaś. Pamiętamy cię z balu. Miałaś fioletową suknię z kokardami.

Piotrek był coraz bardziej zdezorientowany. Bal? Jaki bal? Fioletowa sukienka? Kokardy? Czy wszystkie baby naprawdę zawsze zwracają uwagę na takie pierdoły?

- Cemu mnie nie zaatakowałaś? - byłam zaskoczona.

- Nie stanowisz dla nas zagrożenia - jej pretensjonalny ton mnie wkurzył.

- Jak sama powiedziałaś, jesteś nikim.

O, jeszcze się zolta przekonaj, jakim potrafię być zagrożeniem!

- Nie dostaniesz dżina. Nie oddadzą ci go. Tak samo jak nie oddadzą ci Ziemi, do której rościsz sobie prawa - warknęłam.

- Zobaczymy, pośle.

Królowa wstała. Jej suknia rozłożyła się na marmurowych płytach. W słońcu zaiskrzyła złota nitka. Tron zniknął.

- Powiedźcie waszym władcom, że nie zgadzamy się na ich żalosne żądania. Dżin w zamian za zachowanie suwerenności zaświatów. W innym wypadku wszystko będzie nasze.

- Nie zgodzą się...

- W takim razie przegrają. Na dostarczenie nam naszej własności macie jeden dzień. Później spełnimy nasze groźby.

Odwróciła się do nas tyłem i skierowała do wyjścia. Patrzyliśmy wzburzeni na jej sztywno wyprostowane plecy podtrzymywane ciasno zawiązanym gorsetem.

Zatrzymała się przy drzwiach. Jej uśmiech nie wróżył niczego dobrego.

- Co do ciebie, dziewucho. Wiemy, że śmiałaś ukraść nam dżina i zapamiętamy to. Spotka cię za to kara w odpowiednim czasie. To nasz dżin.

- Beleth nie jest twoją własnością! - krzyknęłam.

- Beleth - powtórzyła, zupełnie jakby smakowała to słowo.

Tak jak podejrzewałam, Szatan i Gabriel nie ucieszyli się z ultimatum, jakie postawiła im Elżbieta. Trudno się im dziwić. Tak dobrze szło im przewodzenie zaświatom i Ziemią, a tu nagle pojawia się jakaś wścibska baba, która chce im zabrać ulubioną zabawkę. Śmiertelników.

I to na dodatek tych jeszcze żywych.

Może pogodziliby się z utratą paru dusz, w końcu zostały już zaksięgowane i wpisane do rejestrów, niemniej o żywe musieli ze sobą walczyć. A co będzie, jeśli religia umrze, gdy królowa stanie się władcą absolutnym całej planety i jej po prostu zakaze? Nastąpi koniec odwiecznej walki dobra ze złem?

Nie podejrzewałam co prawda, że do tego dojdzie, jednak Szatan jest dobry w snuciu czarnych scenariuszy, więc wpadł przed chwilą na ten pomysł.

- Co będzie ze statystykami?! - pieklił się. - Przecież tak nie może być. Do apokalipsy zostało jeszcze trochę czasu. Mam możliwość dogonienia cię w rankingu.

- Lucyferze, czy to naprawdę jest teraz ważne? - Archanioł miał zmęczoną minę.

- Oczywiście, że tak. Nie wiem jak ty, ale ja tu mam plan wieloletni, który zaraz szlag trafi.

- I tak byś nie wygrał.

- Jeszcze zobaczysz.

Zerknęłam na Beletha, który trzymał mnie za rękę. Od jego rozświetlonej skóry promieniowało ciepło. Było mi raźniej, gdy był obok.

- Co teraz? - zapytał Piotrek. - Oddamy jej dzina?

- Skąd - zachnął się Lucyfer. - Po prostu się jej pozbedziemy.

- Mogę wysłać golemy - zaproponował Gabriel.

Złote golemy strzegły bram Niebios. Były żywymi posągami, które mnie osobiście przypominały małe skrzyżowane z jakimiś hinduskimi bóstwami o wielu ramionach. Ich oczy z kamieni szlachetnych były puste. Nie wyrażały niczego.

Golemy stworzył święty Piotr i tylko on miał nad nimi władzę. Znane były z tego, że gdy dostały rozkaz, uparcie dążyły do jego wykonania, nie bacząc na nic i na nikogo. Z nimi nie można było dyskutować. Jak dla mnie nadawały się doskonale do zabicia królowej. Posłużą im w tym celu gorejące miecze, w które były wszystkie zaopatrzone.

- Nie możemy tego zrobić - zaproponował Szatan. - Narobimy zamieszania. Złote golemy panoszące się na Ziemi, kto to słyszał?

- Zamierzasz mi to wypominać? To była samowola Moroniego. Ja ich nie wzywałem. Mam ci przypomnieć, jak rozkazałeś swoim diabłom zabić wszystkie osoby z Iskrą Bożą?

Westchnęłam. Nie lubiłam słuchać sprzeczek władców z zaświatów. Mogli tak dyskutować całymi godzinami.

- Może jednak spróbujemy golemów - odezwałam się. - Elżbieta i tak narobiła bałaganu na Ziemi. Nikt się nie zorientuje.

- A nie możecie cofnąć czasu? - zaproponował Piotrek. - Cofnijmy Wiktoria do czasu, zanim została zabita. Wtedy nic się nie wydarzy.

W gabinecie zapadła cisza. Beleth lekko ścisnął moje palce. Zobaczyłam, że mięsień na jego policzku lekko drży.

- Chłopcze. - Gabriel skrzywił się lekko. - Cofnąć czas nie jest tak łatwo. Wciąż borykamy się ze skutkami poprzedniego cofnięcia. To masa pracy czysto administracyjnej. Dużo osób na całej Ziemi umarło w ciągu ostatnich dni, wielu ludzi się narodziło. Dusze z zaświatów należałoby cofnąć z powrotem do ich ciał i wymazać ich pamięć o zaświatach.

- Co nie zawsze się udaje i potem mamy pomyleńców, którzy śnili o białym tunelu - mruknął ponuro Szatan.

Przypomniałam sobie prześliski, które miałam po cofnięciu mnie wykonanym przez Beletha.

- Zmiana czasu nie wchodzi w grę - zdecydował Archanioł. - Nie wiemy, czy w ogóle zadziała na potępioną duszę, jaką jest Elżbieta. Nikt nigdy tego nie próbował. Zresztą jako obywatelka zaświatów, która dawno umarła, nie może być de facto nigdzie cofnięta.

- To co robimy? Golemy? - zapytał Lucek i klasnął w dłońe.

Gabriel skinął głową.

- Skontaktuję się ze świętym Piotrem. Gdzie masz telefon z wyjściem do Nieba?

- Zepsuł się. Chyba znowu musisz jechać windą.

Mina Lucka wyrażała pełną szczerłość. Błękitne oczy były pozbawione złośliwych błysków czy chociażby rozbawienia. Nic nie wskazywało na to, że Szatan kłamie. A kłamał. Świadczył o tym dźwięk telefonu, który zabrzmiał za jego plecami. Lucyfer jak gdyby nigdy nic odwrócił się i podniósł słuchawkę.

- Halo? Tu gabinet Szatana... Nie, nie, dziękuję Belfegorze, nie potrzebujemy herbaty... Tak, a kto dzwonił? Michał? Nie, nie kieruj tutaj rozmowy, jestem w trakcie ważnego posiedzenia z jego kumplem Gabrysiem... Tak, okej... Naprawdę? Kto by pomyślał... Okej, to dzięki, Belfegorze. Nie, naprawdę nie potrzebujemy herbaty i ciastek. Do usłyszenia.

Słuchawka stuknęła o widełki. Władca Piekieł zorientował się, że wszyscy podsłuchiwali.

- Co? - zdziwił się.

- Nie działa? - wycedził Gabriel.

- Nie. Wydawało ci się - zełgał gładko. - To tylko interkom.

Zachichotałam. A może jednak lubię słuchać ich przekomarzań?

- W takim wypadku proponuję, byśmy wszyscy udali się do Nieba - powiedział Archanioł. - W Anielskim Centrum Dowodzenia będziemy mogli na ekranach obserwować poczynania golemów. Ruszajmy.

Mówiąc to, wstał z białego krzesła i podszedł do wiekowej windy. Wcisnął guzik, a zardzewiałe drzwi uchyliły się z przeraźliwym zgrzytem.

- Czemu nie idziecie? - Zachęcił nas gestem.

- Mamy jechać tym? - jęknęłam.

Boję się wind. Czuję niepokój, gdy jestem zamknięta w małej metalowej przestrzeni, którą unosi w górę licha lina.

- Trochę śmierdzi starością, ale nie jest taka zła. Ostatnio często nią jeżdżę. Szybko, nie mamy czasu! W każdej chwili Elżbieta może wymyślić coś głupiego i niebezpiecznego, co wszystkim nam zagrozi.

Niechętnie weszliśmy do ciasnej, zatechłej kabiny. Najwięcej narzekał Szatan. Stałam między Belethem a Piotrkim, wciśnięta w kąt. Odsunęliśmy się od władców zaświatów. Woleliśmy ich nie dotykać. Tak na wszelki wypadek. Nigdy nie wiadomo, czy by nas potem nie oskarżyli o obrazę majestatu.

Winda dźwignęła się z trudem. Uderzyłam plecami o brudną, zakurzoną ścianę. Metal wszedł w drgania. Czułam na sobie nacisk, gdy maszyna rozpędzała się coraz bardziej. Kojący uścisk dłoni mojego ifrita niewiele mi pomógł, tak samo jak kurczowe zaciśnięcie powiek.

Nagle poczułam, że ktoś delikatnie dotyka mojej drugiej dłoni. Rozluźniłam zagięte palce i poczułam, jak bierze mnie za rękę i na wnętrzu mojej dłoni rysuje kciukiem małe kółka. Otworzyłam oczy.

To był Piotrek. Posłał mi pokrzepiający uśmiech.

Mam wrażenie, że tylko dzięki tym dwóm mężczyznom trzymającym mnie za ręce dojechałam do bram Arkadii. Gdyby nie oni, umarłabym ze strachu, gdy w którejś chwili winda ze zgrzytem zatrzymała się gwałtownie, a potem zaczęła opadać. Kiedy już miałam zacząć krzyczeć, ponownie stanęła i kontynuowała szaloną jazdę do góry.

Z ulgą wysypaliśmy się z windy, która jak gdyby nigdy nic zatrzymała się naprzeciwko złotej wysokiej bramy.

- Zawsze tu staje? - zapytałam.

Nie pamiętałam kabiny windy w tym miejscu.

- Tylko kiedy podróżują nią osobnicy niebędący mieszkańcami Arkadii - wyjaśnił Gabriel.

- I pewnie musimy przechodzić przez głupią kontrolę? - prychnął Szatan, podchodząc do złotej figury golema przy ogrodzeniu.

Bez obaw podszedł naprawdę blisko. Widziałam kiedyś, co jeden z tych potworów zrobił małemu ptaszкови, który usiadł na jego małej głowie. Na miejscu Lucka nie zbliżałabym się do nich.

- Oczywiście, że tak. Takie są protokoły postępowania. Czekać na mnie.

Archanioł pewnym krokiem zbliżył się do bramy. Złote posągi nie zareagowały na niego. Pchnął złote skrzydło i zniknął w różowej mgłę.

Szatan gniewnie tupał nogą i co chwila zerkał na zegarek. Beleth zastygł w nieruchomej pozycji jak rzeźby ustawione w równych odstępach przy ogrodzeniu. Rozmyślał nad czymś.

- Hej, co ci jest? - zapytałam szeptem.

Dookoła nas było bardzo cicho. Zdawałam sobie sprawę z tego, że Piotrek i Lucyfer słyszą każde nasze słowo.

- Nic - odparł. - Po prostu zastanawiam się, co zamierza Elżbieta i jakie mogłyby być jej kolejne dwa życzenia.

- Nie będzie żadnych życzeń - wtrącił się Szatan. - Nie pozwalam na to. Belecie, nie weźmiesz udziału w żadnej akcji, o ile jakieś będą. Nie możemy pozwolić na utratę lampy.

- Jestem zamknięty we flakonie perfum...

- Perfum...? Naprawdę nie było nic bardziej męskiego?

Przemilczeliśmy uwagę Szatana. Był w złym humorze i szukał ofiary, na której mógłby się wyżyć.

Piotrek stał na uboczu. Wsadził ręce do kieszeni spodni i patrzył gdzieś w przestrzeń. Zastanawiało mnie, co jemu chodzi po głowie. Nie potrafiłam go rozgryźć. W pierwszej chwili myślałam, że przyszedł tu dla mnie. Jednak jego zgryźliwe uwagi i komentarze na to nie wskazywały.

Kleo, sprowadziłaś mi na głowę kłopoty.

Brama otworzyła się. Wcześniej, gdy była jeszcze zamknięta, pomiędzy sztachetami nic nie było widać. Różowa mgła wydawała się gęsta jak wata cukrowa. Z chwilą uchylenia wrót nabrała przejrzystości. Naszym oczom ukazały się pełne cudów złote kopuły Edenii. Stolicy anielskiej ziemi.

Gabriel szedł na czele małego oddziału niskich puttów. Małe cherubinki posiadające zarost, wielkie nosy, krzaczaste brwi i żółte od nikotyny, krzywe zęby, kroczyły za nim w dwóch szeregach z dumnie uniesionymi brodami. W odróżnieniu od demonów, których zatrudniał Szatan, nie nosiły broni. Ci niepozorni pacyfisci z wyboru dzierżyli w dłoniach małe złote trąbki alarmowe na wypadek kłopotów. Gdyby działo się coś złego, ich przenikliwy dźwięk mógł szybko zaalarmować całe Niebo i sprowadzić niezbędne posiłki w postaci aniołów posiadających moc i długie trąby Apokalipsy.

Z tego, co wiem, z uwagi na ogólne bezpieczeństwo nigdy nie używano siedmiu trąb Apokalipsy naraz. Mogły wywołać pewne niesympatyczne zdarzenie.

- Ominie was kontrola osobista, ale musicie podróżować z eskortą - wyjaśnił Gabriel.

- Robisz cyrk dla mieszkańców Edenii? - prychnął Szatan.

- A wolisz zdjąć przy wszystkich spodnie, byśmy przeprowadzili kontrolę? - głos anioła ociekał słodyczą.

Lucek nie odpowiedział. Z dumną miną ruszył w stronę wejścia. Od razu otoczyło go stadko zaaferowanych pracowników Administracji, którzy chcieli jak najlepiej wykonać swoją pracę.

Ciekawe, na czym polega kontrola osobista i co spodziewają się znaleźć przy mieszkańcach Piekieł. Czyżbyśmy mogli wprowadzić na teren Nieba jakieś zakazane substancje?

- Mam złe przeczucia - mruknął Beleth.

Różowy wieczór powoli zapadał nad anielskim miastem. Zaskoczona oderwałam wzrok od pięknych marmurów i złocen przyciągających moje spojrzenie na każdym kroku. Jestem sroką.

- Dlaczego? - zdziwiłam się. - Przecież Szatan i Gabriel dadzą sobie radę.

- Wiem, na co stać Elżbietę. Ona nie jest zrównoważoną osobą. Jeśli będziemy mieli szczęście, to zdołamy zaskoczyć ją atakiem golemów, ale... nie jestem o tym do końca przekonany.

- Daj spokój. Przecież golema można zniszczyć jedynie poprzez wyjęcie mu z ust kartki ze słowem „emet” i oderwanie litery e, by zostało „met”, czyli śmierć. Kto normalny by na to wpadł?

- Księżna jest całkiem bystra, niestety.

- Eee, nie domyśli się - zlekceważyłam jego słowa.

Ja bym nie wpadła na to, że w taki sposób można je zabić, dopóki diabły mi tego nie powiedziały. Proszę, kto normalny by to wymyślił? Zresztą zawsze golemy kojarzyły mi się z ludzkimi postaciami z błota albo gliny. Do głowy by mi nie przyszło, że Niebo mogłoby używać złotych posągów przedstawiających mały ze skrzydłami i z czterema ramionami, w których dzierżyły srebrne szable. Tylko mieszkańcy Arkadii mogli sobie pozwolić na tak drogą odmianę tych potworów.

Tymczasem dołączył do nas z poważną miną święty Piotr.

Anielskie Centrum Dowodzenia znajdowało się pod miastem. Ponury budynek przypominający bunkier, pozbawiony okien i ozdobnego, srebrnego dachu, otoczony był drzewami, które miały zatuszować jego brzydotę.

Weszliśmy do ciemnego przedsionka. Były tam tylko jedne drzwi z małą żarówką. Gdy zezwalała na przejście, świeciła się na zielono, a drzwi stawały otworem. Gdy petent nie był zaproszony, płonęła na czerwono.

Każdy z nas stworzył sobie na szyi medalik albo mały krzyżyk. Tylko dzięki takiemu „biletowi wstępu” można było dostać się do środka.

Żarówka kolejno oświetlała nasze twarze. Wszystkie zabarwiła trupia zieleń. Urocz...

Po drugiej stronie przywitał nas spłoszony jak zawsze Zafkiel. Był to jedyny znany mi anioł, który nie przykładał wagi do swojego wyglądu. Miał wiecznie potargane włosy, które wiązał w nietrzymający się kucyk, i okulary w grubych oprawkach ze szklami jak denka od butelek.

Który anioł by sobie na coś takiego pozwolił?

I jeszcze ta dziura w skarpetce, z której wystawał jego duży palec.

- Co tu robicie? Po co przyszliście?! - zaatakował nas. - Nie mam czasu na wycieczki!!!

Chyba nikt go nie uprzedził o naszej wizycie.

- Witaj, Zafkielu. Przyszliśmy skorzystać z twoich ekranów. Musimy zobaczyć, jak golemi poradzą sobie z Elżbietą - Gabriel usiłował go uspokoić.

Wepchnęliśmy się do małego pomieszczenia pełnego monitorów, telewizorów, kabli i starych paneli pełnych kolorowych przycisków.

- O chol...! - krzyknęłam, machając gwałtownie rękami.

O jeden z takich kabli właśnie się potknęłam. Siedmiu małych puttów zdołało mnie złapać, niemniej dość długi kabel prowadzący do jednego z dziesiątek przedłużaczy wyskoczył z gniazdka z głośnym „pstryk”.

Półowa ekranów zgasła.

Ups...

- NIEEEE!!! - ryknął Zafkiel i rzucił się do przedłużacza.

- Przepraszam! - szybko zawołałam.

Gdy wtyczka znalazła się na swoim miejscu, obraz powrócił na monitory. Odetchnęliśmy z ulgą. Zły anioł zaczął przeglądać po kolei wszystkie przekazy wideo, by sprawdzić, czy w czasie chwilowego braku prądu nic złego się nie stało.

- Musicie mi tu robić taki zamęt?! - warknął po kilku minutach wściekłego uderzania w klawiaturę. - Czego chcecie?

Rzeczywiście było nas całkiem dużo jak na taką małą przestrzeń: ja, Beleth, Piotrek, Gabriel, Szatan, święty Piotr i siedmiu puttów.

- Jak już mówiłem, zobaczyć, jak radzą sobie golemi. - Archanioł wciąż był spokojny i uprzejmy. - A gdzież podział się twój pomocnik? Pracujesz dzisiaj sam?

- Zwolniłem go. Ariel nie nadawał się do tej pracy. W głowie miał tylko granie na harfie. Możecie popatrzeć, ale tylko przez chwilę i nie wolno wam niczego dotykać. Ta Elżbieta zaczyna mnie złościć. Wprowadza mnóstwo zamieszania. Uwierzycie, że ten wścibiński babsztyl ingeruje nawet w pogodę?! Przecież pogoda to moja działka!

- Rozumiem, Zafkielu. Obiecuję, że pomogę znaleźć ci pomocnika. Czy możemy już patrzeć? Które to ekrany?

- Sam go sobie znajdę. Nie potrzebuję pomocy. Patrzcie na te trzy ekrany - wskazał palcem. - Włączę podgląd na ten żeński pomiot Szatana.

Lucek odchrząknął znacząco, lecz zapracowany anioł nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi.

- Jeszcze tylko chwila. - Jego palce skakały po klawiaturze. - Przygotujcie się.

Stłoczyliśmy się za jego plecami i wpatrzyliśmy w ciemne ekrany.

- Piotrze, teraz - rozkazał spokojnym głosem Archanioł.

Podziwiam go. Właśnie wydał na tę kobietę wyrok śmierci (takiej nieodwracalnej), a mówił tonem, jakim zamawia się herbatę w ulubionej

kawiarni. Zerknęłam na Lucyfera. Czy jemu wydanie wyroku na wszystkie osoby z Iskrą Bożą także przyszło tak łatwo? Na monitorach pojawił się obraz...

Niewidzialne anielskie kamery pokazały nam wnętrza budapesztańskiego Parlamentu. Królowa przechadzała się po licznych biurach i meblowała.

Tak, ten głupi babsztyl w najlepsze bawił się w dekoratorkę wnętrz. Machnięciem palców wyrzucała ponure biurowe meble, a na ich miejsce wstawiała staromodne stoły z powyginanymi nóżkami, krzesła obite pluszem, kanapy. W oknach wieszała ciężkie aksamitne zasłony, a na parkietach kładła puszyste dywany.

- Zanim zobaczymy efekt naszych wysiłków, chciałbym zaznaczyć, że nie odpowiadam za szkody, które wyrządzą moje twory - zaznaczył święty Piotr.

- Nie martw się. Wszystkim zajmę się osobiście - obiecał Archanioł. - Gdzie one są?

- Muszą dolecieć - świętemu nie spodobało się, że Gabriel już krytykuje. - Ziemia nie jest tak blisko.

Anioł nie skomentował wolnego lotu ciężkich golemów. Byłam zaskoczona, że Szatan darował sobie wszelkie komentarze. Stał w kącie, jakby wcale go nie interesowało, co się dzieje na ekranach. Wydawał się smutny.

Podgląd pokazujący niebo nad Parlamentem wyłapał jakiś ruch.

- Co to? - zapytał Piotrek.

- Ptak? - zasugerowałam.

- Samolot? - Puścił do mnie oko.

- Nie, to superman! - zawołaliśmy razem.

Zaczęłam się śmiać, ale szybko umilkłam, napotykając spojrzenie Gabriela, które posłał w naszą stronę. Pojęłam wlot. Nie śmiać się, tylko kajać za kłopoty, które teraz mamy.

Tak samo zniesmaczony był Beleth. Nie rozumiałam tego. Przecież co się stało, to się nie odstanie. Osobiście uważam, że mojej winy jest tam najmniej. W końcu nie umarłam specjalnie. Dlaczego mam teraz się dołować?

Punkt na niebie okazał się tylko ptakiem. Westchnęłam. Adrenalina, która chwilę temu jeszcze krążyła po moim organizmie, gdzieś zniknęła. Poczulałam się znużona. Czemu nic nie robimy? Jeśli połączymy siły, to przecież na pewno pokonamy Elżbietę. Całe to bawienie się w poselstwo uważałam za kompletną głupotę.

- Nudy, nie? - szepnął Piotrek.

- Trochę tak - zniżyłam głos, żeby czujne ucho Gabriela niczego nie wychwyciło. - Po co tu jesteś? Wracaj na Ziemię. Tu nic nie pomożesz.

- Tu jest zabawa. - Wzruszył ramionami.

Znacząco rozejrzałam się dookoła. Szatan wyglądał, jakby przysnął oparty o ścianę, Gabriel, święty Piotr i Zafkiel zdawali się przyrastać wzrokiem do ekranów, Beleth zamienił się w żywy posąg, tak pochłonęły go własne

rozmyślania, a jakiś putto pociągał raz po raz ze srebrnej manierki, w której, sądząc po dochodzącym od niego lekkim zapaszku, na pewno nie było wody święconej.

Dużo tej zabawy. Wręcz ogrom.

Wreszcie coś zaczęło się dziać. Przysunęłam się. Za plecami miałam Beletha. Na ekranie pokazującym Niebo pojawiły się złote plamy. To golem zbliżały się do miejsca pobytu Elżbiety.

Jak zahipnotyzowani obserwowaliśmy, ich powolne powiększanie się. Leciało kilkanaście. Święty Piotr wysłał na tę akcję chyba wszystkich swoich pupilków. Miałam nadzieję, że pokonają królową. Chociaż z drugiej strony golemy przerażają mnie. Nie miałabym nic przeciwko, gdyby pozbyła się kilku z nich na zawsze.

Do dziś męczą mnie w koszmarach. Czasami zdarza się, że tak intensywnie przed nimi uciekam, że spadam w nocy z łóżka. To całkiem... obciachowe. Zwłaszcza kiedy... no na przykład nocuje się u koleżanki. U koleżanki... tak.

Puste twarze golemów nie wyrażały żadnych emocji. Rubinowe oczy błyszczały w słońcu. Trzeba przyznać świętemu - były piękne na swój złowieszczy sposób.

Pierwsze trzy posągi wleciały do budynku przez okno. Dodam, że przez zamknięte okno. Rozumu im nie przybyło, odkąd ostatni raz miałam z nimi kontakt.

- Wszystkim się później zajmę - Gabriel uspokoił świętego.

Elżbieta zorientowała się, że coś jest nie tak. Dźwięk tłuczonego szkła wywabił ją z gabinetu. Zaczęła zbiegać po schodach w stronę Izby Wyższej. Poznawałam te korytarze.

Coś krzyczała.

- Głośniej! - Archanioł pacnął Zafkiela w ramię. - Nic nie słysząc.

- Zapewne dlatego, że nie mamy fonii, bo jest tylko obraz. Na wyposażeniu nie ma mikrofonów, są jedynie kamery - wycodził technik. - Nie zrobię głośniej.

Gabriel zmełł w ustach przekleństwo. Odkąd już raz przegrał z Szatanem zakład, musiał się pilnować.

Na ekranie pojawiła się postać Kuby Rozpruwacza. Księżna wydała mu jakieś rozkazy, których niestety nie mogliśmy poznać. Mężczyzna zniknął z kadru. Po chwili przeskoczył na drugi monitor, który uważnie śledził jego bieg do piwnic Parlamentu.

Królowa wciąż kierowała się do Izby Wyższej. Chyba uznała, że to najlepsza sala do obrony. Miała sporo racji. Nie było po co ukrywać się w małym, niedostępnym pomieszczeniu. Golemy i tak przebijają się przez ściany.

Na trzecim ekranie były nasze pieścioszki, które demolując kolejne pokoje, ni to leciały, ni to biegły na krótkich, krzywych nogach w stronę Izby.

Zadziwiające było to, że królowa wydawała się całkowicie spokojna. Pośrodku sali, na niewielkim podwyższeniu znów stworzyła sobie piękny złoty tron, na którym z gracją zasiadła. Ziewnęła. Nie wiedziała, co się dzieje. Nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, co to za potwory właśnie zmierzają w jej kierunku. Golemy zaś były coraz bliżej. Skupiliśmy się wszyscy na ich szaleńczym pędzie za ofiarą. Już znalazły klatkę schodową. Zaraz tam będą.

Przegapiliśmy moment, w którym małe ukryte drzwi na tyłach Izby Wyższej otworzyły się, więc zaskoczył nas widok Kuby Rozpruwacza, który wkroczył do środka. Nie był jednak sam. To oczywiste, że Elżbieta nie dokonałaby tyłu aktów ludobójstwa w pojedynkę. Jako koronowana głowa nie chciałaby pewnie pobrudzić sobie rąk. Do czarnej roboty służyła jej prywatna armia. Na szczęście nie były to potępione dusze, które mogłaby wywlec za sobą z czeluści Tartaru, lecz sztuczne twory powstałe z jej mocy.

Wojownicy z długimi mieczami, pikami i toporami stanęli przed tronem królowej, dumnie prezentując broń. Byli cali szarzy oraz lekko przezroczyści. Przepchnęłam się bliżej ekranu, żeby lepiej widzieć. Ich szklane oblicza pozbawione były rysów. Nie mieli oczu, nosów, ust ani uszu. Po prostu gładkie szkło. Phi! Golemy w pięć sekund zrobią z nimi porządek. Złote potwory świętego Piotra miałyby przstraszyć się ożywionych kawałków szkła? Złoto miałoby ulec szkłu?

Raptem drewniane drzwi prowadzące do Izby Wyższej wyleciały z zawiasów i rozbiły się w pył. Drzazgi pofrunęły aż pod stopy samozwańczej królowej, ale w ogóle się tym nie przejęła. Wydawało mi się wręcz, że golemy jej się spodobały.

Wariatka...

Niemy film pokazał nam, jak w stronę golemów ruszył zastęp szklanych wojowników. Tak jak sądziłam, w jednej chwili została z nich garstka stłuczonego szkła. Księżna machnęła lekceważąco dłonią i na ich miejsce powstał nowy oddział niemych sług.

- Szklani żołnierze? - zafrasował się święty Piotr. - Przecież to bez sensu. Są piękni, ale wielce niepraktyczni.

Królowa jednak lubiła chyba marnować dobra, bo bez zastanowienia tworzyła kolejne legiony.

Kuba Rozpruwacz pochylił się do niej i zaczął coś krzyczeć jej prosto w ucho. Nie mieliśmy dźwięku, ale podejrzewam, że hałas tłuczonego szkła był ogłuszający. Świeżo awansowany na dowódcę straży Kuba pokazywał na swoje usta, a następnie na golemy.

- Cholera, skąd on wie, że one tam mają kartkę?! - wykrzyknęłam. - Przecież z daleka jej nie widać!

- Najwyraźniej ten Anglik zna się na golemach. - Beleth nie odrywał zielonych oczu od monitora.

Królowa wskazała palcem na złoty posąg. Zamienił się w sopel lodu, zamierając z wysoko uniesionym mieczem.

- To nic nie da - zawyrokował święty.

Miał rację. Golem otrzepał się z lodu, zupełnie jakby to były niewinne śnieżynki. Twarz Elżbiety wykrzywił grymas złości. Powinna się oszczędzać. Mogą jej po tym zostać zmarszczki.

Klasnęła w dłonie. Kolejne oddziały szklanych wojowników ruszyły na anielskie potwory. Jednak ich atak był zupełnie inny. Bardziej przemyślany.

Część z rycerzy księżnej odwracała uwagę golemów, a pozostałe usiłowały wydostać kartkę papieru z pyska złotej bestii.

Gdy pierwszy golem rozsypał się w brokatowy pył, święty Piotr zaklął i złapał się za siwą głowę.

Gdy z drugim stało się to samo, Lucyfer przeżegnał się i zaczął szeptać cicho jakąś dawno nieodmawianą modlitwę.

Gabriel wyciągnął do niego dłoń. Szatan posłusznie podał mu utraconą właśnie aureolę.

- Wciąż zostało ich dużo - pocieszył nas Archanioł. - Jeszcze mamy duże szanse. Spokojnie. Wszystko będzie dobrze.

Walka wciąż trwała. Momentami wydawało się, że szala zwycięstwa przechyla się na naszą stronę, jednak było to chwilowe złudzenie.

Gdy przedostatni golem padł, Gabriel powiedział:

- Dobry Boże, jest niedobrze.

Szatan znacząco odchrząknął i wyciągnął dłoń.

Archaniołowi niespecjalnie się to podobało. Rozgoryczony wyszarpnął błyskotkę z kieszeni i prawie rzucił nią we władcę Piekieł.

- Mógłbyś się pohamować w takim momencie - warknął.

Szatan wzruszył ramionami.

Gdy ostatni przeciwnik zamienił się w błyszczący deszcz złota, królowa na ekranie zerwała się z tronu. Podniosła z posadzki garść brokatowego pyłu i wyrzuciła go w górę, głośno się śmiejąc. To znaczy, mam wrażenie, że się śmiała. Nie było dźwięku, więc nie wiadomo.

- Co teraz? - zapytał rzeczowo Zafkiel.

- Nie mam pojęcia - mruknął Szatan.

- Trzeba zmobilizować wszystkie siły obronne. - Gabriel trzasnął pięścią o panel kontrolny anioła i wyłączył przypadkowo kilka funkcji.

Bądź włączył, jeśli świadczyło o tym pojawienie się nagłego trzęsienia ziemi w Ameryce, które Zafkiel natychmiast rzucił się zneutralizować.

- Gabryś, czy mi się tylko wydaje, czy też Niebo oprócz golemów nie ma żadnych sił obronnych? - zapytał Lucek.

- A ty niby masz?

- Wiesz, nikt mnie jeszcze nie atakował... nawet murów nie mamy w przeciwieństwie do was... Niemniej kilka szalonych diabłów się znajdzie.

- Ja znajdę najodważniejszych spośród aniołów - obiecał Gabriel.

- A co z nami? - wtrącił się Piotrek. - Ja też chcę pomóc.

Obaj władcy i Zafkiel oszacowali nas krytycznym wzrokiem. Zrozpaczony utratą pupilków, święty Piotr nie zwracał na nas najmniejszej uwagi.

- Beleth pod żadnym pozorem nie powinien zbliżyć się do księżnej - zastrzegł Archanioł. - Musimy go gdzieś ukryć.

Wszyscy zgodnie pokiwali głowami. Wszyscy oprócz ifrita.

- Nie zamierzam się ukrywać! - wybuchnął. - Nie ma flakonu w rękach, to nie ma nade mną władzy. Jako dżin jestem wyjątkowo silny. Mogę ją pokonać. Nie boję się śmierci. Poza tym nie zniszczy mnie. Jestem jej jeszcze potrzebny.

- Nie ma mowy - skwitował Szatan. - Ty się do niej nie zbliżasz. Rozkazuję ci zaszyć się gdzieś daleko. Najlepiej na bezludnej wyspie, gdzie cię ta wariatka nie znajdzie. My się nią zajmiemy.

- A ja? - zapytałam. - Mogę jakoś pomóc?

- Ty... hm... - Lucek nie wiedział, co ma powiedzieć. - Szczerze mówiąc, Wiktorio, przydasz nam się. Jesteś potępiona tak jak ona. To może mieć znaczenie.

Dyskusję przerwało znaczące chrząkanie znad panelu sterowania.

- Po pierwsze - odezwał się Zafkiel - byłbym rad, gdybyście już stąd wyszli. Po drugie chyba powinniście spojrzeć na monitory.

Podeszliśmy do ekranów. Pokazywały wnętrza Parlamentu w Budapeszcie. Puste wnętrza Parlamentu w Budapeszcie. Po królowej, Kubie Rozpruwaczu i szklanych wojownikach nie było śladu. O ich niedawnej obecności mógł świadczyć tylko straszliwy bałagan i zniszczone sprzęty.

- Gdzie ona jest? Zafkielu, znajdź ją - rozkazał Gabriel.

Anioł kiwnął głową i wcisnął jakiś guzik. Wielki, zielony napis „Skanowanie” rozświetlił pomieszczenie. Po bardzo długo ciągnącej się dla mnie chwili pokazał się kolejny napis. Tym razem było to: „Obiektu nie znaleziono”.

- Obawiam się, że jej już nie ma na Ziemi...

Jeszcze kilkanaście minut temu narzekałam, że stoimy i rozmawiamy o pierdołach. Jednak w tej chwili miałam ochotę usiąść gdzieś w ciemnym kącie i udawać, że mnie nie ma.

Panowało niebywałe zamieszanie. Jeden przekrzykiwał drugiego, pewien, że ma znacznie lepszy pomysł.

A Elżbieta? Na razie nigdzie nie została zauważona. Na Ziemi jej nie było. Przecież nie mogła po prostu zniknąć.

Beleth wyklócał się o to, że nigdzie nie pójdzie. Piotrek dla odmiany chciał koniecznie gdzieś pójść i komuś przywalić. Święty płakał nad swoimi golemami. Zafkiel pilnował, żeby nikt nie oparł się o żaden przycisk, i usiłował nas wyrzucić. Szatan wpadł w histerię i obiecywał, że postawi w końcu to ogrodzenie dookoła Piekła. Gabriel zaś usiłował każdemu udowodnić, że Niebo nie jest wcale bezsilne i może stawić czoło szalonej królowej.

- Jestem przekonany, że mamy jakąś broń. Na pewno mamy broń. W końcu gorejące miecze to broń, czyż nie? Z całą pewnością damy sobie radę - gadał bez sensu.

Bez sensu, bo wiem, co mogła zrobić z nimi w każdej chwili Elżbieta. W Tartarze wieści szybko się rozchodzą. Na pewno wie o tym, jak „zlikwidowałam” kiedyś parę nieprzyjaznych diabłów. Może w ten sposób zlikwidować wszystkie anioły i diabły.

Nagle ktoś głośno zaczął dobijać się do drzwi Anielskiego Centrum Dowodzenia. Jako że nie miałam co robić, otworzyłam.

Musiałam opuścić głowę, żeby napotkać spojrzenie rozmówcy.

- Szukam Archanioła Gabriela, pse pani - wysapał mały putto.

- Wejdz - mruknęłam. W pokoju zapadła cisza.

- Archaniele Gabrielu, melduję, że właśnie dzwoniło z Piekła. Podobno jest tam niezła rozróżba. Jakaś królowa rości sobie prawa do tronu Niższej Arkadii - wyrecytował putto z wysoko uniesioną brodą, ale ten zabieg nie dodał mu brakujących centymetrów.

- O nie! - wykrzyknął Szatan i wybiegł w popłochu ze studia.

Spojrzelśmy po sobie z Piotrkim i Belethem. Chyba powinniśmy pójść za nim.

- Stać! - powstrzymał nas Gabriel. - Nie możemy dopuścić teraz do najmniejszego błędu. Nie idziecie za Szatanem. Może tam pójść co najwyżej Piotr. Ty, Wiktorio, jesteś zbyt cenna. Elżbieta cię zna i może chce się zemścić za kradzież dzina, a ty, Belecie, wiesz, czemu nie powinieneś pojawiać się w pobliżu potępionej księżnej, więc nie będę tego tłumaczył.

Piotrek zmarszczył czoło. Najwyraźniej był najmniej poważany w towarzystwie.

- Dobrze - Beleth zgodził się i chwycił mnie za rękę.

Wokół nas pojawiły się zielone płomienie. Krzyknęłam, gdy zaczęły się pięć po moim ubraniu. Piotrek usiłował mnie złapać, ale tylko się poparzył. Ogień zawirował przed moimi oczami. Poczułam, że podłoga umyka mi spod stóp. Przywarłam mocno do ifrita.

Wszystko skończyło się tak szybko, jak się zaczęło. Upadłabym, gdyby mnie nie trzymał. Było tak jasno w porównaniu z ciemnościami panującymi w Anielskim Centrum Dowodzenia.

* * * *

Pod stopami miałam biały piasek. Przede mną rozciągał się błękit oceanu, a za moimi plecami był tropikalny las. Ścianę drzew poprzedzały krzewy hibiskusa. Różowe kwiaty kwitnące zaledwie jeden dzień lekko kiwały się na ciepłym wietrze.

Nie wiedziałam, gdzie jesteśmy. Równie dobrze mogliśmy znajdować się na małej wyspie niedaleko Malezji albo na Hawajach. Użyłam mocy, by moje buty na wysokim obcasie zniknęły. Poczułam pod stopami ciepłe ziarenka piasku.

- Beleth, gdzie my jesteśmy? - zapytałam, rozglądając się bezradnie. - Coś ty znowu wymyślił?

Wiatr szarpał trenem mojej zielonej sukni.

- Nic nie wymyśliłem - obruszył się. - Spełniam rozkaz Gabriela. Mieliśmy się ukryć. Nie powiedział, że mamy się ukrywać w brzydkim miejscu, czyż nie? Nie podoba ci się tu?

- Podoba - odparłam niechętnie.

Naprawdę trzeba uważać na to, czego sobie człowiek życzy. Jeszcze chwilę temu chciałam się gdzieś schować, i proszę. Spełniło się.

- To o co ci chodzi? - Pstryknięciem palców stworzył koc i parasol na długim kijku z brązowej trzciny. Jego szafirową koszulę wydymał wiatr. Na jego nosie pojawiły się przeciwsłoneczne ray-bany.

- Nie podoba mi się, że to przez nas. Nic by się nie stało, gdyby mnie nie było. To wszystko przeze mnie.

- Obawiam się, że to raczej wina moja i Azazela - sprostował i rozsiadł się na kocu. - Ty nie masz się za co obwiniać.

Usiadłam obok niego, zamieniając błyskawicznie sukienkę na szorty i top. Gorset i tafta nie sprawdzają się na plaży.

Beleth odpiął od paska flakon i obracał go w dłoniach. Naczynie wydawało się puste, odbijając i załamując południowe słońce. A jednak ifrit był z nim nierozzerwalnie związany. W jaki sposób?

- Co się stanie, jeśli ją odkorkuję? - zapytałam, biorąc buteleczkę do ręki.

- Nie wiem. - Wzruszył ramionami. - Możliwe, że wessie mnie do środka. Gdy Elżbieta mnie schwytała, pamiętam tylko ból i rozciąganie. Potem nie

miałem ciała ani postaci, ale wszystko widziałem i słyszałem. Obraz rozmazywał się, zupełnie jakbym patrzył przez szkło, a dźwięk był stłumiony. Chwilę potem wypuściła mnie, właśnie chyba odkorkowując butelkę. Od tej pory byłem jej więźniem.

- Straszne - szepnęłam.

Przytuliłam się do jego ramienia. Nie objął mnie. Był pogrążony w swoich rozmyślaniach. Wpatrzony w falujący ocean.

Odłożyłam ostrożnie flakon na koc obok nas.

- Gdy spełnisz wszystkie jej życzenia, będziesz wolny?

- Tak.

- A skąd to wiesz? Myślałam, że to tylko bajki Szeherezady.

- Nie wiem, jak mam ci to wyjaśnić. Po prostu odkąd zostałem niewolnikiem butelki, wiem to. Mam przeczucie... sam nie wiem, jak to nazwać.

W jego dłoni pojawiła się szklanka whisky wypełniona po brzegi lodem.

- Nie pijesz za dużo ostatnio? - westchnęłam.

Parsknął śmiechem. Po raz pierwszy od dawna w jego głosie usłyszałam prawdziwą radość.

- Nic się nie zmieniłaś, skarbie. Jestem nieśmiertelny. Samoodnawialna wątroba, pamiętasz? Wystarczy pstryknięcie palców, żebym wytrzeźwiał, kiedy chcę. Nic na to nie poradzę, że picie tego... no cóż... świństwa jest przez chwilę całkiem przyjemne.

- Whisky smakuje plastikiem...

- Tylko tania whisky smakuje plastikiem - skorygował. - Chcesz jakiegoś kolorowego drinka z palemką?

- Jeśli do wyboru mam to albo whisky, to jasne.

Słońce grzało mocno, chociaż skłaniało się powoli ku zachodowi. Nie docierały do nas żadne wieści z Piekła. Nie wiem zresztą, czy zdołają nas tu znaleźć. Byliśmy na małej bezludnej wyspie na końcu świata.

- Nudzi mi się - powiedziałam, sącząc różowego drinka. Siorbnęłam głośno przez słomkę i wyjęłam papierową parasolkę wbity w kawałek ananasa.

- A co byś chciała robić?

- Nie wiem... Siedzimy beczynnie. Męczą mnie to.

- A co powiesz na to, byśmy dokończyli coś, co już kilka razy zaczynaliśmy.

Zdjął okulary.

Odstawiłam szklankę i z przymkniętymi oczami wystawiłam twarz do słońca. Tak przyjemnie grzało. Słony zapach oceanu mieszał się z odurzającym aromatem kwiatów hibiskusa.

- Mówisz?

- Mówię.

Niebo było pełne gwiazd. W mieście nie było tylu widać. Rozkoszowałam się ich widokiem.

Leżeliśmy na szerokim leżaku, a raczej leżance z białym materacem. Przykryliśmy się kocem, żeby nie było nam zimno.

Pod głową miałam ramię ukochanego. Niedaleko nas cicho szumiało morze. Za linią drzew skrzeczał jakiś tropikalny ptak. Byłam szczęśliwa.

Zasnęłam z uśmiechem na ustach, wyczerpana pocałunkami i dotknięciami. Dopiero teraz się obudziłam i wpatrzyłam w migoczące gwiazdy i ogromny biały Księżyc. Beleth wciąż śnił. Może o nas?

Przesunęłam palcami po jego nagiej piersi. Moc przeskoczyła małą ciepłą iskierką pomiędzy nami. Uwielbiałam to uczucie. Fajerwerki w naszym przypadku naprawdę istniały.

Przymknęłam oczy.

Wreszcie stało się to, do czego on tak dążył i czego ja zawsze chciałam. Tylko co będzie teraz? Czy coś się zmieni?

- Nie śpisz - szepnął i przeciągnął się.

- Nie mogę spać.

- Co się stało? - odgarnął mi włosy z policzka.

- Co teraz będzie z nami?

Przez chwilę nie odpowiadał. Ścisnęło mnie w dołku.

- Nie wiem, czy oświadczyzny w naszym świecie mają sens, ale chcę z tobą być na zawsze, chyba że w którymś momencie zdecydujemy, że chcemy od siebie odpocząć - odpowiedział po boleśnie długiej ciszy.

Nie spodziewałam się takiej odpowiedzi. Bałam się, że nie spodoba mi się to, co powie. Tak się jednak nie stało. Ba, słowa Beletha przeszły moje najśmielsze oczekiwania.

- Gdybyśmy byli śmiertelnikami, oświadczyłbyś mi się? - Zaśmiałam się, nie wiedząc, jak powinnam zareagować na to wyznanie. - Serio?

- Nie wiem. Możliwe, że przy moim boskim wyglądzie byłbym kompletnym ignorantem, jakich wśród śmiertelników nie brakuje. Jednak jako ifrit, istota doskonała, zapewniam, że nie będę zachowywać się jak byle śmiertelnik.

Jego przemowa była piękna, ale i tak nie uwierzyłam mu do końca. Sam mi kiedyś tłumaczył, że anioły i diabły różnią się od ludzi tylko tym, że wszystko przeżywają znacznie mocniej. To tłumaczyłoby jego obsesję na moim punkcie. A obsesja niekoniecznie łączy się z prawdowością.

- Chcę zobaczyć, co się dzieje w Piekło - powiedziałam nagle. Zmarszczył brwi. Złote oczy odbiły światło Księżyca i upodobiły się do kocich zielonych luster.

- Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł. Nie wiemy, co się tam teraz dzieje. Mieliśmy czekać na znak.

- Ale nie dostaniemy żadnego znaku. Czy tylko mi się wydaje, czy wybrałeś na miejsce naszej kryjówki wyspę, na której nie ma wystarczająco szerokiego drzewa bądź skały, by stworzyć drzwi?

- Jeśli komuś by zależało, to mógłby stworzyć je na piasku.

- Ale to według piekielnej etykiety nieuprzejme.

- Nie mój problem.

Pacnęłam go w ramię i usiadłam, zakrywając kocem piersi. Zmięty top leżał daleko na piasku razem z szortami.

- Chcę wrócić. Coś złego mogło stać się naszym przyjaciółom.

- A o kogo tak specjalnie się martwisz? - Przysunął swoją twarz do mojej.

- Wiem, zazdrośniku, że myślisz o Piotрку, ale nie chodzi mi tylko o niego. Boję się o Kleo, Belfegora, nawet trochę o Azazela, chociaż wiesz, że jego imię akurat ciężko przechodzi mi przez gardło.

- Naprawdę sądzisz, że mogło im się coś stać?

- Biorąc pod uwagę zakusy Elżbiety, jestem o tym niestety przekonana.

- W takim razie wracajmy do Piekła. Dla ciebie, moja piękna, wszystko.

* * * *

Chwilę później świat znowu wirował mi w zielonych płomieniach, gdy ubraliśmy się i wzięliśmy za ręce. Znowu ziemia usunęła mi się spod stóp, a zimne ognie lizały po skórze. Mnie nie parzyły tak jak Piotrka.

Beleth, którego oczy zamieniły się w szmaragdy, dobrze wiedział, gdzie powinien nas skierować. Poczulałam pod trampkami miękkiego dywanu. Gdy płomienie bez dymu opadły, zobaczyłam, że jestem w nieznanym mi salonie pełnym stylowych mebli. Królowała tu czerwień i złoto.

Przy szerokim biurku zastawionym monitorami siedział zmęczony Szatan. Z potarganymi włosami i podkrążonymi oczami sprawiał wrażenie, jakby w ciągu tego wieczoru postarzał się o kilka lat.

Poza nim była tu także Kleopatra, Azazel ubrany w dziwny strój, Belfegor oraz kilka innych diabłów, które znałam tylko z widzenia.

Najbardziej zaskoczył mnie widok Moroniego. Miał cierpiący wyraz twarzy, a jego blada klatka piersiowa przewiązana była szerokim białym bandażem nieodróżniającym się zbyt od jego przezroczywej karnacji. Siedział na samym brzegu fotela, pilnując, by jego plecy nie dotknęły oparcia.

- Co tu robicie? - zaatakował nas Lucyfer. - Mielicie się ukrywać, tak?

- Chcieliśmy sprawdzić, czy nic wam nie jest - odparł Beleth.

Głośne miauknięcie zmusiło mnie do skierowania wzroku na podłogę. U moich stóp siedział czekoladowy Behemot. Porwałam kota na ręce. Wtuliłam twarz w jego miękkie futerko śmierdzące jakąś starą piwnicą.

- A ty gdzieś się szlajał? - zapytałam.

- Ja nic nie wiem. - Kleopatra wyraźnie była nie w sosie. - Do mnie przychodzi tylko na jedzenie. Nie obchodzę go tak samo jak niektórych.

Siedziała odwrócona do Azazela plecami i wysoko unosiła brodę. Wyżej niż zazwyczaj.

- Co się stało? - Usiadłam obok niej.

- Niech Azazel ci powie. - Wyjęła pilniczek do paznokci i zaczęła je wściekle piłować.

Szatan wpatrywał się w monitory rozstawione na jego biurku i popijał kawę.

- Mieliśmy już dwa spotkania z Elżbietą. Nie jest dobrze...

- Raczej koszmarnie, chciałeś rzec - wtrącił Beal, jeden z diabłów, których słabo znałam. Ostatni raz widziałam tyle diabłów podczas balu u Szatana. A teraz miałam przed sobą Beala, Asmodeusza, Abaddona, Astarotha, Belzebuba, Barakiela, Beliala, Marchosjasa. Pozostałych diabłów nie znałam.

Piekieło pełne jest najróżniejszych diabłów. Co najciekawsze, jest ich tu znacznie więcej niż ich anielskich odpowiedników w Niebie. Lucyfer stale narzeka na brak pracowników, mimo to bije Gabriela na głowę. Biedne anioły. Muszą brać strasznie dużo nadgodzin. Nie dziwię się, że Archanioł chce zacząć rekrutację ludzi.

- Dwa? - zdziwił się Beleth.

- Pierwsze nastąpiło tuż po ucieczce księżnej z Ziemi. Na szczęście wpadła tylko na krótkie odwiedziny, czy raczej inspekcję - syknął Asmodeusz. - Najwyraźniej spodobało jej się, że nie mamy nawet murów obronnych. A mówiłem, że trzeba je było zbudować kilkaset lat temu.

- Tak, wiemy - czerwonoskóry diabeł przerwał jego narzekania. - Potem nawiedziła Niebiososa.

Beal jak zwykle miał na sobie czerwony mundur przypominający uniformy żołnierzy z czasów wojny secesyjnej. Lubował się w tego typu strojach. Wszystko zawsze musiało być czerwone. Nigdy nie zrozumiałam jego fascynacji tym kolorem, zwłaszcza że przystojny diabeł miał miedzianą skórę niczym Indianin. Razem z barwą materiału tworzyło to dość nieciekawą mieszankę.

Zamachał kwadratową szklanką, z której popijał whisky.

- Gdy już skończyła uroczą pogawędkę z Gabrielem, ponownie zgłosiła się do nas - powiedział.

Zdjął z głowy czapkę. Jego krótko ścięte czarne i sztywne jak szczotka włosy stały dęba. Na głowie miał małą złotą koronę. Tak, koronę. Diabły uwielbiały chwalić się swoją pozycją w Piekle. Większość docenionych kiedyś przez Szatana istot nosiła korony lub diademy. To właśnie Pajmon, którego zabiłam, szczyił się całkiem damskim diademem. Podobno te insygnia władzy oznaczały, że dany diabeł był księciem lub królem. Ja jednak nigdy nie orientowałam się w ich skomplikowanej hierarchii.

- Chciała rozmawiać z Szatanem osobiście, głupia - jego czysty głos o śpiewnym akcencie był przyjemny dla ucha. - Ale Lucyfer wysłał w swoim imieniu Azazela.

Wytrzeszczyłam oczy. Nie może być. Wszystkie diabły z zasady nie były warte funta kłaków i nie należało na nich polegać, i wiem, że Lucek miał ciężki wybór. Jednak Azazel? Mógł go wysłać jako rozjemcę, tylko jeśli miał nadzieję, że Elżbieta zabije posła.

- I co dalej? - Beleth odsunął mi fotel naprzeciwko diabła Belzebuba.

Kilka osób zachichotało. Jedynie Kleopatra siedziała niewzruszona.

- Może ja opowiem, co się wydarzyło - zaproponował Azazel. - Znam oryginalną wersję wydarzeń.

- Mój drogi diable. Wszystko widzieliśmy na monitorach - prychnął Asmodeusz.

Abaddon, korzystając z zamieszania, usiadł obok Kleo i zaproponował jej drinka, który pojawił się znikąd w jego szczupłej dłoni. Jego czarne, puste oczy pozbawione białówek wbiły się zachłannie w jej twarz. Zawsze się go bałam. Poza nieludzkimi oczami ma jeszcze kły i zawsze chodzi w lekko śmierdzącej spalenizną zbroi.

Zorientowałam się, że wszystkie obecne diabły, poza Azazelem, Belfegorem i Szatanem, miały na głowie korony lub diademy. Nawet Kleo nie rozstawała się ze swoim insygnium władzy. Przypadkiem wpadłam na uroczyste spotkanie.

Ciekawe, dlaczego Lucyfer nie miał na głowie swoich złotych rogów? Czyżby przegrał je i musiał oddać Archaniołowi, jak mnie nie było?

- Nie moja wina, że każdy z was, książątka, bał się nadstawić tyłka dla naszego czcigodnego, odważnego władcy - wycedził Azazel.

Miał rację. Przecież koronowane głowy nigdy nie nadstawiają karku.

- Królowa pojawiła się na środku placu tuż przed pałacem Szatana - nasz przyjaciel zaczął swoją opowieść. - Chciała rozmawiać z władcą Piekła, ale to ja zostałem wysłany jako poseł. Wyszedłem do niej ubrany w najpiękniejszy żupan, jaki mogła sobie wyobrazić, a który właśnie widzicie.

Hm... a ja zastanawiałam się od dłuższego czasu, dlaczego ma na sobie różowawy szlafrok ozdobiony złotymi haftkami i frędzlami. Ale czy ja się znam? Najwyraźniej był to żupan.

- Moja elokwencja i elegancki wygląd zrobiły na księżnej ogromne wrażenie. Zauważyła, że w Niebie nie została tak mile przyjęta oraz że anioły, które z nią rozmawiały, w ogóle nie znały dworskiej etykiety. Ona także mnie zauroczyła. Jej delikatna, biała skóra, ledwo muśnięta promieniami słońca, włosy czarne jak krucze skrzydła i ta ponętna czerwień ust...

- Tak, Azazelu, to doprawdy cudowne - warknęła Kleo. - A możesz im wreszcie powiedzieć, co ta dziwka od ciebie chciała?!

Beleth i ja siedzieliśmy z szeroko otwartymi ustami. Azazel i takie wyznanie? Zachwyt nad czyjąś urodą? A raczej nad urodą kobiety innej niż Kleo?

- Usiłowała przeciągnąć mnie na swoją stronę. - Podstępny diabeł z dumą wypiął pierś. - Wydałem jej się kimś naprawdę wartym uwagi. Liczyła się z moim zdaniem, gdy opowiadałem jej o zabezpieczeniach Piekła i o naszej nieistniejącej armii.

- Nawiasem mówiąc, podejrzewaliśmy, że Azazel zrobi coś głupiego, ale nie że aż tak głupiego - skwitował gorzko Szatan i skinął na Belfegora.

Diabeł, uśmiechając się uroczo, zgarnął fałdy długiej spódnicy i wyszedł z pokoju.

- Ale doszliście w końcu do jakiegoś porozumienia? - chciał wiedzieć Beleth. - Wróci do Tartaru?

- Obawiam się, że niestety nie. - Azazel pokręcił głową. - Wspomniała mi, że chce odzyskać dzina i zabić Wiktorię, a potem wykąpać się w jej krwi. A może najpierw się wykąpać, a potem zabić? Nie pamiętam.

Belfegor wrócił, niosąc parujący kubek swojemu szefowi. Po pokoju rozszedł się aromat gorącej czekolady.

Nie padł żaden komentarz. Wszyscy poddani Lucyfera podnieśli do ust swoje szklanki lub kieliszki wypełnione alkoholem i pociągnęli zdrowy łyk, starając się nie patrzeć w stronę biurka.

Lucek potrafił zrobić się nieprzyjemny nawet wtedy, gdy chociaż podejrzewał, że ktoś się z niego naśmiewa.

- Czyli co teraz będzie? - zapytałam. - Co poza zabiciem mnie chce zrobić? Doszliście do czegoś? Dogadaliście się jakoś?

Nic z tego nie rozumiałam. Niechby ktoś wreszcie przeszedł do konkretów, a nie tylko straszili się nawzajem pogrozkami. Miałam tego dość.

- Doszliśmy tylko do jednego. Oświadczyła, że jutro w południe najedzie na Piekło ze swoją armią, by przejąć tron, a pojutrze zrobi to samo z Niebem. - Azazel wzruszył ramionami, jakby go to mało obchodziło. I pewnie tak było.

- Wojna? - Beleth był rzeczowy.

- Chyba wojna. - Azazel usiadł na podłokietniku swego fotela.

Szatan upił łyk gorącej czekolady i przywołał do siebie diabły. Na szerokim biurku leżały mapy Piekła z zaznaczonymi miejscami, które Elżbieta mogłaby zaatakować. Lucyfer usiłował ustalić z księżętami drogę ewakuacji mieszkańców.

My razem z Azazelem i Moronim nie byliśmy zaproszeni do obrad. Kleo jako była władczyni, która znała się na wojaczce, stała po prawicy władcy. Najwyraźniej liczył się z jej zdaniem. W końcu podobnie jak księżna była kobietą ogarniętą manią posiadania. Azazel stuknął Beletha w bok i wyszeptał:

- Ty, tak szczerze, to zastanawiałem się, czy nie wykręcić jakiegoś interesu na boku z tą Elżbietą. Ma baba łeb na karku.

- Chyba postradałeś rozum - syknął ifrit. - Szatan cię zabije. A jak nie on, to na pewno zrobi to Kleopatra.

- Kto by się spodziewał, że Kleosia okaże się taką zazdrośnicą. Czy za jej czasów nie można było mieć kilku żon jednocześnie? - diabeł wydawał się kompletnie nie przejmować ewentualnymi problemami.

Nie mogłam się powstrzymać. Podśluchałam ich rozmowę, więc zaśmiałam mu się prosto w twarz.

- Kleo lubi posiadać, Azazelu - wyjaśniłam. - I nie lubi się dzielić.

Cmoknął zawiedziony.

- Ale ta Elżbieta...

- Daj spokój - zbeształ go Beleth. - Chyba nie zdradziłbyś wszystkich diabłów.

- Nie, oczywiście, że nie. Takie tam... fantazje. Ależ to jest kobita! - Wciąż lubieżnie się uśmiechał.

Biada nam. Socjopata napalił się na socjopatkę. To może skończyć się rzezią, kiedy trzecia socjopatka, właścicielka wcześniej wspomnianego socjopaty, się o tym dowie.

- A gdzie jest Piotrek? - zapytałam.

Beleth najeżył się. Jego kompan wzruszył ramionami.

- Został w Niebie. Pomaga Archaniołowi Gabrielowi w przygotowaniach. Chyba woli tamtejsze klimaty. Nas nie chciał wspomóc w słusznej sprawie, pomimo że to my pierwsi zostaniemy zaatakowani.

- Ciekawe. Czemu akurat najpierw zaatakuje Niższą Arkadię? - zastanawiał się ifrit. - Przecież to z Niebiosami najpierw rozmawiała.

- Widocznie jesteśmy w czymś lepsi - diabeł zbagatelizował sprawę.

Mnie to nie zastanawiało. Królowa nie miała żadnych sprzymierzeńców. Wszyscy byli przeciwko niej. Pewnie wybrała Piekło, myśląc, że walka tutaj będzie bardziej ekscytująca bądź łatwiejsza. To Niebo wydaje się niedostępną twierdzą otoczoną wysokim ogrodzeniem. Ciekawe, czy zostały im jakieś golemy do obrony.

Oparłam się ciężko o oparcie. Całą naszą rozmowę czujnie podśluchiwał pewien były anioł. Odkąd tu przyszlismy, siedział w tej samej obronnej pozycji.

- Azazel, powiedz co tu w ogóle robi Moroni? - nie wytrzymałam.

- A on? Jest nowym diabłem na miejsce Beletha. Wszędzie chodzi za Belzebubem, jest teraz na stażu. - Wstał i podszedł do byłego anioła, który cały czas miał cierpiętniczą minę. Klepnął go po zabandażowanych plecach. - Osobiście amputowałam mu skrzydła!

Krzyk rannego długo niósł się echem po komnatach rezydencji Szatana.

Było przed ósmą. Siedziałam na ratanowym leżaku przed moją rezydencją. Widok miałam wspaniały. Cały ranek obserwowałam pienne fale rozbijające się o skały na dole urwiska. Mogłam zejść na wąską plażę prywatnym zejściem z jakimś miliardem kamiennych schodków, ale nie miałam ochoty.

Mrożona kawa, którą stworzyłam pstryknięciem palców, ogrzewała się na stoliku obok mnie.

Spojrzałam na okna mojej sypialni na piętrze. Beleth jeszcze spał. Ja nie mogłam zmrużyć oka. Niedługo atak Elżbiety. Opatuliłam się pod szyją satynowym szlafrokiem. Szatan radził nam opuścić Piekło, ale nie posłuchaliśmy. Chcieliśmy obserwować walkę. Możliwe, że będziemy musieli wspomóc oddziały Lucyfera. Poza tym Achilles śpiący teraz na mojej kanapie chciał napić się z ojcem. Ciekawe, co robi Piotrek? Myśli o mnie? A może raczej o Monice?

Westchnęłam. A ja co najlepszego robię? Nie powinnam się nad tym zastanawiać.

Nagle na horyzoncie jak na zwolnionym filmie pojawiła się kula ognia. Powiększała się, aż osiągnęła swoją krytyczną wielkość. Jej powierzchnia wydawała się pękać. Następnie zapadła się w sobie i wyrzuciła słup czarnego dymu prosto w czyste niebo Los Diablos.

Kubek z kawą upadł na ziemię, gdy fala uderzeniowa zmiotła mnie razem z leżakiem w krzaki. Wszystkie szyby w moim domu wyleciały z framug. Deszcz odłamków posypał mi się na głowę. Szybko przykryłam się niezdarnie rękami.

Ostre szkło pocięło mi rękę. Ciepła krew kapiała na policzki. Zerwałam się na równe nogi, stając gołymi stopami na okruchach okien. Nie mogłam oderwać wzroku od horyzontu. Czarny grzyb dymu unosił się nad centrum miasta. Tuż nad rezydencją Szatana.

Ta cholera się pospieszyła. Jeszcze nie ma dwunastej!

Włączył się ogłuszający dźwięk syren alarmowych. Wczoraj wieczorem przeprowadzono próbę ataku na Piekło. Zdecydowanie większą część mieszkańców ewakuowano na oddalone tereny Niższej Arkadii, gdzie może będą bezpieczni. Ci, którzy chcieli walczyć, wiedzieli, co mają robić, kiedy zabrzmiał dźwięk syren.

Tylko czy biorąc pod uwagę rozrywkowy charakter życia mieszkańców Piekła, ktokolwiek będzie na nogach o ósmej rano, skoro wojna w cywilizowany sposób została zaplanowana na południe? Poprzedniej nocy długo było słyhać muzykę i śmiechy, gdy poddani Lucyfera upijali się do nieprzytomności, usiłując dodać sobie odwagi.

Krew na moich przedramionach zaczęła cofać się w stronę zasklepiających się szybko ranek.

Oprócz dźwięku syreny alarmowej słyszałam krzyki przerażenia i bólu. Moja ostoja spokoju otoczona barwnymi krzewami przestała być bezpieczna. Zamarłam. W pałacu Szatana byli wszyscy, także Kleopatra i Azazel. Mogło im się coś stać!

Ruszyłam biegiem w stronę bramy. Muszę pomóc!

W połowie drogi uświadomiłam sobie, że jestem boso i w rozchełstonym szlafroku. Nie najlepszy ubiór na wojnę.

Zamknęłam oczy. Kiedy je otworzyłam, miałam na nogach ciężkie, podkute buty, wiązane nad kostką, wpuszczone w nie szare spodnie z kieszeniami i czarną koszulę, na której zgrabnie leżała supercienka kamizelka kuloodporna.

Włosy zawiązałam w wysoki kucyk. Krótsze pasma opadły mi na policzki.

Mówcie mi Lara Croft.

- Wiki! - za sobą usłyszałam ledwo przebijające się przez wycie syreny alarmowej wołanie Beletha. - Gdzie idziesz?! Mielіśmy się stąd nie ruszać!

- Muszę pomóc! - odrzyknęłam. - Oni nie są przygotowani na atak o tej godzinie! Ty tu zostań! Będziesz bezpieczny! Achilles cię ochroni!

- Wiki! Wiki!!!

Ruszyłam szybko przed siebie, żeby mu uciec. Nie powinien za mną pobiec. Nie jest przecież głupi. Jeśli pokaże się Elżbiecie, będzie po nas i po świecie, jaki znamy. Głupia i pełna niepotrzebnej brawury mogę być ja.

Po kilkudziesięciu metrach człapania w ciężkich butach zatrzymałam się i oparłam dłonie na kolanach. Jak ci żołnierze mogą w tym biegać? Ducha można wyzionąć, takie to niewygodne i ciężkie!

Postanowiłam przenieść się za pomocą mocy w poblizę rezydencji. Mogę wyglądać odlatowo, ale to niestety ma swoją cenę.

Pojawiłam się w jednej z bocznych uliczek koło placu przed bramą. Cały plac był jedną wielką, głęboką dziurą. Czarne kłęby dymu wleciały wysoko w niebo, zakrywając sztuczne słońce. Mieszkańcy Los Diablos zamiast przygotowywać się do walki, biegali dookoła, wzniecając jeszcze większą panikę. Część z nich usiłowała ratować swoje rzeczy z walących się budynków, inni okradali tych, którzy nie mogli zapanować nad swoim dobytkiem.

No tak... trudno było się tego nie spodziewać po ludziach, którzy trafili do Piekła.

Nie pokazywałam się nikomu. Ukryta w cieniu tuż obok powalonej ściany, obserwowałam zdarzenia. Nie byłam pewna, czy jest bezpiecznie, więc nie chciałam się na razie w nic mieszać.

Z tego, co zdołałam zobaczyć, pałac nie został zniszczony. Bomba wybuchła tuż przed nim. Od uderzenia odpadło trochę tynku, wywaliło wszystkie okna, zerwało dach i ukruszyło gargulce, ale budynek nadal stał.

Istniało pewne prawdopodobieństwo, że sufit sypialni nie spadł Szatanowi na głowę. Jest trochę zdenerwowany zaistniałą sytuacją, więc może jako jeden z nielicznych mieszkańców swojego królestwa nie spał o tej porze.

Czemu Elżbieta nie zaatakowała rezydencji? Ta bomba to ostrzeżenie, czy po prostu podoba jej się pałac?

Kolejny wybuch wstrząsnął ziemią. Zachwiałam się. Na drugim końcu miasta wyrósł kolejny grzyb czarnego jak smoła dymu.

Syrena nie przestawała zawodzić. Jednak teraz pojawiło się coś jeszcze. Szum? Zgrzyt? Helikoptery w Piekło? Tutaj nie ma maszyn powietrznych. Diabły nie cierpią myśli, że ktoś mógłby poruszać się po niebie, które kiedyś należało do nich, więc korzystanie z wszelkich podniebnych pojazdów było tutaj surowo zakazane.

Wciąż kotłujący się dym nie pozwalał mi zobaczyć, co się dzieje.

Wyszłam z ukrycia i stanęłam na skraju rumowiska. Niegdyś idealnie ułożona kostka brukowa wałała się bezładnie wszędzie dookoła.

Szum się nasilał. Zupełnie jakby się tu zbliżał.

- UWAŻAJ!!! - ktoś krzyknął i popchnął mnie gwałtownie.

Nie zdążyłam nawet zareagować. Potoczyliśmy się w dół leja, który utworzyła bomba. Bolesnie objąłam ramiona, głowę i nogi.

Miejsce, w którym przed chwilą stałam, przestało istnieć. Zza chmur wyleciały ogromne, zbudowane z ciemnego metalu maszyny plujące spalinami. Kształtem przypominały olbrzymie owady: muchy, bąki lub osy. Każdy z nich miał ostre jak miecze kończyny, lufy długich pistoletów i puste oczy, w których odbijała się uśmiechnięta twarz królowej Tartaru. Dosiadali ich szklani wojownicy Elżbiety. Gdyby ktoś mnie nie ocalił, zostałabym zmieciona serią z karabinu maszynowego jednego z nich.

- Dziękuję. - Odwróciłam się w stronę mojego wybawiciela i zamarłam.

Z bólu kurczył się obok mnie nie kto inny, ale Moroni.

- Moroni?! - nie wierzyłam własnym oczom. - Co ty tu robisz? Jesteś za to odpowiedzialny?!

- Zwariowałaś, kobieto?! - wrzasnął plując na mnie śliną. Jego koszulę plamiła krew wypływająca z otwartych ran. Błada skóra wydawała się przezroczysta.

- Jestem teraz diabłem! - Złapał mnie za rękę i pociągnął w górę leja. - Jestem na stażu. Jeśli się nie spodobam, wrócę do anielskiego więzienia, ale tym razem bez skrzydeł, które już mi odcięto! Nie zamierzam zaprzepaścić swojej szansy! O nie! Zostanę diabłem, do jasnej cholery, czy ci się to podoba, czy nie!

- Okej, okej - starałam się go uspokoić.

- Nie powinno cię tu być! - znowu wrzasnął, gdy biegliśmy krętymi uliczkami za pięknymi kamienicami, które zawsze widziałam tylko od frontu. - Co tu robisz?!

- Chcę pomóc. - Wyrwałam rękę. - Mam do tego prawo! Były anioł zatrzymał się gwałtownie. Jego jasne, prawie niewidoczne tęczówki otaczały zwężone źrenice. Były wielkości główki od szpilki.

- Brałeś coś? - nie mogłam się powstrzymać.

- Już wiem! - zawołał w ekstazie. - Uratuję cię i dzięki temu zostanę diabłem! Wszyscy docenią moje poświęcenie. W końcu to przez ciebie zostałem osądzony i wtrącony do niebiańskich lochów.

Brał coś. Musiał brać, skoro anielskie więzienie, przypominające drogi hotel, wydawało mu się lochem.

- Dobra, ratuj mnie, jeśli chcesz, ale teraz musimy znaleźć Szatana. Jest w niebezpieczeństwie. To jego Elżbieta będzie chciała zabić. Tylko w ten sposób zdobędzie piekielny tron.

Spojrzenie Moroniego było pełne wątpliwości. Chciał się raczej gdzieś ukryć i to przeczekać.

- Jeśli on umrze, to już nikt nie zrobi z ciebie diabła - mruknęłam.

- Masz rację! - Źrenice wciąż były zwężone, chociaż adrenalina w nim buzowała. - Musimy ratować Szatana!

- Lubczyk diabelski? - zapytałam niewinnym głosem.

- Bardzo dobry lek przeciwbólowy - wyznał. - Azazel mi polecił.

Klasnęłam w dłonie, usiłując zwrócić na siebie jego uwagę. Szum maszyn nad naszymi głowami mieszał się z seriami z karabinów maszynowych.

Wychyliłam się z naszej kryjówki. Wielka mechaniczna osa wisiała kilkanaście metrów nad ziemią i strzelała małymi pociskami ze swojego odwłoka prosto w bezbronną... kamienicę.

- Czy Szatan jest w swojej rezydencji? - zapytałam, widząc dużą grupę maszyn lecących prosto na ten właśnie budynek.

- Z tego, co wiem, to tak.

Wzięłam go za rękę. Ciekawe, czy używając moich mocy mogę przenieść naszą dwójkę?

- Nie bój się - ostrzegłam.

Chwilę później znaleźliśmy się w szerokiej galerii w rezydencji. Marmurowa posadzka zasłana była szkłem z wybitych wysokich okien. Obrazy namalowane przez najsłynniejszych śmiertelnych artystów wisiały poprzekrzywiane.

- Och... umiesz przenosić się bez używania klucza? - Moroni nie był przestraszony, czego w jego stanie bardzo się obawiałam. Na jego twarzy pojawił się złowieszczy uśmiech. - To bardzo przydatna umiejętność. Co jeszcze potrafisz?

- Zmieniać diabły w karaluchy, chcesz zobaczyć?

Szum maszyn zbliżał się do pałacu. Wychyliłam się przez marmurowy parapet. Zbrojny oddział szklanych wojowników szedł pieszo. Wydawał się nie mieć końca. Pośrodku nich, niesiona w złotej lektyce z czerwonymi

muślinowymi zasłonami, musiała znajdować się Elżbieta. Delikatny materiał wydymał się od podmuchów ciepłego wiatru.

- LUCYFERZE!!! - zawołałam.

Odpowiedziała mi cisza. Mam nadzieję, że ten sufit rzeczywiście nie spadł mu na głowę.

- Musimy go znaleźć! - powiedziałam do Moroniego, który właśnie wciągał jakiś zielony proszek do nosa.

- Zaraz, zaraz...

I jeszcze żebym się musiała z diabelskim ćpunem użerać...

- Już, mówię! - Wybiłam mu proszek z dłoni. - Azazel cię oszukał. To nie jest przeciwbólowe. On sabotuje twoje starania o diabelstwo.

Na otumanionej twarzy Moroniego pojawił się grymas zrozumienia.

Dlaczego?! Dlaczego, ja się pytam, muszę cały czas mieć kłody pod nogami? Czy naprawdę moim powołaniem jest niańczenie kogoś, kto kiedyś chciał mnie zabić, żeby zdobyć władzę nad całym światem i stać się nowym bogiem? To stawia mnie w niewygodnej pozycji.

Mój wybuch powstrzymało pojawienie się konturu drzwi na ścianie obok nas. Błyszczące linie zbiegły się na kształt prostej metalowej klamki, która od razu zaczęła się materializować. Czyjaś dłoń ją nacisnęła. Ciężkie, kute z grubego metalu drzwi z ponabijanymi długimi, ostrymi ćwiekami otworzyły się.

Tuż obok nas stanął Beal. Jego czerwony mundur był bez żadnej skazy. Gdy diabeł przechodził przez próg, otarł się ramieniem o framugę ubrudzoną tynkiem. Z niesmakiem zaczął strzepywać z siebie pył.

- Co tu robicie? - zapytał nas, gdy doprowadził swój strój do porządku. - O ile się nie mylę, ty miałaś trzymać się na uboczu, a ciebie, Moroni, od pewnego czasu szuka Belzebub przekonany, że zdezerterowałaś.

- Chcę pomóc bronić Szatana - zadeklarowałam się. - Nic mi się nie stanie. Beletha nie ma ze mną.

- A ja ją ratowałem przed maszynami księżnej. - Moroni uśmiechnął się. - Sądzę, że Belzebub będzie rad, iż nie pozwoliłem na unicestwienie naszej bezcennej Wiktorii.

- Taaa... - Beal miał w głębokim poważaniu nasze słowa. - Zebraliśmy się w sali balowej na parterze. Od tej strony zaatakują Elżbieta. Chodźcie.

Wsunął ciężki żelazny klucz w ścianę i przekręcił go sześć razy. Metalowe drzwi znowu pojawiły się przed nami.

Diabeł mówił prawdę. W sali balowej rzeczywiście byli wszyscy. Nawet Azazel i Kleopatra. Wysokie okna wychodzące częściowo na dziedziniec przed rezydencją miały wybite szyby. Szkło usunięto z posadzki, zapewne by nikt sobie nie zrobił nim krzywdy. Podejrzewam, że zajęła się tym Kleo, która jako jedyna była w sandałach na koturnie.

Lucyfer nie ucieszył się na nasz widok. A raczej na mój.

- Co tu robisz? - Szybko do mnie podszedł. Moroni usunął się z drogi i gdzieś zniknął.

- Chciałam pomóc - wyjaśniłam. - Księżna zaatakowała przed czasem. Myślałam, że nikt nie jest przygotowany...

Na dziedzińcu otworzyły się szerokie klapy. Spod nich, z białych korytarzy Urzędu zaczęły wybiegać całe plutony demonów. Ich czerwone głowy kryły hełmy z otworami na pozawijane rogi. Każdy miał na sobie napierśnik, a w dłoni ścisnął długie widły. Ich końce błyszcząły w słońcu. Sapiąc groźnie i śliniąc się obficie, armia demonów zajęła cały dziedziniec.

- Wiktorio - głos Szatana trząśnięty ze złości. - Czy naprawdę uważasz, że Elżbieta zastałaby nas w łóżkach?

- No cóż...

- Gdzie Beleth?

- Został w domu. Mam nadzieję.

- Powinnaś go pilnować, a nie mieszać się w nie swoje sprawy.

Miło, że już zapomniał, że to z mojej winy księżna uciekła z Tartaru.

- Ekhm... przepraszam, panie - cichy, chropowaty głos kazał nam odwrócić się w stronę demona ubranego w liberię. Jego długie krwistoczerwone rogi były tak imponujących rozmiarów, że aż trzy razy zakręcały się nad jego głową.

- Nie teraz! - ryknął Szatan.

Nagle wszędzie na ścianach pojawiły się drzwi. W jednej chwili sala balowa wypełniła się diabłami. Pojawiły się chyba wszystkie. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, ile aniołów zostało zesłanych do Piekła. Były ich dziesiątki, może nawet setki.

Na swój bal w zeszłym roku Lucyfer na pewno wszystkich nie zaprosił.

Władca Piekła stracił mną zainteresowanie. Skierował się do nowo przybyłych.

- Nie chcę, byśmy otwarcie stanęli do walki - oświadczył. - Elżbieta ma ogromną moc porównywalną z mocą Wiktorii. Pamiętamy wszyscy, co stało się z Pajmonem i Agaresem.

Dużo niezadowolonych spojrzeń skierowało się na mnie. Usłyszałam kilka niepochlebnych komentarzy na swój temat.

- Nie będziemy walczyć w pierwszej linii - kontynuował, nie zważając na szepty. - Najpierw przeciwko jej armii wystawimy demony. Na początek sześć tysięcy. Wy zajmiecie wcześniej ustalone pozycje na flankach. Mam nadzieję, że każdy z was zajrzał do materiałów, które rozdawał wczoraj Mefistofeles. Macie za pomocą mocy niszczyć wrogą armię. Elżbiety na razie nie ruszać. Zrozumiano?

Diabły pokiwały głowami w milczeniu.

- Odmaszerować!

Nie starczyło ścian, by wszystkie diabły mogły odejść w tym samym momencie. Całe pomieszczenie zalane było błyskami z pojawiających się bądź znikających drzwi. W sali balowej został tylko Szatan, Kleopatra, Azazel, Beal, Mefistofeles, Moroni i ja.

Szklana armia Elżbiety dotarła już do ogrodzenia. W oddali majaczyła lektyka, w której podróżowała. Mechaniczne owady zawisły niedaleko w oczekiwaniu na rozkazy władczyni.

- Panie, chciałbym... - jeszcze raz spróbował demon.

- Cicho bądź! - władca Piekieł nie chciał go słuchać. Teraz miał coś ważniejszego do roboty.

Lucyfer nie zamierzał czekać, aż królowa rozpęta wojnę. O nie. Nie da jej tej satysfakcji. To on jest prawowitym władcą i będzie się zachowywał jak król.

Stał przy oknie, podparł się pod boki i powiedział:

- Atak.

Złote ogrodzenie oddzielające rozległe tereny rezydencji od zrujnowanego Los Diablos zniknęło. Kilkadziesiąt demonów stojących w pierwszej linii rzuciło się z dzikim wrzaskiem na szklanych wojowników.

Wyostrzyłam wzrok. Diabły rzeczywiście były wszędzie. Trzeba było jednak wiedzieć, czego szukać.

Zauważyłam Asmodeusza tylko dlatego, że korona na jego głowie błyszczała w słońcu. W innym wypadku jego kamuflaż byłby doskonały. Upodobił się do jednego z wielu obtłuczonych gargulców zasiadających na gzymsach pałacu. Na wschodnim skrzydle budynku, gdzie zaczął się diabeł, kilka rzeźb jeszcze się ostało. Używając swoich mocy, niszczył szklanych żołnierzy. W milczeniu obserwowaliśmy walkę.

- Czemu nie poszłicie z nimi? - zapytałam Kleopatrze.

- Jesteśmy strażą przyboczną Szatana - odparła i ziewnęła szeroko. - A w zasadzie Beal i Mefistofeles są strażą przyboczną. Azazel nigdzie nie poszedł, bo Lucyfer mu nie ufa, a ja nie poszłam, bo mu nie ufam, jak walka przeniesie się tutaj. Z kolei Moroniego nikt nie chciał przygarnąć. Belzebub nie ma czasu się nim zajmować, więc opieka nad nowym diabłem przypadła bezużytecznemu Azazelowi.

Bitwa przesunęła się na środek dziedzińca. Co chwila powietrze przecinały serie z karabinów maszynowych.

- Nie podoba mi się to. - Kleopatra pokręciła głową. - Przecież to inteligentna kobieta. Wie, że szkłem i kulami nic nie zdziała. Co ona wymyśliła?

- Może nic nie wymyśliła - mruknęłam.

- Wiki - protekcyjny ton królowej Egiptu przywołał mnie do porządku. - Ona ma takie moce jak ty i w przeciwieństwie do ciebie nie ma skrupułów. Czy ty byś po prostu nie pojawiła się zniemacka tuż obok Szatana i nie zamieniła go w karalucha albo parę wodną? Nic prostszego, a i efekt natychmiastowy. Nie podoba mi się to.

- Może powinniśmy poprosić Niebo o pomoc? - zasugerowałam cichym głosem, żeby tylko Lucek mnie nie usłyszał.

- Chyba zostali poinformowani, ale jak widzisz, do pomocy nikogo nie przysłali.

Walka wydawała się wyrównana. Szklani żołnierze rozsypywali się na kawałki dźgnięci kilka razy ostrymi widłami, a ranne demony szybko znoszono do korytarzy Urzędu, gdzie specjalny oddział diabłów przywracał im pełną sprawność i wypuszczał innym wyjściem z powrotem na front. Wszystko było pod kontrolą.

Lektyka księżnej zatrzymała się niedaleko głębokiego leja po bombie.

Wydawało się, że armia Elżbiety upada. Nowych żołnierzy ubywało. Diabły kładły całe szwadrony pokotem, powoli przestając dbać o kamuflaż. Księżna wciąż nie interweniowała.

- Panie - demon spróbował jeszcze raz zwrócić na siebie uwagę Szatana. - Panie, muszę ci powiedzieć o czymś bardzo ważnym.

Jego długie, niespilowane kły sprawiały, że ślinił się niemiłosiernie przy każdym słowie. Trzeba jednak przyznać, że w połączeniu z czarną skórą i czerwonymi, opalizującymi ślepiami nadawały mu imponującego wyglądu.

- Tak? - Lucek wreszcie postanowił posłuchać sługi.

Nie dowiedział się jednak, czego chciał od niego demon. Nagle rozległ się głośny świst. Wszyscy zamarliśmy w bezruchu. Szklani żołnierze sprawnie wykorzystali element zaskoczenia i zaatakowali ze zdwojoną siłą.

Zaraz spadnie bomba!

- KRYĆ SIĘ!!! - zawołał Szatan i rzucił się za okno.

Ja nie zdołałam się ruszyć z miejsca sparaliżowana strachem. Zobaczyłam jeszcze tylko, jak Azazel szaleńczo usiłuje wepchnąć swój klucz diabła w ścianę.

Bomba z ogromnym łoskotem uderzyła w jedyny ocalały fragment dachu budynku. Pokonywała kolejne piętra, przebijając na wylot stropy i podłogi, aż gruchnęła o marmurową posadzkę kilka metrów ode mnie. Zamknęłam oczy i zaczęłam się modlić, gdy fala pyłu, która wzbija się po uderzeniu, smagneła mnie po twarzy. Nic nie poczułam. Żadnego bólu, szczypania czy chociażby pieczenia. Wszystko było w jak najlepszym porządku. Tak wygląda śmierć? Ta najostateczniejsza?

- Cholera jasna, złamałem klucz!

Uchyliłam powieki. Poprzez unoszący się pył zobaczyłam wnętrze sali balowej. Azazel stał przy ścianie i ścisnął z niedowierzającą miną połamany klucz diabła, Lucyfer właśnie wyłaził z krzaków i usiłował przeskoczyć przez parapet z powrotem do środka, Kleo siedziała na podłodze po turecku i cały czas zasłaniała oczy dłońmi, Beal i Mefistofeles wychylili się zza potężnych, grubych kotar z czerwonego aksamitu, a oszołomiony demon podnosił się z podłogi. Moroniego nie było widać. Chyba jako jedyny z nas wszystkich zdołał uciec pomimo swojego uzależnienia od lubczyku. Pył powoli opadał.

W posadzkę, idealnie pośrodku sali balowej, była wbita owalna bomba z prostokątnymi statecznikami. Coś gwizdało w jej środku coraz szybciej i szybciej. Podeszliśmy bliżej zaskoczeni, że nie wybuchła. Bomba cała pokryta była grubą warstwą lodu, który odpadał od niej systematycznie. Na owalnym boku był napis „buziaczki, B”, który wyglądał, jakby napisano go ciepłym palcem na zaparowanej szybie. Do stateczników była przywiązana różowa wstążeczka.

Odwróciliśmy się w stronę okien. Belfegor ubrany w maskujący strój przypominający korę drzewa odsunął się od jabłonki niedaleko od nas i

pomachał nam. Włosy miał zaplecione w warkocz związany dokładnie taką samą wstążką.

- Zróbcie z nią coś, bo wybuchnie! - krzyknął. - Zatrzymałem zapalnik tylko na chwilę.

- Wiki. - Szatan skinął na mnie głową.

Wyobraziłam sobie, że pokryta lodem bomba rozpuszcza się. Powoli topnieje obudowa, zapalnik, materiały wybuchowe, stateczniki. Gdy otworzyłam oczy, pod naszymi stopami rozlewała się kałuża o kolorze bliżej nieokreślonej brei, w której pływała różowa wstążeczka.

- Może to jednak nie był zły pomysł, żebyś z nami została - przyznał Lucyfer.

Lektyka księżnej wciąż stała w bezruchu.

- Mam tego dość! - Szatan aż zatrzęsł się ze złości, gdy uniósł do góry głowę i spojrzał na błękitne niebo przez dziurę w suficie, którą zrobiła spadająca bomba. - Wszyscy mają atakować Elżbietę. Miecze w gotowości!

Musiał ten rozkaz przesłać telepatycznie, bowiem wszystkie diabły wyciągnęły zza swoich przebrań długie gorejące miecze i ruszyły w stronę lektyki.

Nikt już nie bawił się w zachowywanie pozorów. Zastępy szklanych wojowników i wielkie maszyny w jednej chwili zostały unicestwione. Lucyfer nie zamierzał czekać na kolejny ruch księżnej. Zbrojny oddział diabłów błyskawicznie dotarł do lektyki. Rozbicie w pył czterech pilnujących jej szklanych wojowników zajęło kilka sekund.

Pojazd Elżbiety upadł na ziemię, gdy zniknęły podtrzymujące go ramiona. Asmodeusz z dzikim wrzaskiem dopadł do niego i rozgarnął muślinowe zasłony.

W środku nie było nikogo.

- Co jest?! - Lucek trzasnął pięścią w ścianę.

Bitwa w jednej chwili się skończyła. Ostatni szklani wojownicy zostali zniszczeni, a wielkie maszyny wojenne opadły na ziemię zamienione w kupę bezużytecznego żelastwa.

Diabły i demony na polu walki stały twarzą do pałacu.

- Ona usiłowała odwrócić naszą uwagę - odezwała się Kleopatra zimnym głosem. - Tak naprawdę zaatakowała gdzie indziej.

Wciąż oszołomiony demon otrzępywał zaciekle swoje ubranie.

- Panie! - wykrzyknął. Najwyraźniej jego cierpliwość także miała swoje granice. - Telefon dzwoni. Z Nieba. Archanioł Gabriel chce pilnie z panem rozmawiać!

Lucyfer pobladł gwałtownie.

- Dlaczego od razu mi nie powiedziałaś, ty podła kreaturo?! - wrzasnął i ruszył biegiem w stronę swojego gabinetu.

Zerknęliśmy po sobie.

- Ja nie przegapię takiej zabawy - oświadczył Azazel.

Pobiegliśmy za nim.

Jakimś cudem gabinet Szatana był jednym z nielicznych ocalałych pomieszczeń. Pozbawiony okien uniknął zasypania szkłem, a jego położenie na niższym poziomie rezydencji pozwoliło zapobiec uszkodzeniom związanym ze zniszczonym dachem. Muzealna kolekcja Lucyfera była bezpieczna.

Czerwony stary aparat telefoniczny z korbką stał na środku biurka. Lucek zamarł ze słuchawką przy uchu. Niestety nie słyszeliśmy, co takiego się stało i co mówi mu rozmówca.

- Ciekawe, czy ma tryb głośnomówiący? - Azazel podszedł bliżej.

Stary aparat pokryty grubą warstwą kurzu nie wyglądał, jakby miał coś tak nowoczesnego.

Szatan odłożył słuchawkę i oparł się ciężko o blat biurka. Czekaliśmy w napięciu, aż nam coś powie. Jednak on uparcie milczał.

- Zaatakowała gdzieś indziej? - Kleopatra nie wytrzymała. - Powiedźcie nam coś, cokolwiek! Jesteśmy tu, by cię wspierać. Nie jesteś sam.

- Tak - powiedział w końcu. - Równocześnie z atakiem na Piekło rozpoczęła dywersję na Niebo. Pokonała już bramy i niszczy Edenię. Jest tam. Kroczy ulicami, zamieniając dusze w kamienne rzeźby, które rozbijają jej żołnierze. Anioły nie mogą sobie z nią poradzić. Zabiła Samaela.

W gabinecie zapadła głucha cisza. Elżbieta zabiła wielu ludzi i anioła. Odkryła swoje moce.

O nie! Tam są moi rodzice! Mieszkają niedaleko rezydencji Archanioła Gabriela!

- To dlatego nie przyszli nam na pomoc - skwitowała zimnym głosem Kleopatra. - Wiedziałam, że ta suka coś knuje.

- Co teraz, panie? - zapytał Beal.

Lucyfer wyprostował się dumnie. Dotychczas nie był ubrany jak na wojnę. Rozchełstaną białą koszulę z żabotem i spodnie do konnej jazdy wpuszczone w wysokie buty trudno było nazwać strojem bojowym. Jednak w jednej chwili to się zmieniło. Jego szeroką pierś pokryła lśniąca srebrna zbroja ozdobiona złotymi, misternymi ornamentami. Na głowę nie nałożył hełmu. Zamiast tego pośród złotych loków pojawiły się duże złote rogi o ostrych jak brzytwa końcach. Insygnium władzy Szatana. Z jego poprzedniego stroju zostały tylko spodnie. Przy botkach pojawiły się złote ostrogi.

- Zbroja? - szeptem spytałam Azazela. - On się będzie bił?

- To kirys, głupia. Ma tylko napierśnik z przodu i naplecznik z tyłu. Ramiona są odsłonięte, a nogi przykryte krótkimi nabiodrnikami. Niczego was w tych ludzkich szkołach nie uczył.

Zamiast miecza, którego się spodziewałam, w prawej dłoni władcy Piekła pojawiły się długie widły o złotych końcach. Złoto jest miękkie. Nie wiem, czy to dobry pomysł produkować z niego broń. Ale Lucek pewnie wie, co robi.

Poza tym postanowiłam już o nic nie pytać.

- Musimy im pomóc - oświadczył Lucyfer. Niespodziewanie uśmiechnął się do siebie. - I kto tu będzie najlepszym pracownikiem? - zapytał.

Nic nie rozumiejąc, spojrzeliśmy po sobie. Może te rogi wbijają mu się w głowę?

Szatan wyminął nas szybkim krokiem i ruszył przez swoją posiadłość. Beal i Mefistofeles zmienili swoje odzienia na zbroje podobne do tej, którą przywdział Lucyfer, tylko pozbawione złoceń.

No dobra, na kirysy...

Azazel wypiął pierś i z głośnym puknięciem także stworzył sobie metalowe ubranko. Kleopatra przewróciła oczami i mruknęła tylko:

- Bez przesady...

W związku z tym także nie zmieniłam nic w swoim wyglądzie Lary Croft. Skoro ona zamierza walczyć w przezroczyściej kiecce ze strusimi piórami, to ja mogę zostać w kamizelce kuloodpornej.

Większość diabłów zebrała się już na dziedzińcu. Oczekiwały na dalsze rozkazy swojego władcy. Gdy zobaczyły, jak się wystroił na galowo, poszły w jego ślady. Normalnie kopiuj - wklej.

- Ruszamy na pomoc Niebu. Księżna zabiła anioła Samaela i wiele dusz. Nie mamy czasu do stracenia - oświadczył gromkim głosem. - Bramy Arkadii runęły. Bez problemu możemy się tam dostać.

Ktoś w tłumie zachichotał. Wydawało mi się, że był to Moroni.

- Przygotujcie się! - rozkazał. - Za sześć minut wymarsz.

Odwrócił się na pięcie i wmaszerował z powrotem do rezydencji. Ostrogi przy jego butach głośno dzwoniły. Czyżby zamierzał jechać do Nieba na koniu?

Kleopatra ruszyła za nim, więc poszłam w jej ślady. Nie wiem, czy zamierza zabrać mnie ze sobą, ale jestem pewna jednego. Ja tu nie zostanę. Tam może stać się coś złego moim rodzicom. Nie pozwolę na to. I tak im przysparzam zbyt wielu zmartwień.

Lucyfer stanął w korytarzu i zawołał:

- Lewuś! Lewuś! Chodź do tatusia! Do nogi! Lewuś!

Rany boskie, on chce dosiąść lwa?

- Lewuś!

Azazel stanął obok mnie. Usiłował zetrzeć jakąś skazę ze swojego napierśnika.

- Myślisz, że Beleth tu zostanie? - zapytał.

- Mam nadzieję - odparłam. - Nie pobiegł za mną teraz, to kto go wie?

- To dziwne, że za tobą nie pobiegł - zmarszczył czoło. - Przecież on lubi takie akcje. Mógł się wykazać, ratując swoją księżniczkę. Ciężko mi uwierzyć, że nadal smacznie śpi w łóżku.

Nagle usłyszeliśmy stukot pazurków. Dość niepozorny stukot pazurków. Lucek wołał pieska?

- Lewuś. - Szatan był autentycznie szczęśliwy, kiedy zwierzątko wypadło zza rogu i doskoczyło do jego nóg, domagając się pieszczot.

Oniemiała przyglądałam się małemu zielono-czarnemu smokowi. Był wielkości wyrosniętego ratlerka. Chude nóżki plątały mu się cały czas z cieniutkim ogonkiem zakończonym ostrym kolcem. Stworek wywalił długi rozwidlony jęzor i koniecznie chciał wspiąć się po nogawce spodni Szatana, żeby go polizać po twarzy.

- Już, już spokojnie - diabeł usiłował go okiełznać. - Mamy zadanie do wykonania.

Ku uciesze smoka wziął go na ręce i wyszedł na dziedziniec. Tam oczekiwała go już armia zbrojnych diabłów ściskających gorejące miecze. Nie było ich dużo. Może dwie, trzy setki. Nie mieliśmy zbyt wiele szans z ogarniętą szaleństwem Elżbietą.

Szatan postawił smoczka na ziemi.

- Rośnij! - rozkazał.

Zielona skóra gada zafalowała. Pisnął zadowolony z siebie i zaczął się wic jak szalony. Z jego małego noska zaczął wydobywać się dym.

Powoli się odsuwałam.

Smok osiągnął już wielkość małego kuca. Splunął zielonymi płomieniami w stronę stojących w rzędzie diabłów, ale nawet na to nie zareagowały. Jego żółte gadzie oczy z pionową kreską źrenicy biegały to na lewo, to na prawo. Wydawało się, że rozsadza go najprawdziwsza furia. Był już wielki jak czołg i nadal rósł w zastraszającym tempie. Gdy jego głowa znalazła się na wysokości nieistniejącego dachu rezydencji, zaryczał wściekle w niebo i wypuścił z pyska długi słup piekielnego ognia, zielonego jak płomień Beletha. Opuścił ogon na ziemię. Szatan wspiął się po nim na grzbiet, gdzie stworzył sobie wygodne siodło ze strzemionami. Lejców nie potrzebował. Trzymał się jednego z ostrych kolców na grzbiecie zwierzęcia, a smok zdawał się słuchać jego myśli.

- Co to? - wydusiłam.

- To Lewiatan - wyjaśniła Kleo. - Najstraszniejszy potwór piekielny, pozbawiony jakichkolwiek skrupułów i sumienia. Gdyby nie Szatan, który jako jedyny potrafi utrzymać go w ryzach, wszyscy mielibyśmy poważne kłopoty. To dlatego żaden z piekielnych książąt czy królów nie próbował go nigdy obalić. Lucyfer mógł się za to zemścić, używając smoka.

Dotarła do mnie głupota Azazela.

- A Azazel?

- On uważa, że ma rękę do zwierząt - prychnęła z niesmakiem. - Poza tym myślał, że jeśli to Gabriel usunie Lucyfera ze stanowiska, to każe mu również kontynuować opiekę nad Lewiatanem.

To naprawdę głupek.

Zaraz, gdzieś już czytałam o potężnym smoku, który jest morskim potworem. Tak, chyba była o nim luźna wzmianka w przewodniku po Los Diablos. Lewiatan był w nim traktowany jako element piekielnego folkloru.

- A czy Lewiatan to nie potwór morski?

- Całe swoje życie spędza w fontannie na wewnętrznym dziedzińcu.

- Myślałam, że tam są piranie.

- Szatan ma kilka fontann.

Smok Lucyfera rozwinął imponujących rozmiarów błoniaste skrzydła. Zaryczał jeszcze raz i wzbil się bez wysiłku w powietrze. Jego długi ogon zakończony trójkątnym ostrzem z haczykami zahaczył o gzyms, obrywając fragment fasady budynku.

Diabły wyciągnęły klucze i zaczęły szukać miejsc, w które mogłyby je wsunąć.

- Mój się złamał! - wyjęczał Azazel. - Zanim wyrobią mi drugi, minie jakieś sześć miesięcy! A jeśli zgłoszę to w Niebie, to będę musiał czekać nawet siedem, biorąc pod uwagę ich ciągłe przerwy na herbatę!

Dostaliśmy się przejściem stworzonym przez Kleopatę. Szatan miał rację. Bramy Niebios zostały wyważone. Złote ogrodzenie powalono. Różowa mgła usiłowała nieudolnie przykryć zniszczenia. Na straży Arkadii nie stał ani jeden golem.

Kopuły Edenii płonęły. Słysząc było krzyki, strzały i kolejne wybuchy wstrząsające całym miastem. Prawdziwa apokalipsa. Oby tylko nie ta ostatnia.

Nagle różowe obłoki nad naszymi głowami rozstały się. Rozsunął je podmuch wiatru, który wytwarzały skrzydła Lewiatana. Potwór opadł na marmury obok nas. Jego rozbiegany wzrok nie mógł się na niczym skupić. Rzucił wściekle łbem.

Szatan szybko ocenił sytuację. Jego zimne spojrzenie było puste. Złote rogi na głowie przecinały powietrze. Zazwyczaj łagodne rysy wyostrzyły się, upodabniając go do drapieżnego ptaka.

- Ruszamy! - zawołał i wskazał widłami na Edenię. - Na ratunek Niebu!

Pazury smoka drapały o posadzkę, wzniciając iskry, gdy ze złożonymi skrzydłami zaczął biec w stronę zabudowań. Diabły, krzycząc, ruszyły za nim. Gorejące miecze zapłonęły w ich dłoniach. Furia ogarnęła wszystkich. Na podobieństwo Lucyfera zmieniał się ich wygląd. Przystojne twarze wydłużały się, oczy ciskały gromy, plecy garbiły się w biegu. Diabły ukazywały swe prawdziwe oblicza istot piekielnych.

Poczułam w piersi rozlewającą się złość. Wściekłość Szatana wpłynęła także na mnie. Elżbiecie należała się śmierć za to, co robiła. Za to, że krzywdziła niewinne dusze.

Zatrzymałam się gwałtownie. Diabły, którym stałam na drodze, odpychały mnie gniewnie, potęrały. Byłam przeszkodą.

Beleth.

Co z Belethem? Naprawdę został w Piekło? Uciekłam tak bez słowa. Adrenalina wszystko mi przyćmiła. Zobaczyłam wybuch i pobiegłam jak głupia. Mogłam wrócić i wszystko mu wyjaśnić. Zostawiłam go. Nie był co prawda sam. Nocował u mnie też Achilles. Mimo to poczułam się winna. Zupełnie jakbym go zdradziła.

Zostałam z tyłu. Nawet Kleopatra i Azazel podążyli za swoim władcą.

Nikt chyba nie zauważy, jeśli na chwilę wrócę do domu? Tylko sprawdzę, czy Belethowi nic nie jest. Nie zaczną podejrzewać mnie o dezercję.

Gdy upewniłam się, że nikt mnie nie obserwuje, mogłam zniknąć.

Rozpłynęłam się w powietrzu.

Gdy pojawiłam się przed moim domem w Los Diablos, w pierwszej chwili pomyślałam, że musiałam się pomylić. To nie mógł być mój dom. Mój

dom... stał. Natomiast tutaj na środku podwórka znajdowały się czarne zgliszcza. Część wciąż płonęła.

Jakimś cudem chyba naprawdę się pomyliłam. Zdezorientowana rozejrzałam się dookoła. Żwirowa ścieżka, leżaki, drzewka owocowe, prywatne zejście na plażę... Cholera jasna, to był mój dom. Moje kwiatki! MÓJ KOT!!!

- Beleth! - zawołałam. - Achilles!!! Behemot!

Podbiegłam do pogorzelniska. Tłące się resztki cuchnęły. Płomienie lizały belkę przede mną. Tylko że te płomienie... Wsunęłam w nie palce. Syknęłam z bólu i cofnęłam dłoń. Płomienie były prawdziwe, ale już wiedziałam, co było z nimi nie tak. Nie tworzyły dymu.

Słyszając żalosne miauknięcie u swoich nóg, podskoczyłam przerażona. Behemot patrzył na mnie pełnym pogardy wzrokiem, który do perfekcji opanowały jedynie koty.

Chciałam wziąć go na ręce, ale odskoczył. Miauknął ponownie, zupełnie jakby chciał mi powiedzieć, że nie ma teraz czasu na głupstwa, i ruszył ścieżką. Odwrócił się, gdy zauważył, że za nim nie idę.

- Co tu się stało, Behemocie? - zapytałam.

Mój kot posiadający diabelskie moce od czasu, gdy ugryzł jabłko z drzewa wiadomości dobrego i złego, miał wiele tajemniczych i magicznych cech. Podejrzewam, że potrafił mówić. Czymże w końcu jest zdolność mówienia w porównaniu do chodzenia po suficie czy strzelania iskrami z nosa, gdy miał na to ochotę. Nigdy jednak nie przemówił. Z przekory najprawdopodobniej.

Teraz jednak gorąco liczyłam na to, że mi odpowie.

- Miau.

No tak...

- Czasem mógłbyś się odezwać - warknęłam. - Wiele by mi to ułatwiło.

Prychnął.

Mój własny kot miał czelność ze mną dyskutować. Żmija wyhodowana na własnej piersi!

- Czy Elżbieta tu była? - nie chciałam zadawać tego pytania, ale musiałam.

To było jedyne wytłumaczenie. Szczerze wątpię, żeby Beleth spalił mój dom, bo rano wyszłam bez słowa. Istniało jednak pewne prawdopodobieństwo, że niechcący lub w ataku furii zrobił to Achilles, ale przecież mój ifrit naprawiłby zniszczenia po synu.

Kot kiwnął trójkątnym łepkiem.

- Zabrała ich?

Ponowne kiwnięcie. Kamień spadł mi z serca. Bałam się, że mogła zabić Achillesa za niesubordynację i ucieczkę z Tartaru.

- W takim razie idę sprać babę.

Wcale nie cieszyło mnie to zadanie. Elżbieta była straszna. Poza tym teraz, gdy odzyskała dzina, stała się jeszcze bardziej niebezpieczna. Mam nadzieję, że nie wypowiedziała kolejnych życzeń.

Czego mogłaby sobie zażyczyć? Już miała moc Iskry Bożej i moce diabelskie.

- Miau.

Odwróciłam się do kota, który nagle zaczął rosnać. Na moich oczach z małego czekoladowego kocurka z rudo-kremowym uchem przeistoczył się w olbrzymiego kota, dobre dwa razy większego od pumy. Wciąż był brązowy i miał rudawe ucho. Tylko teraz jego żółte ślepia z pionowymi źrenicami zwężonymi od ostrego piekielnego słońca nie sprawiały wrażenia milusich.

Tak samo jak zęby. Zwłaszcza lewy kieł, który zawsze trochę wystawał mu z pyszczka.

- Miau - piskliwy koci głos zamienił się w niski pomruk wielkiego zwierzęcia.

- Chcesz mi pewnie pomóc?

- Miau. - Ogon mojego pupila uniósł się wysoko. Z dumą.

- Bawi cię to?

- Mrrrr...

- No dobra, to chodź ze mną.

Położyłam rękę na jego karku, który sięgał mi do pachy. Przeniosłam nas przed bramy Arkadii.

Nie było widać oddziału diabłów. Ruszyły z taką werwą, że pewnie były już po drugiej stronie Edenii. Dziwiłam się, że Szatan nie zabrał ze sobą także demonów, tylko rozkazał im strzec Piekła. Może nie mogły przestąpić progu Nieba?

Ruszyłam biegiem przed siebie. Behemot niespiesznie truchtał obok.

Najpierw postanowiłam sprawdzić, co dzieje się z moimi rodzicami. Miałam nadzieję, że walki nie dotarły pod ich mały domek.

Ulice były zniszczone. Marmurowe płyty, którymi wyłożone były szerokie chodniki, roztrzaskano. Nie wiem, czy uczyniła to Elżbieta, czy przemarsz Lewiatana, jednak schludne aleje zawałone były okruchami kamieni.

Behemot trącił grubą łapą okrągły szary kamień leżący na naszej drodze. Potoczył się pod moje nogi. Rozochocony kot chciał za nim skoczyć i się nim pobawić, ale zastąpiłam mu drogę.

- Czekaj, czekaj. To nie zabawka.

Dopiero teraz zauważyłam, że na wyludnionej głównej arterii miasta było pełno takich kamieni. Podniosłam go z ziemi. Miał misterne rzeźbienia układające się w krótkie linie. Obróciłam go w dłoniach i zamarłam. Z drugiej strony patrzyły na mnie pełne przerażenia oczy dziecka, tuż nad ukruszonym nosem. Usta rozwarte były w niemym krzyku. Misterne linie były włosami.

Upuściłam kamień na ziemię. To fragment zabitej duszy. Ona zabiła dziecko. Elżbieta unicestwiła duszę dziecka.

Skoro ta dusza miała jeszcze twarz dziecka, oznaczało to, że niedawno zginęła na Ziemi. W Niebie i Piekło można było dorastać zgodnie z ziemskim rytmem śmiertelnych. Gdy życie skończyło się za wcześnie, można było je kontynuować tutaj. Z tego, co wiedziałam, przedwcześnie zmarłe dzieci nawet chodziły tu do szkół i zdobywały wykształcenie. Wszystkim tym kierował Archanioł Michał. Patron małych dzieci.

Elżbieta była potworem.

Starając się nie patrzeć na poroztrzaskiwanych mieszkańców Arkadii, ruszyłam biegiem przed siebie. Niebawem dotarliśmy z Behemotem przed błękitny domek ze srebrnym dachem. Część sąsiednich posesji została zniszczona. Szare roztrzaskane dusze leżały na ziemi.

Odgłosy walki były coraz bliżej. Pomarańczowa łuna wybuchów rozciągała się ponad anielską Administracją i posiadłościami Archaniołów. Edenia nie miała ścisłego centrum tak jak Los Diablos, ale księżna wybrała dobre miejsce do bitwy. Tylko tam był plac odpowiedniej wielkości.

Szarpnęłam niską furtką prowadzącą na podwórko moich rodziców. Przebiegłam ścieżką ułożoną z otoczków i załomotałam do drzwi. Nacisnęłam klamkę, ale były zamknięte.

- MAMO! TATO! - krzyczałam.

Behemot przycupnął za mną na bujanym fotelu, ale mebel trzasnął pod nim i zwierzak uderzył o ziemię. Jego wściekłe furczenie nadal rozbrzmiewało za moimi plecami, kiedy drzwi się otworzyły.

- Wikusia! - Moja mama pociągnęła mnie do środka.

- Mamo! - Ulga, jaką poczułam, była nie do opisania.

- POTWÓR!!! - krzyknęła, gdy dotknął ją wilgotny różowy nos wielkości pięści.

Pacnęłam kota po pyszczku.

- Odsuń się. Straszysz mamę. Spokojnie, mamó. To mój kot. Jest tylko trochę większy niż normalnie. Nic ci nie zrobi. Jest bardzo mądry.

Za plecami mamy pojawił się tata. Przytrzymał omdlewającą mu w ramionach żonę.

- To nie na moje siły - wyszeptała. - Już więcej nie zniosę. Najpierw twoja śmierć, Tartar, a teraz jeszcze ta masakra.

Wciągnęli mnie do pokoju. Początkowo nie chcieli wpuścić Behemota, ale przekonałam ich, że jest niegroźny. Utrudniał mi to odrobinę odór z jego pyska i wystający kieł.

Szybko wytłumaczyłam rodzicom, co się stało. Całą walkę przesiedzieli w piwnicy. Archaniołowie rozkazali się ukryć. Nie wszystkim się to jednak udało. Dowody leżały na ulicach. Moi rodzice mieli szczęście, że żołnierze Elżbiety nie wkroczyli do ich domu.

- Widzieliśmy ją przez okno w piwnicy - powiedział tata. - Szła chodnikiem i zamieniała ludzi w kamienie jednym skinieniem palca. Jej wzrok podpalał domy. Do tego te maszyny latające i potwory!

- Potwory? - podchwyciłam. To była jakaś nowość.

- Bestie przypominające filmowe wilkołaki. Rozszarpywały dusze na strzępy i zjadały ochłapy. Nasz sąsiad został zaatakowany. Nie odrodził się.

Zdołałam jakoś ich przekonać, że nie mogę z nimi zostać. Zawiodłam na całej linii. Wszystkich. Nie spełniłam oczekiwań moich rodziców, nie byłam idealną dziewczyną, jaką chciał we mnie widzieć mój dawny Piotruś, nie stałam się wzorową pracownicą Szatana.

Nawet Beletha porzuciłam.

Najwyższy czas, by to naprawić.

Zabarykadowałam mamę i tatę w ich niebieskim domku. Nałożyłam silne zaklęcia, by nikt niepożądany nie zdołał dostać się do środka. Wzmocniłam mocą stopy i deski, by budynek nie został zniszczony przez wybuch bomby lub w wyniku pożaru.

Behemot wesoło dreptał u mojego boku, gdy zbliżaliśmy się do centrum wydarzeń. Chciałam znaleźć kogoś, kto mi powie, jak posuwa się walka.

Nagle ziemia usunęła mi się spod stóp. Elżbieta. Ona była wszędzie. Dosłownie wszędzie.

Księżna stworzyła swoje klony, które walczyły z diabłami. Obok mnie przebiegł Beal usiłujący zadźgać sztuczną Elżbietę. Kobieta do złudzenia przypominająca swój pierwowzór różniła się od niej tylko jednym szczegółem. Oczami. Miała szklane puste oczy przykryte powiekami, które nie mrugały.

Beal uskoczył przed promieniem mocy, który wyskoczył z wyciągniętej ręki klonu Elżbiety.

Jakim cudem dokonała czegoś takiego? Jak zdołała powielić samą siebie? Mnie udawało się to co prawda z kluczami, ale próbować czegoś takiego na żywej istocie? To upiorne!

Sztuczna Elżbieta stanęła do mnie tyłem. Pchnęłam ją z całej siły w plecy i strzeliłam mocą. Zamarła w bezruchu z wyciągniętymi na boki rękami. Beal wykorzystał ten moment właściwie i zgrabnym cięciem gorejącego miecza odrąbał jej głowę. Ciało rozsypało się na drobne kwadratowe kawałki szkła, takie, jakie powstają przy stłuczeniu starych samochodowych szyb klejonych żywicą.

- Dziękuję. - Diabeł otarł pot z czoła.

Jego wojskowa czapka gdzieś zniknęła.

- Co tu się dzieje? - zapytałam.

Na naszych oczach wielki pies poruszający się na dwóch nogach zatopił kły w szyi jakiegoś diabła. Chyba Mefistofelesa. Behemot miauknął przeraźliwie i dopadł psa. Zaczęła się wściekła kotłowanina.

- Niezły kotek. - Beal nie zamierzał pomóc kompanowi, który nie mógł się podnieść z powodu utraty krwi. - Coś późno się pojawiłaś.

- Przybyłam z kotkiem, jak widzisz. Nie tylko Lucyfer ma zwierzątko.

- Jasne - nie uwierzył mi. - Księżna okazała się pomysłowa. Stworzyła armię swoich klonów, które posiadają moce zbliżone do niej, ale wykonują wszystkie jej rozkazy.

- A gdzie ona jest? - zapytałam. - I gdzie Szatan? Muszę mu o czymś powiedzieć.

- Lucyfer jest gdzieś tam. - Wskazał głową na budynki, które przesłaniały mi widok. - Powinnaś łatwo go znaleźć. Jedźcie na smoku.

- Nie musisz być złośliwy - warknęłam i mocą zniszczyłam klon Elżbiety, który właśnie celował w jego głowę.

- Dzięki. - Skłonił lekko czoło. - Jeśli chcesz powiedzieć Szatanowi, że księżna odzyskała swojego dzina, to się spóźniłaś. Już o tym wiemy. Sama nam o tym powiedziała. A co więcej, wykorzystła już drugie życzenie.

- Jak to? Czego sobie zażyczyła?

Behemot usiadł obok mnie i zaczął wylizywać łapkę. Wilkołak, którego zaatakował, leżał rozszarpany na chodniku. Kot wyszedł z tego pojedynku bez szwanku.

- Niezniszczalności. Teraz nie można jej zabić gorejącym mieczem ani używając mocy czy trucizny.

- CO?!

- To, co słyszałaś. Jesteśmy wdzięczni tobie i Belethowi. Gratulacje.

- I co teraz? - Poczułam się zagubiona.

- Na razie wybijamy jej oddziały, żeby ona nie wybiła nas i dusz. Co będzie później, wie tylko Pan - mówiąc to, diabeł przeżegnał się. - W Jego dłonie składamy nasz los.

Kot porzucił nas, udając się w pogoń za kolejnym nieprzyjacielem.

- Powodzenia w walce! - Beal odwrócił się ode mnie i pobiegł w kierunku wrogów.

I co teraz? I co teraz?! Czułam ogarniającą panikę. Nie zdołamy pokonać tej wiedźmy! Przecież jest silniejsza od nas. To już koniec!

Beleth. Pomyślałam o nim intensywnie. Chciałam, żeby usłyszał mnie telepatycznie.

Wiki?

- Beleth! Gdzie jesteś!

W budynku Administracji. Królowa wykorzystła drugie życzenie.

- Wiem. Co teraz zrobimy? Ona jest niezniszczalna.

Niezniszczalna dla innych.

- Co...

Nagle nasze połączenie zostało zerwane. Podłożem wstrząsnął potężny wybuch. Upadłam na chodnik pomiędzy potłuczone kamienie. Piękny kościół z wysoką wieżą zakończoną iglicą został rozbity. Wieża runęła, zasypując ulicę pyłem.

Naprzeciwko wyskoczył z chmury wilkołak o olbrzymich ociekających śliną zębiskach. Zauważył mnie i rzucił się w moim kierunku. Nagle padł na ziemię. Z jego czaszki sterczała długa złota strzała o lotkach z białych piór.

Spojrzałam w górę. Nade mną unosił się na swoich pięknych skrzydłach Muriel. W dłoniach dzierżył długi złoty łuk. Na plecach zawiesił kołczan ze strzałami. Kiedyś często odbywałam targi z tym aniołem o rysach twarzy Brada Pitta. Nie lubiliśmy się. Każde z nas uważało, że jest lepsze od drugiego.

A teraz mnie uratował? I kogo będę nie lubić?

- Dzięki! - krzyknęłam.

W odpowiedzi tylko skinął głową i poleciał dalej.

Podniosłam się i spróbowałam ponownie porozmawiać z Belethem. Milczał.

W takim razie nastał najwyższy czas, by dostać się do budynku Administracji.

Behemot gdzieś zniknął, ogarnięty kocim szałem polowania. Dawno tak się nie bawił. Miałam tylko nadzieję, że nie pomyli wroga z przyjacielem.

Mogłam przedostać się do budynku Administracji, używając mocy, ale bałam się to zrobić. Nie wiedziałam, co tam zastanę. Istniała możliwość, że pojawię się naprzeciwko Elżbiety, a ona bez drgnienia powiek zamieni mnie w kamienną rzeźbę.

Ruszyłam biegiem, omijając walczących. Sztuczna księżna strzeliła w moją stronę mocą. W ostatnim momencie stworzyłam w dłoniach przezroczystą tarczę, lekką jak plastik. Odbiłam zakłęcie w niebo.

Wielka żelazna maszyna wyglądająca jak skrzyżowanie bąka ze sterowcem pluła płomieniami. Linia płonącego płynu przepłynęła metr ode mnie, podpalając żywopłoty.

Jeden z diabłów nie zdołał uskoczyć. Jego skóra i ubranie zajęły się ogniem. Zaczął wrzeszczeć i machać rękami. Jego gorejący miecz zatoczył łuk i upadł na ziemię. Zalałam go mocą. Płomienie zgasły. Miał poparzoną skórę, ale żył. Był nieprzytomny. Nie mogłam teraz się nim zająć. Jeśli stracę zbyt wiele sił, nie dam rady stawić czoła księżnej. Schwyciłam jego miecz. Był ciężki i nieporęczny, jak to zwykle bywa z bronią obosieczną. Objęłam jedną dłonią rękojeść. Drugą ścisnęłam tarczę zamocowaną do mojego przedramienia paskami z materiału.

Dookoła mnie padały ciała, strzelały płomienie, serie z karabinów wybijały równy rytm na marmurowych płytach.

Coś uderzyło mnie w klatkę piersiową. Upadłam i tylko to uratowało mnie przed atakiem jednego z potworów, który przeskoczył nade mną i został trafiony resztą serii.

Zaczęłam kaszleć. Kamizelka kuloodporna wytrzymała siłę ataku, ale zaparło mi dech w piersiach, a od uderzenia głową o chodnik wirowało mi w oczach. Wszystkie dźwięki były zagłuszone, zupełnie jakbym miała na uszach poduszki.

Zobaczyłam, jak olbrzymi Lewiatan pojawia się nagle naprzeciwko mnie, rozdziawia pysk i wystrzeliwuje płomienie prosto w latającą maszynę. Balon rozdał się i pękł. Odłamki leciały we wszystkie strony. Ostatkiem sił zasłoniłam się tarczą.

Ziemia odepchnęła mnie od siebie, gdy maszyna uderzyła w nią ciężko. Jakiś budynek zaczął się rozpadać.

Dźwięki powoli wracały. Kakofonia nie do zrozumienia.

Zerwałam się na równe nogi i pobiegłam w stronę budynku Administracji. Jego złota pagoda błyszczała w świetle wybuchów i płomieni. Był już

niedaleko. Lewiatan z Szatanem wzbili się w powietrze. Mogłam pod nimi przebiec.

Przed schodami stał nieruchomy zbrojny oddział szklanych wojowników. Poprzedzało go kłębowisko ciał. To diabły i anioły kotłowały się ze sztucznymi Elżbietami i ociekającymi krwią potworami o ostrych kłach. Zobaczyłam Azazela, jak w pierwszej linii walki wywija mieczem i odrąbuje głowy przeciwnikom z taką łatwością, jakby uczestniczył w turnieju, a nie bitwie, w której mógł zginąć. Jego twarz spływała krwią, ale to nie była jego posoka, tylko jego ofiar.

Kleopatry nigdzie nie widziałam. Miałam nadzieję, że jest bezpieczna.

Podskoczyłam i tworząc anielskie skrzydła, wzbiłam się w powietrze. Przeleciałam nad walczącymi. Jednym machnięciem ręki zamieniłam oddział szklanych żołnierzy w potłuczone kawałki szkła. Opadłam na schody.

Wydawało się, że w ogólnym zamieszaniu nikt nie zauważył, że zdołałam się przedostać przez pole walki. Pchnęłam delikatnie drzwi. Nie stawiały oporu. Wsunęłam się do środka. Wnętrze Administracji nic się nie zmieniło, odkąd byłam tu ostatni raz. Bładoróżowe ściany ozdobione drewnianą boazerią, szarobiałe marmurowe posadzki przykryte puszystymi czerwonymi dywanami, w które zapadały się moje stopy, miękkie kanapy, kryształowe żyrandole, rośliny doniczkowe... Czas się tu zatrzymał. Miałam wrażenie, że zaraz podejdzie do mnie mały putto i zaproponuje herbatę.

Kiedy drzwi zamknęły się za mną, otoczyła mnie cisza. Nie docierały tutaj odgłosy krwawej walki.

Po cichu zaczęłam wchodzić po schodach. Wydawało mi się, że usłyszałam czyjś głos na piętrze. Na pewno były tam gabinety pracowników Administracji. Trzasnęły drzwi. Gdy znalazłam się na piętrze, byłam już pewna, że słyszę złowrogi śmiech Elżbiety. Na palcach zbliżyłam się do pokoju, z którego dobiegał.

Ciekawe, czy mogę być niewidzialna?

Tarcza zniknęła z mojej dłoni. Mocno objęłam miecz. Zobaczymy, czy rzeczywiście jest taka niezniszczalna. Poza tym Beleth powiedział, że jest niezniszczalna dla innych. Czy to oznacza, że sama może zrobić sobie krzywdę?

Moje buty zniknęły, potem nogi, tułów, ręce z mieczem, a następnie twarz. Byłam niewidzialna. Miałam w tym wprawę. Dawno temu, kiedy pierwszy raz mnie zamordowano, usiłowałam dowiedzieć się w ten sposób czegoś o moim mordercy.

Odsunęłam się od drzwi i szarpnęłam za klamkę. Uchyliły się z jęknięciem zawiasów. Rozmowa w pokoju umilkła.

- Zobacz, co to - padł rozkaz księżnej.

Nie strzeliła mocą w otwarte drzwi, tak jak podejrzewałam. Szybko wsunęłam się do środka, zanim tajemniczy ktoś zdołał dojść do drzwi. Miękki dywan doskonale tłumził moje kroki. Wyminęłam Kubę Rozpruwacza, który ostrożnie wystawił głowę i rozejrzał się po korytarzu.

W pokoju poza mną i Rozpruwaczem była tylko królowa i Beleth. Flakon po perfumach, w którym zamknięty był mój ifrit, stał na ciężkim biurku jakiegoś urzędnika. Królowa zasiadała w jego fotelu. Wstała zaniepokojona.

- Co to? - zadała pytanie swojemu słudze.

- Nikogo nie ma, pani. - Kuba zamknął drzwi.

W tej chwili zaatakowałam. Raz kozie śmierć! Może mi się uda? W końcu do odważnych świat należy i takie tam banialuki. Podbiegłam do królowej i wbiłam jej miecz prosto w klatkę piersiową. Ostrze weszło w jej ciało aż po rękojęść. Jęknęła i zawisła na mnie. Stałam się widzialna. Gorejący miecz płonął, krew kapłała na ziemię.

- Zobaczymy, jak jesteś niezniszczalna - warknęłam jej prosto w twarz.

Z jej bladej twarzy powoli znikwały kolory. Czerwone wargi posiniały. Jedynie oczy nie straciły nic z przepelniającej ich nienawiści.

- Ty głupia - wydusiła.

- NIE! - krzyknęli jednocześnie Rozpruwacz i Beleth.

W jednej chwili zdarzyło się kilka rzeczy. Kuba złapał mnie za ramiona i odciągnął do tyłu, a królowa z mieczem tkwiącym w piersi oparła się ciężko o biurko i wyciągnęła w moją stronę rękę.

- GIN! - ryknęła i posłała w moją stronę strumień mocy. Przyznaję szczerze, że ledwo zdążyłam stworzyć przed sobą lustro. Ledwo, ledwo. Zawsze miałam słaby refleks. Całe szczęście, tym razem mnie nie zawiódł.

Śmiercionośny atak królowej Tartaru odbił się od lustra, rozbijając je w drobny mak, i trafił prosto we władczynię. Elżbieta upadła bez życia na ziemię.

Mnie i Rozpruwacza rzuciło na drzwi. Kuba zamortyzował własnym ciałem uderzenie, więc nie odczułam go aż tak mocno. Siedzieliśmy teraz przerażeni na podłodze, wpatrując się w nieruchome ciało księżnej.

Niemożliwe. Udało mi się przy pierwszym podejściu? Kurde, niezła jestem!

- Beleth? - spojrzałam na niego.

Rozpierała mnie duma. Jednak jego nie. Jego mina wskazywała raczej na paniczne przerażenie.

- Co się...? - umilkłam, gdy podążyłam za jego wzrokiem tam, gdzie leżały martwe szczątki naszej przeciwniczki.

No właśnie. Martwe. To, co jest martwe, ma jedną subtelną właściwość. Nie wyciąga sobie nagle miecza z klatki piersiowej i nie wstaje.

Czym ona jest do cholery?! Potworem z japońskich horrorów?!

Czarne włosy Elżbiety wysypały się z misternego koka i opadły na jej bladą twarz. Wycelowała we mnie mieczem.

- Ty głupia dziewucho! Myślałaś, że możesz nas zabić?! Nas?! Jesteśmy niezniszczalni!!! - Zaśmiała się opętąco.

- Oj... - stać mnie było w tej chwili jedynie na taką ripostę. Mój wspaniały plan, który wydawał mi się objawieniem, miał niestety pewne niedociągnięcia.

- Myślałam, że księżna może się sama zabić - pełnym pretensji głosem zwróciłam się do Beletha.

- Nic takiego ci nie mówiłem - skwitował.

Dopiero teraz przyjrzałam mu się dokładnie. Miał na sobie granatowe szarawary, złoty pas i złote buty z zagiętymi noskami. Brakowało tylko turbana na jego włosach ułożonych w niedbałego irokeza, a całkiem upodobniłby się do dżinów z bajek. To Elżbieta kazała mu się tak ubrać. Z własnej woli nie włożyłby tych kamaszy. Prędzej poszedłby bosy.

- Jesteśmy zgubieni. - Pokręcił ponuro głową.

- Zwiąż ją! - księżna rozkazała Kubie. - Przyda nam się na później.

Królowa doprowadziła się do porządku, używając mocy, gdy Rozpruwacz krępował mi ręce i nogi. Tak naprawdę więzy nie miały sensu. W każdej chwili mogłam stąd zniknąć niezauważona. Chciałam jednak tu zostać, żeby wymyślić sposób na uwolnienie mojego Beletha i oczywiście zabicia tej zołzy.

Zostałam posadzona w kącie pokoju. Oparłam się plecami o ścianę. Ifrit podszedł do mnie.

- Wiki, nic ci nie jest? - zapytał i zagarnął niesforne pasmo moich włosów za ucho.

- Nic, całkiem dobrze sobie radziłam.

- Czemu ode mnie uciekłaś?

- Byłam głupia. Przestraszyłam się, że coś wybuchło w centrum, i tam pobiegłam jak ostatnia kretynka. Przepraszam cię, Beleth.

- Cicho! - syknęła wściekła królowa. - Dżinie, nie wolno ci z nią rozmawiać.

Ifrit nie wypowiedział już więcej ani słowa. Odsunął się ode mnie. Elżbieta natomiast nie mogła się nacieszyć spodziewanym zwycięstwem. Cały czas wyglądała przez okno i komentowała zadowolonym głosem postępy w podboju Nieba.

Teraz, gdy miała mnie jako dodatkową słuchaczkę, postanowiła wyjaśnić, co niebawem uczyni.

- Widzisz, głupia dziewczko. - Jej spódnica zaszeleściła, gdy usiadła na krześle. - Zdobędziemy wszystko, co chcemy. Władcy Nieba i Piekła będą korzyć głowy przed naszą potęgą. Chyba że wcześniej ich zabijemy. Jeszcze nie zdecydowaliśmy. A ciebie, głupia wieśniaczko, wykorzystamy do ożywczej kąpieli po wygranej walce. - Zaczęła się śmiać.

Zdegustowana tym, że nikt nie podziela jej radości, kiwnęła na Rozpruwacza. Kuba posłusznie zaczął chichotać. Nie był specjalnie radosny. Służba u księżnej nie należała chyba do najprzyjemniejszych.

Gończkowo zastanawiałam się, jak zniszczyć niezniszczalną Elżbietę. Przecież musi istnieć jakiś sposób.

Struchlałam na myśl, co się stanie, jak wypowie trzecie życzenie. Przecież to będzie katastrofa...

Nagle rozległo się ciche pukanie do drzwi. Wszyscy troje zamarliśmy. Księżna machnęła ręką na Rozpruwacza.

- Kto tam? - zapytał.

- Piotr, posłaniec - odpowiedział dobrze znany mi głos.

No pięknie, tylko jego tutaj brakowało. Zaprośmy jeszcze Lucka i Gabriela, to rozkręcimy imprezę.

- Królowa na pewno mnie pamięta. Byłem już u niej z poselstwem. Mam pewną propozycję.

- Powiedz mu, że jako poseł nie może użyć przeciwko nam żadnej broni - syknęła Elżbieta.

- Jako posłaniec musisz przekroczyć te progi bez broni i przysiąc, że nie wyrządzisz krzywdy naszej pani - powtórzył posłusznie Rozpruwacz.

- Przyrzekam.

Kuba otworzył drzwi. Piotrek, jak gdyby nigdy nic, wszedł do środka. Tak po prostu. Nie miał żadnej broni, był w dżinsach i podkoszulku. Wyglądał, jakby go coś zaatakowało i to kilka razy, ale ogólnie wyszedł z tego bez szwanku.

Czy on oszalał?

Chłopak spojrzał na mnie. „Porąbało cię?”, zapytałam go bezgłośnie. W odpowiedzi tylko się uśmiechnął.

- Mam propozycję, królowo. - Skłonił dwornie głowę.

A raczej wydawało mu się, że dwornie. W rzeczywistości wyglądało to jak parodia ukłonu. Kretyn! Co on tu robi?!

- Posiadam dokładnie takie same moce jak Wiktoria - wskazał tu na mnie.

- Proponuję ci, królowo, zamianę. Ja zostanę twoim zakładnikiem w zamian za jej wolność.

Księżna uśmiechnęła się pretensjonalnie.

- Twoja prośba nas bawi - oświadczyła. - Mamy inną propozycję. Wanny są duże. Oboje będziecie naszymi więźniami. Jeśli spróbujesz się uwolnić, zabijemy ją na miejscu.

Chłopak odrobinę się zmartwił, jednak nie tracił dobrego humoru. Posłusznie usiadł obok mnie. No idiota.

- Co ty tu robisz? - warknęłam do niego.

- Myślałem, że cię uratuję, ale się nie udało - odpowiedział szeptem.

- Przestaje mnie bawić ta twoja zabawa w rycerza. Świetnie dawałam sobie radę.

- Widzę właśnie. - Rzucił spojrzeniem na moje związane ręce.

- Dla twojej wiadomości, zdążyłam już ją dźgnąć nożem i trafić jej własnym śmiertelnym zaklęciem, więc przestań się wymądrzać.

- CICHO! - ryknęła władczyni. - Każ im zamilknąć. Męczą nas.

- Cicho, bo pożałujecie - ostrzegł nas Kuba Rozpruwacz.

Elżbieta znowu stanęła przy oknie. Jej piękna suknia niestety przesłaniała nam cały widok. Na szczęście niczym komentator sportowy z prawdziwego zdarzenia dzieliła się z nami swoimi odczuciami i obserwacjami.

- Razem z Gabrielem mamy plan - szepnął Piotr. Księżna odwróciła się do nas z niesmakiem.

- Mieli zamilknąć - zauważyła.

Rozpruwacz szybko podszedł do Piotra i zdzielił go na odlew w twarz. Chłopak splunął krwią z rozciętej wargi.

- Będziemy najpotężniejsze! - pełen emfazy głos Elżbiety drżał z emocji.

Kolejne oddziały diabłów i aniołów padały w starciu ze sztucznymi kopiami księżnej, które wytwarzała w zawrotnym tempie.

- Nie będziecie najpotężniejsze - zaprzeczył Piotrek. Władczyni odwróciła się gwałtownie w jego stronę.

- Coś ty powiedział? - wycodziła.

- Że nie będziesz najpotężniejsza, królowo. Istnieje ktoś silniejszy. Mogę zdradzić ci kto, ale nie za darmo.

Wiedźma zgięła i rozprostowała dłonie, zupełnie jakby siłą powstrzymywała chęć rzucenia się Piotrkowi do oczu z pazurami.

- Czego chcesz?

- Gwarancji nietykalności na twym dworze. - Wzruszył ramionami i wstał. - Obiecuj, że mnie nie skrzywdzisz.

Nie wiedziałam, co się dzieje. Mój dobroduszny Piotruś właśnie targował się z królową o uratowanie swojej głowy?

A co z moją?

Cholerna Monika. Nie ma jej tu, a i tak mi bruździ...

Piotr stał dumnie wyprostowany naprzeciwko złej królowej. Nic w jego mimice, postawie czy tonie głosu nie wskazywało na to, że się jej obawia.

Zerknęliśmy po sobie z Belethem. Działo się coś dziwnego.

Nie poznawałam Piotrka. Jakim cudem aż tak się zmienił? To naprawdę wina moja i diabłów? Przecież był taki dobroduszny, trochę ciapowaty, uroczy i szczery. Szczerość mu została, co odczułam podczas naszej rozmowy w budapeszteńskim Parlamencie, ale reszta? Gdzie się podziały ciapowatość i dobroduszość? Zgodzę się jeszcze, że urok osobisty wiecznego chłopca też nie zginie. Niemniej spora część jego zachowań uległa zmianie. Tylko czy koniecznie na gorsze?

Co prawda, martwiło mnie, że skóra na nim zgrubiała, ale też się z tego cieszyłam. Może zniszczy sobie trochę życia, uganiając się za panienkami pokroju Moniki, ale na pewno nikt nie zdoła go skrzywdzić. Piotr dorósł tak samo jak ja.

- Obiecuję - nieszczerą odpowiedź księżnej zawisła w powietrzu.

Piotr wskazał na Beletha.

- On jest potężniejszy od ciebie, pani.

- Co? - zapytaliśmy wszyscy naraz, czyli ja, Beleth i Elżbieta. Kuba Rozpruwacz roztropnie postanowił się nie wtrącać.

- Co ty insynuujesz? - Ifrit zerwał się na równe nogi i stanął pomiędzy posłem a królową.

Mierzyli się przez chwilę wzrokiem. Piotrek był niższy od Beletha. Musiał zadrzeć do góry głowę, by móc spojrzeć mu prosto w oczy. Dwóch mężczyzn mojego życia po raz kolejny usiłowało się pozabijać. Ja do tego przywykłam, ale Elżbietę to zaniepokoiło.

- Spokój! - rozkazała. - Dżinie, odstęp od posła. A ty wyjaśnij nam swe słowa.

Beleth, złorzecząc pod nosem, odsunął się pod ścianę. Stanął naprzeciwko mnie. W jego złotych oczach pojawiły się zielone płomienie. Także nogawki jego szarawarów zaczął podszczypywać ogień. Nikt tego nie zauważył. W końcu nie było dymu, nic się nie paliło, więc nie było zapachu spalenizny.

- Wasza Wysokość, królowo zaświatów - Piotrek usiłował podlizać się, jak się tylko dało. - Zostało ci ostatnie życzenie. Bądź rozważna i go nie zmarnuj. Gdy tylko je wypowiesz, dżin ucieknie i możesz go już nie odzyskać.

- Zdajemy sobie z tego sprawę - mruknęła.

Zorientowałam się, że nie korzystała z Kuby jako pośrednika w rozmowie. Chyba naprawdę potraktowała Piotrusia poważnie.

- Kto potrafił dać ci moc? Kto uczynił cię niezniszczalną na swe podobieństwo? - chłopak podpuszczał władczynię.

Elżbieta zbliżyła się do niego, zmysłowo poruszając biodrami. Widziałam po minie, że jej się podoba. Już wiem, dlaczego Kleopatra jej nie lubi. Ta wygłodniała baba rzuca się na każdego faceta w promieniu ośmiuset metrów. Rozumiem, że w Tartarze brakuje przystojniaków, ale...

O cholera! Gdzie jest Achilles?!

Gabinet nie był duży. Zdążyłam już przestudiować wzrokiem każdy jego metr kwadratowy. Olbrzym nie miał szans, by się gdzieś tu przede mną skryć. Porwała go razem z Belethem, to było pewne. Tylko co mu, zdzira, zrobiła?!

- Dżin uczynił nas potężnymi. - Księżna oblizwała krwiste usta.

- I dżin zawsze pozostanie od ciebie silniejszy - skwitował Piotr.

- Co radzisz? Zniszczyć go?

- Broń Boże. - Zaśmiał się.

Doszukując się zmian w jego zachowaniu, uznałam, że zaśmiał się sztucznie. Belethowi natomiast, który nie skupiał się na takich detalach, ze złości zaczął drzeć mięsień na policzku.

- Powinnaś zażądać jego mocy.

- Co ty robisz? - ifrit nie wytrzymał. Rzucił się na chłopaka. Chwycił go za gardło i uniósł jakieś pół metra do góry. Piotrek złapał się go kurczowo za przedramiona, ale nie mógł się uwolnić. Jego twarz poczerwieniała, wierzgał bezsilnie nogami, zaczął się dusić.

- NIE! - krzyknęłam.

- Rozpruwacz! - warknęła księżna, odskakując do tyłu. Beleth odwrócił się do mnie. Jego oczy żarzyły się intensywną zielenią.

- Jeszcze go bronisz? - zapytał z wściekłością.

No dobra, mogę się nie odzywać...

Kuba dźgnął nożem ifrita w okolice lewej nerki. Mój ukochany zgiął się w pół i wypuścił z uścisku śmiertelnika, który zaczynał powoli sinieć. Usunęłam więzy i doskoczyłam do Beletha. Nikt się nawet nie zorientował, że sama się uwolniłam. Rana na plecach ifrita zniknęła w mgnieniu oka.

- Już dobrze - mruknął.

Wow, szybko się regeneruje.

- Mów! - księżna rozkazała Piotrowi.

Chłopak oparł się ciężko o biurko, na którym stał flakon perfum - więzienie ifrita. Zachrypniętym głosem powiedział:

- Sugeruję, byś rozkazała dżinowi dać ci moce dżina. Gdy staniesz się tak potężna jak on, nic ci nie zagrozi. A z całą pewnością nie będzie dla ciebie niebezpieczna zemsta jego samego. Wątpię, by kiedykolwiek wybaczył ci, że go zniewoliłaś. Za to sama z jego mocami będziesz mogła wszystko i żaden dżin nigdy nie będzie ci potrzebny, królowo.

Piotrek cały czas masował gardło. Głos kilkakrotnie mu się załamał, gdy przemawiał.

- Nie wiem, czy potrzebne są nam aż tak silne moce. - Elżbieta nie była przekonana.

- Jak uważasz, pani. - Chłopak pochylił głowę i zakaszał. - Pamiętaj tylko, że zawsze będzie ktoś potężniejszy od ciebie.

- A do czego mogłybyśmy wykorzystać jeszcze większą moc? - zaczęła się zastanawiać.

Podeszła długim krokiem do okna i wyjrzała. Na dole wciąż trwała jatka.

- Zgubisz nas, Piotrze - warknął ifrit.

- Nie wiem, królowo. Może chciałabyś, żeby ktoś pomógł podjąć ci tę decyzję. Może ktoś z twojej rodziny trafił do zaświatów. Sprowadź ich, niech z tobą pomówią - zaproponował chłopak.

- Nasza rodzina...

Nie wierzę! Czyżby wreszcie do niej dotarło, że ją ma?

- Nie chcemy się ich radzić. - Machnęła lekceważąco ręką. - Ale chętnie ich zobaczymy. Niech widzą naszą chwałę. Jak ich sprowadzić?

- Możesz zrobić to sama. Pomyśl o nich i wypowiedz ich imiona.

- Nasz papa Jerzy Batory i matka Anna z Batorych. Papa był pastorem. - Zaśmiała się złośliwie. - Powinien być niedaleko. To jego zaświaty.

Pod jej stopami pojawił się stos szarych kamieni. Zamarłe na wieczność twarze wykrzywione były w pełnym przerażenia krzyku.

Elżbieta poszarzała i upodobniła się do zabitych dusz pod jej stopami.

- Papa, mama - wydukała. - To niemożliwe.

- Przykro mi - Piotrkowi nie udało się zabarwić głosu stosowną emocją. - Najwyraźniej ich zniszczyłaś.

Królowa ukucnęła i dotknęła kamieni. - Ale jak...?

- Jest sposób, by ich uratować. Możesz przywrócić rodziców do życia - mamił ją chłopak. - Jeśli posiadasz moce dzina, nie będzie dla ciebie rzeczy niemożliwych.

Pobladła władczyni zerwała się na równe nogi i wymierzyła swój długi wypielęgnowany paznokieć prosto w Beletha.

- Chcę mieć twoje moce. Natychmiast! Ifrit uśmiechnął się.

- Spełniam twoje ostatnie życzenie. Od teraz stajesz się dżinem. Takim jak ja.

W jednej chwili zdarzyło się kilka rzeczy. Korek z więzienia Beletha wyskoczył z głośnym stukiem, a jego samego pochłonęły płomienie, Piotr zaś złapał flakon i wrzasnął:

- Zamykam cię w butelce, dżinie! Będziesz na moje rozkazy!

Nie wycelował go jednak w ifrita.

Z głośnym sykiem, przy akompaniamencie jej przeraźliwego wrzasku, księżną zassało do butelczki. Gdy tylko cała znikła, Piotrek szybko zatknął mały, rzeźbiony w kości słoniowej korek.

Czegoś chyba nie ogarnęłam.

Płomienie otaczające Beletha zniknęły. Ze śmiechem oparł się o ścianę. Piotrek, wciąż nie wypuszczając z uścisku flakonu perfum, położył się na biurku. Z ulicy dobiegły nas radosne wiwaty.

Nadal nic nie ogarniałam.

- Wiki, disnejowskiego *Aladyna* nie oglądałaś? - zakpił ze mnie Piotruś. - Elżbieta jest teraz jak Dżafar!

- Czyli to już koniec? - wciąż nic nie rozumiałam.

Beleth ukucnął obok mnie i mocno mnie do siebie przytulił.

- Już koniec. Pokonaliśmy ją. O ile nikt jej nigdy nie wypuści z tej butelki, to mamy spokój na wieczność.

Za naszymi plecami ktoś otworzył drzwi. To Kuba Rozpruwacz uciekał przed nami z przerażeniem. Zdziwi się, kiedy opuści budynek i stanie twarzą w twarz z Lewiatanem. Najwyraźniej wszystko, co stworzyła Elżbieta, przestało istnieć, gdy ona sama zniknęła. Tylko patrzeć, a zjawią się tu Lucek i Gabriel.

- Nieźle, Beleth. - Piotrek podniósł się i potarł gardło. - Chociaż myślałem, że mnie tak nie załatwisz...

- Nie mogłem się powstrzymać. - Ifrit uśmiechnął się złośliwie. - Sam się prosiłeś.

- Zaraz... to wy byliście w zмовie? - nie byłam w stanie w to uwierzyć.

- Oczywiście, że tak. - Beleth pogłaskał mnie po głowie jak małe dziecko.

- Musieliśmy odegrać małe przedstawienie.

- O, człowieku... myślałem, że nie dam rady. - Piotrek kurczowo zaciskał ręce na flakonie. Podniósł go do góry. Patrząc pod światło, wydawało się, jakby był wypełniony szarawym gazem. Miałam wrażenie, że przez opary widać wykrzywioną twarz Elżbiety i jej dłonie zagięte w szpony.

- Nie zawsze byłeś konsekwentny - przytaknął Beleth.

- A czemu nie spiskowaliście ze mną? - krzyknęłam. Ich miny powiedziały mi wszystko.

Skandal. Że niby ja nie umiem utrzymać tajemnicy, tak?

Pomimo ogólnie panującej radości nastrój był podniosły. Po pokonaniu Elżbiety nadszedł czas na przeliczenie strat. Okazało się, że jest ich więcej, niż wszyscy podejrzewali. Zginęło wiele dusz, życie wieczne stracił anioł Samael, Barachiel, Symiel i Jofiel. Szeregi diabłów także się przerzedziły. Zmarł Murmur i Astaroth.

Na szczęście nic się nie stało moim przyjaciółom. Kleopatra i Azazel skąpali się we krwi swych wrogów, a nie własnej. Podobno królowej Egiptu wielce się to spodobało. Pierwszy raz miała okazję stanąć w pierwszym szeregu bitwy. Zwykle oglądała potyczki z lektyki stojącej w bezpiecznej odległości.

Po zamknięciu księżnej we flakonie do budynku Administracji wpadł Szatan i Gabriel. O ile Lucyfer wydawał mi się wspaniały w swoim bojowym stroju z widłami i rogami, o tyle na widok Archanioła ugięły się pode mną nogi. Miał na sobie pełną płytową zbroję. Hełm z opuszczoną przyłbicą trzymał pod pachą. W dłoni dźmierzył olbrzymi płonący miecz, z którego jeszcze skapywała krew. Brakowało tylko aureoli nad jego głową. Wyglądał tak, jak w moich wyobrażeniach wyglądał Archanioł. Nie miał na sobie zwykłej szaty i skarpetek. Był prawdziwym władcą.

Lucyfer wepchnął widły Belethowi i podszedł szybkim krokiem do buteleczki. Wziął ją od Piotra.

- Cudowna - westchnął i uniósł ją tak jak my pod światło.

Wirujący gaz na chwilę przybrał kształt twarzy Elżbiety, by potem się rozwiać.

- Nie jestem pewien, czy ten artefakt powinien znaleźć się w Piekło. - Gabriel zaglądał mu przez ramię.

- Przecież go nie wykorzystam - zachnął się Lucyfer. - Postawię go na półce w moim gabinecie. Będzie doskonałym elementem mojej kolekcji. Jednym z najcenniejszych.

- Tak jak moja aureola? - Gabriel nie pozwolił sobie na złość w głosie, ale pogardy nie był w stanie ukryć.

- A żebyś zgadł, bracie. - Lucyfer napawał się zwycięstwem.

Staliśmy w milczeniu, czekając na ich decyzję, co z nami dalej będzie. Piotr mógł znowu wrócić na Ziemię do swojego życia. Ale co będzie ze mną i z Belethem? Czy znajdzie się dla nas gdzieś miejsce?

- Dzisiaj o siedemnastej spotkamy się wszyscy w sali przesłuchań i sądów w Niebie - oświadczył Gabriel. - Porozmawiamy tam na temat tego, co się ostatnio wydarzyło. Proszę, byście przyszli.

Nie spodobało mi się miejsce spotkania. Archanioł chyba to zauważył, bo dodał:

- Nie będzie żadnego sądu. Spotykamy się tam, ponieważ to miejsce nie zostało zniszczone. Nie zdążymy dzisiaj odbudować Edenii w całości.

- W Piekło nie możemy się zebrać - wtrącił Szatan. - Nasza sala rozpraw została całkowicie zniszczona. A w ogóle może spotkamy się o szesnastej?

- A co, nie odpowiada ci siedemnasta? - Gabriel nie miał ochoty na dyskusje.

- Aż dwóch godzin potrzeba ci na doprowadzenie się do porządku? - zakpił diabeł.

- Mnie nie, ale ty na pewno będziesz tyle czasu ustawiał nowe trofeum na półce. Zatem do zobaczenia za dwie godziny.

Archanioł odwrócił się do nas. Jego połączona zbroja zaślniła, gdy padło na nią światło koło drzwi. Lucyfer przytulił flakon do piersi.

- Do zobaczenia - powtórzył.

Zabrał swoje widły i także zniknął.

Zostaliśmy we trójkę w pustym gabinecie. Opadłam ciężko na krzesło. Na zewnątrz nie było już zamieszania. Wszyscy się rozeszli. Małe putta zbierały szczątki kamiennych dusz. Odwróciłam się do połamanych rzeźb przedstawiających rodziców Elżbiety. Nadal leżały na środku dywanu.

- Naprawdę ich zabiła? - zapytałam.

- Nie. - Piotrek pokręcił głową i stworzył sobie krzesło. - To był podstęp Gabriela. Jej rodzice wcale nie trafili do Nieba. Są w Piekło.

- Ale jej ojciec był pastorem - zaprotestowałam.

- Charakter musiała po kimś odziedziczyć - mruknął Beleth.

Szarawary i pantofle z noskami wywiniętymi do góry zniknęły. Zastąpiły je czarne dżinsy i czarna koszula rozchełstana pod szyją oraz normalne buty. Ifrit w odróżnieniu od Piotra stworzył sobie fotel.

- Koniec z image'em dzina? - Uśmiechnęłam się.

- Mam go dość na bardzo długi czas - miał zmęczony głos.

Piotr odetchnął z ulgą.

- Dobrze, że to już koniec, nie? - W przeciwieństwie do nas był pełen pozytywnej energii.

Postanowiłam z nim porozmawiać. Muszę kiedyś rozwiązać jego nadzieje. Ten czas właśnie nadszedł.

- Piotrek, dziękuję ci, że przyszedłeś...

Beleth zerknął na mnie. Jego spokojna twarz momentalnie stężała. Zupełnie jakby się obawiał, że zaraz usłyszy coś, co na pewno mu się nie spodoba.

- Wiem, że zrobiłeś to dla mnie - kontynuowałam. - Ale ja teraz jestem z Belethem i nic tego nie zmieni. Nie musiałeś narażać dla mnie życia.

Chłopak zaśmiał się pod nosem. Wszechwiedzący uśmiech, który kiedyś tak ubóstwiałam, pojawił się na jego przystojnej twarzy.

- Wiki, pomagałem w starciu z Elżbietą nie całkiem z twojego powodu - oznajmił.

O mało nie spadłam z krzesła.

- Przyznaję, że gdy umarłaś, byłem gotów na wiele, by cię ocalić. Potem jednak odbyłem długą rozmowę z Kleopatram. Ona otworzyła mi oczy na wiele spraw. Wiem, że między nami wszystko jest skończone, ale nadal jesteś moją przyjaciółką. Zależy mi na tym, żeby nic ci się nie stało i żebyś nie robiła głupot. W rebelii wziąłem udział chyba z patriotycznych pobudek. A szczerze mówiąc, podobało mi się to. Poza tym Archanioł Gabriel obiecał mi posadę anioła, kiedy już umrę. A w zamian za ochronę nad tobą Kleopatra obiecała mi, że powstrzyma Szatana, który także chciał mnie zwerbować. Poza tym za pomocą swojej magii sprawiła, że moja miłość do ciebie całkiem znikła.

On sobie jaja robi?

- Serio? - wydusiłam.

- Wiki, jesteś stworzona do tego, żeby cię kochać. Jednak ja już nie chcę. Bez wzajemności to nie przynosi żadnych profitów. - Jego uśmiech już nie był kpiący, stał się ciepły.

Już ja sobie z Kleopatram porozmawiam! Chociaż z drugiej strony... byliśmy teraz z Piotrem tylko przyjaciółmi. Nie mieliśmy do siebie żalu. A w każdym razie on nie miał. Mnie zrobiło się odrobinę przykro. Ubodło mnie to, że już nie chciał mnie kochać. Kurczę, samolubna jestem.

- Czyli dasz spokój Wiktorii? - Beleth wołał się upewnić. - Tak po prostu? Koniec z łzawymi historyjkami o wielkiej śmiertelnej miłości?

- Kiedy ja z nią byłem, ty nie chciałeś odpuścić - zauważył Piotrek. - Ja odpuszczam. Hm, czyżby to znaczyło, że jestem od ciebie doroślejszy? Od diabła, którego wiek można liczyć w setkach tysięcy lat?

Myślałam, że ifrit impulsywnie zacznie się z nim kłócić. Jednak znowu zostałam zaskoczona. Beleth wstał i uściśnął Piotrowi dłoń.

- Z żalem muszę to przyznać, ale chyba jesteś lepszy ode mnie - stwierdził z uśmiechem.

Ja wciąż siedziałam naburmuszona na krześle. Niepotrzebnie się odzywałam. Zrobiłam z siebie idiotkę.

- Niemniej - kontynuował Beleth - absolutnie mi to nie przeszkadza, bo to ja wygrałem Wiktorię! Starcie z tobą było pasjonującym przeżyciem. Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś się spotkamy. Przykro mi, że ci się nie udało. A byłeś tak blisko. Pomyśleć, że zabrakło ci tylko trochę samozaparcia.

Uśmiech zniknął z twarzy Piotra. Nagle przestał mieć ochotę ścisnąć dłoń diabła. Widziałam po jego minie, że nie odczuwał już satysfakcji. Beleth mu ją bardzo szybko odebrał.

Tymczasowy rozejm skończył się tak szybko, jak się zaczął.

- No cóż, tak bywa, przyjacielu. - Piotrek poklepał mojego ifrita po plecach. - W każdym razie wiedz, że bardzo ci współczuję utraty Łaski Boskiej. Słyszałem, że to straszna rzecz. Podobno będziesz teraz wygnaćcem?

- A tak. Wreszcie nikt nie będzie mi rozkazywał i nie będę musiał nigdzie pracować. Ale powiedz mi jeszcze, ta twoja szczerza rozmowa z Kleopatram, na

czym dokładnie polegała? Naprawdę sprawiła, że przestałeś kochać najwspanialszą śmiertelniczkę na świecie, czy po prostu ta cwana żmija dała ci instrukcje, co powinieneś nam powiedzieć, żeby Wiki rzuciła ci się ze łzami w oczach na szyję?

- Sądzę, że w tym pokoju to ty jesteś głównym krętaczem i kłamcą...

Przestałam ich słuchać. Znowu zachowywali się jak dzieci. Już się przyzwyczaiłam, że tak alergicznie na siebie reagują. Nieważne, kto mnie nagle zacznie kochać, a kto przestanie. Ważne, że można się z tego powodu pokłócić.

O ile ktokolwiek rzeczywiście kiedyś przestał... Hm, muszę porozmawiać z Kleopatry. Szybko.

Sala rozpraw wyglądała tak, jak ją zapamiętałam. Co prawda, ostatni raz byłam tu kilka tygodni temu, więc jakim cudem miałyby się zmienić.

Wysokie sklepienie o kształcie czaszy wspierało się na siedmiu grubych marmurowych kolumnach. Fioletowe żyłki znaczyły różowy kamień. Wysokie na kilka pięter okna wpuszczały bardzo dużo światła. Trybuny dla gości oraz nasze miejsca były dobrze oświetlone. Tym razem nie wyróżniono nas krzesłami na środku onieśmielającej wielkością sali. Siedzieliśmy w pierwszym rzędzie ławek naprzeciwko dwóch tronów. Jednego czarnego, a drugiego złotego.

Tym razem obaj władcy zaświatów się spóźniali.

Mali pracownicy Niebios w swoich białych pieluchomajtkach biegali podekscytowani pomiędzy przybyłymi gośćmi i rozdawali herbatę. Wszędzie słychać było ich rozemocjonowane głosy.

Wszystkie miejsca siedzące były zajęte przez anioły i diabły. Po raz pierwszy jednak nie usiadły one naprzeciwko siebie, a jako towarzysze broni pomieszały się zjednoczone niedawnymi przeżyciami. Okazało się to zresztą nie najlepszym pomysłem, ponieważ putta musiały kilkakrotnie rozdzielać walczących, którzy pokłócili się o jakieś drobiazgi, na przykład o dawno niemodne noszenie skarpetek do sandałów oraz o smród siarki, którego nie da się doprać z białych szat.

Ja siedziałam pomiędzy Piotrem i Belethem. Tak na wszelki wypadek, żeby nikt nie musiał ich rozdzielać. Putta pomimo swoich małych rozmiarów robiły to dość brutalnie, używając metalowych pałek.

Na uroczystość został także zaproszony Achilles. Znalazł się w końcu związany w piwnicy Administracji. Elżbieta zostawiła go sobie na później, żeby w spokoju ukarać za niesubordynację. Na szczęście nie zdążyła tego zrobić.

Zadarłam głowę do góry, by po raz pierwszy dokładnie przyjrzeć się kolorowym freskom na suficie. Wyglądały, jakby wyszły spod ręki Michała Anioła. Piękne.

Moją uwagę od malowideł odwróciły drzwi. W tym samym momencie pojawiły się czarne i złote wrota. Archanioł i Szatan, odświeżeni po bitwie, różnym krokiem wkroczyli do sali. Lucyfer miał na nadgarstku złotą bransoletkę. Gabriel spoglądał na nią raz po raz. Swoimi strojami nie przypominali już dumnych władców zaświatów. Złotą zbroję zastąpiła anielska szata i sandały, a ozdobny kirys - biała koszula z żabotem i spodnie do konnej jazdy.

Gdy zasiedli na tronach, w sali w jednej chwili zapanowała cisza. Nawet Azazel i Kleopatra, klóścący się od dłuższego czasu o niezdrowe zainteresowanie diabła kobietami pokroju Elżbiety, ucichli.

- Byliśmy dzisiaj uczestnikami nietypowych wydarzeń - gromkim głosem odezwał się kasztanowłosy Gabriel. - Nie zdarzyło się jeszcze, by mieszkańcy zaświatów połączyli swe siły. Wszyscy wiemy, że niebawem staniemy przeciwko sobie w dniu Apokalipsy. Mieliśmy więc okazję przekonać się, na co nas wzajemnie stać.

- To ja tylko wtrącę. - Szatan podniósł rękę. - Przypominam, że już od kilkudziesięciu lat trwają eliminacje na stanowiska Czterech Jeźdźców Apokalipsy. Wiem, że jest jeszcze mnóstwo czasu, jednak wolałbym, żeby zgłoszenia wreszcie pojawiły się na moim biurku. Nie lubię załatwiać takich rzeczy na ostatnią chwilę. Jeśli ktoś jest chętny, proszę zwracać się do mojej sekretarki po odpowiednie formularze. Dziękuję.

Gabriel kiwał z niedowierzaniem głową.

- Teraz? Teraz prywatnie? - wymruczał pod nosem, a potem ponownie zabrał głos: - O Apokalipsie nie będę już więcej mówił. O siedmiu pieczęciach, siedmiu trąbach i siedmiu plagach wiecie zapewne doskonale.

- Dlaczego nie sześcioro? - zaczął głośno zastanawiać się Szatan. - Przecież to podobno my wszystko inicjujemy.

- Bo tak jest napisane. - Archanioł nie wytrzymał i gruchnął pięścią o podłokietnik tronu. - Byliśmy dzisiaj świadkami złych wydarzeń, które nie powinny mieć miejsca. Proponuję minutę ciszy na cichą modlitwę za poległych.

Wszyscy wstali i pochylili głowy w skupieniu. Nie byłam pewna, czy modlitwy wymagał protokół. Wydawało mi się, że chwili ciszy potrzebował głównie Gabriel. Gdy ponownie usiedliśmy, odezwał się:

- Zdarzenia te nie miałyby miejsca, gdyby nie pewna straszna pomyłka. Wiktorio, proszę cię, byś wstała.

Zmieszana podniosłam się. Oczy wszystkich zwróciły się na mnie.

- Razem z Szatanem pragniemy z całego serca przeprosić cię za to, co się stało. Po raz kolejny zostałam wplątana w sprawy wagi najwyższej, czego świadkiem żaden człowiek być nie powinien. Przepraszamy cię.

- Nie gniewam się - wymamrotałam.

Czułam się dziwnie. Po raz pierwszy nikt nie miał do mnie żadnych pretensji o to, co się stało.

- Niestety nie możemy znów cofnąć dla ciebie czasu - powiedział Szatan.

- Nie zrobimy tego nie dlatego, że mamy taki kaprys. Po prostu byłoby to zbyt skomplikowane w obecnej sytuacji.

- Wciąż nie naprawiliśmy wszystkich szkód, które zaszły podczas poprzedniego cofnięcia - przytaknął Archanioł. - Wiąże się to z ogromnymi zmianami. Ludzi, którzy umarli, należy cofnąć, a ludzi, którzy się urodzili... No cóż... z nimi jest jeszcze większy problem. Mamy nadzieję, że to zrozumiesz.

- Czyli nie będę żyła? - wolałam się upewnić.

- Nie.

- To gdzie będę? W Niebie czy w Piekłach?

Władcy spojrzeli na siebie zmieszani. Serce zamarło mi w piersi. Nie, oni nie mogą mi tego zrobić.

- Wiktorio - miękki głos Gabriela wcale mnie nie uspokajał. - Twoje miejsce jest w Tartarze.

- NIE! - Beleth zerwał się na równe nogi.

- Nie możecie tak postąpić! - Piotrek nie chciał być gorszy.

- Spokojnie. - Szatan uniósł do góry dłonie. - Wiemy, że umieszczenie jej tam po tym wszystkim, co przeszła, byłoby niemoralne. Z powrotem do Tartaru trafi niejaki Kuba Rozpruwacz, którego wczoraj pojaliśmy, gdy usiłował uciec z budynku Administracji. A ty...

- Wiktorio, teraz jesteś potępioną duszą - kontynuował jego słowa Archanioł. - Mimo to postanowiliśmy zrobić dla ciebie wyjątek. Jako potępiona nie masz żadnych praw podobnie jak ifrit u twego boku. Postanowiliśmy wspólnie, że nie będziemy zamykać przed wami żadnych zaświatów. Dajemy wam możliwość przebywania w nich przez wieczność. Belecie, nie będziesz skazany na wieczne wygnanie.

- To bardzo wielkoduszne z waszej strony. - Ifrit pokłonił się. - Dziękuję w imieniu swoim i Wiktorii.

- Wydarzyło się ostatnio zbyt wiele złych rzeczy. Możliwe, że i my nie pozostajemy bez winy. Możliwe, że gdybyśmy wcześniej zareagowali na śmierć Wiktorii, gdybyśmy nie byli tak dumni, nic by się nie stało. Tego jednak nie wiemy i nie dowiemy się nigdy. Wiktorio, jeszcze raz przepraszam, że nie oddamy ci twojego życia.

Pokiwałam głową. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Stało się. Umarłam. Za pierwszym razem nie potrafiłam się z tym pogodzić. Byłam za bardzo zżyta ze wszystkim, co ziemskie. Jednak teraz nie czułam już tego żalu. Wiedziałam, że będę tęsknić za bratem Markiem, najlepszą przyjaciółką Zużą i normalnym życiem. To było nieuniknione. Jednak tutaj miałam Beletha, rodziców. Wieczne życie nie było takie złe.

- Możecie usiąść.

Przez salę przebiegł szmer rozmów. Umilkły, gdy Lucyfer wstał.

- Teraz chcielibyśmy ogłosić, że kilkoro z nas wykazało się niezwykłą odwagą i męstwem. Pragniemy odznaczyć orderami następujące osoby: anioła Muriela, najdoskonalszego łucznika Arkadii, oraz... - widać było, że ciężko przechodzi mu to przez gardło - ... diabła Azazela, który uratował mnie, Szatana od niechybnej śmierci. Podejdźcie tu.

Szczęka mi opadła. Azazel z wysoko uniesionym podbródkiem pomaszerował do Lucyfera. Nie mogłam w to uwierzyć. Naprawdę aż tak się narażał podczas bitwy? Myślałam, że w trosce o własne zdrowie ukrył się gdzieś, zabił paru słabszych przeciwników, a większość potyczki przeczekał.

- Szczwany lis - mruknął z uśmiechem Beleth.

- Co masz na myśli? - szepnęłam.

- Teraz nikt nie będzie mógł mu już niczego odmówić. W końcu własną piersią bronił Lucka. To bohater wojenny.

Parsknęłam śmiechem. Jeśli jeszcze dostanie tytuł książęcy lub królewski i zacznie nosić koronę, to kompletnie nie da się z nim wytrzymać.

Gdy dzielni wojownicy wrócili na miejsca (Kleo z dumą zaczęła oglądać order, który dostał jej kochanek, i przypięła go sobie do sukni), Gabriel odezwał się:

- Piotrze, proszę cię, byś powstał. - Gdy chłopak to uczynił, Archanioł kontynuował: - Jesteśmy ci wdzięczni za pomoc. Gdyby nie ty, księżna Elżbieta mogłaby nas pokonać.

Mogłaby? Rozniosłaby ich... nie oszukujmy się. Wszyscy byli wobec niej bezsilni. Niemniej władcy na pewno tego nie przyznają. Nie może być, żeby śmiertelnik okazał się od nich lepszy.

- W podzięce przysięgam, że po śmierci trafisz do Nieba i otrzymasz stanowisko anioła.

- Dziękuję. - Chłopak uśmiechnął się i usiadł. Stuknęłam go łokciem między żebra.

- Nieźle, teraz możesz grzeszyć, ile dusza zapagnie, a i tak dostaniesz nagrodę - szepnęłam.

- W rzeczy samej.

Uroczystość powoli zaczęła wszystkich nużyć, jednak wciąż została przed nami jej najważniejsza i najsmutniejsza część.

- Odczytam teraz apel poległych - oświadczył Szatan. - Niech ta chwila będzie przypomnieniem ich męstwa i oddania, a długa lista zmarłych niech będzie przestrożą, co może się zdarzyć, jeśli nasze własne cele będą dla nas ważniejsze od dobra ogółu. Anioł Samael, anioł Barachiel, anioł Symiel, anioł Jofiel, diabeł Murmur, diabeł Astaroth...

Następnie przeszedł do wyczytywania dziesiątek imion i nazwisk śmiertelników, którzy przypłacili życiem naszą głupotę. Moją i Beletha. Myśleliśmy, że będziemy bezkarni.

Było ich tak wielu. Ponury głos Lucyfera ucichł. Skończył.

Po moim policzku potoczyła się samotna łza.

Nagle fresk na suficie kopuły zajarzył się jaskrawym światłem. Wszyscy zadarli do góry głowy. Część osób zerwała się na równe nogi.

- Co się dzieje?! - ktoś krzyknął.

Słup światła padł na środek sali. Był tak oślepiająco jasny, że musieliśmy pozasłaniać oczy. Ktoś się przewrócił.

Zniknął tak niespodziewanie, jak się pojawił.

Zamrugałam. Co to było? Niemożliwe, żeby Elżbieta się uwolniła, prawda? Kiedy odzyskałam zdolność widzenia, zamarłam. Na środku, pomiędzy publicznością a władcami zaświatów stała duża grupa ludzi, aniołów i diabłów.

Zaskoczony Murmur drapał się po głowie brudną ręką. Anioł Samael, pierwsza ofiara Elżbiety, zaczął się opętańczo śmiać.

- Żyjemy! - krzyknął uradowany. - Bóg pozwolił nam wrócić! Jego miłość nas ożywiła!

Szału, który zapanował w sali, nie da się opisać. Wszyscy rzucili się ze swoich miejsc, by uściskać powstałych z martwych. Ja przytuliłam się do Beletha. Wszystko dobrze się skończyło! Musiało!

To był koniec uroczystości. Nikt już nie chciał słuchać smutnych przemówień, nikt nie chciał siedzieć na niewygodnych ławkach. Tłum wybiegł na ulice Edenii świętować wielkie zwycięstwo.

W pustej sali została tylko ja, Beleth, Piotr, Szatan i Archanioł Gabriel.

Władcy rozmawiali ze sobą przyciszonymi głosami i kleпали się po ramionach, nie zwracając na nas uwagi. Piotrek odwrócił się do nas:

- Ja już chyba pójdę - oświadczył. - Cieszę się, że wszystko tak się skończyło.

Mocno go przytuliłam. Zaskoczony najpierw nie odpowiedział, ale potem przygarnął mnie do siebie i zamknął w niedźwiedzim uścisku.

- Będę tęsknić - powiedział w moje włosy.

- Ja też, ale sądzę, że mnie kiedyś odwiedzisz - odpowiedziałam.

- Odwiedzę - przysiągł.

Zanim się odsunął, pocałowałam go szybko w usta. A co tam. Niech Monice będzie trudniej.

Chłopak puścił oko do Beletha i wyszedł.

- Wiki? - Ifrit nie wiedział, co się dzieje. - Czyżbyś nie chciała ze mną zostać?

Zaśmiałam się.

- Mój Belecie, jeśli spróbujesz się mnie pozbyć, poznasz, co to złość potępionej duszy. Potrafimy być niebezpieczni, a weź pod uwagę, że ja nie dam się zamienić w dzina. Nigdzie beze mnie nie idziesz.

Wziął mnie za rękę i uśmiechnął się radośnie. Jego oczy nie wydawały mi się już przerażające. Był po prostu moim Belethem. Tak czarne, że aż granatowe włosy ułożone w niedbałego irokeza, przystojna twarz bez ani jednej skazy, czarujący uśmiech, twarde mięśnie. Czego mogłabym więcej chcieć? Miałam najwspanialszego mężczyznę pod słońcem!

Zanim zdążyliśmy zrobić choćby jeden krok, zalało nas oślepiające światło. To samo, co poprzednio. Odkoczyłam oślepiona. Beleth stał w nim skamieniały. Wyciągnął ręce do góry. Zaczął głośno się śmiać.

Władcy zaświatów umilkli.

Świetlistość otaczająca ifrita zniknęła. Nadal wyglądał tak samo. Był ifritem. Jego skóra lekko promieniała, zielone ognie paliły się na czubkach palców. Nie wiedziałam, o co chodzi.

- Łaska Boska - krzyknął uradowany. - Dostałem ją z powrotem!
ZNOWU!

Porwał mnie w ramiona.

- Możemy teraz zacząć nowe życie!

Jego ciepłe wargi napały na moje usta. Objęłam go mocno za szyję i przyciągnęłam mocniej do siebie. Śmialiśmy się, całując.

Wreszcie!

* * * *

Sala opustoszała. Echo kroków Beletha i Wiktorii umilkło. Odeszli w przyszłość pewnym krokiem. Ich nowe życie pełne przygód właśnie się zaczynało. Dwa trony wciąż stały na niewielkim podwyższeniu.

- Widziałeś? - Szatan był wstrząśnięty. - Dostał Łaskę z powrotem.

Drżącą dłonią przeżegnał się kilka razy. To było niewyobrażalne.

- Aureolę proszę. - Gabriel pstryknął palcami i wyciągnął wyczekująco dłoń.

Lucyfer nawet nie przejął się przegranym zakładem. Wciąż w szoku wpatrywał się w miejsce, w którym już dwukrotnie pojawił się świetlisty promień. Ciekawe, co by się stało, gdyby też tam stanął?

Gabriela aż tak to nie wzruszyło. Pogładził aureolę i schował do kieszeni zadowolony z siebie. Wiedział, że Lucek nie wytrzyma i w końcu się przeżegna.

- Widziałeś? Dostał Łaskę Boską. Tak po prostu! To szczęśliwe zakończenie! - wykrzyknął ucieszony.

- Nie całkiem. - Archanioł był ostrożny w pochopnych osądach. - Niebo i Piekło zostały zniszczone, na Ziemi trwają zamieszki, istnieje zagrożenie wybuchem trzeciej wojny światowej, a Wiktoria umarła.

- Nie wierzę. Myślisz, że to od początku był Jego plan?

- Słucham? - Gabriel poważnie zaczął się zastanawiać nad poczytalnością swojego towarzysza. - A jaki cel miałby Bóg w czynieniu takich rzeczy? - prychnął.

- Może nie podobało Mu się, że w Tartarze znajduje się osoba z Iskrą Bożą, ta Darvulia. Może nawet gdyby Wiktoria tam się nie pojawiła, stałoby się coś złego? Nie wiemy tego. Mówię ci, że to plan.

- Obawiam się, mój szatanie, że za długo miałeś na głowie rogi. Wspominałeś kiedyś, że są ciasne.

- Och, zamknij się. W ogóle nie ma w tobie wiary. - Lucek obraził się. - Jeszcze zobaczymy, kto zostanie najlepszym pracownikiem. W końcu to ja ruszyłem na pomoc Niebu. Ty nie ruszyłeś tyłka, kiedy nas zaatakowano.

- Bo atak na Piekło był sfingowany, a ja miałem ważniejsze rzeczy do roboty. - Gabriel był już zmęczony tą rozmową. - Do zobaczenia, mój drogi.

Archanioł wstał ze swojego złotego tronu i ruszył w stronę wyjścia z sali rozpraw.

- To ja zostanę najlepszym pracownikiem! - krzyknął za nim Szatan.

- Chciałbyś!

Lucyfer podszedł powoli na środek sali i zadarł do góry głowę. W tym miejscu pojawił się promień. Teraz jednak nic się nie stało.

- Ażebyś wiedział - mruknął i wyszedł.

Epilog

W pograżonym w mroku pokoju jedynym źródłem światła były olbrzymie ekrany telewizorów. Ciemność rozświetlały wciąż zmieniające się wykresy i tabele oraz jarzące się przyciski.

Dziesiątki, setki, a może nawet tysiące przycisków.

Naprzeciwko stanowiska pracy stały dwa fotele na kółkach. Obok jednego, na poplamionym blacie, mężczyzna postawił parujący kubek. Aromat kawy rozszedł się po całym pomieszczeniu.

W tym momencie zbrojone drzwi otworzyły się gwałtownie i uderzyły w ścianę.

- Co tu się dzieje?! - krzyknął spanikowany anioł. - Przecież wiesz, że nie wolno ci przebywać tu beze mnie.

Szybko zbliżył się do ekranów. Nie zważając na towarzysza, sprawdzał, czy ten niczego przypadkiem nie popsuł. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Żaden ze wskaźników nie osiągnął krytycznego, czerwonego poziomu, nie zaczęło się żadne odliczanie, monitory pokazujące życie na Ziemi w czasie rzeczywistym pracowały bez zarzutu, nie emitując przerażających obrazów.

- Hm - skomentował Zafkiel i spojrzał spod potarganej grzywki na współpracownika. Coś mu się nie podobało, ale nie wiedział co. Czuł w kościach, a nawet w dużym palcu u stopy, który wystawał z dziurawej białej skarpetki, że nadchodzą kłopoty.

- Zrobiłem ci kawę, mistrzu - głęboki głos przeciął ciszę. - Taką, jaką lubisz.

- Taką, jaką lubię? - prychnął anioł. - Wątpię.

- Jest siedem łyżeczek kawy, szczypta cynamonu, siedem łyżeczek cukru, duża łyżka stołowa śmietanki 37% oraz kilka kropel syropu toffi.

- Hm - Zafkiel starał się nie okazywać zbytniego zaskoczenia. Nie ufał współpracownikowi, mimo to usiadł na głównym fotelu. Wciągnął głęboko aromat mocnej kawy. Zawsze taką pił. Musiał. Na służbie trwającej dwadzieścia cztery godziny na dobę rzadko zdarzał się dogodny moment na drzemkę. Gdy ostatnim razem zamknął na chwilę oczy, jego były pracownik od razu został obezwładniony przez pozbawionych broni zamachowców.

Od tamtej pory Zafkiel bał się zdrzemnąć. Przecież praca całego Anielskiego Centrum Dowodzenia była na jego głowie.

Musiał napić się kawy, bo inaczej nie dałby rady upilnować nowego współpracownika. Wciąż nie mógł uwierzyć, że na jego ogłoszenie w anielskiej gazecie była tylko jedna oferta. Nie miał wyboru, musiał go przyjąć. Archanioł Gabriel wymusił na nim jak najszybsze znalezienie pomocnika.

Pociągnął duży łyk gorącego napoju i uśmiechnął się po raz pierwszy od bardzo dawna.

Kofeina to prawdziwy cud.

W następnej chwili głowa Zafkiela opadła na oparcie, a oczy wywróciły się na drugą stronę. Spał jak zabity. Nie ocknął się nawet wtedy, kiedy głośno chichocząc, jego pracownik kopnął fotel przełożonego. Anioł razem z obrotowym krzesłem podjechał pod ścianę, koło uchylonych drzwi. Z kącika jego ust zaczęła spływać strużka śliny.

Poświata z monitorów wydobyła z mroku twarz pomocnika. Czarne przenikliwe oczy wpatrywały się z euforią w przyciski.

Z warkocza na karku wysunęło się kilka kosmyków i opadło na bladą twarz. Order na piersi zabłysł ponuro. Tylko błękitne piórko na rzemyku na szyi nadawało tajemniczej postaci trochę koloru.

Duży czerwony przycisk z białą czaszką i dwiema skrzyżowanymi piszczelami mrugał do niego zachęcająco. Od tak dawna nie był używany. Jego powierzchnię przykrywała gruba warstwa kurzu.

Na pewno ciężko byłoby go wcisnąć.

Odwrócił od niego wzrok, zastanawiając się nad przyciskami wywołującymi plagi egipskie. A może by tak? Nie... na to jeszcze przyjdzie pora.

Teraz liczył się tylko czerwony przycisk z trupią czaszką. Przycisk WIELKIEEEEEGO KATAKLIZMU.

W ponurym pomieszczeniu wypełnionym zapachem świeżo zaparzonej kawy rozległ się śmiech Azazela...